



Deirdre Purcell



***MEANDRY
UCZUĆ***

Rozdział pierwszy

Jezusie, Maryjo, Józefie święty, aleś ty ogromny! - Hazel Slye osłoniła ręką oczy, oślepią blaskiem neonowych lamp rozświetlających salę taneczną. Przyjęła pomoc Franceya i zesłała ze sceny na parkiet. Jej jasne włosy upięte w wysoki kok poruszały się gdzieś na wysokości między jego pasem a mostkiem. Hazel musiała mocno odchylić głowę do tyłu, by spojrzeć swemu rozmówcy w oczy. - Jesteś strasznie wielki!

Młodzieniec wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wiem... i zanim zapytasz, owszem, pogodę mamy tu ładną. Nie można narzekać. Dawno się nie widzieliśmy. Pomyślałem po prostu, że podejdę i się przywitam.

- To niesamowite. - Piosenkarka patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, jednym zielonym, a drugim niebieskim, które wydawały się jeszcze bardziej niezwykle, gdyż były podkreślone czarną kredką. - Naprawdę mnie pamiętasz? Musiałeś mieć... ile? Pięć, sześć lat?

- Mniej więcej. - Francey już miał na końcu języka, że takich oczu nie sposób zapomnieć, lecz powstrzymał się z obawy, że jego słowa zostaną źle odczytane. - Równie dobrze mogę odwzajemnić komplement - odrzekł zamiast tego. - Ty też masz niezłą pamięć.

- Jezu, jak mogłabym cię nie zauważyć! Gdyby nie włosy, byłbyś wykapany... - Rozmyśliła się i nie dokończyła zdania. - Nie mogę się nadziwić - mruknęła. - Młody... hm...

Młody człowiek zorientował się, że choć rozpoznała go dzięki podobieństwu do ojca, nie pamięta jego imienia.

- Francey - podsunął. - Francey Sullivan.

- Sullivan? Aa, tak, racja. - Hazel szybko odzyskała kontenans. - Młody Francey, jak pragnę nieba... A tak z czystej ciekawości... ile ty masz wzrostu?

- Trochę ponad dwa metry lub coś około tego. - Młodzieniec był przyzwyczajony do takich pytań.

- Mój Boże! - Obciągnęła krótką sukienkę ozdobioną cekinami. - Posłuchaj, wezmę tylko płaszcz i skoczmy do pubu pogadać...

- Czy nie jest na to trochę za późno? - spytał Francey bez entuzjazmu, wiedząc, że w kieszeniach jego spodni dźwięczy dosłownie kilka ostatnich miedziaków. - Nie musisz iść gdzieś z zespołem czy coś w tym stylu?

- Z nimi? - Hazel machnęła lekceważąco dłonią. - Widzę ich cały czas. Hej, Vinnie! - zawołała przez ramię. - Nie czekajcie na mnie!

- Jak sobie życzysz. - Saksofonista, który także prowadził orkiestrę, nawet nie spojrzał w jej kierunku. - Do jutra w Quays, tylko, na miłość boską, nie spóźnij się, Księżniczko, ostrzegam...

- Zaczekaj tu na mnie. - Hazel zlekceważyła pouczenie i poklepała Franceya po rękę. - Zaraz wracam. Zostawiłam płaszcz za sceną.

Czekając pod neonowym reflektorem, który zapalił się wraz z ostatnią nutką hymnu narodowego, Francey starał się stłumić poczucie własnej niezręczności, zawsze ogarniające go w podobnych sytuacjach. Podejście do podium dla orkiestry i zwrócenie na siebie uwagi Hazel kosztowało go wiele wysiłku. Kiedy zobaczył plakat reklamujący występ zespołu, w którym była wokalistką, wiedział, że nadarza mu się możliwość, jakiej szukał od lat. Mimo że dosłownie jedynym sposobem, by poznać dziewczęta w Dublinie, było chodzenie na potańcówki, młodzieniec rzadko uczęszczał na zabawy: ze względu na swój wzrost w tłumie czuł się równie niezręcznie, jak żyrafa w stadzie antylop.

Poza wzrostem, zasadniczym problemem w życiu Franceya było to, że skończywszy dwadzieścia pięć lat, jeszcze nie znalazł sobie kręgu znajomych, w którym czułby się swojsko. Chociaż uwielbiał rodzinę, zwłaszcza matkę, oraz podziwiał - bez większych emocji - dzikie i piękne tereny na przylądku Béara w zachodnim Cork, które uważał za swój dom, w samym Lahersheen nie widział dla siebie miejsca. Jego ojczym był przyzwoitym, przedsiębiorczym farmerem, lecz ich małe gospodarstwo nie mogło dać zajęcia dwóm dorosłym mężczyznom. W gruncie rzeczy Francey się z tego cieszył; praca na farmie niezbyt go interesowała, zwłaszcza gdy *emigres* przyjeżdżający z miast do parafii na święta i wakacje przynosili wieści o podniecającym i pełnym przygód świecie.

Kiedy we wczesnych latach sześćdziesiątych wyrwał się wreszcie z rodzinnego domu i przyjechał do Dublina, nie spotkało go tu zbyt wiele podniecających przygód. Zamieszkał w tanim pokoiku w pensjonacie, mając za sąsiadów pięciu podobnych do siebie chłopaków i wspólnie z nimi musiał przestrzegać surowych reguł określających, ile gorącej wody mogą zużyć lokatorzy do golenia, i zabraniających stawiania filiżanek z herbatą na meblach. Chociaż znalazł posadę w dużym sklepie z materiałami budowlanymi, stałą i niezłe płatną jak na człowieka bez kwalifikacji, bardzo szybko się przekonał, że ta praca jest nudna i ogłupiająca. Jeśli w Dublinie rzeczywiście można było zaznać podniecających przygód, najwyraźniej Francey jeszcze do nich nie dotarł.

Czasem, popijając samotnie piwo w pubie i obserwując rozgadanych dokerów, robotni-

ków budowlanych z brzuchami wyдутymi od długoletniego raczenia się tym napojem oraz facetów, którzy harowali dla Dublin Corporation, Francey życzył sobie z całego serca, by i on nie miał wygórowanych aspiracji i marnego wykształcenia, przez które ugrzązał w sztywnym białym kołnierzyku za ladą w dziale z towarami żelaznymi sklepu Ledbettera.

Nienawidził szkoły z internatem i uciekając od regulowanej dzwonkiem koszmarnej, codziennej rutyny, zaczął namiętnie czytać książki; pochłaniał kryminały, romanse, klasyczne powieści i nawet komiksy. Ponieważ mieszkańcom internatu nie wolno było odwiedzać miejskich przybytków rozkoszy, prosił dyżurnego ucznia o przynoszenie mu książek ze zbiorów biblioteki publicznej. Udoskonalił także metody ukrywania swej pasji, gdyż księża mieli zwyczaj konfiskowania wszystkiego, co nie znajdowało się na liście Departamentu Edukacji. Obecnie czytał już właśnie po raz drugi „Dawida Cooperfielda”, którego wymięty egzemplarz o oślich uszach schował w kieszeni marynarki.

Dotknął go teraz, jakby dla dodania sobie odwagi; obserwował maruderów na lekkim rauszu, którzy wychodzili zdecydowanym krokiem z sali tanecznej, udając, że są z kimś umówieni na zewnątrz. Francey znał na pamięć owe miny i rozpacz kolejnego odrzucenia i jeszcze jednej porażki. Cieszył się, że choć raz nie należy do tamtego grona zawiedzionych. W rzeczy samej, w oczach innych zdobył kobietę ekstra - poderwał wokalistkę zespołu.

Młody człowiek, który był nieśmiały nie z natury, lecz raczej z przyzwyczajenia, gdyż zawsze z zażenowaniem dostrzegał spojrzenia ludzi zaskoczonych jego wzrostem, postanowił, że równie dobrze może się cieszyć swym chwilowym sukcesem, choćby okazał się nie wiem jak ulotny. Wyprostował się jak struna i rozkoszował pełnymi ciekawości spojrzeniami rzucałymi mu przez najsmutniejszych z ostatnich gości na sali - samotne kobiety, które nadal kręciły się nieopodal podium, z nadzieją, że może jeden z muzyków rozmontowujących sprzęt grający zaproponuje im spacer do domu.

Ustąpił z drogi młodemu człowiekowi, który szeroką szczotką pchał przed sobą kupkę niedopałków papierosów i papierków po cukierkach; Francey zauważył między śmieciami błyszczący grzebyk, jakich dziewczęta używają do upinania włosów. Ponieważ wychował się w domu pełnym kobiet, zaczął się zastanawiać, jak długo właścicielka grzebyka szykowała się na tę potańcówkę. Wszystko to złudzenia, pomyślał. W jednej chwili ta bajeczna kraina niesłychanych możliwości zamieniła się w śmietnisko niespełnionych marzeń, spadających w otchłań przy akompaniamencie zgrzytów i łoskotu pakowanego sprzętu muzycznego oraz ustawianych na stosy krzeseł. Pomalowane na śliwkowo ściany, które w różowym i czerwonym świetle re-

flektorów nadawały wnętrzu przytulny i przyjazny charakter, teraz okazały się lepkie od brudu i po raz pierwszy Francey zauważył wiszące skrawki skóry oddarte z oparcie krzeseł oraz porysowane i odrapane blaty stolików. Obracająca się kryształowa kula, jeszcze niedawno rzucająca tęczowe refleksy na ramiona i twarze tancerzy, teraz zwisała nieruchomo i widać było, że brakuje na niej fragmentów szkła. Zmatowiały nawet srebrne i niebieskie gwiazdy, które połyskiwały nad podium dla muzyków, a czarna farba pod nimi pokryła się szarymi smugami.

- Umieram z pragnienia - usłyszał głos Hazel, która pojawiła się przy nim w tej chwili. - Chcę poznać wszystkie nowinki o twojej matce, dziewczętach i innych krewnych. Pójdziemy do Collinsa.

- Dobrze.

Francey zastanawiał się, czy stać go choćby na jednego drinka, nie wspominając już o dwóch. Zazwyczaj nie byłoby mu w głowie wychodzenie z domu w przeddzień wypłaty. Aby dostać się na tę potańcówkę, musiał zaryzykować utarczkę z facetem sprzedającym bilety; wiedział jednak, że mężczyźni, zwłaszcza „porządnych” młodzieńców, na zabawach w Dublinie zawsze było za mało i często wpuszczano ich za pół ceny, jeśli zjawili się odpowiednio późno.

- Zaczekaj chwilę. - Odwróciła się od niego i z papierosem w ustach pochyliła nad migoczącym płomieniem zapalniczki. Zaciągnęła się głęboko. - Już lepiej - mruknęła; kiedy wypuściła dym nosem, przypominała Franceyowi małego orientalnego smoka. - Chodź. - Poprowadziła go wąskim korytarzem wykładanym terakotą na ulicę. - Jak długo tu jesteś?

- Jakieś trzy lata. - Obłoczki ich oddechów ginęły w październikowej mgle; Francey dał się pociągnąć swej towarzyszce za ramię i ruszyli ulicą. - Praca na farmie nigdy zbytnio mnie nie pociągała.

- Wcale ci się nie dziwię. Przy takiej pogodzie! - Hazel się wzdrygnęła.

- Nie jest aż tak źle. Na Béara też od czasu do czasu świeci słońce. Nie pamiętam, jaka była pogoda, kiedy tam przyjechałaś...

- Masz samochód? - przerwała mu.

- Nie. - Uśmiechnął się z pomysłu, że ktoś zarabiający tyle co on mógłby śmieć marzyć o takim luksusie. - Przykro mi.

- Ach, to bez znaczenia, pójdziemy piechotą. - Kilka metrów dalej zatrzymała się, by dać autograf dwóm dziewczynkom, które miały włosy równie wysoko upięte i mocno polakierowane jak ona. Zauważywszy pełne podziwu spojrzenia, jakimi obie nastolatki obrzuciły Franceya, Hazel oddała im zeszyciki, ujęła go pod ramię i zaśmiała się wesoło tamtych prosto w nos.

- Nie, jego wam nie dam, pierwsza go zobaczyłam. Tak czy inaczej, dzięki, dziewczynki! - zawołała, pociągając młodzieńca za sobą. - Do zobaczenia!

Następnego wieczora Francey przyszedł na umówione spotkanie z Hazel i High Rollerami na Burgh Quay kilkanaście minut przed szóstą, czyli o całe pół godziny za wcześnie. Serce i żołądek podrygiwały mu w tanecznym rytmie, lecz choć nie mógł spać w nocy i pół dnia spędził w pracy, wcale nie czuł zmęczenia: wręcz przeciwnie, dawno już tak nie tryskał energią i zapalem. Ta wyprawa była najbardziej podniecającą propozycją, jaką otrzymał w ciągu trzech lat spędzonych w stolicy i czuł się rozdarty między chęcią ucieczki do jakiegoś bezpiecznego miejsca a dzikim zachwytem, że wreszcie nadarza mu się okazja zrobienia czegoś wyjątkowego. Jednocześnie obawiał się, że przywiązując tak wielką wagę do zwykłej potańcówki w Limerick, robi z siebie idiotę.

Francey zawsze marzył, że będzie kimś innym, że zdobędzie sławę.

Już w dzieciństwie czuł, że nie jest mu pisany los przeciętniaka, jak większości jego kolegów ze szkoły, których ambicje nie sięgały wyżej niż znalezienie bezpiecznej posady w banku, lub - w wypadku wyjątkowych kujonów - zdobycia zawodu lekarza albo prawnika. Kiedy w dzieciństwie spacerował ścieżkami wokół Lahersheen, nieraz odwracał się i gdy dzieciak sąsiadów robił głupie miny za jego plecami, pocieszał się myślą, że za kilkanaście lat ten brzdąc będzie się przechwalać, że mieszkał nieopodal słynnego Franceya Sullivana, a jednocześnie cierpieć w duchu, że nie okazał się dla niego uprzejmiejszy, gdy miał po temu okazję.

Jeszcze tylko nie bardzo wiedział, co da mu ową sławę. Wiedział natomiast jedno i był tego równie pewny, co własnego nazwiska: mianowicie, że nadejdzie czas, kiedy owo nazwisko stanie się słynne jak Irlandia długa i szeroka. Poklepał kieszeń, by się upewnić, że książka nadal w niej spoczywa, na wszelki wypadek - gdyby tak Hazel jednak się nie zjawiała - i wszedł na środek mostu Butt, skąd mógł obserwować pojazdy zbliżające się z obu stron.

Z racji swego pochodzenia zawsze sądził, że najlepszym sposobem na satysfakcjonujące życie będzie załapanie się do show-biznesu. W szkole czuł się prawie szczęśliwy tylko wtedy, gdy brał udział w mało przekonujących inscenizacjach klasycznych operetek Gilberta i Sullivana oraz dzieł Szekspira, przygotowywanych przez księży w skróconych wersjach.

Pomijając nieobecnego ojca, nie znał ludzi, którzy mogliby mu posłużyć za przykład udanej kariery w sferze rozrywki i dlatego nie zdołał dotąd wypracować sobie żadnych praktycznych sposobów rozpoczęcia owej działalności, a poza tym, gdy przyjrzał się sobie uważnie, musiał przyznać, iż jego zdolności w tym kierunku są ograniczone w stopniu zdecydowanie go

dyskwalifikującym. Potrafił dokonać rozbioru logicznego łacińskiego zdania, wykastrować cielaka, prowadzić traktor, wykopać rzepę i upiec chleb; posiadał świadectwo ukończenia kursu pierwszej pomocy wydane przez kawalerów maltańskich; umiał posługiwać się nakrętkami, zasuwami, podkładkami i drutami, a także rozróżniał tarcicę od niepolerowanego mahoni, lecz żadna z tych umiejętności nie dawała mu odpowiednich kwalifikacji do pracy w teatrze.

Teraz jednak nadzieja zagościła w sercu młodzieńca: Hazel Slye wyraźnie go polubiła. Poprosi, by mu poradziła, jak wyrwać się z obecnej sytuacji, a dokładniej, jak znaleźć ciekawszy sposób na życie. „Zbyt wielki marzyciel” - czytał wielokrotnie w opinii dołączonej do szkolnego świadectwa. No i dobrze, pomyślał teraz. W skrytości ducha Francey czuł się dumny z tego, że jest marzycielem. Trzeba marzyć, aby marzenia mogły się spełnić.

Stojąc na środku mostu, rozglądał się w obie strony po Quays, ale nigdzie nie widział oryginalnie pomalowanego mikrobusu, który opisała mu Hazel. Wieczór był chłodny, a w zapadających ciemnościach czuło się zapowiedź mrozu. Ponieważ w mieście zapanowało właśnie gorące podniecenie późnych godzin szczytu i ludzie pośpiesznie wracali z pracy do domów, wszędzie dokoła słyszało się radosną kakofonię: buczenie i trąbienie klaksonów, dzwonienie dzwonekórowerowych, pokrzykiwania chłopców sprzedających gazety i stukot obcasów ludzi, którzy z twarzami wtulonymi w wysoko postawione kołnierze uśmiechali jak co piątek na myśl o zbliżającym się weekendzie. Światła lśniły w każdym oknie pobliskiego biura Irish Press; ludzie, którzy dopiero co wyrwali się z pracy, śpieszyli w ciepłe objęcia Scotch House stojącego nieopodal; po drugiej stronie rzeki, na Eden Quay, z kin Astor i Corinthian wychodzili popołudniowi kinomani, a większość udawała się wprost do pubu Mooneya tuż za rogiem.

W środkowej części kraju zapowiadano mgłę, przez którą będą musieli się przedostać w drodze na koncert, lecz widoczność była jeszcze stosunkowo dobra. W dole rzeki, pod szkieletami dźwigów w dokach i zbiornikiem na gaz, rysującym się na tle pokrytego dymem nieba niczym polodowcowy pagórek, Francey zauważył niewielki prom pasażerski, kursujący przez Liffey między dwoma nabrzeżami jak pracowity żuk wodny. Bliżej mostu „Lady Miranda” zabierała na pokład ładunek guinnessa, który miał zostać wyekspediowany do Anglii, a naprzeciw niej stały przycumowane dwie głęboko zanurzone barki do przewozu bydła, gdzie właśnie bawiła się wesoła kompania dokerów i robotników portowych. Popatrzawszy w górę rzeki, Francey obserwował jasno oświetlone, piętrowe autobusy jeżdżące w obie strony po moście O'Connell pod wielokolorowym neonowym logo Bovrila, a jeszcze dalej podobnych do mrówek przechodniów śpieszących przez żelazną wygiętą kładkę zwaną „Ha'penny”.

Przechylił się przez balustradę i zapatrzył w toń Liffey wypełnionej wodami przyływu; po jedwabistej czarnej powierzchni ślizgały się podłużne odblaski, rzucane przez latarnie na brzegu. Pomyślał, że ma już dwadzieścia pięć lat i najwyższy czas zacząć działać, jeśli zamierza dokonać czegoś ważnego. Wyprostował się i zerknął na zegarek - powinien wrócić na umówione miejsce spotkania.

Stanął w ustalonym wcześniej miejscu dokładnie w tej samej chwili co mikrobus, który okazał się mniejszy, niż Francey się spodziewał. Nie mogło być jednak mowy o pomyłce, gdyż pojazd miał wymalowaną kanarkowożółtą farbą nazwę: „Hazel i High Rollers”, a kolorowe zawijasy zachodziły aż na dach; po drugiej stronie umieszczono podobiznę piosenkarki otoczoną kośćmi do gry. Jednakże wewnątrz znajdował się teraz tylko jeden jedyny członek zespołu High Rollers - kierowca, łysiejący, potężnie zbudowany mężczyzna, którego Francey nie przypominał sobie z poprzedniego wieczoru.

Odszedł nieco na bok, a w ciągu następnych dziesięciu minut zjawili się wszystkich sześciu członków grupy. Bez scenicznych czarno-brzoskwiniowych garniturów wyglądali smutno, blado, niezdrowo... i zwyczajnie. Chwilę później nastąpił wybuch entuzjazmu, ponieważ do jednego z nich, gdy właśnie zamierzał wsiąść do mikrobusu, podeszła grupka dziewcząt. Francey pamiętał tego faceta z poprzedniego wieczora - był to gitarzysta, który także śpiewał, solo i w duecie z Hazel.

Kiedy dziewczęta już odeszły, Francey zauważył, że tamten przygląda mu się ciekawie; w następnym momencie szedł już w jego stronę, kiwając się na boki niczym zawodowy bokser i omijając zręcznie samochody na ulicy.

- To ty jesteś Francey? - zapytał, gdy znalazł się już w zasięgu głosu. Potem obejrzał chłopaka od stóp do głów i sam sobie odpowiedział na pytanie: - Sądzę, że tak.

- Prawda. - Młodzieniec się uśmiechnął.

- Jesteś jeszcze większy, niż mówiła. Mam nadzieję, że się zmieścisz. - Muzyk odwzajemnił uśmiech i skinął głową, wskazując, by chłopak poszedł za nim do mikrobusu.

- Jeszcze jej nie ma? - wrzasnął Francey, by przekrzyczeć łoskot przejeżdżającej obok ciężarówki; stali razem na środku ulicy i czekali, aż samochody na chwilę przestaną jechać.

- Spóźnia się! - odkrzyknął gitarzysta. - Jak zwykle.

Francey podążył za swym przewodnikiem do samochodu. Mimo że pojazd z zewnątrz wydawał się maleńki, w środku był zadziwiająco przestronny i dobrze zaplanowany: dwanaście foteli umieszczono za siedzeniem kierowcy, po dwa i po jednym po obu stronach wąskiego

przejścia. Pomiedzy fotelami znajdował się stolik, na którym już trwała partia pokera.

- To jest Francey! - zawołał gitarzysta przez gęsty dym papierosowy. - Znajomy Księżniczki.

Tylko dwaj mężczyźni podnieśli głowy, by go powitać, pozostali zaś mruknęli: „Miło nam”, nie odrywając oczu od kart.

Brak zainteresowania ze strony członków grupy High Rollers pomógł Franceyowi nieco się rozluźnić, lecz jednocześnie ich obojętność uświadomiła mu, że nie jest pierwszym facetem, którego Hazel zaprosiła na wyjazd z grupą. Wcisnąwszy się w jeden z pojedynczych foteli stojących z tyłu, wyciągnął z kieszeni książkę i miał nadzieję poczytać nieco przy wątłym świetle padającym z ulicy, lecz właśnie wtedy do mikrobusu wsunęła się Hazel. Miała na sobie dzinsy i obcisły żółty sweterek zapięty na guziki pod samą szyję, lecz choć włosy upięła równie wysoko, jak poprzedniego wieczoru, twarz - przynajmniej ta jej część, którą było widać zza nieprawdopodobnie wielkich ciemnych okularów - nie nosiła śladów makijażu.

- Dobry wieczór, Księżniczko! - zawołał jeden z High Rollersów siedzący z przodu samochodu.

- Ładne szybki! - dodał inny. - Czyżbyś miała ciężką noc?

- Och, dajcie spokój, chłopaki. - Piosenkarka uśmiechnęła się w przelocie do Franceya, przechodząc nad jego nogami, a potem powiesiła sukienkę na wieszaku po wewnętrznej stronie okna i opadła na fotel naprzeciwko. - I jak tam? Mam nadzieję, że te draby dobrze się tobą zajęły?

- Wspaniale... - zaczął, lecz przerwał mu kierowca, który zerknął na dziewczynę przez ramię, udając zniecierpliwienie.

- Możemy już jechać, skoro wasza wysokość się usadowiła?

- Przestań. - Hazel zdjęła okulary i przetarła oczy. - Chyba aż tak bardzo się nie spóźniłam? Prawda, Francey? - spytała niewinnie.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, młodzieniec potrząsnął tylko głową; w następnej chwili kierowca wrzucił wsteczny bieg i włączył się do ruchu.

Hazel wyciągnęła z torby szyfonową chustkę i owinęła nią swą wysoką fryzurę, która przypominała pszczeli ul; końce zawiązała pod brodą.

- Nie patrz na moje włosy z taką miną - zganiała Franceya, mimo że nie poczuwał się do winy. - Jeżeli Eileen Reid wygląda dobrze w tym uczesaniu, to ja nie jestem gorsza - dodała, mówiąc o solistce z konkurencyjnego zespołu, której fryzurę najwyraźniej skopiowała. - Nic

ciekawego nie czeka nas aż do baru Eagana w Portlaoise, gdzie zatrzymamy się na herbatę - dodała. - Równie dobrze możesz więc się zrelaksować i cieszyć oczy widokami.

Francey miał ochotę zauważyć, że w tych egipskich ciemnościach raczej nic nie zobaczy, lecz zamiast tego uśmiechnął się lekko.

- Dziękuję, że mnie zaprosiłaś. Już mi się tu podoba.

- Tylko niech ci to nie zawróci w głowie. Pogadamy później.

Ponownie otworzyła torbę i wyjęła butelkę czegoś, co wyglądało jak woda, a potem pociągnęła długi łyk; później uniosła oparcia pod łokcie przy swoim siedzeniu oraz fotelu obok, i ułożyła się wygodnie na obu. Upewniwszy się, że jej wymyślna fryzura nie gniecie się o szybę, skuliła plecy, wsunęła głowę w ramiona i przymknęła oczy. Kiedy jechali powolutku w korku przez Quays w stronę Islandbridge, głowa kiwała się jej lekko; zanim dojechali do Inchicore, Hazel chrapała z otwartymi ustami.

Wiedząc, że przynajmniej teraz nie jest obserwowany, Francey przyjrzał się leżącej naprzeciw niego piosenkarce. W świetle małej lampki wyglądała znacznie bardziej zwyczajnie niż podczas ich wcześniejszych spotkań i nieomal swojsko - jakoś młodziej i bardziej bezbronne. Jeden z guzików sweterka rozpiął się, ukazując chłopakowi oszalamiający rowek między jej piersiami. Francey pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział tak wspaniałego ciała i cieszył się, że z powodu ciemności panujących na tyłach mikrobusu nikt nie zauważy kierunku jego spojrzenia.

I wtedy wydarzyło się coś bardzo dziwnego: oto miał w sercu dziwne ciepło i uczucia opiekuńcze, jak gdyby Hazel Slye była szczeniakiem lub osieroconą owieczką powierzoną jego pieczy. Było to dla niego coś zupełnie nowego w stosunku do kobiet i przypomniał sobie, jak dobrze mu się z nią rozmawiało poprzedniego wieczora w pubie Collinsa. Poza siostrami, matką i przyjaciółkami matki, Hazel jako jedyna po pierwszym szoku wydawała się akceptować jego niezwykły wzrost i traktowała go jak normalnego faceta, a nie dziwoląga.

Francey wiedział, że w jego obecności dziewczęta czują się onieśmielone. Był nie tylko wysoki: również całe ciało miał proporcjonalnie ogromne - mimo że wcale nie wyglądał na grubego, kiedy ważył się ostatnim razem, strzałka pokazała sto dziesięć kilogramów. Wśród rodziny krążył żart, że Francey widziany z wielkiej odległości wygląda jak zwyczajny facet.

Prognoza pogody sprawdziła się co do joty; kiedy wlekli się w ślimaczym tempie wśród autobusów wąską drogą w kierunku Naas, mgła zaczęła gęstnieć wokół nich. Francey był coraz bardziej śpiący; pragnął nieco się zdrzemnąć, lecz gdy zbyt długo siedział w jednej pozycji,

mięśnie mu drętwiały i zaczynały go boleć - wiele dałby teraz za możliwość rozprostowania nóg. Właśnie chciał wstać, gdy Hazel wreszcie otworzyła oczy, przeciągnęła się, ziewnęła, a potem usiadła prosto na fotelu.

- Wszystko w porządku? - zaświergotała, patrząc mu w oczy.

- Tak, wspaniale.

- Gdzie jesteśmy? - Wyjrzała przez mętną szybę w oknie. - Jezu, nic nie widzę. Gdzie jesteśmy, Mick? - zawołała do przodu mikrobusu.

- Na Curragh - odparł lakonicznie kierowca. Siedział zgarbiony nad kierownicą i wpatrywał się w szybę, po której ze zgrzytem chodziły wycieraczki.

- Dopiero?! - wykrzyknęła z niedowierzaniem i spróbowała przetrzeć szybę. - Jezu... to okropne, w takim tempie nigdy stąd nie wyjedziemy.

- Idź spać, Księżniczko! - odkrzyknął kierowca, tym razem już ze zniecierpliwieniem. - Robię, co w mojej mocy. To tak, jakbyś chciała jechać przez zupę grzybową.

- Hm! - Hazel otworzyła swą przepastną torbę i wyciągnęła z niej duże prostokątne lustro, które oparła na stoliku przed sobą i oświetliła, naciskając guzik. - Ma baterię - wyjaśniła Franceyowi.

Położyła chustkę na siedzeniu obok i poddała inspekcji swoją podobną do ula fryzurę. Doprowadziła do porządku palcami jakieś wgniecenie, po czym wyjęła z torby niewiarygodnie wielkich rozmiarów puszkę sprayu i zaczęła rozpylać lakier dokoła głowy, dodając ów obeszładniający zapach do smrodu tytoniowego wiszącego już w powietrzu. Francey poczuł, że robi mu się niedobrze i jeśli natychmiast nie otworzy okna, to się udusi - ponadto bolały go mięśnie łydek. Spróbował usiąść nieco wygodniej, a gdy przejechali na drugą stronę rzeki i mikrobus ponownie nabrał nieco większej prędkości, zapytał Hazel, czy może otworzyć okno.

- Jasne - odrzekła. - Nie ma problemu.

Jednak klamka przy oknie obok jego fotela się zacięła. Siedział dziwnie wykrzywiony, więc oparł kolano na podłozie i odwróciwszy się nieco, spróbował jeszcze raz - bez skutku.

- Hej, spróbuj z tym. - Piosenkarka wskazała okno obok swego siedzenia.

Francey podniósł się ze swojego miejsca i pochylił nad nią. Okno otworzyło się bez najmniejszego trudu - lecz jednocześnie mikrobus wszedł w zakręt, cały czas przyśpieszając, i młodzieniec zmuszony był złapać się stolika, by nie upaść na Hazel.

- Dobra robota! - Poklepała go po ramieniu. - Może usiądziesz tu na chwilę? - zaproponowała, biorąc chustkę z fotela obok siebie.

- Dzięki - odrzekł dokładnie w tej samej chwili, gdy kierowca zaklął:

- O, cholera! - i zahamował gwałtownie.

Tym razem Francey, który nie zdążył jeszcze usiąść, kompletnie stracił równowagę, upadł na stolik i zsunął się po nim w przeciwną stronę. Przez jedną milisekundę - słysząc pisk opon - zachował świadomość: widział, że pozostali członkowie zespołu także się przewracają, karty do gry nagle lecą na wszystkie strony, a lusterko zsuwa się ze stołu i spada z trzaskiem na podłogę. Poczuł, jak Hazel ląduje pod jego lewą nogą i usłyszał przerażający krzyk dziewczyny; jednocześnie przeszył go ból, gdy blat stolika wbił mu się w brzuch.

Milisekundy wlokły się jak wieczność; Francey usiłował zrobić, co w jego mocy, by nie przygnieść Hazel.

Mikrobus jechał bokiem, ślizgał się i trząsał, a wszystkiemu towarzyszył swąd spalonej gumy.

Później zaś zderzył się z czymś i stanął.

Na skutek siły wstrząsu Francey, rozłożony na stoliku, poleciał w dół na siedzenie po przeciwnej stronie, tak że utknął z szyją wykrzywioną pod przedziwnym kątem i głową wciśniętą w róg między siedzeniem a oparciem. Kiedy czekał na chrzęst rozdzierającego się metalu, przekonany, że nadeszła jego ostatnia chwila, przemknęła mu myśl, że to powinno wybić mu z głowy wszelkie wybujałe ambicje...

Ale ów dźwięk nie nastąpił. Mikrobus zachwiał tylko się na kołach po prawej stronie i wrócił do prawidłowej pozycji. Siła odśrodkowa jednak spowodowała, że podczas gdy wszystko w samochodzie - torby, karty do gry i instrumenty, które nie były dobrze przymocowane do bagażnika na dachu - leciało wokół podróżnych, prawe koła pojazdu opuściły drogę. Poza kierowcą, nadal kurczowo trzymającym kierownicę, siła wstrząsu rzuciła wszystkich na przeciwną stronę samochodu, który przez następną chwilę balansował na lewych kołach. Później, pod nierówno rozłożonym ciężarem pasażerów, przechylił się i wylądował na lewym boku, z ciągle wyjąącym silnikiem i kręcącymi się w powietrzu kołami.

Młodzieniec zachwiał się i przez otwarte okno walnął głową o nawierzchnię drogi, a potem bezwładnie odrzucony opadł na ciało Hazel. Mimo mocnego uderzenia w czaszkę, mimo wrzasków i przekleństw pozostałych poczuł, że jego łokieć wbija się w twarz dziewczyny i usłyszał okropny chrzęst łamanych kości.

Przez chwilę trwała cisza, a potem rozpętało się piekło.

Francey obejrzał swe obrażenia: był trochę poobijany, na szczęście nic sobie nie złamał.

Spróbował wstać, lecz aby to zrobić, musiał się oprzeć o leżące obok fotele; w tym momencie usłyszał i natychmiast rozpoznał wysokie porykiwania przerażonego bydła. Zrozumiał, że musieli wpaść w idące drogą stado.

Hazel przestała wreszcie krzyczeć i teraz tylko jęczała głucho. Nadal usiłując się pozbierać, Francey dziękował Bogu, że dziewczyna przynajmniej jeszcze żyje. Wiedział, że musi ją stąd wydostać, lecz co robić, jeśli złamała sobie kręgosłup? Może w ogóle nie powinno się jej ruszać z miejsca?

Wreszcie udało mu się podnieść; przedostał się nad siedzeniem, które zagradzało drogę, i rąbnął w drzwi; otworzyły się bez trudu. Nadal na kolanach i dłoniach, wyczołgał się na zewnątrz i stanął w gęstym od mgły powietrzu, z trudem łapiąc oddech.

Zaraz za nim wygramolili się trzej członkowie zespołu, najwyraźniej zszokowani, lecz bez widocznych obrażeń.

- Z Hazel jest niedobrze - wykrztusił Francey. - Musimy wezwać karetkę. Co z pozostałymi?

- Nie wiem. - Tylko jeden z muzyków zdołał mu odpowiedzieć. Drugi właśnie klęczał w trawie i wymiotował, a trzeci, oparty o przewrócony mikrobus, trzymał się za głowę.

Francey rozglądał się wokół, usiłując nie słyszeć jęków piosenkarki. Jeżeli dobrze widział w gęstej mgle, wypadek zdarzył się w miejscu, gdzie zakręt przechodził już w prostą drogę. Silnik cały czas pracował, prawe koła zaś leniwie obracały się w powietrzu; mikrobus zajmował trzy czwarte szerokości drogi, a dwie poranione krowy blokowały resztę pasa.

- Trzeba to wszystko jakoś uprzątnąć, bo zaraz ktoś w nas przygrzmoci. - Młodzieniec objął dowództwo. - Tymczasem jeden z nas będzie musiał znaleźć telefon i zadzwonić po karetkę, a ktoś inny niech wyjdzie przed zakręt i ostrzega nadjeżdżające pojazdy. Pójdiesz do telefonu? - spytał muzyka, który zdawał się najlepiej nad sobą panować.

- Dokąd? - Mężczyzna instynktownie zaakceptował samozwańcze przywództwo Franceya.

Ten rozejrzał się dokoła. Z boku drogi, jakieś osiemdziesiąt metrów dalej, zobaczył mdłe światelko. Mimo że nie było żadnej pewności, iż to dom, postanowił zaryzykować.

- Spróbuj tam - powiedział, wskazując palcem kierunek. - Jeżeli nie mają telefonu, tak czy inaczej poproś o pomoc. Będziemy też potrzebować traktora - zawołał za tamtym, który już powoli zniknął w gęstej mgle. - Pójdiesz na drugą stronę zakrętu? Żeby ostrzec innych? - Złapał za ramiona faceta, który nadal trzymał się za głowę.

- Jasne. - Ledwie usłyszał jego szept.

Francey patrzył, jak tamten, chwiejąc się na nogach, idzie poboczem; nagle dał się słyszeć warkot silnika i muzyk gwałtownie wskoczył na środek drogi, machając rękoma. Na szczęście kierowca samochodu jechał powoli, zobaczył go na czas i zdążył zahamować.

Z auta wyszło dwóch mężczyzn, a kilka sekund później dołączył do nich facet z następnego pojazdu, niedużego pikapu. Ten zaproponował, że pojedzie do miasta, przywiezie lekarza i upewni się, czy karetka jest w drodze. Wskoczył z powrotem do samochodu i opuścił szybę.

- Spróbuję też zorganizować coś dla tych biednych zwierząt! - zawołał, przejeżdżając ostrożnie poboczem drogi, by ominąć krowy, które nadal ryczały żałośnie.

O ile Francey zdołał się zorientować, obie miały połamane nogi; inne zwierzęta, które najwyraźniej nie ucierpiały podczas wypadku, kręciły się w rowach po obu stronach szosy, powiększając tylko zamieszanie.

W tej chwili Francey usłyszał głos pierwszego kierowcy, znajdującego się z tyłu mikrobusu.

- Pomóż nam! - zawołał tamten. - Tu w środku jest kilku poważnie rannych. Musimy też jak najszybciej wyłączyć silnik, bo strasznie czuć benzyną!

Zadowolony, że wreszcie ktoś inny zechciał zdjąć z jego barków odpowiedzialność, Francey ruszył w stronę drzwi do samochodu, choć wydawało mu się, że kolana ma z waty. Tamten mężczyzna już był w środku i przeczołgiwał się przez fotele w kierunku szoferki. Chwilę później wyciągnął kluczyk ze stacyjki. Jeśli Francey się nie mylił, słychać było głosy tylko dwóch osób: Hazel i jeszcze jednego z muzyków. Pozostali trzej oraz kierowca byli albo nieprzytomni, albo martwi. Francey nie chciał teraz myśleć o tej drugiej ewentualności i wdrapał się z powrotem do przewróconego pojazdu.

Kiedy dotarł do Hazel, zobaczył, że leżała w zbitym szerokim oknie, tak że cały jej korpus z wyjątkiem nóg spoczywał na drodze. Ramiona miała uniesione nad głową pod przedziwnym kątem i przyciśnięte do ziemi listwami okiennymi pojazdu. Pod framugą znalazła się także wymyślna fryzura dziewczyny. Z długiej rany biegnącej wzdłuż linii włosów spływała jej po twarzy krew.

Krew wypływała także z ust Hazel, a jej nos prawdopodobnie był złamany; Francey pomyślał, że gdyby miała mniej szczęścia i upadła troszeczkę dalej, karoseria zmiażdżyłaby jej czaszkę. Zmartwiła go szybko rozprzestrzeniająca się ciemna plama na nogawce spodni, która pokrywała już całe udo. Przestraszył się, że dziewczyna mogła mieć rozciętą którąś z arterii i w

popłochu zaczął rozglądać się za czymś, co mogłoby mu posłużyć jako opatrunek uciskowy. Spróbował sięgnąć do sznurowadeł i w tej samej chwili zauważył leżącą nieopodal kolorową chustkę piosenkarki.

Rozwinął ją i zawiązał wokół uda rannej, lecz wtedy dziewczyna przestała jęczeć.

- Hazel! - powiedział. - Hazel, słyszysz mnie?! Była nieprzytomna.

Trzeba ją wynieść z mikrobusu... i to jak najszybciej.

- Tu jest ranna kobieta, musimy ją wydostać! - zawołał w stronę nieznanego kierowcy, który starał się sprawdzić, czy jeden z muzyków, leżący nieruchomo z głową bezwładnie odrzuconą na siedzenie fotela, jeszcze żyje. Mężczyzna śpiesznie podczołgał się w jego stronę i Francey wskazał chustkę. - Trzymaj to i zaciskaj tak mocno, jak tylko się da. Spróbuję unieść samochód i jakoś ją uwolnić.

- Dobra. - Tamten posłusznie ujął końce sztyfu.

Do czasu aż wyszli z powrotem na drogę, wrócił muzyk, który miał zatelefonować po karetkę.

- Dzwonią - wykrztusił - ale nie mają traktora. Zatelefonują do sąsiadów mieszkających dalej...

- Pomóżcie nam, wszyscy - przerwał mu Francey. - Hazel znalazła się w pułapce. Musimy wyrzucić z samochodu wszystko, co tylko się da.

Zaczęli zrzucać na drogę torby, walizki i instrumenty, Francey zaś obiegł mikrobus i próbował rozwiązać linki przy bagażniku, podtrzymujące resztę instrumentów oraz sprzęt techniczny.

- Co tu robicie?

Podeszła do nich para podróżnych z następnego samochodu, który zatrzymał się nieopodal. Mężczyzna i kobieta patrzyli na wszystko wokół z niedowierzaniem.

- W środku jest nieprzytomna kobieta - wyjaśnił Francey, rozplątując ostatni sznurek. - Musimy ją wyciągnąć spod samochodu. - Kiedy tylko skończył mówić, zestaw bębnow spadł z hukiem na asfalt.

- To niemożliwe! - zawołał mężczyzna. - Ktoś już tu jedzie traktorem... a zresztą w ogóle nie powinno się jej ruszać. Może mieć złapany kręgosłup...

- Nie wolno czekać. Bardzo krwawi... może stracić zbyt wiele krwi. Poza tym ręce i nogi ma w porządku, więc nie złamała kręgosłupa. - Francey zerknął do mikrobusu. - Trzymaj! - zawołał do nieznanego kierowcy, którego ledwie widział w ciemnościach. - Jeśli nam się

uda, możesz nieco stracić równowagę. Przyciśnij chustkę ze wszystkich sił. Czy można prosić o pomoc? - warknął w kierunku grupki kręcących się na poboczu gapiów, do których dołączali coraz to nowi przyjeżdżający drogą ludzie. Bez wahania wszyscy pośpieszyli do mikrobusu.

Ustawili się w jeden rząd z Franceyem stojącym pośrodku i włącznie z kobietą z samochodu, który przystanął ostatni, usiłowali podeprzeć pojazd.

- Zaczekajcie - polecił Francey. - Wszyscy razem, bardzo proszę... Kiedy policzę do trzech... Uważaj! - zawołał do mężczyzny pochylonego nad Hazel. - Teraz... - Odetchnął głęboko i zaczął odliczać. - Raz, dwa, trzy!

Wspólnie wyteżyli siły, lecz choć przez dobre dziesięć sekund pchali z całej siły, mikrobus, który nawet rozładowany musiał ważyć ponad tonę, ani drgnął.

- Zaczekajcie chwilę. - Francey wyprostował się i rozluźnił dłonie zaciśnięte na poręczy bagażnika. Cofnął się o krok i skoncentrował całą uwagę na zadaniu, które miał wykonać, dopóki nie widział nic, oprócz celu przed sobą. Później ponownie podszedł do samochodu i odetchnął głęboko.

- Spróbujmy jeszcze raz - zarządził. - Teraz! Jeden, dwa, trzy!

Ugiął kolana, by mięśnie ud przejęły największe obciążenie, pochylił głowę, tak że praktycznie podbródkiem dotykał piersi i wyobraził sobie siłę przepływającą przez całe ciało. Słyszał też pełne wysiłku stęknienia stojących obok pomocników.

I wtedy właśnie wyczuł niewielkie drgnięcie.

Zmusił się do jeszcze jednego, niewiarygodnego wysiłku. Uda mu drżały, mięśnie ramion, szyi i pleców bolały nieznośnie od straszliwego ciężaru; płuca go paliły, w zamkniętych oczach czuł pulsujący ból. Później ryknął nieludzkim, zwierzęcym głosem, który zdawał się wydobywać z głębi jego umęczonego ciała. Dźwięk ten trwał i trwał, a Franceyowi wydawało się, że zaraz pękną mu płuca.

Wszystko zapadło się w mrok.

Kiedy odzyskał przytomność, klęczał na poboczu z policzkiem przyciśniętym do wilgotnej trawy, a w mięśniach nóg, rąk i pleców czuł kłujące igielki bólu. Bagażnik był pogięty i na wpół oddarty od dachu.

Lecz mikrobus stał prosto na czterech kołach.

Rozdział drugi

Przez resztę nocy i połowę następnego dnia każda godzina zlewała się z następną. Francey został zatrzymany na noc w szpitalu na obserwacji, po południu zaś pozwolono mu wreszcie wrócić do pensjonatu, gdzie ku swemu ogromnemu zdumieniu został powitany jak bohater. Dopiero wtedy zaczęła doń docierać groza ostatnich wydarzeń.

Pod wieloma aspektami spełniły się jego marzenia o sławie, lecz w najmniej oczekiwany sposób.

Wchodząc frontowymi drzwiami do domu, natknął się na szeroko uśmiechniętą gospodynię, która pogratulowała mu serdecznie i przekazała wyrazy uznania, a także wiadomości od rodziny oraz przyjaciół z Lahersheen... i od kolegów ze sklepu Ledbettera. Wypadek został zrelacjonowany przez radio, a w gazetach poświęcono mu artykuły na pierwszych stronach. Ponieważ zaś Francey był mieszkańcem tego okręgu, „Cork Examiner” wydrukował historię na cztery kolumny opisującą górnolotnie jego rolę w ocaleniu Hazel i pozostałych członków zespołu.

Następnego dnia, w niedzielę, obudził się za późno, by zdążyć choćby na mszę o pierwszej po południu do kościoła przy High Street, z ostatnim rzutem spóźnialskich i robotników pracujących na nocną zmianę. Rozciągając obolałe mięśnie i ścięgna, pomyślał, że Bóg mu wybaczy tym razem. Wyciągnął się na łóżku, tak że stopy zwisały mu daleko poza krawędź i odtworzył w pamięci cały wypadek oraz wszystkie poprzedzające go wydarzenia, włącznie z dniem, w którym po raz pierwszy spotkał Hazel Slye. Było to wtedy, kiedy pierwszy i jedyny raz widział swego ojca; właśnie dlatego podszedł do niej na potańcówce.

Wedle słów matki Franceya, George Gallaher był aktorem z objazdowego szkockiego teatru. Wraz z Hazel odwiedził Lahersheen w jeden z upalnych dni latem 1944 roku, więcej niż dziewiętnaście lat temu. Francey, który miał wtedy około sześciu lat, zaakceptował wyjaśnienia matki, która przedstawiła mu George'a jako swego kuzyna. Ponieważ w tych czasach wojennej zawieruchy, gdy w ich zamkniętej społeczności rzadko kiedy pojawiali się goście z zewnątrz, Francey nigdy jeszcze nie widział tak oryginalnej pary jak tych dwoje, przyglądał im się z wielką uwagą przez cały czas. Miał dar nieomal dosłownego zapamiętywania nie tylko rozmów, ale i wszelkich szczegółów, więc nawet teraz, prawie dwadzieścia lat później, potrafił bezbłędnie powiedzieć, w co była ubrana Hazel tamtego dnia. Pamiętał każdy rys twarzy „kuzyna” i jego masywne ciało: to, jak słońce odbijało się od jasnych, ufarbowanych na rudo wło-

sów przybyłego, a także poziome zagniecenia zielonej marynarki napiętej na jego szerokich barkach.

Tęsknota Franceya za prawdziwym ojcem zaczęła się jako słabe, właściwie niezdefiniowane uczucie, które powstało gdzieś w okolicy serca. Nie chodziło nawet o to, że pod opieką ojczyma czuł się nieszczęśliwy - Mossie Sheehan był dlań podporą i dobrym ojcem przez większość życia - lecz chłopak nigdy nie mógł pozbyć się wrażenia, że jest on tylko substytutem. Wraz z upływem lat tęsknota za biologicznym ojcem rosła, aż wreszcie zdawała się wypełniać każdą komórkę jego ciała; nie była nawet bolesna, lecz towarzyszyła mu zawsze i wszędzie niczym bicie serca.

Teraz miał nadzieję, że za pośrednictwem Hazel uda mu się go wreszcie odszukać.

Po zabawie piosenkarka zaprowadziła Franceya do niewielkiego hoteliku w bocznej uliczce na obrzeżach miasta.

- Czego się napijesz? - Hazel, nie przejmując się, machnęła ręką na powitanie kilku grupkom zaprzyjaźnionych osób, zgromadzonych w małym saloniku obok głównego holu, po czym podeszła do długiego baru, za którym młody człowiek nalewał drinki.

- Poproszę butelkę phoenixa.

Okazało się, że klub Collinsa jest raczej pełnym gości prywatnym hotelem, odwiedzanym przez mężczyzn w średnim wieku ubranych w eleganckie garnitury. Młodzieniec nie zauważył nigdzie wolnych miejsc i jak zwykle czuł, że kilka par oczu bacznie mu się przygląda, zwrócił więc wzrok na wydeptany kawałek dywanu i usiłował wcisnąć głowę w ramiona. Ponieważ miał za sobą długą praktykę, jak rozmawiać z ludźmi znacznie od siebie niższymi, gdy Hazel wróciła z piwem dla niego oraz wódką z tonikiem dla siebie, oparł się o ścianę i pochylił głowę w stronę swej towarzyszki niczym spowiednik i cierpliwie wysłuchiwał jej paplaniny o tym, jak ciężkie jest życie wiecznie w drodze i że nigdy jej nie stać na prawdziwe wakacje. Owa jednostronna pogawędka wymagała od niego jedynie od czasu do czasu potakującego skinienia głową lub aprobującego chrząknięcia, tak więc odpłynął myślami znacznie dalej przy akompaniamencie monologu dziewczyny i cichego szmeru rozmów innych gości. No i co z tego, że nie potrafił ani śpiewać, ani grać na żadnym instrumencie? Zawsze mógł się tego nauczyć...

Hazel - zupełnie jakby czytała mu w myślach - właśnie zaczęła narzekać, że beznadziejne, nieznaną się na granicy, lecz pełne samozachwyty zespoły wyrastają niczym „cholerne grzyby po deszczu” w całym kraju i jest ich już około siedmiuset.

- Tylko pomyśl, Francey! - zawołała. - Siedemset cholernych zespołów! W tak małym kraju...

Gadała tak dalej w ekspresowym tempie, a młodzieniec znowu pozwolił sobie przenieść uwagę ze słów na żywą mimikę oryginalnej twarzy piosenkarki. Oczy Hazel były godne zapamiętania i wryły się w pamięci Franceya równie mocno jak oczy George'a Gallahera - tak niebieskie, że niemal fioletowe. Kiedy mając jakieś jedenaście lat, popatrzył w lustro i zobaczył te same prawie fioletowe tęczęwki wpatrujące się weń z odbicia, zrozumiał wreszcie, że ów szkocki aktor wcale nie był kuzynem matki. Zachował to odkrycie dla siebie, gdyż nawet jako młody chłopak nie chciał przysparzać jej kłopotów. Zamiast tego - bez większego sukcesu - przekopał się po kryjomu przez stertę jej osobistych papierów i korespondencji, mając nadzieję, że dowie się czegoś więcej o swym prawdziwym pochodzeniu. Dopiero jednak w dniu dwudziestych pierwszych urodzin odważył się głośno podnieść ten temat i właśnie wtedy dowiedział się całej prawdy: jego matka zakochała się po uszy, została uwiedziona, a wkrótce potem porzucona. Lecz choć Francey usiłował wzbudzić w sobie nienawiść do George'a Gallahera, nie udało mu się to. Matka miała tak silną osobowość, że wątpił, by dała się oczarować pierwszemu lepszemu - w związku z tym George Gallaher musiał mieć wprost niezwykłą siłę oddziaływania. Francey uwierzył, kiedy powiedziała, że nie wie, gdzie znajduje się w tej chwili jego ojciec, a w ogóle to nie ma ochoty go widzieć do końca swoich dni.

Obserwując Hazel tamtego wieczora w hotelu Collinsa, Francey ogromnie chciał porozmawiać o George'u Gallaherze; oprócz matki, ta kobieta była jego jedynym rzeczywistym łącznikiem z biologicznym ojcem. Jednak owa sprawa wywołałaby bez wątpienia znacznie bardziej niedelikatne pytania o jej własne stosunki z aktorem, Francey postanowił więc odłożyć zwierzenia na później. Zamiast tego, kiedy wreszcie miał okazję otworzyć usta, pochwalił jej śpiew i - bardziej z uprzejmości niż z prawdziwego zaciekawienia - zapytał, dlaczego porzuciła aktorstwo dla kariery piosenkarki.

- Tylko spójrz na mnie. - Hazel zrozumiała aluzję i spokojnie zgodziła się na zmianę tematu. - Przecież nikt nie obsadzi mnie w roli Joanny d'Arc, prawda? Dzięki Bogu za wysokie fryzury i jeszcze wyższe szpilki. - Umoczyła długi, czerwony paznokieć w alkoholu. - Gdyby nie fryzura, nikt by mnie nie zauważył. Nie ma zbyt wielu ról dla karliczek...

Francey spojrzał na nią z góry.

- Daj spokój, wiem, że jesteś niewysoka, ale bez przesady...

- Czyżby? - odrzekła. - Mam troszkę ponad sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Poza

tym, miałam już dość aktorstwa. Śpiewanie jest znacznie pewniejsze... a doświadczenie aktorskie wcale się nie marnuje. Przydaje się, gdy trzeba włożyć nieco serca w piosenkę.

I zaczęła mu opowiadać historię swojej przygody z show-biznesem. Zaczynała jako aktorka i tancerka w starych objazdowych przedstawieniach - i wtedy po raz pierwszy spotkała George'a Gallahera. Lecz gdy większość wędrownych teatrów padła w konkurencji z kinematografią, Hazel coraz trudniej i trudniej było znaleźć pracę i związać koniec z końcem, widząc zaś rosnące sukcesy zespołów muzycznych, zaczęła brać lekcje śpiewu.

- To fantastyczne - wykrztusił Francey, pełen podziwu dla jej odwagi.

- Pewnie, że jestem genialna. - Wygładziła fałdki spódnicy. - Mam tylko nadzieję, że ta dobra passa się utrzyma.

- Oczywiście, że tak... wszystkie sale taneczne są zapchane po brzegi.

- W tej chwili, owszem - odrzekła. - Ale stary ze mnie wróbel i nic już nie biorę za pewnik.

- Ile masz lat? - wypalił Francey, zanim zdołał się zastanowić.

- Jezu... ty to jesteś! - A jednak nie wydawała się obrażona. - Nawet żeś się nie zająknął, co? - Odsłoniła zęby w szerokim uśmiechu. - Trzydzieści sześć. Wystarczająco dużo, bym mogła być twoją mamusią. Co wcale nie znaczy, że czuję się jak twoja matka - dodała bez cienia kokieterii.

Ledwie wierząc swemu szczęściu, Francey wyjaśnił jej pośpiesznie, że ma już dwadzieścia pięć lat. Później, dopiwszy resztę piwa, postanowił kuć żelazo, póki gorące.

- Mogę spytać, czy jesteś mężatką?

Hazel zastanawiała się nad tym przez kilka chwil, po czym odrzekła, że jest w separacji.

- Był urzędnikiem państwowym. - Na chwilę przestała się uśmiechać. - Wydawało mi się, że mam już dość show-biznesu, ale się myliłam. Spokojne życie strasznie mnie znudziło. Nie widziałam się z nim już od wielu lat. - Najwyraźniej znudzona tematem, wysączyła resztę alkoholu. - Chcesz następnego phoenixa, czy tym razem napijesz się prawdziwego drinka?

Francey był lekko zszokowany bezpośredniością piosenkarki, gdy mówiła o swym statusie matrymonialnym. W środowisku, z którego pochodził, o separacji mówiono ukradkiem, w największej tajemnicy i najczęściej szeptem.

- Gdzie on się teraz podziewa? - spytał, starając się nie dać po sobie poznać zaskoczenia.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyła ramionami. - Prawdopodobnie zdziera sobie kolana w jakimś wiejskim kościółku. Kiedy ostatni raz miałam od niego wiadomości, mieszkał w Lon-

dynie. Ale jest Irlandczykiem - mówiła. - Poznaliśmy się, gdy byłam jeszcze aktorką. Mam nadzieję, że już niedługo dojrzeje do decyzji, by się ze mną rozwieść. Prosiłam go o to, lecz rozwód jest sprzeczny z jego cholerną religią. A ty? - Pytając uniosła umalowane brwi. - Masz dziewczynę?

- Nie. - Francey uznał, że może być z nią szczerzy. - Wystarczy, że kobieta spojrzy na mnie i jest już przekonana, że zrobię jej krzywdę. Poza tym nie umiem tańczyć, więc żaden ze mnie pożytek.

- Dziewczyny nie wiedzą nawet, co tracą! - Hazel poklepała go po ramieniu. - Wielkość wcale nie jest taka ważna, wiesz? - Zatrzepotała sztucznymi rzęsami, gęstymi niczym szczotki, lecz gdy najwyraźniej nie pojął dwuznaczności jej słów, szturchnęła go w bok. - Jezu, ty naprawdę jesteś jeszcze zielony, co?

Francey zbyt późno zrozumiał żart i usiłował naprawić sytuację, lecz Hazel przerwała jego wysiłki.

- Nie przejmuj się, kochanie, jesteś cudowny. Kobiety przepadają za blondynami; poczekaj, a sam się przekonasz! Gdybym była kilka lat młodsza... - Przekrzywiła głowę na bok niczym mały zuchwały ptaszek. - Ale kiedy się tak nad tym zastanowić... - dodała, jakby podejmując decyzję.

Właśnie wtedy zaprosiła go na wspólną wyprawę z zespołem do Limerick.

Uśmiechając się na to wspomnienie, Francey wyciągnął się na łóżku, lecz wtedy, niczym nagle uderzenie w twarz, wrócił do niego moment wypadku, pisk opon, szarpanie pojazdu i tamten okropny strach... i zaczął się pocić. Jednak zamiast pozwolić, by owa potworność raz jeszcze rozegrała się w jego umyśle, z wielkim wysiłkiem wstał z łóżka.

Na dole przekonał się, że gospodyni nadal traktuje go tak, jakby w pojedynkę ocalił całe miasto przed najazdem wikingów. Miała też dla niego dobre wiadomości, usłyszane przez radio: wszyscy, którzy zostali ranni podczas wypadku - mimo obaw Franceya nikt nie zginął - czuli się już lepiej, choć nadal przebywali w szpitalu.

Zastanawiał się, czy powinien iść z wizytą do Hazel, lecz w końcu postanowił tego nie robić: jak na razie biedaczka pewnie nie ma siły z nikim się spotykać, a gdy tylko wydobrzeje, i tak odwiedzi ją tłum gości. Zamiast tego, ponieważ dzień był ładny, złapał autobus do parku Phoenix i następne dwie godziny przechadzał się między wspaniałymi drzewami pokrytymi wszystkimi kolorami jesieni, usiłując pozbyć się bólu mięśni.

Gdy wrócił do domu, czekały na niego kolejne wiadomości, w tym jedna od Hazel. Te-

lefonowano na jej polecenie ze szpitala: bardzo by chciała, żeby Francey do niej przyszedł. Jednak gdy następnego dnia zadzwonił, by dowiedzieć się o godziny odwiedzin, okazało się, że nie pasują do jego czasu pracy i dopiero w następną niedzielę zapukał do drzwi jej szpitalnego pokoiku. Była sama i spała.

Usiadłszy na krześle obok łóżka, młodzieniec bez skrępowania przyglądał się Hazel. Każdy widoczny fragment jej ciała był fioletowy bądź siny, pokryte gipsem ramiona podwieszono wysoko na linkach, a bandaże pokrywały jej tors z wyjątkiem górnej części klatki piersiowej; białe opatrunki przykrywały szwy wzdłuż linii włosów, na wardze i nosie. Ponad bandażami widział jasne włosy Hazel; przypominały fryzurę, jaką nosiła latem 1944 roku: krótką, potarganą, podobną do włochatego hełmu. Leżąc teraz w szpitalnym łóżku, dziewczyna przywodziła na myśl maleńką ukrzyżowaną mumię.

Ponieważ okna szpitala wychodziły na południe, a dzień był pogodny, słońce wpadało do pokoju przez szerokie okna, jak gdyby trwało jeszcze lato. Francey zaczął się pocić. Upewniwszy się, że Hazel nie daje żadnych oznak powrotu do świadomości, wstał z krzesła i podszedł do okna, by zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Szpital Bons Secours stał na wysokim wzgórzu i pogrążone w leniwym niedzielnym popołudniu szare miasto z kominami fabrycznymi, które wreszcie nie dymiły, rozciągało się przed nim aż do zaokrąglonych, purpurowych grzbietów gór. Wyglądały na znacznie odleglejsze niż w rzeczywistości; Francey, jako mieszkaniec Dublina, wiedział, że ową iluzję wywołało niezwykle przejrzyste powietrze.

Nagle usłyszał za sobą jęk i odwróciwszy się zobaczył, że Hazel wpatruje się w niego przekrwionymi oczyma. Co gorsza, wydawało się, że jest na niego wściekła.

- Jak cię czujesz... - zaczął, lecz przerwała mu.

- Upadłeś na mnie, ty wielki ośle!

- Przepraszam, nic nie mogłem na to poradzić! Robiłem, co w mojej mocy...

- To żart... tylko żart!

Spróbowała się uśmiechnąć, lecz wśród innych obrażeń brakowało jej także jednego z przednich górnych zębów. Efekt był makabryczny i wiedziała o tym: ku przerażeniu Franceya wybuchnęła płaczem.

- Nie płacz! - Zerknął w stronę drzwi, mając nadzieję, że ukaże się w nich pielęgniarka lub jakiś inny gość i pomoże mu opanować sytuację. Nie znał tej kobiety wystarczająco dobrze, by sobie dać radę z takim problemem. - Proszę, Hazel - błagał - nie płacz.

- Nic na to nie poradzę. Wiem doskonale, że wyglądam jak potwór z grobowca fara-

onów... Ojej! - zawodziła. - Moja głowa, moja głowa! - Podwieszono wysoko gipsowe ramiona drgały, jakby ich właścicielka zapomniała, że nie może nimi poruszać.

- Czy mam zawołać pielęgniarkę?

- Wszystko w porządku - burknęła Hazel. - Mną się nie przejmuj. Wszyscy mi powtarzają, że mam ogromne szczęście... że w ogóle przeżyłam. Pewnie mają rację. - Przełknęła ślinę. - Wytrzymaj mi twarz, proszę. Na szafce obok łóżka są chusteczki.

Zrobił, o co go prosiła, osuszając wilgoć spomiędzy bandaży. Kiedy skończył, dziewczyna odezwała się znacznie spokojniej:

- Posłuchaj, Francey. Bardzo ci dziękuję za to, co dla mnie zrobiłeś. Tylko o tobie się tu mówi, wiesz? Wiesz, że jestem ci wdzięczna... dostałeś może wiadomość ode mnie?

- Dostałem, ale nie masz za co dziękować. Każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo.

- Jestem ateistką, ale dzięki Bogu, że byłeś wtedy z nami.

- Czujesz się już trochę lepiej? Jesteś pewna, że nie trzeba nikogo zawołać? - Francey bał się, że Hazel zaraz znowu się rozplacze.

- Czuję się tak, jakbym już nigdy nie miała być normalną...

- Jasne, że będziesz... i włosy ci odrosną - dodał, wiedząc, jak marnie brzmi to pocieszenie. - Masz, przyniosłem je dla ciebie. - Pokazał jej wiązaną białych chryzantem, które w porównaniu z bukietami róż, lilii i orchidei nagle wydały mu się tanie i blade.

- Dziękuję. - Głos uwiązł jej w gardle, lecz pamiętała, by przy uśmiechu trzymać wargi zaciśnięte.

- Musisz być bardzo zmęczona. - Teraz marzył już tylko o tym, by jak najszybciej wyjść.

- Położę je tutaj. - Podeszedł do parapetu i jego podarunek, nadal zawinięty w folię, spoczął obok wspaniałych storczyków.

- Uwielbiam chryzantemy. - Hazel obserwowała go przez chwilę, po czym przymknęła oczy i powiedziała: - Przykro mi, że nie jestem w lepszej formie. - Ku ogromnej konsternacji Franceya po jej policzku spłynęła pojedyncza łza. Piosenkarka znowu otworzyła oczy. - Czy mógłbyś jeszcze przyjść tu do mnie? Bardzo proszę. Wiem, że zachowałam się niegrzecznie, i naprawdę jestem ci wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłeś, i strasznie bym chciała znowu cię zobaczyć... Tarzanie! - Owo żartobliwe przezwisko zabrzmiało wyjątkowo żałośnie, wymówione jej spuchniętymi ustami.

- No, cóż... oczywiście, jeśli tego właśnie chcesz...

- Tak. I nie ma znaczenia, o której godzinie przyjdiesz. Pielęgniarki są kochane. Dużo

śpię, ale jeśli nie będę na chodzie, po prostu mnie szturchnij.

Obiecawszy, że wróci następnego dnia wieczorem, Francey wyszedł.

Kiedy szedł w stronę przystanku autobusowego, jego uwagę przyciągnęła grupka dzieci bawiących się w samolociki na szerokim trawniku przed szpitalem. Z szeroko rozpostartymi ramionami i powiewającymi połami płaszczyków chłopcy biegali w kółko; młodzieniec słyszał ich głosy z oddali - brzmiały jak dźwięk dzwonek na wietrze. Zwłaszcza jedno dziecko wpadło mu w oko: ciemnowłosy malec, pozostający na obrzeżach grupy, biegał samotnie, wyrzucając złote liście nad głowę, a potem uśmiechał się, gdy opadały mu na twarz.

Przypominał Franceyowi Dessiego.

Wizyta George'a Gallahera w Lahersheen w lecie 1944 roku była brzemienna w skutki nie tylko dla jego syna, ale i dla jednej z przyszywanych sióstr Franceya, którą aktor tak zauroczył, że wraz z nim i Hazel Slye dołączyła do zespołu. Kathleen wróciła do domu w ciąży; rodzina zaakceptowała dziecko, a Francey wprost je uwielbiał. Jednak gdy Dessie miał sześć lat, Kitty, która nawet w najlepszych czasach była nieodpowiedzialna, wyjechała z Lahersheen i zabrała synka ze sobą. O żadnym z nich od tej pory nie słyszano, mimo wysiłków całej rodziny, aby ich odnaleźć przez policję, Armię Zbawienia oraz największe zbiorowiska irlandzkich kleryków, a nawet emigrantów w Anglii, Ameryce i Australii.

Francey był niepokieszony. Nawet kiedy się dowiedział, że to George Gallaher jest ojcem chłopca, nie potrafił wzbudzić w sobie nienawiści do niego; cały czas czcił aktora niczym greckiego lub celtyckiego boga, gardzącego monogamią, wspaniałego i wolnego. W samej rzeczy, odkrycie prawdy wzmogło w nim tylko fascynację dalekim - lub może zmarłym - George'em.

Idąc teraz w stronę przystanku autobusowego, utwierdził się w przekonaniu, że to nie złudzenie i że jego los faktycznie się odmieni - a może już odmienił; to dało mu poczucie spokoju.

Aż do tej pory uporządkowane życie młodzieńca w Dublinie rzadko kiedy podlegało jakimś zmianom: wydeptał koleiny w drodze między pracą a pensjonatem, pracą a pokojem, pracą a kościołem w niedzielne przedpołudnia - oraz parkiem Corke w niedzielne popołudnia, jeśli właśnie odbywał się tam mecz. Do tego należałoby dodać kilka drinków w pobliskim pubie w dniu wypłaty i bardzo nieliczne wypadki na potańcówki.

Spotkanie z Hazel zmusiło młodego człowieka do spojrzenia prawdzie w oczy, a mianowicie do stwierdzenia, że samotność Franceya Sullivana była dziełem jego samego. W wieku dwudziestu pięciu lat, z własnego wyboru stał się odludkiem i niechętnym ludziom ponura-

kiem.

Nadszedł czas, by skorzystać z możliwości oferowanych mu przez los. I to nie tylko w kwestii odnalezienia ojca.

- Co słyhać?! - Prawie cztery tygodnie po odwiedzinach Franceya u Hazel w szpitalu Bons Secours - pięć po wypadku - jej radosne powitanie nosiło już ślady dawnej, charakterystycznej pewności siebie.

Jak zwykle o tej porze dnia, w czasie popołudniowej herbatki, była w pokoju sama. Nigdy nie odwiedzali jej członkowie rodziny, gdyż, jak wyjaśniła młodzieńcowi, po prostu nie miała bliskich krewnych.

- Jestem sierotą. Może mógłbyś mi pożyczyć kilku swoich wujków? O ile zdążyłam się zorientować, masz wystarczająco dużą rodzinę, by zaludnić pół tego kraju.

Mimo że błękitne oko nadal miała mocno przekrwione, sińce na twarzy zbladły i teraz już tylko trochę żółtego koloru pozostało przy kościach policzkowych Hazel, ręce zaś w gipsowych opatrunkach spoczywały w prawie normalnej pozycji po obu stronach jej ciała. Zdjęte niedawno z głowy bandaże odsłoniły pięcioletniocienne ciemne odrosty na jej farbowanych włosach i wyglądała teraz niczym wystrzyżony, wielokolorowy kundelek. Gdy Francey przysunął sobie krzesło do łóżka i usiadł, powiedziała mu, że jutro zdejmą jej szwy i resztę bandaży, a potem pozwolą wrócić do domu.

- A ten cholerny gips zdejmą mi na początku przyszłego tygodnia. Już nie mogę się doczekać!

- To wspaniale. Najwyraźniej czujesz się znacznie lepiej. - Francey położył małą torebkę karmelków na stoliku przy łóżku.

- Jasne! - Odpychając się nogami od materaca, Hazel poprawiła się na wysoko ułożonych poduszkach. - Siostrzyczki nie mogą się nadziwić, że wszystko na mnie tak szybko się goi. Podejrzewam, że to dzięki ćwiczeniom z czasów, kiedy występowałam jako tancerka, żeby już nie wspominać o całej reszcie mojego życia w dobrobycie.

Francey uśmiechnął się szeroko. W ciągu kilku tygodni wizyt, jakie składał piosenkarce w szpitalu, usłyszał wystarczająco dużo komentarzy Hazel odnoszących się do jej życia, by wiedzieć, że księża w jego szkole z pewnością nie nazwaliby go cnotliwym.

- Powinam chodzić na spacer po tym cholernym, głupim korytarzu, ale mam już tego dość - stwierdziła, wpatrując się w drzwi. - Wydeptałam już tam chyba głębokie koleiny. Mam dla ciebie prezent. - Skinieniem głowy wskazała stertę albumów leżących na podłodze obok

łóżka.

- Czy to to, o czym myślę? - Oczy mu rozbłysły.

- No, cóż, w każdym razie to nie blaszany bębenek, głuptasie! - odparła. - Ale sam będziesz musiał je przejrzeć. Powiedziałam Vinniemu, żeby przyniósł wszystkie, jakie znajdzie.

Związek z saksofonistą nigdy nie został wyjaśniony Franceyowi do końca, lecz najwyraźniej muzyk miał wolny wstęp do mieszkania Hazel i wiedział, gdzie co trzyma. Wyjaśniła chłopakowi, że na wszelki wypadek zachowuje wszystkie wycinki z gazet dotyczące występów: gdyby kiedyś chciała spisać historię swego życia, będzie miała pod ręką wszelkie potrzebne materiały.

- Jesteś pewien, że chcesz odnaleźć tego starego drania? - spytała teraz, patrząc, jak Francey zabiera stertę albumów. - Na pewno nie lepiej ci bez niego? Przecież to zwyczajny... - Zabrakło jej słów, co było zaskakujące.

- Nie potrafię tego wyjaśnić. To po prostu siedzi we mnie i już. Odchylił się na krześle.

Dopiero po czwartych odwiedzinach u Hazel zdobył się na odwagę, by zapytać, czy wie coś o jego ojcu i o tym, gdzie George obecnie przebywa; nadal jednak nie pytał o jej własny związek z Gallaherem. Może była to tylko naiwność sześciolatka, lecz gdy w czterdziestym czwartym przyjechali razem do Lahersheen, Francey miał wrażenie, że tworzą parę, co Hazel później potwierdziła: „temu skubańcowi poświęcę jeden z gorętszych rozdziałów w mojej książce”. Wspomniała też, że między wycinkami prasowymi, jakie zgromadziła, są i artykuły o ślubie George'a. Francey poczuł, że teraz może już poruszyć tę sprawę.

- Nigdy nie pytałem cię o...

- O niego i o mnie? - Hazel miała niezwykle dar odgadywania jego wątpliwości. - W czasie wojny kochała się w nim połowa kobiet w Irlandii - mruknęła. - Musisz wziąć pod uwagę fakt, że w tamtych czasach niewiele było rozrywek, a objazdowe teatry dawały przedstawienia w całym kraju, sale zaś pękały w szwach.

Francey odetchnął głęboko.

- A Kathleen?

- Zwłaszcza Kathleen - odrzekła Hazel. - I zanim zapytasz, obwiniam siebie o wiele rzeczy, które się wtedy wydarzyły. Jestem pewna, że twoja matka także ma do mnie o to pretensje - dodała. - Obiecałam, że będę uważać na Kathleen, jeśli puści ją z nami do Killarney.

- Och, na pewno za nic cię nie wini. - Francey nie miał pojęcia, jakimi uczuciami matka darzyła Hazel. - Kochała Dessiego - wyjaśnił ze smutkiem - jak my wszyscy...

- Więc urodziła chłopczyka, tak? - W oczach Hazel pojawiło się współczucie. - Nie wiedziałam.

Mimo że przez te wszystkie lata ból zelżał, żal po utracie młodszego przyrodniego brata od czasu do czasu dawał Franceyowi znać o sobie. Podobnie jak on, Dessie kochał zwierzęta i zdawał się porozumiewać z nimi w tajemniczy sposób, tak że odkąd nauczył się chodzić, zawsze widziano go, na podwórku, czy na polach, w towarzystwie co najmniej jednego psiaka. Najbardziej charakterystycznym wspomnieniem Franceya o młodszym braciszku było to, jak chłopczyk poszedł wysypać okruszki chleba dla dzikich ptaków na stary stół stojący w kącie podwórza; wiatr zwiewał okruszyny, lecz malec z uporem zbierał je z ziemi i kładł z powrotem na blacie. Przestał dopiero, gdy babcia kazała mu wrócić do domu. Jeden z żartów rodzinnych głosił, że imię na cześć świętego Franciszka z Asyżu otrzymał nie ten brat, który powinien je nosić.

- Po sprawie z Kathleen skończyłam z tym draniem - powiedziała teraz Hazel. - Ale przysięgam ci na Boga, nie miałam pojęcia, że zaszła w ciążę. Dowiedziałam się o tym znacznie później. Przysięgam ci, Francey! Gdybym wiedziała, Chybabym go zabiła. Usłyszałam o tym dopiero w Londynie. Wiesz, że twoja matka wysyłała przez prawników listy do Stowarzyszenia Zawodowych Aktorów, by go odnaleźć?

- Nie miałem pojęcia. - Nadal nie znał szczegółów romansu między Kathleen a swoim ojcem ani dokładnych następstw owej historii. - I co? Znalazła go?

- Nie wiem - odrzekła Hazel. - W tamtych czasach już nie przyjaźniłam się z tym łotrem. Czy twoja matka wie, co zamierzasz zrobić?

Młodzieniec wiele godzin zastanawiał się nad odpowiedzią na to pytanie. Jednak potrzeba odnalezienia George'a Gallahera była znacznie silniejsza niż lojalność wobec matki. Przekroczy ową barierę emocjonalną, kiedy już odnajdzie ojca - jeśli tego dokona. Teraz odpowiedział na pytanie Hazel tak szczerze, jak tylko potrafił:

- Nie jestem pewien, czy to by się jej spodobało, lecz wiem, że by mnie zrozumiała.

Przyglądała mu się przez kilka chwil, po czym poprawiła się na poduszkach.

- To, czego szukasz, powinno być w albumie numer pięć albo sześć.

Francey zauważył, że są ponumerowane od jednego do dziesięciu. Odsunął wszystkie, oprócz dwóch, które wymieniła, i otworzył leżący na wierzchu. Od razu znalazł to, o co mu chodziło: dwie strony zdjęć, w większości czarno-białych. Ostatnie, kolorowe, zajmowało całą stronę. Ojciec wyglądał dokładnie tak, jak chłopak go pamiętał, z wyjątkiem włosów. Francey

miał jeszcze w oczach lwią grzywę lub może raczej rudobrazową sierść jednego z owczarków collie, które w Lahersheen pilnowały stad owiec - ale na tym zdjęciu włosy George'a były srebrnoszare niczym futro srebrnego lisa. Wspaniałe zielone ubranie z tamtego pamiętnego dnia zastąpił piękny ciemny garnitur, koszula w srebrzystoszarym odcieniu, pasującym do koloru włosów i czarne buty. Jednak uśmiech pozostał ten sam, podobnie jak wyprostowana figura oraz szeroka pierś i imponujące bary.

Stojąca obok niego kobieta miała na sobie elegancki popielaty kostium, buty na wysokim obcasie, na szyi nosiła sznur pereł, a w ręce trzymała maleńki bukietek białych różyczek. Wydawała się starsza od George'a i nawet w młodości pewnie nie uznano by jej za piękność w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa, lecz duży podbródek miała mocno zarysowany, jasne niebieskie oczy były szeroko rozstawione, a choć na jej twarzy brakowało uśmiechu, z całej postaci emanowała spokojna pewność siebie.

Kiedy Francey wpatrywał się w fotografię, nagle odniósł wrażenie, że ściany szpitalnego pokoiku odsuwają się od niego i zostaje sam na sam z ojcem. Spróbował sprecyzować własne emocje, lecz oprócz tego, że trochę kręciło mu się w głowie, było ich zadziwiająco mało. Spodziewał się, że gdy wreszcie znajdzie drogę prowadzącą do George'a Gallahera, poczuje podniecenie lub choćby obawę.

- No i co? - Głos Hazel zdawał się dobiegać z wielkiej odległości.

- To... on, nie ma wątpliwości.

- Wiem, że to on, głuptasie. Pytałam, o czym myślisz?

- Nie zmienił się... - Cały czas wpatrywał się w zdjęcie. Pod nim Hazel wpisała datę: „Maj, 1951”. - To było dwanaście lat temu. Pewnie teraz wygląda inaczej. Może już nawet nie żyje.

- Może - przytaknęła. - Ale nie dowiesz się na pewno, dopóki go nie odnajdziesz, prawda? A tak przy okazji, jak zamierzasz się do tego zabrać?

Francey nie zastanawiał się zbyt nad tą kwestią, zawsze wyobrażał sobie, że pojedzie do Londynu i w jednym z teatrów odnajdzie ojca. Jednak rozmawiając teraz z Hazel, zdał sobie sprawę, że jest mało prawdopodobne, by George jeszcze występował.

- Mimo że był pięknym mężczyzną, żaden z niego aktor, a skoro ożenił się z bogatą kobietą, wcale nie musi pracować, nieprawdaż?

- Posłuchaj mojej rady. - Hazel znowu uniosła się na poduszkach. - Idź do jednej z redakcji gazet na Fleet Street. Jego żona jest nie tylko bogata, ale to także słynna dama... Czy tu

gdzieś nie jest napisane, że przewodniczy kilku organizacjom dobroczynnym? Te brukowce często śledzą życie takich jak ona. Idź tam sam, przez telefon nic nie zwojujesz. - Wyszczrzyła do niego zęby w szczerbatym uśmiechu. - Spróbuj szczęścia z jakąś młodą dziewczyną w recepcji. Zdać się na nią... wystarczy, że się do niej uśmiechniesz!

Chociaż młodzieniec już się nieco przyzwyczaił do bezpośredniości Hazel, uwagi na temat jego atrakcyjności dla płci pięknej nadal go peszyły. Zaczerwienił się gwałtownie. Nie był do końca pewien, co ich łączy: mimo że zachwycało go znalezienie tak wesołej i życzliwej przyjaciółki, po pierwszej, płonnej nadziei, że zrodzi się między nimi coś wyjątkowego, doszedł do wniosku, iż za wiele sobie wyobrażał; łączy ich tylko przyjaźń i nie ma sensu spodziewać się czegoś więcej.

Jeśli zaś chodzi o stosunek Hazel do niego, nie był pewien, czy to ona uważa go za atrakcyjnego, czy też ogólnie rzecz biorąc, jest atrakcyjny i już. Przez większość czasu traktowała go z rubaszną zażyłością, dokładnie tak samo, jak kolegów z zespołu. Różnica wieku między nimi najwyraźniej jej nie przeszkadzała. I im lepiej poznawał Hazel, tym mniej sam się martwił tą kwestią.

- Czy mogę pożyczyć ten album? - zapytał teraz, spoglądając na twarz człowieka, którą przywoływał we wspomnieniach tak wiele razy.

- Jasne - odrzekła piosenkarka. - Ale uważaj na niego. Tam się kryje moja fortuna. Kiedy tylko rozejdzie się wieść, że piszę autobiografię, wszyscy ci panowie przybiegną do mnie jak po sznurku.

Ponieważ Franceyowi już od dawna należał się urlop, a zima nie była dobrą porą na zakupy u Ledbettera, młodzieniec nie miał najmniejszych trudności z otrzymaniem kilku wolnych dni na wyjazd do Londynu.

Odnalezienie adresu ojca nie nastęczyło mu większych trudności. Okazało się, że jedna z organizacji charytatywnych wspomniana w artykule pod zdjęciem zbierała fundusze dla pewnego szpitala dziecięcego; Hazel przepytowała dokładnie Franceya z roli dublińskiego dziennikarza, który przyjechał po raz pierwszy do Londynu, by napisać artykuł o tym szpitalu, jako że nie raz leczono tam bardzo chore irlandzkie dzieci. Młodzieniec z ochotą przyjął pomoc przyjaciółki, do tego stopnia, że dzięki jej instrukcjom opanował sztukę olśniewającego uśmiechu. W ciągu kilku godzin od chwili przybycia do Londynu zjawił się w jednej z redakcji na Fleet Street.

Uśmiech, wypracowany czy szczery, podzielał na dziewczynę w recepcji, która przekaza-

zała gościa z Irlandii w ręce doświadczonego kolegi dziennikarza, a ten z kolei zaopatrzył go w nazwiska i adresy dyrektorów wszystkich organizacji charytatywnych w Anglii. Na owej liście znajdował się także adres pani Julii Dill Smith Gallaher, a reporter potwierdził, że macocha Franceya jest mężatką, a nie wdową.

W takim razie George nadal żyje.

Zmęczony całonocną podróżą młodzieniec spędził resztę dnia jak we śnie; włóczył się po ulicach Londynu w chłodzie listopadowego popołudnia, zjadł obiad w jakimś barze, wszędzie świadom towarzyszących mu ciekawskich spojrzeń. Poszedł na stację kolejową i sprawdził, jak najlepiej dostać się do wioski Little Staunton - pociągiem do Leamington Spa, a później autobusem - po czym wynajął pokój w starym hoteliku przy jednym z otoczonych filarami i arkadami skwerów, które zdawały się ciągnąć przez całe miasto.

Jednak następnego ranka, po nieprzespanej nocy, podczas której nie mógł się zmusić nawet do czytania - obecną jego lekturą była „Wyspa skarbów” - zaczął odczuwać ogromny lęk. Bał się spotkania z ojcem. A co będzie, jeśli w konfrontacji z rzeczywistością obiekt jego dzieciennych fantazji okaże się jedynie - jak to mówiła Hazel - podłym draniem?

Obiecał przyjaciółce, która kochała Londyn, że po wypełnieniu swej misji obejrzy miasto. Zaczął sobie wmawiać, że równie dobrze może to zrobić teraz, by wykorzystać czas na zebranie myśli i zastanowienie się, co powie, gdy wreszcie stanie twarzą w twarz z George'em. Zarezerwował pokój w hotelu na następną noc.

Jednakże trzeciego dnia w Londynie Francey obudził się z mocnym postanowieniem, że dokona swego dzieła. Z walizką, w której miał cały dobytek - i album ze zdjęciami Hazel - w dłoni, pojechał rannym pociągiem do Leamington Spa, a stamtąd, dzięki pomocy panienki ze stacji, wsiadł do autobusu jadącego do Little Staunton.

Rozdział trzeci

Przez cały pogrzeb George Gallaher starał się zachować ponurą minę. Deszczowa pogoda sprawiła, że łatwiej było mu udawać smutek.

Teraz, gdy ksiądz ciągnął swą nadętą mowę, George zaryzykował i rozejrzał się po kręgu żałobników: pod ochroną czarnych ogromnych parasoli wszystkie głowy zwrócone były w kierunku trumny, a wszystkie ciała wyprostowane z należyтым respektem. George zauważył, że przedstawiciele ambasady, mimo że Amerykanie, okazali się profesjonalistami w swym zawodzie. Ich czarne płaszcze przeciwdeszczowe wyglądały najbardziej nieskazitelnie, a czarne krawaty mieli najlepiej zawiązane.

Jego własnej rodziny nie było. Wycieńczona matka umarła, gdy George ukończył zaledwie czternaście lat, a pół roku później, po wielkiej kłótni z ojcem, chłopak, najmłodszy z dziewięciorga rodzeństwa, opuścił rodzinny dom w Glasgow, nie oglądając się za siebie. Wysoki i niesłychanie przystojny, postanowił spróbować szczęścia w Londynie. Podróżował autostopem, a w trzecim samochodzie, jaki się zatrzymał, siedzieli aktorzy z wędrownego teatru; zanim ciężarówka dotarła do przedmieść stolicy, George miał już pierwszą pracę. Lub raczej prace, jak się okazało, gdyż asystent reżysera odszedł dzień wcześniej do konkurencji, w związku z czym chłopak został zatrudniony jako fachowiec od wszystkiego, a po trzech tygodniach grywał już małe rólki.

Nigdy nie skontaktował się z najbliższymi, a kiedy go pytano o rodzinę, mówił, że jest sierotą. Z biegiem czasu sam zaczął wierzyć we własną bajeczkę i nieraz opowiadał o spartańskich warunkach w szkockim sierocińcu, gdzie dorastał i w którym bardzo źle go traktowano. Ta historia szalenie podobała się kobietom, a nikt nigdy jej nie podważył; z wyjątkiem jednej krótkiej reklamy telewizyjnej, George nie zdobył popularności ani sławy. Kiedy ożenił się z Jool - wydarzenie to zelektryzowało cały świat - dziennikarze skoncentrowali się na jej pochodzeniu i bogactwie, o nim napisali zaś tylko, że jest aktorem, który miał szczęście znaleźć się w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie.

Ksiądz miłosiernie skończył przemowę i George wrócił myślami do śmierci żony. Rozchmurz się, stary, pomyślał. Po pierwszym szoku, że w wieku pięćdziesięciu trzech lat wstępuje w związek małżeński, naprawdę polubił Jool.

Przez kilka sekund jedynym słyszalnym dźwiękiem było bębnienie kropel deszczu w napięty materiał parasoli; wszyscy czekali, aż ktoś inny wykona pierwszy ruch. Rozejrzawszy się

dokoła, George zrozumiał, że ów obowiązek należy do niego; odkaszlnął, po czym cofnął się o krok, wskazując tym samym żałobnikom, że mogą już podzielić się na mniejsze grupki zaprzyjaźnionych ze sobą osób.

Teraz zachowywał się jak przystało pogrążonemu w żalu wdowcowi: stał z pochyloną głową i przyjmował wyrazy współczucia od księdza, przedstawicieli ambasady, a później od przyjaciół Jool i członków organizacji charytatywnych, którzy podchodzili pojedynczo i parami, dotykali jego ramienia i wygłaszali standardowe formułki. Większość grzecznie odmówiła, gdy zaprosił ich na stypę, ale kilku najbliższych przyjaciół Jool zgodziło się przyjść. Sam zbyt wiele podróżował, by zawrzeć naprawdę głębokie przyjaźnie, więc okazało się, że jego kumple są w rzeczywistości tylko dalekimi znajomymi i wszyscy podziękowali mu uprzejmie za zaproszenie, lecz powiedzieli, że muszą załatwić jeszcze inne sprawy.

Jako ostatni podszedł prawnik Jool.

- Skontaktuję się z panem za dzień lub dwa, panie Gallaher, kiedy wszystko już nieco się uspokoi - oznajmił adwokat, wygłosivszy kondolencje.

- Dziękuję panu - odrzekł George. - Będę czekał.

No jasne, że tak, pomyślał. Od samego początku zdawał sobie sprawę, że żeniąc się z Jool, zrobił wspaniały interes, lecz nigdy do końca nie wiedział, jak majątna jest jego żona. Wiedział tylko, że to jedna z najbogatszych kobiet w Nowej Anglii. Urodziła się w zamożnej rodzinie, lecz prawdziwą fortunę odziedziczyła po dwóch zmarłych mężach. Na długi czas przedtem, zanim poznała George'a, zdecydowała się zostawić firmę w Ameryce w rękach prawników i rady dyrektorów, a sama wyjechała do Anglii. Wkrótce potem zmarł drugi mąż Jool, kiedy wspólnie byli na premierze „Burzy” w Stratfordzie nad Avonem.

Trzeci jej mąż, wreszcie wolny, ruszył teraz w stronę zaparkowanego nieopodal rolls-royce'a; przy okazji zauważył, że nieliczni członkowie rodziny Jool zgromadzili się razem, jakby nie wiedząc, co dalej począć. Podszedł do nich po mokrej trawie.

- Musicie wrócić ze mną do dworu na posiłek - powiedział. - Bardzo proszę. Przejechaliście taki kawał drogi...

To, że George nazywał dom, który Jool wybudowała dla nich zaraz po ślubie, „dworem”, z początku było traktowane przez oboje jako żart, lecz później żona zamówiła mosiężną tablicę na jeden z filarów bramy z nazwą miejsca: „Dwór Inveraray” - by uczcić szkockie pochodzenie trzeciego męża.

- Jeśli jesteś pewien... - Twarz blisko siedemdziesięcioletniego owdowiałego szwagra Jo-

ol rozjaśniła się lekko.

- Nalegam - odrzekł George. - W samochodzie jest mnóstwo miejsca. Proszę, jedźcie ze mną. Powiedzcie szoferowi, że przyślecie po niego później.

- Dobrze.

Mała grupka, składająca się ze szwagra, jego syna i kobiety w średnim wieku, która najwyraźniej była ich kuzynką, podeszła do kierowcy stojącego obok wynajętej limuzyny. Ktoś dotknął ramienia George'a. Kiedy się odwrócił, zobaczył przed sobą syna. Trzydziestopięcioletni Colin Mannering był dla George'a tajemnicą. Ponieważ poznał Colina bardzo późno, gdy ten był już praktycznie dojrzałym mężczyzną, niezbyt go polubił.

George przyznawał otwarcie, że wiódł i nadal wiodzie pełne rozrywek życie, włączając w to małżeństwo z bogatszą od siebie kobietą. Kiedy wkrótce po ślubie w jego życiu pojawił się Colin, Gallaher został zmuszony stawić czoło konsekwencjom swych wcześniejszych postępów. Pod spokojnym spojrzeniem Jool nie mógł się od tego wykręcić - wiedział, że okazując taki brak odpowiedzialności, straciłby sporo w oczach żony. Lecz choć syn okazał się czarującym młodzieńcem o doskonałych manierach i wydawało się, że nie ma George'owi za złe braku ojcowskiej obecności w swym życiu, Gallaher prywatnie uważał Colina za utrapienie. Chłopak za bardzo starał się przypodobać innym, podobnie jak wielu ludzi wykształconych w szkołach publicznych.

To Jool usiłowała jakoś łagodzić stosunki między nimi. Z całą prostolinijnością, którą zawdzięczała swemu amerykańskiemu wychowaniu, zaakceptowała pasierba jako efekt grzesznej młodości męża i przyjęła go z otwartymi ramionami, podobnie jak jego młodą żonę i synka. Po pierwszym szoku George zadbał, by podczas nieczęstych wizyt Colina Jool zawsze była w domu. Teraz, kiedy jej zabrakło, zastanawiał się, jak sobie poradzi, i miał nadzieję, że syn nie stanie się nagle częstym gościem w posiadłości.

- Przyjdziecie na stypę? - spytał teraz.

- Oczywiście, tato... jeśli tylko jesteście mile widziani.

Jak zwykle coś w tonie, jakim Colin to powiedział, wywołało irytację George'a.

- Ależ oczywiście, że jesteście mile widziani, mój chłopcze - odparł. - Jak się masz, moja droga? - Odwrócił się do żony Colina i obdarzył ją olśniewającym uśmiechem, który przez ponad czterdzieści pięć lat zwał z nóg kobiety na całych Wyspach Brytyjskich. W tym momencie przypomniał sobie, gdzie się znajduje i jakie są okoliczności, i przybrał poważny wyraz twarzy.

- Doskonale, dziękuję. - Fleur zerknęła na Colina, jak gdyby zaniepokojona, że odezwała się bez jego pozwolenia.

Nie po raz pierwszy George odniósł wrażenie, że synowa chyba obawia się swego męża, lecz jak zwykle nie poświęcił temu zbyt wiele czasu. Gdyby to zrobił, może musiałby podjąć stosowne kroki, a tego przecież nie chciał. Uśmiechnął się lekko do nich obojga i skierował w stronę samochodu; po drodze pomyślał, że rodzice Fleur mieli rację, nadając jej to imię: w jakiś przedziwny sposób przypominała kwiat.

Pomyślał, że w innych okolicznościach nie miałby nic przeciwko małemu numerkowi z tą kobietą: wyczuwał, że pod ową rezerwą kryje się gorąca krew. Oczywiście, każda miała w sobie żar, kiedy już się odpowiednio do tego zabrałeś. Jednak nie nadarzyła się odpowiednia okazja, jeżeli nie liczyć jednej sytuacji, która właściwie nie miała konsekwencji: pod wpływem demona alkoholu George zainicjował całą sprawę zbyt wcześnie, kiedy Colin znajdował się w tym samym pokoju. Wracając teraz do owego faktu myślami, Gallaher musiał przyznać, że Fleur dała mu kosza z najwyższą klasą, udając, że nie ma pojęcia, o co naprawdę chodzi teściowi.

Prawdopodobnie dobrze się stało, pomyślał, otwierając drzwi do samochodu i kiwając dłonią na krewnych zmarłej żony. Sytuacja i tak była dość skomplikowana, poza tym Jool, która postawiła sprawę jasno, że jest ostatnią z długiej linii kobiet w życiu George'a, mogłaby się z nim rozwieść i wydziedziczyć nieposłusznego małżonka. I gdzie by wtedy wylądował?

Samokontrola, którą wykazał podczas dwunastu lat małżeństwa, zaskakiwała nawet jego samego. Z wyjątkiem jednego lub dwóch małych epizodów - no, może trzech lub czterech, ale nie o jakimś większym znaczeniu - udało mu się pozostać wiernym żonie. Dwanaście lat, a przecież do tej pory nie potrafił być wierny kobiecie przez choćby dwanaście tygodni!

Krewni Jool wydawali się onieśmieleni i nie mieli nastroju do rozmowy, tak więc gdy rolls cichutko odjechał z wypielegnowanego cmentarza, George - upewniwszy się, że wszystkim jest wygodnie - wykorzystał swój status głównego żałobnika i nie starał się zabawiać ich rozmową. Zamiast tego spoglądał w milczeniu przez zalaną deszczem szybę na wiejski krajobraz rozciągający się dokoła.

Po kilku minutach z wielkim zaskoczeniem odkrył, że ponury dzień idealnie pasuje do jego nastroju, oraz że puste, przykre uczucie w głębi jego serca właściwie ma nazwę - a mianowicie, że to smutek.

Co więcej, ponura mina choć raz nie była zasługą wielu lat praktyki w zawodzie aktora.

George'owi nieomal spodobała się ta odmiana. Jednak jego umysł już próbował odgadnąć, co też przyniesie przyszłość. Miał sześćdziesiąt pięć lat na karku, lecz nadal czuł się tak, jakby nie przekroczył czterdziestki. Matka natura okazała się dlań łaskawa: nigdy poważnie nie chorował, zachował wszystkie zęby i włosy, a poza lekko obwisłą skórą wokół pasa i na ramionach oraz pewną trudnością przy rannym wstawaniu z łóżka, czuł się równie dobrze jak zawsze.

Jool, cwany, stary wróbel, doceniała to. Była od niego starsza o osiem lat i w dniu, w którym zgodził się z nią ożenić, zachowywała się tak, jak gdyby ktoś podarował jej wszystkie urodzinowe prezenty naraz. Kiedyś, gdy spędzali wakacje we Włoszech, spytał żonę, dlaczego wybrała akurat jego. Wpatrywała się weń przez długie minuty, zanim odpowiedziała.

- Na wiele sposobów jesteś dzieckiem, którego nigdy nie miałam - odrzekła wreszcie. George chciał zaprotestować, lecz uniosła dłoń, by go uciszyć. - Nie zrozum mnie źle, Georgie - dodała łagodnie. - To komplement. Czulałam się szczęśliwa z moimi dwoma pierwszymi mężami, lecz obaj byli starsi ode mnie. A ja lubię chodzić pod ramię z młodszym mężczyzną, bo mam kogoś, kim mogę się opiekować. A ty wcale nie jesteś taki brzydki, wiesz? Poza tym byłam już głównym żałobnikiem i gościem honorowym na dwóch pogrzebach... nie chcę przeżywać tego po raz trzeci. Teraz to ty mnie pożegnasz, George.

- Nonsens. - Pocałował ją wtedy z autentyczną czułością.

Każda poznana kobieta mówiła mu, jak bardzo jej się podoba, lecz Jool mogła poprzeć to również swoim bogactwem. Poza tym była pierwszą kobietą w jego życiu, którą naprawdę szanował. Może, jako sporo od niego starsza, przypominała mu matkę, której opieki nigdy nie zaznał.

Ileż miała racji, mówiąc o pogrzebach, myślał teraz, cały czas zdziwiony, że naprawdę za nią tęskni. Może jednak ją kochał?

Przeszedł przez życie bez emocjonalnego zaangażowania, a fakt, że kobiety często myliły awanse seksualne z zaproszeniem do miłości, nie robił na George'u najmniejszego wrażenia. Tego typu podejście, podobnie jak potoki łez, kiedy doszedł do wniosku, że czas ruszać w dalszą drogę, uważał za pewien kłopot, ale i cenę, jaką się płaci za przyjemność. W świetle własnych przekonań zawsze regulował ową należność skrupulatnie. Przed poznaniem Jool poświęcał kobiecie, z którą aktualnie był, całą swą uwagę, lecz za każdym razem bardzo się starał, by nie tworzyć żadnych fałszywych nadziei; od początku dawał do zrozumienia, że nie jest zainteresowany stałym związkiem. Uważał, że to nie jego wina, iż kobiety nigdy mu nie wierzyły.

Ale sprawa z Jool okazała się zupełnie inna. Wystarczyło jej jedno trzeźwe spojrzenie,

kiedy się spotkali na pewnym przyjęciu dobroczynnym - na które George został zaciągnięty przez jakiegoś znajomego - by doszła do wniosku, że to właśnie on został jej przeznaczony. Z niejasnego powodu, którego nigdy później nie mógł pojąć, George zaakceptował ową sytuację.

Pomyślał, że jest dziś wyjątkowo autorefleksyjnie nastawiony. Od razu odrzucił możliwość, iż atrakcyjność Amerykanki wiązała się z jej majątkiem: chociaż przyjemnie było nie musieć martwić się o pieniądze, zawsze jednak znaczyły one dla George'a równie mało co uczucia. Wiedział, że ma wiele wad, jednak chciwość nigdy do nich nie należała. Być może przystał na propozycję Jool dlatego, że był znudzony długą kolejką młodszych od niego kobiet i ich sentymentalnymi pragnieniami. Jool wykazała się taktem i ani razu nie wypowiedziała koszmarnego słowa „miłość” ani jeszcze gorszego: „zakochanie”. Ów podziwu godny zwyczaj trwał także i po ślubie: nigdy nie mówiła o ich związku, nie pytała, o czym myśli mąż, ani nie zwracała mu głowy takimi głupstwami, jak zachwyty nad swoim wyglądem.

Postawiła mu tylko jeden wymóg: żadnych innych kobiet - ani publicznie, ani w życiu prywatnym.

- Jeśli na to przystaniesz, Georgie - powiedziała tego wieczora, gdy mu się oświadczyła - będziemy mieć cudowne życie. Zobaczysz, że potrafię się dogadać z mężczyznami... moich dwóch poprzednich mężów nigdy nie narzekało... i do końca życia nie będziesz musiał martwić się o pieniądze. Nigdy. Do końca życia.

George przyjrzał się jej przystojnej, stanowczej twarzy, przyjemnemu, mocnemu ciału, i ku swemu ogromnemu zdumieniu, zgodził się na ślub.

Być może, pomyślał z niejakim zdziwieniem, czuł się już zmęczony wesołym życiem i doszedł do wniosku, że odrobina luksusu oraz pieszczot dobrze zrobi dżentelmenowi w średnim wieku.

Rolls zwolnił przed zakrętem, by nie przestraszyć nerwowego żrebaka i siedzącego na nim jeźdźca, a George przywołał na twarz ujmujący uśmiech, kierując go do swoich gości. Odpowiedzieli mu uśmiechami, więc spokojnie wrócił do obserwowania pól i bezlistnych drzew stojących przy drodze.

Żona dotrzymała słowa. Dwanaście lat małżeństwa minęło bez zgrzytów, a George, postarawszy się nieco, z łatwością odrzucał kuszące myśli o innych kobietach. Nawet te nieliczne epizodziki były tak krótkotrwałe, że żaden nie wykroczył poza jedną noc, a i to wtedy tylko, gdy małżonka przebywała tysiące kilometrów dalej i nie istniał sposób, by mogła się o czymkolwiek dowiedzieć. W domu miał mnóstwo rzeczy, które dostarczały mu zajęcia; jego własna

sypialnia i garderoba łączyły się z pokojami Jool, a George czerpał przyjemność z odwiedzania doskonale urządzonego buduaru żony, która kochała się z nim ciepło, lecz równie skutecznie i pewnie, jak prowadziła interesy.

Tak więc George został panem wiejskiej posiadłości. Nauczył się jeździć konno i spędzał wiele czasu, włócząc się po stajniach lub polach i spacerując do odległej o niespełna pięć kilometrów wsi Little Staunton albo też wyjeżdżał do Londynu, gdzie żona załatwiła mu członkostwo w najlepszych klubach. Sprawa pieniędzy została taktownie rozwiązana przez dyrektora lokalnego banku, który prowadził wszystkie drobne transakcje dla Jool, a teraz dostał polecenie, by spełniać wszelkie zachcianki jej męża. George nigdy nie zrobił nic, by zagrozić tak miłemu układowi: a jeśli miał ochotę na coś, lub czegoś potrzebował - ubrań, land-rovera, nowego konia lub samochodu - kupował wszystko bez zmrżenia oka.

Szofer znowu zwolnił i włączył pilota, by otworzyć bramę, od której wiódł szeroki podjazd przed dom. George spojrzął do tyłu, by sprawdzić, czy limuzyna krewnych Jool podąża za nimi, lecz zamiast niej zobaczył żółtą maskę samochodu syna. Zmarszczył brwi: zawsze uważał, że jeśli nie chcesz, by coś się wydarzyło, wystarczy o tym nie myśleć, w tej chwili jednak instynkt podpowiedział mu, że będzie musiał mieć się dobrze na baczności, jeśli chce uniknąć kłopotów. Nie był aż tak głupi, by przypuszczać, że Colin pojawił się znikąd wkrótce po ich ślubie i po tym, jak we wszystkich gazetach napisano o fortunie Jool tylko dlatego, że poczuł nagły przyływ synowskiej miłości.

- Zostaw bramę otwartą dla reszty - powiedział do szofera, klepiąc go po ramieniu. - I nie zawracaj sobie głowy zamykaniem, gdy już wszyscy wjadą. Jestem pewien, że nie zostaną zbyt długo - dodał z nadzieją.

Kiedy rolls ruszył spokojnie na podjazd przed domem na czele innych samochodów, George powiedział sobie, że zależy mu tylko na dalszym spokojnym życiu.

Nieco po południu Francey, wynajętą we wsi taksówką, wjechał przez otwartą bramę posiadłości na dziedziniec przed domem. Kierowca nie okazał się zbyt rozmowny, choć młodzieniec zauważył ciekawskie spojrzenie, jakie mu rzucił tamten, kiedy usłyszał adres „Dwór Inveraray”. Ponieważ był zdenerwowany, tłumaczył sobie, że to tylko zwykłe zainteresowanie widokiem nowej twarzy w okolicy.

Teraz, kiedy koła samochodu szumiały cicho na wilgotnym asfalcie między dwoma rzędami białych słupków ogrodzenia i gdy Francey przyjrzał się już ogromnemu domostwu, zaczął się obawiać, że zainteresowanie taksówkarza wzbudził fakt, iż nie jest stosownie ubrany na

odwiedziny u dziedzica. Nie przejmuj się, powiedział sobie w duchu i wspomniął słowa matki, którymi pocieszała go, kiedy kompleksy dotyczące wzrostu lub czegokolwiek innego zbytnio mu dokuczały: „Francey, zawsze pamiętaj, że jeden z twoich przodków był królem”.

Spodziewał się dworu w staroangielskim stylu, z kolumnami lub wieżyczkami, więc gdy po raz pierwszy zobaczył Inveraray, zdumiał się ogromnie. Budynek otaczający ozdobne oczko wodne był niski, z czerwonej cegły, przykryty spadzistym dachem, na którym tu i ówdzie brakowało dachówek, co stanowiło zabieg celowy i najprawdopodobniej miało sprawić, by całość wydawała się starsza niż w istocie. O ile Francey mógł to ocenić, dom był właściwie nowy.

Okrążywszy jezioro, pośrodku którego znajdowała się fontanna, taksówkarz zatrzymał swój pojazd między dwiema limuzynami marki Mercedes, przy których stali szoferzy. Nieopodal zaparkowano jeszcze inne auta; Francey - entuzjasta samochodów - rozpoznał bentleya, rovera, rolls-royce'a, jaguara i land-rovera oraz mgb, model, który zawsze podziwiał. Nie spodziewał się tak bogatego towarzystwa.

Kiedy taksówkarz przechylił się do tyłu, by otworzyć przed nim drzwi, młodzieniec się zawahał. Nie chciał wprawiać ojca w zakłopotanie przy gościach, lecz jednocześnie wiedział, że następnego dnia musi jechać z powrotem do Irlandii.

- Dziękuję. - Zapłacił taksówkarzowi i wysiadł.

Wyczuwając zainteresowanie dwóch szoferów i udając pewność siebie, mimo że wiele by dał za to, aby móc gdzieś schować starą walizkę, podszedł do frontowych drzwi, których strzegły dwa wymyślnie przystrzyżone karłowate drzewka iglaste. Zadzwoił. Z zewnątrz nie usłyszał żadnego dźwięku, lecz doszedł do wniosku, że w tak dobrze utrzymanym miejscu - każde drzewko na podjeździe było zabezpieczone siatką przed zwierzętami - dzwonek nie ma prawa nie działać. Więc czekał.

- Czym mogę panu służyć, sir? - Mężczyzna, który otworzył drzwi, był nienagannie ubrany w czarny garnitur, białą koszulę i czarny krawat.

- Chciałbym... chciałbym się widzieć z panem Gallaherem - wyjąkał Francey. Oczy tamtego spoczęły na walizce, więc Francey pośpiesznie wyprowadził go z błędu. - Niczego nie sprzedaję. Naprawdę jestem tu tylko po to, by się z nim zobaczyć.

- Czy był pan umówiony?

- Obawiam się, że nie. - Francey nagle zdał sobie sprawę z tego, że ma pognieciony garnitur, a na ramionach widniały ciemne plamy od deszczu.

- Nie jestem pewien, czy pan Gallaher przyjmuje teraz gości. - Mężczyzna zachował

neutralną minę. - Ale może zaczeka pan w środku? - Cofnął się o krok i otworzył drzwi nieco szerzej. Wprawdzie kilka chwil wcześniej Francey ćwiczył dumnie wyprostowaną postawę, lecz teraz znowu odniósł wrażenie, że jest przedstawicielem klasy niższej. - Proszę za mną, sir. - Drzwi zamknęły się za nim z cichym stuknięciem i został poprowadzony między dwoma kolumnami do niewielkiego saloniku. - Proszę tu poczekać. - Kamerdyner wskazał na fotele. - Kogo mam zaanonsować?

- Sullivan. Nazywam się Francis Sullivan.

Mężczyzna skinął głową i odszedł cicho niczym kot.

Franceyowi wydawało się, że słyszy jakieś głosy, ale tak odległe, że nie potrafił odróżnić, ile ich było i do kogo należały; nie usiadł, tylko zaczął spacerować wzdłuż ścian ozdobionych ogromnymi oknami wychodzącymi na jezioro i puste zielone padoki.

Czuł się zbyt spięty, by podziwiać otoczenie, a jednak z uwagą oglądał wygodną, rozległą przestrzeń wokoło. Pomieszczenie było umeblowane w spokojnych tonacjach beżu, kremowej i żółtej; na jednej ścianie wisiał ogromny abstrakcyjny obraz w kolorach brzoskwini i moreli, a na onyksowym stoliku ozdobionym srebrem stała biała porcelanowa waza pełna lilii. Przez świetlik w wysokim suficie wpadało lekko przytłumione światło. W niezwyklej mieszance stylów wyeksponowano krokwie na suficie, lecz jednocześnie pomalowano je na kolor kości słoniowej, by lepiej wtapiały się w całość.

- Przykro mi, proszę pana.

Francey obrócił się na pięcie.

- Tak? - Nie słyszał kroków posłańca.

Służący zawahał się, po czym oznajmił:

- Nie jestem pewien, czy panu wiadomo, że pan Gallaher niedawno owdowiał.

- Nie, bardzo mi przykro, nic o tym nie wiedziałem.

- Pani tego domu, pani Dill Smith Gallaher została pochowana niecałą godzinę temu. Być może widział pan ogłoszenie w „Timesie” lub „Telegraphie”?

Francey patrzył na niego przez długą chwilę, po czym potrząsnął głową. Nigdy nie miał zacięcia do czytania gazet, z wyjątkiem wiadomości sportowych w „Cork Examinerze”.

- Kiedy umarła? - spytał.

- Przedwczoraj - odpowiedział kamerdyner. - Pogrzeb był cichy, może dlatego nie zauważył pan poruszenia w wiosce. Pozostawiła instrukcje, by nie robić zamieszania... dlatego została pochowana tak szybko. Takie było jej życzenie.

- Rozumiem... - Francey zawahał się, nie bardzo wiedząc, co robić dalej.

Żona George'a najwyraźniej umarła mniej więcej w tym samym czasie, gdy on rozpytywał o nią na Fleet Street. Teraz też zrozumiał, dlaczego kierowca taksówki tak dziwnie na niego spojrzał.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że służący nie skończył jeszcze mówić.

- Pan Gallaher przeprasza, ale jestem pewien, że pan zrozumie, dlaczego nie może pana przyjąć. Może zechce pan zostawić swój adres i telefon?

Francey tak bardzo nastawił się na to spotkanie, że cała jego wyobraźnia skupiła się na chwili, gdy wreszcie stanie twarzą w twarz z ojcem. Był przygotowany na to, że nie uda mu się odszukać George'a lub że Gallaher już nie żyje; skoro jednak te bariery nie istniały, nic innego nie mogło go powstrzymać.

- Proszę pana? - Kamerdyner wyciągnął w jego stronę mały notesik i srebrne pióro.

Francey podjął ostateczną decyzję. Ponieważ wreszcie udało mu się odnaleźć George'a Gallahera, nie da się odprawić z niczym.

- Czy powiedział mu pan, jak się nazywam? - spytał.

- Tak, sir. Ale pan Gallaher wyraził się jasno...

Francey zauważył, że nie zaproponowano mu, by wrócił tu w nieco bardziej odpowiedniej chwili. Przypomniawszy sobie długą, męczącą podróż statkiem i pociągiem, dwie noce spędzone w podrzędnych hoteliku i wszystkie pieniądze, jakie wydał na tę eskapadę, włącznie z kupnem używanej walizki, na co nie bardzo było go stać. Pomyślał także o kontraście między tą rozrzutnością - autentycznymi dziełami sztuki, służbą, rolls-royce'ami - a oszczędną gospodarką każdym groszem, do czego musiała się przyzwyczaić jego matka na maleńkiej farmie w Lahersheen. Żeby już nie wspominać o obskurnym pensjonatowym pokoiku, w którym on sam mieszkał w Dublinie. Faktycznie czas nie był najwłaściwszy na tego typu sprawy, lecz to przecież nie jego wina.

Wyprostował się, dzięki czemu patrzył teraz sporo ponad głowę kamerdynera.

- Proszę wrócić do pana Gallahera i przekazać mu, że jest mi bardzo przykro z powodu zaistniałych okoliczności - starał się mówić wolno i wyraźnie. - Bardzo boleję nad śmiercią jego żony, lecz nie miałem o tym fakcie pojęcia. Proszę mu powiedzieć, że przebyłem długą drogę, a ponieważ zabawię w Anglii krótko, muszę się zobaczyć z nim dzisiaj. Doskonale rozumiem, że w tej chwili nie może mnie przyjąć, ale zaczekam.

Usiadł w miękkim fotelu i założył nogę na nogę; wyciągnął z kieszeni powieść Jamesa

Stephensa, jak gdyby faktycznie zamierzał siedzieć tu do skutku.

- Doskonale, sir. - Wyraz twarzy służącego nie uległ zmianie, gdy mężczyzna odszedł.

Kiedy kamerdyner zaanonsował gościa, George z początku nie skojarzył sobie tego nazwiska. Później, gdy służący czekał na dalsze instrukcje, „Sullivan” rozbrzmiało w jego mózgu niczym wystrzał z karabinu. Ta irlandzka dziewczyna... Elizabeth Sullivan... Dziwne i piękne miejsce w samym sercu głuszy, gdzie mieszkała z całą gromadą dzieciaków; ów poważny, wiecznie zamyślony malec, który podobno był jego synem. Pamiętał nawet, że wołano na niego Francey, a nie Francis, jak został zaanonsowany przybysz.

A później była ta ciemnowłosa pasierbica Elizabeth, Kathleen, która koniecznie chciała zostać aktorką i owego upalnego lata pojechała za nim do Killarney. I listy od adwokatów, niczym psy gończe ścigających go po całej Anglii, Szkocji i Walii... W owym czasie George nieraz gorzko żałował, że zgodził się przyjechać na tę głupią farmę, by zobaczyć swego syna. Musiał chyba oszaleć.

- Jak wygląda ten człowiek? - Mały płomyk nadziei rozgorzał w jego sercu: może podobieństwo nazwisk jest tylko przypadkowe.

Ale kamerdyner natychmiast zgasił ów płomyk.

- Jest bardzo wysoki, proszę pana - odrzekł. - I ma... bardzo jasne włosy.

Minę miał tak bez wyrazu, jakby jego twarz została wyrzeźbiona z wosku.

Ta wizyta oznaczała kłopoty. George odruchowo zerknął przez pokój na Colina. Absolutnie nie powinien dopuścić, by obaj synowie się poznali. Powiedział więc, że dziś nie może przyjmować gości i że z pewnością służący wytłumaczy to jakoś owemu młodzieńcowi.

Lecz kiedy patrzył, jak kamerdyner znika za drzwiami, pomyślał, że powinien być chyba nieco ostrożniejszy; może jeśli teraz da chłopakowi odrobinę, uniknie później dramatycznej sceny.

- Lewis! - zawołał w chwili, gdy za służącym zamknęły się drzwi. Podeszedł do nich z pośpiechem i wydał polecenie, by pan Sullivan zostawił adres i numer telefonu, pod którym można go będzie znaleźć w przyszłości.

- Oczywiście, proszę pana. - Kamerdyner odszedł.

George, pewien, że Lewis załatwi całą sprawę z wrodzonym taktem, postanowił skontaktować się z młodym Irlandczykiem, gdy tylko sprawy nieco się uspokoją. Może zaprosi go na krótką wizytę. Może nawet da mu trochę pieniędzy?

Wykorzystując okazję, że goście go nie obserwują, podeszedł do barku i udając, że nalewa

sobie następny kieliszek brandy, spróbował zebrać myśli. Dlaczego teraz? Gdyby tylko żona była przy nim, na pewno wiedziałyby, co zrobić w tej sytuacji.

I wtedy zrozumiał. Oczywiście! Chłopak musiał przeczytać o śmierci Jool w jakiejś gazecie.

Jeszcze jeden krewny znikąd.

Pewnie też chciałby uszczknąć nieco z rodzinnej fortuny.

No cóż... Hojność to jedna sprawa, lecz uleganie szantażowi to całkiem co innego. George poczuł nagły przypływ słusznego gniewu. Niech szlag trafi chłopaka za taką impertynencję! Czy nie mógł poczekać przynajmniej do czasu, aż biedna staruszka zdomowi się w grobie?

Do czasu, kiedy dołączył z powrotem do gości, siedzących grupkami na kanapach w salonie, George zdołał się utwierdzić w przekonaniu, że uczynił słusznie, odsyłając Franceya Sullivana z kwitkiem.

Jednak kilka chwil później kamerdyner znowu stanął w drzwiach.

- Przepraszam najmocniej. - Bardzo już zirytowany Gallaher przeprosił szwagra Jool, z którym właśnie rozmawiał, i przeszedł przez pokój do służącego. - O co chodzi tym razem, Lewis?

- Przykro mi, proszę pana, ale ten młody człowiek jest wyjątkowo uparty. Powiedział, że zaczeka, aż pan znajdzie dla niego czas.

- Czy wyjaśniłeś mu okoliczności? - Kiedy George był zdenerwowany, w jego głosie zawsze pobrzmiwały nutki szkockiego akcentu.

- Oczywiście, proszę pana.

Podczas gdy kamerdyner wpatrywał się spokojnie w środkowy guzik marynarki, George nieomal słyszał, jak jego mózg pracuje na najwyższych obrotach, starając się znaleźć wyjście z sytuacji. Właśnie zamierzał odstawić na stolik kieliszek z brandy, by dać sobie dodatkową chwilę na zastanowienie, kiedy poczuł dotknięcie na ramieniu.

- Czy trzeba w czymś pomóc, tato?

Spojrzał w oczy syna, które miały dziwny kolor, coś pomiędzy jasnobrązowym a zielonym, i zawsze przypominały mu wodę z kanału.

- Nie, wszystko jest w porządku, dziękuję, Colinie...

- Nie martw się. I tak masz tu duże zamieszanie z gośćmi, ja się tym zajmę.

Zanim George, czy choćby kamerdyner, zdążyli zareagować, Colin wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

Przez ostatnie dwanaście lat George wiódł tak spokojne, ułożone przez Jool życie, że czas jego reakcji strasznie się wydłużył. Zaskoczony słuchał cichego odgłosu kroków Colina Manneringa za drzwiami i nie potrafił się zmusić do zrobienia czegokolwiek, co zapobiegłoby koszmarowi, jakim mogłoby się okazać niekontrolowane spotkanie między jego dwoma synami.

Dotarło do niego, że kamerdyner nadal czeka na instrukcje.

- Dziękuję, Lewis - zdołał wykrztusić.

Franceyowi było bardzo wygodnie w miękkim fotelu, lecz zerwał się na nogi, gdy tylko usłyszał zbliżające się kroki. Z całą pewnością tym razem nie był to kamerdyner. Teraz, gdy nadeszła wreszcie chwila, której oczekiwał, miał ochotę uciec jak najszybciej. Wszystko to było pomyłką.

- Czym mogę panu służyć?

Na widok gościa oczy przybyłego rozszerzyły się i wróciły do normy tak szybko, że analizując później to spotkanie, Francey zastanawiał się, czy przypadkiem sobie tego nie wyobraził. Dziko walące w piersi serce nieco mu się uspokoiło.

- Szukam pana Gallahera.

- A kim pan jest? - zapytał mężczyzna, którego Francey, przyzwyczajony do szybkiej oceny ludzi, oszacował na trochę ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Tamten był szczupły, miał ziemistą cerę i dziwnie bezbarwne oczy. Francey pomyślał, że oto kolejny służący przyszedł go zbyć, i poczuł złość.

- A pan?

- Jestem Colin Mannering, syn pana Gallahera.

- Ojej! - To go zaskoczyło. Powinien był pamiętać: Hazel uprzedzała go, że wraz z Dessiem nie byli jedynymi synami George'a. Z jej informacji wynikało, że mógł ich mieć nawet więcej niż trzech. Wcześniej uznał tego człowieka za sekretarza lub innego zaufanego służącego, lecz teraz faktycznie dostrzegł podobieństwo do George'a w zarysie ust i nosa. - Bardzo mi przykro z powodu śmierci pańskiej matki - powiedział ze współczuciem i wyciągnął rękę.

- Macochy - poprawił go tamten. - Dziękuję.

Potrząsnął dłonią Franceya. Na zewnątrz dał się słyszeć klakson, tak gwałtowny, że nie mogło być wątpliwości, iż wydarzył się jakiś wypadek. Gdzieś w domu trzasnęły drzwi i przez następnych parę chwil młodzieniec nie bardzo wiedział, co dalej mówić. Jednak kiedy drugi mężczyzna najwyraźniej też nie miał ochoty zabrać głosu, posłużył się zdaniem, którym już

ułagodził kamerdynera.

- Przyjechałem z daleka - oświadczył.

- Ale w tej chwili spotkanie z panem jest nam bardzo nie na rękę - wyjaśnił Colin Mannering. - Jestem pewien, że pan to zrozumie. Jeśli mogę coś zrobić...

- Obawiam się, że nie. - Zdeterminowany Francey postanowił nie dać się zbyć. - Mogę zaczekać i obiecuję, że nie zajmę pańskiemu ojcu zbyt wiele czasu.

- To on poprosił, bym z panem porozmawiał - odrzekł Colin, lecz Franceya nic to nie obchodziło.

- Przykro mi - powtórzył z uporem. - Wyjaśniłem już wcześniej, że to sprawa osobista.

Patrzyli sobie w oczy przez kilka chwil i nagle do Franceya dotarło, że oto stoi przed swoim przyrodnim bratem. Zanim zdołał ogarnąć wszystkie możliwe konsekwencje sytuacji, tamten znowu zapytał:

- Czy może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

Francey odebrał to jako sugestię, że przyszedł tu, by coś zyskać, i aż zaczerwienił się z oburzenia. Mannering najwyraźniej już odgadł, kim jest nieproszony gość - ze zdjęcia ślubnego ojca Francey wiedział, jak bardzo jest do niego podobny - lecz z całą pewnością nie zamierzał tego potwierdzać. Jego serce odzyskało już normalny rytm.

- Niczego nie chcę - oświadczył. - Pragnę tylko spotkać się z panem Gallaherem i nie wyjdę stąd, póki tego nie osiągnę. - Nie potrafił jednak być niegrzeczny w stosunku do obcego człowieka; klóciło się to z zasadami, jakie wpoila mu matka. Dodał więc nieco łagodniej: - Bardzo mi przykro, że przyszedłem tak nie w porę, ale nie miałem o niczym pojęcia. Jutro wyjeżdżam z Anglii... wracam z powrotem do Irlandii, więc muszę się zobaczyć z panem Gallaherem jeszcze dzisiaj. - Zniknęło całe jego zdenerwowanie; ze spokojem wpatrywał się w dziwne oczy niższego mężczyzny. - Byłbym więc wdzięczny, Colinie, gdybyś poszedł i mu to powiedział.

- Jak sobie życzysz... naturalnie, że mu przekażę - odrzekł Colin Mannering i uśmiechnął się tak ciepło, że Francey został wytrącony z równowagi ową nagłą zmianą; pomyślał, że musiał sobie wyobrazić uprzednią wrogość.

- Dziękuję - rzucił niepewnie.

Jego przyrodni brat przechylił lekko głowę na bok i rozłożył ręce - Francey zauważył, że ma ładne, długie palce - po czym odezwał się, jak mężczyzna do mężczyzny:

- Muszę cię jednak uprzedzić, Francis, że mój ojciec jest w tej chwili bardzo zajęty.

- Nie ma pośpiechu. - Francey znowu przejął inicjatywę. Usadowił się w fotelu i otworzył książkę. - Mam cały dzień.

Był przygotowany na długie czekanie, więc poderwał się w nagłej panice, gdy kilka chwil później usłyszał kroki - więcej niż jednej pary nóg. Zaledwie jednak zauważył powrót Colina Manneringa, gdyż wreszcie stał twarzą w twarz z ojcem.

Przez kilka sekund ciszy Francey miał wrażenie, że wszystko może się zdarzyć. Mimo że ponosiły go nerwy, postanowił nie uczynić pierwszego ruchu. Zdawać by się mogło, że wygrał konkurs, gdyż to jego ojciec postąpił krok do przodu i wyciągnął rękę.

- Wszędzie rozpoznałbym ten kolor włosów - powiedział. - Jak się miewa twoja matka?

Mimo podniecenia Francey zauważył, że ojciec przybrał postawę obronną; był zaskoczony, gdyż spodziewał się raczej wrogości z jego strony. Ponieważ wreszcie nadeszła tak długo oczekiwana chwila, jego emocje wahały się między dwoma ekstremami - raz był strasznie podniecony, a natychmiast potem ogarniała go panika. Zmusił się do uśmiechu, odgarnął z czoła jasne włosy i potrząsnął dłonią George'a.

- Wspaniale - odrzekł.

- To świetnie. - George pierwszy przerwał powitanie i cofnął się o krok.

Przestał patrzeć na syna, a Francey przestał się uśmiechać. Ten człowiek wpadł do życia jego matki i z niego wypadł, jakby nic dlań nie znaczyła - jego samego zresztą także opuścił - zostawiając ich dwoje na łasce losu. Żeby już nie wspominać o tym, jak potraktował Kathleen i Dessiego.

- Czemu to zrobiłeś? - wybuchnął, nie przejmując się obecnością trzeciego mężczyzny. - Dlaczego jej to zrobiłeś? Dlaczego nam to zrobiłeś?

- Pisałem, wiesz... - George nadal nie chciał spojrzeć mu w oczy.

- To dla nas spora niespodzianka, jestem pewien, że zdajesz sobie z tego sprawę, Francisie - wtrącił w tej samej chwili Colin Mannering; Francey zauważył, że w głosie przyrodniego brata pobrzmiwa panika. - Jeśli o mnie chodzi - ciągnął tamten - to bardzo się cieszę z twojego przyjazdu... ale nie przygotowaliśmy się... to znaczy, nie spodziewaliśmy się... w ogóle nie wiedziałem, że mam brata...

- Więc jest nas dwóch. - Francey cały czas przyglądał się ojcu.

- Pisałem wiele razy - powiedział George, patrząc mu wreszcie w oczy. - Czy matka nic ci o tym nie wspominała?

- Mojej matki w to nie mieszaj. Nie ma pojęcia, że tu jestem. - Nagle uciekły mu z głowy

wszystkie wcześniej starannie przygotowane zdania. - To był mój własny pomysł.

- Mamy wiele do omówienia. Może przejdziemy do gabinetu? Tam będzie wygodniej - znowu odezwał się Colin.

- Nie wątpię, że to twój pomysł - odparł George, ignorując propozycję drugiego syna. - Wiem, że twoja matka nie wysłałaby cię we własnej sprawie.

Francey zauważył, że ojciec nadal mówi z lekkim szkockim akcentem.

- Tato? - Colin nieco podniósł głos. Francey zerknął na niego: przyrodni brat najwyraźniej był podenerwowany.

- O co chodzi? - George nawet nie spojrzał na starszego syna.

- To nie jest miejsce na taką rozmowę - odezwał się tamten błagalnym tonem. - Czy nie powinniśmy zaproponować Francisowi drinka po tak długiej podróży?

George skrzywił się z irytacją.

- Zdaje się, że kamerdyner wyjaśnił ci, że to bardzo nieodpowiednia pora - zwrócił się do Franceya z czymś zbliżonym do niechęci, lecz młodzieniec, którego zmysły były tak wyczułone, że nieomal dźwięczały, zrozumiał, iż to on jednak ma przewagę.

- Niesłuchanie mi przykro z powodu śmierci twojej żony, ale nie miałem o niczym pojęcia - oświadczył. - Gdybym wiedział, odłożyłbym wizytę na później...

Zdawało się, że ojciec podjął decyzję. Ku zaskoczeniu Franceya grymas na jego twarzy zmienił się w szeroki uśmiech, wesoły i ciepły, dzięki któremu młodzieniec wreszcie zrozumiał, co matka widziała w tym człowieku.

- Twoja matka wspaniale się spisała - powiedział George. Jego transformacja była tak niespodziewana, że chłopak bezwiednie cofnął się o krok. Ojciec przechylił głowę na bok. - Tylko popatrz na siebie! Aleś ty wielki! No, no...

Francey, kompletnie oczarowany, ścisnął w ręce książkę, jak gdyby była jedyną pewną rzeczą na ziemi.

- Musimy porozmawiać - wykrztusił z siebie.

- Oczywiście - odrzekł George. - Żałuję, że wcześniej nie zdążyliśmy się lepiej poznać.

- Więc dlaczego się z nami nie skontaktowałeś? Wiedziałeś, gdzie mieszkamy! - Nigdy nie potrafił zbyt długo się złościć i wszyscy obecni zrozumieli, że jego wściekłość minęła.

- Oczywiście, to nie mój dom, tato, ale może chcesz, żebym zajął się twoimi gośćmi, podczas gdy ty porozmawiasz z Franceyem? - zaproponował Colin.

- A, tak... inni. - George znowu zmarszczył czoło, tym razem z zakłopotania. - Mam w

salonie kilkoro gości - wyjaśnił Franceyowi.

- Powiedziałem, że mogę poczekać. - Młodzieniec przełknął ślinę. Teraz, gdy opuściło go napięcie, poczuł się nagle trochę słabo.

- Rozumiesz chyba, dlaczego nie mogę tam cię zaprosić - ciągnął George. - Nikt cię nie zna. Ale jestem pewien, że nie zabawią długo.

- Proszę, nie przejmuj się mną... - Spoglądając w lustrzane odbicie swych niemal fioletowych oczu, Francey ze zdumieniem złapał się na tym, że stara się uspokoić ojca. - Powiedziałem, że nie mam nic przeciwko czekaniu. Jeśli chcesz, mogę wrócić do wioski i przyjść tu nieco później. Po prostu to mój ostatni dzień w Anglii i dlatego nalegałem...

- Doskonale cię rozumiemy, prawda, tato? - Colin podszedł tak blisko, że Francey cofnął się o parę kroków; miał wrażenie, że gra w jakiejś starej farsie.

- Jesteś pewien, że nie masz nic przeciwko czekaniu, Francey? - Na twarzy George'a widać było ulgę.

- Nie, oczywiście, że nie. Nie śpieszcie się. - Francey mówił szczerze.

Skoro jego misja już się rozpoczęła, a najtrudniejsza część była za nim, równie dobrze mógł poczekać.

Pięć minut później, zaprowadzony przez kamerdynera, Francey usiadł w ogromnej kuchni ze szklanką piwa i talerzem kanapek przed sobą, w towarzystwie bardzo zaaferowanej kobiety - kucharki lub może gospodyni - która była zbyt zajęta, by się nim zajmować. Dwie dziewczyny w eleganckich uniformach wchodziły i wychodziły co chwilę, również nie zwracając na niego większej uwagi.

Francey, który nigdy nie przepuścił okazji, by coś zjeść, od razu zabrał się do kanapek. Były pięknie ułożone i skonstrastowane pod względem kolorów i smaku; niektóre produkty rozpoznał, lecz większość okazała się dlań obca włącznie z dziwnym ciemnym dżemem, który smakował rybą. Jedząc, wyobraził sobie, jak relacjonuje ten fragment wyprawy Hazel. Już słyszał jej śmiech, że został wygnany do podziemi tego wspaniałego domu, i że dano mu do towarzystwa kucharkę. Spokojnie... powiedział sobie, musisz być cierpliwy.

Wydawało się jeszcze zbyt wcześnie, by z szalejącego w głowie huraganu myśli mógł wyłowić poszczególne elementy. Listy od Johanny - przyrodniej siostry, z którą Francis był najbliżej, a która zrezygnowała z bezpiecznej posadki w sklepie obuwniczym w Chicago dla hippisowskiej komuny w Montanie, zawierały mnóstwo dobrych rad co do tego, że powinien odnaleźć „stałe centrum swego istnienia”. Jednak w chwili obecnej owo stałe centrum istnienia,

czymkolwiek by było, pozostawało zamglone i nieuchwytnie, a wyrażenia w stylu „skazaniec zjadł ostatnie pożywne śniadanie” przelatywały mu przez głowę.

Zjadł już wszystkie kanapki i właśnie dopijał drugą szklankę piwa, gdy od frontu domu usłyszał warkot silnika samochodowego, a może kilku, nie potrafił odróżnić. Ze swego miejsca miał widok na opustoszały różany ogród i garaż, przed którym nadal stały pojazdy. Najwyraźniej goście tego domu odjechali. Kamerdyner wrócił do kuchni.

- Pan Gallaher przeprasza, że kazał panu tak długo czekać - powiedział. - Bardzo proszę, niech pan pozwoli ze mną.

Francey podziękował kucharcze za naprędce przygotowany posiłek i poszedł za swoim przewodnikiem długim korytarzem, wzdłuż którego znajdowały się w równych odstępach drzwi do pokoi, a który zdawał się ciągnąć przez całą długość domu. Następna ubrana w uniform pokojówka - ileż ich było w tym domu? - skinęła im przyjaźnie głową.

Na końcu korytarza znajdowały się lśniące mahoniowe drzwi.

- To tutaj, proszę pana. - Kamerdyner zapukał dyskretnie i otworzywszy jedno skrzydło, przytrzymał je przed Franceyem.

Wszedł do ogromnego pokoju ze ścianami ze szkła - z wyjątkiem tej, w której znajdowały się drzwi. Nie miał czasu, by dokładnie rozejrzeć się dokoła - choć zauważył, że meble stojące na kremowym dywanie są w kolorach jasnej zieleni i błękitu - ponieważ ojciec, do tej pory poprawiający coś przy wolno stojącym kominku o srebrnej kracie, podszedł, by go powitać.

Dopiero po chwili Francey dostrzegł, że prócz George'a w pokoju znajduje się jeszcze dwoje ludzi. Jednym z nich był Colin Mannering z drinkiem w dłoni; drugą osobą zaś kobieta tak piękna, że młodzieńcowi serce podeszło do gardła.

Rozdział czwarty

Zostaniesz na lunchu? Francey ledwie usłyszał zaproszenie ojca.

- T-tak, dziękuję - wyjąkał, usiłując nie gapić się zbyt otwarcie na niezwykłą istotę siedzącą na kanapie obok Colina Manneringa.

Miała długie do pasa, lśniące czarne włosy, orientalne rysy z wysokimi kośćmi policzkowymi, pełne usta i ciemne oczy, przypominające kształtem migdały. Jej nogi, o ile Francey mógł zobaczyć, kończyły się delikatnymi kostkami i stopami, a prosta czarna sukienka ściągnięta była podwójnym paskiem w talii. W sączącym się do pokoju świetle deszczowego popołudnia perły na jej szyi lśniły niczym krople mleka. Francey dokładnie pamiętał każdy szczegół ślubnej fotografii ojca: najprawdopodobniej był to ten sam naszyjnik, który dwanaście lat wcześniej nosiła Jool.

- Nie poznałeś jeszcze mojej żony, Fleur - odezwał się Colin Mannering. - Fleur, oto twój nowy szwagier, Francis Sullivan.

- Witaj. - Twarz kobiety pozostała bez wyrazu; głos miała niski i przyjemny dla ucha. Nie wydawała się zaskoczona przybyciem nowego kuzyna i Francey założył, że została uprzedzona o jego istnieniu.

- Bardzo mi miło... - wyjąkał, po czym, aby nikt z obecnych nie zauważył jego oszołomienia, odwrócił się do ojca i wypowiedział pierwszą grzecznościową formułkę, jaka przysłała mu do głowy: - Masz piękny dom...

- Tak, nieprawdaż? - George podszedł do stojącego pod ścianą stolika, na którym stały butelki, karafki, kieliszki, wiaderko z lodem, patyczki do mieszania i shakery do koktajli, w wystarczającej ilości, by obsłużyć niewielki hotel. - Pozwólcie, że naleję wam drinki - zagrzemiał. - Widzę, że ty już coś pijesz, Colinie. Może masz ochotę na sherry, moja droga? - A gdy Fleur skinęła głową, uśmiechnął się do Franceya. - A ty co byś chciał, synu?

- Proszę o piwo.

Młodzieniec cały czas czuł za sobą obecność pięknej kobiety; zdawać by się mogło, że Fleur kieruje jego zachowaniem niczym lalkarz pociągający za sznurki marionetek.

- Bardzo proszę. - George podał kieliszek sherry synowej, a potem piwo młodszemu synowi. - Obawiam się, że mamy tylko w butelkach, jeszcze nie doszliśmy do puszek, jak mówi Jool... ojej!

W pokoju zapadła cisza, a Francey gorączkowo starał się wymyślić coś, co by ją zapeł-

niło.

- Czy twoja żona długo chorowała? - wybąkał na koniec.

- Jakiś miesiąc - odpowiedział Colin. - Rak trzustki... muszę ci wyznać, że wszyscy byliśmy zszokowani; tak pełna życia kobieta! Ale przyjęła to nad wyraz dobrze. W istocie pod koniec to ona nas pocieszała... - dokończył, ścisząc głos.

Francey doszedł do wniosku, że najrozsądniej będzie już nic więcej nie mówić. Popijając wolno piwo, zauważył, że ogień w kominku nie trzaska, lecz wydaje monotony, niski syk - drzewo nie było prawdziwe, tylko sztuczne. Sekunda po sekundzie w ciszy narastało napięcie, aż Colin postanowił przerwać impas i odwrócił się do żony.

- I jak, kochanie, twój drink? W porządku?

Rezonans tego czulego określenia zabrzmiał w uszach Franceya tak, jakby przyrodni brat uderzył w klawisz nienastrojonego fortepianu.

- Bardzo dobry, dziękuję.

Kiedy się odezwała, Francey dosłyszał w jej głosie lekki obcy akcent. Ponieważ miał trudności z opanowaniem wyrazu twarzy, gdy patrzył na Fleur, a nie chciał, by wszyscy zauważyli jego oczarowanie bratową, spuścił wzrok na piwo w szklance.

- Może siądziesz?

- Może dołączysz do nas? - George i Colin odezwali się w tej samej chwili.

- Przepraszam.

- Przepraszam.

Druga próba faktycznie przełamała lody.

- Chodź. - Ojciec ujął Franceya pod ramię i poprowadził w stronę kanapy, na której siedzieli tamci dwoje. - Dość tego. Lunch będzie już niedługo... Przepraszam, że zamknąłem cię w kuchni, lecz szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, jak bym cię mógł przedstawić kuzynom żony, którzy przyjechali z Ameryki tylko na jej pogrzeb! - Uśmiechnął się szeroko i wskazał Franceyowi, by usiadł obok niego, po czym zajął miejsce na jednym końcu długiej kanapy stojącej dokładnie na wprost Manneringów.

Czując się niczym słoń w składzie porcelany i dodatkowo zażenowany obecnością pięknej żony brata, Francey usiadł. Był lekko zaskoczony, że wbrew pierwszemu spotkaniu, kiedy to ojciec sprawiał wrażenie niezbyt zachwyconego jego przyjazdem, teraz zachowywał się tak, jak gdyby zaakceptował obecność drugiego potomka.

- A więc tak... - Jakby dosłyszawszy owe niewypowiedziane myśli, George popatrzył

kolejno na osoby znajdujące się w pokoju. - „Krzętanina w Mieszkaniu” - zacytował. - „Krzętanina w Mieszkaniu/ Nazajutrz, po czyjejś Śmierci - /Z naszych trudów na Ziemi/Ten jest najsołenniejszy - ”*... Jak się czujesz z Emily Dickinson?

* Emily Dickinson, „Krzętanina w Mieszkaniu...”, przeł. Stanisław Barańczak (przyp. red.).

- Że co, przepraszam? - W odróżnieniu od powieści poezja, której musiał się uczyć w szkole, jakoś nie pobudzała wyobraźni Franceya.

- Nieważne - odrzekł łaskawie George. - No, cóż... nigdy nie wiadomo, co człowieka może spotkać następnego dnia, nieprawdaż? „Słuchaj głosu śpiewaka,/ Który widział przeszłość, terażniejszość i przyszłość”**... to chyba William Blake - zwrócił się do Franceya tonem przyjaznego nauczyciela. Potem zaś dodał ostrzejszym tonem, spoglądając na nich spod wspaniałych brwi. - Ależ mamy rodzinę, co? Podejrzewam, że równie dobrze możemy się do siebie przyzwyczać.

** William Blake, „Wstęp”, przeł. Leopold Staff (przyp. red.).

- O której jutro odlatuje twój samolot, Francisie?

Colin rozejrzał się wokół z niepewną miną, potwierdzając rosnące poczucie Franceya, że choć jego przyrodni brat stara się uchodzić za wspaniałego i pewnego siebie, kuli ogon przy pierwszych oznakach niezadowolenia ze strony innych.

- Cii! - George syknął lekko z udanym niezadowoleniem. - Nie bądź taki niegrzeczny, Colinie! Dopiero co poznaliśmy naszego nowego krewniaka! - Odwrócił się do młodszego syna. - Zostaniesz z nami jakiś czas, nieprawdaż?

- Nie jestem pewien - odparł Francey ostrożnie, po czym wyjaśnił Colinowi: - Nie lecę samolotem. Zamierzam złapać nocny prom z Holyhaed.

- Ach... Holyhead! - George uczeplił się sposobności bezpiecznego przejścia za pomocą anegdoty przez pole minowe psychologicznych problemów rodzinnych, które się przed nim rozciągało. - Niech Bóg zachowa w swej opiece dobre stare dni w Holyhead! Czy opowiadałem ci już o mojej pierwszej wyprawie do Irlandii, Colinie? - I rozpoczął długą opowieść o dziewięcioletniej podróży przez Morze Irlandzkie, którą odbył w towarzystwie kolegów z objazdowego teatryku.

W innych okolicznościach Francey byłby pewnie zafascynowany ową historią, ponieważ

jednak ojciec był kimś zupełnie nowym w jego życiu, zauważył, że oprócz sporadycznego kiwnięcia głową niewiele się tu odeń wymaga, i pozwolił sobie na obserwowanie obecnych.

Pamięć nie oszukała go: bez wątpienia ojciec był atrakcyjnym mężczyzną. Głos George'a Gallahera, głęboki, obdarzony rezonansem, odznaczał się klarownością organów. Przysłuchując mu się i obserwując go, Francey zastanawiał się, czy lekceważące słowa Hazel dotyczące talentu aktorskiego tego człowieka faktycznie były usprawiedliwione: o ile mógł się zorientować, doskonała dykcja i szerokie, pełne wyrazu gesty wskazywały na doskonałą osobowość sceniczną. George nie wyglądał na swój wiek - w podpisie pod zdjęciem sprzed dwunastu lat Francis wyczytał, że ojciec miał wówczas pięćdziesiąty czwarty rok - ciemny garnitur zaś doskonale układał się na jego potężnej postaci, jak gdyby został uszyty na miarę.

I pewnie tak było. Syn George'a zerknął po kryjomu na wytarte kłapy swego ubrania; nogawki i rękawy przedłużono maksymalnie i jeszcze dosztukowano dodatkowymi mankietami. W Dublinie Francey kupił go i nosił z ogromną dumą, lecz teraz zauważył, że wygląda tandetnie i strasznie nędznie. Był także świadomy, że w wysokiej temperaturze panującej pokoju z jego ubrania wydobywa się mdły zapach wilgoci.

Oceniał, że Colin Mannering ma nieco powyżej trzydziestu lat, choć wyjątkowo gładka cera przyrodniego brata mogła wprowadzić w błąd. Siedział z głową lekko przechyloną na bok i przysłuchiwał się opowieści ojca; w opinii Franceya nieco zbyt gorliwie uśmiechał się podczas zabawnych momentów historyjki, zupełnie jakby starał się zaspokoić oczekiwania George'a. Jednak gdy się zorientował, że chwilami wybucha śmiechem o sekundę przedwcześnie, zaczął uważać. Widać Colin nie po raz pierwszy słuchał tej opowiadki. Francey zganił się w duchu i powiedział sobie, że nie powinien wydawać pochopnych sądów o kimkolwiek w tym pokoju, a już na pewno nie o przyrodnim bracie. Zastanawiał się, jak on sam czułby się w sytuacji, kiedy myślałby, że ojciec należy wyłącznie do niego, a tu nagle odkryłby innego pretendenta do uczuć George'a.

Czy Colin Mannering wiedział, że ma jeszcze jednego przyrodniego brata? Francey był nieomal pewien, że nie: szok Colina podczas ich spotkania - owo nagłe rozszerzenie oczu - stanowił dostateczny dowód na to, że George Gallaher nie zwierzał się synowi ze swej barwnej przeszłości.

W obawie, że wszyscy zauważą piorunujący efekt, jaki na nim wywarła Fleur, Francey nie patrzył na jedyną kobietę w ich towarzystwie. Jednak kiedy ojciec roześmiał się z czegoś, co wydało mu się wyjątkowo zabawne, a Colin również wybuchnął śmiechem, zaryzykował

szybkie spojrzenie na bratową.

Najwyraźniej ona także słyszała już kiedyś tę anegdotkę. Siedziała wdzięcznie na kanapie z oczyma cały czas wlepionymi w twarz George'a; w jednej ręce trzymała kieliszek sherry, a drugą położyła na małej torebce. Mimo że jej usta były nieco pełniejsze, przypominała Franceyowi reprodukcję „Mony Lisy”, która wraz ze „Słonecznikami” van Gogha wisiała nad kominkiem w jadalni pensjonatu w Dublinie, tuż obok fotografii papieża Jana XXIII i Johna F. Kennedy'ego.

Na tym jednak podobieństwa się kończyły. W opinii Franceya na temat kobiecej urody Fleur Mannering już na starcie znacznie wyprzedziła modelkę Leonarda da Vinci.

Nagle zdał sobie sprawę, że ojciec dochodzi do końca opowieści i zmusił się do uwagi.

- I aby nie rozwodzić się zbyt... - śmiech George'a potoczył się po pokoju - ...statkiem tak potwornie rzucało, że temu biednemu staremu draniowi cały czas wysuwała się kula, a pamiętacie, że miał tylko jedną nogę... więc musiałem wziąć go na ręce... niestety, zanim zdążyłem dojść z nim do relingu, już się cały zarzygał i wszyscy ślizgali się w tym po pokładzie, a sami ledwie trzymali się na nogach...

Głośny śmiech ojca był zaraźliwy i gdy Francey się do niego przyłączył, przyszło mu do głowy, że oprócz pomylenia czasów, kiedy wspominał o żonie, George ani razu nie dał po sobie poznać, że boleje nad swą niedawną stratą.

Cała ta rozmowa ogromnie zdumiała młodzieńca. W domu, w Irlandii, stypy trwały długo i były wystawne, a przychodzili na nie nie tylko krewni zmarłego, lecz także wszyscy jego przyjaciele i sąsiedzi. Mimo że prowadzono żywe, nieraz nawet wesołe rozmowy, zawsze dotyczyły one życia i poczynąń osoby, którą pochowano. To, co Francey obserwował teraz w salonie, musiało być słynną angielską powściągliwością.

Dalsze jego rozważania przerwał kamerdyner, który przyszedł zaanonsować, że podano lunch.

Wszedłszy do jadalni, Francey zatrzymał się jak wryty tuż za drzwiami. Zdawało mu się, że znalazł się w zupełnie innym świecie. Po jego lewej stronie, za oknem, małe jeziorko rozświetlone było punktowymi lampami, dzięki którym nawet w ten ponury deszczowy dzień strumień z fontanny rzucał kolorowe tęcze na liście lilii unoszące się na powierzchni, co sprawiało, że wyglądały jak tropikalne hiacynty wyrastające prosto z wody.

Jednak to nie dzięki podświetlonemu jeziorku wyczuwało się w tym pokoju pełną magii, nieomal mistyczną aurę. Meble, niezwykle i unikatowe, w opinii Franceya były wręcz nie-

ziemskie. Jadalnię wyłożono przezroczystymi kafelkami, i dopiero pod kilkoma centymetrami przejrzystej wody znajdowała się stała podłoga. Sufit unosił się, od wysokości około trzech metrów przy drzwiach do pięciu lub nawet więcej przy przeciwległej ścianie. Z ogromnych donic umieszczonych pod sufitem opadały zielone winorośle i mieszały się z wysokimi roślinami wystrzeliwującymi z wielkich ceramicznych urn, ustawionych w regularnych odstępach na podłodze. Za tą dżunglą poplątanej i zrosniętej zieleni szeroki i łagodny wodospad szeptał wzdłuż jasnej marmurowej ściany.

Pośrodku pokoju stał stół zrobiony z ogromnego prostokąta grubego szkła, oświetlonego od spodu, by widać było wyraźnie wszystkie jego kręgi, bąbelki powietrza i inne naturalne niedoskonałości. Podtrzymywały go cztery lśniące wsporniki, jak podejrzewał Francey wykonane ze stali; jasne krzesła miały obicia z aksamitu w tym samym jasnopiaskowym odcieniu, co podłoga. Na kredensie, którego drzwiczki i blat także były ze szkła, nie tak grubego jak stół, lecz mocnego niczym dąb, lśniły srebro i kryształy.

Jednak najbardziej niezwykle w tym pokoju okazało się ogromne akwarium, wmurowane w ścianę naprzeciw okien. Rosły w nim piękne rośliny, pomiędzy którymi pływały kolorowe rybki, wszystko zaś - dla większego efektu - było także podświetlone. Zdawało się, że akwarium kończy się w podmorskiej jaskini i dopiero po paru sekundach Francey zrozumiał, że to tylko drzwi na korytarz zostały w tak niezwykle sposób pomalowane.

Oszołomiony, czuł się niczym dziecko unoszące się wśród podmorskiej nieskończoności wypełnionej światłem i dźwiękiem. Niepewny, czy to wrażenie mu się podoba, czy nie, zdał sobie sprawę, że gospodarz bacznie przygląda się jego twarzy.

- Niesamowite! - wykrztusił.

- Ładne, zgadzam się. - Ojciec uśmiechnął się z satysfakcją, po czym zajął miejsce u szczytu stołu. Francey usiadł po jego lewej ręce, Fleur posadzono naprzeciwko, obok niej zaś Colina. - To był ulubiony pokój Jool - dodał George, rozkładając serwetkę.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Młodzieniec nadal rozglądał się dokoła. - To tak, jakby się było... w... - Zupełnie nie potrafił wymyślić odpowiedniego miejsca, porównywalnego z taką manifestacją fantazji i bogactwa; ponieważ nie potrafił znaleźć właściwego odniesienia, nie wiedział, czy to szczyt dobrego smaku, czy też skrajna wulgarność.

- Wiele wniosła tu Fleur. - George uśmiechnął się do synowej. - A ryzykując posądzenie o brak skromności, dodam, że ja także. Jool zaangażowała dekoratora wnętrz, właściwie nawet kilku, lecz główny pomysł poddała twoja bratowa. Nieprawdaż, moja droga?

Na twarzy młodej kobiety nie drgnął ani jeden mięsień.

- Tak, dziękuję.

- Mieszkasz w Dublinie, Francisie? - Colin także rozpostarł serwetkę na kolanach, podczas gdy jedna z pokojówek zaczęła nalewać zupę.

Fleur pochyliła głowę nad swoim nakryciem, jakby przyzwyczajona do tego, że mąż nie zwraca na nią uwagi w obecności innych osób. Nie po raz pierwszy Francey zauważył ów fakt i ledwie zdołał powstrzymać gniew. Doszedł także do wniosku, że skoro to ona zaprojektowała pokój, określenie „wulgarny” jest ostatnim, które by tu pasowało.

- W Dublinie? - Podniósł łyżkę, by nie musieć patrzeć na przyrodniego brata. - Tak, w chwili obecnej, tak.

- Taak? - Colin zatrzymał się nagle z łyżką na wpół podniesioną do ust. - Czyżbyś zastanawiał się nad przeprowadzką?

Francey, który nie miał zamiaru nigdzie się przenieść, teraz oświadczył rezolutnie:

- To się jeszcze zobaczy! - Wiedział jednak, że palnął głupstwo. Wyczuł, że tamten nie byłby zachwycony, gdyby nowo odnaleziony brat zamieszkał w sąsiedztwie i chciał dopiec Colinowi za jego zachowanie w stosunku do żony. Z drugiej strony uznał to za dziecinną reakcję i nieomal natychmiast jej pożałował. Zerknął na niego i uśmiechnął się lekko. - Jak na razie jest mi dobrze tam, gdzie mieszkam.

- A jak się ma mały Tommy, Fleur? - Ku ogromnej uldze Franceya George Gallaher zmienił temat rozmowy.

- Doskonale, dziękuję - odrzekła. - Dziś został pod opieką niani. Ja... to znaczy, nie chcieliśmy go denerwować pogrzebem.

Cały czas patrzyła w swój talerz i Francey nagle zapragnął sięgnąć przez stół, by pogłodzić jej niezwykle ciemne rzęsy. Podniósł do ust pierwszą łyżkę czerwonej zupy; smakowała podobnie, jak wcześniejsze kanapki: słodko i rybami, co przypominało mu homary, które kiedyś przynosił matce, gdy wraz z kolegami zastawiał z łodzi sieci na rzece Kenmare.

Przez pewien czas, kiedy wszyscy zajęli się jedzeniem, w pokoju słychać było tylko szum wody i brzęk łyżek o talerze.

- Tommy to mój wnuk, Francey - wyjaśnił George między jednym łykiem zupy a drugim.

- Taak - podjął ów wątek Colin - był dumą i radością Jool. - Roześmiał się cicho. - To wspaniały dzieciak i ma niezwykłą wyobraźnię. Muszę ci pokazać historyjki, które napisał dla

Jool podczas licznych pobytów tutaj. Nie uwierzyłbyś, Francey. Wcale się nie zdziwię, jeśli w przyszłości zostanie pisarzem... pokażę ci później jego zdjęcia. Albo jeszcze lepiej... mamy tu gdzieś dużo filmów nakręconych podczas różnych rodzinnych uroczystości. - Z łyżką zawieszoną ponad talerzem odwrócił się do ojca. - Już wiem! Jeśli nie masz nic przeciwko temu, tato, i jeżeli Francey może zostać na noc, ustawimy ekran i wszyscy tu zostaniemy, by pooglądać stare filmy! Dzięki temu lepiej się poznamy.

- No cóż... - Na twarzy George'a pojawił się wyraz powątpiewania.

Francey aż nadto wyraźnie widział jego niechęć do tego pomysłu i choć z przyjemnością spędziłby tu noc, poznając nie tylko George'a Gallahera - z którym miał wiele spraw do omówienia - ale i Fleur Mannering, wycofał się taktownie.

- Powiniennem wracać... - zaczął, lecz ku jego ogromnemu zaskoczeniu ojciec mu przerwał.

- Doskonały pomysł! - oznajmił mocnym głosem. - A co z Tommym? - George zwrócił się teraz do Colina i Fleur. - Czy nie musicie wracać do niego do Londynu?

Colin pośpiesznie zapewnił go, że mały z pewnością świetnie się czuje pod opieką niani i nic mu nie będzie, jeśli pozostanie z nią także na noc.

- Wybornie. - George uśmiechnął się szeroko, jak gdyby pierwsza jego reakcja nigdy nie nastąpiła. - W takim razie wszystko postanowione, Francey!

- Jesteś pewien, że to nie jest zbyt wielki kłopot?

- Oczywiście, że nie!

Mimo że Fleur nie odezwała się ani słowem, chór dwóch męskich głosów był głośny i wyraźny, Francey zaś zbyt krótko przebywał w tym towarzystwie, by zrozumieć, co kryje się pod powierzchnią związku między ojcem a synem. Istniało tu tak wiele różnych płaszczyzn emocjonalnych, że zdawało mu się, iż błądzi w ciemnościach. Nie miał ochoty wchodzić nikomu w drogę ani wstępować na nieznane sobie, niepewne tereny.

- Zostanę - powiedział. - To znaczy, o ile jesteś przekonany, że nie będę wam przeszkadzał.

- Doskonale! - George zasygnalizował, by pokojówki sprzątnęły talerze po zupie.

Reszta posiłku minęła bez dalszych incydentów, chociaż zmysły młodzieńca, pracujące na najwyższych obrotach, odebrały mnóstwo niedopowiedzeń. Jedzenie - grube plastry pieczeni wołowej z różnorodnymi dodatkami - było wspaniałe, George i Colin zaś prześcigali się w uprzejmościach. Francey zauważył, że jego starszy brat potrafi być bardzo zabawny, jeśli tylko

się postara. Zdawało się też, że i Fleur lekko się odprężyła: nie mówiła zbyt wiele, lecz uśmiech praktycznie nie zniknął z jej twarzy. Wydawała się zaskakująco pasywna, zupełnie jak porcelanowa lalka, lecz to tylko wzmagало jej atrakcyjność w oczach młodzieńca.

Ponieważ nie potrafił zachowywać się tak, jak uważał, że powinien - jak gdyby brał udział w zwyczajnym posiłku, na którym był nikomu nieznanym, lecz mimo to honorowym gościem - Francey strasznie chciał uciec w jakieś odosobnione miejsce. Słuchał uprzejmie George'a, który opowiadał o zaletach domu: jedenastu łazienkach oraz klimatyzacji ogrzewającej go w zimie i chłodzącej w lecie, tak że nie potrzeba było w ogóle otwierać okien, co wydatnie zmniejszyło potrzebę sprzątania...

Później George i Colin zarzucili młodzieńca pytaniami o Irlandię, Dublin, a nawet o jego pracę, zachowując się tak, jak gdyby posada sprzedawcy w sklepie z materiałami budowlanymi była fascynującym zajęciem. Zdawali się nie zauważać jego braku entuzjazmu dla śrub i gwoździ, i właściwie sami wypełniali wszelkie luki i pauzy w rozmowie. Kiedy z uprzejmości zadał podobne pytanie Colinowi, usłyszał w odpowiedzi, że przyrodni brat zajmuje się „importem i eksportem”, o czym Francey nie miał najmniejszego pojęcia, a czego tamten nie chciał wyjaśniać.

Po posiłku nikt nie miał ochoty na koniak ani likiery ku wielkiej uldze Franceya, który z radością przyjął sugestię ojca, że po tak długiej i męczącej podróży powinien odpocząć.

Wskazana mu sypialnia była większa od całego parteru domu w Lahersheen i podobnie jak reszta domu przegrzana, lecz mimo to całkiem przytulna. Młodzieniec pomyślał, że cokolwiek by mówić o ekstrawaganckim guście żony George'a, z całą pewnością wiedziała, jak rozmieszczać światło w pomieszczeniach; nawet gościnny pokój wiele zawdzięczał Edisonowi. Matka chyba by umarła, gdyby zobaczyła ilość watów pożeraną tu przez tuzin bocznych lampek i żarówki podświetlające belki stropowe, które, jak Francey zdążył się już zorientować, były specjalnie wyeksponowane w całym domu. Zauważył także, że na nocnych stolikach po obu stronach łóżka stały nie tylko nieodzowne lampki, ale też aparaty telefoniczne. Zastanawiał się, czy zostało to wymyślone na wypadek, gdyby gość nie zdołał przetoczyć się po ogromnym materacu na czas, by odebrać telefon. Jego jedyna walizka stała pośrodku wielkiego białego dywanu, wyglądając niesamowicie mizernie i nie na miejscu. Francey ucieszył się, że nikt nie może zobaczyć jego nieporządnie spakowanego dobytku, jak również papierowej torby z bielizną, wciśniętej w róg walizki.

Kamerdyner poinformował go, że kolację podaje się o ósmej, i wyszedł.

Francey zdjął marynarkę, wygładził ją i powiesił na oparciu małego krzeselka o wygiętych nóżkach, które stało przy niedużym biurku. Obawiając się, że pobrudzi dywan, zdjął buty i podszedł do okien; spróbował je otworzyć, lecz wszystkie trzy były zamknięte na głucho. Ruszył więc do łazienki. Czegoś podobnego nie widywało się często nawet na zdjęciach w kolorowych magazynach w poczekalni u dentysty. Lustra lśniły, podobnie jak marmurowe powierzchnie i kafelki oraz złote krany nad wanną wpuszczoną w podłogę i Francey przez chwilę zastanawiał się, czy ktokolwiek kiedykolwiek korzystał z tego pomieszczenia.

Adrenalina, która utrzymywała go na nogach przez ostatnie kilka godzin, zniknęła, i wreszcie poczuł zmęczenie. Wrócił do sypialni i stanął przy łóżku, dostatecznie wielkim, by pomieścić całą jego rodzinę, zasłanym ogromnymi poduszkami i pościelą w kolorze kaczek. Rozluźniwszy krawat i pasek u spodni, wyciągnął się na materacu i ze zdziwieniem przekonał się, że stopy nie wystają mu poza krawędź, a wręcz pozostało jeszcze trochę miejsca między nimi a deską w nogach łóżka. Przez następnych kilka minut próbował uporządkować myśli i uczucia krążące mu po głowie niczym figurki na karuzeli, lecz dopiero co zjedzony obfity posiłek, a także połączenie zmęczenia, ciepła i niczym niezmaconej ciszy okazały się zniewalające i wkrótce zasnął.

Obudził się niecałe pół godziny później, spocony, zdezorientowany i niepewny. Powoli zobaczył dokoła siebie wielkie poduszki na żółtym łóżku oraz zarysy pokoju i przypomniał sobie, gdzie się znajduje. W tej samej chwili między jego oczyma a belkami u powały zmateriałizowała się piękna twarz Fleur Mannering.

Zanim zdołał ponownie zasnąć, Francey wyskoczył z łóżka i poszedł w stronę łazienki, zdejmując po drodze zegarek. Była już czwarta. Rozebrał się, upewnił, jak działa prysznic - widział go kiedyś na jakimś amerykańskim filmie - i wstąpił pod łagodny, kojący strumień. Oparty rękoma o przeciwległą ścianę poddał się gorącym strugom wody bijącym w jego plecy i tył głowy. Zastanawiał się, co teraz ze sobą począć.

Najpierwotniejsze instynkty kazały mu uciekać, wydostać się z tego miejsca najszybciej, jak to tylko możliwe. A jednak, gdy uniósł twarz ku ciepłej strudze, wrócił myślami do godzin, które w dzieciństwie spędził, bawiąc się blaszaną kolejką. Przypomniał sobie, jak pragnął, by zabawka urosła do prawdziwych rozmiarów i zawiozła go do ojca. Rozmyślał o czasach, gdy odesłany za karę do swego pokoju, w dziecięcym odruchu gniewu myślał, że nienawidzi matki lub ojczyma, i marzył o tym, że ojciec przybędzie do niego zza wzgórz Knockameala i go uwolni. Zbyt długo zależało mu na tym spotkaniu, żeby uciec. Teraz, gdy wreszcie spotkał

George'a Gallahera, w umyśle Franceya aż kłębiło się od pytań - oskarżycielskich, zaczynających się od słowa „dlaczego”. Musiał zostać, by poznać całą historię z punktu widzenia ojca.

Po jakichś pięciu minutach poczuł się spokojniejszy.

Wyłączył prysznic i stanął w cichej łazience. Kiedy wycierał włosy, kilka odbić jego własnej ogromnej postaci naśmiewało się zeń: „Och, tak? A kogo ty chcesz oszukać?” - słyszał z różnych stron łazienki. Chociaż wcześniej doświadczył już zauroczenia dziewczętami i choć z wielu lektur doskonale znał symptomy *coup de foudre*, tak naprawdę nie wiedział, co to znaczy zostać oczarowanym przez kobietę. W porównaniu z owym wszechogarniającym, potężnym uczuciem szoku i podniecenia, wszystkie jego wcześniejsze fascynacje zdawały się nic nie warte.

Mimo że bardzo nie chciał się do tego przyznawać, teraz nie chodziło już tylko o George'a, lecz i o Fleur.

A jednak jak taka piękna istota mogłaby spojrzeć na niego drugi raz - nawet jeśli nie miałyby męża? Niepodważalnym faktem było - zabronione czy nie - że Francey zapragnął jej tak mocno, iż samo powtarzanie jej imienia wywoływało u niego gęsią skórę. Tarł się ręcznikiem z całej mocy, jak gdyby chcąc usunąć z siebie wstyd i poczucie bezradności, wywołane stwierdzeniem, że fascynuje go żona innego mężczyzny. Kiedy jego skóra stała się już szkarłatna i podrażniona tak, że nie mógł więcej katować się szorstkim ręcznikiem, wrzucił go do kosza, jak się domyślił, przeznaczonego do tego celu i wrócił do sypialni. Gdzieś na karku czuł zapowiedź bólu głowy, a przytłaczające ciepło panujące w pokoju przyprawiało go o mdłości. Musiał zaczerpnąć świeżego powietrza.

Z bałaganu w walizce wyciągnął parę spodni i świeżą koszulę oraz nowy gruby sweter, który specjalnie dla niego zrobiła na drutach przyjaciółka matki, Tilly Harrington. Jednak gdy wciągał przez głowę pulower, zapach wełny i palonego torfu przeniósł go z powrotem do Lahersheen i Francey zatęsknił za matką, za domem.

Choć melanz koligacji rodzinnych w czterech ścianach ich domostwa był dość dziwny i skomplikowany, Francey doskonale znał ów obszar. Czuł, że upłynie jeszcze wiele czasu, zanim zacznie rozumieć różnice między kulturą, w której został wychowany, a obyczajami panującymi we Dworze Inveraray, czy nawet w całej Anglii. Wiążąc buty, pomyślał, że może Hazel miała rację - może lepiej było nie budzić śpiących demonów.

Wyszedł z sypialni najciszej, jak potrafił. Ponieważ, jak się zdawało, wszystkie drzwi wychodziły na ten sam centralny korytarz, bez trudu znalazł drogę do kuchni, z której, jak za-

uważył, było wyjście do małej cieplarni, a potem, dalej, na otwartą przestrzeń. Po drodze nie spotkał żywej duszy, a gdy dotarł do kuchni, przekonał się, że choć warczało w niej kilka urządzeń, także była pusta. W cieplarni pracował starszy mężczyzna; kiedy Francey przechodził, tamten uniósł głowę i zobaczywszy go, pozdrowił. Młodzieniec odpowiedział mu machnięciem dłoni i wreszcie wyszedł na świeże powietrze.

Mimo że ziemia nadal była mokra, przynajmniej deszcz przestał już padać, a pomiędzy szybko płynącymi chmurami widać było kilka skrawków jasnego błękitu. Francey z radością powitał ów widok, lecz zadrżał na myśl o własnej głupocie: myślał, że klimat w Anglii będzie cieplejszy i bardziej suchy od panującego w Irlandii i nie wziął ze sobą płaszcza. Chociaż sweter wydawał się gruby i ciepły, luźny splot bez trudu przepuszczał lodowate podmuchy wiatru.

Chuchnął w dłonie i stanął, by nieco się rozejrzeć. Tył domu był równie dobrze utrzymany, jak front; czyste, zwirowane ścieżki przecinały trawniki, a z miejsca, w którym się znajdował, widział ogród warzywny i dziecięcy plac zabaw z huśtawkami, miniaturową karuzelą i ogromną kwadratową ramą, umieszczoną poziomo, blisko metr nad ziemią. Rozciągnięto na niej płachtę materiału czy nawet gumy. Francey pomyślał, że jest to może jakiś amerykański wymysł ułatwiający opalanie się.

Z jego lewej strony znajdował się kompleks stajenny: niskie budynki rozmieszczono po bokach prostokąta, na który wchodziło się przez łukowato sklepioną bramę. Francey zawahał się, widząc jakiś ruch na podwórzu, lecz później ciekawość wzięła w nim górę. Przez krótki, choć wspaniały okres jego dzieciństwa, mieli w Lahersheen pięknego karego wałacha o imieniu Piorun, którego chłopiec, wówczas sześciolatek, ogromnie kochał. Niestety koń musiał zostać zabity po wypadku, w którym straciła życie najstarsza z przybranych siostr Franceya powożąca wówczas bryczką, matka zaś, ku wielkiemu żalowi chłopca, nigdy nie zgodziła się na kupno drugiego.

Kiedy wszedł na dziedziniec przed stajniami i zobaczył stojące tam dwa konie, aż wstrzymał oddech. Te zwierzęta były większe od wszystkich, jakie kiedykolwiek widział; w porównaniu z nimi, nawet z dziecięcej perspektywy, kary wałach wydawał się zaledwie źrebakiem. Oba czyszczone przez stajennych konie były czarne, i miały białe strzałki na pyskach oraz białe skarpetki. Kopyta zasłaniała im długa biała sierść porastająca pęciny. Obydwa zastrzygły teraz uszami, okazując zainteresowanie nowo przybyłemu.

- Dzień dobry panu! - zawołał jeden ze stajennych, gdy tylko młodzieniec stanął przy bramie.

- Czy mogę podejść? - Kiedy tamten skinął głową, Francey wszedł i zamknął za sobą furtkę. - Wspaniałe zwierzęta - powiedział, wskazując konie, które patrzyły na niego z góry. - Najwyraźniej pięknie dobrana para.

- A tak - odparł stajenny, pochylając się nad przednią nogą jednego ze swych podopiecznych.

- Jaka to rasa?

- To shiry - padła odpowiedź. - Ten tu to Goliat, a drugi nazywa się Samson. Niewiele ich już zostało. Kilka par tu, kilka w Ameryce. W ciągu ostatnich lat wiele ich poszło na rzeź, a pan Gallaher jedyny w okolicy jeszcze je trzyma... a teraz to już nie wiem, jak będzie... My tu tylko pracujemy i dbamy, by dobrze wyglądały... - Umilkł i całą swą uwagę poświęcił rozplątywaniu długiej sierści porastającej potężną nogę zwierzęcia.

- Czy mogę zobaczyć pozostałe? - Francey poklepał Goliata po lśniącej szyi i zerknął w stronę stajni, gdzie kilka koni wystawiało łby z boksów i patrzyło w jego kierunku.

- Ależ oczywiście - odpowiedział stajenny. - Tylko niech pan uważa na Amazonkę, bo potrafi czasem ugryźć.

Stajnię zaprojektowano tak, że po obu stronach szerokiego przejścia znajdowały się boksy; wiele z nich było pustych, lecz na drzwiach ośmiu wisiały mosiężne tabliczki z imionami zwierząt. Oprócz Samsona i Goliata mieszkaly tu także Trojan, Ulisses, Tarzan, Richard, Jumbo i Amazonka. Francey ominął klacz szerokim łukiem, lecz głaskał i klepał wszystkie pozostałe konie. W odpowiedzi parskały cicho i podrzucały wspaniałymi łbami; Trojan wyciągnął szyję i zaczął skubać wargami kieszonkę na piersi młodzieńca.

- To straszny łasuch! - zawołał drugi ze stajennych. - Przepada za czekoladą, ale jest na diecie.

- Ile mierzą te konie? - Francey cofnął się o kilka kroków, by podziwiać je razem.

- Zależy który - odrzekł tamten. - Trojan ma ponad dziewiętnaście dłoni... to największy z naszych ogierów... mnie się zdaje, że jeden z największych na świecie. Waży blisko półtorej tony. Klacz jest najmniejsza... niewiele ponad siedemnaście dłoni. Ma się źrebić w maju. Może chciałby pan zabrać do Irlandii małego shira?

- Ach, taak... - Francey uśmiechnął się szeroko. Wieści rozchodziły się lotem błyskawicy.

- Jest tu jeden Irlandczyk - dodał pierwszy stajenny. - To koniuszy, Mick O'Dowd. Ale dzisiaj ma wolne.

- Rozumiem. No, cóż... dzięki, że pozwoliliście mi się tutaj rozejrzeć. Powodzenia z

końmi - dodał, stając przy bramie.

- Taak, jeśli coś z nich zostanie. To już decyzja pana Gallahera... w końcu to jego zwierzęta. - Pierwszy stajenny otarł czoło rękawem. - Ale tak czy inaczej, będziemy o nie dbać.

Francey poczuł się znacznie lepiej: ogrom i siła zwierząt sprawiły, że potrafił już spojrzeć z dystansu na wszystkie dotychczasowe wydarzenia. Po lewej stronie, czterysta metrów dalej, zauważył niewielką zalesioną dolinę, udał się więc w tamtym kierunku. Znalazłszy się na skraju lasu, zobaczył, że plac zabaw nie jest jedynym dowodem świadczącym o tym, że w rodzinie było dziecko. Wśród karłowatych drzewek i krzewów stały postaci z filmów Disneya: Bambi, Pluto, Myszka Mickey i Minnie oraz mnóstwo figurek leśnych zwierząt. Króliki, wiewiórki i lisy przycupnęły w trawie w bardzo naturalnych pozycjach, na gałęziach drzew lub na drucikach rozpiętych między konarami siedziały kolorowe ptaki. Dalej obracał się maleńki wiatrak, a nad niewielkim strumieniem stał młyn; spiętrzona woda rozlewała się w nieduży staw, do którego prowadziły kamienne schodki, nad strumykiem zaś przerzucono drewniany mostek. Nieopodal umieszczono dwie gipsowe figurki, mające najprawdopodobniej przedstawiać Jacka i Jill*, trzymających się za ręce i spoglądających w głąb studni.

* Postaci z amerykańskiej piosenki dla dzieci (przyp. tłum.).

Chwilę później Francey zauważył wąską dróżkę wijącą się za bramą pośród choinek. Ścieżka ta jednak nie była wysypana żwirem, lecz wyłożono ją żółtymi cegiełkami, a na wpół ukryty za pniem jednego z drzew stał jaskrawoczerwony drogowskaz, na którym napisane było tylko jedno słowo: „Oz”**.

** Czarodziejska kraina z książek dla dzieci Franka Bauma, do której wędrowała zaczarowaną dróżką Dorotka z przyjaciółmi: Blaszanym Drwalem, Tchórzliwym Lwem i Strachem na Wróble (przyp. red.).

Temu już Francey nie potrafił się oprzeć. Przeszedł przez bramę i podobnie jak Dorotka, ruszył przed siebie żółtą dróżką.

Mimo że po obu stronach ścieżki widać było ingerencję człowieka - ktoś starał się utrzymać roślinność w ryzach, by nie zarastała Zaczarowanej Dróżki - w odróżnieniu od reszty posiadłości ten las został oddany we władanie naturze i przypominał starodawną puszcę. Francey szedł bardzo powoli, rozkoszując się każdym krokiem po tej niezwyklej, wijącej się niczym wąż ścieżce. Obserwował grę światłocieni na liściach i przefiltrowane przez gałęzie nad

jego głową blaski promieni słonecznych. Odetchnął głęboko i podobnie jak niegdyś w parku Phoenix w Dublinie przekonał się, że nawet pogrążony we śnie las wygrywa własną melodię.

Co jakiś czas między drzewami widział kolejne disneyowskie postaci: tu zaskoczona gipsowa sarenka zerknęła na niego znad śniadania na łączce, tam sowa przyglądała mu się z gałęzi. Witających go figurek ciągle przybywało: Blaszy Drwal wypolerowany do połysku uśmiechał się spod metalowej bramy, za którą nic się nie znajdowało, Strach na Wróble zwiślał z kija pośród czegoś, co wyglądało na pole rzepy, Tchórzliwy Lew zaś chował się przed nim za krzaczkiem, który zupełnie się do tego celu nie nadawał. Tuż obok Franceya, na ścieżce, na wysokości jego kostek maszerował cały tłum maleńkich ludzików: tyci piekarze, krawcowe, kołodzieje, kowale, matki z dziećmi, a nawet hycel, ciągnący za sobą małego smutnego kundelka.

Ktokolwiek stworzył tę bajkową ścieżkę, musiał mieć serce dziecka i nieograniczone zasoby gotówki. Biorąc pod uwagę urządzenie jadalni, musiała być to żona George'a Gallahera.

Żółta dróżka kończyła się nie przed zamkiem Czarnoksiężnika, lecz przy ogromnym pniu drzewa, które upadło - lub zostało powalone - tak dawno temu, że korę porastały mchy, bluszcz i małe krzaczki. Z jednej strony sterczały grube konary, między którymi ktoś zbudował domek.

W środku siedziała Fleur Mannering.

Francey był tak zuroczony swym spacerem i otoczeniem, że nie zauważył bratowej, dopóki nie stanął jakieś cztery kroki od niej.

- Och! Przepraszam... nie zauważyłem...

- Nic się nie stało.

Chociaż serce waliło mu jak oszalałe, raz jeszcze przekonał się, że Fleur zadziwiająco dobrze znosi niespodzianki.

- Często tu przychodzę - dodała. - Babcia Tommy'ego kazała urządzić to wszystko jako niespodziankę na jego siódme urodziny.

- Rozumiem. A ile on ma teraz lat? - Francey, który musiał się schylać, by przejść pod niektórymi konarami, znowu strasznie się zawstydził swego wzrostu.

- Prawie jedenaście. Będzie mu brakowało babci.

- Oczywiście.

- Naprawdę podobała ci się jadalnia?

Fleur wyszła z domku; miała na sobie długi do ziemi płaszcz ozdobiony szerokim kołnierzem z lisa. Zasłoniła dolną część twarzy dłońmi w rękawiczkach i spoglądała na Franceya z

ciekawością.

- O, tak - odpowiedział niepewnie. - Jest cudowna. - Później, czując, że to nie jest to, co chciała usłyszeć Fleur, spróbował naprawić błąd: - Przynajmniej tak mi się wydaje.

Uśmiechnęła się, słysząc jego słowa.

- Jool... babka Tommy'ego... miała niezwykle pomysły. Podobnie jak George. Udało mi się nieco pohamować przynajmniej niektóre z nich.

- Na przykład jakie?

Zaczęli iść głębiej w las, poza żółtą dróżkę. Mech w poszyciu tłumiał odgłos ich kroków. Fleur cały czas się uśmiechała.

- Po pierwsze, George chciał, by akwarium zostało wmontowane w stół, tak by można było widzieć ryby przepływające pod talerzami, widelcami i nożami. Jool uważała, że to wspaniały pomysł. Uważała też, że spodobałoby się to bardzo Tommy'emu. Widzisz, on jest głuchoniemy, więc chciała wypełnić dom rzeczami miłymi dla jego pozostałych zmysłów.

Francey chłonał każde jej słowo i każde brzmiało dlań jak muzyka. Dopiero po chwili zganił się za brak współczucia.

- Przykro mi - powiedział po prostu. - Czy nie słyszy od urodzenia?

- Tak. - Fleur wskazała na półkoliste przejście między dwoma świerkami, których górne gałęzie były splecione ze sobą. - Może pójdziemy tędy? - Jej spokojna odpowiedź i szybka zmiana tematu wstrząsnęły Franceyem; szedł za nią, schylając się pod gałęziami. - Powinieneś zobaczyć jego pokój w tym domu - mówiła dalej przez ramię. - Jest nie tylko kolorowy... tam wszystko, co się nie rusza, jest albo futrzaste, albo miękkie, albo może się zmienić w coś innego. Strasznie podoba mi się twój sweter - dodała. - Irlandzki?

- Tak. Przyjaciółka zrobiła go specjalnie dla mnie; to znaczy, właściwie przyjaciółka mojej matki - poprawił się Francey w obawie, by nie pomyślała przypadkiem, że miał dziewczynę. - Wydaje się, że żona mojego ojca jest... to znaczy, była... wspaniałą kobietą.

Odsunął nisko wiszącą gałąź, by nie zaczepiła o włosy Fleur, które z wyjątkiem jednego grubego pasma były wsunięte pod kołnierz. Wiele go kosztowało opanowanie impulsu, by je pogładzić.

Fleur podziękowała mu za galanterię lekkim skinieniem głowy.

- Była naprawdę niesamowita. Tommy będzie za nią bardzo tęsknił... ja także.

Szli teraz w milczeniu. Oprócz wąskiej ścieżki, po której spacerowali, ta część lasu zdawała się nietknięta ręką człowieka i choć Francey często musiał schylać głowę pod drzewami,

nie był pewien, czy chce tak iść do końca swoich dni, czy też jak najszybciej wrócić do domu. Z konieczności szli bardzo blisko siebie i w pewnej chwili pomyślał, że wzięcie Fleur na ręce okazałoby się najprostszą sprawą pod słońcem. Wystarczyłoby wyciągnąć prawą rękę; potrzebował na to ćwierć sekundy. Kiedy bywał w Eyeries, wiosce położonej najbliżej Lahersheen, zaglądał do kinematografu, który często się zacinał. Podobnie jak na tamtych filmach, widział siebie podnoszącego Fleur z ziemi i stawiającego ją z powrotem na nogach, podnoszącego i stawiającego, podnoszącego... Wiedział, że byłaby lekka jak piórko, a zapach jej skóry...

Gdy znaleźli się na naprawdę wąskim odcinku dróżki, Francey z ulgą wycofał się za bratową i został parę kroków z tyłu, udając, że przygląda się jagodom na krzaczku. Aby przywołać się do rzeczywistości, zgniótł w dłoni kolczastą gałązkę, mając nadzieję, że ból przywróci mu rozsądek.

Kiedy dogonił Fleur tuż przed małą polaną, ssał wskazujący palec, który lekko krwawił od owych eksperymentów. Tu znowu widać było miłość Jool do przybranego wnuka: labirynt, przystosowany do wzrostu dziecka, został skonstruowany z małych płotków z drucików, na których opierały się grube ściany z iglaków i bluszczu.

- To także dla Tommy'ego? - Francey był pewien, że Fleur usłyszy w jego głosie wysiłek, by to pytanie brzmiało zwyczajnie.

- Tak. - Przystanęła i poprawiła jeden z liści bluszczu. - Nie wiem, co teraz pocznę. Było to tak nieoczekiwane, że przez chwilę nie wiedział, co jej odrzec.

- Z pewnością czas... - Zaczął klepać formułkę kondolencyjną, lecz mu przerwała:

- Obawiam się, że to nie takie proste. - Podniosła wzrok i spojrzała na przeciwny kraniec labiryntu, gdzie widać było kolejny czerwony znak wskazujący drogę do Krainy Oz. - Przykro mi, że zjawiłeś się w tak nieodpowiednim czasie... - szepnęła. Francey był przekonany, że chciała powiedzieć coś innego, jednak się rozmyśliła.

- Mnie także jest przykro - odrzekł - lecz nie miałem o niczym pojęcia. Może nie powinienem był zostawać, ale już od bardzo dawna chciałem poznać ojca...

- Oczywiście. - Zawahała się nieco. - Naprawdę o niczym nie wiedziałeś?

Dopiero teraz Francey uświadomił sobie, że Fleur - zapewne podobnie jak oni wszyscy - uważa, iż zjawił się tu w dniu pogrzebu ze względu na pieniądze. Zaczął zmieniać swoją pierwotną opinię na temat jej pasywności.

- Przysięgam, że tak - powiedział. Nagle zaczęło mu ogromnie zależeć na tym, by mu uwierzyła. - A zresztą skąd mogłem wiedzieć...

- Nie było o tym żadnej wzmianki w gazetach?

- Na pewno nie w irlandzkich; z całą pewnością nie. Dopiero kilka tygodni temu dowiedziałem się, że mój ojciec ożenił się z bogatą damą z Ameryki. A i to tylko dlatego, że... - urwał. Wiedział, dlaczego nie chce jej mówić o Hazel Slye: po raz kolejny nie chciał, by Fleur Mannering odniosła wrażenie, że w jego życiu jest jakaś kobieta. Dokończył więc kulawo: - To długa historia... ale musisz mi uwierzyć. Nie miałem pojęcia, gdzie znajduje się mój ojciec, do chwili gdy zobaczyłem fotografię ślubną wyciętą z gazety sprzed dwunastu lat. I to z angielskiej gazety.

- Rozumiem. - Fleur najwyraźniej rozważała jego zapewnienia. Później uśmiechnęła się lekko. - Twój ojciec jest niezwykłym człowiekiem.

- Tak też mi się wydaje. Chyba niezbyt się ucieszył na mój widok.

- Być może.

Gdyby Fleur odznaczała się przeciętną wrażliwością, pomyślał Francey, zapewniłaby go, że się myli. Ale ona nie była przeciętna pod żadnym względem, więc nawet nie za bardzo zdumiał go brak zwykłej uprzejmości z jej strony.

- Podejrzewam, że trudno mu się dziwić. - Spojrzał w kierunku centrum małego labiryntu. - W końcu zjawilem się tu bez uprzedzenia. Może powinienem był zadzwonić, powiedzieć...

- Być może. - Podniosła kołnierz płaszcza tak wysoko, że zakrywał teraz większą część jej twarzy.

- Mimo wszystko wydaje mi się, że go lubię - wyznał jej Francey. - I chcę go zapytać o wiele rzeczy.

- Wszyscy lubią George'a. - Fleur spojrzała na niego przelotnie. - Chyba powinniśmy już wracać do cywilizacji. Pewnie będą się zastanawiać, gdzie przepadliśmy...

- Czy mogę spytać, skąd pochodzisz? - wypalił Francey, gdy weszli na następną wąską ścieżkę.

- Urodziłam się w Bangkoku. Jestem pół-Tajką. - Coś w jej tonie ostrzegło go, by nie zadawał więcej pytań, lecz chwilę później złagodniała. - Mój ojciec był Francuzem, dlatego matka nazwała mnie Fleur. Oczywiście, nigdy go nie znałam... więc mamy coś wspólnego lub raczej mieliśmy, aż do tej chwili.

Poszła rażno do przodu, nie dając Franceyowi czasu, by sklecił odpowiedź na tę nieoczekiwaną nowinę. Zbliżyli się do małego mostu zrobionego z drewnianych bali, przerzuconego nad strumykiem. Mostek był wilgotny i śliski, toteż Francey nalegał, że pójdzie pierwszy i ujął

za rękę Fleur, by pomóc jej przejść na drugą stronę. Chociaż przyjęła pomoc, a jej dłoń w rękawiczce oparła się o jego rękę, zauważył, że bratowa porusza się z gracją baletnicy i zupełnie nie potrzebuje jego asekuracji.

Minutę później znaleźli się z powrotem obok domku na drzewie i ruszyli w kierunku dworu. Kiedy wychodzili z lasu, Francey poczuł, że jeśli teraz nie powie czegoś istotnego, Fleur na zawsze mu się wymknie.

- Pani Mannering... Fleur!

Obróciła się zaskoczona.

- Tak?

To imię wyrwało mu się z głębi serca, lecz teraz, gdy patrzył w jej zdziwione oczy, nie mógł nic z siebie wykrztusić. Zmusił się do powiedzenia czegoś... czegokolwiek.

- Nic... - mruknął, ale chwilę później otrząsnął się i rzucił pierwsze pytanie, jakie przyszło mu do głowy: - Czy zobaczymy się podczas kolacji?

- Oczywiście.

Stali na ścieżce w bladej plamie słońca tak blisko siebie, że czuł zapach jabłek unoszący się z włosów Fleur. Franceyowi wydawało się, że w jej oczach dostrzegł błysk rozbawienia, lecz zniknął równie szybko, jak się pojawił i młodzieniec nie był już pewien niczego.

Ujęła go pod ramię.

- Idziemy?

Kiedy ruszyli przed siebie, Franceyowi było wszystko jedno, czy zrozumiała, co on do niej czuje, i czy gardzi nim za to. Niech będzie, co ma być, pomyślał obserwując, jak jej włosy lśnią nieomal granatowo w jasnym świetle dnia.

Udało mu się dowiedzieć jednej rzeczy o Fleur Mannering: na pierwszy rzut oka wydawało się, że tkwiła w cieniu swego mdłego, niezdecydowanego męża, lecz Francey gotów był się teraz założyć o wszystko, że jest zupełnie inaczej. Fleur jest bardzo zdecydowaną kobietą, która potrafi sama o sobie stanować. Ta myśl tylko podsyciła jego przepelnione poczuciem winy podniecenie.

Wiadomość, którą George Gallaher otrzymał przez telefon, była tak porażająca, że zamiast odłożyć słuchawkę na widełki, zamarł w bezruchu, wpatrując się w nią przez bardzo długi czas, jak gdyby została zrobiona z czegoś zadziwiającego.

Siedział przy biurku w swoim gabinecie, jeszcze jednym z fantazyjnych pokoi Jool, który kazała zbudować i poleciła mu urządzać wedle własnego uznania, raczej z uczucia do męża niż

ze względów praktycznych. Ponieważ George właściwie nie pracował, a jego zainteresowania były nieliczne, wyposażył ów pokój tak, jak wedle jego gustu powinien wyglądać gabinet bogacza. Dzięki swej aktorskiej wyobraźni osiągnął zdumiewający efekt: meble ze skóry i drewna lśniły, a ponieważ nigdy ich nie używano, nadal wyglądały jak nowe. Jool była na tyle taktowna, że nigdy nie pytała go, co robi, gdy udaje się do swego azylu. Pewnie zakładała, że czytuje tam książki. Nawet jednak pobieżne przejrzanie biblioteczek z oszklonymi drzwiczkami ujawniłoby kilka zestawów identycznych tytułów. Książki do gabinetu zostały kupione w Londynie na metry.

Ostrożnie, jakby to była najrzadsza porcelana, George odłożył słuchawkę na czarne widelki i nieomal podskoczył, gdy rozległ się cichy szcęk. Dzwonił do niego prawnik Jool, aby - jak powiedział - przygotować go na zaskakującą treść ostatniej woli Julii Dill Smith Gallaher. Oczywiście, George zapytał go, co ma na myśli, lecz prawnik zaledwie raczył odpowiedzieć, że przy czytaniu testamentu mają być obecni wszyscy członkowie rodziny.

Włącznie ze świeżo odnalezioną zgubą, Francisem Sullivanem.

George wstał od schludnego biurka i podszedł do okna wychodzącego na trawniki za domem. Założył ręce na plecach i kołysał się w przód i w tył na piętach. Myślał, że być może nadeszła chwila, gdy przyjdzie mu spłacić długi za grzechy młodości. Najpierw Colin, a teraz Francey. A ten cholerny prawnik wspominał też coś o trzecim synu, owocu cholernego romanu z Killarney, sprzed lat; jeśli sprawy potoczą się tak, jak dotychczas, nie zdziwi się, jeżeli i ten smarkacz zapuka do jego drzwi.

George, z ponurą miną, w milczeniu wykonał gest, jakby kłaniał się kapeluszem zmarłej żonie, która najwyraźniej wiedziała o nim więcej, niż kiedykolwiek dała mu odczuć. Ależ była z niej dama z klasą; inna kobieta nie potrafiłaby utrzymać w tajemnicy takiej broni. George znał swoją Jool dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że nigdy by go nie wydziedziczyła, ale adwokat w oszczędnych słowach przygotował go na to, że będzie trzeba się podzielić spadkiem. Zbyt go to nie zmartwiło - w końcu jest mnóstwo do podziału - obawiał się jednak, że może być zmuszony do spotkań z synami. Byłoby całkiem w stylu Jool, która całe życie cierpiała, że nie może mieć własnych dzieci - sprawić, aby wreszcie wziął na siebie odpowiedzialność za własne potomstwo. Nic z tego, pomyślał. Poza tym i tak wszyscy są już dorośli. A w wieku sześćdziesięciu pięciu lat on sam też nie jest w rozkwicie sił...

Ten ciąg myślowy został nagle przerwany, gdy George dostrzegł kogoś w oddali, przy oczku wodnym.

- No, no, no... - Zagwizdał cicho pod nosem. - Francey i Fleur... ciekawe!

Uśmiechnął się z podziwem dla szybkości działania nowo odnalezionego syna. Może chłopak jednak nie jest takim prostym parobkiem ze wsi, jakim wydał mu się przy pierwszym spotkaniu. Patrzył, jak dwie postacie zatrzymują się tuż przy obrzeżu lasu. Byli zbyt daleko, by mógł zauważyć, czy się dotykają, lecz stanowczo stali bardzo blisko siebie. Zbyt blisko...

Przed obiadem wypili koktajle, co się odbyło w niezręcznej ciszy. Francey wiedział, że to nie czas, by zadawać pytania, George zaś pogrążył się w introspekcji: popijał swoją whisky, nie czyniąc żadnego wysiłku, by nawiązać z kimkolwiek rozmowę. Ponieważ młodzieniec nie wykształcił w sobie jeszcze wiarygodnego barometru, który odczytywałby skomplikowane nastroje ojca, odnosił niejasne wrażenie, że jest bacznie obserwowany, lecz powiedział sobie, że w tych okolicznościach to naturalne.

Fleur i jej mąż znowu siedzieli obok siebie na jednej z kanap, a już pięć minut po wejściu do pokoju Francey pomyślał, że jego pierwsze wrażenie, iż coś między nimi jest nie tak, teraz zostało potwierdzone i wzmocnione. Colin zdominował rozmowę, mimo że była wyjątkowo zdawkowa, wyciszone zaś zachowanie jego żony zupełnie nie przypominało sposobu bycia młodej, pewnej siebie kobiety, którą Francey spotkał wcześniej tego dnia w lasu za domem. W obecności męża Fleur Mannering nie była sobą i zachowywała się tak, jakby Colin miał nad nią jakąś władzę.

Kiedy zaanonsowano kolację, wszyscy podnieśli się z ulgą.

Żyrandol wiszący nad stołem w jadalni rzucał przytłumione światło; wszedłszy do pokoju, Francey znowu poczuł się tak, jakby wstępował do podwodnej jaskini. Wszyscy czworo usiedli przy tych samych miejscach, które zajmowali podczas lunchu: była to jedna z rzeczy, które stale zadziwiały Franceya - że ludzie nieodmiennie kierują się ku temu, co powtarzalne i znajome. Pracując w sklepie w Dublinie, zauważył, że klienci zawsze starają się zwrócić do tego samego sprzedawcy, co poprzednim razem, a nawet stają w tych samych miejscach, gdzie wcześniej byli obsługiwani.

- Czy mogę spytać, co to za zupa? - zapytał po jakichś pięciu minutach, bardziej po to, by przerwać drażniącą ciszę niż z prawdziwego zainteresowania.

- Czosnkowa. - George nawet nie podniósł wzroku.

- Aha. - Francey, który odkąd zasiedli przy stole, nie odważył się ani razu zerknąć na Fleur Mannering, nie rozumiał, dlaczego nagle teraz poczuł się spokojniejszy. Miał wrażenie, jak gdyby był tylko obserwatorem przy tym stole i czekał, aż pozostali gracze wykonają swoje

ruchy. - Doskonała - dodał, nabierając pełną łyżkę i przełykając tak cicho, jak tylko potrafił.

- Jak ci się spacerowało po lesie? - George podniósł nagle wzrok znad talerza.

Mimowolnie Francey zerknął na Fleur, której oczy gwałtownie się rozszerzyły - ze strachu? ostrzegawczo? - a potem wróciły do zwyczajnej obojętności.

- Bardzo ciekawie - odrzekł. Powiódł spojrzeniem od George'a do Colina, lecz widząc brak zainteresowania na twarzy brata, z powrotem popatrzył na ojca. - Tam jest... jak w bajce. Twoja żona miała niezwykłą wyobraźnię.

George uśmiechnął się lekko.

- Z całą pewnością - zgodził się spokojnie, po czym odłożył łyżkę obok na wpół pełnego talerza. - I jeszcze z nami nie skończyła.

- Co takiego? - Colin przerwał jedzenie.

- Dowiesz się wszystkiego w poniedziałek - wyjaśnił ojciec. - Wiem równie mało, co wy, ale otrzymałem dziś telefon od adwokata Jool.

- No i? - Colin przestał mieszać zupę.

- Musimy poczekać. - George uśmiechnął się do wszystkich. - Ty także, Francey - dodał, patrząc na młodszego syna. - Najwyraźniej ty też figurujesz w jej testamencie.

- Niemożliwe! - Młodzieniec, nadal oszołomiony tym, że ojciec widział go z Fleur, był w podwójnym szoku.

- To prawda. - George, z oczyma błyszczącymi wesołością - lub może niezadowoleniem, tego Francey nie wiedział - rozglądał się wokół. - Zdaje się, że moja Jool dokładnie odrobiła pracę domową. Kiedy powiedziałem temu całemu prawnikowi, że tu jesteś, wcale nie wydawał się zaskoczony. Stwierdził nawet, że to zaoszczędzi mu nieco kłopotu. Ty także masz być obecna przy odczytaniu testamentu, moja droga - zwrócił się do synowej.

- Oczywiście. - Fleur jadła spokojnie cały czas. Ona jedna nie wydawała się zaskoczona dziwnymi nowinami George'a.

- Ale ja muszę wracać do domu. Mam pracę... - Francey nie potrafił jeszcze pogodzić się z wiadomością o testamencie Jool.

- Możesz do nich zadzwonić jutro rano. Jestem pewien, że twój szef to zrozumie.

Młodzieniec zerknął na Fleur, która właśnie kończyła zupę, a później na Colina, siedzącego z otwartymi ustami przy stole. George uśmiechnął się najbardziej czarująco, jak tylko potrafił.

- No cóż... - powiedział do całej trójki. - Ale z nas skomplikowana rodzinka, czyż nie?

Rozdział piąty

Kochany George'u,

osobny list do Ciebie zostawiłam w skrytce depozytowej banku w Little Staunton.

Prawnik czytał list Julii Dill Smith Gallaher, zapisany na czterech grubych stronicach wytwornego papieru eleganckim charakterem pisma, jak gdyby była to lista na zakupy.

Tam też napisałam, ile znaczyło dla mnie to, że zostałeś moim mężem w jesieni mego życia. Chcę jednak, by niniejszy list odczytano przy wszystkich wraz z moją ostatnią wolą. Nie chodzi mi o to, żeby wystawić nasze prywatne życie na widok publiczny, George; po prostu nie chcę, by ktokolwiek po swojemu zinterpretował moje słowa lub wyciągnął pochopne wnioski. Chcę Ci wyjaśnić, jak przebiegał mój proces myślowy i dlaczego w testamencie zadecydowałam tak, a nie inaczej. (A przy okazji, list ten piszę już po sporządzeniu testamentu, co może poświadczyć pan Solomon, który udzielił mi fachowych porad i jak wiesz, od wielu lat wiernie i skutecznie pomagał w sprawach zarówno osobistych, jak i przedsiębiorstwa, tak w Anglii, jak i w Stanach).

Prawnik, który siedział u szczytu szklanego stołu, sięgnął po szklanekę z wodą i wypił spory łyk. Cały czas wzrok miał spuszczonej i ani razu nie spojrzał na zbitą grupkę ludzi słuchających w napięciu po przeciwnej stronie. Wszyscy zamarli, zwróceni twarzami w kierunku adwokata, i w rezultacie Francey, który czuł się jak intruz, nie widział ich twarzy. Baczenie przyglądał się grubym spiralom i zawijasom pod wypolerowaną powierzchnią szklanego blatu.

Pomyślał, że przez resztę życia ten stół będzie miał dla niego niesłychanie ważne znaczenie.

Wiele rozmyślałam o tym, co zrobić - kontynuował adwokat - a pan Solomon lub jeden z jego podwładnych, który będzie czytał ten list, potwierdzi, że nie jestem zwariowaną starą babą bredzącą trzy po trzy, lecz że wszystko bardzo skrupulatnie rozważyłam. Jak dobrze wiesz, George, jednym z przywilejów bogactwa jest to, że masz wolną rękę w wydawaniu całej tej

cholonej forsy. Ale w parze z owym przywilejem powinna iść także odpowiedzialność. I, wierz mi, postanowienie, co zrobić z pieniędzmi, kiedy już ma się opuścić ten świat, jest całkiem poważnym problemem. Ostatnia rzecz, jakiej bym chciała, to klótnie wybuchające między tymi, którzy pozostali. Widziałam podobne sytuacje u znajomych w Stanach i zapewniam cię, że to strasznie przykre. A i tak zawsze w końcu zyskują prawnicy.

Zaczęłam się nad tym zastanawiać, kiedy nasz doktorek powiedział mi, że powinnam zacząć porządkować swoje sprawy, jak to czarująco ujmują po tej stronie Atlantyku. Usiłowałam zrozumieć, na co można wydać pieniądze i jakie też dobry Bóg miał zamiary, gdy czynił jednych z nas bogatymi, a innych biednymi. Niektóre z konkluzji, do których doszłam, wydają się oczywiste: to jasne, że pieniądze należy rozdawać. Ci z nas, którzy mają środki, by pomagać innym, powinni to czynić i przekonasz się, że żadna z moich organizacji charytatywnych nie została pominięta. Interesy także są bardzo ważne: pomyśl tylko o wszystkich naszych pracownikach, którzy muszą wykarmić rodziny i mają też własne marzenia. Więc, oczywiście, mam również obowiązek chronić moje imperium, jak zwykleś je nazywać, i przekonasz się, że tym także już się zajęłam.

Jednak nawet po załatwieniu owych wszystkich spraw pozostanie jeszcze całkiem sporo przedmiotów i gotówki do rozdania. Być może to, co zamierzam zrobić, nieco Cię zaskoczy, ale mam nadzieję, że nie będziesz zawiedziony. Znając Cię, jestem przekonana, że przyjmiesz wszystko tak, jak postanowiłam. Na pewno wiele razy słyszałeś, jak mówiłam, że rodzina jest imperium najważniejszym ze wszystkich, prawda, George? Niestety, dobry Bóg nie zechciał obdarować mnie własnymi dziećmi, ale Tobie dał aż trójkę. A może jest ich więcej, tylko nic mi o nich nie wiadomo? Przepraszam, George, to tylko taki mały żarcik.

Jak gdyby nie zauważając pełnej napięcia ciszy panującej w pokoju, adwokat ponownie napił się wody. Francey, teraz już tak zażenowany, że starał się skulić do jak najmniejszych rozmiarów, cały czas nie spuszczał oczu z prawnika, którego łysiejąca czaszka, spory brzusek, okulary w złoczonej oprawce i elegancki szeroki krawat były uosobieniem wszystkich wyobrażeń młodzieńca na temat stylu życia bogatych członków palestry. Wyobrażał sobie, że może wyczuć fale szoku emanujące z krzesła w tyle, gdzie siedział Colin Mannering. Chociaż wydawało się, że przyrodni brat nie ma doń osobiście żadnych pretensji, trudno było uwierzyć, iż nie jest ani trochę rozczarowany. Aż do niedawna Colin uważał, że poza George'em on i jego rodzina są jedynymi spadkobiercami fortuny macochy. Teraz uderzyła w niego wieść, że będzie

musiał dzielić się nie tylko z jednym, lecz z dwoma braćmi. Kiedy adwokat ponownie zaczął czytać, Francey z trudem powstrzymał się od zerknięcia na wszystkich wokoło.

Jednak im więcej myślałam o spotkaniu ze Stwórcą, tym więcej rozmyślałam też o moim życiu i zastanawiałam się, dlaczego, kiedy już byłam pewna, że zostanę samotną wdową, Pan przysłał Cię do mnie. I nagle mnie oświeciło. Chciał, bym w końcu miała rodzinę. Kiedy wzięliśmy ślub, George, twoi trzej synowie stali się moimi, nawet jeśli miałam przyjemność poznać tylko jednego z nich. Muszę się nimi zaopiekować, George, w końcu są moimi powinowatymi.

Proszę, nie przejmuj się tym, że wiem o pozostałej dwójce. Nawet zanim jeszcze Colin pojawił się w naszym życiu, wiedziałam o Twoich trzech chłopcach. A kiedy się trochę zastanowisz, zrozumiesz, że jako wdowa o mojej pozycji (pamiętaj o tych wszystkich ludziach w Stanach, którzy na mnie polegają) musiałabym być szalona, gdybym nie dowiedziała się o Tobie jak najwięcej przed powierzeniem ci własnego życia. W końcu, George, mogłeś być zwykłym naciągaczem! Tak więc dowiedziałam się jak najwięcej o Twojej przeszłości, czy może raczej faktach z owej przeszłości, z których właściwie żaden mnie nie zaskoczył. Prawdę mówiąc, kochanie, czułabym się znacznie bardziej zaskoczona, gdyby się okazało, że przy Twoim wyglądzie i zawodzie byłeś grzecznym chłopcem przez pierwsze pięćdziesiąt trzy lata swojego życia! A teraz co do Twoich synów i powodów, dla których napisałam ten list. Sądzę, że już wiesz, iż wszyscy trzej figurują w moim testamencie. Możesz uznać za dziwne, że nigdy nie zrobiłam nic, by ich do nas sprowadzić, jeszcze za mego życia. No, cóż, po pierwsze nie chciałam wprawiać Cię w zakłopotanie. Poza tym wiesz, że zawsze byłam kobietą bogoboijną i uważałam, że dobry Bóg w swej mądrości uczyni z nami, co uzna za stosowne, w swoim własnym czasie. Muszę jednak przyznać, że pomimo takiego przekonania usiłowałam odnaleźć Twego najmłodszego syna, Desmonda. Teraz dla mnie wszystko się już skończyło, ale jestem pewna, że uczynisz wszystko, co należy zrobić w tej sprawie. Być może, mój najdroższy George'u, to właśnie w ten sposób Bóg chce, byś wypełnił swe obowiązki.

Twój średni syn Francis (na którego wszyscy wołają Francey, notabene) mieszka w Dublinie, w Irlandii. W testamencie znajdziesz także jego obecny adres. To wspaniały młody człowiek i powinieneś być z niego dumny pod każdym względem. Kiedy go spotkasz, nie omieszkaj mu tego powiedzieć i wspomnij, że stara Jool bardzo żałuje, iż nie mogła go poznać osobiście - to znaczy, o ile sani nie pojawi się w naszych progach, zanim umrę. Ale sprawiłoby mi to radość!

A teraz co do mojego ukochanego małego Tommy'ego. Cóż mogę o nim powiedzieć? Chcę, byś zawsze opiekował się tym chłopcem, George. Zabezpieczyłam go, jeśli chodzi o sprawy finansowe, lecz chcę, byś zatroszczył się o niego pod każdym innym względem. Odpowiedzialność i obowiązki dziadka są równie poważne, co ojca. Przykro mi, że zwałam Ci to wszystko na głowę. Jeśli pamiętasz, na początku naszej znajomości powiedziałam, że myślę o Tobie jak o dużym dziecku. I może dlatego uważam za swój obowiązek zatroszczenie się o byt Twoich trzech synów i Tommy'ego. Nie przyjmij tego źle, kochany, kocham Cię za radość, którą mi przyniosłeś (przeczytaj mój drugi list). A jak się przekonasz, w testamencie zostałeś szczerze obdarowany. Chcę, byście wszyscy wysłuchali tego listu i wiedzieli, jak bardzo Was wszystkich kochałam. Colinie, nie wiem, czy kiedykolwiek dowiedziałeś się o istnieniu braci. Mam nadzieję, że ich pokochasz, jeśli wszystko pójdzie tak, jak zaplanowałam. Bądź dobry dla ojca. Wreszcie, moi drodzy, przekonacie się, że do każdego z Was zostawiłam osobny list: do Ciebie, Colinie, do Fleur i pozostałych dwóch chłopców oraz do mojego ukochanego Tommy'ego, który w ostatnich latach mego życia dał mi więcej radości, niż uważałam to za możliwe. (Jestem pewna, że na razie nic mu to nie powie, więc może przechowacie dla niego mój list i dacie mu wtedy, gdy będzie dostatecznie dorosły, by wiedzieć, o czym pisze stara babka).

Muszę przyznać, że pisanie listów, o których się wie, że będą odczytane już po śmierci, wywołuje dziwne odczucia; układając je, od czasu do czasu uroniłam łzę, lecz miałam też wielką uciechę, wyobrażając sobie Wasze reakcje. Niech Bóg ma was wszystkich w opiece. Konkludując, George, pozostaję jak zawsze Twoją kochającą, czułą i zawsze wdzięczną za chwile radości żoną.

Jool.

- A teraz odczytam testament, chyba że ktoś z państwa ma jakieś pytania. - Adwokat złożył papier i spojrzał na zebranych sponad swych okularów.

Nagle Francey uprzytomnił sobie, o co mogłaby zapytać Hazel: „Hej! Powiedzcie, ile?!” - i ledwie opanował absurdalną chęć, by wybuchnąć śmiechem. Co dziwne, odkąd poznał Fleur Mannering, odkrył, że tęskni za piosenkarką. Przez cały weekend próbował się do niej dozwonić, ale bez powodzenia; powtarzał sobie, że potrzebna mu jest spora dawka jej zdrowego rozsądku: Hazel była jedyną osobą zdolną do przekłucia balonika nierzeczywistości, w którym znajdował się od chwili przybycia do Inveraray - albo przynajmniej do częściowego spuszczenia z niego powietrza.

Odkąd George wygadał się, że młodszy syn także figuruje w testamencie nieznanego Jool, Francey miał dużo czasu do namysłu: Colin wraz z żoną wrócili do Londynu wcześniej następnego ranka, a w posiadłości zjawili się zaledwie parę chwil przed adwokatem. Ojciec sporo czasu spędził poza domem, lecz Francey nie miał pojęcia gdzie. Potrzeba porozmawiania z kimś życzliwym stawała się coraz pilniejsza - i chodziło nie tylko o George'a, Colina i Inveraray. Francey strasznie chciał się komuś zwierzyć ze swych uczuć wobec Fleur, oprócz matki zaś, która pamiętna własnych doświadczeń na pewno by go zrozumiała, lecz z pewnością starałaby się ostrzec syna przed lekkomyślnością, Hazel wydawała się najlepszą osobą, jaką mógłby sobie do tego wymarzyć. Czuł, że będzie umiała powiedzieć mu, co powinien zrobić - lub przynajmniej czy istnieje dla niego choć cień nadziei.

Ilekczoć jednak dzwonił, tyle razy słyszał tylko głuchy sygnał i nikt nie odbierał telefonu w jej mieszkanku. Tak więc, załatwiwszy parę następnych wolnych dni z szefem, który okazał wiele wyrozumiałości, i nie mając w domu nikogo do rozmowy oprócz uprzejmych, lecz niezbyt skłonnych do pogawędki służących, młodzieniec mnóstwo czasu spędzał w stajni, gdzie pozwolono mu - nie bez kpin i docinków - pomagać przy pracy. Mick O'Dowd, irlandzki koniusz, były dzokej z Newbridge w Kildare, okazał się nieoczekiwanym wybawcą: zdumiewające opowieści z końskiego światka zafascynowały Franceya i choć na chwilę oderwały od własnych problemów.

- Nie ma żadnych pytań? - spytał powtórnie adwokat.

Młodzieniec zaryzykował i zerknął przez ramię na ojca. George potrząsnął głową z miną tak ponurą, że aż komiczną. Sam Francey miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Wziąwszy pod uwagę religijność zmarłej, cała sytuacja wydawała się kolejnym z małych złośliwych żarcików Pana. Przyglądał się, jak adwokat rozkłada papier, na którym spisano testament, i zastanawiał się, co też powiedziałyby jego matka, gdyby wiedziała, co tu się dzieje.

Co więcej, co powiedzieliby mieszkańcy Lahersheen?

Francey już wyobrażał sobie plotki krążące po wsi, kiedy tylko wszyscy się o tym dowiedzą. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę fakt, jak zazwyczaj miały się rzeczy w Lahersheen i na całym Béara, tamtejsi ludzie pewnie wiedzieli już znacznie więcej niż on sam.

Kiedy adwokat rozpoczął czytanie, młodzieniec starał się przyzwyczaić do suchego prawniczego języka dokumentu. Nie pojmował zbyt wiele z tego wszystkiego, ponieważ po załatwieniu spraw dotyczących firmy i organizacji charytatywnych, jak również kilku specjalnych legatów dla każdego z nich (Francey nagle stał się właścicielem jednego z obrazów pani Dill

Smith Gallaher) oraz jeszcze dla kilku osób, których nie znał nawet ze słyszenia, testament mówił nie o funtach, szylingach i pensach, czy choćby o dolarach, lecz zajmował się wyłącznie procentami.

Francey zdołał się jednak zorientować, że gdyby to była loteria, Tommy Mannering miałby ogromne szczęście do wygranych - odziedziczył dom, farmę i wszystkie tereny przyległe do Inveraray oraz spory pakiet oszczędności babki w udziałach, bonach i lokatach. Jednak otrzyma to wszystko dopiero po śmierci dziadka. Przez resztę swego życia George Gallaher miał dostawać pensję z części udziałów Tommy'ego, a także zyskał prawo dożywotniego mieszkania w Inveraray.

Jako matka Tommy'ego, Fleur Mannering otrzymywała pensję z osobnego pakietu udziałów, które po jej śmierci zostaną przekazane synowi. Odziedziczyła także sporą i bez wątpienia bardzo wartościową kolekcję klejnotów Jool.

Trzej synowie George'a mieli dostać w równych częściach sumy uzyskane ze sprzedaży i zainwestowania czegoś, co określono jako „środki trwałe”, i tym miał się zająć adwokat; pieniądze będą wypłacane co roku, aż do dnia, gdy Tommy Mannering ukończy dwadzieścia pięć lat, i dopiero wtedy wszyscy będą mogli pozbyć się całego kapitału, jeśli uznają to za stosowne.

Później nastąpiło skomplikowane wyliczenie zastrzeżeń i warunków, których Francey nie zrozumiał, lecz mających coś wspólnego z tym, co by nastąpiło, gdyby jedno z nich zmarło, zanim Tommy ukończy dwadzieścia pięć lat albo jeśliby umarł sam Tommy lub jeżeli Dessie się nie odnajdzie; a także jeżeli któreś z nich zapadłoby na chorobę psychiczną lub poszło do więzienia.

Kiedy jednak adwokat zaczął recytować nazwiska Jool, świadków, egzekutorów majątku i datę spisania testamentu, to nie myśl o pieniądzech napełniła Franceya entuzjazmem, lecz cudowna świadomość, że teraz będą połączeni ze sobą jako rodzina nie tylko więzami krwi, ale także wspólnym majątkiem i warunkami wykorzystania pieniędzy, a dzięki temu on zyska jeszcze wiele okazji, by spotkać Fleur Mannering.

Później, kiedy pan Solomon przeszedł do wyliczania, co kryje się w przypisach i zastrzeżeniach do testamentu, a także że istnieje osobno zainwestowany fundusz na pokrycie kosztów utrzymania posiadłości, Francey poczuł, że właściwie powinien zacząć myśleć nie o Fleur, lecz o Dessiem. Widząc, z jaką determinacją zupełnie obca kobieta usiłowała przez długi czas odszukać jego brata, poczuł, że jego własne próby były tylko na wpół szczerze i zrobiło mu się wstyd. Teraz, skoro pani Dill Smith Gallaher zaopatrzyła go w odpowiednie środki, dopro-

wadzi sprawę do pomyślnego zakończenia.

- Mam pytanie. - Głos Colina zabrzmiał głośno w pokoju do tej pory wypełnionym tylko szelestem papierów przekładanych przez prawnika.

- Oczywiście. - Solomon zdjął skuwkę ze swego wiecznego pióra, jakby przygotowując się do robienia notatek.

- Proszę mi darować tę bezpośredniość, ale czy ma pan pojęcie... - zaczął Colin przepraszająco, po czym odchrząknął i dokończył: - Czy można określić, ile dokładnie dostanie każde z nas?

- Byłem na to przygotowany. - Adwokat wyjął notes z teczki stojącej pod jego krzesłem. - Trzeba dopełnić jeszcze wielu operacji finansowych, po których ustalimy precyzyjną sumę... no i, oczywiście, testament musi się uprawomocnić. Ale wraz z panią Dill Smith Gallaher przeprowadziliśmy bardzo pobieżne - podkreślam, że tylko pobieżne - oszacowanie... ostateczna suma będzie zależeć od wielu czynników. Muszę także dodać, że założono oddzielne konta bankowe dla każdego z beneficjentów testamentu, aby mogli swobodnie żyć do czasu, aż dokument nabierze mocy prawnej. Mam wszystkie odpowiednie papiery przy sobie. Jednak bazując na dzisiejszych danych, mogę powiedzieć, że pan Gallaher odziedziczy około sześciu milionów funtów szterlingów w inwestycjach, co powinno przynieść mu około dziewięćset tysięcy rocznie; pani Fleur Mannering otrzyma na własne potrzeby inwestycje w wysokości miliona trzystu tysięcy funtów szterlingów, czyli około dwustu tysięcy rocznie, natomiast suma, którą mamy zainwestować i podzielić między trzech synów pana Gallahera, rysuje się w granicach około ośmiu milionów czterystu tysięcy funtów szterlingów, co daje około miliona dochodu, czyli każdy z panów otrzyma jedną trzecią miliona rocznie. Oczywiście chciałbym też przypomnieć panu, panie Mannering, że gdy pański syn osiągnie wiek dwudziestu pięciu lat, będzie miał pan także dostęp do swojej części kapitału, która powinna, jeśli sprawy potoczą się właściwie, wynosić nie mniej niż pański pierwotny udział, czyli dwa miliony sześćset tysięcy funtów.

Obecnie pobory Franceya w sklepie pana Ledbettera wynosiły niewiele ponad czterysta dwadzieścia funtów rocznie.

- Uspokój się... Na miłość boską, Francey, spokojnie! - Podniesiony głos Hazel zbliżał się i ginął na przemian w szumie i trzaskach w słuchawce. - Nie mogę zrozumieć ani słowa z tego, co usiłujesz mi wytłumaczyć. Skąd ty dzwonisz? Z Mongolii?!

Było już późne popołudnie; młodzieniec próbował się dodzwonić do przyjaciółki od

chwili gdy usłyszał dobre wieści, i wreszcie mu się to udało.

- Prawie zgadłaś! - powiedział do słuchawki. - Jestem w domu, w samym środku angielskiej wsi. Znalazłem go, Hazel... Znalazłem go i nigdy byś nie uwierzyła, co się stało!

- Strzelaj!

- Wkrótce zostanę milionerem. - Ponieważ ową nowinę powitała cisza, Francey podniósł głos: - Jesteś tam, Hazel? Słyszysz mnie?! Hazel?!

- Jestem... słyszę cię. - Głos piosenkarki zabrzmiał poważnie. - Co ty piłeś, Francey?

- Nic nie piłem! - Teraz zaczął już krzyczeć do aparatu. - Na miłość boską... to prawda! Już wkrótce zostanę milionerem. To jest zapisane w testamencie żony George'a Gallahera. Niedawno zmarła. Hazel, co ja mam robić?

- Posłuchaj, jaki tam jest numer telefonu? - Mimo złego połączenia Francey słyszał irytację w jej głosie. - Oddzwonię do ciebie.

Pośpiesznie rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu zapisanego gdzieś numeru do rezydencji, lecz nigdzie go nie znalazł.

- Tutaj go nie ma - odrzekł. - Dzwonię do ciebie z mojej sypialni. Na aparacie nie znalazłem żadnego numeru.

- No dobra... To odłóż słuchawkę i zadzwoń do mnie jeszcze raz. Połączenie jest kosztowne i zupełnie nie słyszę, co mówisz. Poza tym gadasz coś bez sensu.

Usłyszał przeciągły sygnał w słuchawce, którą z całej siły ścisnął w spoczonej dłoni.

W ciągu ostatnich kilku godzin wcześniejsze rozbawienie sytuacją, w którą się wpakował, opadło i zastąpiła je niewyobrażalna panika oraz zaszokowanie. Czuł, że powinien cieszyć się tym nieoczekiwanym zrządzeniem losu, lecz jednocześnie miał wrażenie, jakby grunt usunął mu się spod nóg.

Manneringowie wyjechali niezwłocznie do Londynu, nie czekając nawet, aż prawnik opuści dom George'a, a teraz młodzieniec był w ogromnym domu sam z ojcem, oczywiście jeśli nie liczyć służących. George burknął, że ma mnóstwo niecierpiących zwłoki spraw do załatwienia i udał się do innej części budynku, zostawiając syna samemu sobie. Młodzieniec nie wiedział nawet, czy ma się pojawić na obiedzie.

Zanim znowu podniósł słuchawkę telefonu, kilkakrotnie obszedł sypialnię, usiłując odzyskać spokój. Panująca wokół cisza tylko wzmagала jego poczucie odosobnienia i żałował, że gruby dywan tłumi odgłos kroków.

Kiedy ponownie połączył się z Dublinem, udało mu się trzymać nerwy na wodzy.

- To wszystko prawda, Hazel, najprawdziwsza prawda - odpowiedział na jej zdesperowane pytanie, o co mu, u diabła, chodzi. - Zostawiła mi nieprawdopodobnie wielką sumę pieniędzy. Ale to trochę skomplikowane. Nie mogę ich wszystkich wydać. Jeszcze nie. W każdym razie nie mogę wydać milionów. Tymczasem jednak będę dostawać całe mnóstwo pieniędzy jako roczną pensję.

- Powiedz mi jeszcze raz, ile tego jest. Francey spełnił jej życzenie.

- To fantastycznie - odrzekła, lecz wydawało mu się, że w jej głosie nadal brzmi powątpiewanie i dopiero pół godziny później udało mu się przekonać dziewczynę, że nie dostał nagłego wylewu krwi do mózgu i nie bredzi. - Dobra, zacznij od początku... od chwili, gdy tam przyjechałeś - poleciła wreszcie Hazel.

Francey spełnił i to żądanie, opisał rodzinę, lecz ominął skomplikowane relacje między jej członkami, koncentrując się zamiast tego na niezwykłym domu, armii służących, jedzeniu, koniach w stajni i zaczarowanej krainie w lesie. Hazel słuchała go w milczeniu, a gdy wreszcie skończył, zagwizdała przeciągle.

- Ale się porobiło - mruknęła. - Powiadomiłeś już matkę?

- Nie, jeszcze nie. Jesteś pierwszą osobą, do której zadzwoniłem. Och, Hazel, co ja pocznę?

- Jak to, co poczniesz, głuptasie? Będziesz się świetnie bawił do końca życia, ot, co poczniesz.

- Ale tego jest tak dużo... i, Hazel?

- O co Chodzi? - W pytaniu zabrzmiała ostra nutka i Francey wyczuł, że dziewczyna zauważyła zmianę w jego głosie. Właśnie chciał się zwierzyć Hazel z uczucia do Fleur Mannering, lecz się nie odważył. - Francey?! - Podniosła nieco głos. - Jesteś tam?

- Taak. Nie mogę się doczekać wyjazdu stąd - wybuchnął, wiedząc, że to nie do końca prawda.

- Kiedy wracasz? - Hazel najwyraźniej postanowiła nie naciskać i nie dopytywać się, co chciał powiedzieć, on zaś był jej za to wdzięczny.

- Prawdopodobnie jutro - odrzekł. - Muszę zadzwonić do pracy. Pewnie już myślą, że gdzieś zginąłem.

- Teraz możesz im powiedzieć, żeby się wypchali. - Hazel znowu była już sobą.

- Och, nie zrobiłbym tego... - zaczął mówić Francey, lecz zaraz urwał. Do tej pory jeszcze nie uświadomił sobie, że jeśli tylko nie zechce, wcale nie musi wracać do pracy w sklepie

Ledbettera.

- Posłuchaj, zadzwoń do mnie, gdy tylko wrócisz do domu, a wtedy spotkamy się i pogadamy o wszystkim - powiedziała Hazel szybko. - Dobra?

- Tak, dziękuję. Och, zupełnie zapomniałem zapytać: jak się czujesz?

- No, cóż... jeszcze przez jakiś czas nie będę mogła wystartować na igrzyskach olimpijskich, jeśli o to pytasz.

- To dobrze. - Francey był ogromnie zadowolony, że udało mu się do niej dodzwonić; teraz czuł się spokojniejszy. - Już nic cię nie boli?

- Taak, czuję się świetnie. Z żebrami wszystko w porządku, a w zeszły piątek zdjęli mi gips z rąk. Nawet nie wiesz, jaka to ulga! Teraz mam już tylko bandaże elastyczne i znowu mogę się posługiwać własnymi dłońmi.

- To wspaniale, Hazel. Zobaczymy się, gdy tylko wrócę do Dublina! - obiecał.

- Powtórz mi to raz jeszcze... - Usłyszał, jak głęboko wciągnęła powietrze przed dokończeniem zdania: - Ty naprawdę jesteś milionerem? To nie jakiś tani dowcip z West Cork?

Rozumiejąc, że teraz już mu uwierzyła, Francey ucieszył się z tej przyjaznej żartobliwości.

- Nie, skądże znowu - zaprzeczył. - To wszystko prawda... Boże, nie mogę w to uwierzyć! - dodał ze zdumieniem.

- Ty nie możesz uwierzyć! - Hazel wybuchnęła śmiechem. - No, cóż... los się do ciebie uśmiechnął, Franceyu Sullivanie! Przywieź mi do Dublina paczkę spanglesów... teraz już cię na nie stać!

Paczuszki owocowych dropsów, niedostępnych w Irlandii, przywożono zawsze do domu jako drobne upominki z podróży do Anglii. Młodzieniec wybuchnął śmiechem.

- W tej chwili mam w kieszeni ze cztery funty!

- W takim razie przywieź mi dwie paczki! Posłuchaj - dodała - fajnie jest, co? Kiedy już wreszcie pozbięram się do kupy, wybierzemy się w rejs dokoła świata!

- Cześć, Hazel.

Francey odłożył słuchawkę na widełki i podszedł do okna sypialni. Na zewnątrz niewiele się zmieniło: bezkresne, starannie utrzymane pola i trawniki leżały spokojnie pod grubą warstwą mgły, a niebo ponad nimi miało przytłaczającą szarą barwę. Przez chwilę zapragnął wrócić do zaczarowanego królestwa, które żona George'a stworzyła dla Tommy'ego Manneringa, ale ciemne drzewa na skraju lasu wyglądały z okien domu ponuro i niezachęcająco. Czuł także

głód: był zbyt zdenerwowany, aby zjeść śniadanie, a odkąd skończyło się spotkanie z prawnikiem, siedział zamknięty w swoim pokoju i usiłował dodzwonić się do Hazel.

- Jesteś bardzo milcząca, Fleur.

- Tak.

Aby zniechęcić męża do dalszej rozmowy, nawet nie spojrzała w kierunku siedzenia kierowcy. Prócz tego nisko zawieszony, sportowy samochód czynił mnóstwo hałasu przy takiej prędkości, a Fleur nie miała zamiaru marnować sił na podnoszenie głosu.

Gardziła słabością, a nie spotkała dotąd mężczyzny, u którego nie dostrzegłaby tej wady. Jeśli zaś chodzi o Colina, to jeszcze nigdy nie szanowała go mniej niż w ciągu ostatnich kilku dni, gdy obserwowała, jak potulnie odnosi się do swego nowo odnalezionego przyrodniego brata. Jego pełna pokory chęć przypodobania się innym i strach przed wypowiedzeniem własnego zdania tym razem przekroczyły wszelkie możliwe granice.

Choć na początku trwania ich małżeństwa Fleur usiłowała wykrzesać z siebie sympatię dla Colina, nikt oprócz Tommy'ego nigdy nie zdobył ani skrawka miejsca w jej sercu - i było ono niedostępne dla wszystkich poza synkiem. W życiu nauczyła się polegać wyłącznie na sobie i podchodzić do wszystkiego z dystansem; teraz było to jej drugą naturą, której nic nie mogło zmienić. Gdyby nie chodziło o dobro chłopca, jak również o konieczność zaspokojenia jego potrzeb, zarówno obecnych, jak i przyszłych, już dawno odwróciłaby się plecami do męża.

- O czym myślisz? - Kiedy dotknął jej uda, pragnąc zwrócić na siebie uwagę, Fleur odwróciła głowę w stronę okna, by zniechęcić Colina do dalszych pieszczot.

- Myślę o hałasie w tym samochodzie - odpowiedziała i było w tym sporo prawdy. W szybie widziała tylko własne odbicie i zastanawiała się, co też leży za gęstą mgłą angielskiej zimy.

- Fleur, przecież wiesz, jak bardzo go kocham...

- Tak, doskonale wiem, jak bardzo kochasz swój samochód. Ale sam zapytałeś, o czym myślę.

- O co chodzi? - W głosie Colina dobiegającym zza jej głowy słychać było cień pretensji.

- Jesteś na mnie zła?

- Niby dlaczego miałabym być zła na ciebie? Po prostu jestem zmęczona. - Odchyliła się na siedzeniu, oparła głowę i przymknęła oczy, jakby chciała zasnąć.

- Z powodu tego, jak zostaliśmy potraktowani w testamencie? - Colin ponownie dotknął jej uda.

Fleur uświadomiła sobie, że nie kłamała, mówiąc, iż jest zmęczona, jednak było to raczej znużenie emocjonalne niż fizyczne. Nie mogła się wprost doczekać powrotu do ciepłego mieszkania i luksusowego buduaru - oraz własnego towarzystwa.

- Moim zdaniem twoja macocha okazała się bardzo hojna - powiedziała.

- Ależ oczywiście, że tak. - Chociaż Fleur cały czas siedziała z zamkniętymi oczyma, Colin zdawał się nie rozumieć aluzji i ciągnął tę jednostronną pogawędkę. - Pojawił się Francey... i jeszcze jeden gość, ten Dessie.

- Miałeś czas godzinę temu, aby o wszystkim porozmawiać z twoim ojcem i samym Franceyem, Colinie - zauważyła Fleur z nadzieją, że jej ton zniechęci męża. - To mnie nie dotyczy. Chciałabym się przespać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Przykro mi, lecz naprawdę nie zamierzałem cię zdenerwować. - Wreszcie zamilkł.

Fleur wiedziała, że Colin zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, jaki budzi w niej wstręt, i żałowała, że nie ma więcej siły na konfrontację z mężem. Przyzwyczyła się jednak do wytrwałego podążania w kierunku obranych wcześniej celów, choćby były bardzo odległe, i zmierzała ku nim krok po kroku - dlatego też wiedziała, że aby dopiąć swego, musi zachować spokój. Tylko ze względu na owe dalekosiężne plany nigdy nie pozwoliła sobie na okazanie Colinowi niechęci, jaką do niego czuła. W domu była mniej ostrożna, lecz utrzymanie męża w przekonaniu, że on jest panem i władcą, a ona biedną słabą sierotką, którą uratował, sprzyjało jej zamiarom. Kiedy byli gdzieś razem w towarzystwie, Fleur przywdziewała maskę nieśmiałości, którą - jak wiedziała - zwiódła wszystkich; Anglików, ludzi mało subtelnych, łatwo dało się oszukać. „Biedna Fleur...” - widziała współczucie w ich okrągłych, bezbarwnych rybnich oczach. Jedyłą osobą, której nie udało jej się zwieść, była Jool Smith Gallaher.

Czytając list - małe osobiste przesłanie, jakie otrzymała wraz ze spadkiem - matka Tommy'ego dowiedziała się, że Jool zdołała zajrzeć, przynajmniej częściowo, za ochronną pajęczynę kłamstw, którą utkała wokół siebie Fleur. Wydawało się jednak, że starszej pani wcale to nie przeszkadzało i miała na tyle taktu, by nie mówić o swych odkryciach głośno. Tak, Jool była osobą, którą Fleur naprawdę szanowała. Co więcej, choć śmierć przyszywanej teściowej zostawiła tylko drobną zmarszczkę na powierzchni uczuć młodej kobiety i chociaż ta nie tęskniła za Jool ani jej nie opłakiwała, zmarła była jedyłą istotą w Anglii, którą Fleur polubiła; no ale żona George'a, oczywiście, nie była Angielką.

Jool nie wahała się przeprowadzić prywatnego śledztwa dotyczącego ludzi, których kochała, bez względu na wszystko, co mogło wyjść na jaw; poza tym potrafiła akceptować innych

takimi, jacy byli naprawdę. Zupełnie inaczej niż Anglicy, których powierzchowna uprzejmość maskowała fundamentalne podejrzenia dotyczące wszystkich poza nimi samymi - w oczach Fleur angielski system klasowy wydawał się znacznie bardziej skostniały niż wszelkie hierarchie, jakie zdarzyło jej się widzieć w kastowych społeczeństwach Dalekiego Wschodu.

Jednak już wkrótce skończy z tym wszystkim, z Anglikami też. Sukces w jej życiu sprowadzał się do zdobycia niezależności i środków materialnych na utrzymanie. I raczej wcześniej niż później Fleur i Tommy będą mogli opuścić Colina, jak również jego zimny, deszczowy kraj.

Kiedy Francey zawitał do kuchni, współczująca kucharka naszykowała mu ogromną górę kanapek; potem zaś całe popołudnie spędził znowu w stajni, czerpiąc spokój ze statecznej siły shirów. Wydawało się, że Mick O'Dowd i inni pracownicy zaakceptowali jego obecność; stanąwszy na małym stołeczku, koniuszy zademonstrował Franceyowi specjalny sposób wplatania wstążek w długie grzywy zwierząt, po czym zostawił młodzieńca samego z Tarzanem, najspokojniejszym i najbardziej leniwym z koni, aby mógł w spokoju poćwiczyć tę umiejętność.

Tarzan, przywiązany za kantar do żelaznej obręczy wmurowanej w ścianę, przespał całą tę operację. Mimo swego wzrostu, Francey musiał także stanąć na stołeczku, by swobodnie dotrzeć do grzywy konia; usiłował naśladować ruchy Micka O'Dowda, który z taką łatwością zaplatał sztywne włosie i kolorowe wstążki, lecz zanim jeszcze skończył pierwszy warkoczyk, wiedział, że nic z tego. Rozplątał go i zaczął od nowa.

- Spokojnie, Tarzanie, spokojnie - szepnął, opierając się o potężne łopatki zwierzęcia; poczuł, jak ogromne mięśnie konia poruszyły się pod jego ciałem niczym wielkie płyty tektoniczne.

Popatrzył przez ramię, by upewnić się, że nikt go nie podsłuchuje i pracując nad grzywą, opowiedział shirowi o swym ukochanym czarnym wałachu z czasów dzieciństwa i o tym, jak wymykał się w nocy z pokoju, by spać obok Pioruna na kłującej słomie.

Tarzan parsknął cicho, przeniósł ciężar ciała z jednej zadniej nogi na drugą, po czym podjął przerwana drzemkę.

- Kocham ją. - Francey przytulił czoło do szerokiej szyi konia. - Kocham ją. Kocham!

Ale Tarzan cały czas spał i Francey poczuł się głupio; po chwili znowu zaczął się mocować z grzywą i wstążkami.

Zaplół już mniej więcej trzy czwarte warkoczyków, kiedy Mick O'Dowd wetknął głowę przez drzwi, by sprawdzić, jak Francey daje sobie z tym radę.

- Nie za bardzo ci idzie, co? - mruknął z uśmiechem. Wszedł do środka, odsunął chłopaka na bok, wskoczył na stołeczek i w ciągu dwóch minut rozplątał pół godziny pracy Franceya.

- Sam trochę przypominasz shira, co? - Przeczesał sztywną grzywę konia palcami i dodał: - Nic nie szkodzi... Tak się przygotowuje konie na pokazy, a my robimy to tylko po to, by zająć czymś ręce. Mamy mnóstwo czasu na przerwy i odpoczynek... - W jego głosie zabrzmiał smutek.

- Właściwie to nawet teraz parzymy herbatę. Może napijesz się z nami? Mamy też ciasto.

Jeśli Francey się nie mylił, to w stajni pracowało sześciu mężczyzn, którzy całymi dniami tylko zabijali czas. Pięciu, będących akurat na dyżurze tego dnia, siedziało wokół porosanego, starego stolika w dużym pomieszczeniu na zapleczu; Francey był tu niezbyt chętnie widzianym gościem. Rozmowa jakoś się nie kleiła i dopiero po pewnej chwili zrozumiał, że stajenni nie widząc w nim jednego ze swoich, lecz syna ich pracodawcy - czyli kogoś stojącego po przeciwnej stronie barykady.

- Opowiedzcie mi o pokazach - poprosił, gdy zdawało się, że cisza trwa już nieskończoność.

- Właściwie to sami nie wiemy, czy przypadkiem nie marnujemy tu czasu... to znaczy, utrzymując je w formie - mruknął Mick, rozejrzawszy się po twarzach siedzących przy stole mężczyzn.

- Nie wiemy nawet, czy twój ojciec zamierza zatrzymać te cholerne szkapy, nie wspominając już nawet o wystawianiu ich na pokazy.

- Och, jestem pewien, że je zatrzyma.

- Tak pan sądzi? - Kościsty młodzieniec o ciemnych, dziwacznie przyciętych włosach spojrzał na Franceya znad kubka z herbatą.

- Nikt nic nam nie mówi.

- Po chwili spytał odważnie: - Dziś rano było odczytanie testamentu?

- Taak.

- Francey zobaczył, że oczy wszystkich utkwione są w jego twarzy.

- Nie wiem, czy mogę wam powiedzieć, co w nim było...

- A mówiłem wam, że nie ma sensu pytać! - Jeden ze starszych mężczyzn wstał i wyrzucił fusy do zlewu.

- Zamknij się, Wiley! - Mick O'Dowd zganił spojrzeniem tamtego, po czym odwrócił się do Franceya.

- Bylibyśmy ci bardzo wdzięczni, gdybyś poprosił pana Gallahera, żeby wyjaśnił nam, co się dzieje. Większość z nas ma rodziny i chcielibyśmy wiedzieć, co z nami będzie.

Francey wytłumaczył im tyle, ile sam wiedział, pomijając tylko dokładne sumy, a także fakt, iż do konstelacji spadkobierców Julii Smith Gallaher zaliczał się trzeci syn jej ostatniego męża.

- Mówi pan, że posiadłość nie zostanie jednak sprzedana? - Ulga na twarzach stajennych była aż nadto wyraźna.

- Nie wydaje mi się - odrzekł zdecydowanym tonem Francey. - Dostała się w spadku Tommy'emu, lecz pan Gallaher, mój ojciec... - wytrzymał spojrzenia wszystkich - ...będzie tu mieszkał aż do śmierci.

- Już się domyśliliśmy, że pan Gallaher jest twoim ojcem... nie mieliśmy co do tego wątpliwości. - Mick wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Wiele tu się teraz dzieje, ale i tak wiemy o wszystkim. Założę się, że twój przyjazd był dla wszystkich niezłym szokiem. Usłyszałeś o śmierci starszej pani od kogoś w Irlandii? - spytał, a potem wypił łyk herbaty.

- Nie. - Francey zdał sobie sprawę z tego, że oni również uważają, iż przyjechał tu ze względu na spadek. Zaczynał mieć już tego dosyć. - Naprawdę nie miałem o niczym pojęcia. Przez całe życie szukałem ojca w ten czy inny sposób, lecz do niedawna mi się nie udawało...

Nikt nie odpowiedział i Francey zrozumiał, że mu nie uwierzyli. Później ku swemu zaskoczeniu doszedł do wniosku, że niewiele go to obchodzi. Hazel mu wierzyła. I co ważniejsze, Fleur także.

- To pana pierwsze spotkanie z bratem? - spytał jeden ze stajennych.

Francey zadowolił się skinieniem głową, a mężczyzna obrzucił go uważnym spojrzeniem.

- Nie jesteście zbyt do siebie podobni, co?

- Mieliśmy inne matki. - Francey skierował rozmowę na bezpieczniejsze tory. - Jak już powiedziałem, nie wiem nic na sto procent, ale zwierzęta na pewno są bezpieczne. Zapytam ojca, jeśli wam na tym zależy.

- Byłoby dobrze. - Mick, który chyba starał się przekonać sam siebie, rozejrzał się dokoła. - Pan Gallaher osobiście kupił większość tych koni... parę sam wyhodował - wyjaśnił Franceyowi. - Stajnie zostały wybudowane kilka lat później niż dom. Okoliczna plotka głosiła, że twój ojciec zamierza trzymać konie do polowań, jak większość dziedziców dookoła, ale okazało się inaczej. Wolał powozić... dobrze sobie radził, choć teraz bardzo rzadko zdarza mu się wsiąść do bryczki.

- Robi sobie dobrze - mruknął jeden z pracowników, lecz natychmiast zamilkł pod ostrym spojrzeniem Micka.

- Jeszcze herbaty? - zaproponował koniuszy Franceyowi. - Kiedy wypijemy, pokażę ci okolicę. - Rozlewając resztki parującego płynu, zaczął opowiadać historię posiadłości. - Kiedy

przyjmowali nas tu do roboty, musieliśmy się sporo nauczyć. Wiley jako jedyny spośród nas miał kiedykolwiek do czynienia z końmi pociągowymi.

Jak zwykle, gdy rozmowa schodziła na nieinteresujące dlań tematy, Francey zaczął rozmyślać o czymś zupełnie innym; jego życie potoczyło się w zupełnie nieoczekiwanym kierunku i kiedy stajenni burzliwie dyskutowali między sobą, on popijał gorącą herbatę i rozważał, co powinien robić w przyszłości.

Następnego dnia wrócił do Dublina. Oparł się namowom George'a Gallahera, że powinien zrezygnować z promu i polecieć samolotem, i wybrał wolniejszy sposób podróżowania.

- Ależ dlaczego, Francey? - Ojciec był zdumiony. - Przecież teraz już cię na to stać. Niby po co masz się męczyć podróżą promem?

Młodzieniec nie potrafił na to odpowiedzieć. Nie umiał wyjaśnić, dlaczego na razie nie czuje się jeszcze godzien takich luksusów; że bogactwo jest dla niego zbyt wielką nowością i nie może się do niego tak łatwo przyzwyczaić. A ponieważ został wychowany w szacunku dla każdego zaoszczędzonego grosza, rezygnacja z biletu na prom wydawała mu się wręcz grzechem.

- Niech będzie, jak chcesz. - George poddał się wreszcie i wzruszył ramionami. - Odezwij się do mnie, dobrze?

- Musimy usiąść gdzieś spokojnie i porozmawiać. - Francey spojrzał mu w oczy.

- Oczywiście, oczywiście, staruszk. - Ojciec uśmiechał się równie olśniewająco i niewinnie jak zawsze. - Kiedy tylko zechcesz. W tej chwili jestem nieco zajęty... wiesz przecież, że mam mnóstwo spraw na głowie...

I tak, obiecawszy zadzwonić w następny weekend, Francey wyruszył w długą drogę do domu.

Chociaż po przybyciu do Dun Laoghaire wczesnym rankiem był śpiący i oczy go piekły, cieszył się, że wybrał podróż morską. Dała mu czas, by mógł przemyśleć wiele spraw i rozpocząć żmudny proces porządkowania uczuć i wrażeń kilku ostatnich dni. Tak wiele rzeczy zdarzyło się w tak krótkim czasie, że do czasu kiedy Francey wraz ze współpasażerami wysiadł na stały ląd, jego umysł pełen był obrazów i strzępów rozmów. Pieniądze - cóż ma z nimi zrobić? I jak właściwie wygląda tak przeogromna suma? A George? Co tak naprawdę czuł do ojca, który okazał się tak szalenie nieodpowiedzialny, a jednocześnie nie sposób było go nie lubić? I kto co powiedział podczas tego weekendu? Kiedy? Co jest ważne? I dlaczego?

Jednak bez względu na to, jak mocno młodzieniec ćwiczył swój umysł, myśli w kółko i

w kółko wracały od nowa do Fleur Mannering. Podczas tej długiej nocy spędzonej na morzu usiłował przyjrzeć się z pewnej perspektywy dziwnym i gwałtownym uczuciom, które w nim budziła żona przyrodniego brata, lecz zupełnie mu się to nie powiodło. Jego zauroczenie - miłość, pożądanie, czy jakkolwiek by to nazwał - mogło wydawać się szokujące, amoralne i niewłaściwe, lecz Fleur opanowała myśli Franceya. Przez cały czas wspominał jej urodę, głos, delikatne kostki u nóg, kruczoczarne włosy, wąską talię i grację ruchów. Lecz choć zmuszał się do rozmyślania o pieniądzach, George'u i koniach - praktycznie o wszystkim z wyjątkiem żony przyrodniego brata - przez cały czas w jego sercu dominowała namiętność. Aby odwrócić uwagę od tego wszystkiego, Francey usiłował nawet wzbudzić w sobie oburzenie na to, jak George zniknął z życia jego i jego rodziny - a także z życia Colina - jednak umysł młodzieńca nie chciał zajmować się zbyt długo niczym, co nie miało związku z Fleur.

Podczas całej długiej przeprawy Francey nie tknął jedzenia, i kiedy wreszcie schodził z promu, w brzuchu burczało mu z głodu, a zmęczony był tak bardzo, że wszystko go bolało. Zarzucił torbę na ramię, choć raz obojętny na spojrzenia ciekawskich przechodniów, i wraz z wąskim strumyczkiem podróżnych poszedł do odprawy celnej, a potem dalej na ulicę w zimny, szary świt.

Cały czas padał deszcz i wyglądało na to, że szybko nie przestanie. Wojownicze krzyki mew walczących o jakieś resztki przy dokach klubu jachtowego ostro kontrastowały z letargiem, w którym pogrążył się cały port. Starsza dama ubrana w kalosze i tak nieprawdopodobną ilość szali, że praktycznie nie było jej spod nich widać, wyprowadziła na spacer na nabrzeże artretycznego teriera; z pobliskiej stacji dał się słyszeć gwizd pociągu; po śliskich ulicach od czasu do czasu przejeżdżały samochody. Jednak dla Franceya owo stęchłe powietrze przepętlone wonią soli i zgniłych wodorostów, a także spalinami z silników kutrów było niczym manna. Wreszcie znalazł się w domu.

Ruszył w stronę przystanku autobusowego, zawahał się i zatrzymał; a potem poklepał materiał przykrywający wewnętrzną kieszonkę w marynarce, gdzie choć raz znalazło się coś poza książką. Przed wyjazdem George nalegał, by syn przyjął tysiąc funtów „na wszelki wypadek, staruszkowi”. Jak na razie Francey nie wydał z owej sumy ani pensa. Wydawało mu się to naruszeniem świętej całości. Tysiąc funtów! Nawet same te słowa miały dlań egzotyczny dźwięk; plasowały się gdzieś między wyspami na ciepłych morzach, po których pływają jachty wycieczkowe w czasie świąt Bożego Narodzenia. Młodzieńcowi nawet się nie śniło, że kiedykolwiek zdobędzie podobną sumę, nawet już nie wspominając o trzymaniu jej w kieszeni w

jednej paczuszce.

Teraz jednak był wystarczająco zmęczony, by naruszyć tę świętą całość. Daj spokój, powiedział sobie, przecież już teraz stać cię na taksówkę. Później dopiero przypomniał sobie, że gotówka jest w funtach szterlingach, więc jednak będzie musiał pojechać autobusem.

Kiedy dotarł do sklepu Ledbettera, zaczęli się już pojawiać pozostali pracownicy. Francey wiedział, że szef - miły protestant, który mimo swej łagodności potrafił wyjątkowo czepiać się drobiazgów - zawsze przychodzi pierwszy i bez wątpienia wychodzi ostatni. Przygotował się już na reprimendę i postanowił, że im szybciej będzie to miał za sobą, tym lepiej. Postawił na ziemi walizkę i podszedł do małego biura o szklanych ścianach, mieszczącego się na zapleczu sklepu. W środku zauważył swego szefa i jego starzejącą się sekretarkę, pogrążonych w rozmowie nad księgami rachunkowymi.

Kiedy zapukał, oboje podnieśli głowy, szef zaś poprosił, by wszedł.

- Proszę, proszę, panie Sullivan! Wrócił syn marnotrawny! Francey zobaczył z ulgą, że szef tylko udaje zgryźliwość.

- Bardzo przepraszam, panie Grieve - powiedział - ale jak wyjaśniałem panie Pym przez telefon, musiałem zostać... by dopilnować pewnych spraw rodzinnych.

- Proszę przyjąć moje kondolencje z powody tej bolesnej straty. - Szef, który zawsze powtarzał z dumą, że interesuje się sprawami rodzinnymi pracowników, wstał i potrząsnął dłonią Franceya nad pełnym papierów biurkiem. - Czy była to niespodziewana śmierć?

- Tak, trochę - odrzekł młodzieniec, doskonale zdając sobie sprawę z ironii swoich słów.

- Czas leczy rany. - Szef usiadł na powrót za biurkiem. - A skoro już przy tym jesteśmy, to cieszę się, że mamy okazję spokojnie porozmawiać. Niech pan siada, bardzo proszę. Czy może nas pani na chwilę zostawić samych, panno Pym?

Sekretarka także złożyła Franceyowi kondolencje, po czym wyszła z kantorka. Choć Francey był już nieraz w tym pomieszczeniu, po raz pierwszy poproszono go o zajęcie miejsca. Nieco zaskoczony, przysiadł na brzegu krzesła przed chwilą zwolnionego przez sekretarkę.

- Jest pan dobrym człowiekiem, panie Sullivan - zaczął mówić kierownik, gdy tylko drzwi za kobietą się zamknęły. - Wszyscy mi mówią, jak pan ciężko pracuje i jaki jest punktualny. Rzadko się teraz takich spotyka. - Oparł łokcie na biurku i splótł palce; spojrzał na Franceya ponad nimi. - Chciałbym, żeby przeniósł się pan do naszego nowego sklepu w Santry i jednocześnie proponuję panu awans. Co pan na to? Oczywiście oznacza to podwyżkę. I to całkiem sporą, jeśli wolno mi tak powiedzieć. - Uśmiechnął się, najwyraźniej dumny ze swej hoj-

ności.

Francey nie byłby bardziej zdziwiony, gdyby go raził piorun; zdumiało go to nawet bardziej niż wszystko, co wydarzyło się w Inveraray. Nigdy nie myślał o sklepie Ledbettera jako o miejscu, w którym można zrobić karierę, lecz raczej jako o przystanku na drodze ku swemu prawdziwemu przeznaczeniu. Kierownik sklepu wziął jego zdumienie za skromność i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Wiem, że pewnie pana zaskoczyłem, panie Sullivan, ale uważam, że awans w pana przypadku jest nie tylko od dawna zasłużony, lecz nawet już nieco spóźniony.

- Dz-dziękuję panu, panie Grieve - wykrztusił Francey. - Czy mógłbym się nad tym zastanowić dzień lub dwa?

Kierownik sklepu zmarszczył brwi.

- Tylko niech pan się nie zastanawia zbyt długo. - Wydawał się lekko urażony. - Są tu jeszcze inni, chyba zdaje sobie pan z tego sprawę, którzy z radością rzuciliby się na taką propozycję. Santry to bardzo dobre miejsce. Jeśli dostanie się pan tam na parter, że się tak wyrażę, to kto wie? W bardzo krótkim czasie może pan zostać kierownikiem działu. Może nawet wystarczy pięć lat...

Teraz, gdy zaproponowano mu to jak okazję jedną na tysiąc, Francey poczuł nagle, że perspektywa związania się do końca życia ze sprzętem hydraulicznym, murarskim i tynkarskim jest tak okropna, iż nawet nie chce się nad nią zastanawiać. A jednak nie potrafił tak od razu pozbyć się nabytego w Lahersheen nawyku trzymania się „dobrej pracy”.

- Wprawdzie dopiero co wróciłem... - zaczął wiedząc, że kusi szczęście - ale czy mógłbym wziąć jeszcze dzisiaj wolne, panie Grieve? Przez całą noc byłem w drodze i jestem okropnie zmęczony. Wezmę sobie ten dzień z przyszłego urlopu - dodał pośpiesznie.

- Widzę, że jest pan zmęczony - odrzekł kierownik. - A ponieważ nie zwykł pan postępować w ten sposób, nie ma sprawy... niech pan załatwi formalności z panną Pym... Chciałbym jednak usłyszeć odpowiedź na moją propozycję jutro z samego rana, dobrze?

- Ma pan na to moje słowo - przyrzekł Francey i z ulgą podniósł się z chwiejnego krzesła.

- Muszę przyznać, że pańskie potraktowanie mojej oferty mocno mnie dziwi - dodał kierownik, patrząc mu w oczy. - Myślałem, że z radością skorzysta pan z okazji. Czyż nie czuje się pan szczęśliwy, mogąc pracować u Ledbettera?

- Bardzo - skłamał Francey. - Jestem tu bardzo szczęśliwy, panie Grieve.

- No, cóż... Więc w czym problem? - nalegał kierownik. - Chodzi o Santry? Nie chce się pan przeprowadzać?

- Chodzi tylko o to, że jestem zbyt zmęczony, by pomyśleć rozsądnie o czymkolwiek.

- W takim razie jutro?

- Oczywiście.

Podniósłszy walizkę i zmusiwszy zmęczone nogi do ruchu, Francey powlókł się do swego pokoju przy Berkeley Road, obiecując sobie, że kiedy się wyśpi, stawi czoło wszystkim problemom.

Jednak później, opadłszy już na twarde materac, usłyszał w głowie ciche echo śmiechu Hazel i reakcję przyjaciółki, kiedy opowiedział jej o swoich problemach: „Żeby każdy miał takie kłopoty jak ty, głuptasie...”.

Piosenkarka wyznaczyła mu spotkanie tego wieczora u Neary'ego na Chatham Street i Francey, który jak zwykle przyszedł wcześniej, zamówił kufel piwa. Ponieważ był wtorek, w pubie nie panował zbyt duży ruch, a większość krzeseł i foteli przy stolikach stała pusta, mimo że przy barze cisnęło się wielu potężnie zbudowanych, ponurych mężczyzn. Sądząc po tym, jak ubierali się tutejsi bywalcy - nieco bardziej wyzywająco niż przeciętni mieszkańcy Dublina - Francey wywnioskował, że należą do tego samego, co Hazel, świata show-biznesu.

Zjawiła się dwadzieścia minut spóźniona, w kurtce z imitacji skóry lamparta, otulona mnóstwem puszystych czarnych szali. Kiedy szła w kierunku Franceya, zauważył, że mimo bandaży na rękach udało się jej oprócz zwyczajnego makijażu przykleić także sztuczne rzęsy i pomalować paznokcie jasnoczerwonym lakierem.

- Uff! - Opadła na krzesło obok młodzieńca. - Cholerna taksówka jak zwykle się spóźniła! - Do lamparciego stroju włożyła czarne pończochy i czarne szpilki podkreślające jej cudowne nogi. - Muszę ci przypomnieć, że bycie na wpół kaleką wcale nie pomaga w czynnościach życiowych. - Zerknęła z obrzydzeniem na swoje bandaże, a potem uśmiechnęła się do Franceya. - Ale nie jest tak źle, jak by się mogło wydawać. Już prawie całkiem odzyskałam dawne siły... Lepiej uważaj. Fizykoterapeuta mówi, że wszystko się świetnie goi... to podobno zasługa dostatniego życia. A te dwie dłonie obecnie są zarejestrowane jako śmiertelnie niebezpieczna broń!

Przez chwilę udawała walkę z cieniem i zauważył, że jej uśmiech na powrót stał się olśniewający: nowe koronki niczym nie różniły się od prawdziwych zębów. Od ich ostatniego spotkania znowu ufarbowała włosy na blond; wyglądała na zdrową i zadowoloną z życia, a

Francey był zaskoczony głębią szczęścia, które odczuwał na jej widok.

- Wyglądasz wspaniale! - powiedział szczerze. - Jak się czujesz, tak ogólnie?

- Nie mogę złapać tchu! - Jej obrysowane czarną kredką oczy zablęśły.

- O, przepraszam, czego się napijesz? - W odpowiedzi wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu

- A czy musisz pytać, głuptasie? - Szturchnęła go łokciem w bok. - Z całym twoim majątkiem, oczywiście, że brandy! Podwójną!

Idąc do baru, by spełnić jej życzenie, młodzieniec pomyślał, że ogólnie rzecz biorąc, świat nie jest taki zły. Nie miał wątpliwości, że Hazel będzie umiała wskazać mu odpowiedni kierunek. Wreszcie też mógł zacząć się cieszyć swym bogactwem: obudził się na czas, aby jeszcze pójść do banku i wymienić funty na irlandzką walutę i gdy miał teraz w kieszeni znajome, ogromne banknoty czuł, że pieniądze dane mu przez George'a są prawdziwe. Przepchnął się do kontuaru i z cichą satysfakcją patrzył, jak barman wciąga głęboko powietrze na widok dwudziestofuntowego banknotu i pod światło sprawdza jego autentyczność, burcząc coś pod nosem, że nie wie, czy będzie miał wydać resztę. Francey pomyślał radośnie, że bogactwo może łatwo uderzyć do głowy.

Przyniósł brandy i kolejny kufel piwa z powrotem do stolika, po czym położył dwie paczki spanglesów obok pękatego kieliszka Hazel.

- Hej, ja tylko żartowałam! - Roześmiała się głośno. - Nie mówiłam poważnie.

- Wiem, że nie mówiłaś poważnie. Ale przywiozłem ci coś jeszcze. - Sięgnął do kieszeni; od dawna nie mógł się doczekać tej chwili. - To taki prezent na wyzdrowienie... i w podziękowaniu za pomoc w odnalezieniu ojca.

- Jaką znowu pomoc? - Hazel z udanym spokojem patrzyła na małe pudełeczko ze znakiem firmowym Weira, leżące obok cukierków.

- Przecież wiesz.

- Weir? - Podniosła pudełeczko. - Czyś ty oszalał, Francey?

Weir był najbardziej ekskluzywnym jubilerem w Dublinie i młodzieniec był tam wcześniej tylko raz, podczas pierwszego Bożego Narodzenia w mieście, kiedy szukał prezentu dla matki. Wybiegł wtedy z przerażeniem ze sklepu, gdy tylko zobaczył ceny, ale zawsze chciał wrócić - Weir stał się dlań symbolem bogactwa i luksusu. Kiedy przechodził obok jubilera tego dnia, przyszło mu do głowy, że teraz już może robić tam zakupy.

- Dlaczego nie otworzysz? - Postukał w wieczko pudełka spoczywającego w dłoni Hazel.

- O mój Boże! - Choć raz zabrakło jej słów; wpatrywała się w maleńką broszkę w kształcie motyla leżącą na aksamicie.

- To masa perłowa i srebro - wyjaśnił. - Sprzedawca twierdził, że przeżyje ciebie...

- Dlaczego to zrobiłeś, Francey? - Ku jego ogromnej konsternacji w oczach przyjaciółki pojawiły się łzy.

- Bo chciałem... hej, głuptasie! - Przestraszony, że Hazel zacznie płakać i zrobi z nich obojga atrakcję wieczoru, usiłował potraktować całą sprawę najlżej, jak tylko się da. Nic nie szło tak, jak zaplanował.

- Nikt nigdy nie dał mi takiego prezentu! - Piosenkarka wydawała się zahipnotyzowana widokiem małej broszki.

- Wątpię! Nie daj się ponieść wyobraźni, Hazel, wcale nie jest aż tak wspaniała... to tylko drobny wyraz mojej wdzięczności.

Jednak zanim się zorientował, zarzuciła mu już zabandażowane ręce na szyję i zaczęła go ścisnąć z całej mocy. Nie kłamała wcześniej, mówiąc, że odzyskała dawne siły. Pomimo niedawnych urazów chwyt miała silny niczym kowalskie obcęgi. Po chwili wahania Francey także ją objął, świadomy, że są teraz w centrum uwagi całego pubu.

- Hej, Hazel, kim jest ten nowy Jekyll? - Najgorsze przeczucia młodzieńca się sprawdziły, kiedy jeden z pijaczków przy barze obrócił się na wysokim stołku i z obrzydliwym uśmiechem popatrzył w ich kierunku.

- Zamknij się, ty! Od wielu tygodni nie było cię w obiegu, to nie śmiej odzywać się do lepszych od ciebie! - Dziewczyna wyswobodziła się z uścisku Franceya i wlepiała oczy w faceta.

- Gdybym nie była na wpół kaleką, urwałabym ci jaja!

- Ohoho! Cóż za temperamencik! Zupełnie jak goniąca się suka! - Młody mężczyzna, który zapewne kiedyś był przystojny, zanim jego twarz zrobiła się nalana od picia, zatoczył w powietrzu koło lekko chwiejną ręką.

- Kiedy ostatni raz ci stanął, co, ty paskudna, zapijaczona mordo? - Hazel walnęła pięścią w stół przed sobą tak mocno, że aż kieliszki podskoczyły, po czym zrobiła ruch, jakby chciała wstać.

- No, no... Hazel! Tylko mi się tu nie awanturuj! - zainterweniował barman zza lady. - Usiądź spokojnie i się nie wyrażaj. A ty dokończ swego drinka jak grzeczny chłopiec, Larry - dodał w stronę pijaczka. - Jak na jeden wieczór dość już wypieś.

- Chodź, Francey. - Piosenkarka poderwała się i złapała torebkę. - Coś tu śmierdzi. Pój-

dziemy gdzieś, gdzie można posiedzieć w spokoju.

Kiedy przechodziła obok pijaczka, Francey obawiał się, że może uderzyć Larry'ego, ale ku jego wielkiej uldze trzymała ręce przy sobie, a wzrok utkwiała w drzwiach. Zażenowany do tego stopnia, że nie wiedział, gdzie podziąć oczy, poszedł za nią.

- Co w ciebie wstąpiło, Hazel? Czy przypadkiem nieco nie przesadziłaś? - spytał, kiedy byli na chodniku Chatham Street.

- Znam tego gada - warknęła w odpowiedzi. - To moja wina... Nie powinnam była cię przyprowadzać do Neary'ego... mogłam się spodziewać, że będzie tu siedział przy barze i moczył mordę. Chodź, pójdziemy kawałek dalej, do Sinnotts'a.

- Czym on się zajmuje? - Francey zwolnił, by dziewczyna mogła za nim nadążyć i poszli w kierunku St Stephen's Green; nie mógł wymazać z pamięci dzikiego wybuchu Hazel, który wydawał mu się niewspółmierny do sytuacji.

- Niczym, jeśli tylko może - odparła. - Kręci się przy zespołach muzycznych - poprawiła się po chwili. - Prowadzi ciężarówki, zna się trochę na sprzęcie, na trasach... tego typu sprawach.

- A co ty masz przeciwko niemu? Wiem, że był nieuprzejmy, ale co on ci zrobił?

- Niedoczekanie jego! - mruknęła Hazel pod nosem i Francey doszedł do wniosku, że rozsądniej będzie nie pytać dalej.

Wypili jednego drinka w pubie Sinnotts'a, na drugiego poszli do Davy'ego Byrne'a i jeszcze na następnego do Old Standa, po czym Hazel zaproponowała, że mogliby coś zjeść w restauracji Trocadero, na Andrew Street, tuż za rogiem.

- Dlaczego nie, Francey? Skoro już świętujemy, a ty płacisz! - Ku jego ogromnemu zdumieniu Hazel, która odzyskała pogodny nastrój w kilka minut po przyjsciu do Sinnotts'a, pomimo bandaży na rękach piła równo. Kiedy wspomniał o tym, odrzekła: - To najlepsza rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła. Po raz pierwszy od dwudziestu lat mam trochę czasu dla siebie. Dużo ćwiczę, nie za dużo piję... prawdopodobnie jestem teraz w lepszej formie niż za najlepszych czasów młodości.

Kiedy kierownik sali - który objął piosenkarkę na powitanie niby dawno niewidzianą córkę - prowadził ich do stolika, młodzieniec pomyślał, że ten wieczór był dla niego szalenie pouczający. Aż do tej pory jego życie towarzyskie w Dublinie ograniczało się do kilku podrzędnych pubów, więc wesołe miejsca, które odwiedził z Hazel, wydawały się mu objawieniem. Mimo że był dopiero wtorek, rozjaśnione świecami wewnątrz Trocadero, z czerwonymi

ścianami, na których wisiały zdjęcia co sławniejszych gości, wypełniał gwar i wesoły harmider rozmów. Pod koniec posiłku, usatysfakcjonowany dobrym jedzeniem i drinkami, Francey miał poczucie, że mógłby zrobić wszystko.

Jednak choć od dłuższego czasu rozważali z Hazel różne plany dotyczące jego przyszłości - niektóre zupełnie nieprawdopodobne - nie znalazł jeszcze odwagi, by poruszyć leżącą mu na sercu sprawę. Teraz, nakładając ostatnią cebulkę na ostatni kawałek steku, zerknął przez stolik na swą towarzyszkę. Jaki ten świat jest dziwny, pomyślał. Gdyby nie spotkał Fleur Mannering, bardzo możliwe, że w obecnej chwili poszedłby za głosem swej pierwotnej fascynacji. Płomyki świec stojących między nimi rzucały migotliwe światelka na twarz dziewczyny i odbijały się niczym od pryzmatu od małego motyla przypiętego wysoko do czarnej bluzki; łagodziły rysy Hazel i sprawiały, że jej zdumiewające oczy - kolorem przypominające broszkę, co Francey dopiero teraz zauważył - wydają się jeszcze większe niż w rzeczywistości.

- O co chodzi? - spytała tak nagle, że nieomal podskoczył. Często to robiła: łapała go na czymś, o czym nie chciał, aby wiedziała.

- A o co pytasz? - Francey usiłował zyskać nieco czasu.

- O czym myślisz? To ma coś wspólnego z czymś, co wydarzyło się w Anglii, nieprawdaż? Chciałeś mi o tym powiedzieć ostatnim razem, kiedy rozmawialiśmy przez telefon, prawda? Chodzi o coś innego niż spadek.

Francey zawahał się, po czym opowiedział jej o pierwszym spotkaniu z ojcem.

- Ale nie mieliśmy szansy porozmawiać na osobności. Obiecał mi jednak, że porozmawiamy...

Uwagę Hazel odwrócił jeden z klientów, który właśnie wychodził z restauracji i przystanął przy ich stoliku, by się pożegnać. Zdawało się, że piosenkarka zna tu nie tylko właściciela i wszystkich kelnerów, lecz także większość gości.

- No i? - Pożegnawszy się ze znajomym, odwróciła się do Franceya.

- Czy ty znasz absolutnie wszystkich w Dublinie? - Próbował grać na zwłokę.

- Oczywiście, że nie. - Uśmiechnęła się szeroko. - Ale show-biznes jest zamkniętym kręgiem, a dziś wieczorem odwiedzamy moje ulubione miejsca. - Upiła łyżeczek wina, po czym spoważniała. - No, dalej, Francey, wyduś to wreszcie. Wiem przecież, że nie chodzi o George'a Gallahera.

- Spotkałem tam kogoś, Hazel - wyznał po krótkim wahaniu.

- Tak też myślałam. - Zapatrzyła się w kieliszek z winem, po czym zaczęła go obracać,

jakby z ruchu czerwonego napoju chciała wyczytać przyszłość. - No, dalej... opowiedz mi wszystko ze szczegółami.

- Jest piękna. - Francey nagle nie wiedział, co dalej mówić.

- Jak one wszystkie... - Ton Hazel nie pasował do tych lakonicznych słów. - Więc w czym problem, Francey?

- Skąd wiesz, że jest jakiś problem? - zdumiał się młodzieniec.

- Bo gdyby go nie było, nie zatrzymałbyś się na szczegółach anatomicznych. Masz coś przeciwko temu, żebyśmy zamówili jeszcze jedną butelkę wina? - Podniósłszy pustą, która stała na stole odwróciła się na krześle i uniosła ją do góry, sygnalizując swe życzenie jednemu z kelnerów. Potem obróciła się z powrotem do Franceya i opróżniwszy kieliszek jednym haustem, rzuciła: - Mów dalej.

- Nie wiem, jak zacząć.

- Zaczniij od tego, gdzie ją poznałeś. To zazwyczaj najlepszy moment. To ta żona twojego przyrodniego brata... jak-jej-tam?

- Fleur. - Francey nawet nie udawał, że jej przenikliwość go dziwi. - Skąd wiedziałaś?

- Ileż razy mam ci powtarzać, że stary ze mnie wróbel? Nadszedł kelner z drugą butelką wina i Francey musiał poczekać, aż rytuał otwierania i próbowania dobiegnie końca.

- Chyba nie aż tak łatwo mnie przejrzeć?

- Nie łatwiej niż innych zakochanych.

Wtedy już wszystkie tamy puściły i opowiedział Hazel o każdej sekundzie spędzonej w towarzystwie Fleur Mannering i o wspólnym spacerze po zaczarowanym lesie, jak go teraz nazywał w myślach.

Przerwała mu dopiero wtedy, gdy wyznał, że jego zdaniem w małżeństwie Fleur i Colina coś jest nie w porządku.

- Naprawdę solidnie cię trafiło, nieprawdaż?

- Obawiam się, że tak. - To stwierdzenie sprawiło mu przyjemność. - Wiesz, wcale nie prosiłem, by mi się to przydarzyło. - Zauważył, że jego kieliszek stoi pusty; nie wiedział, od jak dawna. Napełnił oba.

- Mężczyźni! - burknęła Hazel. - I co zamierzasz zrobić z tym wszystkim?

Francey próbował odczytać wskazówkę z jej oczu, lecz nie potrafił.

- A niby co mogę zrobić? - zapytał. - Miałem nadzieję, że to ty mi coś poradzisz.

Wyglądało na to, że dziewczyna podjęła w duchu jakąś ważną decyzję.

- A czy jej się spodobałeś?

- Och, Boże, nie mam pojęcia. Znamy się bardzo krótko.

- Zazwyczaj można to od razu zobaczyć. - Hazel uśmiechnęła się lekko.

- Niby jak?

- Jezusie, Maryjo, Józefie święty! No i co mam z tobą począć? - W jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. - Posłuchaj, mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Pewnie. - Przygotował się na najgorsze. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Czy ty jesteś prawiczkim?

- Tak. - Mimo że nigdy nie przyznałby się do tego żadnemu ze swych tak zwanych przyjaciół, jakoś nie miał nic przeciwko wyjawieniu swego sekretu Hazel.

- Tak też myślałam - odrzekła. - A gdybyś nie był, wszystko wydawałoby się prostsze? Albo czy przeszkadzałoby ci, że ona jest mężatką? Chodzi mi o całe to zamieszanie z cudzołóstwem.

- Oczywiście, że by mi przeszkadzało! - Francey był zbulwersowany. - Między nami nic się nie wydarzyło, Hazel. Absolutnie nic.

- Oczywiście, że nie, ty wielki byku - odrzekła z czułością, po czym odstawiła kieliszek na stół. - Jestem zmęczona, chodźmy do domu.

- A co z winem? - Spojrzył na swój kieliszek i na jej, a potem na opróżnioną tylko do połowy butelkę.

- Weźmiemy z sobą. - Hazel zaczęła wlewać wino z kieliszków z powrotem do butelki. - Posłuchaj, Francey, teraz jesteś bogaczem i nie zbiedniejesz przez kilka kropelek.

- Wcale nie o to mi chodziło... - Czy naprawdę był aż takim sknerą?

Jednak Hazel, która właśnie zasygnalizowała kelnerowi, by przyniósł rachunek, wcale go nie słuchała.

- Przynieś nam jeszcze korek, Frank, dobrze? - zawołała. - Zabieramy resztę do domu!

Odliczając pieniądze, Francey pomyślał, że już nigdy nie będzie musiał oszczędzać na jedzeniu czy piciu.

Nie odezwali się ani słowem, dopóki nie wyszli na ulicę i nie zbliżyli się do szeregu taksówek stojących pod Bankiem Irlandzkim przy College Green.

- Weź pierwszą - nalegał Francey. - Wino także jest dla ciebie.

Zimne, czyste powietrze uderzyło go niczym obuchem i dopiero teraz dotarło doń, jak wiele wypił. Nawet krew inaczej krążyła w jego żyłach, posyłając do całego ciała fale ciepła.

Hazel spojrzała na butelkę.

- Nie zamierzasz odwieźć mnie do domu? Taki jest zwyczaj, wiesz?

- Oczywiście, że tak - odrzekł, otwierając przed piosenkarką drzwi auta, a potem cofnął się o krok, by ją przepuścić.

Hazel podała kierowcy adres i oparła się wygodnie; taksówkarz czekał, aż młodzieniec również wsiądzie, po czym włączył silnik; zakręcił tak gwałtownie, że dziewczyna wpadła na siedzącego obok Franceya.

- Hej, uważaj, jak jeździsz, Fangio! - zawołała i poprawiła się na siedzeniu.

- Skąd wiesz, kto to jest Fangio? - spytał Francey zaskoczony, że ktoś taki jak Hazel może interesować się kierowcami samochodów wyścigowych.

- Niby dlaczego miałabym nie wiedzieć? - odrzekła. - Jak na bogatego paniczyka, Franceyu Sullivanie, powinieneś się jeszcze mnóstwo nauczyć o ludziach.

Taksówka pędziła po Dame Street.

- Podejrzewam, że masz rację - przyznał. - A skoro już mówimy o nauce... to kto to jest „Jekyll”? Czy to ma coś wspólnego z Jekylllem i Hyde'em? Ten facet w pubie...

- Ten pijus? To ktoś, kogo znałam dawno temu. Nie przejmuj się nim ani trochę. Ale chcesz wiedzieć, kto to Jekyll? - Przysunęła się do niego i zarzuciła mu rękę na szyję. - To wszystko w jednym, kapujesz? To właśnie to... - I przycisnęła wargi do jego ust.

Rozdział szósty

Pomimo wielu miseczek z pot-pourri powietrze w saloniku Hazel pachniało starym dymem papierosowym, przez który przebijała gdzieś woń piżmowych perfum. Francey pomyślał, że musi jej się nieźle powodzić, gdyż mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze, było przestronne i wysokie. Tapety miały dyskretny i niezwykle kremowy odcień, a dwa ogromne okna zasłonięte żaluzjami otaczały ciężkie, miękkie story w odcieniu kaczeńców, całe zaś mieszkanie, z wyjątkiem kuchni - i prawdopodobnie łazienki - wyłożone było dywanami w kolorze granatowym. W saloniku znajdował się fortepian, radio i - luksus nad luksusy - odbiornik telewizyjny wbudowany w szafkę.

Franceya najbardziej jednak zainteresowała narożna komoda, na której ustawiono całą menażerię pluszowych zwierzątek; szklane, koralikowe lub malowane oczy zdawały się odzwajemniać jego spojrzenie i śledziły go, gdy chodził po pokoju. Obecność pluszaków nie kończyła się wcale w salonie: wszedłszy do łazienki, stanął oko w oko z olbrzymim uśmiechniętym słoniem, siedzącym na wiklinowym koszu na bieliznę. Pomyślał, że broszka w kształcie motyla to doprawdy świetny pomysł.

Hazel zapaliła tylko jedną lampkę na stoliku przy sofie nieopodal kominka; w jej świetle oraz tym padającym z kuchni salon wydawał się miękki i atrakcyjny, lecz poza zwierzątkami i fotografiami stojącymi na fortepianie był bezosobowy.

- Ślicznie tu u ciebie! - zawołał w stronę kuchni, do której udała się przyjaciółka. - Masz wspaniały gust.

- Dzięki! - odkrzyknęła. - Jednak w większości to nie moja zasługa. Wynajęłam kogoś, żeby zaprojektował wnętrza. Sama jeszcze nie wiem, czy mi się tu podoba, czy nie. Niezbyt często tu bywam.

- Widzę, że lubisz zwierzęta. - Francey nadal czuł się niepewnie przy tych wszystkich sztucznych oczach wpatrujących się w niego jakby z niechęcią, że wkroczył bez pytania na ich teren.

- A ty nie? - odrzekła. - Uważam, że są o wiele miłsze od ludzi... z wyjątkiem tu obecnych, rzecz jasna... o, cholera! - Była to reakcja na nagły huk. - Rozgość się! - zawołała; w tle słychać było, że coś gwałtownie zmiata. - To potrwa tylko sekundkę!

Francey podszedł do fortepianu, który zajmował wnękę pomiędzy dwoma oknami. Większość wystawionych tu zdjęć przedstawiała piosenkarkę, często samą, nieraz jako jedną z

długiego rzędu artystów. Na kilku fotkach jednak byli i inni ludzie.

Wiele z fotografii przedstawiało mężczyzn; na jednym z takich zdjęć młodzieniec dopatrył się dedykacji: pod męskim imieniem, którego nie poznał, napisane było: „Dla Księżniczki, z wyrazami miłości”. Zaczęło w nim narastać przeczucie, że oto znalazł się w obliczu zadania, któremu nie potrafi sprostać: jeszcze nigdy w życiu nie był o tak późnej porze w mieszkaniu kobiety. I co miał teraz począć? Zdenerwowany Francey, nie mogąc podjąć właściwej decyzji, podszedł do okna i rozchylił żaluzje: okna mieszkania wychodziły na park.

Rozświetlony poświatą lamp z ulicy park wyglądał niesamowicie, surrealistycznie, niemalże jak z innego świata; ciemne, odsłonięte szkielety drzew i krzewów zdawały się wykwiatać niby czarne grzyby ze zwiędłej trawy; kanciaste żywopłoty biegnące niczym spektralne szyny tramwajów poniżej spiczastych bram odsłaniały nienaturalną symetrię, a siedzenia dziecięcych huśtawek stojących na asfaltowej polance kołysały się miarowo w podmuchach lekkiego wiatru. Francey pomyślał, że cały park wspiął się na palce i czeka na jakieś okropne wydarzenie. Zadrzał; przypomniał mu się bardzo stary cmentarz w Kilcatherine, tak pełny niesamowitych dźwięków, że młodzieniec nie lubił tam chodzić nawet na pogrzeby. Kiedy stał nad czymś otwartym grobem, wydawało mu się, że słyszy szepty rozległego kosmicznego zgromadzenia, przygotowującego się już na przyjęcie jego samego.

Opuścił żaluzje i wrócił do salonu. Doszedł do wniosku, że cały alkohol, który wypił w ciągu ostatnich paru godzin, musiał zacząć działać i dlatego jego myśli biegają ku tak dziwnym sprawom. Co z nim się dzieje? Czy jakkolwiek mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie chciałby się znaleźć w takiej sytuacji? Sam na sam ze słynną piosenkarką - a co więcej, z dziewczyną, która całowała go namiętnie na tylnym siedzeniu taksówki!

Jak większość jego rówieśników, uważał seks pozamałżeński za podniecający grzech, lecz w odróżnieniu od tamtych wszelkie eksperymenty młodzieńca w tej materii skończyły się w wieku dorastania, gdyż właśnie wtedy, gdy nasiliły się erotyczne zainteresowania chłopaka, zaczął gwałtownie rosnać. Teraz był rozdarty pomiędzy pożądaniem i chęcią, by Hazel miała ochotę poprowadzić sprawę dalej niż w taksówce - a rozpaczliwą nadzieją, że może jednak pozwoli mu się wymigać. Nie był pewien, czy jest przygotowany na popełnienie śmiertelnego grzechu. Odkąd przyjechał do Dublina, stał się praktykującym katolikiem, lecz niezbyt wiele czasu poświęcał na religijne rozważania - jednak czy był już gotów do tego ostatecznego kroku? Co więcej, czy jego namiętne uczucie do Fleur Mannering nie powinno wymazać wszelkiego seksualnego zainteresowania innymi kobietami? Czyż nie jest okropne, że będąc zako-

chanym we Fleur, czuł podniecenie na samą myśl o ustach Hazel na swoich wargach? A może działa się tak dlatego, że Fleur była mężatką i po prostu nie mogła należeć do niego? A może traktował Hazel jako substytut? Serce młodzieńca biło jak oszalałe; nie potrafił już jasno myśleć, gdyż wszystko pogrążyło się w chaosie podsycanym namiętnością.

I jeszcze jedna sprawa: czy Hazel nie będzie się śmiać z jego braku doświadczenia lub też dzikich rozmiarów? No i to, co najbardziej go gryzło: czy stanie na wysokości zadania? Francey czytał książkę Henry'ego Millera równie dokładnie, jak każdy inny mężczyzna i wiedział, że stare zasady - te, z których tak się śmiali w szkole i na boisku do rugby - nie są już aktualne.

Może powinien się zmyć, dopóki jeszcze wszystko było pod kontrolą? Stojąc na środku salonu i widząc, że jego buty na wpół giną w grubym dywanie, Francey czuł się tak, jakby nie miał własnej woli. Zerknął w stronę drzwi do kuchni, lecz nie było tam widać Hazel; nadal jednak słyszał odgłosy zamiatania.

- Chyba powinienem już pójść! - zawołał. - Nie jesteś zmęczona?

- Ależ skąd! - Stała właśnie w drzwiach, trzymając dwa pełne kieliszki wina oraz tacę z krakersami i serem. - Przepraszam za opóźnienie, ale przydarzył mi się wypadek z kilkoma talerzami. Proszę, napij się tego twojego wina!

Francey był tak zdenerwowany, że biorąc od niej kieliszek, wylał kilka kropli alkoholu na podłogę. Hazel uśmiechnęła się lekko.

- Czyżbyśmy byli nieco przestraszeni? Czy mam rozumieć, że ktoś tak wielki jak ty boi się kogoś tak maleńkiego jak ja?

Prawie już przestał się dziwić jej nieomylnemu instynktowi.

- Oczywiście, że nie - skłamał i wypił potężny łyk wina.

Zauważył, że Hazel odświeżyła makijaż i faktycznie wyglądała na rześką niczym szczygiełek.

- W takim razie klapnij sobie. - Postawiła tacę z serem i krakersami na stoliku, zdjęła szpilki i usiadła na kanapie przed kominkiem. - Chodź tu do mnie... - Poglądziła miejsce tuż obok siebie. - Na miłość boską, Francey, przecież ja cię nie pogryzę! - Później, kiedy patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma, dodała, mrużąc złośliwie oczy: - To znaczy, chyba że o to poprosisz!

Młodzieniec poczuł, że serce zaczyna mu walić jeszcze szybciej. Ściskając nóżkę kieliszka, usiadł na drugim końcu kanapy, skrzyżował nogi, po czym postawił je prosto i powtó-

rzył całą operację.

Hazel obserwowała go bacznie.

- Jezu Chryste! - mruknęła. - Nie możesz choć na chwilę się odprężyć? Co ja mam z tobą począć! - Sięgnęła za siebie i przekręciła klosz lampy, tak że kanapa zatoneła w cieniu. - Tak lepiej? - A kiedy skinął głową, dodała: - Więc może rozluźnimy ten śmieszny krawat? - Zanim się zorientował, usiadła tuż obok i sięgnęła do jego szyi.

- A co z nim jest nie tak? - Wolną dłonią dotknął węzła; krawat, kupiony w sklepie Henleya w Castletownbere przed poprzednią Gwiazdką, był prezentem od jednej z sióstr.

- Jest piękny, istne dzieło sztuki. - Czerwona pomadka lśniła na jej ustach tak blisko jego warg; odsunęła dłoń Franceya i dotknęła krawata. - Ale zbyt ciasno zawiązany.

- Zostaw. - Szarpnął głową w tył. - Sam to zrobię.

- Ohoho!... I kto tu teraz zgrywa dużego chłopca!

- Przestań, Hazel. - Jej żarty sprawiały, że zaczął się czuć jak idiota.

- Cii! - Złapała go za oba policzki i zaczęła podszczypywać, jakby był dzieckiem. - Na miłość boską, rozluźnij się trochę!

- Czy jestem aż tak beznadziejny?

Przysunęła się teraz tak blisko, że nie mógł skupić na niej wzroku.

- Jeszcze nigdy w życiu nie spotkałam takiego nerwusa! - odrzekła, po czym delikatnie pocałowała go w usta.

- Przepraszam.

Francey był tak zdenerwowany, że ledwie powstrzymał się od odskoczenia w tył. Kiedy Hazel odsunęła się nieco, by spojrzeć mu w oczy, oblizał wargi i poczuł, że nie tylko są lekko tłuste od jej pomadki, lecz także smakują truskawkami.

- Raz na zawsze przestań mnie przepraszać, ty cudowny wielkoludzie. - Ponownie uszczypnęła go w policzek. Później w jej głosie zabrzmiała czułość. - Czy naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z tego, jaki jesteś cudowny? Właśnie dlatego jesteś tak diabelsko atrakcyjny. Ta twoja syjamska siostra, czy kim ona tam jest, nawet nie wie, jakie ma szczęście. A teraz, Francey, czas podjąć męską decyzję. Masz na to ochotę czy nie?

Wydawało mu się, że dwukolorowe spojrzenie Hazel trzyma go na uwięzi, lecz wzięła jego milczenie za zgodę i przysunęła się jeszcze bliżej.

- W takim razie naprawdę możesz się odprężyć... odstaw ten kieliszek.

Kiedy zrobił, co mu kazała, pocałowała go w usta, tym razem mocniej i namiętniej, lecz

przerwała, gdy tylko zaczął odwzajemniać jej pocałunki.

- Spokojnie... spokojnie, kochanie. - Powoli rozpięła dwa górne guziki jego koszuli i wsunęła pod nią rękę. - O czym też myślały te twoje dziewczynki z Irlandii, co? - Uśmiechnęła się, głaszcząc jego klatkę piersiową, co wywołało niesamowity efekt. - Ile ty masz właściwie lat, kwiatuszku... dwadzieścia pięć? Nie sądzisz, że już najwyższa pora, żebyś trochę się w życiu zabawił?

Jej głos był łagodny i czuły, podobnie jak ruchy dłoni.

A więc jednak to się zdarzy. Naprawdę do tego dojdzie. Wszystkie wątpliwości i pytania Franceya stopniały w gorącej fali podniecenia. Jego ciało, jakby zupełnie bez udziału woli, opadło do tyłu, aż na wpół leżał na oparciu kanapy. Odwrócił twarz do poduszek, jakby nie chciał patrzeć na Hazel, lecz gdy odpięła pozostałe guziki jego koszuli, a potem pasek od spodni, objął jej smukłe ciało i przycisnął do siebie. W miejscu, gdzie zaczynały się jej krągłe biodra, wyczuł gumkę przy majteczkach, co w połączeniu z cienkim materiałem sukienki okazało się znacznie bardziej erotycznym doświadczeniem niż jakiegokolwiek zdjęcie dziewczyny w bikini. Przyciągał ją do siebie, dopóki nie siedziała na nim niby na koniu z wysoko podciągniętą sukienką.

- Wygodnie ci? - Jej gardłowy głos był dziwnie cichy.

Francey otworzył oczy; jej czerwone usta lśniły tuż przy jego wargach.

- Hazel, Hazel... - jęknął; położył dłoń na karku dziewczyny i przyciągnął jej głowę do siebie.

- Nie tak szybko... - Wyślizgnęła się z jego ramion niby zjawa ze snu. - Chcę, żeby ten twój pierwszy raz był dla ciebie nie-za-pom-nia-nym prze-ży-ciem... - Wypunktowała każdą sylabę drobnymi pocałunkami, poczynając od mostka i każdy następny składając nieco niżej, aż ostatni wylądował pod rozpiętym paskiem spodni.

- To już i tak jest... - Obawiał się, że lada moment straci kontrolę nad sobą, więc usiłował przyciągnąć jej głowę z powrotem do swojej twarzy, lecz dziewczyna pozostała wyprostowana.

- Nie... - wydyszała. - Pierwszy raz musi się odbyć jak należy. Wygodnie. - Zsunęła się z niego i przysiadła na podłodze. - Podziękujesz mi później. Chodź...

Francey pozwolił, by zdjęła mu marynarkę i poprowadziła go w kierunku sypialni...

- Chcę, żebyś się położył na samym środku...

Pchnęła go na ogromne posłanie, tak że położył głowę na brzuchu wielkiego zielonego hipopotama.

- Światło! - Przekreśliła włączniki dwóch lamp stojących przy łóżku. - *Voilà!* - Zatrzymała się na chwilę, by spojrzeć na niego, po czym szepnęła: - Ładnie! Niestety nie mamy kamery, ale już najwyższy czas zacząć... Akcja!

Jednym płynnym ruchem ściągnęła mu spodnie i bieliznę. Francey automatycznie zakrył rękoma wystającą bulwę w kroczu.

- A co będzie, jeśli zajdziesz w ciążę? - Po raz pierwszy uprzytomnił sobie to zagrożenie.

- Wszystkim już się zajęłam - szepnęła, odsuwając jego dłonie. - Nie musisz o nic się martwić.

Zanim zdążył ją powstrzymać, przesunęła ustami po jego naprężonym członku, a chwilę później znowu całowała w szyję. Uciszyła przestraszony jęk Franceya, przykładając mu palec do warg; później ujęła jego dłoń i położyła na swej piersi.

Zamarła w bezruchu.

Nerwy w kroczu Franceya i w opuszkach jego palców stały się jednym pulsującym, zakłętym kręgiem. Wcześniej kilka razy zdarzyło mu się już dotknąć biustu dziewczyny; piersi Hazel były ciepłe i pełne, i miał ogromną chęć odrzucić na bok koronki i welenki, by móc pieścić i całować bez przeszkód to mleczne ciało. Jednak bardzo chciał odsunąć nieuniknione, więc tylko leżał spokojnie, trzymając nerwy na wodzy, i delectował się każdą chwilą.

- Jakie to uczucie? - spytała cicho Hazel i nagle zrobiła coś dziwnego: poruszyła mięśniami tak, że jej pierś drgnęła w dłoni Franceya.

- To jest...

- I dobrze! - Zanim zdążył dokończyć zdanie czy zrobić cokolwiek, przesunęła się i położyła obok niego na brzuchu z rękoma wyciągniętymi przed sobą niczym nurek. - Rozepnij mi sukienkę, dobrze, Francey? - poprosiła, nawet na niego nie patrząc.

Jej bezpośredniość była tak podniecająca, że omal nie udusił się z nadmiaru emocji. Usiadł, by spełnić to życzenie.

Hazel czekała spokojnie, aż uporał się z suwakiem; palce jakoś mu zesztyniały i nie mógł nimi poruszać. Nie nosiła halki; miała na sobie tylko stanik, majteczki i pas z pończochami, wszystko w jednakowym odcieniu, który chyba można by nazwać magentą, jak pomyślał Francey. Jednak zupełnie go to nie obchodziło; teraz najważniejsze dlań były jej białe ramiona, plecy, talia i zaokrąglone pośladki. Ręce aż go świerzbiły, by ściągnąć te majteczki.

- Może chciałbyś całkiem zdjąć mi sukienkę? - zaproponowała.

- Jesteś pewna, że mogę... nie sprawi ci to bólu? Te twoje biedne ręce...

- To już zostaw mnie.

Kiedy przeciągał suknię przez jej ręce, tors i nogi, poddawała się owym zabiegom z taką gracją, że zupełnie zapomniał o jej bandażach. Wreszcie nie mógł już znieść napięcia i cisnąwszy sukienkę na podłogę, rzucił się na dziewczynę.

Hazel - nadal leżąca twarzą do materaca - wyslizgnęła mu się niczym wydra i uciekła na drugi koniec łóżka.

- Czekaj, czekaj... - Uśmiechnęła się do niego przez ramię. - Wszystko trzeba robić po kolei, kochanie: No i co? - Zatrzepotała sztucznymi rzęsami. - Jak ci się podobam? - Uniosła się lekko i odwróciła. Potem schwyciła zębami koniec elastycznego bandaża i zerknęła na Franceya spod tych absurdalnych rzęs. - Czy ujędę, mimo tego seksownego opakowania?

- Jesteś piękna, Hazel. - Nie kłamał; w tej chwili wydawała mu się najpiękniejszą i najbardziej pociągającą kobietą na świecie; ledwie mógł wykrztusić z siebie te słowa.

- Trochę tu za gorąco, nie sądzisz? Zobaczmy... - Z płynną gracją ponownie ułożyła się twarzą do materaca, po czym poklepała się po siedzeniu, jakby chciała coś sprawdzić. - Hm... zdaje mi się, że mojemu tyłczkowi przydałoby się nieco świeżego powietrza... co ty na to, Francey?

Kiedy tylko dotknął śliskiego materiału, wiedział, że jest już dlań nieomal za późno.

- Nie mogę... nie mogę...

- No, dobrze! - W jednej sekundzie zrzuciła majteczki na podłogę i przekręciwszy się, znowu go dosiadła, tym razem jednak gorąca skóra ich ciał przywarła do siebie.

- Jezu...

Odwrócił głowę, lecz Hazel delikatnie przyciągnęła do siebie z powrotem jego twarz.

- Nie zamykaj oczu... - powiedziała namiętnie. - Chcę, żebyś pamiętał wszystko... dosłownie wszystko... - Wsunęła się na niego i to niezwykle uczucie spowodowało, że krew w żyłach Franceya popłynęła szybciej. - Dobry chłopiec... dobry chłopiec... - Pomimo nalegań, żeby trzymał oczy otwarte, ona miała je zamknięte; odchyliła się do tyłu i rytmicznie unosiła się i opadała na jego drgającym ciele; jedną rękę oparła o jego brzuch dla utrzymania równowagi, drugą zaś gładziła piersi okryte koronkowym stanikiem, co tylko wzmagало szal Franceya.

- Ja... ja... - Czuł, że w gardle wzbiera mu krzyk.

- Właśnie tak... właśnie tak... - Hazel roześmiała się na głos. - Dokładnie tak, mój chłopcze! Chodź, chodź!

Przez ułamek sekundy, niczym neonowa lampa, która zaraz się zapali, przed jego oczyma pojawiła się twarz Fleur Mannering. Jednak chwilę później miał wrażenie, że dół jego brzucha eksplodował, a rysy Fleur zniknęły w szaleństwie głosu i obrazu, które go ogarnęło. Zdawało mu się, że wyleciał z własnego ciała ku jakiemuś odległemu wszechświatowi wypełnionemu rozkoszą. Przyjemność była tak intensywna, że nieomal graniczyła z bólem.

Po jakimś czasie - nie potrafił określić jak długim - miał wrażenie, że wszystko w nim się zasysa, by dać ujście strumieniowi ciepłej, lepkiej cieczy.

- No i już... - Hazel opadła na jego pierś i pocałowała go w usta. - Miło było, prawda? - szepnęła. - Założę się, że nie spodziewałeś się tego, gdy dziś wieczorem czekałeś na mnie w pubie, co?

- Och, Hazel... - Mimo że zaczął się już uspokajać, serce nadal tłukło mu się dziko w spoconej piersi; wiedział, że jego oczy są pełne łez, choć nie miał pojęcia dlaczego, i właściwie wcale go to nie obchodziło. - Chodź tu do mnie... - szepnął, unosząc ją i odwracając się na bok, tak że teraz leżeli wtuleni w siebie. - Nie potrafię ci opisać, jak było wspaniale. - Jedną ręką gładził ją po włosach.

- Wcale nie musisz. - Roześmiała się cicho. - Ja też dostałam miejsce tuż przy parkiecie, pamiętasz?

- Dziękuję. - Był tak zmęczony, że tuląc ją, miał wrażenie, jakby jego mięśnie były zrobione ze starej gumy.

- Nie dziękuj. - Hazel na chwilę darowała sobie żarty i przymknąwszy oczy, westchnęła cicho. - To dla mnie wyróżnienie. Mam tylko nadzieję...

- Że co? - Francey pocałował ją w czubek potarganej czupryny.

- Och, nic takiego.

- Daj spokój, masz nadzieję, że co? - W tej chwili gotów był dać jej - lub powiedzieć - wszystko.

Kiedy nie odpowiedziała, jakoś nie znalazł w sobie energii, by nalegać.

- Ostrzegam cię, Hazel, lepiej uważaj - mruknął z rozmarzeniem w głosie. - Wypuściłaś dzina z butelki i możesz mieć kłopoty...

- Jeśli pytasz mnie o zdanie, głuptasie, to uważam, że od dawna ci się to należało. - Hazel pocałowała go w szyję tuż poniżej szczęki i wtuliła się w niego mocno.

Leżeli tak przez jakiś czas, czekając, by ich rozpalone ciała wróciły do normalnej temperatury. Jej obleczona w czarną pończochę noga spoczywała na jego biodrze, reszta ciała zaś

pasowała do niego jak ulał. Francey przez chwilę myślał o tym, jak głupio muszą wyglądać - ona w koronkowym staniku, pończochach i pasku, z bandażami na rękach, a on w koszuli, rozluźnionym krawacie i skarpetkach - ale był tak szczęśliwy, że zupełnie nie potrafił się tym przejmować.

Po kilku minutach poczuł, że wracają mu siły. Wsunął dłoń pod nagie pośladki Hazel i przycisnął ją do siebie mocniej.

- Dużo hałasu narobiłem?

- No jasne! - W jej tonie zabrzmiała duma. - Moi sąsiedzi pomyślą sobie pewnie, że sprowadziłam tu nosorożca.

Wypowiadane z dublińskim akcentem sylaby brzmiały w jego uszach rozkosznie okrągło i pociągająco. Francey roześmiał się głośno.

- Przepraszam. - Ale w gruncie rzeczy wcale nie było mu przykro.

- Jeśli jeszcze raz mnie przeprosisz, to przełożę cię przez kolano i sprawię ci lanie!

- Taak? A jakąż to armia przyjdzie ci z pomocą? - Klepnął ją lekko w wilgotny pośladek.

- Wygodnie ci? - spytał, spoglądając z góry na jej głowę.

- Uhum... - Wtuliła się w niego. - Ale dałabym sobie rękę uciąć za dymka.

- Zaczekasz chwilę? - Jeszcze nie był gotowy, by wypuścić ją z objęć.

- Pewnie. Ale niedługo pozwolisz mi zapalić, dobrze? - Spojrzała na niego i zapytała: - Jedno mnie ciekawi... Wiem, że nie masz podstaw, by nosić nazwisko Gallaher, skąd jednak wziął się ten Sullivan? O ile mnie pamięć nie myli, twoja matka nosiła nazwisko Scollard. Mam rację?

- Sullivan to jej panięskie nazwisko. - Francey nie chciał tłumaczyć, dlaczego nie przyjął nazwiska swego ojczyma, gdyż to wymagałoby wchodzenia w szczegóły jego stosunków z Neeleyem Scollardem. - Moja rodzina jest nieco poplątana - dodał. Czuł się ociężały i nie bardzo mu się chciało wyjaśniać jej skomplikowane więzy między domownikami w Lahersheen. Miał nadzieję, że nie będzie nalegać.

- Nie musisz mi tego mówić! - Hazel pocałowała go w nagi bark.

- No, cóż, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć... - Odwzajemnił się jej pocałunkiem w nos. - Posłuchaj uważnie. Jak wiesz, moja matka była w ciąży, gdy wychodziła za mąż za Neeleya Scollarda, który miał już wtedy cztery córki. Więc te dziewczyny, Mary, Kathleen, Margaret i Goretta, stały się wtedy moimi przybranymi siostrami Scollard. Później, po mnie, mama urodziła jeszcze dwie dziewczynki i to są moje przyrodnie siostry Scollard. A kiedy Neeley umarł,

mama wyszła za mąż za Mossiego Sheehana i miała z nim kolejną córkę, Connie, czyli moją przyrodną siostrę Sheehan. Zrozumiałaś wszystko?

- Jezusie, Maryjo, Józefie święty! - wykrzyknęła Hazel. - Skoro ma się już w domu tylu Scollardów i Sheehanów, to żeby sobie ułatwić życie, nazwałeś się Sullivan, czemu nie!

- Taak. - Francey wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Nie zapytała o Dessiego, więc postanowił nie komplikować spraw i nie wymieniać jego imienia.

Jednak gdy zapadli w milczenie, przyłapał się na tym, że myśli nie o swych skomplikowanych stosunkach rodzinnych, lecz o Fleur Mannering. Jak by to robił z nią? Głaszcząc plecy i pośladki Hazel, wyobrażał sobie, jak by to było tulić Fleur. Jak by smakowała, jak by jej kształty pasowały do jego ciała. Chwilę później Hazel westchnęła cicho w jego ramionach i poczuł się jak ostatni szubrawiec.

- Hazel? - Ścisnął delikatnie jej pośladek.

- Hmm? - Odwróciła się, lekko kręcąc tyłeczkiem. - Jeśli chcesz, żebym zapomniała o papierosie, zrób to jeszcze raz.

- Doskonale. - Spełnił jej prośbę, starając się zmieścić w dłoni miękką ciepłą krągłość. - Bo ja...

- Taak, właśnie tak... Jest wspaniale... Bo co ty? - Nie otwierała oczu.

- Problem polega na tym - wykrztusił - że nie bardzo wiem, co mam teraz robić...

- Nie rozumiem. - Spojrzała na niego; widząc, że jedna ze sztucznych rzes się odkleiła, oderwał ją do końca.

- Znowu mam ochotę.

- Nie wierzę. - Roześmiała się z niedowierzaniem. Zdjęła drugą rzęsę i uniosła się na łokciu, by sprawdzić prawdziwość jego słów. - No, no... kto by pomyślał... - mruknęła z podziwem. - Umarli zmartwychwstali i pojawili się na ziemi... Jesteś taki sam jak... Nie kłamałeś, mówiąc o wypuszczeniu dzina z butelki!

„Jesteś taki sam jak twój ojciec”. Mimo że Francey doskonale rozumiał, co chciała powiedzieć, pożądanie sprawiło, że wcale mu to nie przeszkadzało.

- No i co ze mną zrobimy?

Chciał ją złapać, lecz wyślizgnęła mu się i po wesołej szarpaninie uciekła z łóżka.

- Tym razem przynajmniej zdejmijmy ubrania - mruknęła, rozpinając stanik. - I tym razem, kochanie, róbmy to wolniej. Muszę mieć też własne zdrowie na uwadze, wiesz! - Zadając kłam tym słowom, zdjęła pośpiesznie bieliznę i trzymając ją na odległość wyciągniętego ra-

mienia, rzuciła po chwili na dywan teatralnym gestem. - I co? Nie tak znowu źle jak na staruszkę, co?

Niczym kulturysta, Hazel założyła zabandażowane ręce na plecy, pochyliła ramiona i zafalowała piersiami.

Francey przestał mocować się z rękawami koszuli; jeszcze nigdy w życiu, nawet w najbardziej szalonych fantazjach, nie widział, by kobieta zachowywała się tak prowokująco.

- Podoba ci się? - zapytała, najwyraźniej zachwycona jego reakcją.

- Pewnie! - Nieomal się zakrztusił, patrząc na jej piersi, na łuk paska do pończoch, otaczający włosy łonowe i długą świeżą bliznę biegnącą pod pończochą na udzie.

- Nie musisz przyglądać się moim ranom wojennym, Francey! - Hazel przejechała palcem po bliznie, po czym rozpięła pasek i zsunęła ostrożnie pończochy. Uklękła na jednym kolanie na łóżku i powoli ścisnęła piersi obiema dłońmi, aż rowek między nimi stał się cienki niczym włos. - Podwójne kłopoty, kochanie! - szepnęła, podsuwając mu sutki i ściskając je razem tak mocno, że mógł wziąć do ust oba jednocześnie.

Później tej pierwszej nocy Francey opowiedział Hazel o propozycji awansu w firmie Ledbettera; zareagowała bardzo żywiołowo.

- Musiałbyś chyba postradać rozum! - zawołała z niedowierzaniem. - To nie żadna kariera, tylko ślepy zaułek! Kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie musisz już pracować u tego cholernego Ledbettera?

Oboje byli wykończeni, lecz podniecenie Franceya sprawiało, że nie chciał zasnąć tak długo, jak tylko to możliwe.

- Lecz jeśli odejdę ze sklepu, to co pocznę? Nie mam żadnych kwalifikacji...

Wtedy właśnie zwierzył się Hazel z tego, że miał nadzieję zahaczyć się gdzieś na obrzeżach show-biznesu, kiedy zaproponowała mu wspólny wyjazd do Limerick, który skończył się tak fatalnie. Nie powiedział jej jednak o najnowszym pomysle, który zrodził się w jego głowie podczas wizyt w stajniach posiadłości Inveraray.

- Hmm... - Dziewczyna nie wybuchnęła śmiechem, jak się tego spodziewał, lecz w jej oczach pojawił się jakiś odległy wyraz. - Chyba jest coś, czym mógłbyś się zająć - powiedziała z wolna. - Zostaw to mnie. Jednak przede wszystkim powinieneś pójść do sklepu i złożyć wypowiedzenie. Słyszysz, Francey?

Następnego dnia Francey zebrał się na odwagę i poszedł do biura pana Grieve'a. Nadal nie mógł się przyzwyczaić do myśli, że jest panem własnego logu i nie musi przed nikim od-

powiadać. Tkwiła w nim głęboko zakorzeniona idea podlegania komuś - matce, nauczycielom, szefowi. Kierownik, który spodziewał się „dobrych wieści”, przyjął jego oświadczenie z kamienną twarzą.

- Z mojego doświadczenia wynika, panie Sullivan, że człowiek, który raz podjął decyzję o rezygnacji, nie jest już dobrym pracownikiem... - powiedział, po czym odliczył pieniądze, jakie był mu winien.

Minęła godzina, odkąd Francey zjawił się w firmie i oto znalazł się na ulicy jako pan samego siebie, w kieszeni zaś miał pięć funtów, szesnaście szylingów i cztery pensy. Ku swemu zdumieniu nie czuł podniecenia, lecz coś dziwnie zbliżonego do paniki. Co teraz?

Zanim się zorientował, co robi, złapał taksówkę i wrócił do mieszkania Hazel; dopiero kiedy opowiedział jej całą historię i gdy wspomniał o niedowierzaniu w oczach kierownika, zrozumiał, jak strasznie nienawidził tego miejsca.

Jako że jego seksualna pewność siebie znajdowała się na granicy załamania, nalegał, by znowu wskoczyli do łóżka; przez następne dwie godziny udało mu się nie myśleć o tym, że opuszczając świat narzędzi i materiałów budowlanych, przekreślił swe życiowe szanse. Teraz, odkrywszy walory seksu z chętną do tego partnerką, Francey nie mógł się nim nacieszyć. Przez resztę tygodnia dni i noce zlewały mu się w jedno, podczas gdy Hazel pracowicie zaznajamiała go ze sztuką kochania, stale dorzucając jakieś niespodzianki. Młodzieniec z zaskoczeniem odkrył, że kobiety również miewają orgazmy: aż do tej pory wyobrażał sobie mgliście, że także muszą się „zaspokoić”, lecz zawsze sądził, że miało to coś wspólnego z wielkością męskiego organu.

Jadali o dziwnych porach - ryby i frytki z pobliskiej smażalni albo płatki kukurydziane, albo ser czy pomidory - wszystko, co Hazel znalazła w lodówce. Francey zadzwonił do właścicielki domu, w którym mieszkał, by powiedzieć, że nie będzie go przez parę dni, a zamiast wziąć swoje świeże ubrania i przybory toaletowe, kupił wszystko nowe podczas jednego z ich nielicznych wyjść do sklepu. Kupował także jedzenie, steki i grube kotlety, i wędzonego łososa. Hazel beztrąsko przyznawała, że jako kucharce brakuje jej wyobraźni.

Tysiąc funtów Franceya w irlandzkiej walucie wydawało się jeszcze większą sumą, która praktycznie była nieskończona, więc nalegał, by pozwoliła mu także kupić sobie ubranie. Pojechali autobusem do Blackrock i po dwóch godzinach chodzenia po sklepach uznali, przy obiedzie w przydrożnym zajeździe, że pragną się tak bardzo, iż zostawiwszy niedojedzony posiłek na stole, złapali taksówkę z powrotem do mieszkania Hazel.

Późnym popołudniem w sobotę, gdy skończył się już prowiant z Blackrock, młodzieniec poszedł do pobliskiego sklepiku po ciasteczka i czekoladę - w ten właśnie sposób wraz z Hazel odkryli, dwadzieścia cztery godziny później niż cała reszta świata, że podczas kiedy oni cieszyli się sobą w łóżku, świat zamarł ze zgrozy po tym, jak prezydent Kennedy został zamordowany w Dallas. Francey przyniósł do domu gazetę, włączyli telewizor i przez godzinę patrzyli w drgający obraz transmitowany z Waszyngtonu, gdzie zaprzysiężono zszokowanego wiceprezydenta Johnsona. Później jednak wyłączyli telewizor i z powrotem skierowali uwagę na siebie nawzajem.

Życie Hazel z rzadka wkraczało w ich przyjemną egzystencję: telefon dzwonił od czasu do czasu, dopóki Francey, przy świeżym napływie sił, nie zdjął słuchawki z widełek. Od czasu do czasu rozbrzmiewał też dzwonek u wejścia, lecz ponieważ budynek zaopatrzony był w domofon, piosenkarka mogła załatwić swoje sprawy przez zamknięte drzwi. Francey nigdy nie był zbyt ciekawy, nie dopytywał się więc, kto chciał się widzieć z Hazel, dziewczyna zaś nie mówiła mu tego.

Siódmego dnia rano mieszkanie wyglądało tak, jakby wszystkie wypchane zwierzaki ożyły i przeszły przez nie dzikim galopem. Wyszedszy z łazienki, Hazel rozejrzała się po zaśmieconej sypialni i powiedziała, że w poniedziałkowe ranki przychodzi sprzątaczką, a ona i tak chciała pojechać w odwiedziny do przyjaciółki do Slingo.

- Mam też swoje własne sprawy, którymi wreszcie powinnam się zająć, kwiatuszku - tłumaczyła. - Spodziewam się, że publika usycha z tęsknoty za mną! - Później uniosła ramiona, na których bandaże już nieco się zabrudziły, i dodała: - A nawet jeśli nie, to z twojego powodu przegapiłam spotkanie z moim specjalistą. Może pozwoliliby mi już zdjąć te okropieństwa. To istny cud, że moje biedne ciało przetrwało wszystko, coś z nim wyprawiał. - Francey zauważył, że dubliński akcent dziewczyny słychać znacznie wyraźniej, gdy była bardzo pewna siebie lub gdy kompletnie nie wiedziała, co robić.

Nadal leżąc w łóżku, pogrążony w myślach o tym, co dopiero skończyli, a co miałyby ochotę zacząć z Fleur, Francey nie bardzo chciał się zastanawiać, w którym z tych punktów Hazel właśnie się znajduje. Od początku wiedział, że ów wspaniały okres jego życia kiedyś się skończy, a i tak potrwał dłużej, niż młodzieniec się spodziewał.

- Oczywiście, że powinnaś iść do lekarza - odrzekł, usiłując jednocześnie wydostać nogę spod spletanego prześcieradła. Kiedy wreszcie odrzucił przykrycie na bok i ukazał jej swą pełną gotowość, dodał: - Jeśli tylko możemy jeszcze raz przetestować, jak bardzo jest z tobą źle...

Hazel nie odpowiedziała jednak na ową propozycję.

- Wstań już, dobrze? - rozkazała. - Muszę coś zjeść...

Był to pierwszy raz, kiedy odezwała się tak ostro, nie zwracając uwagi na sprawy seksu, więc Francey zerwał się natychmiast, przestraszony.

- Chyba niczego nie żałujesz, co? Bo ja nie...

- Nie... - Hazel zawahała się, po czym podeszła i usiadła obok niego na łóżku. Z poważną miną pogłaskała go po rękę. - Oczywiście, że nie żałuję ani minuty, Francey. Ale nie ma sensu się oszukiwać, prawda? Wiem, że błędzisz myślami gdzie indziej.

- Przepraszam. - Chwycił jej dłoń i przycisnął do ust. - To nie moja wina... wydaje mi się, że zupełnie nie potrafię nad tym panować. Nie umiem jednak powiedzieć ci, jak mi było cudowanie...

- Cii... - Hazel przyłożyła palec do jego ust. - Nie mów już nic więcej. Mnie też było wspaniale.

Zsunęła się z łóżka i przeszła do kuchni. Francey przysłuchiwał się znajomym dźwiękom przez długi czas, po czym nagle poczuł się jak ostatni drań. Wyplątał się spod prześcieradeł, wyskoczył z łóżka i poczłapał do łazienki. Kiedy się pochylił, by zerknąć w lustro, spojrzał w oczy własnemu odbiciu; zobaczył nieogolonego, rozczochranego faceta, który spoglądał na niego z oskarżeniem w oczach: „Co z ciebie za łobuz!”. Umył się, ogolił i wrzucił ubrania do walizki, która służyła mu za szafę od czasu przyjazdu do Dublina; z kuchni dochodził już zapach kawy i smażonych kielbasek.

- W samą porę. - Hazel, która stała plecami do niego przy kuchence, odwróciła się i podała mu talerz ze śniadaniem.

- Dzięki. - Francey postawił jedzenie na stole i spojrzał na nią: - Hazel... - zaczął, lecz mu przerwała:

- Siadaj i jedz, Francey Sullivanie, albo obetnę ci uszy. Spróbował znowu, gdy skończyli jeść, lecz nie chciała słuchać.

- Na miłość boską, Francey - warknęła w pewnej chwili - czy możesz dać już sobie spokój? Dobrze się bawiliśmy, oboje o tym wiemy, ale to nie „Przeminęło z wiatrem”.

- Czy przynajmniej będę mógł się z tobą spotkać, kiedy wrócę do Dublina? - spytał dzień później, kiedy wkładał płaszcz w przedpokoju.

- Oczywiście, głuptasie - odrzekła. - Zadzwoń do mnie. Ale uważam, że przerwa w stosunkach dobrze nam zrobi. Wrócę gdzieś w połowie przyszłego tygodnia, więc zadzwoń około

piątku, dobrze? A teraz, jeśli się nie pośpieszę, na pewno będę spóźniona! Zabieraj się stąd w tej chwili! - Otworzyła drzwi mieszkania i wypchnęła go na korytarz.

Przez cały dzień Francey włóczył się po ulicach; przekonał się, że tęskni za Hazel i chodziło nie tylko o pragnienia jego świeżo rozbudzonego ciała. Brakowało mu jej towarzystwa i poczucia humoru. Żeby wypełnić jakoś czas, poszedł do Urzędu Motoryzacyjnego Korporacji Dublińskiej i wyrobił sobie prawo jazdy. Nie miał wprawdzie zbyt wiele doświadczenia, ale potrafił prowadzić auto; teraz, skoro już ma pozwolenie, może kupić sobie własny samochód... może taki sportowy, jak ma Colin? Nie... po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że wolałby morgana albo aston martina. Zerknąwszy ponownie na czerwoną okładkę prawa jazdy, pomyślał, jak szybko się przyzwyczaił do możliwości nieograniczonego wydawania pieniędzy.

Czując przypływ pożądania, które nauczył się zaspokajać, gdy tylko się pojawiło, zaczął znowu myśleć o Fleur Mannering. Kiedy fryzjer na North Earl Street strzygł go i golił, Francey doszedł do wniosku, że nadszedł najwyższy czas, by podjąć poważne decyzje.

Od fryzjera poszedł prosto do pensjonatu, gdzie zapłacił całą należność zaskoczonej właścicielce, po czym podzielił swe ubrania na dwie sterty. Jedną wrzucił do walizki, drugą zaś do papierowej torby na zakupy. Tę drugą zostawił przy śmietniku na Mountjoy Square, mając nadzieję, że może przydadzą się jednemu z mieszkających tam biedaków. Z walizką w ręce poszedł do hotelu Gresham przy O'Connell Street, gdzie wynajął jednoosobowy pokój.

Tego wieczora podniósł słuchawkę telefonu stojącego przy łóżku i podał hotelowej centrali numer George'a w Anglii. Odezwał się kamerdyner - młodzieniec nadal nie potrafił zapamiętać jego imienia. Chwilę przed tym, nim został przełączony do gabinetu ojca, Franceyowi wydawało mu się, że słyszy w tle kobiecy śmiech. Serce mu podskoczyło. Było to bardzo dziwne. Czyżby wyobraźnia spletała mu figła? A może Fleur naprawdę tam jest? Kiedy sekundy - szylingi - przemykały obok, cisza w słuchawce stała się nieznośna; podobnie jak większość Irlandczyków Francey nie znosił dzwonienia za granicę. Później przypomniał sobie, że stać go na to, by czekać choćby do końca świata. Jednak trudno tak od razu wykorzenić przyzwyczajenia wpajane od dzieciństwa.

- Tak, Francey? - Ojciec wreszcie podniósł słuchawkę. Ku konsternacji młodzieńca, jego głos był znacznie ostrzejszy, niż należało się spodziewać.

- Po prostu telefonuję, by się przywitać - wyjaśnił. - Czyżbym dzwonił nie w porę?

- Ależ skąd, staruszkule! Wspaniale, że cię słyszę. Jak twoja matka zareagowała na nowiny?

Mimo że głos George'a złagodniał, Francey wiedział już, że jego telefon nie sprawił ojcu radości.

- Jeszcze nic jej nie powiedziałem. Tak jakoś wyszło - odrzekł wymijającym tonem, zdecydowany nie dać się zbyć. W końcu miał wszelkie prawo dzwonić; nagle zorientował się, że mówi ojcu, iż pojedzie do Lahersheen na weekend, choć wcześniej o tym nie myślał.

- Oczywiście, to twoja sprawa. - Przez chwilę głos George'a przycichł, jakby ojciec przyłożył dłoń do mikrofonu... by uciszyć kogoś? Aby wyjaśnić, z kim rozmawia? A później spytał: - Czy chciałeś mi coś jeszcze powiedzieć, staruszk?

To zirytowało Franceya. Cisza się przedłużała, lecz był zdecydowany zmusić ojca, by to on przerwał milczenie.

- Kiedy zobaczymy cię znowu po tej stronie wody? Zastanawiałeś się nad tym?

Francey był zadowolony, że to George pierwszy się załamał, lecz nadal nie potrafił się przemóc i przejść do prawdziwego powodu, dla którego zadzwonił.

- Mam nadzieję, że już wkrótce - odrzekł. - Musimy usiąść i obgadać kilka spraw... ee... George. Jest wiele rzeczy, o które muszę cię zapytać.

- Ależ oczywiście, strzelaj śmiało. - Tamten czekał.

- Wydaje mi się, że telefon nie jest do tego odpowiedni. - Zapominając o irytacji, Francey przełknął ślinę i zacisnął mocno powieki. - Zostawmy to do czasu, jak tam przyjadę. Cz... czy Colin i... Fleur bawili może ostatnio u ciebie? - W końcu... zdołał to wykrztusić. Zacisnął palce z całej siły na słuchawce.

Na drugim końcu linii zapanowała długa cisza, aż wreszcie usłyszał:

- Przyjechali z małym Tommym w ostatni weekend. Szkoda, że i ciebie tu nie było, Francey, bo nie przypuszczam, by pojawili się ponownie w najbliższym czasie. Może spotkamy się w czasie świąt Bożego Narodzenia?

- Taak, może. - Udało mu się odzyskać głos. - Zastanawiam się nad wyjazdem do Londynu na kilka dni... wiesz, chciałbym zacząć szukać Dessiego... - Odetchnął głęboko. - Pomyślałem, że mógłbym do nich wpaść. Masz może gdzieś pod ręką numer telefonu Colina?

- Oczywiście, oczywiście. Nie mam pamięci do cyfr, więc wszystko sobie zapisuję. Zaczekaj chwilę... - Jeszcze mocniej zacisnął palce, słysząc szelest kartek. Wreszcie usłyszał głos George'a: - Zapisz...

Ojciec podał mu jej numer, a Francey nabazgrał go w małym notesiku leżącym obok aparatu telefonicznego przy łóżku i poczuł, że spocila mu się ręka, w której trzymał ołówek.

- Cieszę się, że zamierzasz przyjechać do Anglii. - Ton George'a wskazywał, że zaczyna mu być śpieszno do skończenia rozmowy. - Musimy zorganizować przelanie pieniędzy na twoje konto. Poza tym wskazałem już obraz przeznaczony dla ciebie - na wszelki wypadek, gdyby ktoś inny zerkał na niego pożądlivym okiem. A tak przy okazji, jak stoisz z pieniędzmi? Potrzebujesz więcej? To dlatego dzwonisz?

- Och, nie! Skąd?! - wykrzyknął młodzieniec z przerażeniem. - Mam jeszcze mnóstwo... Mnóstwo...

- Oczywiście, Francey, to twoja sprawa, ale tu czeka na ciebie jeszcze więcej. Teraz twój dochód wynosi jakieś sześć tysięcy tygodniowo. Mam nadzieję, że rozliczyłeś się już z waszym urzędem podatkowym?

- Jeszcze nie. - W szaleństwie ostatniego tygodnia młodzieniec jakoś nie bardzo miał głowę do myślenia o pieniądzach, które przypadły mu w spadku.

- Cóż, przyjmij ode mnie dobrą radę i uporaj się z tym jak najszybciej. To samo mówiłem Colinowi. Mam tu naprawdę dobrego księgowego. Kiedy przyjedziesz, mogę cię z nim umówić. Może obaj powinniście się do niego wybrać?

- Oczywiście - obiecał Francey. Wymieniwszy zdawkowe grzeczności, zakończyli rozmowę, lecz zanim słuchawka brzęknęła o widełki, młodzieniec ponownie usłyszał ten sam cichy, wysoki śmiech.

Potem siedział, wpatrując się w numer zapisany w notesie i znowu zapomniał o radach ojca dotyczących spraw finansowych. Chciał do niej zadzwonić od razu, póki jeszcze miał odwagę, lecz przypomniawszy sobie chwilę ciszy, która nastąpiła po tym, gdy wymienił jej imię, i owe pytania ojca, jak udał im się spacer po lesie, poczuł nagle zdenerwowanie. Oderwał karteczkę i schował ją do portfela.

Później tego wieczora, leżąc w schludnym hotelowym łóżku, Francey doszedł do wniosku, że to, co powiedział George'owi o wyjeździe na weekend do matki, jest samospełniającą się przepowiednią. Nadszedł czas, by stawić czoło wyprawie do domu. Powstrzymywała go jedynie niechęć do ponownego roztrząsania kwestii jego ojca. Matka Franceya była znacznie bardziej bezpośrednia i otwarta na tego typu sprawy niż większość rodziców jego rówieśników, lecz ona także - jak przeważająca część ludzi - wyznawała zasadę „póki jest dobrze, poty nic nie zmieniaj” i Francey wiedział, że nie będzie zachwycona wspomnieniami ze swej burzliwej młodości. Gdy opowie o tym, co mu się przydarzyło, nie tylko Lahersheen, ale i cały przyładek, zacznie przeżywać na nowo skandal sprzed wielu lat i przekazywać sobie całą historię do z ust

do ust, niczym smaczny kąsek.

No i bał się otwierania starych ran. Śmierć Neeleya Scollarda, pierwszego męża Elizabeth Sullivan, który przyjął pod swój dach także jej nieślubnego syna, nadal tkwiła w umyśle Franceya, nie tylko dlatego, że była tak okropna, ale i dlatego, że gdzieś w głębi serca chłopak winił za nią siebie. Miał wtedy sześć lat, lecz podobnie jak zapamiętał każdy szczegół wizyty ojca, jak gdyby miała miejsce wczoraj, tak samo również doskonale zapamiętał szczegóły śmierci ojczyrna - straszną awanturę między nim a matką, w której to kłótni wziął udział sam Francey - co z kolei zakończyło się pękniętą czaszką i koniecznością dłuższego pobytu w szpitalu. Kiedy wrócił do domu, Neeley od dawna już nie żył i leżał w grobie.

Nikt, nawet matka, nie opowiedział chłopcu wszystkiego, co wydarzyło się owego dnia; mimo to wielu kolegów ze szkoły drażniło go okrutnymi plotkami na temat jego rodziny i z niejednym dręczycielem pobił się na boisku w obronie matki. Jedno Francey wiedział na pewno: choć to, że Elizabeth zaszła w ciążę przed ślubem z Neeleyem było dostatecznie złe, skandal, który wywołała śmierć jej męża, okazał się jeszcze gorszy. Miało to coś wspólnego ze zмовą milczenia dotyczącą innej rodziny z okolicy, McCarthyach, z których jeden zniknął z Lahersheen wkrótce po owych wydarzeniach. Gdy tylko Francey stał się dostatecznie dorosły, by zrozumieć insynuacje i plotki, w odruchu solidarności z matką zaczął używać jej panińskiego nazwiska „Sullivan”, mimo że w metryce miał wpisane „Scollard”. Nikt nigdy nie potrafił go zmusić do ponownej zmiany. Jak na razie nigdy nie potrzebował paszportu, lecz gdy nadejdzie czas, zamierzał oficjalnie zmienić nazwisko, by już nikt więcej nie miał wątpliwości.

Wyłączył lampę stojącą przy łóżku: dopóki okoliczności go nie zmuszą, nie będzie rozmyślać o tym, co czeka go w Lahersheen. Powinien myśleć o biednym Dessiem. Po wizycie w domu zacznie poważnie szukać swego młodszego przyrodniego brata.

Miał też czego wyczekiwać: marzył o spotkaniu z Hazel pod koniec przyszłego tygodnia. Odwrócił się na brzuch na łóżku, które - jak zwykle - było dla niego za krótkie; przed zaśnięciem specjalnie przywołał wspomnienia niektórych rzeczy, które wraz z nią wyczyniali w łóżku, i zasnął z obrazem jej piersi i tego, jak go nimi karmiła owej pierwszej nocy.

Jednak tym razem nie śnił o krągłych kształtach Hazel, lecz o chłodnej, delikatnej skórze Fleur.

Przez całą drogę do Cork myśli Franceya poruszały się w rytmie dzwoniących kół pociągu. Postanowił pojechać do domu w sobotę, by nie przestraszyć matki - gdyby zjawił się w ciągu tygodnia, jeszcze by się przeraziła, że został wyrzucony pracy.

Jego zaspokojone ciało pławiło się we wspomnieniach seksu. Wiedział, że powinien być wykończony, lecz w jakiś dziwny sposób, którego nie rozumiał, ów tydzień spędzony z Hazel sprawił, że Francey przestał myśleć o sobie jako o „olbrzymie” czy „wielkoludzie”, a zaczął się uważać za zwyczajnego „dużego” faceta. A bycie dużym oznaczało pełnię witalności i wibrującą pewność siebie. Dziwiło go to, że tak mało martwi go własny grzech i im dłużej się nad tym zastanawiał, tym głębiej był przekonany, że Kościołowi chyba coś się pomieszało: przecież Bóg nie stworzyłby czegoś tak pięknego dla swych wiernych sług, jeśli by nie chciał, żeby tego używali i tym się cieszyli. Nie istniało ryzyko, że komuś stanie się krzywda lub że Hazel zajdzie w ciążę. Miała przyjaciółkę, która знаła protestanckiego lekarza, więc nie było problemu z dostaniem pigułki.

Francey czuł jednak drobne ukłucia wyrzutów sumienia, choć wcale nie dotyczyły one tego, że Fleur była mężatką. Zastanawiał się, czy pójście do łóżka z jedną kobietą, kiedy się kocha drugą, jest moralne?

Hazel zawsze pozostanie dlań drogą, kochaną przyjaciółką, lecz nikim więcej. Bardzo chętnie będzie nadal chodził z nią do łóżka, jeśli tylko ona tego zechce, ale przecież jego myśli i fantazje zdominowała Fleur. Rozmawiał o tym z Hazel, która okazała się wyjątkowo wyrozumiała i rozsądna; rozwiała wszelkie wątpliwości Franceya, że jest w pewien sposób niełojalny wobec nich obu, lub że w stosunku do niej postępuje nie fair.

- Oczywiście, że nie - zapewniała go. - To był mój wybór, pamiętasz? - Pocałowała go wtedy w sam środek klatki piersiowej. - Nie martw się o mnie, mój drogi, niczego od ciebie nie oczekuję. Zupełnie niczego. Od ładnych paru lat polegam na Zasadzie Numer Jeden...

Trzymała w ustach papierosa, a mając na uwadze niechęć Franceya do palenia, leżała na plecach i wydmuchiwiała dym jak najdalej od niego. Kiedy przekreślił się na bok i spojrzał Hazel w twarz, zobaczył, że dziewczyna ma wesołą minę. W ciągu tego tygodnia rozmawiali także o tysiącu innych rzeczy: o życiu ich obojga, o doświadczeniach i nadziejach na przyszłość. Teraz Francey przypomniał sobie jednak, że rozmawiali głównie o jego życiu, jego doświadczeniach i jego nadziejach.

Kiedy pociąg wjeżdżał do tunelu na obrzeżach miasta, Francey znowu powrócił myślami do Hazel i Fleur: zastanawiał się, czy piersi Fleur pasowałyby do jego dłoni, a potem wspominał, co Hazel potrafiła zrobić palcami, nawet tymi u nóg. Nie na darmo była kiedyś tancerką, dzięki temu miała obecnie doskonałą formę. Przez całe życie, a przynajmniej odkąd zrobił się taki wysoki, myślał o tym, jak będzie mógł się kochać ze znacznie mniejszą od siebie kobietą.

Lecz Hazel pokazała mu sposoby i środki, by zniwelować ową niedogodność. Nawet droczyła się z nim, że jej częściowa niedyspozycja w tym czasie była błogosławieństwem, gdyż wymuszała jeszcze większą ostrożność od tej narzuconej jego rozmiarami.

Dobra stara Hazel, pomyślał, gdy pociąg zahamował i ze zgrzytem wjechał na stację. Nie mógł mieć więcej szczęścia w wyborze pierwszej partnerki. Błogosławieństwem było także jej doświadczenie.

Kiedy sześć godzin później dotarł do Castletownbere, był już wykończony. Zatelefonował do matki, by uprzedzić ją o wizycie, ale powiedział tylko tyle, że ma dobre nowiny.

Gdy autobus do Berehaven zatrzymał się na placu przed pubem MacCarthy'ego, matka i siostra już czekały na niego. Francey pomachał im na powitanie, a gdy przez zachlapaną błotem szybę zobaczył uśmiech Elizabeth, zrozumiał, jak bardzo ją kocha. Z trudem radząc sobie z pakunkami, które przywiózł z Dublina, wysiadł z autobusu i pochylił się, by uściskać obie. Ostatnimi czasy Elizabeth Sullivan zaczęła kupować Popiół Róż - te same perfumy, których wcześniej używała jej matka, babka Franceya; ów zapach zawsze przypominał mu najwspanialsze chwile z dzieciństwa.

- Jak się masz, mamó? - Uśmiechnął się do niej na powitanie.

- Jak nigdy. - Uśmiech rozjaśnił jej twarz o wysokich kościach policzkowych.

Czasem, wracając z odległego Dublina, Francey musiał sobie przypominać, że Elizabeth ma czterdzieści pięć lat. W jego oczach zawsze wyglądała tak, jak pierwszego dnia, gdy dorósł dostatecznie, aby zauważyć, że jest piękną kobietą. Kiedy teraz spoglądał na nią w świetle ulicznych latarni, nie wydawała mu się starsza niż Hazel Slye.

- Co jest w tych paczkach? - Nieprzywykła do owijania czegośkolwiek w bawełnę, Margaret, jego przybrana siostra, pochyliła się, by obejrzeć największe pudło. Potem wyprostowała się i zlustrowała brata od stóp do głowy. - Nieźle wyglądasz - stwierdziła.

Francey pomyślał, że Margaret pod wieloma względami przypomina mu Hazel; w obecności tych obu nie było szansy, że człowiek zrobi się nagle sentymentalny czy tkliwy.

- Miło cię znowu widzieć. - Elizabeth znowu go uściskała, po czym cofnęła się o krok. - Muszę przyznać, że wyglądasz nad wyraz zdrowo. - Później także i ona ze zdumieniem spojrzała na pakunki. - Co to jest? Czyżbyś obrabował bank?

- Musicie wykazać odrobinę cierpliwości. - Francey odsunął Margaret na bok i podniósł pudło, które poszturchiwała z zainteresowaniem.

- Zupełnie jak na Gwiazdkę. - Margaret wzięła dwie mniejsze paczki i poszła za bratem

przez plac w stronę starego rodzinnego hillmana, który stał zaparkowany przed pubem MacCarthy'ego.

- No, cóż... w końcu święta zbliżają się dużymi krokami, czyż nie? - Francey zaczekał, aż matka się z nim zrówna, po czym otworzył bagażnik samochodu. Elizabeth westchnęła, patrząc, jak syn wkłada pakunki do środka.

- Boże, jak ja uwielbiam tę porę roku. Śmieszne, ale zawsze mieliśmy doskonałą pogodę na Boże Narodzenie - powiedziała.

Francey przepuścił ją do drzwi od strony pasażera i pomógł wsiąść; zanim sam wcisnął się do środka, stał przez chwilę oparty o dach samochodu i wdychał zapach swego rodzinnego miasteczka, który ani trochę się nie zmienił od czasów dzieciństwa: jedynie mijające pory roku dodawały różne odcienie woni zgnilizny do znajomego koktajlu ryb, oleju napędowego, zwierzęcego nawozu i torfowego dymu, który przenikał słone powietrze.

Ciemności zakryły dawne malowidła na ścianach budynków stojących dokoła placu; łączyły one różne style architektoniczne domów i nieomal zadawały kłam słowom starych mieszkańców, którzy twierdzili, że Castletown nie jest już tym samym miasteczkiem, odkąd wyprowadzili się stąd Brytyjczycy, którzy mieli bazę marynarki wojennej na wyspie Bere. Plac był nieomal zupełnie opustoszały; stał na nim tylko ciemny i pusty autobus, którym przyjechał Francey, trzy samochody i tyle samo wozów zaprzęzonych w konie. Młodzieniec wspominał inne przedświąteczne dni, kiedy każdego wieczora ruch konny na ulicach był tak wielki, że z trudem można było znaleźć miejsce dla wozu, drzwi od pubów zaś otwierano na ulicę, by ściśnięci w środku goście się nie podusili.

Wiatr prawie ucichł; gdzieś poza samochodami i końmi, poza budynkami słychać było, jak trawler wchodzi do portu na nocny odpoczynek. Ten dźwięk sprawił, że Francey poczuł się samotny, jak gdyby w dziwny sposób na zawsze pożegnał się z dzieciństwem. Na lewo od niego z pubu MacCarthy'ego wyszła kobieta, unosząc ze sobą wiązkę światła i śmiech, lecz drzwi zamknęły się zaraz za nią i wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Francey z tęsknotą spojrzął na porysowane drewniane drzwi: chociaż świetnie wiedział, że za parę dni znowu zapragnie się stąd wyrwać, powrót do domu zawsze napełniał go spokojem i łagodnością, a krótkie przypomnienie przyjaznej atmosfery pubu było wielce zachęcające.

- Co cię zatrzymało? - Margaret przechyliła się nad kolanami matki i zastukała w szybę.

- Już idę. - Wsiadając do samochodu, Francey pomyślał, że na starość robi się sentymentalny.

Na obrzeżach miasta, tuż przy drodze wiodącej do Eyeries, spotkali dwóch sąsiadów, którym zaproponowali podwiezienie, więc Franceyowi zaoszczędzony został obowiązek rozmawiania z matką i siostrą. Kiedy wysadzili sąsiadów przy Ballycrovane, odmówił wyjawienia nowin.

- Będziecie musiały jeszcze trochę poczekać. Poza tym i tak najpierw powinienem porozmawiać z mamą...

- Żenisz się! Mamo, on się żeni! - Margaret obróciła się w podnieceniu do Elizabeth. - Wiedziałam, że coś wisi w powietrzu w chwili, gdy go zobaczyłam! Nasz braciszek jest zakochany!

- Wcale się nie żenię! - Francey skulił się w sobie, wiedząc, że w oczach ich obu małżeństwo przyćmiłoby nawet fakt zostania milionerem. - Poza tym, żadnej z was też się to jakoś do tej pory nie udało! - warknął na siostrę; sekundę później pożałował tego, gdyż Elizabeth łagodnie ich upomniała:

- Dzieci, dzieci! Proszę...

W odpowiedzi Margaret wrzuciła bieg i ostro weszła zakręt na wyboistej drodze; Francey już miał na końcu języka, że to ona zaczęła, lecz nagle zrozumiał, jak głupio by to zabrzmiało. Biorąc pod uwagę fakt, jak dojrzałe zachowywał się przez ostatni tydzień, ów powrót do infantylnych zachowań go zdumiał. Zawsze się tak działo, kiedy przyjeżdżał do domu.

Matka przejęła ster konwersacji i opowiedziała o wszystkim, co wydarzyło się w powiecie podczas jego nieobecności. Pomimo fizycznej niewygody - dach samochodu znajdował się tak nisko, że Francey musiał siedzieć pochylony, by nie uderzać w tapicerkę głową, a długie nogi podkulił pod siebie - podobała mu się ta jazda nocą. Mgliste poczucie, że jest odcięty od całego świata i znajduje się w czymś, co przypomina łono matki, przepełniało go spokojem. Morze poniżej było gładkie i spokojne, a w jego toni odbijały się gwiazdy i tego wieczora, choć zdenerwowany innymi sprawami, Francey nie wzdrygnął się jak zwykle, gdy w reflektorach samochodu zamajaczyły celtyckie krzyże cmentarza Kilcatherine.

- Zmarło się komuś ostatnio? - zapytał, dając matce kolejny temat do roztrząsania; Margaret ostrożnie przejechała przez ostry zakręt pod krzyżami.

Kiedy pięli się stromą drogą za Kilcatherine, Francey zerknął we wsteczne lusterko: oto opoka jego młodości - ślizgające się po falach światła z latarni morskiej na Bull Rock. Wreszcie znalazł się w domu.

- Czyż śmierć prezydenta Kennedy'ego nie była strasznym szokiem? - Margaret odzy-

skąła dobry humor. - O niczym innym się tu nie słyszało. Wezwali mnie do Derryconnla... - Margaret pracowała jako pielęgniarka - ...i usłyszałam o jego śmierci przez radio. Wszyscy byliśmy wtedy w drodze... nikt nie chciał wierzyć. Czy w Dublinie też tak o tym huczało? Podejrzewam, że wszyscy o tym mówili, co?

- O, tak, oczywiście.

- A jak ty się dowiedziałeś? - Wyszła z ostatniego zakrętu i zaczęła powoli zjeżdżać z ostatniego wzgórza w kierunku domu.

- Och... - Francey dziękował Bogu za panujące w samochodzie ciemności. - Zdaje się, że też usłyszałem przez radio.

- Tylko ci się zdaje?! - Margaret westchnęła teatralnie. - Typowe! Podejrzewam, że siedziałeś z nosem w jakiejś książce! Bomba atomowa mogłaby spaść tuż obok ciebie, a ty i tak byś tego nie zauważył.

- Uhum... - Przed sobą Francey zobaczył znajome grzbiety wzgórz Knockameala na tle nieco jaśniejszego nieba i pochylił się, by spojrzeć na dom, stojący między dwoma stokami. - Kto przyjechał na święta? - spytał, mając nadzieję, że Margaret daruje sobie temat śmierci prezydenta.

- Jeszcze niewiele - odrzekła Elizabeth. - Kręci się po okolicy paru jankesów, a Harringtonowie spodziewają się w poniedziałek przyjazdu kuzynów z Anglii, lecz nie pojawił się nikt, kogo byś znał. A ty kiedy zjedziesz do domu? Jak długi będziesz mieć urlop?

- Jeszcze nie wiem.

Matka od razu poznała wymijającą odpowiedź.

- Coś się stało w pracy?

Jej przenikliwość zirytowała Franceya.

- Oczywiście, że nie.

Na szczęście nie musiał dalej dowodzić swej niewinności, gdyż właśnie przejechali pod bramą i znaleźli się na podwórzu. Serce zawsze mu podskakiwało, kiedy po długiej nieobecności znowu stawał na tej ziemi i teraz było podobnie: w oczekiwaniu na jego przyjazd w każdym oknie domu paliło się światło.

Kiedy wysiadał z samochodu, podbiegł do niego ostatni Reks, najnowszy nabytek, mniej niż roczny psiak, który nie został jeszcze do końca ułożony.

- Cholerny szczeniak! - Margaret wysiadła i odepchnęła ulubieńca na bok, nie zwracając uwagi na jego radosne powitanie. Odwróciła się do brata: - Ten gówniarz uważa, że krowy są

partnerkami do zabawy.

- Cześć, mały! - Francey, który jeszcze nigdy nie widział tego Reksa, pozwolił, by rozradowany zwierzak wskoczył mu na rękę. - Jesteś cudowny, wiesz? - Potar mosił psiaka za uszy, na których jeszcze rosła miękka szczenięca sierść. Później podniósł kamień i rzucił go przez podwórze, a zadowolony Reks pognał za nim, szczekając.

- Mossie cię zabije. - Margaret potrząsnęła głową z niezadowoleniem. - Wiesz doskonale, co on myśli o podobnych zabawach z psami pasterskimi.

- Mieję serce, przecież to jeszcze maleństwo. - Francey rzucił szczeniakowi kolejny kamień.

- Maleństwo czy nie, ten Reks złamie nam serce - odrzekła Margaret. - To włóczęga. Wyłazi gdzieś i nawet nie wiemy, gdzie się podziewa. Ale Mossie nie lubi go wiązać w ciągu dnia.

W tej chwili sam Mossie stanął w drzwiach kuchni.

- Witaj, Mossie! - zawołał Francey, który lubił swego drugiego ojczyrna; a w każdym razie lubił go po długiej nieobecności.

- Dobrze, że wróciłeś do domu. - Mossie podszedł do samochodu, by pomóc im w wyladowywaniu paczek. Później, widząc, co leży w bagażniku, cofnął się o krok i oparł ręce na biodrach, jakby oceniał cielaka na targu, czy warto go nabyć. - Cóż to, wykupiłeś cały Dublin?

- Nie chciał nam nic powiedzieć. Założę się, że wygrał na loterii i wstydzi się do tego przyznać. A może to on jest jednym z tych słynnych rabusiów, co napadają na pociągi? - Margaret schwyciła lżejsze paczki i pomaszzerowała do domu.

- A może tak zaczekali byście trochę? - Francey wyszczerzył zęby w uśmiechu.

To była właśnie dobra strona posiadania pieniędzy, jak się przekonał, i postanowił wycisnąć z niej maksimum przyjemności; podobała mu się własna hojność i chciał zrobić przedstawienie z otwierania prezentów.

Zanim dotarł do drzwi, wraz z pakunkami dostał się w krzepkie ramiona przyrodniej młodszej siostry, dwudziestoletniej Abigail, która przyjechała na weekend domu. W ciągu tygodnia pracowała w sklepie mięsnym w Kenmare.

- Jak się masz, Francey! - wykrzyknęła, obejmując go tuż powyżej pasa. - Witamy w gnieździe przodków!

- Dzięki, Abby! Gdyby nie to, że mam pełne ręce, uściskałbym się równie mocno!

Mimo że z całej rodziny najbardziej związany był z Johanną, przyrodnią siostrą obecnie mieszkającą w Montanie, zawsze cieszył się na widok Abigail, gdyż jej obecność rozjaśniała każde miejsce, w którym dziewczyna się znalazła.

- Masz dla mnie buziaka, Connie? - zawołał, wchodząc do ciepłej kuchni razem z Abby.

Constance, jedyne dziecko Elizabeth z Mossiem, uniosła oczy znad rozłożonej na kuchennym stole pracy domowej.

- Witaj, Francey! - powiedziała; jej mała, poważna twarzyczka była ściągnięta. - Przykro mi, ale mam tu coś bardzo trudnego.

- O tak późnej porze? - Zrzuciwszy swój ciężar na krzesło pod oknem, Francey podszedł i potargał ciemne loki dziewczynki. - A ja sądziłem, że taki geniusz jak ty nawet nie musi otwierać książek!

- Przestań, Francey! - fuknęła najmłodsza siostra ze złością. - To wcale nie jest śmieszne! Mam całe mnóstwo zadań do zrobienia przez ten weekend.

Ku ogromnemu zachwytowi matki Connie zamierzała pójść na uniwersytet po skończeniu szkoły średniej, co miało nastąpić za osiemnaście miesięcy; jeśli jej się powiedzie, będzie pierwszą osobą z licznej, poplątanej rodziny Franceya, której się to udało. Poza tym, jeśli jej się powiedzie - a nauczyciele byli przekonani, że tak - będzie pierwszą dziewczyną z Lahersheen na uniwersytecie. W ciągu kilku ostatnich lat parę dziewcząt z sąsiedniego Derryconna wstąpiło do college'u nauczycielskiego, kilka innych zostało pielęgniarkami, lecz większość, jeśli w ogóle ukończyło szkołę średnią, łąpało prace w sklepach lub na poczcie albo też szło na kursy dla sekretarek czy księgowych do Dublina.

- No, cóż... niezbyt często twój ukochany starszy brat przyjeżdża z miasta z wizytą, więc możesz choć na pięć minut zostawisz książki i zrobisz nam herbatę? - Francey pocałował ją w policzek.

- Dlaczego zawsze ja? - Z ciężkim westchnieniem Constance wstała od stołu, podeszła do kuchennego pieca i przesunęła imbryk na fajerkę.

Kiedy matka i Margaret powiesiły płaszcze, usiadł na krzesło u szczytu ogromnego stołu, który dominował w kuchni. Tu jest zbyt spokojnie, pomyślał. Pamiętał czasy, gdy znalezienie miejsca do odrabiania lekcji na tym stole było nie lada wyczynem.

- Ten dom wygląda jakoś pusto - mruknął.

- Taak, nieprawdaż? - Matka odgarnęła włosy z czoła. - Czasem wydaje mi się, że gdy zostaliśmy tylko z Maggie i Connie, prawdziwe życie gdzieś uciekło. Ale tu są ostatnie listy od

Goretti i Johnny... obie nieźle sobie radzą... Goretti zmieniła pracę i sprzedaje obecnie domy w Chicago, tak przynajmniej pisze... i ma nowego chłopaka. - Sięgnęła za fotografie stojące na gzymsie kominka i wyciągnęła koperty. Zatrzymała się na chwilę, a jej oczy posmutniały. - Wiesz, Francey, znowu zbliża się rocznica dnia, w którym Kitty i Dessie od nas odeszli.

Francey zerknął na fotografię, która pozostała im po dwójce zbiegów.

- Wiem - odrzekł. - I o tym też chcę z tobą porozmawiać.

- Kiedy się dowiemy, co zawierają te twoje juki? - zawołała Margaret, która stała nadal na środku pokoju, przyglądając się paczkom.

- Najpierw muszę porozmawiać z mamą. - Francey wyjął matce z rąk koperty i schował je do kieszeni.

Rozdział siódmy

Zapach nafty był mocny, lecz nie nieprzyjemny. Bił z grzejnika, ale także z lamp, które matka Franceya trzymała na ganku. Uważała, że ich łagodny blask jest przyjemniejszy od oświetlenia elektrycznego.

Ganek, niedawno dobudowany, zawieszony był koszykami z bluszczem i geranium; ciągnął się przez całą długość domu, otaczając nigdy nieużywane główne wejście od frontu. Z rękoma zwieszonymi między kolanami Francey patrzył w stronę lśniącego błękitnawego kręgu wiszącego gdzieś dalej nad wioską Eyeries po drugiej stronie zatoki Coulagh. Po prawej stronie wioski czarna ściana nocy upstrzona była sznurem maleńkich światełek, ciągnących się wzdłuż brzegu aż do Cod's Head i wiecznie mrugającego światła latarni morskiej.

Młodzieniec kątem oka obserwował matkę; ciekaw był, jak przyjmuje to, co jej przed chwilą powiedział. Zauważył, że w świetle stojącej nieopodal lampy srebrne kosmyki lśnią migotliwie w jej nadal wspaniałych włosach, jak zawsze uciekających spod szpilek. W czasach jego dzieciństwa matka nosiła włosy rozpuszczone i spływały jej do pasa niczym fale miodu; jednym z najwcześniejszych wspomnień Francey było to, jak łapał te pasma pełnymi garściami i wpychał sobie do ust.

Jakby czytając mu w myślach, matka sięgnęła do koka i wyciągnawszy szpilki, zaczęła je wpinać w innej konfiguracji. Mimo że czuł się z nią związany bliżej niż z kimkolwiek na świecie, Elizabeth Sullivan potrafiła odsunąć go od siebie dokładnie tak, jak w tej chwili. Zawsze różniła się od innych matek w powiecie - i nie tylko wzrostem czy urodą. Francey zakładał, że

owa różnica wynika z jej miejskiego pochodzenia.

Odkąd Francey osiągnął dojrzałość i wyprowadził się do Dublina, nieraz rozmyślał nad tym, jak łatwo - lub może trudno - było jej osiąść w Lahersheen, gdy już poznała uroki miejskiego życia. Nigdy jednak nie myślał o tym zbyt długo, bo doskonale wiedział, że niechciana ciąża, której był efektem, zmusiła Elizabeth do owej decyzji.

- Więc co o tym wszystkim sądzisz? - Bawił się sznurkami leżącymi na stole.

Zamiast odpowiedzieć od razu, matka podeszła do lampy i poprawiła coś przy płomieniu. Obserwując ruchy Elizabeth, Francey zastanawiał się, dlaczego mimo upływu czasu nadal zależy mu na jej aprobacie.

- Co zamierzasz zrobić z tymi wszystkimi pieniędzmi? - Wreszcie się odwróciła; minę miała poważną.

- Jeszcze nie wiem - odrzekł. - Wszystko stało się tak szybko, że nawet nie miałem czasu zastanowić się nad tym. Ale to mi nie ucieknie, więc uważam, że lepiej nie robić nic w pośpiechu.

Ów apel o poparcie lub radę przeszedł bez echa; nadal też Francey nie potrafił odczytać miny matki.

- A George? - Cały czas przyglądała mu się bacznie. - Twój ojciec... jak on przyjął te wieści?

- Znowu nie jestem do końca pewien. - Zdawało mu się, że chwiejnie stąpa po linie rozwieszanej nad przepaścią. Istniało wiele konsekwencji odkrycia, że jego ojciec jest człowiekiem z krwi i kości, nie tylko dziecięcą fantazją, i jedną z nich było nieoczekiwane poczucie lojalności. Jeśli zrobi choć jeden krok w niewłaściwym kierunku, okaże się nielojalny wobec któregoś z rodziców. - Oczywiście, był to dla niego nie lada szok - dodał, ostrożnie dobierając słowa. - Tak samo i dla nas wszystkich. Ale jak na razie postępuje uczciwie... tak mi się przynajmniej wydaje. - Później, by uciec od tematu ojca, powiedział: - Jeśli zaś chodzi o drugiego z nich... o mojego przyrodniego brata, Colina... to on też zachowuje się całkiem przyzwoicie.

- Jednak ja nadal nie rozumiem. Jak myślisz, dlaczego ta Amerykanka zadała sobie tyle trudu, by dowiedzieć się o istnieniu twoim i Dessiego?

- Mamusiu, nie mam najmniejszego pojęcia. Zdaje mi się, że chodziło jej o to, iż sama nigdy nie miała dzieci... tak mi się zdaje - powtórzył, wiedząc, że nawet to może się wydać matce brakiem lojalności. Ona tu borykała się z trudami życia, podczas gdy George i Jool pławili się w luksusie. I chociaż postępowanie Jool z punktu siedzenia przy fantastycznym szkła-

nym stole można by uznać za logiczne, to w wiejskiej scenerii dzieciństwa Franceya wydawało się mniej niż nieprawdopodobnie. - Posłuchaj, mamó - wybuchnął. - Przyjechałem do domu tylko dlatego, żeby się dowiedzieć, co ty o tym wszystkim myślisz.

- Prawdę mówiąc, sama nie wiem. - Elizabeth ponownie usiadła obok syna. - Mam mnóstwo odczuć, niektórych miłych, innych nie bardzo... Musisz mi jednak uwierzyć, że strasznie się cieszę... z twojego powodu, Francey. Naprawdę. Masz wielkie szczęście. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy.

Kiedy Francey rozmyślał o tej scenie, spodziewał się okrzyków radości, uścisków - albo, przeciwnie, dyskryminacji i pretensji o kontakt z ojcem bez wcześniejszego powiadomienia jej o takim zamiarze. Nie przewidział jedynie owej cichej rezerwy. Zawsze potrafił dogadać się z matką, choć w ostatnich latach jakby trochę zapomniał, jak to się robi. Odetchnął głęboko.

- Posłuchaj, mamó... o jakich to znowu nie bardzo miłych uczuciach mówisz?

- Nie potrafię tego nawet sprecyzować. - Przekręciła bransoletkę na nadgarstku. - Wiem, że powinnam skakać do góry z radości i w pewien sposób to robię, lecz jednocześnie jestem... zawiedziona. Może nawet niechętna... - Pochyliła się nieco. - Staram się mówić szczerze.

- Niechętna? Dlaczego? - Francey poczuł się zepchnięty do defensywy, choć chyba wiedział, o co jej chodzi. Miała wszelkie prawo do niechęci.

- To nie jest ładne uczucie i wcale nie jestem z niego dumna. - Omijając jego wzrok, wstała i podeszła do najbliższego okna, by zetrzeć parę z szyby. - Po tych wszystkich latach można by się spodziewać, że nic nie będzie mnie obchodzić, gdzie ów człowiek się znajduje, co robi i tak dalej... Myślałam, że już na dobre usunęłam go z życia... Ale wygląda na to, że nadal potrafi zaleźć mi za skórę.

- To zdarzyło się tak dawno temu, mamó - powiedział Francey błagalnym tonem.

Oczy Elizabeth pograżone były w cieniu, gdy ponownie odwróciła się do syna.

- Oczywiście, że tak, Francey... a ty masz w sobie wszystkie dobre cechy George'a Gallahera. Dzięki Bogu nie odziedziczyłeś nic z jego ciemnych stron - w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. - Spojrzała mu w twarz, jakby chciała odczytać, co kryje się w duszy i Francey nie wytrzymał tego wzroku. Co by powiedziała, gdyby wiedziała o jego wypełnionym namiętnością tygodniu z Hazel Slye? Kiedy podniósł oczy, zobaczył, że matka znowu bawi się bransoletką. - Wiem, że to co, mówię, może się wydawać szorstkie. Przykro mi, ale jestem już za stara, by owijać rzeczy w bawełnę. Jestem tylko człowiekiem - ciągnęła - więc wydaje mi się niesprawiedliwe, że George Gallaher zawsze spada na cztery łapy. Z tego, co mówisz, wnio-

skuję, że całe życie unikał odpowiedzialności za swe postęпки. Ożenił się z bogatą kobietą, a ta oprócz fortuny podarowała mu w spadku dwóch wdzięcznych synów; chłopców, których nigdy nie musiał karać ani ganić, ani zmuszać do odrabiania lekcji, i z którymi nigdy nie musiał siedzieć całą noc, gdy byli chorzy. Co więcej, w okamgnieniu uczynił z ciebie bogacza. A teraz ma środki, by odnaleźć Kitty i Dessiego, co mnie się nie udało. Czy możesz się dziwić, że mam mieszane uczucia? - Patrzyła na niego przez długi czas, po czym uśmiechnęła się smutno. - Jeśli mam być szczerą, to podejrzewam, że po prostu jestem zazdrosna. Francey bał się, że matka za chwilę wybuchnie płaczem.

- Ale musiałem się z nim spotkać, prędzej czy później, chyba to rozumiesz? - nalegał.

- Oczywiście, że rozumiem. Chciałabym tylko, żeby to wszystko tak bardzo mnie nie bolało. - Potarła czoło wierzchem dłoni. - Przepraszam cię, zachowuję się dziecinnie. Podejrzewam, że to jeden z przełomowych momentów naszego życia... Zamieniliśmy się rolami. Teraz to ty jesteś dojrzały.

- Proszę, niech cię to nie boli, mamó - błagał Francey. - Nic się nie zmieni pomiędzy mną a rodziną... tą rodziną. Posłuchaj - dodał po chwili - to naprawdę jest dobra wiadomość. Po twojej reakcji ktoś mógłby pomyśleć, że mam zostać deportowany do Australii!

- Francey, wiesz, że życzę ci wszystkiego, co w życiu najlepsze. - Uniosła podbródek. - Posłuchaj, jest jeszcze coś.

Po zaskoczeniu, jakim była pierwsza reakcja matki, Francey niemal z radością powitał wyzwanie w jej oczach.

- O co chodzi?

- Obawiam się, że teraz nie będziesz już chciał nas znać... mnie... ani nikogo stąd. Boję się, że on cię zauroczy. Kto lepiej niż ja może wiedzieć, jak czarujący potrafi być ten stary sukсын?

Francey omal nie wybuchnął śmiechem, czując ogromną ulgę.

- Oj, mamó, tylko o to ci chodzi? Zapewniam cię, że tak się nie stanie...

- Jakoś nie wyobrażam sobie, abyś teraz tu wrócił i osiedlił się wśród pól i krów - przerwała.

- Ano nie - przyznał Francey. - Ale to i tak nigdy nie wchodziło w rachubę.

Tu załamała się linia natarcia Elizabeth.

- Och, Francey! - Na wpół jęknęła, na wpół roześmiała się matka. - Nie przejmuj się mną! Przepraszam! No dobrze, to nie w porządku, ale z drugiej strony, co w życiu jest uczci-

we? Dzięki Bogu, że nie wierzę w Boga, bo wydawałoby mi się, że właśnie zakpił sobie ze mnie w okrutny sposób. Chodź, uściśnij mnie! - Wreszcie się uśmiechnęła. - To wspaniale, naprawdę, synku. A ja jestem tylko starą samolubną jędzą.

Pochylając się, by ją przytulić, Francey zastanawiał się, czy kiedykolwiek zrozumie kobiety. Przynajmniej będzie mógł im zostawić trochę gotówki; po raz pierwszy, odkąd zaczął pracować w Dublinie.

- Co takiego? Kim jesteś?! - wrzasnęła Margaret, kiedy kilka minut później Francey powiedział, że nadszedł czas otwarcia paczek i wyjaśnił powód przywiezienia prezentów.

- Co takiego? Milionerem? - Oczywiście Connie były okrągłe jak spodeczki.

- Taak. Jestem milionerem - powtórzył rozradowanym tonem.

- Lizzie? - Mossie spojrział na żonę, która nadal stała w drzwiach wiodących na ganek.

- To prawda - potwierdziła Elizabeth. - Francey odziedziczył mnóstwo pieniędzy po... krewnej.

- Jakiej znowu krewnej? - Constance podbiegła do brata i schwyciła go za kłapy marynarki. - Czyżbym miała jakąś bogatą krewną, o której nic nie wiedziałam?

- Dalej, Francey, opowiedz wszystko ze szczegółami.

- Dobrze.

- Na miłość boską, Francey, czy teraz wszyscy będziemy bogaci?

Trzy dziewczyny przekrzykiwały się wzajemnie, dopóki Francey nie uniósł rąk, by uciszyć siostry. Spojrział na matkę, stojącą po drugiej stronie stołu.

- Mogę im opowiedzieć dokładnie, jak to się stało?

Skinęła głową i odwróciła się do kuchennego pieca. Mossie podszedł do niej i mimo zamieszania czynionego przez dziewczęta Francey zauważył, jak spokojnie obejmuje matkę w pól. W następnej chwili uprzytomnił sobie, że to nie jego sprawa i odwrócił wzrok.

- No, dobrze, moje panny! - Roześmiał się głośno. - Wystarczy już tych krzyków. Usiądźcie, a wszystko wam wyjaśnię.

Zaczął od początku, włącznie z tym, jaką rolę w odnalezieniu George'a Gallahera odegrała Hazel Slye; ich rozbudzona nagle uwaga bardzo go rozradowała.

Margaret pamiętała Hazel i naturalnie była ciekawa, gdzie Francey ją spotkał. Brat wyjaśnił jej to pokrótce, po czym opowiedział o tym, jak niechcący trafił do domu ojca w dniu pogrzebu Jool, o testamencie - i o Colinie.

- Masz jeszcze jednego brata? - Margaret obejrzała się na matkę, jakby spodziewając się

potwierdzenia z jej strony.

- Taak - odrzekł. - Jest nas trzech... Wszyscy jesteśmy synami George'a Gallahera.

- Wielki Boże, ta rodzina z minuty na minutę robi się coraz bardziej poplątana!

Francey uśmiechnął się, gdyż Margaret bezwiednie powtórzyła słowa George'a wypowiedziane przy szklanym stole w jadalni Inveraray.

- Ale nie znacie jeszcze nawet połowy wydarzeń - dodał ponuro.

- Kim on jest dla nas, mamó? Ten nowy brat? Czy on też jest z nami spokrewniony? - Margaret zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

- Nie, on nie jest spokrewniony z nikim z nas, tylko z Franceyem. Wyjaśnię wam to później. - Elizabeth uniosła dłonie w udanym geście rozpacz. - Może otworzycie wreszcie te cholerne prezenty i przestaniecie zarzucać mnie pytaniami?! Tylko Francey może wyjaśnić wszystkie wasze wątpliwości.

Ponieważ Francey chciał, by największa paczka dostarczyła rodzinie najwięcej emocji, kazał siostrom otworzyć ją na końcu. Matka i ojczym trzymali się na uboczu, podczas gdy trzy dziewczyny rzuciły się do prezentów; w torbach znalazły się ładnie opakowane czekoladki, butelka whisky, a także druga, pełna brandy, i jeszcze trzecia z ginem dla matki, suszone owoce, które - jak wiedział - wszyscy w rodzinie uwielbiali, jedwabne szaliki i barania skóra na podłogę, ufarbowana na szokujący granatowy kolor, którą pod wpływem impulsu kupił w sklepie rzeźniczym tuż obok mieszkania Hazel. Jedno z pudeł wypełnione było po brzegi lśnącymi łańcuchami, szklanymi bombkami, maleńkimi czerwonymi Mikołajkami i reniferami przeznaczonymi na rodzinną choinkę, a także sporą ilością dziecięcych nakręcanych zabawek: był wśród nich dobosz, długoreka małpka, ześlizgująca się po miniaturowej gałęzi, piesek, którego ujadanie przypominało raczej skrzywienie zawiasów, żółty króliczek, uderzający w maleńkie cymbałki i ubrana tylko w pieluszkę plastikowa lalka, która po nakręceniu chodziła na czworakach, przypominając różowego karalucha.

- Nie mogłem im się oprzeć. - Francey uśmiechnął się szeroko, widząc zdziwione miny sióstr. - A teraz - dodał, podnosząc trzy paczuszki, które w odróżnieniu od pozostałych były zapakowane w taki sam kolorowy błyszczący papier - może je otworzycie?

Abigail wyjęła mu jedną paczuszkę z rąk i aż pisnęła z radości, kiedy po zdjęciu papieru jej oczom ukazało się pudełko od jubilera. W środku leżało sześć identycznych złotych zegarków.

- Szkoda, że nie widziałyście miny sprzedawcy w sklepie, w którym je kupiłem! - po-

wiedział z dumą Francey. - Po jednym dla każdej z was. Będziemy musieli wysłać dwa do Ameryki dla Johnny i Goretti. - Potem podał matce drugie z pudełeczek: - To także dla ciebie. A tobie, zamiast zegarka, kupiłem zapalniczkę Ronsona, Mossie.

- Dziękuję. - Ojczym wszedł w krąg światła.

- A teraz ostatnie. Otwórz. - Podał jej małe płaskie pudełko od Weira, zawierający upominek kupiony w tym samym dniu, co prezent dla Hazel. Trzeci przedmiot z tej serii - o którym Francey nawet nie wiedział, kiedy i czy w ogóle zdoła go wręczyć, bo miało to zależeć od rozwoju jego znajomości z Fleur Mannering - spoczywał na dnie walizki młodzieńca.

Kiedy Elizabeth otworzyła wieczko, jej oczom ukazała się markazytowa jaszczurka z dwoma rubinowymi oczkami i wyciągniętym języczkiem ze srebra.

- Jakie to śliczne, Francey - wyszeptala. - Zachowam ją na zawsze. Dziękuję. - Zawstydzony wyrazem ogromnej miłości w oczach matki, młodzieniec spuścił wzrok.

- Nie ma o czym mówić. A teraz ten największy - mruknął, podnosząc ostatni pakunek i stawiając go pośrodku podłogi. - Tylko ostrożnie!

- Telewizor! - zawołała zaskoczona Connie, kiedy Margaret wreszcie rozpakowała prezent. - Zaczekajcie, aż dziewczyny w szkole o tym się dowiedzą!

Telewizja w Irlandii była jeszcze w powijakach, na Béara zaś telewizory należały do rzadkości.

- Sprzedawca powiedział, że nie będziecie mieć problemów z odbiorem, ale trzeba wysoko ustawić antenę. - Francey odwrócił się do Mossiego. - Niektóre programy naprawdę są interesujące. Czasem też transmitują mecze z Corke Park.

- Zupełnie jakby w tym domu nie bywało już i tak zbyt wielu gości - odrzekł ojczym, drapiąc się po głowie. - Mam nadzieję, że komin wytrzyma ciężar anteny - dodał - nie wspominając już o naszych mózgach. Od oglądania tego czegoś można dostać kwadratowych oczu. Ale bardzo ci dziękujemy.

Francey rozejrzał się po zaśmiecających podłogę papierach, wstążkach, sznurkach i słomie z opakowań. Pomimo podniecenia i wszystkich przyjemnych emocji, nagle poczuł się samotny, jak gdyby był tu obcy. Musiał jak najszybciej wyjść na długi samotny spacer, by pozbierać myśli.

- Chyba się trochę przewietrzę przed pójściem spać - powiedział głośno.

Wyszedłszy za bramę farmy, przystanął i zastanowił się, czy powinien pójść w dół i ryzykować, że spotka któregoś z sąsiadów, czy też powędrować w górę, ku szczytom Knockame-

ala, które osłaniały dom od północnego wschodu. Nie lubił tej góry: po tym, jak pierwszy ojczym został zastrzelony na jej zboczu, wyobraźnia Franceya dostarczała mu wystarczająco dużo ponurych obrazów, by raz na zawsze przestał tamtędy spacerować; nie potrafił także zrozumieć, dlaczego matka często tam chodziła i kiedy wróciwszy ze szkoły, nie zastawał jej w kuchni przy piecu, bał się, że i jej mogło się przydarzyć coś złego. Teraz jednak nie miał ochoty na rozmowę z kimkolwiek, kogo mógłby spotkać na drodze, skierował się w górę.

Już po kilku minutach poczuł zadowolenie, że wybrał właśnie tę trasę i odsunął od siebie nawet ową nieprzyjemną myśl, iż oto idzie tym samym szlakiem co Neeley Scollard ostatniego dnia swego życia. Tutaj noc nie wydawała się ciemną kotarą jak zza okna ciepłego domu, lecz lśniła poświatą rzucaną przez gwiazdy. Zimne powietrze kłuło Franceya w policzki i sprawiało, że oczy zachodziły mu łzami, lecz kiedy wreszcie dotarł na niewielką płaską polankę - omijając skrętnie kamienny murek, nieopodal którego zginął Neeley - czuł się wspaniale. Nie był tu w nocy już od wielu lat i zapomniał, jak piękny rozciąga się stąd widok.

Daleko poniżej dwie srebrne wstążeczki zatoki Coulagh i rzeki Kenmare wiły się między ciemnymi stokami Corku i Kerry; mimo że noc była prawie bezwietrzna, z oddali nie słyszał ich szumu. Cisza otaczająca Franceya była tak niezwykła, że wydawała się dźwięczeń niczym echo odległego fletu.

Zesztywniała od mrozu paproć zatrzeszczała, gdy na niej usiadł. Stąd nie było widać jego domu, ukrytego za wzgórzem, lecz dom Harringtonów, oddalony od pozostałych chat we wsi, lśniących w mroku światłami niczym cekiny, Francey mógł zobaczyć wyraźnie. Tilly i Michael Harringtonowie, najbliżsi sąsiedzi, bez narzekań mieszkali przez wiele lat w tradycyjnej piętrowej chałupie, dopóki kilka lat temu nie wybuchł u nich pożar; mimo że szkody nie były zbyt wielkie, Tilly skorzystała z okazji i postanowiła zbudować nowy dom. Francey nie był jednak do końca pewien, czy on mu się podoba, czy nie: w pewien sposób żałował, że wspaniała budowla zakłóca harmonię krajobrazu, gdyż chciał, by wszystko w Lahersheen pozostało dokładnie takie samo, jak za czasów jego dzieciństwa, by mógł do niego wrócić bez większych problemów.

Zdziwiony, że pomimo mrozu właściwie nie czuje zimna, siedział spokojnie wśród trzeszczących paproci, oddychając głęboko. Zapach był tu podobny do tego w mieście, lecz stanowczo mniej złożony; wiatr wiejący z zachodu niósł powietrze, które z pewnością przebyło tysiące kilometrów, nie przelatując ponad żadnym lądem; choć pachniało lekko dymem torfowym, solą i wodorostami, było wyjątkowo czyste i Francey wyobrażał sobie, że przecina jego

pluca wypełnione zatęchłym miejskim smrodem niczym obosieczny miecz. Wpatrując się w rozgwieżdżone niebo, zastanawiał się, czy gdzieś tam na innej planecie nie siedzi właśnie w tej chwili jakieś stworzenie, wpatrując się w gwiazdy i rozmyślając, co począć ze swym nieprzewidywalnym życiem. Czy owa istota na innej planecie też była tak nieszczęśliwie zakochana?

Czy tam także używa się pieniędzy? Pozwolił, by jego myśli poszybowały w bliżej nieokreślonym kierunku. Czy skoro teraz był już bogaty, nie powinien zbudować swojej rodzinie nowego domu, w stylu tego, jaki mieli Harringtonowie?

Siedział tak przez długi czas, myśląc o tym, jak wydać swe pieniądze: na samochód, na samochody dla każdego członka rodziny, na mały domek dla siebie - nie przywykł jeszcze do bogactwa i nie aspirował do niczego powyżej znanych mu od dzieciństwa standardów - i dopiero po jakimś czasie poczuł przenikliwe zimno. Wstał, przygotowując się do drogi powrotnej do domu, gdy dostrzegł nagle światelko podskakujące w górę i w dół na stoku pod nim; wkrótce zobaczył, że to zapalona latarka, którą trzymała jego siostra Abigail.

- Mama przysłała mnie tu po ciebie! - zawołała. - Mówi, żebyś natychmiast wracał, bo się zaziębisz na śmierć. I masz włożyć czapkę - dodała, podając mu mały wełniany kapelusik.

Francey z rozbawieniem przyjął czapkę; odkąd w dzieciństwie doznał urazu czaszki, matka zawsze obawiała się o jego głowę. Abigail popatrzyła na niego.

- Matki są wszędzie takie same, na całym świecie. Posłuchaj... - Zawahała się lekko. - Sama się ofiarowałam, że przyjdę tu po ciebie. Chciałabym o czymś z tobą porozmawiać na osobności.

- Jasne. - Francey poklepał paproć obok siebie. - Usiądź na minutkę, nie jest aż tak zimno. - Kiedy siostra usiadła, zerknął na nią wyczekująco. - No, dalej, wykrztuś to z siebie!

Abigail odwróciła głowę od niego.

- To nie takie proste.

- Jestem twoim starszym bratem. - Francey objął ją za ramiona i przytulił. Później przyszło mu do głowy, że być może jego mała siostrzyczka spodziewa się dziecka. - Och, Abby - szepnęła łagodnie - cokolwiek to jest, możesz mi powiedzieć. Możesz mi zaufać.

- Zamierzam wstąpić do klasztoru. - Głos dziewczyny zabrzmiał pewnie.

Śmiech spowodowany ulgą, że Abby jednak nie jest w ciąży, zamarł Franceyowi w gardle. Jego słodka, promienna siostrzyczka z ogoloną głową, na całe życie spowita w czarny habit? Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, dziewczyna spojrzała mu hardo w oczy.

- Potrzebny jest mi posag - oznajmiła. - Ten twój spadek to odpowiedź na moje modlitwy. Nie chcę prosić mamy i Mossiego. Wiem, że nie brak im pieniędzy, zwłaszcza odkąd zmarł dziadek Sullivan, lecz to nie byłoby uczciwe.

- Czy jesteś pewna swojej decyzji, Abby?

- Bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

Widząc jej rozjaśnioną, szczęśliwą twarzyczkę, Francey zrozumiał, że nie ma sensu się sprzeczać i uściskał ją mocno.

- Nie będę udawać, że mnie nie zaskoczyłaś. Nie miałem pojęcia o twoich planach. No i będzie mi ciebie brakować. Wszystkim nam będzie ciebie brakować. Ale oczywiście, że dam ci posag, Abby. Ile ci potrzeba?

- Ile dasz. To zależy od ciebie.

- No, dobrze... nie musisz się o to martwić. - Wstał i pomógł jej się podnieść. - Siostrzyczki pomyślały, że to urodziny ich wszystkich razem. Miło mi, że mogę ci się przydać. Ale pod jednym warunkiem - dodał, wpatrując się uważnie w jej twarz.

- Proś, o co chcesz.

- Musisz pomodlić się za mnie w dość szczególnej intencji. Aż będą cię boleć kolana. Do świętego Judy Tadeusza, jeśli to możliwe.

- Tylko tyle? - Abigail uśmiechnęła się szeroko. - Dodam jeszcze kilka zdrowasiek do świętej Anny... ona jest naprawdę wspaniała. Nie ma sprawy, uważaj tę rzecz za załatwioną. Dziękuję, Francey - dodała.

- Naprawdę cieszę się z twojego powodu; jeśli to jest właśnie to, czego chcesz. Mówię szczerze. A jak mama i Mossie przyjęli twoją decyzję?

- Jeszcze o niczym nie wiedzą. Obawiam się, że będzie to dla nich nie lada szok. Ale przecież nie zamierzam iść do karmelitanek czy równie surowego zakonu - dodała, bardziej do siebie niż do brata. - Zdaje mi się, że wstąpię do Sióstr Miłosierdzia...

- Jestem pewien, że bez względu na to, jaki zakon wybierzesz, siostrzyczki będą miały szczęście. - Raz jeszcze ją uściskał.

- Nie zakładałabym się o to. - Abigail roześmiała się głośno, ujęła go pod ramię i zaczęły powoli schodzić w dół. - Jeszcze dzisiaj zacznę się za ciebie modlić.

- Grzeczna dziewczynka. - Jednak nie był pewien, czy z uwagi na wyjątkową intencję owych modlitw, jego siostra wskóra cokolwiek u świętych, choćby byli nie wiem jak tolerancyjni.

Ku ogromnemu rozczarowaniu matki Francey wyjechał z Lahersheen w poniedziałek rano. Ciągłe miał wrażenie, że podczas jego nieobecności dom straszliwie się skurczył, tak że gdzie się odwrócił, zawsze uderzał w kogoś lub objął się o coś. Poza tym, mimo najlepszych chęci, by zachować spokój, niedzielna niekończąca się procesja ciekawskich sąsiadów - naturalnie Connie nie mogła dochować tajemnicy o nagłym szczęściu rodziny - plus ciągle pytania ze strony matki i siostr, zaczęły irytować młodzieńca, zanim jeszcze niedzielna partyjka kart przyciągnęła do domostwa Sheehanów cały powiat. Gdyby miesiąc wcześniej ktoś mu powiedział, że nagle łaska Fortuny może stwarzać takie problemy, chłopak roześmiałby mu się w twarz, jednak teraz sam nie był pewien. Stojąc pośrodku wesołego tłumu tłoczącego się w kuchni, gdzie serwowano piwo i wybuchały radosne okrzyki, a hałaśliwa atmosfera powinna dawać mu zadowolenie i radość, Francey zauważył różnicę w zachowaniu sąsiadów w stosunku do niego - zupełnie jak gdyby posiadanie pieniędzy sprawiło, że stał się mądrzejszy, lub dało mu lepszy wgląd w sprawy tego świata. Wyczuwał też wyraźnie zazdrość, a nawet niechęć, którą naszpikowana była większość zwróconych ku niemu pytań. Pomiedzy szczerymi gratulacjami: „Zawsze wiedziałem, że masz w sobie coś szczególnego, Francey!” lub: „Nikt bardziej niż ty na to nie zasłużył!” - słyszał też od czasu do czasu: „Oczywiście, teraz, skoro masz pieniądze, nie będziesz już chciał nas znać”, albo: „Podejrzewam, że opuścisz nas i zamieszkas za granicą, co?” lub też, znacznie bardziej bolesne, uwagi o jego nieślubnym pochodzeniu.

Jego rodzina także nie żałowała sobie: Margaret nie mogła powstrzymać się przed kilkoma docinkami: „Oczywiście, milioner nie może przecież sam sobie ścielić łóżka!” - kiedy siedział przy śniadaniu w niedzielny poranek. Nawet Connie, gdy przeszedł jej pierwotny zachwyty przywiezionymi z Dublina prezentami, zaczęła się dopytywać, co też Francey zamierza zrobić z resztą pieniędzy. Matka chodziła podenerwowana - co było u niej niezwykle - i tylko Mossie i Abigail zdawali się nie przejmować jego bogactwem.

O jedenastej wieczorem w niedzielę Francey miał tak serdecznie dość tego wszystkiego, że poszedł wcześniej do łóżka, zostawiając nieproszonych gości, by sami bawili się we własnym towarzystwie.

Następnego ranka pojawiły się nowe problemy. Matka odmówiła przyjęcia pieniędzy, które jej ofiarował, a kiedy nalegał, czując się głupio i niezręcznie, nastąpiła dzika awantura. Jej niechęć miała coś wspólnego z faktem, że pieniądze pochodzą pośrednio od George'a Galahera i tylko interwencja Mossiego zapobiegła wielkiej wojnie. Ojczym wziął pieniądze, mówiąc, że chętnie kupi za nie nowy traktor.

Kiedy w poniedziałek wieczorem Francey dotarł wreszcie do Dublina, po raz pierwszy z radością powitał anonimowość miasta. Nikogo tu nie obchodziło, czy miał tysiąc funtów, czy tylko dziesięć szylingów. Mimo że sklepy już pozamykano, widać było wyraźnie przedświąteczny ruch, w pubach siedziało więcej ludzi niż zwykle, a kolorowe lampiony - jeszcze nie pozapalane - kołysały się na wietrze wiejącym przez Henry Street i niosącym zapach rzeki.

Hazel zamierzała wrócić dopiero w środę, więc Francey, nie mając dokąd pójść, znowu zameldował się w hotelu Gersham.

Kiedy tylko znalazł się w pokoju, usiadł, by przeliczyć, ile pieniędzy mu pozostało. Odkrył, że z tysiąca funtów, które dostał od George'a, miał zaledwie sto. Trzy tygodnie temu byłaby to dla niego fortuna - ekwiwalent trzymiesięcznej pensji - a teraz z niewiadomego powodu uważał, że to mało. Będzie musiał posłuchać rady George'a i znaleźć sposób na rozsądne ułożenie swoich spraw. Serce podskoczyło mu w piersi - to oznaczało wyprawę do Londynu.

Przed położeniem się spać Francey napisał liścik do Hazel, by wytłumaczyć, iż musiał nieoczekiwanie wyjechać do Londynu, i że stamtąd do niej zadzwoni.

Następnego ranka jednakże, kiedy tłum ludzi przelewał się z hałasem przy publicznych telefonach na stacji metra, to nie do Hazel najpierw zadzwonił, lecz do Fleur.

- Że co, przepraszam?! - wrzasnął w słuchawkę, kiedy z palcem wciśniętym w drugie ucho usiłował usłyszeć, co przyrodni brat odpowiada na jego propozycję, by spotkali się na kolacji. Doszedł do wniosku, że zobaczenie się z Fleur w towarzystwie jej męża będzie lepszym rozwiązaniem niż niewidzenie się z nią wcale, a poza tym da mu szansę na poukładanie sobie w głowie problemów, przed którymi stanął. A jednak, jeśli miałby powiedzieć prawdę, pewna drobna część jego mózgu miała nadzieję, wbrew wszelkim rozsądnym myślom, że może Fleur też coś do niego czuje. Wtedy wszystko byłoby znacznie łatwiejsze.

Teraz wszakże zaczął się obawiać, że do spotkania może w ogóle nie dojść.

- Wyjeżdżasz? - Znowu musiał podnieść głos. - Przepraszam, Colinie, ale tu jest okropny hałas... Jutro wieczorem nie będzie cię w Londynie, czy tak powiedziałaś?

Słuchał z napięciem, podczas gdy jego brat potwierdził, że faktycznie wyjeżdża. Później jednak o mało nie zwałił młodzieńca z nóg, proponując, by tak czy inaczej spotkał się z Fleur.

Wstrząśnięty Francey już miał wykrzyknąć: „Jesteś pewien, że nie masz nic przeciwko temu?!” - lecz pohamował się w porę i zamiast tego zapytał po chwili wahania:

- Myślisz, że zechce? Nie powinniśmy jej spytać o zdanie? Może ma jakieś inne plany?

- O, jestem pewien, że nie. - Mimo panującego wokół hałasu, Francey usłyszał lekcewa-

żenie w głosie brata. Po chwili Colin dodał: - Niech się trochę rozerwie. Nie znosi siedzieć sama w domu.

- Czy jest tam z tobą teraz? - spytał Francey.

- Nie, ale przekażę jej, gdy wróci. Gdzie chcesz się z nią spotkać?

- W Koloseum - odrzekł Francey, wymieniając nazwę najdroższej hotelowej restauracji, jaką znalazł w kupionym na lotnisku kieszonkowym przewodniku po Londynie.

- Około ósmej?

- Doskonale.

- Fleur będzie na ciebie czekać - zapewnił go Colin. - A my też musimy się kiedyś spotkać. W końcu mamy mnóstwo spraw do omówienia, nieprawdaż, staruszk?

- Bardzo chętnie - skłamał Francey.

Czterdzieści pięć minut później zameldował się w małym hoteliku przy jednym z wielu londyńskich placów - tak różnych od szarych georgiańskich skwerów w północnej części Dublina - i zatelefonował do George'a. Ojciec podał mu nazwiska prawników oraz księgowych, z którymi należało się skontaktować, by otrzymać pieniądze zostawione w testamencie przez Jool Dill Smith Gallaher.

Zaopatrzony w tę listę, Francey przez cały następny ranek odwiedzał dyskretne brązowe biura. Raz, popijając herbatę z porcelanowej filiżanki, którą postawił przed nim kolega po fachu pana Solomona, prawnika George'a, pomyślał, jak potraktowano by go w tym samym miejscu zaledwie miesiąc wcześniej. Doszedł do wniosku, że często powtarzane przez Tilly Harrington powiedzenie jest prawdziwe: pieniądze naprawdę zmieniają świat.

Z zapewnieniami o dalszej pomocy nadal brzęczącymi mu w uszach, Francey zakończył wyprawę tuż przed południem, otrzymując przekaz bankowy na sto tysięcy funtów do ręki oraz sugestię, do jakiego banku powinien wpłacić pieniądze. Zignorował tę radę i wszedł do pierwszego, na który się natknął, otworzył konto, wpłacił pieniądze i z portfelem pełnym czeków oraz następnym tysiącem funtów w gotówce - tysiąc stał się jego ulubioną liczbą - wyruszył na ulice Londynu.

Przez następną godzinę chodził od sklepu do sklepu po Oxford Street, szukając najlepszego garnituru na swoje spotkanie z Fleur. W każdym grała muzyka, dzwoniły dzwoneczki i rozlegały się wesole nawoływania, gdy zaś nadeszła pora lunchu, świąteczne zakupy ruszyły pełną parą. Dziewczęta wpadały i wypadały na ulicę, jak gdyby zostało im zaledwie pięć minut życia, a chłopcy zbierający datki na biednych podwajali swe wysiłki i grzechotali puszkami

prosto przed twarzami przechodniów.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu młodzieniec przekonał się, że jeśli chodzi o garnitur, zupełnie nie potrafi się zdecydować. Gruby plik banknotów w kieszeni znacznie poszerzył jego możliwości wyboru... tak bardzo, że Francey nie umiał podjąć słusznej decyzji.

W końcu porzucił pomysł kupna garnituru i zamiast tego sprawił sobie obłądnie drogą skórzaną kurtkę, po czym udał się do jasno oświetlonego pubu na lunch.

Kiedy wieczorem zjawił się w Koloseum, miał wrażenie, że nerwy skręciły mu się w postronki i tylko największym wysiłkiem woli powstrzymywał się przed chodzeniem do toalety częściej niż co piętnaście minut.

Przyszedł przed czasem, więc usiadł na miękkim fotelu w hotelowym holu, który został niedawno wyremontowany i - jak sugerowała nazwa - w zamierzeniu dekoratora wnętrz miał przypominać budowlę starożytnego Rzymu. Nawet chłopcy hotelowi, ubrani w stroje legionistów Cezara, roznosili wiadomości na gipsowych tacach wykonanych tak, że przypominały zwoje pergaminu.

Wiecznie towarzyszące Franceyowi poczucie, że nie pasuje do otoczenia, zbladło nieco na widok siedzącego naprzeciwko Araba w okularach przeciwsłonecznych na nosie, ubranego w tradycyjną długą szatę. Egzotyczny sąsiad przesuwiał paciorki kolorowych koralików palcami prawej dłoni. Ponieważ na dworze było ciemno choć oko wykol, a na dodatek padał deszcz, okulary przeciwsłoneczne tamtego były tak nie na miejscu, że Francey poczuł się lepiej. Przynajmniej nie musiał się ukrywać za ciemnymi szklami. Tak bardzo zafascynowały go paciorki arabskiego różańca, że z początku nie zauważył pojawienia się Fleur, dopóki stukanie jej szpilek w marmurową posadzkę nie przyciągnęło jego uwagi - podobnie zresztą jak wszystkich obecnych w holu mężczyzn.

Miała na sobie jedwabiste ciemnobrązowe futro, dłuższe niż płaszcz, który nosiła, gdy wspólnie spacerowali po lesie; miękkie fałdy spływające z jej szczupłych ramion kończyły się na wysokości kostek. Włosy ukryła pod pasującym do futra kapeluszem, a w dłoni obciążonej skórzaną rękawiczką trzymała małą torebkę wyszywaną koralikami; stopy o wysokim, wygiętym podbiciu obute były w delikatne pantofelki na wysokim, wąskim obcasie. Z tymi skośnymi oczyma i pełnymi wargami przypominała gwiazdę filmową lub egzotycznego szpiega; Francey przepełniony był dumą, że spośród wszystkich mężczyzn w Londynie to właśnie on się z nią umówił.

Jednocześnie przeszło go przerażenie, czy aby potrafi stawić czoło temu zaszczytowi.

Podniósł się pośpiesznie, gdy tylko podeszła do niego.

- Przepraszam za spóźnienie. - Maleńkie kropelki deszczu lśniły na pojedynczych włoskach futra i kapeluszu. Uśmiechnęła się do niego. - Straszne korki w całym mieście.

Okryta luźnym futrem wydawała się delikatna niczym laleczka z chińskiej porcelany i nagle Francey poczuł, że zalewa go świadomość własnej nieporadności i ogromnego wzrostu; najwyraźniej nowo odkryta pewność siebie w kontaktach z kobietami była zbyt świeżą cechą, by poskutkować w podobnej sytuacji.

- Wcale się nie spóźniłaś, to ja przyszedłem wcześniej - odrzekł, żałując, że nie przygotował na jej powitanie bardziej dystyngowanej uwagi. - Masz ochotę napić się czegoś przed obiadem?

- Nie, dziękuję. - Zawahała się lekko. - Może od razu przejdziemy do restauracji?

- Oczywiście.

Najwyraźniej była tu już wcześniej i doskonale знаła układ pomieszczeń w hotelu, gdyż od razu poszła we właściwym kierunku.

Maitre d'hôtel powitał ich czarująco i gdy pomagał Fleur zdjąć futro, młodzieniec pomyślał, że import-eksport musi być szalenie opłacalnym przedsięwzięciem. Z zajęciem miejsca zaczekał, aż jego towarzyszka zdejmie kapelusz; płynnym ruchem wyciągnęła szylkretowy grzebyk z włosów, pozwalając, żeby gęste, lśniące, kruczoczarne fale spłynęły jej na ramiona. Usiadłszy, przeczesala je palcami, a Francey poczuł, że świerzbą go opuszki palców.

- Na jak długo Colin wyjechał? - spytał.

- Zdaje mi się, że na tydzień - odpowiedziała. - Być może na dłużej. Dziękuję, Bernardzie. - Nadając imieniu francuski akcent, uśmiechnęła się do kelnera, który podał jej kartę dań.

- Byłaś tu już wcześniej? - zapytał Francey, również biorąc do rąk menu.

- Tak. - Fleur cały czas się uśmiechała. - Kilka razy.

Przeglądając ceny przy przerażająco obcych francuskich nazwach, młodzieniec znowu pomyślał, że biznes, którym zajmuje się jego przyrodni brat, musi być szalenie lukratywny.

- Może w takim razie coś mi polecisz? - zaproponował.

- Ale ty wybierzesz wino, dobrze? Lubisz ryby?

Dopiero teraz Francey zauważył, że tęczęwki jej niesamowitych oczu nie są czarne, lecz intensywnie szare.

- Ryby? - powtórzył. - Ależ uwielbiam je...

Chociaż Castletownbere jest jednym z największych portów rybackich w Irlandii i choć

jako dziecko nieraz łapał ryby z kolegami w czasie wolnym od zajęć, jadał bardzo mało owoców morza. W Irlandii dania z ryb nie były zbyt popularne, gdyż uważano je za jedzenie dobre dla zakładów penitencjarnych.

- Ja także je lubię.

Fleur opuściła wzrok na menu, Francey zaś otworzył kartę win, jak gdyby było to gniazdo grzechotników. Ku jego ogromnej uldze okazało się, że wraz z nazwami znajdują się w niej opisy każdego gatunku wraz z rekomendacjami, do czego należy je pić. Wybrał butelkę jednego z francuskich białych win; wiedział przynajmniej, że do ryb pija się białe wino.

Siedzieli naprzeciw siebie przy stoliku, który z łatwością pomieściłby czworo lub nawet więcej gości i Francey poczuł się bezpiecznie przyglądał się, jak Fleur przerzuca strony menu. Przepelniony miłością zauważył, że czyta niczym dziecko - poruszała wargami przy każdym słowie, przesuwając palcem w dół listy potraw. Tego wieczora miała na sobie prostą sukienkę z jakiegoś dziwnego białego materiału; pomiędzy jego fałdami lśnił delikatny wzór, tak ulotny, jak gdyby był tylko znakiem wodnym. Nie miała biżuterii z wyjątkiem sznura pereł i ślubnej obrączki, a młodzieniec, który sądził, że dostrzegł i zapamiętał każdy szczegół z ich spotkania w Inveraray, nie mógłby teraz przysiąc, czy i wtedy nie nosiła żadnych kosztowności.

- Bardzo podoba mi się twoja sukienka - powiedział.

- Dziękuję. - Przyjęła komplement, nawet nie patrząc na Franceya. - To szantung. Colin przywiózł mi materiał z Hongkongu, a ja kazałam uszyć sobie z niego tę sukienkę.

- A dokąd teraz pojechał twój mąż?

- Na Daleki Wschód, lecz tak naprawdę dużo podróżuje... do Szanghaju, Singapuru, a nawet Bangkoku. Nie wiem, gdzie dokładnie przebywa, dopóki do mnie nie zadzwoni. Byłeś może w Azji?

Wreszcie podniosła wzrok i ku przerażeniu Franceya złapała go, jak przyglądał się jasnemu jedwabowi opinającemu jej biust. Przyzwyczajony do kształtów Hazel zastanawiał się, jak drobne piersi Fleur pasowałyby do jego ręki - bez wątpienia w dotyku przypominałyby gładką i chłodną porcelaną.

- Nie... nigdy nie byłem za granicą. - Siłą woli starał się powstrzymać rumieniec wpływający mu na policzki. - Właściwie, to jeszcze nigdy nigdzie nie byłem. To moja druga wyprawa poza Irlandię.

- Ale teraz, skoro już masz pieniądze, musisz zacząć podróżować! - Fleur zdawała się nie zauważać jego zakłopotania. - Słyszałam, że Irlandia to bardzo piękny kraj... - W jej głosie

słyszeć było ciepło. - Taki zielony... ale na świecie jest wiele pięknych miejsc poza ojczyzną, które warto zobaczyć. A ty nie masz ani żony, ani rodziny, więc możesz podróżować bez przeszkód. A może jednak masz dziewczynę?

Francey wiedział, że ona tylko stara się być dla niego uprzejma, lecz coś w tonie, jakim zadała to pytanie, zdziwiło go.

- Nie, nie mam dziewczyny - odrzekł zastanawiając się, czy tydzień spędzony z Hazel się liczy.

- Jak na razie nie, rzecz jasna. - Fleur uśmiechnęła się do niego. - Może zamówimy? Jeśli naprawdę mi ufasz, to może zaczniemy od *moules*, a potem poprosimy o turбота?

- Brzmi wspaniale. - Francey, który nie miał pojęcia, co to jest, skinął głową z entuzjazmem.

Zamówili jedzenie oraz butelkę chablis.

- Co też Colin... ehm... eksportuje i importuje? - Francey miał nadzieję, że to bezpieczny temat.

- Właściwie pełni funkcję pośrednika. - Fleur zaczęła wyjaśniać, że jej mąż posługuje się dużą siecią agentów na Dalekim Wschodzie, by finalizować interesy w rodzinnym kraju. - Czasem chodzi o transport herbaty, czasem zaś o tekstylia, zabawki albo buty lub ubrania... dosłownie wszystko. Pewnego razu były to nawet dwa jachty. Tamtego roku mieliśmy bardzo dobre święta Bożego Narodzenia z racji prowizji, którą dostał za tę transakcję.

- To musi być szalenie interesujące życie.

Fleur obrzuciła go rozbawionym spojrzeniem, lecz nie wdawała się w szczegóły.

- Miłe. - Odchyliła się do tyłu. - I miło być zaproszoną na kolację.

- Mam nadzieję, że nie skomplikowałem twoich planów?

- Ależ skąd. Tommy jest w szkole od poniedziałku do piątku i kiedy Colina nie ma w domu, włączymy się wraz z nianią po pokojach niczym zbłąkane dusze. Widzę, że się zastanawiasz, po co nam niania, skoro Tommy'ego i tak nie ma w domu? - dodała, choć Franceya zupełnie to nie interesowało. - Chłopiec jest do niej szalenie przywiązany, a ponieważ dostaje wynagrodzenie tak, jak gdyby miała normalne obowiązki, nie przeszkadza jej praca w weekendy.

- Czy ty też miałaś nianię w dzieciństwie?

Francey, którego wyobrażenia o Syjamie i Tajlandii opierały się na musicalu „Król i ja”, często zastanawiał się nad dzieciństwem Fleur. Miała tak doskonałe maniery, że choć nie znała

swego ojca, z pewnością musiała pochodzić z wysokiego rodu. Kiedy jednak rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, które pamiętał ze spaceru po lesie, gdy także chciał się o niej czegoś dowiedzieć, omal nie zapadł się pod ziemię i natychmiast zaczął przeproszać.

- Nie musisz mówić nic, czego sama nie chciałabyś powiedzieć. Przepraszam, że spytałem, to nie moja sprawa.

- Mojej matki nie było stać na zatrudnienie niani - odparła krótko.

- Przepraszam, Fleur - powtórzył. - Wcale nie jestem wścibski... po prostu mnie to interesuje.

Nie zareagowała na to tak, jak według Franceya zareagowałyby większość ludzi - zapewnieniem, że nic się nie stało. Po prostu wzięła z talerzyka bułeczkę.

Aby zaoszczędzić sobie i jej kłopotliwego milczenia, Francey opowiedział o swoim dzieciństwie na Béara, o dziwnym klimacie - czasem równie gorącym, jak śródziemnomorski, czasem zaś tak ostrym i sztormowym, że nikomu nie chce się nosa z domu wystawić. Odetchnął dopiero, gdy kelner przyniósł *moules*, które okazały się zwykłymi małżami w jakiejś jasnej zupie, a wyciąganie pomarańczowego mięsa z muszli przez chwilę zaprzętnęło całą jego uwagę.

Fleur odwzajemniła jego zaufanie i otworzyła się nieco, opowiadając o miejscu, w którym przyszła na świat, lecz skrętnie omijała wszelkie okoliczności. Jednakże Francey miał dar czytania między wierszami i domyślił się, że Fleur nie tylko nie pochodziła z wysokiego rodu, ale wraz z matką zaledwie wegetowały na granicy śmierci głodowej.

- Jak brzmi twoje panieńskie nazwisko? - spytał, gdyż nie chciał o niej myśleć jako o żonie innego mężczyzny.

- De Lys - odparła, marszcząc z rozbawieniem mały nosek.

- Daj spokój, Fleur. - Francey uśmiechnął się w odpowiedzi. - Jak ono brzmiało?

- To było nazwisko mojej matki. I tak byś go nie zapamiętał.

- Daj mi szansę - nalegał.

- Chareonkoopta.

Gardłowe brzmienie okazało się zbyt trudne dla jego języka.

- Niech więc będzie De Lys. - Pogodził się z klęską. - Mów dalej.

Zabrał się do jedzenia, podczas gdy żona Colina odsłaniała mu kolejne scenki ze swego dzieciństwa. Najwyraźniej ojciec Francuz porzucił jej matkę, gdy Fleur była jeszcze bardzo mała. Zostały zmuszone do wyprowadzenia się z wygodnego domu i matka poszła do pracy, by utrzymać je obie; sprzątała domy bogatych ludzi, a kiedy i to stało się niemożliwe, chwytła się

każdego zajęcia. Odkąd Fleur skończyła cztery lata, chodziła od drzwi do drzwi, błagając, by ludzie dali jej jakieś stare łachmany, z których matka mogłaby uszyć ubrania dla nich obu.

Przez większość czasu w Bangkoku mieszkały wraz z matką w małych, jednopokojowych, otwartych z jednej strony chatach na brzegach kanałów, które wpływały do rzeki wpadającej do zatoki.

Fleur mówiła swym łagodnym, melodyjnym głosem, opisując wody kanałów - główną arterię komunikacyjną miasta - i rzekę - centrum burzliwej egzystencji wielu ludzi. Jedni mieszkali na jej brzegach, drudzy znajdowali w niej pożywienie; kupcy handlowali ryżem i orzeszkami, octem i peklowanymi warzywami w małych budkach wychodzących wprost na wodę, a niektórzy, zaopatrzeni w metalowe kosze, starali się wyłowić z odmetów rzeczy zgubione przez innych, często nawet pijaczków, których czasem trzeba było ratować od utonięcia w brązowym nurcie.

- Tajlandczycy uwielbiają wszelkie uroczystości, na których zawsze jest alkohol. - Fleur uśmiechnęła się do Franceya i upiła mały łyk wina. - Obawiam się, że to także jest jeden z tamtejszych sposobów na życie. Moja matka potrafiła destylować alkohol.

Była to najdłuższa przemowa, na jaką pozwoliła sobie dotąd w jego obecności i czuł się oczarowany jej niskim głosem.

- Naucz mnie jakiegoś słowa w twoim języku - poprosił.

W odpowiedzi Fleur odstawiła kieliszek i złożony dłoń, pochyliła lekko głowę.

- *Wai!*

- Czy to oznacza „dzień dobry”?

- Owszem, ekwiwalent. - Patrzyła na niego z przechyloną lekko na bok głową, lecz Francey zupełnie nie potrafił rozszyfrować jej miny. - Powinam cię ostrzec, Francey. Kiedy Tajlandczyk uśmiecha się i mówi „nie”, ma na myśli „tak”. To jeszcze jeden zwyczaj, który cenię. Anglicy są strasznie nudni, nie uważasz? Bardzo mało subtelni.

Francey zdobył się tylko na skinienie głową. Co też ona sugerowała? Szukał gorączkowo odpowiedniej riposty, lecz nie mógł nic wymyślić.

- Postaram się zapamiętać. - Jakże żałował, że tak łatwo potrafiła zbić go z tropu. - Znasz francuski? - spytał, by podtrzymać rozmowę.

- Owszem, a także nieco chińskiego. W Bangkoku mieszka wielu Chińczyków. - Twarz Fleur się rozjaśniła i bratowa skierowała swą uwagę z powrotem na jedzenie.

Uproszona przez Franceya opowiedziała mu trochę o zwyczajach panujących w jej kraju,

zwłaszcza o tych, które mógłby uznać za niezwykle.

- Na przykład - tłumaczyła - kiedy trumna z ciałem zmarłego zostaje przyniesiona do świątyni, krewni nieboszczyka pozostają i pilnują, żeby czarny kot na nią nie wskoczył... bo to przyniosłoby pecha.

Powiedziała mu także, że ich pieniądze nazywają się *baht*, i że Tajlandczycy są niemal uzależnieni od pewnego rodzaju szachów, które nazywają *ma kruk*. Kiedy jednak roztaczała przed nim obraz życia tak różny od tego, które znał, czy nawet o którym czytał, Francey - udając, że jej słucha - zastanawiał się, co też miała na myśli, mówiąc o odwrotnym znaczeniu słów „tak” i „nie”. Był przekonany, że chciała dać mu coś do zrozumienia.

Zastanowił się także nad ulotnością owej pewności siebie, którą zyskał podczas upojnego tygodnia z Hazel. Obecne spotkanie twarzą w twarz z Fleur, o którym wcześniej nawet nie ośmielał się marzyć, wstrząsnęło nim tak bardzo, że znowu poczuł się jak nieporadny i niedojrzały chłopaczek, a nie jak dystyngowany bywalec salonów, za jakiego chciał uchodzić. Kiedy Fleur opowiadała mu, jak rzadko wraz z matką miały wystarczająco dużo pieniędzy na jeden posiłek w ciągu dnia, obserwował światło świec rozjaśniające skórę pod sznurem pereł, tak że przypominała delikatny płatek lilii.

Fleur zdawała się nie zauważać jego wzroku i wolno przesuwając widelcem kawałki makaronu.

- A klimat! - mówiła. - Jest gorący, bardzo, bardzo gorący... Tak gorący, że jedyny chłód przychodzi tuż przed świtem. O tej porze wszyscy idą nad rzekę się kąpać.

Opowiadając to wszystko, Fleur cały czas świadoma była wrażenia, jakie robi na swym towarzyszu, jeśli zaś chodzi o jej opowiadanie, było już tyle razy przećwiczone, że sama prawie w nie uwierzyła. Na początku, zaraz po przyjeździe do Anglii, obawiała się, że ktoś może podważyć jej fałszywą tożsamość lub próbować ją sprawdzić. Teraz jednak była już tak przyzwyczajona do szeroko otwartych oczu słuchaczy i zyskiwania akceptacji, a nawet współczucia każdego nowego znajomego, któremu opowiadała zmyśloną historyjkę o swym dzieciństwie, że owa bajeczka zaczęła ją wręcz nudzić. Była zadowolona, że jeszcze trochę i będzie mogła z tym skończyć na zawsze.

Po błysku w oczach Franceya poznała, że podobnie jak wielu przedtem, także i on łapie się na haczyk i chłonie każde słowo jej opowieści. Pomyślała, że im szybciej zdoła przeprowadzić swój plan i zacząć całkiem nowe życie, tym lepiej.

W Bangkoku uroda i ciało Fleur nie były niczym wyjątkowym, zwłaszcza w Liliowym

Ogrodzie - ekskluzywnym burdelu, w którym wychowała ją matka, i w którym dziewczynka pracowała, odkąd skończyła jedenaście lat. Dopóki nie osiągnęła tego wieku i nie była wystarczająco duża, by rozpocząć pracę, matka pozwalała, by jedna z dziewcząt nauczyła Fleur czytać i pisać, lecz oprócz tych dwóch umiejętności nie zdobyła żadnego wykształcenia. Nawet w tak młodym wieku miała ucho do obcych języków i nauczyła się po trochu angielskiego, francuskiego i chińskiego. Kiedy nadszedł jej czas, by pracować, zawsze była oferowana zagranicznym klientom.

- Przyjazd do Londynu musiał być dla ciebie nie lada zmianą. - Kiedy Francey odsunął nieco talerz, zobaczyła, że prawie nic nie zjadł.

- Chłód nawet zbytnio mi nie przeszkadza. Dobrze przygotowałam się do tutejszych zim. - Fleur także skończyła już jeść i oparła się wygodnie. To przynajmniej było prawdą. - Nie spodziewałam się tylko szarości - kontynuowała. - Rankiem jest tu szaro, szaro w południe i szaro o zmroku. Czasem wydaje mi się, że angielskie niebo zwisa tak blisko ziemi, że nie ma czym oddychać. Przede wszystkim brakuje mi tu kolorów: barw nieba, rzeki, jaskrawych ubiorów noszonych przez innych ludzi. Mam wrażenie, że tutaj wszyscy chowają się w jaskiniach lub starają się być niewidzialni. - Skrzywiła się lekko. - Czy w Irlandii jest podobnie?

- Powinnaś tam pojechać - zaproponował jej Francey. - W pewien sposób jest tak samo... lecz jednocześnie zupełnie inaczej. Ludzie są inni. Podejrzewam, że różnica jest równie wielka, jak między Anglią a twoim domem. Przyjedziesz? To znaczy, oczywiście, z Colinem. No i, rzecz jasna, z Tommym...

Fleur opanowała uśmiech. Przyrodni brat Colina okazał się taki sam jak wszyscy inni mężczyźni: tylko patrzył, jak daleko może się posunąć.

- Opowiedz mi więcej o Colinie.

To także było łatwe do przewidzenia. Teraz będzie usiłował się przekonać, co ona czuje do męża.

- O jego interesach? - spytała niewinnie.

- Taak... o eksporcie i imporcie.

Był tak bezradny, że prawie zrobiło się jej go żal.

Kiedy Fleur opowiadała mu, jak Colin zaczynał interesy, Francey czuł się chory z miłości i frustracji. Był tak zauroczony, że opuściła go wszelka zdolność trzeźwej oceny sytuacji i nie umiał ocenić tego, jak sobie radzi, ani czy bratowa nie uważa go za głupca. Zamiast słuchać jej słów, złapał się na tym, że podziwia sposób, w jaki wargi Fleur je wymawiają i jak jej brwi

pozostają całkowicie nieruchome. Ta piękna suknia na nikim innym na świecie nie leżałaby tak wspaniale, jak na niej.

Obawiając się, że Fleur zauważy jego uwielbienie, starał się zmusić do choćby powierzchownego słuchania jej opowieści, a historia Colina była wielce interesująca, choć oczywiście nie równała się z jej własną. Jego matka była po prostu zwyczajną subretką, o gwałtownym, porywczym charakterze, która biła syna bez litości za najmniejsze przewinienie, a kiedy miała dość ograniczeń, jakie na jej życie sprowadziło macierzyństwo, oddała syna do szkoły z internatem, gdy miał siedem lat, by tam również go dręczono.

Trudno się więc dziwić, że kiedy Colin usłyszał o śmierci matki, która zginęła w wypadku samochodowym, wyniósł się ze znenawidzonej szkoły, zostawiając za sobą całe swe dotychczasowe życie. Miał wtedy siedemnaście lat, odziedziczył ładne mieszkanie w Kensington i sporą sumę pieniędzy. Te ostatnie na razie zostawił w spokoju i zaczął pracować jako młodszy sprzedawca w słynnym sklepie z butami przy Kensington High Street.

Okazało się, że ma smykałkę do sprzedawania i w niedługim czasie przeniósł się ze sklepu z butami do Barkersa, gdzie został asystentem kierownika w dziale bielizny użytkowej. W ciągu roku, do spółki z drugim młodym człowiekiem założyli własny sklepik z używanymi dywanami. Colin nauczył się sporo o wschodnich kobiercach i odbył pierwszą podróż na Daleki Wschód, przywożąc do Londynu dywany, ceramikę, bele jedwabiu i eksperymentalnie cały kontener załadowany wschodnimi drobiazgami. Partnerstwo wygasło, gdy ów drugi młodzieniec poznał amerykańską instruktorkę tenisa i ożenił się z nią, Colin zaś postanowił sam ciągnąć interes; zatrudnił sprzedawcę w średnim wieku, który wcześniej pracował w urzędzie celnym i wiedział wszystko na temat importu wszelakich dóbr do Wielkiej Brytanii z bardziej egzotycznych części świata.

Po jego śmierci Colin sprzedał firmę - która do tej pory rozrosła się w sporą sieć sklepów - i został brokerem. Podróżował po świecie za pieniądze zleceniodawców, nie ryzykując własnych funduszy i zarabiając na prowizjach. Jednak nawet kiedy dostrzegł jakąś znakomitą okazję, sam nie mógł wyciągnąć z tego korzyści.

- I tak właśnie funkcjonuje jego eksport-import. To całe jego życie - zakończyła Fleur z uśmiechem. - Może zamówimy deser?

- Oczywiście; czy tak właśnie się poznaliście? - Jednak Francey zrozumiał, że tym razem nie usłyszy nic więcej. Fleur wzywała już kelnera.

Przeglądał menu, z rozpaczą szukając w głowie odpowiednich słów. Co ma teraz zrobić,

u Boga Ojca? Pasywne poddawanie się biegowi wydarzeń nie leżało w jego naturze; obawiał się wszakże, że jeden nieopatrzny gest czy słowo mogą zniszczyć delikatną nić porozumienia, która między nimi zaistniała.

- Pewnie bardzo tęsknisz za Colinem, kiedy wyjeżdża w interesach - odezwał się, doszedłszy do wniosku, że cisza między nimi trwa zbyt długo.

Fleur podniosła wzrok znad karty dań i znowu zobaczył w jej oczach błysk rozbawienia.

- Dlaczego cały czas mówisz o Colinie? - spytała. - Czy dlatego, że ci się podobam?

Przerażony Francey już miał zaprzeczyć, gdy spojrzawszy jej w oczy zrozumiał, że to nie ma sensu.

- To prawda - przyznał. - Szalenie mi się podobasz. Ale proszę, nie zwracaj na to uwagi, Fleur. Nie zamierzam przysporzyć ani tobie, ani Colinowi żadnych kłopotów.

- Potrafię sama się o siebie troszczyć - odparła, a po chwili dodała: - Podobnie jak twój brat. - Później, gdy serce Franceya zaczęło właśnie wracać do normalnego stanu, zadała mu ostateczny cios: - Jestem pewna, że Tommy bardzo chciałby poznać nowego wujka. Colin wraca do domu w piątek. Jeśli będziesz jeszcze w Londynie, może byś nas odwiedził?

Rozdział ósmy

Na miły Bóg! - Hazel Slye, z walizką u stóp, rękoma pełnymi kwiatów i korespondencji, którą zabrała ze skrzynki na dole, po raz drugi uderzyła ramieniem w drzwi swego mieszkania. Przez ostatnie trzy dni bezustannie padało, więc drewno - jak zwykle w takich okolicznościach - zwilgotniało. Po raz trzeci zamachnęła się i rąbnęła w drzwi barkiem; tym razem z pożądanym efektem. Wszedłszy, jak znarowiony muł kopnęła w drzwi za sobą, żeby je zamknąć, po czym rzuciła kwiaty i pocztę na stolik w kształcie półksiężyca, który stał w małym przedpokoiku. Choć nie było jej zaledwie przez jedenaście dni, mieszkanie, ponure ze względu na pogodę za oknem, pachniało nieprzytulnie i obco.

- Ależ z ciebie pomoc! - mruknęła pod adresem miseczki z potpourri, po czym poszła do sypialni, by zostawić tam walizkę. Wróciwszy do salonu, zwróciła się do kolekcji wypchanych zwierzątek: - Będziecie musieli się wyprowadzić... żaden z was pożytek, a tylko zbieracie kurz! - Później pomaszerowała do kuchni i zaczęła się rozbijać pośród kubków i czajniczków do parzenia herbaty.

Ten dzień nie był najszcześniejszy; znajomy, którego poprosiła o podwiezienie ze Slingo,

nie przyjechał, była więc zmuszona odbyć długą i męczącą podróż pociągiem. Z powodu zbliżających się świąt wydawało się, że wszyscy postanowili gdzieś jechać i Hazel tkwiła w zatłoczonym przedziale przyciśnięta do okna; obok niej siedziała strasznie gruba baba, która najwyraźniej zabrała do Dublina cały swój dobytek, może z wyjątkiem stołka do dojenia krów. Co gorsza, babsko było gadatliwe jak diabli i w dodatku rozpoznało piosenkarkę, co zmusiło Hazel do uprzejmej rozmowy. Nudna, zawsze taka sama gadanina spotęgowała zdenerwowanie i w końcu, by się uwolnić od nudziary, Hazel udała, że zamierza pospać.

Nalała gorącej wody do czajniczka tak szybko, że omal nie sparzyła się w rękę. Tego wieczora miała się spotkać z Franceyem, więc chciała być w domu na czas, by zdążyć wziąć kąpiel i umyć włosy, ale teraz będzie musiała się pośpieszyć.

Kiedy kończyła drugą filiżankę herbaty, była już spokojniejsza. Żaluzje zasłaniające ponury świat za oknem, wazony z kwiatami i ogień wesoło płonący w kominku sprawiły, że mieszkanie wyglądało miło i przytulnie. Z uczuciem przyjemnego oczekiwania Hazel odkręciła kurki, by nalać sobie wody na kąpiel; czekając, aż wanna się napełni, postanowiła stawić czoło koszmarowi poczty.

Pobieżnie przejrzała koperty: większość była urzędowo ostemplowana i najprawdopodobniej zawierała rachunki. Jednak między nimi przewinęło się parę kartek z życzeniami świątecznymi, jeden list ze znaczkiem z Anglii i dwa odręcznie zaadresowane, lecz nie rozpoznała charakteru pisma. Te ostatnie zabrała ze sobą do łazienki i położyła na koszu na bieliznę, by mieć je w zasięgu ręki, kiedy będzie leżeć w kąpielu. Później zdjęła ubranie, dołała do wody trochę olejku i weszła do wanny; przymknęła oczy i pozwoliła sobie na chwilę, rozmarzenia, myśląc o nadchodzącym wieczorze. Usiłowała wyobrazić sobie, co w tej chwili robi Francey - prawdopodobnie katuje brzytwą gęsty zarost...

Hazel sama jeszcze do końca nie wiedziała, co czuje do Franceya Sullivana. Był dla niej za młody, to wiedziała na pewno. Był też jednak strasznie słodki, a tej cechy nie znalazła jeszcze u żadnego mężczyzny i uważała ją za szalenie atrakcyjną; pod wieloma względami przypominał jej jednego ze zwierzaków stojących w salonie - ufnego, nieporadnego i zawsze gotowego do pieszczot. Podczas ich wspólnej odysei seksualnych odkryć bywały momenty, kiedy sądziła, że może się w nim zakochać.

Dzięki Bogu, że zdecydowała się na rozstanie; pogładziła wodę rozczapierzonymi palcami, wywołując małe fale; separacja pomogła jej spojrzeć na wszystko z perspektywy. W rezultacie Hazel czekała teraz na wieczornego gościa zaledwie z lekkim napięciem. Jeśli Francey

nie będzie nią zainteresowany, jeśli zdążył już wypracować sobie jakiś układ z tą swoją syjamską siostrą, to niech i tak będzie. Zaproponuje, by poszli na piwo albo na kolację. Pomyślała, że dobrze jest widzieć jasną stronę każdej sytuacji i jeśli tak się stało, to nie będzie mieć nic przeciwko spędzeniu wieczoru w towarzystwie przystojnego młodego mężczyzny.

Otrząsnęła rękę z wody i sięgnęła po pierwszy z listów, ten z angielskim znaczkiem na kopercie. Był od firmy prawniczej w Birmingham.

- Co takiego?!

Woda chlusnęła na podłogę, kiedy Hazel gwałtownie usiadła w wannie - przeczytała, że jej mąż, mieszkający w Anglii, właśnie się z nią rozwiódł. Pierwszą reakcją był odruch gromkiego śmiechu, lecz chwilę później miała ochotę płakać. Gdyby tego ranka ktoś spytał, jak zareagowałyby na podobne wieści, Hazel odparłaby, że nie interesuje ją, co porabia małżonek, którego nie widziała od bardzo dawna. Od wielu lat nie zaprzętała sobie nim głowy. A jednak, z jakiegoś powodu, brutalna ostateczność wystukanych na maszynie słów, napisanych na grubym, eleganckim papierze, wydawała się wyrokiem skazującym na gilotynę.

Rzuciła list na podłogę i sięgnęła po następny. Pierwszy był od fana, który strasznie chciał mieć jej zdjęcie z autografem. Drugi pochodził od Franceya: nie przyjdzie tego wieczora, lecz wkrótce się z nią skontaktuje.

Dopiero teraz Hazel przekonała się, że jej próba wypracowania obojętnego stosunku do Franceya Sullivana jest diabła warta.

Tego mglistego piątku pora herbaty zastała młodzieńca na schodach ogromnego domu w Kensington, jednego z kilku stojących wzdłuż parku. Przez bardzo długi czas zastanawiał się, czy powinien wziąć ze sobą małe pudełeczko od Weira, lecz doszedł do wniosku, że podarowanie Fleur biżuterii na tym etapie mogłoby się wydać przedwczesne, więc postanowił zadowolić się skromniejszymi prezentami dla gospodyni i jej synka. Kwiaty niósł z większą ostrożnością, niż gdyby miał je ofiarować samej Królowej Matce. W drugiej ręce miał butelkę wina, firmową torebkę od Hamleya i drugą, ze sklepu muzycznego, w której znajdowała się płyta zespołu o nazwie The Beatles. Ponieważ Francey rzadko słuchał radia, a gramofonu nie posiadał, nazwa ta nic mu nie mówiła. Kiedy spytał o zdanie sprzedawcę, dowiedział się, że czwórka młodych chłopaków z pewnością zrobi ogromną karierę, a ich popularność w Anglii rośnie z dnia na dzień.

Wziął głęboki oddech i nacisnął dzwonek przy nazwisku Mannering, jeden z czterech umieszczonych przy ogromnych drzwiach. Był zdziwiony, że to tylko zwyczajne mieszkanie;

ponieważ wiedział, że przyrodniemu bratu nieźle się powodzi, spodziewał się, iż Manneringowie mają cały dom do dyspozycji. Kiedy jednak w odpowiedzi na bezosobowe instrukcje podane zgrzytliwym głosem z głośniczka domofonu pchnął drzwi, zobaczył przestronny, wysoki hol, który z powodzeniem mógłby się znaleźć we dworze, a nie w kamienicy. Był większy i piękniej urządzony niż hol w hotelu.

Podążając za instrukcjami Fleur, wjechał windą na czwarte piętro. Drzwi otworzyły się na kolejny szeroki korytarz. Na jednym końcu były imponujące, masywne marmurowe schody; tu rozwiał się następne wyobrażenie Franceya: nigdy nie przypuszczał, że mieszkanie może zajmować dwa piętra. W ścianach holu znajdowały się nisze, w nich zaś umieszczono nieduże rzeźby albo misy z kolorowymi kwiatami, tak egzotycznymi, że nagle zawstydził się bukietu, który przyniósł: białe róże teraz wydały mu się pospolite. Jednak gdy szukał jakiegoś miejsca, by je wyrzucić, podeszła doń Fleur, ubrana w zwyczajne białe dżinsy i podkoszulek z granatowej bawełny; była boso. Za nią chował się chłopczyk, najprawdopodobniej Tommy: dziecko o ogromnych oczach, lśniących włosach matki i lekko orientalnych rysach.

- Jak się masz, Fleur... - Francey podał jej kwiaty z taką miną, jakby obawiał się, że mogą go ugryźć. - Przepraszam, widzę, że i tak masz ich tu pod dostatkiem.

- Och, Francey! Dziękuję! - Schowała twarz w różach i wdychała ich zapach. - Oczywiście, że nie mamy ich za dużo! W domu nigdy nie może być dość kwiatów! - Odwróciła się do dziecka i posługując się jednocześnie palcami, powiedziała z uśmiechem: - Przywitaj się z wujkiem Franceyem, Tommy.

Chłopiec przyjrzał mu się szeroko otwartymi oczyma i wyciągnął małą, delikatną rączkę.

- Miło mi. - Ujawszy dłoń dziecka, Francey przekonał się, że spokojne, rozumne spojrzenie ciemnych oczu go niepokoi. Wydawało mu się, że mały ocenia go rozumem znacznie starszym niż drobna figurka. - Przyniosłem coś dla ciebie. - Starał się mówić wolno i wyraźnie; potem, jak człowiek wręczający łapówkę, podał Tommy'emu torbę od Hamleya, którą chłopczyk przyjął dopiero wtedy, kiedy matka skinęła głową. Nie zajął do niej od razu, jak zazwyczaj czynią dzieci, a Francey, nadal mówiąc głośniejszym niż normalnie, wyjaśnił: - To helikopter, Tommy. Obracają mu się śmigła i świecą reflektory... baterie są już w środku. A ponieważ wiem, że uwielbiasz różne historie, przyniosłem ci jeszcze to.

Mając w pamięci przechwałki Colina o tym, jak Tommy potrafi wymyślać bajki, w ostatniej chwili pod wpływem impulsu kupił pięknie ilustrowaną książkę z irlandzkimi legendami i baśniami.

- Możesz mówić normalnie. - Fleur pogładziła synka po gęstych włosach. - Tommy potrafi świetnie czytać z ruchu warg. Nie trzeba też było przynosić prezentów, ale bardzo ci dziękujemy, nieprawdaż, kochanie? - Zasygnalizowała coś chłopcu, który w odpowiedzi wydał gardłowy dźwięk.

Francey zrozumiał, że miało to być podziękowanie, więc się uśmiechnął.

- Ależ nie ma o czym mówić. Przyniosłem ci też trochę słodyczy - dodał, wyjmując torebkę karmelków z kieszeni. Chociaż w Irlandii panował zwyczaj, że przychodząc w odwiedziny do rodziców daje się dzieciom pieniądze, nie był pewien, jak Fleur by na to zareagowała, więc pozostawił zwyczajowe pół korony w kieszeni. Tommy znowu wymamrotał coś gardłowo, a matka objęła go mocno.

- Tommy jest bardzo mądry, umie powiedzieć wiele słów. Chodźmy na górę.

Poprowadziła go na piętro, niosąc kwiaty; kiedy Francey szedł za nią po schodach, ledwie mógł się powstrzymać przed patrzeniem na krągłe pośladki ukryte pod obcisłymi spodniami. Zamiast tego zmusił się, by spojrzeć z uśmiechem na chłopca obok siebie, który przeskaکیwał po dwa stopnie naraz.

Schody kończyły się na szerokiej galerii.

- To jest nasz salon. - Otworzywszy kilkoro drzwi, Fleur wprowadziła młodzieńca do pokoju.

- Ojej! - wykrzyknął, zapominając o całym świecie. - Jak tu pięknie!

Pokój, wyłożony orientalnymi dywanami w ciepłych kolorach, pachnący kadzidłem i kwiatami, był znacznie większy, niż się Francey tego spodziewał. Dominowała w nim ogromna choinka, obwieszona białymi ozdobami i mnóstwem maleńkich lampionów. Przez drzwi balkonowe dostrzegł drugie drzewko stojące na zewnątrz. Ciężkie kotary z ozdobnymi chwostami wiszące u okien i drzwi w alkowach po obu stronach kominka miały przytłumiony różowy odcień; meble także przykryte były kobiercami różnej wielkości w odcieniach ochry, indygo i karminu, współgrającymi z kilimami na ścianach i jedwabnymi tapetami. Wypolerowany jak lustro mosiądz lśnił w całym pokoju; błyszcząły nim intrygujące lampy wiszące w trzech z czterech rogów salonu, kraty przed kominkiem - prawdziwym w odróżnieniu od tego w Inveraray, ramki do zdjęć, świeczniki, podstawki na kadzidełka i nóżki szklanych stolików. Wszystkie drewniane elementy mebli były bądź lakierowane, bądź rzeźbione.

- Miło mi, że ci się tu podoba. - Fleur obserwowała jego reakcję. - To bardziej w moim guście niż fantastyczne wnętrza Inveraray. Oczywiście, wielki wpływ miało moje wychowanie...

Może chciałbyś zobaczyć, jaki mamy stąd piękny widok? - Podprowadziła Franceya do drzwi balkonowych. - Kiedy kazaliśmy wycenić to mieszkanie, agent od handlu nieruchomościami nazwał je penthouse'em. - Roześmiała się głośno. - Oczywiście, to wyłącznie prześmieszna amerykańska afektacja, ponieważ zajmujemy tylko czwarte i piąte piętro.

- Chcecie się wyprowadzić? - spytał Francey z przerażeniem.

- Jeszcze nie teraz. - Fleur otworzyła drzwi i we trójkę wyszli na balkon, z którego w innych okolicznościach byłoby pewnie widać cały park. - Colin twierdzi, że nie powinno się siedzieć na takiej żyłce złota. Ale mnie to nie obchodzi. - Wzruszyła ramionami i zmieniła temat. - Szkoda, że jest tak gęsta mgła.

Z balkonu widać było bardzo niewiele. Mimo że tu na górze mgła wydawała się rzadsza, a cienkie kosmyki oplatały gałęzie drzew niczym wata, zostało nią otulone całe miasto.

- To nie był dobry pomysł, by cię tu przyprowadzić. - Fleur zadrżała. - Przykro mi. Powinieneś tu przyjść w lecie.

Kiedy Francey odwrócił się, by zapewnić ją, że wszystko w porządku, także zrobiło mu się zimno, choć nie z powodu temperatury. Mdłe światło z choinki i blade latarnie uliczne pozbawiły twarz Fleur wszelkiego koloru. Jej stonowany ciemny podkoszulek i czarne włosy wzmagaly tylko owo diabelskie wrażenie, a ponieważ Francey odziedziczył po matce przesadną naturę, zaczął się bać, że może to być jakiś omen. zaproponował, by jednak wrócili do środka.

Z powrotem w ciepłym wnętrzu Francey przypomniał sobie, że nadal ma w ręce butelkę wina i płytę Beatlesów. Podał wino Fleur i właśnie chciał dać chłopcu płytę, gdy uświadomił sobie, jak bliski był popełnienia okropnego *faux pas*. Improwizując, podał ją także Fleur, mówiąc, że to dla Colina; miał nadzieję, że nie pomyśli, iż zrobił to, by uciszyć sumienie.

- Zdaje mi się, że w dzisiejszych czasach wszyscy ich słuchają - powiedział. - Robią się szalenie sławni.

Całe to udawanie było nie tylko męczące, ale i niebezpieczne. Uważaj, powiedział do siebie, po prostu odpręż się i ciesz miłą atmosferą.

- Biegnij do niani - zwróciła się Fleur do syna. - Jestem pewna, że twoja kolacja już czeka.

Tommy uśmiechnął się do Franceya i pokazał coś palcami w odpowiedzi.

- Pyta, czy jeszcze nas odwiedzisz i dziękuję ci za prezenty - wyjaśniła jego matka.

Kiedy chłopiec wyszedł, Fleur poprosiła Franceya, by usiadł, i zadzwoniła. Po chwili do

salonu weszła młoda dziewczyna o orientalnych rysach, pchając przed sobą stolik z herbatą i filiżankami. Młodzieniec miał wrażenie, że dziewczyna spojrzała nań z ciekawością, lecz być może tylko jego rozgorączkowana wyobraźnia tak to zinterpretowała; Fleur zdawała się nic nie zauważać.

- Pomyślałam, że będzie nam tu wygodniej niż w jadalni - wyjaśniła. - Co dzień po południu piję herbatę; to jeden z nielicznych angielskich zwyczajów, który mi się podoba.

Służąca rozstawiła już filiżanki, więc Fleur ją odprawiła.

- Bardzo smaczne.

Biorąc do ust małą kanapkę, którą nałożyła mu Fleur, Francey poczuł, że bezosobowe towarzyskie pogawędki są zupełnie nie na miejscu w tak zmysłowym otoczeniu. Nie zależało mu ani na herbacie, ani na rozmowie; ciepło i piżmowy zapach kadzideł tworzyły intymną atmosferę, która bardzo osłabiła opanowanie młodzieńca i każdy nerw jego ciała domagał się, by odsunął stolik z herbatą, rzucił Fleur Mannering na podłogę i kochał się z nią do utraty przytomności. Zamiast tego musiał jeść kanapkę za kanapką, ciasteczka i tort czekoladowy, rozmawiając o hotelu, w którym mieszka, i odpowiadając na uprzejme pytania bratowej o zdrowie jego rodziny w Lahersheen. Od czasu do czasu Fleur pozwalała, by konwersacja cichła i była to jeszcze jedna z niezwykłych cech, jaką w niej zaobserwował: w odróżnieniu od innych ludzi ta kobieta nie przejmowała się ciszą.

- Jeszcze herbaty?

Po jednym z takich przerywników podniosła porcelanowy dzbanek. Francey miał wrażenie, że powinien roześmiać się w głos z absurdalności tej sytuacji, lecz krew zbyt szybko pulsowała mu w skroniach. Fleur prowadziła go krok po kroku przez towarzyski *savoir vivre*, jak gdyby przygotowując na spotkanie z Królową Matką.

- Nie, dziękuję. - Znalazł w sobie odwagę i odstawił filiżankę na spodeczek. - Posłuchaj, Fleur, nie powinno mnie tu być.

- Ależ dlaczego? - Spojrzała na niego pytająco.

- Wydaje mi się, że wiesz, dlaczego.

- Może mógłbyś mi to wytłumaczyć?

- Proszę, nie drocz się ze mną.

- Wcale się nie drocę. - Jej oczy załśniły lekko, zadając kłam słowom. - Chciałabym, żebyś mi wyjaśnił, o co ci chodzi.

Francey wytrzymał jej spojrzenie.

- Nie interesuje mnie herbata ani kanapki, ani to, czy mam ciepłą wodę w hotelu. Interesujesz mnie tylko ty.

Nie odpowiedziała, lecz opuściła wzrok na filiżankę, którą trzymała w ręce. Zdawało się, że rozważa jego oświadczenie. Przynajmniej, pocieszał się Francey, nie zareagowała złością ani zdumieniem. Nic nie mów, upominał się w duchu.

- Wiem, że mówienie czegoś podobnego nie ma sensu - odezwał się w końcu. - Przecież jesteś mężatką. Ale musiałem ci powiedzieć i cieszę się, że to zrobiłem. Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia.

Nie mógł dłużej na nią patrzeć, więc wlepił wzrok w gzyms kominka i zdawało mu się, że przez wieczność obserwuje mosiężne wskazówki stojącego tam zegara. Wyteńczywszy słuch, mógł usłyszeć cichutkie tykanie; przypomniał sobie metalowy budzik stojący w domu w kuchni, jego stanowcze, głośne tykanie i hałas, jaki rozlegał się, gdy młoteczek zaczynał walić w podwójne dzwonki na górze. Jak miło byłoby wrócić do domu, gdzie życie emocjonalne, choć nudne, toczyło się według znanych reguł.

- Ja też cię lubię...

Dopiero po paru chwilach zrozumiał sens tych słów, lecz gdy spojrzał w jej stronę, zobaczył tylko żonę brata, ubraną jakby wybierała się na jacht i zachowującą się tak, jak gdyby podejmowała właśnie jednego z klientów męża.

- Że co, przepraszam? - Ledwie zdołał wykrztusić to pytanie.

- Powiedziałam, że ja też cię lubię.

Dziki podniecenie zburzyło wewnętrzny spokój młodzieńca.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście.

Nadal bał się usiąść obok niej i zrobić to, co podszeptował mu instynkt. Ku zaskoczeniu Franceya, Fleur podjęła decyzję za niego i usiadła mu na kolanach, oplatając jego szyję rękoma.

- Na to masz właśnie ochotę? - Pochyliła się i przycisnęła usta do jego warg, a jej długie włosy opadły mu na twarz.

Boże... Biorąc ją w ramiona, Francey miał ochotę się rozplakać. Wydawała się mniej więcej tego samego wzrostu i wagi co Hazel, lecz na tym podobieństwa się kończyły. Tam, gdzie Hazel była gorąca i miękka, Fleur okazywała się szczupła i wiotka; była tak delikatna i krucha, że Francey starał się ze wszystkich sił zapanować nad namiętnością, by nie zrobić jej krzywdy. Miał niejasne przeczucie, że jeśli straci panowanie nad sobą lub nawet tylko zbyt

gwałtownie odwzajemni pocałunki, Fleur rozpadnie się na kawałki niczym rozbita figurka z porcelany. A poza tym, co będzie jeśli pokojówka lub Tommy wrócą do salonu...

Wydawało się, że ona nie ma podobnych zahamowań. Całowała go pełnymi, chłodnymi wargami, a jej dłonie bawiły się krótkimi włosami na jego karku; było to tak podniecające, że Francey poczuł mrowienie na całej głowie. Krok po kroku pozwolił sobie na odwzajemnienie jej pieszczot - głaskał okrągłe biodra, aż ośmielił się położyć dłoń na jej plecach i przyciągnąć ją mocniej do siebie. Przystosowała się do nowej pozycji, przesuwając lekko całe ciało, tak że małe, jędrne piersi przyciskała do jego klatki piersiowej, a kolano wsunęła mu między uda.

- Na co masz ochotę? - wyszeptała. Francey aż westchnął.

- Że co, przepraszam? - Odchylił się do tyłu i spojrzał pytająco w jej oczy.

- Zapytałam, na co masz ochotę - powtórzyła.

- O co ci chodzi?

- Nie wiesz?

Na wpół podniecony, na wpół zaszokowany, przyglądał się jej w milczeniu. Najpierw Hazel, a teraz Fleur. Zawsze sądził, że to mężczyźni, istoty opętane seksem, muszą pracownie uwodzić kobiety, które wreszcie - niechętnie - poddają się podstawowemu pragnieniu samców.

- A co... co z... - zdołał wreszcie wydobyć z siebie głos.

- Co z Tommym? - spytała poważnie.

- Nie... to znaczy, tak. Nie... chciałem zapytać, co z Colinem?

- A co ma być?

- Przecież jest twoim mężem.

- No i co z tego? - Fleur się uśmiechnęła. - O czym nie wie, to nie może go zranić.

- Chcesz powiedzieć, że... masz ochotę na... - Fleur milczała, zmuszając go do wypowiedzenia tych słów; wreszcie zdobył się na odwagę: - Pójdiesz ze mną do łóżka?

- Oczywiście. Czy nie tego pragniesz? Chciałabym sprawić ci przyjemność. Właśnie po to cię tu zaprosiłam.

To spokojne stwierdzenie faktu, bardzo rzeczowe i konkretne, było tak szalenie podniecające, że młodzieniec miał wrażenie, iż całe jego ciało pulsuje. Nieomal mógł ją objąć w talii złączonymi dłońmi.

- Nie wiem, na co mam ochotę - szepnęła. - Zdaje mi się, że na wszystko.

- Zdaje ci się? Czyżbyś był jeszcze niewinny? - Usta drgnęły jej lekko.

- Nie. - Dzięki Bogu przynajmniej za to...

Francey wiedział, że biorąc pod uwagę okoliczności bluźni, lecz zupełnie się tym nie przejmował. Ponieważ cała jego powściągliwość stopniała w rekordowym tempie, zaczął ją namiętnie całować, lecz zaraz przestał.

- Przepraszam.

- Tak często przepraszasz. Czy tego właśnie uczą dzieci w twoim kraju? Chodź! - Fleur ześlizgnęła się z jego kolan.

Tego było już dlań za wiele.

- Chodź?! Dokąd? - Chyba nie proponowała mu wyprawy do małżeńskiego łóża?

Fleur zerknęła nań z jawnym rozbawieniem.

- A czy to ma jakieś znaczenie? Tak się składa, że mam tu mój własny buduar, w którym nikt nam nie przeszkodzi. - Ujęła go za rękę i pociągnęła lekko.

- Chcesz powiedzieć, teraz, zaraz?! - Choć głos mu drżał, Francey posłuchał jej i podniósł się z kanapy.

- Czyżbyś miał inne plany na dzisiejszy wieczór?

Zaskoczony i oczarowany, pozwolił się poprowadzić w stronę drzwi obok kominka.

- Przez te drugie wchodzi się do gabinetu Colina - wyjaśniła Fleur, jak gdyby była przewodnikiem oprowadzającym wycieczkę.

Buduar nie miał okien, a sufit i obite jedwabiem ściany były tu równie kolorowe - lecz harmonijne - co ogon pawia. Pod jedną ścianą stała kanapka, przykryta jedwabiami, satyną i koronką; pod drugą - wysoka drewniana komoda. Umeblowania dopełniały szafa i mały stolik, a przede wszystkim ogromne łóże z baldachimem, które zdominowało cały pokój. Francey stanął jak wmurowany w ziemię. Fleur zauważyła jego szok.

- Przychodzę tu, kiedy chcę być sama - wyjaśniła. - Czasem, aby rozmyślać lub medytować... czasem, by spać. Wszyscy w domu wiedzą, że nie wolno tu wchodzić, włącznie z Tommym i służbą.

- Colin także tu nie wchodzi? - Francey znowu poczuł się wytrącony z równowagi; to małżeństwo wydawało się wyjątkowo dziwaczne.

- Ja nie wchodzę do jego gabinetu - odparła, rozluźniając mu krawat. - A teraz przestańmy już mówić o mnie. Nadal mi nie powiedziałeś, na co masz ochotę...

Następną godzinę życia Franceya wypełniły rewelacje. Wydawało mu się, że osiągnął szczyt swych możliwości seksualnych z Hazel, jednak pieszczoty Fleur sprawiały mu tak silną

zmysłową rozkosz, że miał wrażenie, iż zaraz skona. Poza tym wydawało mu się, że w odróżnieniu od Hazel, ta kobieta właściwie nie odczuwa żadnych potrzeb seksualnych. Za każdym razem, gdy znajdował się już na granicy orgazmu, zmuszała go do wycofania się, tak że całe jego ciało ogarniała fala rozkoszy, a każda następna chwila niosła go dalej w czarowny świat. Zapomniał o Colinie, Tommym, o Hazel i George'u, o rodzinie i pieniądzach, a nawet o samej Fleur, której dłonie, wargi, włosy, płaski brzuch, wilgotność, jędrność i gładka, sprężysta skóra stopiły się w ciąg przyjemności, aż na koniec zatracił nawet poczucie własnego ciała. Zamiast być zbieraniną przerośniętych kości, mięśni i nerwów, czuł, że stało się ono czystym jednorodnym ciągiem ekstazy, twardym i lśniącem niczym świeża stal. Kiedy wreszcie pozwoliła mu na osiągnięcie kresu, rozkosz przeszła go niczym cudowny rapier.

Później, oszołomiony ulgą i szczęściem, leżał w skłębionej pościeli, dysząc ciężko, przeziębiony potem. Wprawdzie czuł, że powinien zrobić coś więcej, niż tylko tak leżeć bezsilnie, w tej chwili jednak nie był w stanie myśleć racjonalnie ani mówić. Hazel zawsze mu pomagała jakimś drobnym żartem. Odwrócenie głowy zajęło całą wieczność. Kiedy już tego dokonał, zobaczył, że Fleur leży podparta na łokciu i przygląda mu się z uwagą.

- Jesteś szczęśliwy, Francey? - Na jej ustach zagościł spokojny, tajemniczy uśmiech Mony Lisy.

- Szczęśliwy? To słowo nie oddaje wszystkiego, co czuję. - Z trudem skupił na niej wzrok. - Nigdy wcześniej nie czułem się równie wspaniale.

Sięgnął ku niej, lecz ześlizgnęła się z łóżka.

- Zdaje się, że mi pochlebiasz.

Podeszła do szafy, a gdy ją otworzyła, znajdujące się w środku lustro zalało światło, odsłaniając nie tylko rząd wieszaków, lecz także ukrytą umywalkę. Zmoczyła ręcznik, wycisnęła go i wróciwszy do łóżka, przetarła twarz i szyję Franceya.

- Dobry chłopiec - zamruczała. - Jesteś bardzo dobrym, grzecznym chłopcem, prawda?

- Och, Fleur! - Próbował schwycić ją za rękę, lecz znowu mu umknęła.

- Ale bądź nim dalej.

- Kocham cię! - powiedział namiętnie; wszelkie wcześniejsze nakazy i upomnienia gdzieś się rozwiały. - Kocham cię - powtórzył. - Kocham...

- Oczywiście, że tak. - Fleur uśmiechnęła się łagodnie. - A teraz musisz się ubrać. Jeśli chcesz się umyć, to tam są ręczniki i mydło.

Znowu podeszła do szafy i wskazała na przedmioty leżące obok umywalki. Zdjęła z wieszaka kolorowe kimono, włożyła je i zawiązała w pasie.

- Czy mam zadzwonić po herbatę? - Nie czekając na odpowiedź, wyszła do salonu.

Biorąc pod uwagę pełną namietności deklarację Franceya, owa propozycja była niczym uderzenie w twarz. A jednak nawet to nie do końca do niego dotarło z powodu niewypowiedzianego zmęczenia w całym ciele.

Ale co ona czuła? Francey uczynił niesłychany wysiłek i zmusił się do myślenia; wreszcie zrozumiał, że Fleur przez cały czas myślami przebywała gdzie indziej, nie przy nim, jak gdyby była tylko zabawką stworzoną do dawania przyjemności.

Wstał z łóżka i zdrętwiałymi dłońmi umył się pośpiesznie; usiłował pocieszyć się w jedyny dostępny mu sposób: do tej pory miał wszak tylko jedną kochankę, więc nie uważał się za uprawnionego do analizowania czy też roztrząsania gustów i podniet Fleur. Pomyślał, że być może podejście kobiet do seksu jest równie zróżnicowane jak ich charaktery - i być może na swój własny sposób Fleur także świetnie się bawiła. Miał nadzieję, że nie popsuł wszystkiego, nieostrożnie wyrywając się z wyznaniem miłości. Była taka opanowana, że może nie zechceć kochać się ponownie z nieokrzesanym tępakiem.

Pozbierał porzucane po pokoju ubranie i kiedy zaczął wsuwać zeszywniałe nogi w spodnie, usłyszał w sąsiednim pomieszczeniu łagodny głos Fleur, wydającej polecenia - najprawdopodobniej pokojówce. Znowu opadły go wątpliwości: co o tym wszystkim sądzić? Czy nic jej nie obchodzi, co pomyśli sobie służąca? Podeszedł do drzwi i upewniwszy się, że jest dobrze zasłonięty, wyjrzał. Ku swej ogromnej uldze zobaczył, że Fleur została sama, lecz rozmawia przez telefon.

Kiedy podeszedł do niej, był już spokojny, gdyż zdołał przekonać sam siebie, że nie zrobił nic, czego powinien się wstydzić. W końcu to ona podjęła inicjatywę. Zmusił się nawet do uśmiechu.

- Nie bardzo wiem, co powiedzieć... - zaczął.

- W takim razie nie mów nic. - Wstała ze swego miejsca i poszła z powrotem w stronę buduaru. - Kazałam przynieść herbatę za jakieś dziesięć minut. Ja też muszę się ubrać, lecz to nie potrwa długo.

- Dobrze. - W obliczu jej opanowania Francey poczuł, że jego własny spokój znika i tylko resztką woli zachował uśmiech na twarzy. - Pośpiesz się, bo znowu konam z głodu.

Do czasu kiedy pokojówka przyniosła herbatę wraz ze świeżymi kanapkami i ciastem, Francey poczuł się spokojny i tak szczęśliwy, że nawet uśmiechnął się do niej, jak gdyby miał prawo tu przebywać i robić, co mu się żywnie podoba. Dziewczyna nie odwzajemniła jego uśmiechu, lecz tylko skinęła głową.

Kiedy Fleur ponownie weszła do pokoju, Francey przekonał się, że jego wcześniejsze spostrzeżenie, iż jest głodny, było prawdziwe. Jej chwilowa nieobecność dodała mu też odwagi.

- Fleur? - spytał między jednym kęsem czekoladowego ciastka a drugim. - Czy mogę zadać ci pytanie?

- Oczywiście. - Odcięła róg kanapki i bawiła się nim przez chwilę.

- Co teraz będzie?

- Pytasz, czy jeszcze się kiedyś spotkamy?

- Tak, właśnie o to mi chodziło. - Czuł, że po tym, co razem robili, nic nie ryzykuje, będąc szczerym. - Nie zniósłbym, gdybym miał cię teraz utracić.

- Myślę, że powinniśmy zostawić to przeznaczeniu - powiedziała. - Nie możesz mnie ani zyskać, ani utracić. Ja nie funkcjonuję na takich zasadach. W Tajlandii istnieje przysłowie, podobno pochodzące od samego Buddy: „Nie możemy być odporni na ból, jeśli mamy coś, co żał by nam było utracić”. Myślę, że jest bardzo słuszne, nie sądzisz? Staram się układać własne życie, pamiętając o tej prawdzie. A teraz bardzo proszę, weź jeszcze jeden kawałek ciasta.

Jak zwykle, Fleur była już myślami bardzo daleko. Tego wieczora miała się spotkać na kolacji z jednym z klientów Colina, bardzo, bardzo bogatym biznesmenem i już zaczęła się namyślać nad praktycznym zorganizowaniem całej eskapady. Zamierzał przysłać po nią samochód, lecz zastanawiała się, czy nie powinna go odesłać i zamówić sobie taksówki. Fleur zawsze była szalenie pruderyjna.

Wkrótce po przyjeździe obojga do Anglii interes Colina rozrósł się na taką skalę, że zaczęli chodzić na przyjęcia wydawane nie tylko przez biznesmenów, lecz także drobniejszą arystokrację. Pewnego dnia, jakieś osiem lat temu, kiedy Colin przebywał za granicą, do kuchni, w której Fleur właśnie wydawała polecenia służbie, weszła pokojówka z ogromnym bukietem czerwonych róż dostarczonych prosto z kwaciarni przez posłańca. Pochodziły od człowieka, w którego posiadłości byli oboje na przyjęciu w poprzedni weekend. Na karteczce przy kwiatach była prośba, by Fleur zadzwoniła pod wskazany numer. Zabrała róże na górę i przyglądała im się przez bardzo długi czas. Później, upewniwszy się, że Tommy jest zajęty zabawą, podeszła do telefonu i wykręciła podany numer. Mężczyzna, który był żonaty, „akurat przebywał w

mieście" i zastanawiał się, czy - całkiem przypadkiem - Fleur także nie ma wolnego wieczora. Wywiązała się rozmowa pełna niedopowiedzeń i sugestii, która później powtarzała się między nimi wiele razy.

Fleur nawet podobały się owe wstępne gry: dawały jej poczucie władzy i panowania nad sytuacją. Czasem, gdy nie miała nastroju, nie zawracała sobie głowy niuansami i od razu przechodziła do rzeczy; podobały się jej zszokowane reakcje i zażenowanie, które następowało zawsze, gdy odkryła karty. Najważniejsze według Fleur było to, aby mężczyzna cały czas pozostawał w niepewności, by próbował zgadywać i oczekiwał.

W pewnych kręgach jej imię powtarzano sobie z ust do ust i od tej pory była zapraszana wraz z mężem na przyjęcia i weekendy do posiadłości znajdujących się znacznie poza zasięgiem jego interesów. Po owych wizytach, podczas których Colin zawsze chwalił się czekającymi go podróżami za granicę, na progu mieszkania zjawiali się gońcy z kwiatami lub szampanem.

Jeśli Colin podejrzewał, że są tak popularni w towarzystwie z innych powodów niż jego własny urok osobisty oraz talent do interesów - i jeżeli nawet zastanawiał się, czemu owe zaproszenia ciągle się pojawiają, mimo że oni sami nie wydawali przyjęć - nic na ten temat nie mówił. Z początku Fleur pilnie obserwowała męża, a nawet rzucała drobne aluzje, lecz nie zareagował na żadną z nich. Zamiast tego pogrążył się w pracy i Fleur, która z biegiem czasu stawała się coraz pewniejsza siebie, doszła do wniosku, że nawet jeśli mąż coś podejrzewa, to po prostu nie chce o niczym wiedzieć. Od początku ich małżeństwa było dla niej oczywiste, że Colin zrobiłby bardzo wiele, aby tylko uniknąć konfrontacji: załamywał się niczym domek z kart na pierwszy sygnał kłótni czy choćby dezaprobaty. Poza tym na swój własny sposób ją uwielbiał, tego Fleur była pewna.

Z całą pewnością też nie chciał jej stracić. Ich pożycie seksualne było jednym z głównych powodów: potrafiła zniewolić Colina, a poznawszy jego upodobania, robiła to często i dosłownie. Z biegiem czasu rzecz przeniosła się na ich stosunki także poza małżeńską sypialnię, dopóki nie doszło do tego, że aby postawić na swoim, wystarczyło tylko, by Fleur zmarszczyła brwi lub dała mężowi do zrozumienia, że jest niezadowolona, czy też nawet, że rozważa odejście od niego. Tak więc nie miała żadnego problemu z wynegocjowaniem dla siebie owego intymnego buduaru. Colin chętnie spełnił czarującą prośbę żony, by mogła mieć swoje własne miejsce, w którym zamierzała robić to, co robią wszystkie dziewczynki, kiedy są same.

Transakcje dokonywane przez Fleur zawsze charakteryzowały się dyskrecją i choć cza-

sem odbywały się w buduarze, najczęściej odwiedzała swych hojnych klientów w wynajętych mieszkaniach lub pokojach hotelowych. Ponieważ płacono jej tylko podarunkami, nigdy nie śniłoby się jej myśleć o sobie jako o prostytutce.

Zerknęła na siedzącego naprzeciw niej ogromnego blondyna. Wyglądał na zadowolonego z siebie, lecz jednocześnie szalenie bezbronny. Gdy tylko owa myśl zamajaczyła w jej głowie, Fleur odsunęła ją; nigdy nie łamała narzuconych sobie reguł. Żadnego zaangażowania. Żadnych uczuć.

Francey zauważył, że Fleur mu się przygląda: zastanawiał się nad tym, co mówiła o swoim sposobie obrony przed smutkiem. Ponieważ nadal czuł rozkosz pulsującą w żyłach, nie chciał przyjąć jej słów do siebie.

- A co z Tommym? - spytał. - Z pewnością rozpaczalibyś, gdyby stało mu się coś złego.

- Gdy chodzi o Tommy'ego, nie mają zastosowania żadne zasady ani przysłowia. Dla niego gotowa byłabym zabić. - Oczy Fleur pociemniały, lecz już po chwili twarz jej się rozjaśniła. - Przepraszam, po prostu dotknąłeś czulego punktu. Miałam na myśli przyjemności, fizyczne rozkosze, pieniądze, piękne przedmioty... - machnęła ręką wokół pokoju - wszystko, co tu widzisz. Przywiązywanie się do tego jest błędem.

- A Colin? Jesteś do niego przywiązana? - Francey bacznie obserwował jej twarz, lecz nie dostrzegł jakiegokolwiek zmiany.

- Oczywiście, że jestem do niego przywiązana - odrzekła. - Przecież to mój mąż. Ale podobnie jak my wszyscy także i on jest śmiertelny. Może nalać ci jeszcze herbaty?

- Jasne. - Wyciągnął do niej filiżankę, lecz dalej nalegał: - Założę się jednak, że gdybyś miała jutro to wszystko stracić, brakowałoby ci tego wszystkiego.

- Owszem, ale nie byłaby to tragedia. Zaczęłam od zera i mogłabym to zrobić jeszcze raz. Jestem szalenie energiczną kobietą.

- Opowiedz mi o tym, jak zaczynałaś - poprosił Francey. - Na przykład, jak poznałaś Colina.

- Przykro mi, ale innym razem. A teraz może porozmawiamy o tym, jak zamierzasz odzyskać brata?

I zajęli się planowaniem kampanii, w której pomoc miała nie tylko policja i organizacje dobroczynne, lecz także Armia Zbawienia oraz wiele irlandzkich stowarzyszeń i ich współpracownicy w Londynie. Francey znowu miał ochotę na seks, więc skierował wyobraźnię gdzie indziej, aby powstrzymać fizyczne i emocjonalne podniecenie. Pomogła mu myśl o organiza-

cyjach charytatywnych: wyobraził sobie odziane w łachmany wraki ludzkie przesiadujące z butelkami taniego wina na ulicach Dublina oraz nieszczęśliwą żebraczkę, która wciskała tandetne święte obrazki i tanie różańce w ręce każdemu, kto stanął na schodkach katedry przy Marlborough Street. Do czasu aż ustalili, co i kiedy należy zrobić, Francey już prawie nad sobą panował.

Aby jeszcze bardziej powściągnąć swe pożądanie, znowu wspomniął o Colinie.

- Pewnie nieźle mu się powodzi? - Rozejrzył się po luksusowo urządzonego pokoju.

- Wystarczająco dobrze. - Fleur jakby się zawahała. Wydawało mu się, że chce coś powiedzieć, lecz się rozmyśliła. - Wystarczająco dobrze - powtórzyła.

Francey nie nalegał i zamilkł; ona także się nie odezwała i pozwoliła, by cisza, którą tak lubiła, otuliła ich oboje. Dokończyli posiłek w milczeniu.

Pomimo jej życzenia, by zostawić wszystko w rękach losu, Francey obawiał się pożegnać, nie czyniąc żadnych planów na przyszłość.

- Więc mam już sobie iść, tak? - odezwał się, mając nadzieję, że go zatrzyma. Kiedy tego nie zrobiła, wstał, pomógł jej się podnieść i pocałował ją w rękę. - Wiem, że zostawiamy nasze następne spotkanie przeznaczeniu - powiedział cicho - lecz czy mogę przynajmniej do ciebie zadzwonić?

W jego ogromnej ręce dłoń Fleur wydawała się delikatna i krucha niczym nóżka małego ptaszka.

- Oczywiście, że możesz. - Uśmiechnęła się i cofnęła rękę; ruszyła do drzwi, więc nie miał innego wyjścia, jak tylko podążyć za nią.

Odprowadziła go do windy i nacisnęła guzik, lecz nie czekała, aż drzwi się otworzą. Po życzliwym, lecz krótkim pożegnaniu weszła na schody, nie oglądając się na Franceya.

Tak więc w trzy godziny po przyjeździe do mieszkania Colina Francey ponownie znalazł się na wilgotnej, zimnej ulicy. Chłodne zachowanie Fleur zupełnie go nie zniechęciło, wręcz przeciwnie, teraz twardo postanowił sobie, że sprawi, aby poczuła do niego to samo, co on do niej, bez względu na to, jak wiele czasu będzie potrzebował. Moralność takiego postępowania pozostawiała wiele do życzenia, lecz byli w Anglii, a tu wszystko okazało się inne. Wydawało się, że cudzołóstwo zupełnie Fleur nie przeszkadza, jej mąż zaś mógł sam się obronić.

Francey zdał sobie sprawę, że czuje się tak, jak gdyby uczestniczył wraz z nią w pewnego rodzaju konkursie. Jeszcze nie do końca rozumiał jego reguły, lecz z czasem...

Spojrzał w górę na oświetlony balkon i światełka mrugające przez mgłę na choince.

- Jeszcze mnie nie znasz, kochanie - mruknął pod nosem. - Ale poznasz. Dzisiaj był dopiero początek. Zaczekaj, a sama się przekonasz. Potrafię być równie cierpliwy, jak ty.

Wróciwszy do hotelu, wziął długi gorący prysznic i położył się do łóżka. Było mu ciepło i błogo i właśnie zapadał w przyjemny sen, kiedy sobie przypomniał, że dziś zamierzał spotkać się ponownie z Hazel. Miał nadzieję, że dostała jego list. Powodowany impulsem, podniósł słuchawkę i poprosił panienkę z recepcji, by połączyła go z jej numerem. Przez długi czas słyszał tylko sygnał i już miał się rozłączyć, gdy usłyszał drżące i niewyraźne:

- Halo?

- Cześć, Hazel. - Był nieco zbity z tropu. - Przepraszam, chyba cię nie obudziłem?

- Kto mówi? - zapytała niewyraźnie, przeciągając słowa; dopiero po chwili Francey z przerażeniem zrozumiał, że nie jest senna, tylko pijana.

- Francey. - Jakże teraz żałował, że w ogóle do niej zadzwonił. - Dostałaś mój list?

Nastąpiła tak długa cisza, że pomyślał, iż może Hazel nie zrozumiała, o co mu chodzi.

- Otrzymałaś mój list, Hazel? - powtórzył nieco głośniejszym głosem. - Napisałem do ciebie...

- Dostałam twój cholerny niby to uprzejmy pieprzony liścik!

- Jak się masz? - Wstrząśnięty jej wściekłością, Francey nie potrafił wymyślić nic innego.

- Doskonale. Wspaniale. Nigdy nie było lepiej. - Po tej paskudnie sarkastycznej uwadze zaczęła kasłać, po czym głośno zaciągnęła się papierosem.

Francey zaczekał, aż opanuje kaszel, a potem poprosił, by wzięła papier i ołówek.

- Chciałbym ci podać numer mojego telefonu tutaj - powiedział.

Musiał przeczekać całą kakofonię dźwięków: Hazel rzuciła słuchawkę na blat i zaczęła coś drzeć, najprawdopodobniej papier, aż wreszcie znowu się odezwała:

- Strzelaj!

Podyktował jej numer telefonu i powtórzył dwa razy, by się upewnić, czy na pewno dobrze zapisała.

- Zadzwonź do mnie rano, dobrze? - poprosił.

- Która jest godzina? - Wściekłość, jeśli faktycznie gościła w jej sercu, trochę już osłabła. Kiedy przyjaciółka dowiedziała się, że jest dopiero parę minut po dziesiątej, mruknęła: - Miło, że zadzwoniłeś. Dziękuję.

Rozłączyła się, a Francey jeszcze długo wpatrywał się w słuchawkę.

- Skończył pan, proszę pana? - Długi sygnał przerwała panienska z hotelowej centralki, najwyraźniej przysłuchująca się całej rozmowie.

- Tak, dziękuję - powiedział.

Odwrócił się na bok i zagrzebał w czyste, gładkie koce i prześcieradła; wiedział, że dalsze rozmyślanie lub przejmowanie się złym humorem Hazel wytrąciłoby go tylko z przyjemnych marzeń. Zamiast na to pozwolić, obiecał sobie, że zadzwoni do niej jeszcze raz z samego rana i wkrótce zasnął.

Kiedy następnego ranka obudził go przeraźliwy dzwonek telefonu, pokój zalany był jaśniejącym światłem słonecznym. Ponieważ młodzieniec miał błogi sen, który rozgrywał się gdzieś w okolicach Lahersheen, dzwonek przeciął ów miły stan niczym nóż i Francey aż podskoczył, waląc głową w półkę nad łóżkiem.

- Au! - Potarł bolące miejsce i podniósł słuchawkę. - Halo?

- Przepraszam, Francey, naprawdę strasznie mi przykro. Kiedy wczoraj do mnie zadzwoniłaś, byłam zalana. - Hazel mówiła dziwnie nosowym głosem. - Niewiele pamiętam, ale wiem na pewno, że byłam dla ciebie cholernie nieprzyjemna. Przepraszam.

- Nic się nie stało. - Usiadł na łóżku i zsunął stopy na podłogę. - Odezwałem się nie w porę. Po prostu chciałem dać znak życia i upewnić się, że dostałaś mój list... że nie czekasz na mnie, czy coś w tym stylu.

- Ależ skąd! - paplała stanowczo za szybko. - Prawdę mówiąc, całkowicie zapomniałam o naszym spotkaniu. Przyszło do mnie kilku znajomych i wypiliśmy trochę za dużo... Teraz za to płacę, możesz mi wierzyć! Brzuch mnie boli i mam potwornego kaca!

Francey uśmiechnął się do słuchawki.

- Potrzeba ci dużego śniadania z jajkami na bekonie.

- Na miłość boską, nie mów mi o jedzeniu. A jak tobie się układa? - Hazel zawahała się, po czym dodała: - Znalazłeś brata?

- Jeszcze nie, ale cały czas nad tym pracuję. - Tym razem to on się zawahał: choć jak na razie powiedział szczerą prawdę, wiedział, że nic nie wspominając o Fleur i jej udziale w nadchodzących poszukiwaniach, nie jest do końca szczerzy. Lecz ponieważ zaledwie wczoraj się kochali, nie potrafił o niej spokojnie rozmawiać, nawet z Hazel. - Dam ci znać, jeśli sytuacja jakoś się rozwinie - dokończył.

- Masz jego zdjęcie czy coś w tym rodzaju? Mam w Londynie kilku znajomych.

- Nie, ostatnia fotografia Dessiego, jaką znaleźliśmy, pochodzi z czasów, gdy był jeszcze mały.

- Jak sądzisz, kiedy wrócisz do domu? - Głos Hazel był już prawie tak rześki, jak zazwy-

czaj.

- Jeszcze nie wiem. Prawdę mówiąc, Hazel, wszystko tu jest dla mnie tak nowe, że sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Wiesz co, choć to dziwne, zawsze uważałem, że wspaniale byłoby mieć pieniądze i być bogatym, lecz teraz odnoszę wrażenie, że to tak naprawdę nic nie zmienia.

- Daj spokój! Wielu z nas chciałoby mieć tylko szczęścia co ty, Franceyu Sullivanie!

- Ależ ja mówię poważnie - obstawał przy swoim.

- Taak? No to żal mi ciebie, mój panie! Jeśli nie chcesz tej forsy, to przepisz ją na mnie, a już ja ci pokażę, jak wygląda wystawne i bogate życie.

- Być może tak zrobię. - Młodzieniec znowu wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Nie mogę się doczekać, kiedy znowu cię zobaczę, Hazel. Jak już powiedziałem, nie wiem, jak długo tu zabawię, lecz będę dzwonić, dobrze?

- Doskonale. - Podobnie jak poprzedniego wieczora przyjaciółka zaszeleściła jakimiś papierami. - Jak widzę, ten dzień mam wypełniony po brzegi. Niedługo zaczynają się próby przed świątecznymi występami, więc będę mieć roboty po uszy. Czasem jednak wpadam do mieszkania. Może kiedyś uda ci się mnie złapać.

Kiedy się pożegnali, Francey zaczął się zastanawiać nad subtelnościami ludzkiego zachowania: pomyślał, że słuchając jego rozmowy z Hazel, nikt by nie przypuszczał, że nie tak dawno temu przez cały tydzień zabawiali się w łóżku. Miał wielkie szczęście, że była kobietą nowoczesną. Z krótkiej wymiany męskich informacji na ten temat, przy której asystował, wiedział, że kobiety mają dziwne podejście do seksu: posługiwały się nim, żeby złapać cię na haczyk. Hazel jednak traktowała te sprawy całkiem normalnie; może dlatego, że była od niego o wiele starsza.

Tak czy inaczej, pomyślał, wspaniale jest mieć kogoś, z kim można porozmawiać; jeszcze nigdy w życiu nie miał tak wspaniałego kumpla. Pogwizdując pod nosem, zrzucił piżamę i wlaź pod prysznic, zastanawiając się, ile czasu powinno upłynąć, zanim ponownie zadzwoni do mieszkania przy Kensington.

Wiedział, że prędzej zobaczy się z Hazel niż z Fleur.

Przez cały dzień spacerował po Londynie, wspominając fantastyczne przeżycia minionego popołudnia. Nigdy w życiu nie był szczęśliwszy czy bardziej podniecony niż wtedy, gdy przekonał się, że może wydać dowolną sumę na taksówki, żeby obejrzeć miasto. Kupił kosztowne upominki gwiazdkowe dla wszystkich w Lahersheen, u jubilera zaś miał ochotę nabyć

przepiękny, wysadzany diamentami zegarek dla Fleur, lecz zdrowy rozsądek powstrzymał go w ostatniej chwili. Nie wiedział, jak przyjęłaby ów prezent: mogło być jeszcze za wcześnie na ofiarowanie jej czegoś równie ekstrawaganckiego, nie zamierzał też wzbudzać podejrzeń Colina. Udało mu się również znaleźć garnitur, który na niego pasował.

Właśnie w sklepie jubilera zauważył coś niezwykłego: dwie sprzedawczynie za ladą bez żenady okazywały mu zainteresowanie, a dziewczyna, która go obsługiwała... można by powiedzieć, że wręcz z nim flirtuje. Gdyby nie to, że miał na sobie ten sam garnitur, który nosił, zanim dowiedział się o spadku, złożyłby wszystko na karb ubrania, myśląc, że strój na pierwszy rzut oka mówi o jego zamożności. A może to zasługa miejsca? Może tutejsze sprzedawczynie nauczono właśnie tak traktować każdego klienta, żeby skłonić go do wydania pieniędzy? Bez względu na powód owego zachowania, Francey przekonał się, że bardzo mu się ono podoba; nie czuł już ani nieśmiałości, ani zażenowania. Wyprostował się bardziej niż zwykle i zaczął się częściej uśmiechać.

Kiedy czekał, aż jedna dziewcząt zapakuje jego zakupy, wrócił myślami do koszmarnych potańcówek w Dublinie - czy to naprawdę było zaledwie kilka miesięcy temu? - i pełnych politowania lub kpin spojrzeń, którymi go obdarzano, kiedy usiłował zachowywać się z galanterią w stosunku do kobiet. Na pewno to doświadczenie z Fleur tak go odmieniło, pomyślał, i obdarzywszy dziewczęta promiennym uśmiechem, wyszedł ze sklepu; jeszcze długo potem wracał myślami do ich admiracji i uśmiechał się na to wspomnienie.

Znalazłszy się z powrotem na ulicy, poczuł, że znowu jest głodny, lecz zamiast iść na posiłek do pubu, postanowił zjeść coś w jakiejś hotelowej restauracji. W pierwszym hotelu, do którego wstąpił, ku swemu zaskoczeniu znowu został potraktowany jako przedstawiciel innego, lepszego gatunku, gdy tylko zapytał o salę restauracyjną. Recepcjonistka, która miała długie, czerwone paznokcie - zupełnie takie same jak Hazel - omal nie oślepiła go uśmiechem, wskazując drogę, gdy zaś Francey odwrócił się, by zerknąć na nią po raz ostatni, zobaczył, że wraz z koleżanką spoglądają za nim z niewątpliwym zainteresowaniem.

Ku jego rozczarowaniu obsługa w restauracji składała się wyłącznie z mężczyzn, więc nie miał okazji, by przetestować swą nowo odkrytą atrakcyjność. Przyglądając się sobie najobiektywniej, jak tylko potrafił, doszedł do wniosku, że ów fenomen może mieć dwie przyczyny: albo wyglądał lepiej, gdyż już wiedział, jak to jest być w łóżku z kobietą, albo też postrzegał kobiety w inny sposób. Może zawsze tak patrzają na mężczyzn, a on był dotąd zbyt nieśmiały, by to zauważyć? Jadł, jak gdyby od trzech tygodni nic nie miał w ustach, i dał tak ogromny

napiwek kelnerowi, że przez chwilę oczy tamtego przypominały wielkością spodeczki i dopiero po jakimś czasie pieniądze zniknęły w jednej z wewnętrznych kieszeni jego marynarki, jak gdyby była to magiczna sztuczka. Francey miał ochotę przejść się po posiłku, lecz kiedy miało się iść do kina - zawsze był ogromnym wielbicielem Elizabeth Taylor - pod wpływem impulsu wszedł, by obejrzeć „Kleopatę”.

Kilka godzin później, które wydawały mu się wiecznością, wyszedł z kina w ciemny, mroźny wieczór z muzyką filmową nadal dźwięcząca w uszach. Przyszło mu do głowy, że jego ojciec nadawałby się na dowódcę armii Cezara: był wprost stworzony do noszenia togi.

Zanim wrócił do hotelu, wstąpił jeszcze do pubu na kufelek piwa. Pociągając mleczno-białą pianę i czekając, aż dostanie się do pysznego ciemnego napoju, Francey rozejrzał się wokół po poważnej klienteli pubu, na wpół tylko wypełnionego ludźmi. Czy kiedykolwiek zrozumie Anglików? W Dublinie, czy nawet w Castletownbere, w sobotę przed Bożym Narodzeniem wszystkie puby są zatłoczone po sufit i pękają w szwach od klientów - przyjezdnych kupujących prezenty i pracowników, zmęczonych, lecz wesołych, którzy zaczynają tygodniowe obchody Bożego Narodzenia podwójną wypłatą w piątek. Tutejsze święta w niczym nie przypominały dorocznych bachanalii, jakimi były w domu: pomimo kolorowych lampek i pełnych wystaw sklepowych Boże Narodzenie dla Anglików wydawało się raczej powodem do zmartwień niż radości.

Dom.

Wróciwszy do hotelu, będzie musiał zadzwonić do matki i powiedzieć, czy przyjeżdża na święta do Lahersheen, czy nie. Wiedział, że spodziewają się go jak co roku, dlatego też odkładał tę rozmowę na jak najpóźniej: w głębi serca nadal liczył na zaproszenie na święta do Inveraray. Oczywiście, przede wszystkim miał nadzieję, że spotka tam Fleur.

Dokończył piwo, uśmiechnął się do barmanki, która odpowiedziała wesołym wyszczerzeniem zębów i życzyła mu wesołych świąt, po czym wyszedł z pubu i w ciszy grudniowego wieczora kluczył wąskimi uliczkami, spokojnymi teraz i opustoszałymi po zamknięciu biur i urzędów na weekend. Kiedy wreszcie wszedł do holu swego hotelu, recepcjonistka wraz z kluczami podała mu trzy wiadomości.

Beztrioski nastrój Franceya ulotnił się natychmiast. Pomysł zadzwonienia do domu okazał się nieco spóźniony: wszystkie trzy wiadomości pochodziły z Lahersheen: nie dzwoniłoby trzy razy z rzędu, gdyby nie stało się coś okropnego.

Nowiny rzeczywiście były koszmarnie: podczas ustawiania anteny telewizyjnej na komi-

nie Mossie spadł z drabiny i został odwieziony, nieprzytomny, do szpitala w Bantry.

Przed wyjazdem na lotnisko Francey wyjął z walizki małe pudełeczko od Weira, które leżało tam tyle czasu i przy pomocy recepcjonistki zawinął je w kolorowy papier. Dołączył karteczkę z niezobowiązującą wiadomością i zaadresował do mieszkania przy Kensington. Zostawił w recepcji wystarczająco dużo pieniędzy na opłacenie gońca oraz olbrzymi napiwek. Żałował, że nie kupił jednak tego popołudnia diamentowego zegarka. Cóż, poniesie wszelkie tego konsekwencje.

Rozdział dziewiąty

Dzięki pomocy pełnego współczucia pracownika Aer Lingus Francey otrzymał miejsce w samolocie lecącym jeszcze tej nocy do Dublina; na lotnisku zaś wsiadł do taksówki i kazał zdumionemu kierowcy wieźć się prosto do szpitala w Bantry. Wszedł do szpitalnego holu, kiedy wszyscy pacjenci właśnie jedli śniadanie. Wszyscy oprócz Mossiego.

- Och, mamó! - Francey objął matkę, która z podkrążonymi oczyma siedziała przy łóżku męża. Na widok syna wchodzącego do maleńkiej separatki podniosła się ciężko. - Tak mi przykro! To wszystko moja wina. Nie powinienem był kupować tego przeklętego telewizora!

- Proszę, Francey. - Na chwilę oparła czoło o jego pierś. - Nie obwiniaj się, to był tylko nieszczęśliwy wypadek. Mógł tam robić wszystko: uzupełniać dachówki lub naprawiać komin. Właził tam, odkąd pamiętam. - Odsunęła się od niego, potrząsnęła głową i znowu usiadła. - To niczyja wina.

- Opowiedz mi, jak to się stało. - Francey popatrzył na ojczyma, który leżał w szpitalnym łóżku nienaturalnie czysty, z maską tlenową na twarzy. Do jego rąk podłączono rurki kroplówek.

- Nie wiadomo. - Głos matki był bezbarwny. - Nikt tego nie widział. Wiemy tylko, że musiał się ześlizgnąć z drabiny na dachu. Nawet nie krzyknął albo może nikt nic nie usłyszał. Maggie znalazła Mossiego leżącego pod domem, kiedy wyszła zawołać go na herbatę. - Pogłaskała potężne przedramię męża. - Próbował się ratować, bo wraz z nim na ziemi leżał kawałek rynny. Cały pocięty.

- Jak długo tam leżał?

- Nie dłużej niż dziesięć minut, bo kwadrans wcześniej wyszłam do niego, by powiedzieć, że stawiam czajnik na kuchni.

Matka siedziała na krześle przy łóżku; czując własną bezsilność, Francey stał za jej plecami i patrzył, jak pochyliła głowę i cały czas gładziła męża po ręce. Mossie nie miał na sobie góry od piżamy i młodzieniec poczuł, że coś go dławi w gardle na widok wyraźnej linii opalenizny tuż poniżej łokci ojczyma: ręce Mossiego opalone były na brąz i poznaczone piegami, lecz bicepsy i ramiona miał białe jak u niemowlęcia.

Francey doskonale pamiętał dzień ślubu matki z Sheehanem, podniecenie sióstr, które były druhami, i siebie, po raz drugi wciśniętego w komunijny garnitur, a zwłaszcza mnóstwo ciast i słodyczy oraz pełne kieszenie pieniędzy, które dzieci dostały od krewnych oraz znajomych. Poza tym jednym ważnym wydarzeniem, przybycie Mossiego do domu matki nie wywarło większego wrażenia na siedmiolatku zajętym szkołą i własnymi sprawami; mimo że łącząca ich więź była harmonijna, nigdy nie stała się zbyt głęboka.

Musiał jednak przyznać, że życie codzienne rodziny znacznie się poprawiło od czasu, kiedy Mossie z nimi zamieszkał. Pierwszy ojczym Franceya był człowiekiem gwałtownym i, jak większość jego rówieśników, do utrzymania posłuchu w domu wykorzystywał laskę lub pasek. Mossie Sheehan nigdy nie podniósł ręki na żadne z dzieci i patrząc teraz na jego bladą, spokojną twarz, Francey przypomniał sobie, jak wszyscy koledzy w szkole mu zazdrościli, gdyż wiedzieli, że jeśli od nauczyciela w szkole dostaną lanie, w domu mogą się spodziewać tylko dokładnie tego samego. Mossie potrafił zaskakiwać swymi posunięciami: pokazał Franceyowi przyjemność palenia, kiedy ten miał zaledwie dziesięć lat - dzięki czemu chłopiec raz na zawsze zraził się do tego nałogu - a na jedne niezapomniane urodziny zrobił mu samochód z resztek starego traktora i dziecięcego wózka. Francey jeździł nim po polach przez wiele miesięcy, dopóki nie znudziła mu się oszalamiająca prędkość trzech kilometrów na godzinę.

Mossie pochodził z długiej linii nauczycieli i bibliofilów, a jego ogromny zbiór odziedziczonych książek przerastał jakością i różnorodnością nawet publiczną bibliotekę w Castletownbere. Po dodaniu ich do książek matki Franceya, nie było sposobu, by pomieścić całość w domu. W rezultacie jedna z przybudówek została wyposażona w półki, dwa stare fotele i grzejnik valora, sąsiedzi zaś zwykli byli o niej mówić „Wybryk Sheehana”, co wkrótce zostało skrócone do samego „Wybryku”. Wszyscy sąsiedzi pożyczali od nich książki, a Francey dowiedział się więcej o świecie pośród czterech kamiennych ścian przybudówki niż w czasie nauki zaaplikowanej mu przez Ministerstwo Oświaty.

W czasie dojrzwania Wybryk był azylem Franceya. Doskonale rozumiał się z siostrami, lecz ciągle pogaduchy na temat okresu, ubrań, potańcówek i okolicznych chłopaków nudziły go

niemiłosiernie, więc traktował Wybryk jako kryjówkę, gdzie mógł zakopać się w książkach albo bawić nakręcaną kolejką. Mossie był jedyną osobą w domu, która podzielała jego zainteresowanie blaszanymi wagonikami i od czas do czasu stawał obok Franceya, by popatrzeć. Nie wiele wtedy rozmawiali, lecz były to owe nieliczne okazje, gdy Francey czuł prawdziwą więź między nimi.

Nie potrafił teraz powiedzieć nic pocieszającego czy dającego zrozpaczonej matce nadzieję. Nie spał przez całą noc i z trudem zbierał myśli w skołatanym mózgu, toteż objął ją tylko mocno ramieniem.

- Biedny Mossie - zamruczał cicho. - Postaraj się nie martwić, mamó. Wszystko będzie dobrze, jestem tego pewien. Mossie jest silny. Wyjdzie z tego.

Jednak nie było to pisane rannemu. Podczas upadku jego mózg został poważnie uszkodzony i dwa i pół dnia później, tuż przed północą we wtorek przed Bożym Narodzeniem, Mossie doznał rozległego, śmiertelnego udaru. Zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

Okolo dziewiątej wieczorem w środę, jako główny żałobnik czuwający przy trumnie ojczyma, Francey był zmordowany i utrudzony ponad wszelkie wyobrażenie, a także tak bardzo wymęczony rozmowami, że miał wrażenie, iż jeśli przyjdzie jeszcze choćby jedna osoba, której będzie trzeba okazać uprzejmość, zacznie krzyczeć. Przez cały dzień pomagał matce, zorganizował przewiezienie zwłok ze szpitala do domu i zajął się szczegółami pogrzebu. Przez cały ten czas Elizabeth ani razu nie okazała przepełniającego ją bólu i w jakiś przedziwny sposób jej opanowanie stało się dla Franceya bardziej męczące, niż gdyby płakała i szalała z rozpaczony jak inne wdowy na większości pogrzebów, w których uczestniczył.

Po powrocie do domu, jako jedyny mężczyzna w rodzinie, miał obowiązek przyjmować gości, przyjaciół, sąsiadów i krewnych, którzy napływali niekończącym się strumieniem, by okazać współczucie rodzinie. Margaret zaproponowała, że będzie odbierać telefony, lecz większość dzwoniących i tak chciała rozmawiać właśnie z Franceyem. Wydawało się, że cały świat założył, iż teraz to on jest głową domowego ogniska; nawet nie chciał myśleć o takiej ewentualności, gdyż implikacje owego faktu szczerze go przerażały.

Nie pomagało także to, że wypowiedziawszy zwyczajowe słowa kondolencji, każdy poczuwał się w obowiązku spytać młodzieńca o jego nowe szczęście i bogactwo.

Aby uciec od owego rozgardiaszu choćby na kilka minut, Francey wyszedł na zewnątrz. Dmuchając w złożone dłonie, przystanął na środku podwórza i zawahał się przez chwilę. Chciał się przespacerować w stronę Knockameala, aby przewietrzyć umysł, lecz choć ostatni sztorm

już minął, nadal było strasznie zimno i wilgotno. Powodowany impulsem popchnął drzwi do Wybryku. Włączył światło i widząc znajomy nieporządek, poczuł się nieco lepiej. Tutaj mieściło się centrum jego życia, do dnia gdy wyjechał z Lahersheen do pracy w Dublinie.

Matka, chomik z natury, nie chciała nigdy wyrzucać niczego, „co mogłoby się przydać kiedyś w przyszłości”; a ponieważ z biegiem czasu w domu pojawiały się coraz to nowe udogodnienia, niepotrzebne sprzęty wędrowały do Wybryku. Chociaż z początku miał służyć jako pomieszczenie na książki, teraz stały tu żelazne ramy od łóżek, kanapy, krzesła, lampy, stare garnki - całość wyglądała jak sklep z używanymi meblami i sprzętami gospodarstwa domowego.

Kiedy Francey robił miejsce dla siebie na starej kanapie, zagrzechotała odrzucona na bok szalka jakiejś starej wagi kuchennej. Ściany małej przybudówki były tak grube, że zupełnie nie słyszało się tu rozgadanego tłumu w domu; z westchnieniem ulgi oparł zmęczone stopy o poręcz fotela stojącego naprzeciwko i zaczął powoli zastanawiać się nad tym wszystkim. Zawsze uwielbiał charakterystyczny zapach Wybryku: kurzu, starych kulek na mole, materiałów i drewna oraz specyficzną woń, wydzielaną przez poupychane na półkach książki. A jednak, czy po powrocie z miasta - zwłaszcza z powodu ostatnich wydarzeń - chciałby tu z powrotem zamieszkać? I czy miał jakikolwiek wybór? Czy matka - podobnie jak współczujący krewni i sąsiedzi - będzie oczekiwać, że Francey wróci do domu i zajmie miejsce Mossiego? Że będzie prowadzić farmę? Chyba nie istniało nic na świecie, czego pragnąłby mniej. Nie mógł jednak uciec przed świadomością, że był jedynym synem, a dziewczęta miały już własne plany na życie.

Zapadłszy się w miękkie poduszki kanapy, Francey pozwolił, by jego myśli pobiegły własnym torem - myślał o śmierci, tak znajomej części życia tu, na wsi, gdzie łapano we wnyki zwierzęta i ptaki albo też strzelano do nich dla rozrywki, i odchodziły z tego świata nieopłakane. Obserwował pojedyncze pasemko pajęczyny kołyszące się tuż nad jego głową. Zastanawiał się, gdzie jest pająk, który niegdyś utkał ją tak cierpliwie. Ile jego pokoleń zmarło od czasu, kiedy owo stworzenie pracowicie rozwiesiło swą lśniącą pułapkę? Dlaczego, spośród wszystkich istot, które zamieszkały tę ziemię, tylko człowiek otaczał śmierć własnego gatunku tak wieloma rytuałami i przydługą ceremonią?

Pomimo wszystkiego, co Francey myślał na temat celebrowania pogrzebów przez Anglików, teraz - kiedy przyjrzał się tej sprawie z pierwszego rzędu - nie był pewien, czy całe to irlandzkie zbiegowisko, gościnność i rozrzutność towarzyszące stypie bardziej nie utrudniają

życia, niż je ułatwiają? Czy nie można by znaleźć jakiegoś złotego środka?

Wyobraził sobie matkę, która z suchymi oczyma przewodzi zgromadzeniu w kuchni i siedzi u szczytu stołu, jak gdyby było to przyjęcie, a nie stypa po jej ukochanym mężu, leżącym zaledwie kilka kroków dalej w otoczeniu płonących gromnic. Czy nie byłoby lepiej, gdyby mogła zostać sama i wypłakać żal w zaciszu domu? I czy z nim samym nie jest coś nie tak, że nie potrafił odczuć śmierci ojczyma, jak może powinien?

Podejrzewał, że na swój własny sposób na pewno kochał Mossiego, lecz nawet spoglądając na jego nieruchome ciało, zdawał sobie sprawę, że dominującym uczuciem w jego sercu jest nie ból z powodu straty, lecz troska o los matki i siostr oraz samolubna obawa, cóż to może oznaczać dla jego własnej przyszłości. Był zadowolony, że ludzie jeszcze nie potrafią zaglądać innym do głów i czytać w cudzych myślach. Co też by o nim pomyśleli, gdy wiedzieli, że nawet oddając ostatnią posługę ojczymowi, Francey cały czas kierował swą uwagę ku pułapkom, jakie na jego drodze postawiła Fleur Mannering.

Cóż to za filozoficzne rozmyślenia...! Doszedł do wniosku, że chyba jest bardziej zmęczony, niż przypuszczał. Potrząsnął głową, jak gdyby chciał rozjaśnić myśli, lecz udało mu się tylko wzniecić szary obłoczek kurzu. Musiał mocno zatkać nos, by nie kichnąć.

Był tak zmęczony, że nieomal już zasypiał, kiedy drzwi Wybryku otworzyły się z hałasem.

- Tu jesteś! - Do środka wpadła Margaret. - Na miłość boską, Francey, wszędzie cię szukałam! Jesteś proszony do telefonu.

- Znowu?! - jęknął cicho. - Czy nikt inny nie może się tym zająć?

- Nie tym razem. To zamiejscowa. Chodź! - Margaret obróciła się na pięcie i wyszła.

Zamiejscowa? Serce zabiło mu mocniej, kiedy wstawał z kanapy. Czyżby w jakiś tajemniczy sposób Fleur dowiedziała się już o wszystkim?

- Kto dzwoni? - zawołał za siostrą.

- Nie wiem, nie pytałam. Jakaś kobieta z dublińskim akcentem - odpowiedziała przez ramię. - Pośpiesz się. Czeka od wieków, mam nadzieję, że do tej pory się nie rozłączyła.

Młodzieniec ukrył zawód; idąc przez podwórze przypomniał sobie, że nikogo w Anglii nie zawiadamiał o śmierci Mossiego, więc nie miał podstaw, by oczekiwać telefonów stamtąd. Odetchnął z ulgą, gdy po wejściu do kuchni zobaczył, że gęsty tłum nieco się przerzedził. Świadom uważnego spojrzenia matki, podniósł słuchawkę i odwrócił się plecami do stołu.

- Halo? Hazel?

- Francey, bardzo mi przykro.

Jej głos był tak cichy, że Francey musiał mocno przycisnąć słuchawkę do ucha, a drugie zatkać palcem.

- Dziękuję - odrzekł. - Jak się o tym dowiedziałaś?

- Przeczytałam w wieczornej gazecie. Pogrzeb jest jutro po mszy o pierwszej, tak?

- Tak... Chcieliśmy, aby wszystko odbyło się trochę później, żeby Goretti, jedna z moich siostr, zdążyła przyjechać z Chicago.

- Ja też przyjadę.

- Och, Hazel! - Francey był przerażony; nie wiedział, jak jego rodzina, a zwłaszcza matka, zareagują na egzotyczną postać piosenkarki i w tej samej chwili zawstydził się własnej reakcji. Objął słuchawkę dłonią, tak że mógł mówić nieco głośniejszym głosem bez obawy, że ktoś go podsłucha. - Bardzo to doceniam, ale zupełnie nie ma takiej potrzeby... Tak czy inaczej, przecież jutro jest Wigilia.

Kiedy to powiedział, przyszło mu do głowy, że w końcu bardzo mało wie o swej przyjaciółce, a już na pewno nie miał pojęcia, z kim zamierzała spędzić święta.

- Czy ty się wreszcie zamkniesz? Od czego są przyjaciele?! - Ton Hazel nie znosił sprzeciwu. - Przyjedziemy. Teraz jest dziewiąta, więc możemy się jeszcze wyspać i wyruszyć o świcie. Dawno już u was nie byłam, mógłbyś mi powiedzieć, jak jechać?

- To straszny kawał drogi. - Aż zadrżał na myśl, co mogło oznaczać to „my” - już wyobrażał sobie kogoś jeszcze bardziej szalonego od niej - i spróbował ponownie odwieść dziewczynę od tego zwariowanego pomysłu. Jednak gdy nadal się upierała, skapitulował i wyjaśnił, jak się dostać do kaplicy w Eyeries, a później na cmentarz Kilcatherine. - Kto z tobą przyjedzie? - spytał, nienawidząc się za własną podejrzliwość.

- Jeszcze nie wiem - odrzekła. - Ale na pewno coś zorganizuję.

Ku własnemu zaskoczeniu Francey poczuł, że już nie może się doczekać spotkania z tą prostolinijną, nieskomplikowaną kobietą.

- No, cóż... jeśli jesteś pewna, że to dla ciebie niezbyt daleko... - Pożegnawszy się z nią, Francey odwrócił się do matki. Po raz pierwszy tego wieczora siedziała sama. - Wszystko w porządku, mamusiu? - Podeszedł do niej.

- Czy to dzwoniła Hazel Slye? - Twarz miała napiętą.

Francey skinął głową.

- Przyjedzie na pogrzeb. Nie masz nic przeciwko temu?

- Dlaczego miałabym mieć?

- Bo... stanowi jakieś połączenie z moim ojcem... Sama wiesz...

- Francey, jesteś już dorosły i twoi przyjaciele są tylko twoimi przyjaciółmi. Nie mam prawa nic ci narzucać... w końcu znasz moją przeszłość równie dobrze, jak wszyscy. - Odwróciła wzrok, a jej oczy pozostały suche, mimo że nerwowo obracała bransoletkę wokół nadgarstka.

Francey poczuł, że coś go piecze pod powiekami.

- Pozbędę się tych wszystkich ludzi. Masz już dość na jeden dzień, mamusiu - powiedział. - Przed nami kolejny ciężki dzień, więc lepiej będzie, jeśli się położysz.

- A co z...? - Elizabeth wskazała na sypialnię; było nie do pomyślenia, żeby Mossie został sam podczas swej ostatniej nocy na powierzchni ziemi.

- Nie martw się - odrzekł Francey. - Wraz z dziewczętami będziemy przy nim czuwać na zmianę. Tilly też już zaproponowała, że zostanie z nami.

Matka zgodziła się i z pomocą Margaret oraz Abigail przeszła do sypialni dziewcząt; Francey taktownie wycofał się do kuchni. Później wyprawił do łóżka najmłodszą siostrę, jedyną rodzoną córkę Mossiego, Constance, która była też najbardziej ze wszystkich wstrząśnięta. Na końcu usiadł wraz z siostrami do herbaty i przy kuchennym stole długo rozmawiał z Tilly Harrington, najstarszą sąsiadką i odwieczną przyjaciółką rodziny.

Poza cichymi szmerami dochodzącymi z sypialni, za każdym razem, kiedy przestawali rozmawiać, cisza w kuchni wydawała się nieznośna. W tle słychać było tykanie zegara stojącego na półce nad kominkiem oraz cichy szum ognia w piecu. Francey był tak zmęczony, że miał wrażenie, iż mięśnie jego łydek i stóp spuchły, powiększając dwukrotnie swój rozmiar.

- Wydaje mi się, że jest później niż naprawdę - odezwała się cichutko Abigail, przerywając kolejną chwilę milczenia.

- To dlatego, że jesteśmy tak wykończeni - mruknęła Margaret w odpowiedzi.

- Ta Hazel przyjedzie na pogrzeb aż z Dublina? - zwróciła się Abigail do brata.

- Tak, to dobra przyjaciółka. - Poczul się zepchnięty do defensywy, zwłaszcza gdy zobaczył błyski ciekawości w oczach siostry.

- Rozumiem. A jak dobra?

- Zostaw go w spokoju. - Margaret zamieszała herbatę. Francey był jej wdzięczny za pomoc.

- Sam potrafię się o siebie troszczyć, ale dzięki, Maggie - powiedział. - Naprawdę jest

tylko moją przyjaciółką - dodał w kierunku Abigail.

- Pójdę i trochę się pomodłę. - Tilly wyjęła różaniec i przeszła do sypialni, w której leżał Mossie.

Po jej wyjściu Abigail zmieniła temat.

- Strasznie mi żal mamy. Dla jej dobra chciałabym, aby to wszystko już się skończyło. W moim testamencie napiszę, by w ogóle nie urządzano mi pogrzebu. Niech rozsypią moje prochy gdzieś na morzu i tyle.

- Bzdury - wtrąciła Margaret. - Musisz pomyśleć o tych, którzy pozostają. Ludziom dobrze robi, jeśli mają okazję pożegnać się ze zmarłym.

Młodzieniec nie był w nastroju, by dyskutować z Margaret o jej psychologicznych teoriach. Zostawiwszy siostry, przeszedł do sypialni, gdzie dołączył do Tilly Harrington klęczącej przy Mossiem. Nie modliła się, lecz wymieniła niektóre gasnące już świece, zapalając nowe od ogarków.

- Czyż on nie wygląda ślicznie? - spytała szeptem.

Francey zacisnął mocno dłonie na desce w nogach podwójnego mahoniowego łóżka, wpatrując się w woskowobiałą twarz ojczyma i jego pokryte brylantyną włosy.

- Zupełnie nie jest do siebie podobny - odrzekł również szeptem.

- Ależ oczywiście, że jest. Po prostu przyzwyczyłaś się widzieć go inaczej. - Tilly pogładziła blade czoło Mossiego. - Był wspaniałym mężczyzną. A teraz skończyły się już wszystkie problemy biedaka.

Nagle, bez ostrzeżenia, serce Franceya zaczęło bić szybciej i poczuł, że nie może normalnie oddychać... Zaciągnięto zasłony na zamkniętych oknach, a ciężkie, ciepłe powietrze zdawało się zamykać nad jego głową, wpływało do nosa i uszu, wciskało się do gardła i sprawiło, że się dusił. Gdy rozpiął górny guzik kołnierzyka, Tilly zerknęła na niego i przekonała się, że coś jest nie tak.

- Co się stało? - Patrzyła na niego z przerażeniem.

- Nic - mruknął. - Po prostu poczułem się bardzo zmęczony, to wszystko. Muszę odechnąć świeżym powietrzem... - Zataczając się, wyszedł z pokoju, przeciął kuchnię, ignorując zdumione spojrzenia siostr i ponownie znalazł się w nocnej ciszy.

Kiedy stał chwiejnie pośrodku podwórza, serce nadal waliło w nim jak młotem, lecz przynajmniej poczucie klaustrofobii nieco minęło. Mimo że pogoda - wedle określenia Margaret - była przez ostatni tydzień „ospowata”, a po okolicy przetaczał się sztorm za sztormem, w

ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wypogodziło się i wszelkie burze odeszły na zachód. Noc była czysta i spokojna. Francey uniósł głowę i spojrzał w rozgwieżdżone niebo; starał się wyrównać oddech. Nie miał pojęcia, co mu się stało: uczestniczył w niejednym pogrzebie znajomych lub krewnych, których doskonale znał, i był przyzwyczajony do czuwania przy zwłokach. Jednak gdy teraz popatrzył na dłonie, zauważył, że palce mu drżą.

Nie mógł jeszcze wrócić do domu; nie potrafiłby stawić czoła ciekawskim spojrzeniom kobiet. Może pójść do Wybryku? Jednak na myśl o tym, że miałby z powrotem się zamknąć w ciasnym pomieszczeniu bez okien, panika wróciła. Potrzebował też czyjejś obecności przy sobie. Przeszedł przez podwórko i skierował się do szopy, w której na noc zamykano Reksa. Gdy tylko otworzył drzwi, pies, machnąwszy ogonem w podziękowaniu, wyprysnął z zamknięcia, przebiegł pędem przez podwórko i zniknął w dziurze w żywopłocie, odgradzającym dom od pola na wzgórzu. Przynajmniej jego ucieczka dostarczyła Franceyowi zajęcia. Żaden pies, zwłaszcza tak młody i głupi jak ten, nie powinien nocą buszować po polach.

Idąc za nim, Francey wpadł w radliny ziemniaków.

- Reks! - zawołał cicho, usiłując nadać swemu głosowi autorytatywne brzmienie, mimo że wołał prawie szeptem, by nie zakłócić spokoju matki i sióstr. Ponieważ nic nie usłyszał, ruszył dalej w pole i przyjrzał się koleinom przed sobą. - Reks! - Nadal nie widząc żadnych śladów obecności psa, przeklął własną głupotę i pomaszerował dziarsko przez bruzdy, przeskakując po dwie naraz.

Pole na wzgórzu było największe w całym gospodarstwie i dotarcie do jego przeciwległego krańca zajęło Franceyowi ładnych parę minut. Zamiast iść do bramy i na drogę, przedarł się przez żywopłot w jego najwęższym miejscu, a po chwili, ku swej uldze, usłyszał dyszenie i tupot psa.

- Chodź tutaj! - zawołał, wchodząc na następne pole. - Niedobry pies!

Reks, nadal oddalony o jakieś dwadzieścia kroków, zatrzymał się jak wryty i przywarł płasko do ziemi. Po chwili przewrócił się na plecy ze wszystkimi czterema łapami w powietrzu i w tak pokornej pozie, że gdy Francey wreszcie do niego dotarł, nie miał już serca go ukarać; zadowolili się złapaniem psiaka za skórę na karku, podniósł go do góry i powtórzył stanowczym tonem:

- Niedobry pies!

Całe szczęście, że mocno trzymał, gdyż szczeniak skomlał i cały czas usiłował mu się wyrwać. Bez przerwy przenosił prosiące spojrzenie z twarzy Franceya na coś interesującego,

co znajdowało się w sporej odległości poza nim, jak gdyby usiłował przekonać człowieka, że powinni się tu zatrzymać i załatwić jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę.

- Nie wierć się! - Zakładając, że pies wypatrzył zająca, lisa lub bażanta, Francey nie zamierzał dostosowywać się do jego gierki. Zaskoczony tym, że ktoś go niesie, Reks zapomniał o wszystkim i zaczął lizać swego opiekuna po twarzy tak gwałtownie, że ten się poddał. - Jesteś okropnym kundlem! - Schował twarz w miękkiej sierści tuż za uszami szczeniaka. - I co mam z tobą począć?

Zamknął Reksa na powrót w nocnym areszcie i odetchnąwszy głęboko kilka razy - sposób, który poleciła mu Hazel na opanowanie tremy - wrócił do domu. Przynajmniej ta eskapada odwróciła jego uwagę od niedawnego paralizującego strachu.

Tilly musiała go obserwować, gdyż drzwi od kuchni otworzyły się, zanim jeszcze Francey dotknął klamki.

- Martwiłam się o ciebie - powiedziała. - Wszystko w porządku?

- Jasne, dzięki, Tilly. - Wszedł za nią do kuchni. - Po prostu musiałem odetchnąć świeżym powietrzem.

Bardziej żeby odwrócić uwagę kobiety od swego dziwnego zachowania niż z jakiegokolwiek innego powodu, opowiedział jej o ucieczce Reksa; już w połowie opowieści zauważył, że Tilly ma wyjątkowo dziwną minę, i zamilkł skonsternowany.

- Wszystko dobrze się skończyło, Tilly - zapewnił ją. - Za czymkolwiek pogonił, na pewno tego nie złapał. Jest już bezpieczny... zamknąłem go z powrotem w szopie.

Ku zaskoczeniu młodzieńca te słowa tylko jeszcze bardziej ożywiły przyjaciółkę matki. Odwróciła się do jego siostr siedzących przy kuchennym piecu.

- Może pójdziecie trochę odpocząć, dziewczynki? - zaproponowała. - Nie ma sensu się wykańczać. Będziemy tu siedzieć na zmianę. Zostaniemy teraz we dwoje z Franceyem, a za parę godzin was obudzimy.

Ani Margaret, ani Abigail nie zaprotestowały, a gdy wyszły z kuchni, Tilly obróciła się do młodzieńca z poważną miną.

- Usiądź, Francey - odezwała się cicho. - Właściwie to jestem zadowolona, że ten pies ci uciekł, bo może nigdy bym się nie zdecydowała. Jest coś, o czym chciałabym ci powiedzieć. Od dawna już dręczy mnie sumienie...

Co też Tilly może mu powiedzieć o Reksie?

- Mam nadzieję, że nie napadał na wasze bydło? - Francey usiadł na krześle zwolnionym

przez jedną z dziewcząt.

- Nie, nie... nic z tych rzeczy. - Tilly gniotła w rękach róg spódnicy. - Już od dawna męczę się, co z tym zrobić. A w tych okolicznościach...

Kompletnie zaskoczony, Francey przyglądał się jak niska, przysadzista, siwowłosa kobietka chodzi tam i z powrotem przed piecem kuchennym. W pomieszczeniu było ciepło, lecz nie aż tak gorąco, by usprawiedliwiało to kropelki potu, które pojawiły się na jej czole.

- Cokolwiek by to było, Tilly, nie może być aż tak złe... - próbował ją uspokoić.

- To wcale nie jest złe - oświadczyła, padając na krzesło naprzeciwko niego. - Po prostu obiecałam, że nic nikomu nie pisnę. Ale mam wrażenie, że jednak powinnam ci powiedzieć... Szukałam nawet rady u księdza w konfesjonale, lecz nie potrafił mi pomóc. Zastanawiałam się nad napisaniem listu anonimowego, lecz, widzisz, przysięgam na mój honor... Dałam słowo...

Francey doszedł do wniosku, że lepiej będzie milczeć, dopóki Tilly nie wyrzuci tego z siebie. Nie musiał czekać długo. Kobieta westchnęła.

- Zdaje mi się, że wiem, dokąd pobiegł Reks... może nie tyle dokąd, ile na spotkanie z kim...

- Z kim? - Francey nie widział w tym nic niezwykłego. No i co z tego, że pies zaprzyjaźnił się z którymś z sąsiadów?

- Twój brat wrócił do parafii. Kręci się tu już od jakiegoś czasu.

Brat? O czym ona mówi? Nowina była tak niespodziewana, że z początku Francey nie całkiem pojął, o co chodzi.

- Dessie - odrzekła spokojnie Tilly. - Dessie wrócił. Ma ze sobą psa.

- Przyjechał na pogrzeb? - Dopiero po chwili Francey zrozumiał, jakie to głupie pytanie. Tilly powiedziała przecież, że widuje Dessiego już od jakiegoś czasu. - Gdzie? - poprawił się, nie czując nic poza niedowierzaniem. - Gdzie go widziałaś? - powtórzył. - Proszę, Tilly, powiedz, kiedy i gdzie go widziałaś? I dlaczego mama nic o tym nie wie?

- Może po kolei. - Uniosła dłoń. - Przysięgam, że nic nikomu nie powiem, jednak nie potrafiłam dłużej zachować tego w tajemnicy.

- Komu przysięgałaś? - Francey usiłował to wszystko poskładać w całość.

- Dessiemu.

Wpatrywał się w kobietę, dopóki nie pojął tego, co przed chwilą usłyszał. Podniecony, skoczył na równe nogi.

- Gdzie on teraz jest, Tilly? Powiedz mi, muszę iść do niego.

Tilly także wstała.

- Uspokój się, Francey. Bardzo możliwe, że to on do ciebie przyjdzie. Możliwe, że pojawi się jutro na pogrzebie, choć z drugiej strony może nic nie wiedzieć o śmierci Mossiego. - Westchnęła długo i ciężko. - Dzięki Bogu, że wreszcie to z siebie wyrzuciłam. Strasznie się męczyłam, nie mogąc nic szepnąć twojej biednej matce. Usiądź, opowiem ci wszystko, co wiem.

Zaskoczony Francey opadł z powrotem na krzesło, a Tilly zrelacjonowała mu, jak pewnego wieczora jej mąż napotkał przy drodze do Ardgroom młodego włóczkę śpiącego w rowie.

- Znasz mojego Micka. Po prostu nie mógł tak przejść obok chłopaka, więc go obudził i dał mu kilka szylingów.

- Skąd wiedział, że to Dessie? - Francey ledwie mógł oddychać.

- Oczywiście, że nie wiedział... nie od początku. Zauważył go już wcześniej, wszyscy spotykaliśmy go od czasu do czasu. Kręcił się tu od kilku dni, może nawet tygodni. Znikał co jakiś czas, lecz zawsze pojawiał się z powrotem. Nawet twoja matka lub Maggie mogły go zobaczyć i nie wiedzieć, kim jest. Ma taką okropną, rzadką bródkę i włosy sięgające dotąd, Francey. - Wskazała punkt gdzieś pośrodku swej klatki piersiowej. - Właściwie w całej twarzy widać wyraźnie tylko oczy. Teraz, kiedy już wiem, kim jest, mam ochotę kopnąć się za to, że nie rozpoznałam go wcześniej. Że nie zauważyłam podobieństwa. Ma twoje oczy, Francey. Podejrzewam, że obaj odziedziczyliście je po ojcu...

- Czy jest wysoki jak ja?

- Właściwie to nie. Powiedziałabym, że wyższy od przeciętnego mężczyzny, lecz na pewno nie taki jak ty. Zresztą trudno powiedzieć... Za każdym razem, gdy go widziałam, siedział, a nawet jeśli stał lub szedł, zawsze był przygarbiony...

Urwała, lecz Francey nie pozwolił jej zamilknąć.

- Błagam, Tilly...

- Wszyscy od czasu do czasu dawaliśmy mu drobniaki, resztki jedzenia dla niego i psa, ale nigdy nie przyszedł do niczyjego domu - kontynuowała z westchnieniem. - Jak wiesz, nie jest pierwszym żebrakiem, który pojawił się w naszej parafii i chyba, jak wszyscy jego poprzednicy, lubi samotność, więc trzyma się na uboczu, a my to szanujemy. Ktoś, nie pamiętam już kto, powiedział, że słyszał o jakimś niedorozwiniętym biedaku, który wylądował na gościńcu, gdy mu zabrali odziedziczoną farmę gdzieś w północnym Kerry... Przez jakiś czas są-

dziliśmy, że to właśnie on. - Tilly urwała i spojrzała Franceyowi w oczy. - Niełatwo mi o tym mówić, Francey, ale biedaczysko ma problemy z piciem. Mick znalazł przy nim pustą butelkę, wtedy w rowie.

- Tego się obawiałem. - Był rozdarty między podnieceniem, że jego drugi brat wreszcie się odnalazł, a wywołaną historią Tilly obawą, że nie poradzi sobie z sytuacją.

- Mickowi bardzo się nie podobał jego wygląd tamtego dnia - mówiła dalej kobieta. - Zrobiła się fatalna pogoda... wiesz, jak tu czasem bywa, zbliżała się noc, a prognozy były niewesołe. Miał zakrwawioną twarz, tyle co widać spod brody, cały był podrapany, ubranie i buty podarte na nic. Niech Bóg mu pomoże, usiłował osłonić się przed deszczem gazetami i słomą, lecz niewiele to pomagało. Strasznie kasłał i Mick wystraszył się, że biedaczysko jest chory, może to nawet gruźlica i nie chciał mieć go na sumieniu. Drżał na całym ciele i aby się ogrzać, tulił się do tego swojego psa. Mick zachęcał go, żeby przyszedł do nas do domu, ogrzał się i zjadł coś ciepłego, a przynajmniej napił się herbaty, lecz on cały czas odmawiał. Później Mick zaproponował, że jeśli chłopak pójdzie z nim do domu, to dostanie parę starych, lecz jeszcze dobrych butów.

Słuchając opowieści Tilly, Francey miał ochotę płakać z poczucia winy. Przecież mówiła o jego małym braciszku, o towarzyszu zabaw z dzieciństwa. Powinien był wcześniej uczynić większy wysiłek, by go odnaleźć. Nigdy nie wyobrażał sobie, że jego brat może tak nisko upaść, jak najwyraźniej mu się zdarzyło. „W nie najlepszej sytuacji” - napisała Jool w ostatnim liście, określając tak położenie Dessiego; było to nawet nieco romantyczne, lecz dalekie od tego, co przed chwilą powiedziała Tilly. Przysłuchując się jej cichemu, śpiewnemu głosowi, Francey rozmyślał o wszystkich wspaniałych planach, które snuł, a które teraz wydały mu się szalenie egoistyczne, a także o chwilach spędzonych z Fleur, podczas których nic innego go nie interesowało.

Patrząc na całą tę sprawę z perspektywy wydarzeń, Francey uświadomił sobie, że prawdziwe pobudki odnalezienia Dessiego jakoś się rozmyły i chodziło mu tylko o to, by obsadzić siebie w głównej roli i stać się wielkim dowódcą akcji ratowniczej. To on chciał odegrać rolę kawalerii, nadciągającej zza wzgórz, Dessie miał być po wsze czasy wdzięczny, a Fleur pełna zachwytu. Zły na siebie, uderzył pięściami o kolana, przerywając Tilly w pół słowa.

- Przepraszam... jestem po prostu wściekły, że nic do tej pory nie zrobiłem.

- Nie możesz się obwiniać. - Teraz, zrzuciwszy wreszcie ciężar z ramion, starsza kobieta była pełna współczucia. - Przecież na gościńcach wiele jest takich zbłąkanych duszyczek.

Wszyscy mieli kiedyś matki...

Opowiedziała, jak Mick przyprowadził do domu chłopca i psa, lecz odmówili wejścia do środka; dała im więc stos koców i urządziła posłanie w kącie stajni, która stała pusta, odkąd zamienili konie na traktor. Przyniosła też butelkę herbaty, parę kropel whisky, chleb i pokrojone mięso, po czym zostawiła ich w spokoju.

Następnego ranka już ich nie było, lecz wraz z zapadnięciem zmroku wrócili wraz z Reksem.

- I z naszym Jackiem - dodała Tilly. - Wydaje się, że biedaczysko świetnie dogaduje się ze zwierzętami.

Przyniosła im znowu jedzenie i picie, życzyła dobrej nocy i wyszła.

Kiedy następnego ranka poszła do stajni, by przynieść naczynia do domu, ku swemu zaskoczeniu znalazła tam Dessiego. Oparty plecami o ścianę, spał z trzema psami pochrapującymi u jego stóp. Tilly zawahała się teraz.

- Żeby zacząć rozmowę, kiedy składałam naczynia, spytałam go, kim jest i skąd pochodzi. To było okropne, Francey. - Zacisnęła dłonie na kolanach. - Zaczął się trząść i drzeć, więc pomyślałam, że to jakiś atak czy coś w tym stylu. Było z nim tak źle, że pobiegłam do domu po whisky i nawet nie zatrzymałam się, by wziąć szklanekę. Wtedy właśnie powiedział mi, kim jest. Nawet nie wiesz, jak fatalnie się poczułam. - Zasmucona Tilly przycisnęła ramiona do piersi. - Przecież ja opiekowałam się tym chłopaczkiem, kiedy Kathleen przyniosła go do domu ze szpitala... a teraz siedział w mojej stajni zaniedbany, z poczerniałymi zębami w gębie... To było wprost okropne... - Pochyliła głowę i po paru chwilach dodała: - Zaczął płakać...

- Czy powiedział, dlaczego wrócił do domu? Albo gdzie jest jego matka? - Francey chciał zebrać jak najwięcej informacji, więc nie mógł pozwolić, by emocje wzięły w nim górę. - Ostatnie wieści o nim mieliśmy z Londynu, a i wtedy nikt nic nie wiedział o Kitty.

- Wiodło mu się fatalnie. - Tilly opanowała się z trudem. - Zmarł jakiś jego przyjaciel, czy ktoś taki, parę razy został pobity... Ukradł parę funtów i przyjechał do Dublina, i tam jednak było mu niezbyt dobrze. Pierwszego dnia, gdy tylko wysiadł z łodzi pocztowej, którą przypłynął, zgarnęła go policja. Nic nie powiedział, lecz sądząc po tym, jak pił moją whisky, zamknęli go za pijaństwo. Pytałam o Kathleen, ale najwyraźniej stracił z nią kontakt wiele lat temu.

- Dlaczego nikt nas nie powiadomił o jego aresztowaniu? - Francey poczuł się lepiej, mogąc wreszcie na coś się oburzyć.

- Bo nie posługiwał się własnym nazwiskiem. Francey się nachylił.

- Ale skoro przybył do naszej parafii, to chyba musi też chcieć wrócić do domu. Dlaczego nie pokazał się matce?

- Myślę, że brakuje mu odwagi - wyjaśniła Tilly. - Nie widziałam go więcej u nas od czasu, gdy mi to wszystko powiedział. Kiedy dziś rano byłam na poczcie, zapytałam jak tylko mogłam najswobodniej, czy któraś z dziewcząt go nie widziała; jedna z nich zauważyła wczoraj zarośniętego faceta nieopodal Derryvegill i jestem pewna, że to był on. To zaledwie parę kilometrów od waszej farmy. Jeśli przyjdzie albo jeżeli go odnajdziesz, nie mów, że to ja go wydałam, dobrze? Ale dzięki Bogu, że wreszcie zrzuciłam ten ciężar. - Tilly z westchnieniem odchyliła się na krześle. - Musisz coś dla niego zrobić, Francey. Trzeba go zawieźć do szpitala albo przynajmniej do lekarza.

Młodzieniec wstał i aby zająć czymś ręce, zdjął budzik z kominka i zaczął go nakręcać. Był tak zdenerwowany, że zrobił to za mocno i kluczyk ułamał mu się w ręce. To była ostatnia kropla.

- No i co teraz? - eksplodował, spoglądając na bezużyteczny kawałek metalu w dłoni. - Przecież zegarek bez kluczyka jest do niczego.

- Kiedy ostatni raz mogłeś się wyspać? - Tilly podeszła blisko i objęła go w pasie, gdyż wyżej nie sięgała.

- Dni, noce, może tygodnie temu - wymruczał Francey w odpowiedzi.

- W takim razie marsz do łóżka. Już i tak dziś w nocy nic nie zrobisz. Masz i tak mnóstwo na głowie, a jutro będzie ciężki dzień.

- Nie mogę prosić, byś siedziała tu sama, Tilly.

- Przecież wcale mnie nie prosisz. To nie pierwszy raz, gdy jestem na nogach całą noc. Tak czy inaczej, znałam biednego Mossiego, zanim którekolwiek z was pojawiło się na świecie. - Pociągnęła go na drugi koniec kuchni, gdzie stało już przygotowane łóżko polowe. - Kiedy twoja matka wreszcie dobuduje parę pokoi? - spytała, podnosząc kołdrę. - Suszę jej o to głowę od lat, ale nie chce mnie słuchać. Wskakuj - zarządziła. - Nawet się nie rozbieraj. Kiedy następnym razem spojrzę na ciebie, chcę zobaczyć, że masz oczy zamknięte i usłyszeć, jak chrapiesz.

- Dziękuję, Tilly. - Francey był tak wdzięczny, że ktoś przejął dowodzenie i kazał mu zrobić coś rozsądnego, że zdobył się na uśmiech. Łóżko było dla niego za krótkie, lecz wygodne i ciepłe. Jak dziecko zwinął się pod kołdrą i wtulił głowę w poduszkę.

- Dobranoc. Obudzę cię za parę godzin. - Tilly zaciągnęła zasłonę i podeszła do pieca kuchennego, by dorzucić drewna. Francey jak przez mgłę słyszał jej krzątanie. Bał się zasnąć, gdyż pełne niepokoju myśli przelatywały mu po głowie i obawiał się koszmarnych snów. Aby je odgonić, przywołał swe ulubione wspomnienie Fleur - choć miał poczucie winy za jego nie stosowność - obraz czarnych, lśniących włosów leżących na jej wspaniałych białych piersiach.

Niestety niewiele mu owa wizja pomogła. Bez względu na to, jak bardzo się starał, widok Fleur zakłócało wyobrażenie Dessiego w łachmanach, gdy tuląc do piersi zapchlonego psa, usiłował znaleźć schronienie przed deszczem w przydrożnym rowie.

Większą część następnego poranka zajęło przywiezienie Goretti, która miała przylecieć na lotnisko w Shannon tak wcześnie, że aby zdążyć ją odebrać, Francey i Margaret musieli wyjechać z domu o wpół do piątej rano. Druga siostra Franceya, Johanna, nie zdołałaby dotrzeć na czas z Montany. Podczas jazdy samochodem na lotnisko i z powrotem nowina o pojawieniu się Dessiego w okolicy paliła Franceya w język, lecz obawiał się wzniecać przedwczesne nadzieje i postanowił nikomu jeszcze nic nie mówić.

Komunia podczas mszy trwała mnóstwo czasu, a potem tak wielu ludzi chciało złożyć kondolencje rodzinie zmarłego, że kondukt żałobny wyszedł z Eyeries dopiero za piętnaście trzecia.

- Już niewiele nam zostało - pocieszał zapłakane siostry, matkę i babcię Sullivan, pomagając im wsiąść do samochodu przed kaplicą.

Rozmyślając nad krwią płynącą w jego żyłach, zastanawiał się, jakie dziwaczne więzy łączą ludzi o różnych, czy nawet podobnych, genach tak, że tworzą oni rodzinę.

Na przykład Dessie - po tylu latach wrócił prawdopodobnie po to, by zobaczyć się z grupką ludzi, z którymi zbliżyły go raczej wątłe więzy krwi. A choć Francey pamiętał go jako wesołego, spokojnego chłopca, jego matka, Kathleen, rodzona siostra Margaret i Goretti, zawsze była kłótniwa, przygnębiona i nigdy się z nikim nie zgadzała. Kiedy samochód ruszył powoli, Francey zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej, gdyby udało się cofnąć czas. Może nudne zajęcie u Ledbettera nie było aż takie złe? Może Mossie żyłby jeszcze...

Martwiło go nienaturalne zachowanie matki. Connie płakała otwarcie, a pozostałe trzy siostry co chwilę ocierały oczy pogniecionymi i wilgotnymi chusteczkami, lecz matka przez całą mszę stała lub klęczała obok niego, wypowiadając modlitwy jak automat, a Francey tak był zajęty wspieraniem jej w smutku, że sam także nie zdołał uronić ani jednej łzy. W istocie zamiast myśleć o Mossiem, cały czas był podenerwowany i zastanawiał się, czy może Dessie

czeka przed kościołem i czy Hazel już przyjechała.

Droga na cmentarz była koszmarna. Świat wokół wydawał się tak normalny - łódeczki i kutry rybackie kołysały się na wodzie, kot oblizywał łapy przy płocie, mewy krążyły po niebie - że gdy kondukt żałobny przesunął się z wolna drogą wzdłuż zatoki Coulagh, Franceyowi wydawało się to świętokradztwem. Pogoda się utrzymała i słońce głaskało białe grzywy fal; błyszczało w krzewach, rozjarzało kwiaty cynobrówki w żywopłotach i odbijało się tak przeźliwie jasno od maski samochodu, że oślepiło kierowcę.

Czyżby ziemia nie wiedziała, że ktoś umarł? Francey z całego serca wolałby, żeby padał deszcz.

Siedział na tylnym siedzeniu, wciśnięty między matkę - wyprostowaną sztywno jak pogrzebacz - i Constance, która wypłakiwała sobie oczy, opierając głowę na ramieniu Margaret. Jego babcia, elegancka dama, której dawną urodę nadal można było dostrzec pod woalką kapelusza, siedziała naprzeciw nich między Abby a Goretti. Chciał pocieszyć Connie i spróbował ją objąć, lecz ofuknęła go i odsunęła się do Margaret.

- Spróbuj się pomodlić, Connie - powiedziała Abigail.

Znacznie lepiej panowała nad emocjami i usiłowała teraz wcisnąć koraliki różańca do rąk młodszej siostry, lecz została potraktowana tak samo jak brat. Francey skupił wzrok na trumnie Mossiego, widocznej przez prostokątne okienko karawanu jadącego przed nimi. Miał nadzieję, że wszystko już wkrótce się skończy.

Kiedy zbliżali się do cmentarza, nieopodal bramy Francey zobaczył nowy mikrobus zespołu High Rollers, pomalowany w charakterystyczne żółto-czarne wzory, zachlapany teraz błotem po dach. Gdy samochód wjechał na parking przed murem cmentarnym, Francey zobaczył jasne włosy Hazel. Włożyła buty na płaskich obcasach i bardzo skromne jak na nią ubranie. Stała w towarzystwie jednego z członków zespołu pod drzewami, nie chcąc nikomu się narzucać. Francey zauważył, że gdy karawan się zatrzymał, zawiązała chustkę na głowie. Mimo ponurej okazji serce mu zabiło mocniej z czułości: kochana Hazel, pomyślał, jakże ona się stara.

Pomógłszy matce i babce wysiąść z samochodu, podszedł do piosenkarki i ujął jej obie dłonie.

- Dziękuję, że przyjechaliście - powiedział. - Mam nadzieję, że przyjdziecie później do nas do domu?

Hazel skinęła głową; Francey podziękował jej raz jeszcze, po czym wrócił do karawanu,

by wnieść trumnę na cmentarz.

Różnica we wzroście między nim a trzema kuzynami Mossiego, którzy także dźwigali trumnę, dała o sobie znać, gdy tylko weszli na cmentarz. Francey, świadomy, że to oni biorą na siebie większość ciężaru, starał się iść na ugiętych kolanach, gdy zgodnie z tradycją obnosili trumnę wokół cmentarza. Kiedy już stanęli nad otwartym grobem, nogi mu drżały i z ulgą postawił ciężar na ziemi. Cofnął się o krok, ujął matkę pod ramię i zaczęły się końcowe uroczystości.

Pomógł opuścić Mossiego na jego ostatnie miejsce spoczynku, wyprostował się, a potem rozejrzał po zgromadzonych dookoła ludziach. Gdyby Dessie naprawdę zamierzał tu przyjść, chyba już by się pokazał?

Za plecami zbitego tłumu maleńki cmentarzyk i pola wydawały się puste.

Przez następnych kilka godzin Francey był tak zajęty gośćmi przybyłymi na stypę, że nie mógł myśleć o niczym innym. Wraz z Tilly i siostrami cały czas byli na nogach, donosili jedzenie i picie oraz rozmawiali z rodziną i znajomymi. Nareszcie matka mogła spokojnie odetchnąć i pozwolić, by to inni wszystkim się zajęli. Spoglądając na nią od czasu do czasu, gdy tkwiła obok swej matki nieruchoma jak głaz, Francey zastanawiał się, czy aby nie wyświadczyli Elizabeth niedźwiedziej przysługi: może byłoby dla niej lepiej, gdyby musiała się czymś zająć? Jak na razie nie zauważył, by rozmawiała z Hazel, oprócz zwyczajowych kondolencji na cmentarzu. Najwyraźniej nie żywiły do siebie urazy i Francey odetchnął z ulgą.

Wszedł teraz z powrotem do kuchni, niosąc nowy talerz pełen kanapek i zauważył, że piosenkarka siedzi otoczona wianuszkiem sympatyków i odpowiada na pytania. Zespół High Rollers znajdował się w pierwszej dziesiątce grup muzycznych wraz z Clipper Carltons, Cadets, Royals i Miami; dopiero teraz przypomniał sobie, że Hazel jest gwiazdą - do tej pory jakoś zupełnie nie zwracał na to uwagi. Rozejrzał się w tłumie za jej towarzyszem, którego imienia nawet nie pamiętał. Nigdzie go nie dojrzał, więc doszedł do wniosku, że sam musi ją ratować.

Przecisnąwszy się do przyjaciółki, wyciągnął ku niej talerz z kanapkami.

- Wszystko w porządku, Hazel? Masz może ochotę coś przekąsić? - A gdy odmówiła, pociągnął ją za łokieć: - Mama nie miała jeszcze okazji z tobą porozmawiać.

Kiedy oddalili się nieco, podziękowała mu cichutko. Spytał, co się stało z jej towarzyszem, więc wyjaśniła, że poszedł do samochodu. Francey ujął ją za rękę.

- Chodź ze mną. Nie musisz rozmawiać z mamą. Powiedziałem to tylko po to, by cię wyrwać z ich szponów. Sam chcę z tobą pogadać.

Oddał talerz z kanapkami Tilly i nie zwracając uwagi na pytające spojrzenia rzucone w ich stronę, wyprowadził Hazel na zewnątrz. Było już prawie ciemno i tak zimno, że gdyby nie wiedział, iż na Béara nigdy nie pada śnieg, spodziewałby się zobaczyć białe płatki lecące z nieba.

- Chodź tutaj. - Pociągnął ją w stronę Wybryku. - Tu przynajmniej będziemy mieć kilka chwil spokoju.

Jeśli przypuszczał, że jakoś skomentuje zadziwiającą zawartość przybudówki, to się pomylił. Hazel usiadła na bujanym fotelu, jak zwykle podwijając jedną nogę pod siebie.

- Wspaniale, że przyjechałaś, Hazel. Naprawdę to doceniam. - Przycupnął przed nią na podłodze. - Nie musicie zostawać. Tak czy inaczej, pewnie niedługo już sobie pójda. Dziwi mnie, że siedzą tu jeszcze... w końcu jest Wigilia. - Te słowa zszokowały go: trudno było uwierzyć, że miał to być najszczęśliwszy dzień w roku. - Ludzie nie powinni umierać na święta - dodał.

- Ludzie nigdy nie robią tego, czego się po nich spodziewamy - odparła Hazel z dziwną miną. - To dlatego są tacy interesujący. Ale nie martw się - dodała po chwili. - Nie zamierzam sprawiać wam kłopotu. Vinnie pojechał do Castletownbere, żeby zorganizować nam jakiś nocleg w hotelu, więc musisz zająć się mną tylko do jego powrotu. Czy byłeś bardzo blisko z ojczymem?

Francey zaczął jej opowiadać o Mossiem i o tym, jak czuje się winny jego śmierci, ponieważ chciał się popisać przed domownikami swym bogactwem.

- Niebezpiecznie jest mieć mnie w rodzinie. Jakże chciałbym móc cofnąć czas.

- Naprawdę? - Hazel popatrzyła na niego uważnie. - Nie mieć pieniędzy? Nie mieć bogatych krewnych? Nie spotkać syjamskiej siostry? A tak przy okazji, jak poszło ci z tą twoją ukochaną? - spytała, siląc się na obojętność.

Ponieważ Francey wyrósł w otoczeniu kobiet, wiedział, iż centrum ich wszechświata stanowią romanse, ale coś - może jego namiętność do Fleur była jeszcze zbyt świeża - nadal powstrzymywało go przed wyjawieniem Hazel całej prawdy.

A może chciał na wszelki wypadek zostawić sobie otwarte drzwi, tak by móc z nią... jeśli nadarzy się okazja...? Mimo że gardził sobą za te myśli, odrzekł spokojnie:

- Dobrze. Prawdę mówiąc, nie miałem okazji, żeby się z nią zbyt często spotykać.

- Rozumiem. - Cieniutkie brwi Hazel podskoczyły.

- Przykro mi, że nie przyszedłem do ciebie w piątek - dodał, mając nadzieję, że brzmi to

przekonująco. - Ale miałem całe mnóstwo spraw do załatwienia. Zastanawiam się nad kupnem własnego mieszkania w Anglii. Jeśli mi się uda, będziesz musiała mnie odwiedzić. - Dopiero gdy usłyszał własne słowa, zrozumiał, jaką głupotą jest mówienie podobnych rzeczy kobiecie, z którą kochał się dzień i noc przez cały tydzień całkiem niedawno temu. - Słuchaj, Hazel - zaczął - nigdy nie miałem okazji, by ci podziękować...

- Za co? - przerwała mu.

- Za, no, wiesz... Za wspaniałe chwile, jakie spędziłem w twoim mieszkaniu...

- Nie ma za co. - Wydeła lekko usta. - Ja też nie bawiłam się tak znowu najgorzej, wiesz? Francey nachylił się nieco i uściskał jej obie dłonie.

- Mówię poważnie, Hazel - nalegał. - Nigdy tego nie zapomnę... To tak, jakbym obudził się z jakiegoś długiego snu czy coś podobnego.

- Taak. - Wyrwała mu rękę i wstała z fotela. - Oto cała ja. Cholerna Śpiąca Królewna! - Podeszła do najbliższej półki i zaczęła przeglądać tytuły. - Czyje są wszystkie te książki?

Mimo że nadal mówiła swym zwyczajnym miłym głosem, taka zmiana tematu wprowadziła Franceya w zakłopotanie.

- Większość z nich należy... należała... do mojego ojczyma. - Czując się jak zagubione dziecko, podszedł do niej. - Strasznie mi przykro, że tak zepsułem ci święta...

- Moje święta? - spytała Hazel zadziornie. - I tak większość z nich spędziłam w trasie.

Francey miał wrażenie, że wyczuł w jej tonie niezwykłą powagę. To nie była ta Hazel, którą znał lub której teraz potrzebował.

- A co z twoją rodziną, z obiadem świątecznym? - spytał; ulżyło mu, kiedy zobaczył jej uśmiech.

- Zespół jest moją rodziną, poza tym i tak nie znoszę indyka.

- Nie wierzę, że nie masz żadnych krewnych.

- Kilku wujów, ciotki i kuzynów, o których wstyd wspominać. - Wzruszyła ramionami. - Żeby już nie wspominać, że to oni wstydzą się mnie. Poza tym mój mąż właśnie się ze mną rozwodzi - dodała.

Przypomniał sobie, jak podczas ich pierwszego wspólnego wieczora w barze Hazel powiedziała coś o nadziei - czy może przypuszczeniu - że mąż się z nią rozwiedzie, lecz nagle nie był pewien, jak rozumieć jej ton. Nie mówiła jak ktoś zadowolony czy choćby zrezygnowany.

- I jak się z tym czujesz? - Ostrożnie badał grunt.

- Nie wiem. - Wydawało się, że przyjaciółka rozważa różne możliwości. - W porządku...

jak mi się zdaje. To ścierwo. Przepraszam... ale naprawdę nie jest niczym więcej. Nie odzywał się przez wiele, wiele lat, a tu nagle ten list. Jedna pieprzona stroniczka. I nawet nie od niego. - Podniosła głos i wydawało się, że całe jej ciało usztywniło się nagle. - Napisał go jakiś cholerny brytyjski prawnik. - Zerknęła na Franceya; w tej chwili przypominała mu małą rozzłoszczoną wiewiórkę. - Jeżeli myśli, że przyjmę to z podkulonym ogonem, to się grubo myli!

Francey zdumiony był jej zajadłością. Zupełnie jakby wcisnął guzik opatrzony napisem „furia”.

- Ale czy nie byliście od lat w separacji? - Popatrzył na nią w dół.

- Nie o to chodzi! - wykrzyknęła. - Ten sukinsyn mnie zostawił...

Ku jego konsternacji wybuchnęła płaczem. Zawahał się przez moment, a potem przytulił ją do siebie, podnosząc z podłogi, jakby była dzieckiem.

- Nie płacz. - Usiłował podtrzymać jej głowę dłonią, lecz Hazel nie zamierzała mu na to pozwolić.

- Na miłość boską! - Walczyła zaciekle w jego ramionach, zapomniawszy o łzach. - Postaw mnie na ziemi, ty wielki klocu!

Zaskoczony Francey posłuchał, a ona nadal go besztala.

- Nie jestem żadnym zasmarkańcem! - wrzasnęła.

- Kim?! - Nigdy wcześniej nie słyszał tego określenia.

- Dzieciakiem! - Hazel obciągnęła sukienkę, gdyż na skutek ich szarpaniny podjechała jej do góry pod futrem, którego nie zdjęła od przyjazdu. - Nie jestem żadnym cholernym dzieckiem i nie zgadzam się, żebyś mnie podnosił i stawiał jak jakieś jo-jo!

- A kto cię tu traktuje jak... ja cię wcale nie uważam za... - zaprotestował. - Hazel, ja tylko... - Chciał powiedzieć, że darzy ją największym szacunkiem, lecz się rozmyślił; kto wie, jak w obecnym nastroju potraktowałyby podobne oświadczenie. - Mogę ci coś przynieść? - spytał. - Może drinka?

Hazel przyjrzała mu się szeroko otwartymi oczyma. Tusz do rzęs ściekał jej po policzkach - mimo stonowanego ubrania miała na sobie pełne barwy wojenne - i Francey przypomniał sobie, jak powiedziała mu kiedyś, że nie zrobiłaby nic, choćby tak trywialnego jak wyniesienie śmieci, bez wcześniejszego przyklejenia sztucznych rzęs.

- Proszę, wybacz mi, Francey - odezwała się cicho. - Wiem, że zachowuję się jak suka. To ja powinnam pocieszać ciebie. W końcu po to są pogrzeby, nie?

- Przykro mi z powodu tego, co robi twój mąż - odrzekł. - To ja zachowałem się jak idio-

ta. Po prostu nie sądziłem, że będziesz tak się przejmować rozwodem.

- Nie przejmuję się i właśnie o to chodzi. Zupełnie nie rozumiem, co we mnie wstąpiło. - Wytarła twarz ręką. - Wyglądam okropnie, prawda? Zawsze kiedy płacę, wyglądam jak siedem nieszczęść.

- Wyglądasz cudownie - zapewnił ją Francey.

- Nadal jesteśmy przyjaciółmi? - Hazel wyciągnęła do niego rękę.

- Po tym wspólnie spędzonym tygodniu mam nadzieję, że jesteśmy więcej niż tylko przyjaciółmi, Hazel - odparł i jak światowy dżentelmen nachylił się, by pocałować ją w usta.

Odpowiedziała chłodno, więc się wycofał.

- Przepraszam. Wiem, że to było nie na miejscu. W końcu to pogrzeb.

- Taak. Może wrócimy do środka? Twoja matka pewnie się niecierpliwi.

- Jeszcze nie: Przyda mi się chwila oddechu. Czy mógłbym ci jakoś pomóc w tej sprawie z mężem? Potrzebujesz może prawnika czy kogoś takiego?

- A mógłbyś wrócić na jeden dzień do Ledbettera i ukraść piłę łańcuchową? - Ku wielkiej uldze Franceya dziewczyna roześmiała się i była to już wesoła Hazel, jaką znał.

Odwzajemnił jej uśmiech.

- Jeśli tylko czegoś potrzebujesz, wystarczy, że mi powiesz. W rzeczy samej chyba to ja mogę potrzebować twojej pomocy - dodał pod wpływem impulsu. - Muszę ci coś powiedzieć, bo inaczej mnie rozsadzi.

I opowiedział jej o pojawieniu się Dessiego w okolicy.

Rozdział dziesiąty

Niespełna dziesięć kilometrów dalej brudna postać wychynęła spod przydrożnych krzaków; za nią wylazł podobny do teriera pies o mocno skołtunionej i brudnej sierści - przeciągnął się i ziewnął, a później, gdy jego pan zajął się poprawianiem paska, który podtrzymywał mu większą część przyodziewku, zwierzak usiadł przy drodze i zaczął się energicznie drapać.

Pośród licznych dolegliwości Dessiego Scollarda najgorszy był ból zęba, tak silny, że nieszczęśnikowi wydawało się, jakby wewnątrz jego głowy zamieniono w kuźnię. Aby jakoś uśmierzyć cierpienia, przycisnął dłonie do czoła i rozejrzał się wokół.

Stał na niewielkim wzgórzu tworzącym naturalny łuk nad jaskiniami, o które poniżej bez przerwy były fale. Białe jak śnieg wieczorne gwiazdy świeciły jasno na bezchmurnym niebie, jeszcze nie do końca ciemnym: słońce dopiero co skryło się za szarym horyzontem na Atlantyku, a fioletowe szczyty wzgórz Kerry po drugiej stronie rzeki Kenmare nadal były doskonale widoczne. Drżący, obojętny na spokojne piękno krajobrazu, Dessie odkręcił butelkę, którą wyjął z jednej z kieszeni, i wypił resztki płynu z dna, obracając piekący trunek w ustach, by uśmierzyć ból. Wysączywszy ostatnie drogocenne krople, wyrzucił zarówno butelkę, jak i zakrętkę, usiłując desperacko je kopnąć, gdy jeszcze znajdowały się w powietrzu. Potrzebował alkoholu, znacznie więcej alkoholu, lecz wątpił, by tego wieczora udało mu się zdobyć choć kropelkę.

Nieco dalej, po jego prawej stronie paliły się światełka w pubie, w którym dwa dni wcześniej wybłągał ciepły posiłek i butelkę piwa. Jednak między nim a tym cudownym miejscem biegły torfowe zbocza kanału melioracyjnego. Tak czy inaczej, był zbyt słaby i wątpił, by nogi zaniósły go aż tak daleko, nawet jeśli ktoś przysięgłby mu pomoc na końcu owej długiej drogi. Minęło już znacznie więcej niż dwadzieścia cztery godziny od jego ostatniego posiłku.

Choć raz jego umysł - mimo że owładnięty potrzebą alkoholu - pracował jasno. Dessie opadł w wilgotną trawę i zawołał psa. Zwierzę przyczołgało się do niego, szorując trawę brzuchem i machając wyliniałym ogonem. Kiedy kundel przytulił się do jego uda, Dessie pociągnął zwierzaka za uszy.

- I co my teraz zrobimy? - szepnął.

Przyłączenie do tego zapomnianego przez Boga i ludzi zakątka było szaleństwem. Cały ów pomysł z przyjazdem do Irlandii był idiotyczny. Dessie niewiele pamiętał z dzieciństwa spędzonego w Lahersheen, lecz w czasie kiedy mieszkał z matką, a także i później, przez jego

umysł przebiegały abstrakcyjne wspomnienia miejsca przepelnionego światłem, ruchem i ciepłem, miejsca, gdzie królowały przyjazne żółte barwy i ciepłe złote odcienie. Umykało mu jedynie uczucie, które towarzyszyło owym wspomnieniom; jeśli Dessie skoncentrował się wystarczająco mocno, wiedział tylko, że musiał być tu szczęśliwy.

Kiedy matka go stąd zabrała, miał zaledwie sześć lat - wystarczająco dużo, by to pamiętać; choć szczerze mówiąc, z podróży zapamiętał tylko zmieniające się kolory: przechodzące z jasnych w ciemne, z żółtych i złotych w zgaszone brązy i szarości. W jednej chwili przebywał w domu, w następnej spał w ciemnym, śmierdzącym łóżku z matką, a po jej drugiej stronie chrapał obcy, nienawidzący go mężczyzna. Nie miał nawet pojęcia, jaki przeciąg czasu dzielił te dwa wspomnienia; kiedy dorósł dostatecznie, by zapytać matkę, zbyt się już zatraciła w alkoholu, by pamiętać.

Życie sprowadzało się do kwestii przetrwania, siedzenia cicho i pochłaniania jedzenia, które przed nim postawiono, lub unikania ciosów i krycia się po kątach przed awanturami. We dwoje przenosili się z jednego małego miasteczka w północnej Anglii do drugiego wraz z kowodem „wujków”, matka zaś często upijała się tak strasznie, że nie potrafił jej dobudzić. Sympiali w przyczepach lub opuszczonych domach, a jedną zimę spędzili w piwnicy kotłowni od lat nieczynnej fabryki; przez cały ten czas udawało się im unikać czystych Angielek i dociekliwych Anglików, których od czasu do czasu napotykali na swej drodze i którzy usiłowali rozdzielić oboje lub posłać chłopca do szkoły.

W jakiś dziwny sposób Dessiemu udało się dożyć trzynastu lat, aż pewnego dnia - kiedy mieszkali w Birmingham, jeden z „wujków” spuścił mu za zamkniętymi okiennicami domu noclegowego wyjątkowo okrutne lanie. Dessie czekał, aż matka i ten człowiek zasną, po czym wybrał się na własną rękę do Londynu, zabierając ze sobą wszystkie pieniądze i cenne rzeczy, jakie udało mu się znaleźć. Nigdy więcej nie zobaczył matki i choć od czasu do czasu - zwłaszcza w ciężkich chwilach - za nią tęsknił, wydawało się, że jest to czysto fizyczne cierpienie, przypominające ból po stracie nienazwanego organu jego ciała. Nie tęsknił za niczym szczególnym w jej osobie: jeśli dobrze pamiętał, nigdy go nawet nie przytuliła i przez większą część czasu myślał o niej jako o starej małpie.

Przez następne trzy czy cztery lata żył z tego, co mu przyniósł los, nieraz przyłączając się do grup wyrostków w jego wieku. Wszyscy utrzymywali się z drobnych przestępstw i to przy nich Dessie udoskonalił swą sztukę okradania sklepów. Zaopatrzony w tę nową umiejętność, porzucił w końcu rówieśników i wyruszył na własną rękę szukać schronisk i noclegowni, a

także instytucji dobroczynnych, gdzie stawiano niewiele pytań i dawano dużo jedzenia.

Właśnie w takim miejscu, kiedy miał prawie osiemnaście lat, spotkał Peteya McCanna, alkoholika, który niegdyś był nauczycielem. Bardzo szybko znaleźli wspólny język i jak to się nieraz zdarza w ich poszatkiwanym środowisku, zaprzyjaźnili się i zostali kompanami w podróży. Petey potrafił zorganizować pierwszorzędne łóżka w noclegowni, za które nawet nie trzeba było płacić, a jeśli to mu się nie udawało, umiał znaleźć najsuchsze miejsca do spania w mieście. Doskonale znał sieć irlandzkich pomywaczy, barmanów, kelnerów i portierów hotelowych, którzy utrzymywali w ruchu maszynę londyńskiego półświatka i którzy, ogólnie rzecz biorąc, mieli dobre serca. Wiedział, który z irlandzkich księży da parę groszy, nie wygłaszając przy okazji potępiających sądów lub nie pouczając, że mają nie wydawać pieniędzy na alkohol; był też na ty z większością personelu irlandzkich placówek pomocy biednym. Pod wieloma aspektami rok spędzony z Peteyem był dla Dessiego jeśli nie najszczęśliwszy, to z pewnością najbardziej stabilny w życiu. Jednak podobnie jak jego przyjaciel, chłopiec zaczął się coraz bardziej uzależniać od alkoholu.

Petey często gadał bez sensu, lecz nawet z tego pijackiego bełkotu przebijała wielka kultura umysłu. To on zaszczepił Dessiemu pogląd, że włóczenie się po gościńcach Anglii jest szlachetnym zajęciem, zapoczątkowanym wiele wieków temu przez poetów i bardów. Tak więc gdy opiekun zmarł pewnej zimnej wilgotnej nocy pod jednym z londyńskich mostów parę miesięcy temu, Dessie doszedł do wniosku, że nie ma czego dalej szukać w mieście. W końcu był Irlandczykiem, więc powinien wrócić do domu.

Przez jakiś czas zdawało się, że podjął właściwą decyzję. Jego *modus operandi* był prosty: zawsze pilnował, by przed zmrokiem dotrzeć do wioski lub miasta i zacząć chodzić od drzwi do drzwi, błagając - mimo okazjonalnych objawów niechęci - o to, czego najbardziej potrzebował: kropelkę brandy lub whisky, by przetrwać kolejną zimną noc. Nauczył się, że zakony i klasztory są nieocenionymi źródłami wszelkich dóbr i że można wygodnie spędzić noc, wślizgując się niezauważenie do konfesjonału w kościele; często też udawało mu się zdobyć butelczynę jakiegoś trunku dzięki złodziejskim zdolnościom.

Znalazł sobie psa, lub może raczej pies znalazł sobie jego na bocznej drodze w północnym Tipperary, a wtedy ludzie zaczęli być dla niego jeszcze bardziej hojni: widok żalostnego stworzenia, wlokącego się za nim na sznurku, zdawał się kłuć ludzkie sumienia i otwierać sakiewki skuteczniej niż widok zaniedbanego samotnego chłopca w tarapatach.

Dopiero gdy dotarł w okolice swego dawnego domu, szczęście się odwróciło. Wędrował

wraz z psem ścieżkami na obrzeżach Castletownbere, kiedy poczuł gwałtowny ból zęba, który od jakiegoś czasu dawał o sobie znać. Miał butelkę pełną sherry, więc udało mu się stłumić ból na kilka godzin, lecz już tej samej nocy wrócił z pełną siłą. Właściciel pubu dał mu jedzenie i gorącą zupę do picia; Dessie znalazł na noc szałas nieopodal mostu na przedmieściach, lecz nie mógł zasnąć.

Następnego ranka nie bardzo wiedział, jak ma dojść do Lahersheen, a nie chciał nikogo pytać, by nie budzić podejrzeń. Później usłyszał, jak jakiś kierowca proponuje przechodniowi podwiezienie do Eyeries. Nazwa wioski brzmiała znajomo. Wysoka kaplica? Miodowe cukierki w kartonowym pudle na ladzie sklepowej? Postanowił iść drogą obraną przez uczynnego kierowcę.

Dziesięć minut później, gdy wraz z psem wyruszyli w drogę, ból zęba zaczął mijać dzięki temu, że połknął pigułki i olejek podarowane mu przez szczodrobliwą kobiecinę, którą prosił tylko o kawałek chleba i coś do picia. Idąc niespiesznie poboczem, wypatrywał znajomych szczegółów; przyglądał się wszystkiemu, co go otaczało - kapliczce z jednej strony drogi, dwóm ogromnym cyprysom rosnącym pośrodku cmentarza po drugiej stronie, chatce tu, farmie tam. Jednak jeśli te zielone i brązowe wzgórza, to jasnyniebieskie morze w dole i pochmurne niebo były drogowskazami do Lahersheen, wymazał je z pamięci.

Gdyby ktoś go spytał, nie potrafiłby odpowiedzieć, czemu tyle czasu i wysiłku poświęca penetrowaniu tych okolic, myszkowaniu po zakątkach powiatu, zaglądaniu za żywopłoty i patrzeniu na morze. Pomyślał, że być może wystarczy mu samo odnalezienie tego miejsca i nie będzie musiał nikomu się ujawniać. Mimo to, kiedy przemierzał drogi i ścieżki, czuł w sercu podniecenie i podczas pierwszych kilku dni spędzonych w parafii wydawało się, że nie może się zdarzyć nic złego. Pewna kobieta dała mu całą paczkę aspiryny, by uśmierzyć ból zęba, a inna małą buteleczkę bimbrowy. Jednak po pewnej nocy spędzonej w starej szopie w towarzystwie jeszcze starszego osiołka, czwartego ranka obudziła go straszliwa kakofonia kropli deszczu, walących w sfatygowany dach. Pogoda się zmieniła.

Szopa, jedna z kilku stojących w rzędzie, najwyraźniej została postawiona po to, by osłonić dom przed południowo-zachodnimi podmuchami wiatru. Kiedy chłopak wyjrzał przez brudne okienko, aż zatrząsł się na myśl o wychodzeniu na zewnątrz. Wzdłuż kamienistego wybrzeża czarne morze wyrzucało wysoko w powietrze białe gejzery; grudowate naszyjniki piany wdzierały się wysoko na pola i obryzgiwały żywopłoty, dalej zaś, w głębi łądu, brązowa trawa, krzewy i drzewa chyliły się ku ziemi pod bolesnymi razami deszczu i wichru, który wiał przez

krainę, jak gdyby uważał ją za ogromny żagiel.

Dessie nie pił nic już od ponad dwudziestu czterech godzin i pragnienie coraz dokuczliwiej dawało mu o sobie znać. Przynajmniej zostało mu jeszcze trochę aspiryny. Zebrawszy w ustach nieco śliny, przełknął trzy gorzkie tabletki i wezwawszy psa, przytulił go do siebie pod płaszczem.

Godzinę później, w małym sklepiku, który lśnił niczym neon wśród deszczu, zwinął cztery czekoladowe batoniki i małą butelkę denaturatu, kiedy właściciel poszedł po szklanekę wody dla niego. Spirytus denaturowany Dessie pił tylko raz w życiu i nienawidził jego słodkawego, benzynowego smaku, lecz potrzeba była tak silna, że nie dbał o to, czy się przy okazji zatruje. Nadal tuląc do siebie psa, odszedł spory kawałek od miejsca swej zbrodni, zanim odważył się pociągnąć pierwszy łyk.

Znalazł się na drodze wiodącej przez wzgórze i biegnącej dalej prosto polami. Sztorm skowyczał w przestworzach, lecz Dessiego niewiele to obchodziło; odwrócił się plecami do zacinającego deszczu i odwinął z papierków batoniki. Jeden dał psu, a opakowania puścił z wiatrem. Potem na zmianę przykladał do ust butelkę i pogryzał batonik, chcąc zabić koszmarne smaki, i wypił dostatecznie dużo alkoholu, żeby zagłuszyć pragnienie. Jednak parę chwil później zakręciło mu się w głowie i zebrało na wymioty. Wypił zbyt wiele w zbyt szybkim tempie i teraz musiał się położyć.

Wpełznął pod krzak w przydrożnym rowie i zwałił się na ziemię; podczas gdy psiak wylizywał resztki czekolady z jego warg, Dessie zapadł w sen.

W następnej chwili poczuł, że ktoś go budzi i wiezie samochodem do domu, w którym dostał jedzenie, suche posłanie w stajni, a nawet nowe buty; jego dobroczyńcami okazali się ludzie o nazwisku Harrington; dali mu nie tylko schronienie i jadło, ale, co najważniejsze, także alkohol.

Następnego dnia rano, kiedy chłopak wylazłszy ze stajni, stanął na rozstaju dróg nieopodal domu Harringtonów, poczuł dziwne drgnienie pamięci. W nocy przybłąkały się do niego jeszcze dwa psy. Dessiego szalenie cieszyło ich przyjazne towarzystwo, lecz obawiał się, że niezwykła kompania może ściągnąć niepotrzebną uwagę na jego osobę.

Przez kilka następnych dni kręcił się po okolicy, nie mogąc się zdecydować, co robić, lecz po tym, jak wyjawiał pani Harrington, kim jest, przestraszył się i bardzo pilnował, by już nikt nie zobaczył go za dnia. Mimo że zapewniała chłopca, iż jego krewni są wspaniałymi ludźmi, którzy z pewnością uszanują potrzebę niezależności Dessiego, nie był o tym do końca

przekonany. Przyzwyczał się do samotności i braku czyjejkolwiek kontroli. A gdyby chcieli go umieścić w jakimś zakładzie odwykowym? A jeśliby się nie zgodził, czy wezwaliby policję i zmusili go do tego? W środowisku, w którym obracał się w Londynie, aż wrzało od opowieści o ludziach, którzy byli siłą zmuszani do pobytu w tak zwanych szpitalach.

Późnym wieczorem poprzedniego dnia widział, jak do domu jego krewnych przyjeżdżało mnóstwo ludzi na rowerach i samochodami, a także sąsiadów, wnoszących kopiaste talerze jedzenia przez kuchenne drzwi. Najwyraźniej szykowało się wielkie gwiazdkowe przyjęcie. To pomogło mu w podjęciu decyzji. Nie mógł pokazać się na oczy rodzinie w obecności tak wielu obcych. Może wróci tu innym razem; Dessie doszedł do wniosku, że nie ma tu czego szukać, więc postanowił pójść wzdłuż wybrzeża do północno-zachodniego Kerry.

Pogoda się poprawiła: mimo że nadal było zimno, przestał padać deszcz. Dessie zabrał jeden z koców, które zostawiła pani Harrington w stajni. W nowych butach na nogach i pod ciepłym kocem, spędził tę noc w spokoju pod przewróconym wozem na siano.

Jednak gdy się obudził, dopadł go na powrót ból zęba, silniejszy niż do tej pory. Zdawało się, że narasta z każdym krokiem, wysyłając oślepiające błyskawice z mózgu do oczu. Po tym, jak przeszedł kilka kilometrów, ból stał się nie do zniesienia; promieniował z głowy na kark, ramiona i pierś. To dlatego Dessie poszukał kryjówki i ostatnie parę godzin spędził pod kamieniem. Doszedł do wniosku, że jeśli uda mu się zasnąć, to później z pewnością poczuje się lepiej.

- Chodź tutaj. - Zapadł zmrok, więc przyciągnął psiaka do piersi. - Musimy nauczyć cię wrywać zęby.

Pies polizał go po nosie, westchnął i zamknął oczy. Tuląc do siebie kościste ciało, Dessie rozważał zakończenie tego wszystkiego dla nich obu. Łagodny szum morza poniżej był szalenie kuszący i nieomal hipnotyczny. To takie proste... Dwie sekundy - tylko tyle zajęłoby skończenie z tą beznadzieją. Dwie sekundy i nie byłoby już nigdy więcej bólu. Oprócz bolącego zęba ssało go z głodu, a organizm domagał się alkoholu i chłopak czuł się zmęczony do granic przytomności.

Musiał się napić. Ciągając za sobą psa, Dessie spróbował zaszyć się głębiej w dół pod kamieniem. Po kilku chwilach zapadł w lekką, błogosławioną drzemkę. Śniło mu się, że przebywa w jakiejś dziwnej zagrodzie, której boczne ścianki wykonane są z płynnego, perłowego światła, góra zaś jest otwarta. Dokoła niego przepływało całe mnóstwo jasnych postaci. Choć wydawało mu się, że są z płynnego światła, miał wrażenie, iż rozpoznaje ich rysy... był też

pewien, że są mu przyjazne. Kiedy spoglądał na nie, czuł się spokojnie i lekko, tak że gdyby tylko chciał, mógłby się wzbić ku nim w powietrzu; wystarczyłoby unieść ramiona, a poszybowałyby w górę. Nie czuł jednak takiej potrzeby, gdyż było mu dobrze tu, gdzie leżał. Cały teren zalany był złotym światłem, centrum zaś stanowiło pulsujące, ogromne słońce, unoszące się tuż nad wejściem do zagrody; sięgało ku niemu i przenikało całe ciało, aż miał wrażenie, że w jego żyłach płynie nie krew, lecz miód.

Pies w ramionach Dessiego poruszył się i zaskomlał przez sen, budząc go. Jak zawsze po tym śnie, który powracał, odkąd chłopak sięgał pamięcią, łzy zakręciły się Dessiemu w oczach, a poczucie straty było tak silne, że prawie materialne. Dopiero po sekundzie lub dwóch rozpoznał czarny kamienny sufit nad głową, poczuł zimne nocne powietrze na twarzy i ból zęba.

Potem już podjęcie decyzji nie było trudne.

Dessie przeszukał ziemię dokoła, aż znalazł niewielki kamień. Z trudem obwiązał go wolnym końcem sznurka, którego drugi koniec zamotał dokoła szyi psiaka. Musiał zrobić to szybko, aby nie zmienić zdania. Zwierzę nie protestowało, lecz gdy niósł je w stronę stromej krawędzi, zaczęło drżeć w jego ramionach i spoglądając nań, pokazywało białka oczu w zimnym świetle gwiazd.

- Przykro mi, mój mały - szepnął Dessie - ale nie dałbyś rady przetrwać beze mnie.

Zamknął oczy i cisnął psa najdalej, jak tylko potrafił. Żadnego dźwięku. Tylko straszliwa cisza, ciche pluśnięcie odróżniające się od spokojnego chlupotu fal o skały.

Bał się to zrobić z tego miejsca. Mógł się roztrzaskać o skały i spieprzyć całą sprawę. Oślepiiony łzami, z bólem rozsadzającym głowę, przebiegł jakieś sto kroków wzdłuż brzegu do miejsca, gdzie skały wychodziły głęboko w morze. Na oślep zaczął zsuwać się w dół, nie dbając o zadrapania i sińce na rękach, o podarte ubranie. Właśnie zaczął się odpływ i ostatni kawałek piachu był wilgotny i śliski. Dessie stąpnął w jakąś dziurę i noga się pod nim ugięła. Wyszarpnął ją, ignorując nowy ból; przeszedł kulejąc ostatni odcinek, aż dotarł od miejsca, gdzie znajdował się niewielki uskock. Nie zawahał się, lecz nabrawszy w płuca tyle powietrza, ile tylko zdołał, i z okrzykiem na wpół rozpacz, na wpół triumfu, rzucił się w fale.

Uderzywszy ciałem o powierzchnię, spróbował się rozluźnić, lecz nie spodziewał się, że woda będzie tak zimna i zaczął się miotać, zaszokowany. Nigdy nie nauczył się pływać i teraz się zdziwił, że nie idzie na dno.

Odetchnął głęboko i zmusił się do bezwładu, jednak gdy tylko fale zakryły mu głowę, nie potrafił się opanować i znowu wychynał na powierzchnię. Absurdalnie, zaczął głośno liczyć:

- Jeden, dwa, trzy... - Przy ostatnim słowie poddał się wreszcie.

- Nie zawracajmy - prosił Francey, kiedy dotarli do brzegów jeziora Derryvegill. - Jedźmy jeszcze przez piętnaście minut.

Ponieważ była Wigilia Bożego Narodzenia, uczestnicy stypy rozeszli się do domów wcześniej, niż nastąpiłoby to każdego innego dnia i ostatni goście wyszli od Sheehanów o wpół do siódmej. Było już po dziewiątej wieczorem i ekipa poszukiwawcza - złożona z Tilly, jej męża, Hazel i jej przyjaciela Vinniego, który prowadził mikrobus High Rollersów, oraz samego Franceya - penetrowała okolicę już od ponad godziny.

Jakieś pięć kilometrów za jeziorem, idąc za wskazówkami Franceya, Vinnie zjechał na wąską, stromą dróżkę wiodącą do Cleanderry, małej zatoczki niewidocznej z drogi. Wzięli z sobą Reksa i psa Harringtonów.

- Niech wszyscy obserwują psy - polecił Francey, gdy się rozdzielali.

Pomyślał, że jeśli Dessie nadal ma przy sobie tamtego kundla, ich psy pomogą im w namierzeniu obu zbiegów.

Zaczął od przeszukania małych, poprzewracanych łódek na plaży, podczas gdy Reks wesoło chlapał się w wodzie przed nim; później przystanął na brzegu i przysłuchiwał się dźwiękom, które dochodziły z dwóch stojących nieopodal na kotwicy barek. Przystań znajdowała się u ujścia niedużej rzeki odgradzonej od zatoczki łukowato wygiętymi skałami. Francey podniósł w górę zapaloną latarkę i przepatrywał klif w poszukiwaniu jakiegokolwiek ruchu czy niezwykłego kształtu. Zagwizdał na Reksa i z psem wesoło podskakującym przed nim zaczął się wspinać na urwisko. Mimo że skała schodziła do wody wyjątkowo łagodnie, wspinaczka i tak była ciężka. Wprawdzie ziemię i kamienie porastała tu trawa, ale ulewne deszcze, które padały od tygodnia, rozluźniły jej korzenie i Francey musiał piąć się pod górę na kolanach i rękach, chwytając się co gęstszych kępek dla zachowania równowagi.

Kiedy zasapany dotarł wreszcie na szczyt, zobaczył, że Reks obwąchuje ziemię pod ogromnym głazem, merdając przy tym radośnie ogonem. Rozejrzawszy się dokoła, dostrzegł pustą butelkę, która pachniała bimbrem - bez wątpliwości rozpoznał ten charakterystyczny, smolisty zapach. Starał się nie wpaść w euforię: bardzo możliwe, że flaszkę wyrzucił jakiś miejscowy pijaczyna. Kawalek dalej Reks zapamiętałe wwąchiwał się w podłoże. Podeszedłszy do niego, Francey zobaczył kupkę psich odchodów; całkiem świeżych.

- Szukaj... szukaj! - Usiłował popchnąć psa, by zobaczyć, czy pójdzie tym tropem, lecz zwierzak przywarował do ziemi i nie chciał się ruszyć choćby na krok. - Szukaj, Reks!

Psiak zaszczekał kilka razy i zaczął wesoło biegać w kółko. Włożywszy niedużą butelkę do kieszeni, Francey raz jeszcze rozejrzał się wokół, przyświecając sobie latarką, lecz nie widział nic, co mogłoby mu pomóc w ustaleniu, kto tu ostatnio przebywał. Poszedł więc za Rekssem na plażę.

Tilly i Hazel wróciły pierwsze.

- Nie możesz wyciągać pochopnych wniosków, Francey - powiedziała Hazel, gdy pokazał im butelkę. - Ten towar jest łatwo dostępny.

Ale Tilly wzięła od niego flaszkę i odwróciła ją w dłoniach.

- Miał jedną taką, kiedy nocował u nas - mruknęła. - Sama mu ją kilkakrotnie napełniałam. Nie trać nadziei. - Poklepała chłopaka po ręce. - Na Boże Narodzenie zawsze zdarzają się cuda.

Reks, który do tej pory siedział spokojnie obok Franceya, nagle nastawił uszu i zerwał się na równe nogi. Zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, wpadł niczym zajęc w wysoką trawę i szybko zniknął im z oczu. Kilka sekund później pies Harringtonów, który towarzyszył drugiej dwójce poszukiwaczy, zakreślił się dokoła własnej osi i popędził za nim.

- Coś usłyszały. - Francey wreszcie pozwolił sobie na odrobinę podniecenia i pobiegł za nimi, podążając tą samą drogą, którą niedawno wrócił z plaży.

Futro Reksa miało wiele białych plam, więc młodzieniec bez kłopotu widział psa podczas wędrówki w górę klifu. Kiedy jednak zwierzak dotarł na szczyt, nie pobiegł w stronę ogromnego kamienia, który wcześniej obwąchiwał, lecz skierował się w prawo i ruszył wzdłuż linii skał. Przez chwilę widać było jego sylwetkę na tle nieba, lecz później zniknął im z oczu.

- Coś tam jest! Przynieście mocniejsze latarki...! - wrzasnął Francey przez ramię, po raz drugi tego wieczora gramoląc się na urwisko. Adrenalina krążyła mu w żyłach i był już na samej górze, kiedy pozostali ledwie dotarli do skał. Pobiegł wąską, zdradliwą ścieżką, a później zatrzymał się, by nasłuchiwać. Na szczęście wieczór był bezwietrzny. - Reks! Chodź tutaj! - zawołał.

Nic. Tylko rytmiczne uderzanie fal o kamienie w dole.

- Reks?! - krzyknął ponownie, nieco głośniejszym głosem. - Jack! Chodź tu, piesku! Dobry piesek, Jack!

Jakieś dziesięć sekund później spośród traw wychynął Jack; najwyraźniej obawiał się, że zrobił coś okropnego, gdyż szorował brzuchem ziemię.

- Dobry piesek... - Francey złapał go za sierść na karku i w tej samej chwili usłyszał za

plecami czyjeś kroki i ciężki oddech; wiedział, że to Mick Harrington. - Nasz pies pobiegł gdzieś tam! - zawołał, wskazując miejsce, z którego wylazł Jack. - Musimy iść i sprawdzić.

- Ja pójdę pierwszy, znam to wybrzeże znacznie lepiej niż ty. - Mick przeszedł obok Franceya, ten zaś puścił Jacka, który natychmiast ruszył za panem, kłusując najpierw po jego lewej ręce, później po prawej, lecz zawsze trzymając się nieco z tyłu.

Nagle Francey poczuł, że nie chce wiedzieć, co kryje się za niską linią karłowatych krzewów. Wydawało mu się, że serce i stopy ma z ołowiu; stał przez jakiś czas w bezruchu, usiłując zmusić się do spokoju. Potem poszedł za Mickiem.

Dopiero gdy zobaczył, że tutaj zbocze nie schodzi gwałtownie do morza, zrozumiał, czego się naprawdę obawiał. Z początku nie mógł wypatrzeć ani męża Tilly, ani żadnego z psów i choć nie potrzebował światła, by zobaczyć teren rozciągający się przed jego oczyma, włączył latarkę, oświetlając skały, które schodziły do morza serią nierównych tarasów, porośniętych różnymi roślinami. Na końcu wiązki światła zobaczył białe błyski; podszedłszy bliżej, rozróżnił sylwetki dwóch psów kręcących się wokół pochylonej nad czymś postaci Micka. Francey poczuł, że strach chwyta go za gardło i dusi. Usiłował zawołać do Micka, lecz nie mógł wydobyć głosu.

Mick wreszcie się wyprostował i wrócił do Franceya z Reksem i Jackiem biegającymi w kółko; niósł coś w ramionach.

- Nie ma się czym martwić! - zawołał. - To tylko pies!

- Pies Dessiego? - Młodzieniec wreszcie wydobył z siebie głos, który zabrzmiał jak kranie wrony.

- Taak - odpowiedział Mick. - Ale nie musisz dodawać dwóch do dwóch, bo jeszcze ci wyjdzie pięć. - Kiedy się zrównał z Franceyem, dodał: - Ten tu biedaczysko jest tak słaby, że pewnie sam spadł z urwiska. Twój brat chyba pomyślał, że już po nim i poszedł dalej sam.

- Żyje?

- Można by to tak nazwać. Piszczął, gdy do niego podszedłem, lecz jest z nim tak kiepsko, że nie wiem, jak psy go usłyszały. Prawdę mówiąc, uważam, że lepiej byłoby go uspić i uwolnić od tych męczarni.

- Nie! - zawołał Francey i odebrał Mickowi nieszczęsne stworzenie.

Kundelek leżał w jego ramionach bez ruchu i Francey obawiał się, że sąsiad może mieć rację. Zaszokowany był tym, jak mało waży pies - zdarzało mu się podnosić cięższe kaczki lub gęsi.

- Jesteś pewien, że nikogo więcej tam nie było? Sprawdzaleś...

- Jestem pewien - odrzekł łagodnie Harrington. - Tuż poniżej miejsca, w którym zobaczyłem tego biedaka, znajdują się ostre skały. Pod spodem są jaskinie, lecz i tak nie moglibyśmy się do nich dostać z tego tarasu. Potrzebna byłaby łódź. Poza tym, prąd płynie w drugą stronę... - wyjaśnił w odpowiedzi na niezadane pytanie Franceya, które dostrzegł w jego oczach.

Młodzieniec spojrzał na półmartwe stworzenie leżące w jego ramionach. Pies miał związany na szyi przemoczony sznurek, zapętłony na końcu w coś na kształt rączki.

- Ma połamane kości? - spytał.

- Nie wydaje mi się... biedactwo... - Mick dotknął łba zwierzaka i został nagrodzony lekkim kiwnięciem ogona.

- Heej! Chłopaki! - To Hazel wołała z plaży u podnóża klifu. - Co wy tam robicie tyle czasu? Zaczynamy się o was martwić! Znaleźliście coś?

- Zaraz schodzimy, Hazel! - Głos Franceya wracał już do normy.

Jakby chcąc wmusić w psa bicie własnego serca, przytulił go z całej siły do piersi, lecz w tej samej chwili powrócił poprzedni strach: futro kundla było wilgotne i pachniało morską wodą.

- Mick, powiedz mi szczerze. Myślisz, że on się utopił? Ten pies był w wodzie...

- Wiem... - odrzekł spokojnie Mick Harrington. - Francey, myślę, że już najwyższy czas, byśmy wezwali na pomoc straż.

- Nie. - Francey czuł, że wezwanie straży przybrzeżnej byłoby przyznaniem się do porażki; chciał jeszcze raz spróbować odnaleźć Dessiego. Później przyszło mu do głowy, że Mickowi należą się wyjaśnienia. - Jeśli przyjedzie straż, a on jeszcze żyje, z pewnością ucieknie. Jeśli zaś już umarł, nie zrobi mu różnicy, jak zaczeka jeszcze parę dni. Daj mi dwadzieścia cztery godziny. Przeczeseś całą parafię grzebieniem, jeżeli będę musiał...

- Oczywiście. - W cichym głosie mężczyzny nie było pewności. Zsuwając się w dół po klifie z bezwładnym ciałkiem na rękach,

Francey postanowił uczynić wszystko, co w jego mocy, by pies przeżył. W tej chwili utrzymanie chudego towarzysza Dessiego przy życiu wydawało mu się najpoważniejszym zadaniem, jakie kiedykolwiek wziął na swe barki. Wierzył, że jeśli zdoła uratować psa, uda mu się także uratować Dessiego. Dopóki ktoś mu nie udowodni, że się myli, w jego głowie nie poстане choć iskierka wątpliwości, czy jego brat żyje. Zwierzak spadł z klifu, ale to wszystko -

Dessie poszedł dalej bez niego.

Wysadzili Harringtonów u skrzyżowania dróg, a kiedy zajechali na podwórko farmy, Hazel nalegała, że pomoże mu ulokować kundla na posłaniu Reksa w szopie.

- Gorące mleko z odrobiną brandy, oto czego to biedactwo potrzebuje - powiedziała, wchodząc za Franceyem do szopy; przyglądała się, jak układał bezwładne ciało na posłaniu ze starych worków.

- Usłyszałam samochód. Co się dzieje? - Margaret z Abigail drepczącą jej po piętach przyszła z domu.

- Pojechaliśmy na przejażdżkę. - Francey nachylił się i zaczął rozwiązywać sznurek opasujący żałośnie cienką szyję psa. - Pokazywałem Hazel okolice, kiedy znaleźliśmy tego biedaka.

- Och, biedactwo... sama skóra i kości. - Abigail weszła do środka i nachyliła się nad psem, któremu faktycznie widać było wszystkie zębra.

- Marnie z nim... powinieneś go zastrzelić, Francey - poradziła Margaret od drzwi.

- Na miłość boską, przecież dziś jest Wigilia! Nie można go zabić! - Piosenkarka podniosła się i spojrzała na nią z wściekłością. - Gdzie się podziało twoje dobre serce?!

- To tylko rozsądna rada. - Margaret popatrzyła na nią chłodno, obróciła się na pięcie i odeszła.

- Przepraszam, Francey. - Przyjaciółka miała smutną minę. - Ja i moja niewyparzona gęba... Nie powinnam wsadzać nosa w nie swoje sprawy...

- Nie przejmuj się nią, Hazel - powiedziała Abigail z uśmiechem. - Jest okręgową pielęgniarką i z tego powodu uważa, że wie, co dla każdego najlepsze.

- Zasluguje, żeby dać mu szansę. - Domowym sposobem zrobiona obroża okazała się za stara i za ciasna, by ją odpiąć, więc Francey zadowolił się oderwaniem sparciałego sznurka. Pogłaskał psa i wstał. - Mogłabyś zagrzać nieco mleka, Abby?

Zaczekał, aż wyszła i zwrócił się do Hazel, prosząc ją szeptem, by nic nikomu nie mówiła o tym, dokąd pojechali i co zamierzają dalej robić.

- Przyjadę tu później i pomogę ci - odpowiedziała również szeptem, ale Francey pokręcił głową.

- Nie, tylko przyciągałabyś uwagę. Zlustrowała go urażonym spojrzeniem.

- A ty pewnie nie? Całe dwa metry z hakiem twojej skromnej osoby?

- Ludzie zawsze włączają się po tutejszych górach ze strzelbami, wnykami, tego typu rze-

czami...

- No, cóż... chcesz może pożyczyć mikrobus?

Myśl, że niezauważony będzie jeździć po okolicy w pojeździe wymalowanym w ogromnych rozmiarów kości do gry i podobiznę Hazel, była tak zabawna, że gdyby Francey nie czuł się tak strasznie przejęty własną misją, pewnie by się roześmiał. Powodowany impulsem, porwał Hazel do góry i ucałował.

- A to niby za co? - prychnęła, kiedy z powrotem postawił ją na ziemi.

- Za to, że jesteś sobą - odrzekł. - Dzięki za wszystko. Jesteś naprawdę wspaniała.

- Taak - mruknęła Hazel; pochyliła się nad psem i pogłaskała go po wyliniałym, chudym boku. - Maria Matka Miłościwa, oto cała ja.

Wróciła Abigail z Constance deptając jej po piętach; twarz młodszej dziewczyny nadal była zapuchnięta od płaczu.

- Mleko już się grzało na piecu - powiedziała, stawiając miskę jak najbliżej głowy zwierzaka.

Francey pochylił się i zanurzył palce w mleku, a później zwilżył nimi nos psa. Musiał to powtórzyć, lecz chwilę potem kundelek odwrócił się na brzuch i sam zaczął chciwie pić z miski.

- Przynieś więcej, Abby - zarządził Francey. - I trochę chleba.

- Ja pójdę. - Najwyraźniej zadowolona, że ma co robić, Constance podreptała do domu.

Patrząc, jak zwierzak pije coraz spokojniej, Francey miał ochotę śpiewać z radości. Wszystko będzie dobrze, czuł to. Marzył teraz tylko o tym, by wszyscy odeszli i zostawili go w spokoju, żeby mógł kontynuować poszukiwania. Wiedział jednak, że musi zachować cierpliwość; Margaret nie zechce tak ot pożyczyć mu samochodu, więc musiał poczekać, aż siostra zaśnie. Wiedział, że nigdy nie wyjmuje kluczyka ze stacyjki.

Przytulił Hazel i poprosił, żeby wracała do hotelu.

- I tak już dużo pomogłaś - powiedział poważnie. - No i bardzo dziękuję, że przyjechałaś na pogrzeb.

Własne słowa nieco go zaszokowały. Tak bardzo zaangażował się w poszukiwania przyrodniego brata, że nieomal zapomniał, dlaczego oboje się tu zjawili. Wypuścił ją z objęć i uśmiechnął się lekko.

- Lepiej, żeby ten twój mężczyzna nie musiał zbyt długo czekać.

Hazel zawahała się i w mroku panującym w szopie młodzieniec nie potrafił dostrzec jej

miny.

- Vinnie nie jest moim mężczyzną - oświadczyła, ale zanim Francey zdążył cokolwiek odpowiedzieć, odwróciła się do wyjścia. - Pamiętaj, żeby informować mnie na bieżąco - dodała. - Cześć!

- Powodzenia w Killarney - zawołał za nią *sotto voce*.

Zaczawszy około pierwszej w nocy w miejscu, w którym znaleźli psa, Francey przeszedł pola pomiędzy wybrzeżem a wioską Ardgroom, a później przeczesał plażę za tą wioską aż do miejsca, do którego - jak mu się wydawało - mógł dotrzeć Dessie, od czasu kiedy widziano go na drodze do Killarney. Wszędzie udało mu się wypłoszyć dzikie zwierzęta - zające, lisy, fretki, a nawet wydrę - oraz kilka kocurów.

Zobaczywszy nagle pijaczka zataczającego się od rowu do rowu na drodze nieopodal Derryconna, Francey poczuł, że serce bije mu szybciej, jednakże mężczyzna okazał się znacznie starszy od Dessiego.

Pogoda się nie zmieniła, nadal było zimno, sucho i rześko, a gwiazdy świeciły tak jasno, że latarki potrzebował tylko do sprawdzania, co kryje się w cieniu pod żywopłotami i większymi kamieniami. Było już wpół do piątej, kiedy usiadł na porośniętej trawą platformie skalnej nad źródłem, by choć chwilę odetchnąć. Niesamowita cisza otulała go niczym pled; oprócz cichego szmeru strumyka skaczącego po kamieniach słyszał własny ciężki oddech, bicie serca oraz ciche szumy i kołatania wydawane przez jego ciało. Odchylił głowę do tyłu, zapatrzył się w niebo i żałował, że nie jest malarzem bądź pisarzem i nie zna języka, w którym mógłby opisać niezwykle piękno nocy.

Gwiazdy przy gwiazdach, za innymi gwiazdami.

Było ich tak wiele, że mały księżyc zdawał się ginąć w ich obfitości. Im dłużej Francey wpatrywał się w niebo, tym bardziej wyobrażał sobie, że słyszy nowe dźwięki; wysokie słodkie tony, które nieraz słyszał w dzieciństwie, stojąc pod słupem telegraficznym w bezwietrzny dzień, lub ostry dźwięk wydawany przez kryształ babci Sullivan, kiedy pocierał je zwilżonymi palcami.

Skąd one dochodziły? Francey cały zamienił się w słuch, lecz wydawało się, że śpiewne tony płyną ze wszystkich stron, z powietrza lub zza galaktyk. Był to sekret przyrody podobny do tajemniczego serca kobiety, którą kochał.

Po raz pierwszy Francey pozwolił sobie na pytanie, czy kiedykolwiek zdoła poznać owo serce. Zawsze wyobrażał sobie, że miłość to rodzaj porozumienia, a nie podniecający ból, który

w chwilach samotności takich jak ta zmuszał go do wiecznej tęsknoty. W czasie owych kilku rzadkich okazji, kiedy był z Fleur lub tylko znalazł się obok niej czy rozmawiał z nią, wszystko wydawało się takie proste: czuł się oczarowany, pożądał jej, kochał ją... *Ergo* tylko kwestią czasu jest, kiedy ona uświadomi sobie, że także go kocha.

A jeśli sama tego nie dostrzeże, to może Francey zdoła jej to uświadomić.

Seks między nimi oznaczał, że on sam nigdy już nie będzie taki, jak wcześniej, lecz z drugiej strony musiał przyznać, że owo doświadczenie wcale nie miało na nią podobnego wpływu. Przez całe życie czytał o tajemniczości Wschodu. Czyżby nieprzenikniona postawa Fleur była po prostu cechą jej charakteru? Jakże chciał, by ktoś mu to wszystko wyjaśnił. Rozmyślał o tym, dopóki nie usłyszał w oddali krzyku kulika; przymknął oczy i nasłuchiwał odzewu drugiego ptaka. Irlandzcy poeci i pisarze uwielbiali kuliki; ich zawodzące głosy symbolizowały w poezji samotność, żal i nieutulone tęsknoty duszy człowieczej.

Ze zdumieniem odkrył, że zupełnie nie czuje się samotny. Przeciwnie, pod osłoną wspaniałego majestatu nieba czuł, że ktoś go obserwuje i strzeże. Przyszłość, cokolwiek by kryła, była pewna: gdzieś tam w gwiazdach wszystko już się kiedyś wydarzyło. Te galaktyki wisiały ponad głowami Fleur i Dessiego, i Hazel, i matki oraz sióstr, a nawet nad głową Johanny w odległej Montanie; przetaczały się nad mogiłą Mossiego, przechowywały wszystkie myśli, które kiedykolwiek przeszły przez głowy ludzkości i które dopiero się pojawiają. Wiedziały, gdzie obecnie znajduje się Dessie. Francey dopiero teraz zauważył, że w ciągu ostatnich paru godzin jego lęk o brata zmalął. Siedząc pod tym wspaniałym niebem, pojął nagle z równą pewnością, z jaką pamiętał własne imię, że wszystko ułoży się dobrze.

Polna dróżka, przy której usiadł, wiodła wyżej w góry i znajdowała się niespełna dwa kilometry od Ardgroom. Z tej wysokości widział jak na dłoni całą wieś i nawet kawałek własnego miasteczka. Ponieważ była Wigilia Bożego Narodzenia, w wielu domach ciągle paliły się światła, gdyż gospodynie szykowały jeszcze szynki i puddingi. W przejrzystym powietrzu dostrzegał różnicę między domami, w których królowała elektryczność, a tymi, gdzie nadal używano nafty do oświetlenia pomieszczeń. Rural Electrification było z wolna rozrastającym się gigantem i choć Francey cieszył się, że jego rodzina korzysta z dobrodziejstw światła elektrycznego, brakowało mu wieczornej ceremoniału zapalania lamp o zmierzchu, ciepłego ognia płonącego wewnątrz szklanych osłon, skrzypienia gazet, którą się je polerowało, trzasku zapalek i zapachu oleju wkradającego się do kuchni, w miarę jak podwójnie skręcone knoty rozpalały się żółtymi i niebieskimi błyskami.

Dessie też to kochał: Francey pamiętał, że odkąd malec skończył cztery lata, w ramach wyjątkowej nagrody pozwalano mu zapalać lampy. Przyrodni brat Franceya wykazywał wprost niezwykłą fascynację ogniem i z tego powodu co wieczór musiano wystawiać wartę przed piecem w kuchni. Gdy tylko Dessie nauczył się stać o własnych siłach, za każdym razem, kiedy drzwiczki od pieca były otwarte, dziecko usiłowało sięgnąć do środka i dotknąć wesoło trzaskających płomieni.

Jedna po drugiej, dwie spadające gwiazdy przemknęły obok swych towarzyszek w stronę horyzontu: w dzieciństwie Francey wierzył w to, co pewnego dnia opowiedział dzieciom nauczyciel - że spadające gwiazdy to dusze odbywające swą ostatnią podróż do nieba.

Wystarczy już tego. Wstał i zbeształ się w myślach. Gwiazdy, nocne niebo, sentymentalne bajki - co też się z nim działo? Miał jeszcze całe mnóstwo rzeczy do zrobienia. Podszedł szybko do samochodu Margaret z mocnym postanowieniem kontynuowania poszukiwań.

Dwie godziny później przyznał się przed sobą do porażki i wrócił do domu.

Powoli wjechał na podwórko i opróżniając jeden z kanistrów, które przechowywano na wszelki wypadek za domem, by oszczędzić Margaret wyjazdów do stacji benzynowej w Castletownbere, dołał paliwa do baku, by siostra nie zorientowała się, iż ktoś jeździł hillmanem bez jej wiedzy. Miał nadzieję, że to wystarczy, lecz znając Maggie, nie zakładałby się, czy aby nie wie dokładnie, jaki jest stan licznika.

Zanim poszedł do domu, wstąpił jeszcze do szopy, by sprawdzić, jak miewa się pies Dessiego. Kiedy zaświecił latarką przez uchylone drzwi, zobaczył dwa merdające ogony. Nowy zwierzak co prawda nie wstał na jego widok, lecz oczy miał otwarte i wyglądał już na nieco zdrowszego.

Francey bez problemów dotarł do swego prowizorycznego łóżka i momentalnie zasnął.

Kilka minut później, a przynajmniej tak mu się wydawało, został obudzony przez Margaret.

- Wstawaj, leniuchu! - szepnęła. - Już rano... trzeba iść na mszę... Wszyscy będziemy musieli podtrzymywać mamę na duchu.

- Francey, który czuł się tak, jakby miał w ciele ołów zamiast kości, jęknął, że nie zamierza nigdzie iść, lecz siostra się nie poddała.

- Nie bądź egoistą. Potrzebujemy cię - nalegała. - No, chodź... nogi z wyra. Postaraj się!

Z wielką pewnością siebie ciągnęła go za rękę, póki nie usiadł na łóżku z nogami spuszczoneymi na podłogę.

Goretti i Abigail siedziały przy stole na drugim końcu kuchni i rozmawiały cicho. Wreszcie Francey przypomniał sobie, co się stało: wszak całą noc szukał Dessiego. Dziś musiał powtórzyć wyprawę. Ale tym razem skrzyknie tyle osób do pomocy, ile tylko zdoła. Poza tym, pomyślał, nie może już ukrywać nowin przed matką i siostrami. Zasługiwały na to, by wiedzieć. Postanowił wyjawić prawdę dziewczętom zaraz po mszy i zostawić do ich decyzji kwestię, czy należy powiedzieć o wszystkim matce, która od pogrzebu nie odezwała się ani słowem.

Chociaż wszyscy starali się pocieszać Elizabeth, atmosfera w hillmanie prowadzonym przez Margaret była potwornie smutna. Jedynym jasnym punktem, przynajmniej dla Franceya, był fakt, że pies Dessiego czuł się znacznie lepiej. Mimo że nadal leżał na boku w dokładnie tym samym miejscu, w którym Francey go wczoraj położył, nie trzeba już było zachęcać go do picia mleka.

Zajechali pod kaplicę nieco za wcześnie. Ponieważ był pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, nawet bezbożnicy mieszkający w głębi hrabstwa i zazwyczaj nie uczestniczący we mszy przyjechali i z czapkami w rękach stali w przedsionku. Kiedy Francey wprowadził matkę do środka, zapachy brylantyny, mydła i talku uderzyły go w nozdrza. Mężczyźni rozmawiali swobodnie, lecz widząc nowo przybyłych, zamilkli z szacunkiem. Młodzieniec postąpił parę kroków naprzód, gdy jego przemęczony mózg zarejestrował słowa wypowiedziane przez jednego z farmerów, zanim mężczyźni ucichli na widok Elizabeth.

- Idź sama, ja zaraz do ciebie dołączę - szepnął. Wrócił do przedsionka.

- O czym rozmawialiście, zanim tu przyszliśmy? - spytał najbliższej stojącego chudego rybaka z Derryconnla.

- A nie słyszałeś? - spytał inny, zanim tamten zdołał odpowiedzieć. - John Montgomery z Salladerg wyciągnął wczoraj jednego gościa z morza. - Zniżył głos. - Zdawało mu się, że zauważył coś w wodzie, jak łowił na dziko przy ujściu tego małego strumyczka Foilathuagig... usiłował złapać łososa na święta. Montgomery nie mają za wiele pieniędzy, choć to uczciwi ludzie, sam wiesz, jak to jest...

Franceya nic nie obchodziło prawo ani nielegalne łapanie łososi, więc przerwał:

- Kto to? - Poczuł, że serce zaczyna mu walić jak szalone. - Kim jest ten człowiek wyłowiony z morza?

- Nie wiemy. - Teraz wszyscy już tłoczyli się dokoła niego, zadowoleni, że ktoś chce wysłuchać nowin. - Nie pochodzi stąd... młody chłopak, chyba z północnego Kerry. Żona

Montgomery'ego mówi, że widywała go już okolicy...

Francey aż bał się zadać następne pytanie.

- W jakim jest stanie? Żyje?

- Nie wiemy - powtórzył jeden z nich. - Wczoraj było z nim marniutko... niech Bóg zlituje się nad jego duszą.

- Gdzie jest teraz? - Francey nie przejmował się, że ktoś może uznać jego zainteresowanie za podejrzanę.

- A dlaczego chcesz wiedzieć, znasz go, synu? - spytał jeden z rybaków ciekawie.

- Możliwe, że tak - odparł. - Muszę go zobaczyć.

Wyjaśnili mu, że o ile wiedzą, młody włóczykij nadal znajduje się w domu Johna Montgomery'ego i wytłumaczyli, jak się tam dostać. W chwilę później Francey już pędził do hillmana.

- Nie rób sobie nadziei, synu! - wołali za nim rybacy.

Rozdział jedenasty

Salladerg to część parafii pomiędzy Cleanderry a Castleclough; chatka Montgomerych stała niespełna kilometr od miejsca, gdzie znaleźli psa. Biedniutka zagroda położona była na skale blisko brzegu i otoczona rozpadającym się kamiennym murem. Wsiadłszy z samochodu, Francey zobaczył łódź Johna Montgomery'ego leżącą do góry dnem na kamieniach nieopodal linii wody.

Kiedy szedł przez podwórze, ze starego dziecięcego wózka wyskoczył karłowaty kogucik i uciekł w kierunku sterty połamanych zabawek, narzędzi, sprzętów rolniczych i starych ram rowerowych, rdzewiejących spokojnie w kiepskich warunkach atmosferycznych. Reszta zwierzyńca także przyskała mu spod nóg, gdy z trudem przedzierał się do drzwi kuchennych między skrzynkami na ryby, kotłami na homary i rozrzuconymi kawałkami sieci rybackich.

- Błagam, niech on jeszcze żyje... - modlił się w duchu właściwie do nikogo szczególnie; zapukał do kuchennych drzwi.

Na jego pukanie odpowiedziała chuda, mizerna kobiecina, która część włosów zwinęła w kok, podczas gdy reszta opadała jej wokół twarzy. Francey przedstawił się i w tej samej chwili zauważył małe dziecko chowające się za kobietą.

- Przyszedłem zobaczyć, czy może uda mi się pomóc wam z tym włóczykijem - dodał.

- Aha. - Gospodyni otworzyła drzwi na oścież. - Nie mogę dobudzić biedaczyska. Mój polazł do wsi zadzwonić po doktora.

Francey zmusił się do optymizmu i wkroczył do kuchni; musiał się zgarbić pod niskim sufitem, żeby nie zedrzeć głową kremowej tapety.

- Marnie z nim było, kiedy John go tutaj przyniósł. - Zdawało się, że kobiecina jest wdzięczna losowi, iż ma się przed kim wygadać. - Zmusiłam go, żeby zdjął mokre ubranie, dałam mu koc, posadziłam przy piecu... napiłam gojącym porto, bo z okazji świąt pozwoliliśmy sobie na kapkę alkoholu. - Odsunęła z oczu kosmyk włosów. - Biedaczysko strasznie się de-nerwował i z początku nie bardzo rozumieliśmy, o czym mówi; zdawało się nam, że prosi o więcej... więc daliśmy mu i zanim się zorientowaliśmy, wydudlił całą butelkę. Wyglądało na to, że wszystko z nim w porządku i dlatego zaproponowaliśmy, by został u nas na noc... Gdybym tylko wiedziała... - Poprawiając włosy, spojrzała na Franceya z nagłą nadzieją w oczach. - Zna pan może jego krewnych?

- Możliwe, że tak.

Oczy młodzieńca zaczęły się przyzwyczajać do przyćmionego światła w kuchni, które dochodziło z jednego maleńkiego okienka. Wszelkie wysiłki, by przyozdobić to pomieszczenie z okazji świąt, tylko podkreślały biedę wyłażącą z każdego kąta.

- Dzięki Bogu - westchnęła kobiecina. - Muszę przyznać, że bałam się, co byśmy nie zostali z nim na karku. Prawdę mówiąc, to nawet nie wiem, czy jeszcze żyje...

- Mogę na niego zerknąć? - Francey wskazał na zamknięte drzwi po drugiej stronie kuchni. Ledwo powstrzymał się od zaciśnięcia nosa przed zapachem gotowanej kapusty, który walczył o palmę pierwszeństwa z bardzo silną wonią środków dezynfekujących.

- Oczywiście. - Gospodyni podniosła z podłogi dziecko, które wsunęło się jej między nogi i usiłowało wspiąć po nich do góry.

Pośrodku praktycznie pustego pokoju stało rozkładane łóżko, którego jeden koniec podparty był dwiema skrzynkami na ryby; z początku Francey nie potrafił dojrzeć na nim żadnego ludzkiego kształtu. Podobnie jak kuchnia pokój miał tylko maleńkie okienko i nic nie różniło jednego końca góry pledów koców i kołder od drugiego. Podeszedł bliżej i musiał przyłożyć dłoń do ust, by nie krzyknąć.

Musiał uwierzyć Tilly na słowo, że nieszczęśnik, którego widział przed sobą, to Dessie. Większą część twarzy zakrywała mu szopa skłębionych brązowych włosów, a oczy miał zamknięte; nawet jeśli byłyby otwarte, Francey wątpił, czy zdołałby uwierzyć w jakiegokolwiek

pokrewieństwo z tym osobnikiem. Obawiając się, że przybył za późno, zrobił coś, co do tej pory widział tylko w kinie: przyłożył ucho do twarzy nieznajomego i słuchał, czy oddycha. Zapach w tym pomieszczeniu był równie nieświeży jak w kuchni, lecz dokoła głowy Dessiego wisiał paskudny odór. Dopiero po paru sekundach usłyszał cichutkie, wątle dyszenie; niewątpliwy znak życia.

Wyczuł za sobą jakiś ruch: wszystkie dzieci, siedmioro lub ośmioro, zgromadziły się za matką w drzwiach do pokoju.

- Nie mogłam go dobudzić - powtórzyła pani Montgomery, wskazując na miszkę cienkiej kaszki stojącą przy łóżku. - Dlatego John poszedł zadzwonić po doktora. Czy on...

- Na szczęście jeszcze żyje. - Francey zerknął z powrotem na łóżko i błyskawicznie podjął decyzję. - Jeśli nie ma pani nic przeciw temu, zabiorę go do siebie. Kiedy zjawi się doktor, proszę mu powiedzieć, żeby podjechał do naszego domu w Lahersheen.

Bez wątpienia po całym kościele już rozeszły się wieści, dokąd to popędził w takim pośpiechu, więc się nie martwił tym, że porzucił rodzinę w Eyeries. Wiedział, iż matce i dziewczętom nie zabraknie propozycji podwiezienia do domu.

- Och, nie wiem... - Gospodyni zaciskała nerwowo ręce. - Myśli pan, że to dobry pomysł? Mój mąż powiedział...

- Biorę na siebie całą odpowiedzialność - zapewnił ją Francey. - I bez względu na to, co się stanie, chciałbym państwu bardzo, bardzo serdecznie podziękować za wszystko, co uczyniście dla tego biedaka. - Po raz pierwszy w życiu młodzieniec wyjął pieniądze z kieszeni, aby się za coś odwdzięczyć.

Kobiecina z zdumieniem wpatrywała się w plik banknotów, który wciskał jej do ręki.

- Nie mogłabym... - zaczęła, lecz Francey, który wiedział, że nie ma czasu do stracenia, przerwał jej:

- To dla dzieci - powiedział. - Wiem, że krewni tego biedaka chcieliby, aby pani dzieci dostały coś ładnego na Gwiazdkę i byliby wdzięczni za wszystko, co państwo zrobili. - Mówiąc to, odrzucił pledy i zawinął Dessiego w kilka koców. - Zwrócę je, jak tylko będę mógł najszybciej - dodał, biorąc go na ręce.

Później, niosąc brata z równą łatwością, co zeszłej nocy psa, przeszedł obok zdumionej gromadki i ruszył do samochodu.

- Co mam zrobić z jego ubraniem? - zawołała za nim pani Montgomery.

- Proszę je spalić - odrzekł Francey, układając Dessiego na tylnym siedzeniu hillmana.

Włączył ogrzewanie na pełną moc i jechał górską dróżką tak ostrożnie, jakby wiózł surowe jajka. Kiedy wreszcie dotarł na farmę, wniósł przyrodniego brata do kuchni, a zapachy obejścia Montgomerych unoszące się z koców tylko wzmogły jego dumę ze schludności własnego domu. W sypialni matki odwinął Dessiego z kokonu i ułożył w pościeli na podwójnym łóżku; usiłował nie myśleć o zwłokach, które tak niedawno jeszcze tu leżały.

To, co Francey teraz zobaczył, okazało się jeszcze bardziej przerażające. Pomimo kąpieli w morzu stopy, ręce i to, co dało się dostrzec z twarzy i szyi Dessiego, było niesamowicie brudne; pozbawiona guzików góra od pidżamy, którą miał na sobie, rozchyliła się, ukazując żebra przypominające powyginaną drabinę, a dołek poniżej splotu słonecznego był głęboki jak miska do puddingu; kości rąk i nóg sterczały pod skórą niczym szczeble drabiniastego wozu; jedna z kostek spuchła i miała dziwny kolor. W rozchylonych ustach widać było czarne zęby z czymś zielonym na dziąsłach.

- Na szczęście wszystko można wyleczyć - zamruczał Francey.

Zdjął z bezwładnego ciała stary łach i zamienił go na jedną z piżam Mossiego. Kiedy skończył, podsunął prześcieradła i koce aż po samą brodę brata i włączył elektryczny grzejnik przy łóżku.

- Leż spokojnie - szepnął i wyszedł z pokoju.

Wybiegł na podwórko i do szopy. Odsunąwszy od siebie uszczęśliwionego jego widokiem Reksa, wziął na ręce kundlowatego teriera i pośpiesznie wrócił do sypialni, gdzie położył go obok nieprzytomnego chłopca. Mały piesek, najwyraźniej przyzwyczajony do tego, by brać życie takim, jakie jest, nie okazał zaskoczenia, znalazłszy się w tak niezwykłych warunkach, czy też znalazłszy na powrót swego pana. Położył łeb na łapach i zaczął wodzić wzrokiem od kształtu na łóżku do Franceya. Później westchnął, wyciągnął się i zamknął oczy.

Francey upewnił się, że psiak zasnął na dobre, i przeszedł do kuchni, by poczekać na doktora. Każda minuta wlokła mu się w nieskończoność, kiedy tak spacerował tam i z powrotem i telefonował do lekarza w Castletownbere bez żadnego skutku; za każdym razem gdy zachodził do sypialni, przekonywał się, że ani pies, ani człowiek nie poruszyli się choćby na milimetr, odkąd widział ich po raz ostatni. Gdy wreszcie usłyszał za oknem warkot silnika, wybiegł na podwórko tylko po to, by zamiast samochodu lekarza zobaczyć wóz Micka Harringtona z Tilly z przodu na siedzeniu pasażera i ponurą Margaret z tyłu.

Pierwszą reakcją Franceya była obawa - teraz dopiero mu się dostanie za bezprawne przejście hillmana - ale później przypomniał sobie, że w tej sytuacji Margaret to dar niebios.

- Nie ma czasu na gadanie - powiedział, otwierając tylne drzwi. - Chodź, potrzebuję cię w domu.

Kiedy tylko wysiadła, Mick Harrington opuścił szybę i powiedział Franceyowi, że reszta rodziny przyjedzie z innym sąsiadem.

- Jakiś biedak, co? - spytał, sygnalizując młodzieńcowi, że nie zdradził Margaret tożsamości niespodziewanego gościa. - Możemy w czymś pomóc?

- Nie, dzięki, Mick - zawołał Francey przez ramię; szedł już za siostrą do domu. - Zobaczmy się później... i wesołych świąt, tak przy okazji. - Nawet nie zczekał, aż Harringtonowie także złożą im życzenia.

- Mam nadzieję, że masz coś rozsądnego na swoje usprawiedliwienie. - Margaret stanęła pośrodku kuchni i podparła się pod boki.

Postanowiwszy zachować rewelacje na później, Francey wyjaśnił pośpiesznie, że człowiek leżący w sypialni matki został niedawno wyciągnięty z morza i wydawało się, że wszystko jest z nim w porządku, lecz od rana jest nieprzytomny.

- Dzięki Bogu, że jesteś pielęgniarką - zakończył. - Nie mam pojęcia, co robić.

Margaret zdjęła płaszcz i powiesiła go za drzwiami, po czym przeszła przez kuchnię.

- W co ty się wplątałaś tym razem? Co ci do tego? I co robi tu ten pies? - Te pytania pełne były profesjonalnego oburzenia. Mlasnęła językiem z niezadowoleniem i spędziła teriera z łóżka, po czym pochyliła się nad Dessiem. - Podaj mi moją torbę - zarządziła. - Stoi koło komody... potrzeba mi także gorącej i zimnej wody. I ręczniki. I czajnik wrzątku.

Zawinęła rękawy czarnej sukienki i zabrała się do pracy.

Reszta rodziny zjawiała się kilka minut później i podczas gdy matka - nieporuszona jak zwykle - została w kuchni, młodsze dziewczęta stłoczyły się w drzwiach do sypialni.

- O, mój Boże. - Abigail podniosła ręce do ust, a łzy stanęły jej w oczach.

Margaret odwróciła się do sióstr.

- Wyjdźcie stąd - powiedziała rozkazującym tonem. - Potrzeba mi tu trochę wolnej przestrzeni. Czy doktor już przyjechał?

- Nie. Co z nim? - Francey zerknął nad głowami sióstr.

- Prawdopodobnie jeszcze za wcześnie, by coś orzec. Jest strasznie słaby. Pewnie od wielu dni nic nie jadł... i mocno czuć od niego alkoholem. Możliwe, że cierpi z powodu zatrucia alkoholowego. - Margaret odwróciła się do pacjenta. - Obawiam się, że kiedy się obudzi, będzie potrzebował lekarstw, których ja nie mam. Sprawdź, dlaczego doktor jeszcze nie przy-

jechał, dobrze?

- Jak z nim? - W kuchni matka Franceya zdjęła skórzane rękawiczki, złożyła je i schowała do szuflady. - Czy to jego pies? - Spojrzała na teriera leżącego między komodą a piecem. Nie spał, lecz leżał zwinięty w ciasny kłębek, jakby obawiał się, że zaraz go ktoś stąd wyrzuci.

- Taak, to jego psiak - odrzekł Francey, a później doszedł do wniosku, że nie powinien już dłużej odgrywać Boga. To nie było fair w stosunku do nich - miały prawo same zdecydować, co czują w tej sytuacji. - Mamo - wypalił - ja wiem, kto to jest...

- Kto? - spytała Constance.

- To Dessie.

Powinien był się spodziewać zróżnicowanych reakcji: Abigail i Goretti wydały ciche okrzyki, a źrenice Constance rozszerzyły się z emocji.

- Co takiego?!

Tylko matka nie okazała wzruszenia. Podszedł do niej i złapał ją za ramię.

- Czy słyszałaś, co powiedziałem, mammo? Tam, w twoim łóżku, leży nasz Dessie. - Słowa gwałtownie wypadały mu z ust, lecz twarz matki nadal pozostała bez wyrazu. - Mamo, mammo... - Potrząsnął Elizabeth delikatnie, by zwrócić na siebie jej uwagę.

Krew odpłynęła z jej policzków tak gwałtownie, jakby ktoś odessał ją niewidzialną pompką. Nie zrobiła nic, by obetrzeć ogromne łzy spływające z oczu. Jak gdyby w zwolnionym tempie na jej spokojnej twarzy ukazały się nagle wszystkie emocje ostatnich dni; był to dramatyczny widok: Franceyowi przypominało to rozszerzanie się szczelin na pękającym murze. Najstraszniejsze było to, że Elizabeth nie wydała z siebie ani jednego dźwięku.

- Mamo! Mamusiu! - zawołał, chwytając ją mocniej za ramiona. - Nic ci nie jest?

- Zostaw ją, zostaw! Nic jej nie będzie, nie płakała dotąd ani razu... to dla niej najlepsze. - Margaret, nieświadoma, co spowodowało taką reakcję matki, wypadła z sypialni, by przejąć dowodzenie. - Chodź, mamusiu - odezwała się łagodnie i wyciągnęła Elizabeth z uścisku Franceya. - Usiądź sobie przy ogniu... A jedno z was niech zrobi jej filiżankę herbaty... bardzo mocnej herbaty... i wsypcie dużo cukru - warknęła przez ramię; poprowadziła niestawiającą oporu matkę do krzesła stojącego nieopodal pieca.

- Ty nic nie rozumiesz, Margaret. - Constance, która od śmierci ojca płakała prawie bez przerwy, miała teraz minę, jakby chciała zacząć szlochać od nowa. - Ona nie płacze po tacie.

- Oczywiście, że po nim. O co ci chodzi?

- To on... - Goretti skazała na sypialnię. - Francey mówi, że ten topielec to Dessie.

Po raz pierwszy w życiu Margaret nie wiedziała, co zrobić; opadła na krzesło.

Matka cały czas płakała pochylona; ramiona jej drżały. Wydawała już dźwięki, świadczące o tak straszliwym bólu, że Francey aż się wzdrygnął. Czuł się bardzo nieswojo i zaczął dostrzegać drobne ukłucia paniki, która ogarniała go zawsze na widok czyjejś rozpacz. Wiedział, że powinien ją objąć, przytulić, pocieszyć, zrobić cokolwiek...

Margaret oszczędziła mu tego; wreszcie wróciła jej mowa.

- Pozwólcie jej płakać. - Spojrzała na rodzeństwo. - Róbmy wszystko krok po kroku, dobrze? Czy herbata już gotowa? - Błada jak ściana Abigail przyniosła kubek pełen wrzątku, a Margaret usiadłszy obok matki, objęła ją za drżące ramiona i nakłoniła do picia. - Widzisz - odezwała się łagodnie - dobre, prawda?

Chwilę później do drzwi kuchni zapukał doktor.

Dessie budził się na raty; prześliski świadomości przetaczały się przez niego niczym długie, spokojne fale. Ogolony, wykąpany i obłożony termoforami, z długimi włosami odsuniętymi z bladej twarzy, siedział podparty poduszkami, podczas gdy Margaret w asyście Abigail karmiła go kleikiem z mleka i chleba.

Jak na razie nie odezwał się jeszcze ani słowem; ogromnymi oczyma, w których malowały się ból i zdumienie, uciekał przed spojrzeniami starających się mu pomóc ludzi wokół. Doktor ostrzegał, że nie powinni go stresować, więc chociaż dziewczęta aż pękały od chęci zadania mu wielu pytań, zostawiły chłopaka w spokoju. Trzeba oddać sprawiedliwość staremu lekarzowi, pomyślał Francey, odprowadzając go do drzwi mniej więcej półtorej godziny po przybyciu doktora, że był skrupulatny i uważny, i pozostał przy pacjencie, dopóki się nie upewnił, że już nic mu nie grozi. Przed wyjściem zostawił Margaret wszystkie ampułki z penicyliną, jakie miał w torbie, i zestaw innych leków, żeby poradziła sobie podczas świąt; na później wypisał recepty do wykupienia w aptece.

Margaret nie pozwalała, by w opiece nad chorym pomagała jej więcej niż jedna osoba naraz i kiedy skończyła wraz z Abigail karmić Dessiego, ich miejsce zajął Francey.

- Jak się czujesz, Dessie? - spytał, siadając na krześle obok łóżka. - Mam nadzieję, że już trochę lepiej? Okropnie nas wszystkich wystraszyłeś.

Nabiegłe krwią oczy spoczęły na nim przez chwilę.

- Byłeś tu przed moim wyjazdem? - zacharczał raczej, niż powiedział.

Francey spodziewał się raczej jakiegoś wytartego frazesu w stylu: „Gdzie ja jestem?”, lecz wypowiedź brata świadczyła, iż doskonale wiedział, gdzie się znajduje.

- Tak, byłem tutaj. Mam na imię Francey - odpowiedział i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że mówi tak, jakby siedzący przed nim młody mężczyzna miał zaledwie dwa latka. - Pamiętasz cokolwiek z pobytu tutaj? - spytał, starając się nadać głosowi normalne brzmienie.

Jedyną odpowiedzią Dessiego było ponowne zamknięcie oczu.

- Nie szkodzi. - Francey odsunął nieco krzesło od łóżka, na wypadek gdyby tamten czuł się nieswojo. - Ja pamiętam cię doskonale. Jestem twoim bratem. Nareszcie wróciłeś do domu. Mamy całe mnóstwo spraw do omówienia, ale jeszcze nie teraz. Najpierw musimy ci pomóc... zapewnić wszelką pomoc, jakiej potrzebujesz... Na razie jednak powinienes po prostu odpocząć.

Ku jego przerażeniu Dessie zareagował tak, jakby ktoś go uderzył; zaczął się gwałtownie podnosić na poduszkach, walił rękoma po kołdrze i wykrzykiwał poszczególne słowa z taką prędkością, że Francey zupełnie nie mógł ich zrozumieć. Zadanie to utrudniał jeszcze przedziwny akcent brata; wreszcie dotarło do niego, że Dessie błaga, aby nie umieszczać go „w ośrodku”.

Francey musiał siłą przytrzymać go w łóżku.

- Uspokój się, Dessie - nalegał; przykro mu się zrobiło, gdy poczuł pod palcami wychudłe ciało chłopca. - Nie zamierzamy cię nigdzie umieszczać... odpoczywaj teraz... odpoczywaj.

Ale młodszy brat nadal był tak zdenerwowany, że Francey wreszcie się poddał i zawołał Margaret, która pośpiesznie zaaplikowała Dessiemu następny zastrzyk.

Kilka minut później, kiedy chory znowu spał, Margaret cofnęła się o krok i spojrzała na Franceya.

- Trzeba go zawieźć do szpitala. - Zawinęła zużytą strzykawkę w kawałek wełnianej szmatki. - Przydałby mu się także dentysta, ale są święta. W tej chwili nie jest to na szczęście sprawa życia lub śmierci.

- On właśnie tego się boi. - Francey popatrzył ze współczuciem na szkielet leżący na łóżku. - On się boi, że gdzieś go oddamy.

- No, cóż... jeśli szpital ma być dla niego najlepszy, to pewnie tak zrobimy. - Margaret otuliła swego pacjenta.

- Nie możemy porozmawiać o tym nieco później? - Francey obawiał się, że Dessie jeszcze nie zasnął. W „Reader's Digest” czytał mnóstwo artykułów o ludziach w śpiączce, którzy doskonale słyszeli i rozumieli, co się przy nich mówiło.

Młodzieniec nagle zdał sobie sprawę z tego, jak nieoczekiwany obrót przyjęły sprawy.

Tak długi czas skupiał się, świadomie, czy podświadomie, na konieczności odnalezienia Dessiego, że sam ów fakt stał się dla niego celem ostatecznym. Dopiero teraz zrozumiał, że nigdy nie wybiegał myślami poza ten punkt: nawet gdy testament Jool Gallaher rzucił nieco światła na przerażające fakty, Francey nie przyjął do wiadomości tragicznej prawdy o stanie brata. Zamiast tego wyobrażał sobie nieomal biblijny obraz powrotu syna marnotrawnego, z uśmiechami i okrzykami powitania oraz nieodłącznym happy endem.

Teraz patrzył na leżący przed nim rozczochrany szkielet; zamknięte oczy Dessiego były straszliwie zapadnięte i Francey poczuł ból w sercu na myśl o tym, co jeszcze tego biedaka czeka. Później jednak przypomniał sobie radosne nowiny, jakie ma dla brata: możliwe, że jeśli się dowie o swoim bogactwie, pomoże mu to w powrocie do zdrowia? W każdym razie pieniądze ułatwią znalezienie Dessiemu najlepszej kliniki i psychiatrów w kraju.

Poszedł za Margaret do kuchni. Matka i siostry siedziały przy kuchennym stole, pijąc herbatę i Francey pomyślał, że po raz pierwszy w życiu mają tak marne święta: bez indyka, o którym wszyscy zapomnieli, i który nadal wisiał w piwnicy, bez zimnych puddingów w kredensie; nawet jego prezenty gwiazdkowe wciąż leżały na spodzie walizki.

- Załapię się na kropelkę? - spytał, a chwilę później zauważył, że na stole przed nimi leży jeden z rodzinnych albumów, otwarty na stronie ze zdjęciami z dawno zapomnianego przyjęcia urodzinowego. Matka wyjęła jedno ze zdjęć z ramek i przyglądała mu się długo; łzy cały czas płynęły po jej twarzy. Teraz, skoro już dała upust żalowi, do tej pory tłumionemu na dnie serca, wydawało się, że nie potrafi przestać szlochać. - Nie płacz, mamó - błagał.

- Już ci powiedziałam, żebyś zostawił ją w spokoju - upomniała go cicho Margaret. - Dobrze jej zrobi, jeśli się wyplacze.

Matka podała mu małe kwadratowe zdjęcie, któremu tak długo się przyglądała: zostało zrobione na podwórku, przed otwartymi na oścież drzwiami kuchennymi, w dniu piątych urodzin Dessiego.

Przed liczną gromadką gości chłopczyk z dumą pokazywał swój prezent urodzinowy - raketę tenisową, prawie tak dużą, jak on sam. Tuż za nim stali uśmiechnięta Elizabeth z dwuletnią Connie na rękach i Mossie, który jednym ramieniem obejmował Franceya, zaledwie ośmioletniego, a już sięgającego ojczymowi do łokcia; drugim ramieniem obejmował Johanę, która była malutka, prawie tak niska jak jubilat. Na tyłach tej radosnej grupy znajdowali się Harringtonowie przytuleni do Margaret, Goretti i Abigail, lecz matka Dessiego, Kathleen, stała nieco na uboczu, spoglądając gdzieś w bok, jakby w myślach opuściła już to miejsce i rodzinę.

Francey nie bardzo wiedział, jak powinien zareagować.

- Może trzeba mu je pokazać, kiedy znowu się obudzi? - zaproponował. - Wydaje mi się, że on się nas boi... w każdym razie mnie na pewno... Może dzięki temu zdjęciu przekona się, że wszyscy tu jesteśmy mu życzliwi.

Oddał fotografię z powrotem matce.

Włożywszy zdjęcie do albumu, przestała płakać i wydawało się, że podjęła jakąś decyzję.

- To doskonały pomysł, Francey - powiedziała. - Przynajmniej jest to coś konkretnego, czym mogę się zająć. Pokażę mu je, kiedy tylko się obudzi...

Francey nalał sobie trochę herbaty i poczuł wielką ulgę. Adrenalina krążąca mu w żyłach od rana gdzieś się ulotniła i znużenie przypomniało o sobie; jedyne, o czym mógł teraz myśleć, to sen. Dolał mleka do herbaty, lecz był zbyt zmęczony, by sięgnąć po cukiernicę, która stała po drugiej stronie stołu. Miał wrażenie, że nawet poproszenie o przysunięcie jej będzie zbyt wielkim wysiłkiem.

- Przepraszam - powiedział, ziewając, gdy przełknął mocny, gorzki napój. - Jestem wykończony... Czuję się, jakbym nie spał od czterech dni... muszę się zdrzemnąć przynajmniej godzinę. Mogę skorzystać z jednego z waszych łóżek? - Obrócił się do dziewcząt.

Pokiwały głowami, więc zostawiwszy resztę herbaty, Francey przeszedł do sypialni i nawet nie zwracając sobie głowy rozbieraniem, wsunął się pod kołdrę na jednym z łóżek stojących w pokoju. W dziwnych, na wpół sennych majakach, które nawiedziły go tuż przed zaśnięciem, zobaczył wpatrujące się w niego oczy brata, jakby oddzielone od reszty głowy. Później, tuż przed radosnym obsunięciem się w nieświadomość, przypomniał sobie, że obiecał zadzwonić do Fleur, gdy tylko będzie miał jakieś nowe wieści. Czuł się zbyt zmęczony, by zrobić to teraz, lecz będzie to pierwsza rzecz, jaką się zajmie po przebudzeniu...

Jednak kiedy faktycznie się obudził, wypoczęty, podniecony i głodny, cały dom spowiła cisza, która trwa tylko bardzo późno w nocy lub bardzo wczesnym rankiem. Wszędzie dookoła słyszał lekkie, regularne oddechy, a w szarej poświacie dochodzącej z niewielkiego okna dostrzegł, że wszystkie łóżka w pokoju są zajęte. Jak długo spał?

Wstał tak cicho, jak tylko potrafił i poszedł na palcach do kuchni. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, usłyszał jakieś szuranie przy piecu. Zapalił światło i wtedy okazało się, że źródłem drapania są pazury teriera, który kręcił się tam i z powrotem wokół nóg swego pana, myszkującego po szafkach. Zaskoczony nagłym potokiem światła Dessie odwrócił się, by sprawdzić, kto je włączył.

- Och - mruknął; piżama Mossiego wisiała na jego wychudłym ciele. - To ty...

- Szukasz czegoś? - Francey jednym spojrzeniem objął kuchnię: w ciągu dnia lub nocy jego przyrodni brat został przekwaterowany na polowe łóżko w kącie za zasłoną.

- Nie, niczego... - odrzekł Dessie, lecz jego oczy cały czas rozglądały się po pomieszczeniu.

- Nic się nie stało - zapewnił go Francey. - Jeśli czegoś chcesz, wystarczy, żebyś powiedział. - Kiedy jednak zbliżył się do niego, przyrodni brat wzdrygnął się, jakby w obawie przed ciosem. Francey zatrzymał się na środku kuchni. - Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie mogłem zasnąć... szukałem czegoś do picia... - wybąkał Dessie.

- Jasne. - Młodzieniec doszedł do wniosku, że nie ma prawa odgrywać tu roli stróżującego psa. Podszedł do szafy i wyjął z niej butelkę whisky i dwie butelki piwa. - To wystarczy? - spytał, podnosząc je do światła. Nawet z tej odległości widział, że oczy tamtego zaśniły dziwnie. - Chodź - zaprosił Dessiego, wyciągając cztery szklanki. - Usiądźmy przy stole. - Nie czekając na jego reakcję usiadł, otworzył obie butelki piwa i wylał ich zawartość do dwóch szklanek, a później napełnił dwie pozostałe sporymi porcjami whisky. - Nie jesteś głodny? - zapytał, oglądając się na brata przez ramię. - Ja jestem... chyba zrobię sobie kanapkę.

- Ząb mnie boli.

Dessie w końcu podszedł do stołu i także usiadł, lecz najdalej od Franceya, jak tylko było to możliwe. W świetle elektrycznej lampy wiszącej Francey zauważył, że ogolona skóra na policzkach i szyi brata wygląda jak skóra oskubanego kurczaka. Odkąd ostatni raz go widział, ktoś - prawdopodobnie Margaret - obciął mu włosy, co tylko podkreśliło chudość twarzy chłopaka. Kiedy Dessie sięgnął po szklankę z whisky, Francey zauważył, że trzęsą mu się ręce.

Podszedł do drzwi i zdjął z nich płaszcz Mossiego.

- Masz - powiedział. - Jest ci zimno, włóż to - dodał ze współczuciem i Dessie posłuchał.

- Nie ma nic gorszego niż ból zęba, chcesz może, żebym obudził Margaret? Mogłaby ci dać następny zastrzyk, jakiś środek przeciwbólowy, czy coś...

- Już dała mi tabletki. - Dessie wrzucił kilka do ust i popił whisky.

- Czy mama pokazała ci zdjęcie z twojego przyjęcia urodzinowego... pamiętasz tamten dzień? - Francey starał się zachęcić przyrodniego brata do powiedzenia czegoś o sobie; po drugiej dolewce whisky drżenie rąk ustało i Dessie zaczął pić piwo mniej łapczywie, a później z wolna zaczął mówić, dając Franceyowi mętny obraz wszystkiego, co przydarzyło mu się, odkąd opuścił Lahersheen.

W miarę tego opowiadania we Francey rosla furia na Kathleen Scollard za wszystko, co musiał przez nią wycierpieć jej syn. Spośród wszystkich swych przybranych i przyrodnych siostr tylko jej Francey nigdy specjalnie nie lubił; pamiętał Kitty jako zgorzkniałą, zamkniętą w sobie dziewczynę o wybuchowym temperamencie, która rozdawała szturchańce wszystkim wokół, zanim zdążyłeś powiedzieć słowo. A choć od najmłodszych lat tłumaczono mu to traumatycznymi przeżyciami, jakie doprowadziły do jej wczesnego zajścia w ciążę - wszyscy w rodzinie wiedzieli, że niewiele trzeba, by wybuchnęła, i traktowali ją z pewną dozą ostrożności - Francey pamiętał, że nigdy nie polubiła macierzyństwa i zrzuciła opiekę nad synem na każdego, kto jej się nawinął. Wszyscy dziwili się, po co, odchodząc z Lahersheen, zabrała ze sobą chłopca.

Kiedy po jakiejś półgodzinie dziwaczny akcent Dessiego i jego coraz mniej wyraźna wymowa sprawiły, że zupełnie nie można było go zrozumieć, Francey podszedł do kredensu, by zrobić kanapki. Za plecami usłyszał stuknięcie butelki o szklanę, gdy brat dolewał sobie whisky. Tilly Harrington miała rację: największym problemem chłopaka był brak umiaru w pićiu. Trzeba będzie coś z tym zrobić - ale może jeszcze nie teraz, pomyślał, przypominając sobie, by robić wszystko krok po kroku.

Ponieważ nie miał butów, poczuł, że terier Dessiego łapie go za palec. Piesek, który wydobrzył w zaskakującym tempie, leżał obok jego nogi i merdając ogonem, patrzył mu błagalnie w oczy.

- Biedactwo. - Francey podał mu kanapkę, a zwierzak zabrał ją szybko, na wszelki wypadek, gdyby dobroczyńca miał zamiar się rozmyślić, i uciekł z łupem w najdalszy kąt kuchni. Francey przyniósł resztę kanapek do stołu i popchnął talerz w kierunku brata.

- Nn-nniedzie... dzie-dzięku... - Krótko ostrzyżona głowa Dessiego zachwiała się nagle na cienkiej szyi.

Francey przestraszył się nie na żarty.

- Powinieneś coś zjeść - nalegał. - Musisz jeść, żeby alkohol nie uderzył ci do głowy. - Równie dobrze jednak mógłby mówić po chińsku, gdyż Dessie, zupełnie nie wiedząc, co się dzieje dookoła, nie był w stanie utrzymać prosto głowy. Podskakiwała i drgała jakby zawieszona na sznureczkach lalkarza, a on znowu sięgnął po butelkę. - Nie! - Francey zabrał mu ją sprzed nosa. - Nie, Dessie. - Postawił whisky na podłodze. - Coś mi się zdaje, że powinieneś wrócić do łóżka.

Brat usiłował protestować, lecz był już tak pijany, że nie potrafił sklecić razem dwóch

zrozumiałych słów; Francey na wpół zaniósł go z powrotem do łóżka. Obawiał się, że jego nieprzemyślany liberalizm zrujnował ciężką pracę Margaret. Przecież powiedziała, że chłopak może cierpieć z powodu zatrucia alkoholowego. A jeśli ta wypita whisky sprawi, że będzie z nim jeszcze gorzej niż do tej pory? Kiedy ułożył Dessiego na łóżku, pobiegł do sypialni dziewcząt. Nie chciał nikogo budzić niepotrzebnie, więc zczekał, aż oczy przyzwyczają mu się do mroku i mógł rozpoznać, która ze śpiących postaci to Margaret.

- Maggie! - szepnął, potrząsając nią lekko.

Natychmiast się obudziła.

- Co u...?

- Cii... - Francey uspokoił siostrę, przykładając jej palec do ust. - Mogłabyś przyjść na chwilę do kuchni? Chodzi o Dessiego. - Nie czekając na odpowiedź, wyszedł na palcach z pokoju.

- Gorzej z nim? - Margaret szła tuż za nim, zawiązując pasek szlafroka. - A to co takiego, u wszystkich diabłów? - Jej głos się zmienił, kiedy zobaczyła butelki i szklanki stojące na stole.

- Przepraszam, to moja wina - przyznał się Francey. - Szukał czegoś do picia, więc pomyślałem, że dobrze będzie, jeśli ktoś przynajmniej go przypilnuje.

Margaret obrzuciła go wściekłym spojrzeniem, po czym śpiesznie podeszła do łóżka, w którym Dessie spał jak zabity. Podniosła jego dłoń za nadgarstek i spojrzała na zegarek.

- Jeszcze żyje, ale z pewnością nie dzięki tobie - warknęła po paru sekundach. - Przynieś mi moją torbę... stoi na komodzie w sypialni.

Francey potulnie stał obok, gdy aplikowała śpiącemu dwa zastrzyki.

- Co mu dajesz?

- Witaminy, potas, nic groźnego. - Patrzyła na niego, wzięwszy się pod boki. - Na miłość boską, Francey, zacznijże wreszcie myśleć. Żeby dawać alkohol komuś w takim stanie! Równie dobrze mógłbyś poczęstować go strychniną i zaoszczędzić nam wszystkim kłopotów.

- Już ci powiedziałem... - zaczął protestować, lecz zaraz poczuł napływającą złość; dość miał tego, że wszyscy nim rządzą. - Posłuchaj - powiedział - okaż mi nieco zaufania, dobrze? To ja nie spałem całą noc, żeby go znaleźć! To ze mną rozmawiał.

- I co mówił? - Ciekawość wzięła w niej górę nad irytacją.

- Całe mnóstwo - odparł Francey ponuro. - Nasza siostra Kathleen ma cholernie dużo na sumieniu. Jego historia mnie zaszokowała...

- A czy Dessie wie, co się z nią teraz dzieje? - Na widok przerażonej twarzy siostry

Franceya opuścił gniew. Może i nigdy nie był zbyt blisko z Kathleen, lecz w złości zapomniał, że Kitty to rodzona siostra Margaret, a różnica wieku między nimi jest niewielka.

- Nie - mruknął. - Opowiem ci wszystko, czego się dowiedziałem.

Margaret przyglądała mu się uważnie.

- Nie jest dobrze, prawda? - A kiedy Francey potrząsnął głową, odwróciła się doń tyłem.

- Opowiesz mi później - dodała jakby przytłumionym głosem i schyliła się po torbę. - Idziesz już spać?

- Nie... jeszcze nie teraz. - Francey przyglądał się zgarbionym plecóm Margaret; nic nie mógł dla niej zrobić.

- To przypilnuj go - poleciała, nadal manipulując przy torbie. - Największym niebezpieczeństwem jest to, że zadusi się własnymi wymiocinami... Po prostu go pilnuj, dobrze? Zawołaj mnie, jeśli nastąpi jakaś zmiana lub jeśli coś cię zaniepokoi.

Odeszła do sypialni, a Francey przystawił sobie krzesło do łóżka Dessiego.

Terier wyczołgał się ze swego kąta i zwinął w kłębek obok jego stóp.

Wraz z psem obserwowali chorego do pierwszego brzasku, lecz Dessie ich nie potrzebował: oprócz rzadkich pomruków czy chrapania, zdawało się, że śpi dość spokojnie; Margaret potwierdziła to, gdy zajrzała do nich około szóstej.

Dzień wstał jasny i niebieski niczym jeden z letnich poranków, a światło słoneczne wlewało się do kuchni przez wysokie okna; około dziewiątej do drzwi domu z własnej inicjatywy zapukał doktor.

Pomimo blasku dnia i faktu, że był drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, atmosfera w domu pozostała pogrzebowa: Elizabeth jeszcze nie wstała, dziewczęta zaś rozmawiały z sobą przyciszonymi głosami, przygotowując śniadanie. Wpuściwszy doktora, Francey obawiał się, że zostanie obwiniony o nocną zapaść Dessiego i obawiając się diagnozy, uciekł do Wybryku.

Czując się pewniej w swym schronieniu, oświetlonym tylko jedną słabą żarówką, szperał po półkach, aż znalazł zestaw swoich kolejek i uprzątnąwszy spory kawał miejsca na podłodze, zaczął łączyć ze sobą miniaturowe kawałki torów. Jednak podczas gdy jego ręce pracowały, mózg miał zajęty czymś całkiem innym. Nie może zabrać Dessiego w obecnym stanie do Anglii; nie może go przedstawić drugiej części rodziny.

Później przyszła mu do głowy myśl tak zdrożna, że aż zapomniał o swym zajęciu, przysiadł na piętach i uśmiechnął się szeroko. Jakże byłoby zabawnie zawieźć Dessiego do Inveraray i obserwować reakcję mieszkańców posiadłości. Wyobraził sobie nawet porażające wraże-

nie, jakie wywarłby widok Dessiego w obecnym stanie na ojcu i Colinie Manneringu...

Po chwili Francey znowu skoncentrował się na kolejkach. Powiedział sobie, że musi zachować spokój i nie może dać się ponieść emocjom. Przede wszystkim trzeba myśleć o Dessiem, a dopiero potem spełniać własne zachcianki. Na przykład, kiedy powinien wspomnieć bratu o jego sytuacji finansowej? Czy biorąc pod uwagę jego przeszłość, można mu powierzyć kontrolę nad taką sumą? Nie potrzeba było geniusza ani psychiatry, aby się domyślić, że chłopak mógł wykorzystać swój majątek do dalszej autodestrukcji. Czy prawnik George'a, pan Solomon, byłby w stanie uniemożliwić Dessiemu samodzielne dysponowanie pieniędzmi, przynajmniej do czasu uzyskania przez niego pełnoletności?

Jako dorastający chłopak Francey wraz z kolegami do znudzenia rozmawiali o tym, co poczną z zarobionymi przez siebie fortunami albo z forszą, którą dzięki szczęśliwemu trafowi losu wygrają na loterii i nie będą musieli już niczym się przejmować. Pomyślał, że teraz, mimo iż bogaty jak Krezus, czuje się bezradny. Pieniądze nie były w stanie pomóc mu w zdobyciu Fleur ani w stosunkach z rodziną - zabiły Mossiego - a żadna suma nie zdoła uratować Dessiego, jeśli on sam tego nie zechce.

Nie, pomyślał Francey, nakręcając prześliczną mosiężną lokomotywę, bogactwo wcale nie jest takie wspaniałe, jak sobie wyobrażał. Wyjął kluczyk i postawił lokomotywę na torach. Od niego zależy, czy wykorzysta te pieniądze dla własnego pożytku; mógł się stać ich władcą. Wystarczy, że przestanie je postrzegać jako coś odrębnego od siebie czy też dziwaczny socjalny handicap, a przede wszystkim musi przestać czuć się z nimi głupio.

Po raz pierwszy stawiał czoło obawom związanym ze swą fortuną: zachowywał się tak, jakby było mu wstyd, że odziedziczył wielki majątek; zupełnie jakby na widok błysku zazdrości czy zawiści w oczach któregoś z sąsiadów miał obowiązek wołać: „Ależ ja się nie zmieniłem, naprawdę...”. Matka obawiała się, że ta nowa sytuacja zmieni jego życie na gorsze; musiał ignorować wprawdzie rzadkie, ale złośliwe przycinki sióstr... Gdy teraz się nad tym zastanawiał, zrozumiał, że tylko Hazel i Abigail potraktowały ów uśmiech losu jako powód do radości. Mossiemu także nie przeszkadzało bogactwo Franceya.

Nagle zatęsknił za zmarłym. Był tak zajęty matką i pogrzebem, że właściwie nie miał czasu zastanowić się głębiej nad tym, co dla niego oznacza utrata ojczyzna. Mimo że Francey zdawał sobie sprawę, iż ich więzi były pod wieloma względami tylko powierzchowne, dopiero teraz zrozumiał, że traktował obecność Mossiego jako coś trwałego i pewnego. Jego niewzruszony zdrowy rozsądek i siła okazałyby się wielce pomocne w obliczu obecnego kryzysu; na

pewno wymyśliliby jakiś sposób, aby wykorzystać bogactwo Franceya na pomoc dla Dessiego.

Młodzieniec połączył wagoniki dla pasażerów z przeznaczonymi dla strażników oraz towarowymi i ustawił wszystkie na torach za lokomotywą. Później zwolnił hamulec i wypuścił pociąg w drogę. W tej samej chwili także jego mózg ruszył z kopyta. Może powinien wraz z Dessiem wyjechać gdzieś na wakacje? Może jeśli znajdą się razem w jakimś cieplejszym klimacie, na piaszczystej plaży w słonecznej Hiszpanii lub Italii, może wtedy udałoby się odwrócić uwagę brata od picia, kierując ją ku zdrowszym zajęciom - i bardziej ambitnym. Mogliby pojechać wszyscy, całą rodziną: o ile dobrze wiedział, to - poza jednym wyjazdem z Tilly Harrington do Dublina na pantomimę graną w Teatrze Królewskim - odkąd matka przyjechała do Lahersheen z dzieckiem w brzuchu, nie ruszyła się z domu nawet na krok. Ale czy brat zechce gdzieś wyjechać? Podobnie jak pociąg, myśli Franceya zakreśliły koło. Główny problem leżał w tym, by przekonać Dessiego, że potrzebuje pomocy. A jeśli się nie uda, to co wtedy?

Francey postanowił, że jak na razie, zamiast posuwać się do tak drastycznych kroków jak wyjazd za granicę, co mogłoby tylko niepotrzebnie wystraszyć brata, najlepiej będzie pomagać mu powoli. Zaczną od wizyty u dentysty. Dźwięki wydawane przez pociąg, który robił już drugie okrążenie po torach, przypomniały Franceyowi dzieciństwo. Hipnotyzujące, powolne krążenie wagoników - szmer tak wątły i cichy w zagraconym pokoju - spowodowało trans, który matka zwykła była nazywać snem na jawie. Francey wpatrywał się zamglonymi oczyma w lokomotywę, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

Parę chwil później, kiedy lokomotywa zaczęła już zwalniać, drzwi Wybryku otworzyły się z trzaskiem i młodzieniec został wytrącony nagle z przyjemnego, nieomal narkotycznego stanu zapomnienia.

- Znalazłeś go!

Francey zauważył, że Hazel wróciła do swego zwyczajnego stylu: miała na sobie obcisłe białe spodnie, bluzę polo i kurtkę imitującą skórę jaguara. Do tego szpilki.

- Taak. - Wstał.

- Rozmawiałam z twoją siostrą, tą najmłodszą - wyjaśniła. - To ona mi powiedziała, że wyciągnęli go z morza.

- To prawda, wejdz, Hazel. - Francey podszedł do niej i zamknął drzwi. - Nie spodziewałem się ciebie dziś rano.

- Nie mogłam spać. Jesteśmy właśnie w drodze do Killarney, lecz musiałam wstąpić, aby zapytać, czy nie ma jakichś wieści. Vinniemu się zdaje, że jest środek nocy. Muszę ci przyznać,

Francey, że jesteś wspaniałą. Opowiadaj, co się działo! - zakomenderowała, siadając na bujanym fotelu i podkulając nogę pod siebie.

Francey opowiedział jej wszystko, co sam wiedział, ostrzegając, że wiele z wiadomości, zwłaszcza dotyczących życia Dessiego w Anglii, jest z trzeciej ręki i pochodzi od Tilly Harrington. Z wielką ulgą zwierzył się przyjaciółce z problemów zdrowotnych Dessiego i jego uzależnienia od alkoholu. Słuchała, nie przerywając, tylko od czasu do czasu mlaskała językiem lub prychała cicho.

- Jest przynajmniej młody, więc ma spore szanse na wyleczenie - odezwała się na koniec pocieszającym tonem. - Nie tak, jak niektórzy moi znajomi. W show-biznesie jest wiele milionów takich jak on. - Spojrzała na Franceya spod sztucznych rzęs i wyznała otwarcie: - Mam mnóstwo doświadczenia z tego typu sprawami. Wiem, że mogłabym mu pomóc, gdybyście mi tylko pozwolili.

- I tak już dużo zrobiłaś - odrzekł. - Wielkie dzięki, ale to my jesteśmy jego rodziną. To nasza sprawa.

Hazel odwróciła wzrok i wstała z fotela.

- W takim razie chyba już sobie pójdę. Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Do piątego stycznia będziemy w trasie, lecz przez najbliższy tydzień gramy w Dublinie i okolicach. Jeśli chcesz, łap mnie w dzień w moim mieszkaniu...

Zawahała się przez ułamek sekundy, jakby spodziewając się odpowiedzi, po czym podeszła do drzwi. Francey jednak był jeszcze zbyt zaabsorbowany tym, co się wydarzyło i co nadal się działo, by wyłapać aluzję i odpowiednio na nią zareagować.

- Oczywiście, dziękuję. - Uśmiechnął się do niej. - Ale nie odchodź jeszcze. Nie wejdiesz do domu choć na chwilę? Jestem pewien, że doktor zaraz pójdzie.

- Och, nie - odpowiedziała. - Twoja biedna matka i tak ma już dość zmartwień. - Znowu się zatrzymała, tym razem już na progu. - Nie ma to jak rodzina, co?

Sama wyszła na podwórze, lecz zanim wsiadła do mikrobusu, odwróciła się, by pomachać Franceyowi po raz ostatni. Gdy samochód popędził niczym ogromna, dziwaczna osa, młodzieniec zastanowił się nad tym, co Hazel mówiła o rodzinie. Zauważył, że auto lekarza nadal stoi na podwórku i uznał, że nie może już dłużej się ukrywać; poszedł do kuchni.

- Witaj, Francey. - Doktor uśmiechnął się do niego; był to niski człowieczek w średnim wieku. Pograżony w rozmowie z Margaret, odwrócił się, słysząc kroki. - Właśnie tłumaczyłem twojej siostrze, że ten młodzieniec przez jakiś czas jeszcze nie może nic pić.

- Wiem, tylko że... - Młodzieniec już miał zacząć się tłumaczyć, dlaczego dał Dessiemu alkohol, lecz zamilkł. Wiedział, że przyznanie się do winy niewiele tu pomoże, a już na pewno nie jemu. Wyprostował się i spojrzał lekarzowi w oczy. - Teraz wiemy... ale będziemy potrzebować pańskiej pomocy.

- Właśnie o tym rozmawialiśmy. - Doktor zdjął stetoskop z szyi i włożył do torby. - Moim zdaniem najlepiej byłoby go umieścić w szpitalu, lecz twoja siostra mówi, że nie bardzo chcesz się na to zgodzić. Po prawdzie, to biedaczysko jest tak zdezorientowany i niedożywiony, że nie zrobi mu większej różnicy, gdzie przebywa. Będę mieć oko na rozwój sytuacji. Pójdę już, Margaret - powiedział i skinął głową Franceyowi, a po chwili wahania dodał: - Nie będę udawać... to nie takie proste. Z drugiej strony jest jeszcze bardzo młody, a wątroba to zadziwiający organ. Dessie nie mógł zrobić sobie zbyt wielkiej szkody, w każdym razie nic, czego nie można byłoby jakoś naprawić. Przepisałem stosowne leki, lecz jak na razie potrzeba mu stałej opieki i czasu. Nie doglądajcie go jakoś szczególnie... pozwólcie, by sam się tu zaaklimatyzował i doszedł do siebie. Nie zdziwcie się, jeśli będzie reagował wrogością na wiele rzeczy, które wam się wydają przejawami dobroci. A jeżeli potrafilibyście zachęcić go do zmiany zdania co do szpitala...

- Dziękujemy - przerwał mu Francey, pamiętając gwałtowną reakcję brata i jego błagania, by nie umieszczać go w „zakładzie”.

- Czasem pomaga, jeśli zamiast alkoholu zaproponować coś słodkiego - powiedział lekarz. - Słodką, mocną herbatę... lub czekoladę. - Dodał jeszcze, że zajrzy do nich w przyszłym tygodniu i wyszedł.

Resztę poranka Dessie spędził w zawieszaniu gdzieś pomiędzy niespokojnym snem a pełną urojeń jawą. Francey i dziewczęta zachowywali się tak, jakby obecność mającego młodego człowieka, który rzucał się na łóżku w kuchni, była czymś najnormalniejszym w świecie. Chociaż wszyscy przygotowali się psychicznie na nieprzyjemną konfrontację dotyczącą alkoholu, chłopak ani razu o niego nie poprosił. Wedle teorii Margaret jego ciało znajdowało się w zbyt kiepskim stanie, a umysł był zamroczony na skutek działania leków.

Patrząc, jak matka wkłada małe kawałki kurczaka do miksera, by przygotować następny posiłek dla wnuka, Francey pomyślał, że to dobrze, iż już się uspokoiła. Zdawało się, że kryzys emocjonalny, jaki przeszła poprzedniego dnia, oczyścił jej serce i umysł.

Skoro sytuacja znalazła się już pod kontrolą - a przynajmniej taką miał nadzieję Francey - pozwolił sobie na powrót myślni do Fleur. Wreszcie zyskał idealny pretekst, by się z nią

skontaktować.

Rozdział dwunasty

Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia zaczynał się w Inveraray bardzo powoli - dochodziło wpół do jedenastej, a Fleur, która przechadzała się niespokojnie po domu, wciąż miała go jeszcze tylko dla siebie. W odróżnieniu od Colina zawsze wstawała wcześniej rano. Nawet Tommy jeszcze był w łóżku, toteż nudziła się jak mops. Rozważała możliwość pójścia na spacer, lecz wyjrzawszy przez okno, zobaczyła, że drzewa w lesie uginają się pod naporem wiatru, więc tylko głębiej wtuliła twarz w kołnierz moherowego swetra. Podniosła i postawiła na stole smukły kieliszek do szampana, leżący za ciężką zasłoną przy oknie, by ktoś ze służby go zabrał. Później wzięła z ciężkim westchnieniem jakieś czasopismo i usiadła na jednej z miękkich kanap, tej najbliższej kominka, w którym jak zwykle płomienie syczały jednostajnie w szczelinach między kłodami. Przerzucając grube, lśniące strony magazynu, zastanawiała się, kiedy wreszcie wrócą do Londynu. Od czasu śmierci Jool przebywanie w tym domu stawało się coraz bardziej uciążliwe.

Za życia żony George Gallaher przynajmniej dbał o pozory i zachowywał jak prawdziwy dżentelmen, i gdyby nie owe pijackie awanse, których Fleur starała się nie zauważać, uznałaby go za wzorowego męża. Ale po pogrzebie Jool zaczął coraz bardziej otwarcie folgować swym hedonistycznym zachciankom; dwa razy wrócił z Londynu w towarzystwie kobiety, która została we dworze tylko na jedną noc, i zupełnie nie przejmował się obecnością Fleur, Colina czy choćby Tommy'ego w Inveraray. Chociaż Fleur nie zamierzała stać na straży niczyjej moralności, nie znosiła ludzi, którzy nie umieją zachować dyskrecji.

Potrafiła przejrzeć mężczyznę na wylot i, pomijając już flirty teścia, szybko wyczuła, że ojciec Colina prześlizguje się po życiu niczym kamyczek rzucony płasko na wodę. Nauczona doświadczeniem, wcale się nie dziwiła, że tego powierzchownego i płytkiego człowieka wyróżniła fortuna. Nie było to aż tak rzadkim zjawiskiem: niektórzy ludzie całe życie walczyli z przeciwnościami losu, inni zaś po prostu urodzili się pod szczęśliwą gwiazdą, która nigdy ich nie opuszczała. Toteż George znalazł się w odpowiednim czasie i w odpowiednim miejscu, kiedy Jool Dill Smith szukała trzeciego męża.

Na początku Fleur zastanawiała się czasem, co też Jool zobaczyła w tym mężczyźnie i w końcu doszła do wniosku, że jej teściowa, będąca już starszą damą, gdy poznała swego przy-

szłego małżonka, doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nic nie jest w życiu doskonale i dlatego zadowolila się fizyczną urodą oraz ujmującym stylem bycia George'a. Obracając się w tych samych kręgach towarzyskich, Fleur wielokrotnie zauważyła, że pojawianie się z uroczym, a co więcej młodszym od siebie mężczyzną u boku zawsze daje wiele satysfakcji starszej damie, które może się rozkoszować zazdrosnymi spojrzeniami i pełnymi konsternacji minami, jakie wywołuje jej nowy towarzysz u nie najlepiej usposobionych znajomych.

Podniósłszy oczy znad czasopisma, Fleur zapatrzyła się w sztuczne płomienie i uśmiechnęła na wspomnienie bezpretensjonalnego zachowania Jool.

Młoda kobieta miała tysiące powodów, by być wdzięczną macosze Colina - zwłaszcza za jej pośmiertną hojność. Dzięki testamentowi teściowej wielkie zamierzenia Fleur dotyczące przyszłości jej i syna już wkrótce miały się spełnić.

W dwa lata po przyjeździe do Anglii, poczyniwszy owe plany zaczęła w sekrecie gromadzić diamenty. Ponieważ były łatwe do przewiezienia i bez kłopotu dostępne, przedkładała je nad inne kosztowności, a nawet nad pieniądze. Jej *modus operandi* był prosty: przyjmowała podarunki od bogatych Anglików. A owi rozważni „przyjaciele” okazali się nad wyraz szczodrzy.

Z czasem Fleur porozumiała się z kilkoma detalistami, którzy przyjmowali podarowane jej przedmioty - perfumy czy też drogą francuską bieliznę - i kupowali je za gotówkę nieco poniżej rynkowej ceny; co więcej, pośrednik z Hatton Garden, niegdyś sporadycznie goszczący w jej buduarze, a teraz szczęśliwie żonaty po raz czwarty, zabierał od obdarowanej mniej wartościowe klejnoty i wymieniał je na specjalnie dla niej przywożone diamenty. Ponieważ niektóre z kamieni nie były jeszcze nawet oszlifowane, ów handlarz niemal od razu się zorientował, że Fleur nie zamierza kolekcjonować brylantów dla przyjemności czy też przerobić na biżuterię, aż w końcu - przyparta do muru natarczywymi pytaniami - postanowiła wyznać mu prawdę.

Ów mężczyzna był, poza Tommym, jedynym człowiekiem na świecie, któremu zaufała. Dowiedziała się, że miał domy letniskowe na Mauritiusie i wyspie Świętego Tomasza; obiecał, że kiedy nadejdzie odpowiednia pora, chętnie pomoże Fleur znaleźć jakieś własne lokum w słonecznej części świata, gdzie ani ona, ani Tommy nie będą już musieli się przejmować Manneringami, Gallaherami ani żadnymi z ich nudnych znajomych. Zastanawiała się, czemu handlarz z taką życzliwością zaoferował jej pomoc: przypuszczała, że uważał ją za córkę, której nigdy nie miał.

Tak więc podczas jednego ze służbowych wyjazdów Colina za granicę Fleur kazała zain-

stałować pod podłogą buduaru sejf i przechowywała tam diamenty, bezpieczne w miękkiej, wyszywanej koralikami torebce, która niegdyś należała do jej matki.

Młoda kobieta odrzuciła na bok czasopismo, wstała i podeszła do okna; zewnętrzna szyba pokryła się dużymi kroplami deszczu ze śniegiem. Fleur wychowała się w przyjaźniejszym dla ludzi klimacie, toteż nienawidziła angielskiej zimy i wychodziła z domu tylko wtedy, gdy stawało się to absolutnie niezbędne albo gdy nie mogła się obronić przed angielską manią spacerów na świeżym powietrzu. Kiedy bawili wraz z Colinem na wsi w gościnie u jakiegoś znajomego, niegrzecznością byłoby odmówić przechadzki po polach, która stanowiła nieodłączny punkt wizyty.

Gdy Colin zabrał Fleur z Liliowego Ogrodu, aby zainstalować ją w tanim hoteliku nad rzeką jako swą konkubinę, wzięła ze sobą tylko małą torebkę, która miała dla niej wartość uczuciową i była prezentem otrzymanym przez matkę od pewnego brytyjskiego arystokraty. Ponieważ Colin był Brytyjczykiem, Fleur traktowała ów przedmiot jak amulet.

Magia zadziałała, gdyż dzięki jej doprowadzonym do perfekcji staraniom i umiejętnościom w dziedzinie seksu oraz zapewnieniom, że każda jego wizyta jest bardziej podniecająca od poprzedniej, nie minęło wiele czasu, a zapragnął się z nią ożenić i wziąć ją ze sobą do Anglii. W tym czasie za gotówkę w Bangkoku można było kupić praktycznie wszystko, nawet akty urodzenia, paszporty czy wize, tak więc Colin mógł wkrótce zabrać swą piękną młodą żonę i półrocznego synka do ojczyzny. Żadne z nich nie wyjawilo nikomu, że kiedy Fleur po raz pierwszy stanęła na angielskiej ziemi, miała zaledwie piętnaście lat.

Teraz, natrzymawszy się już na przygnębiający, szary krajobraz za oknem, młoda kobieta zerknęła na zegarek; postanowiła, że jeśli jej synek zaraz nie wstanie, pójdzie go obudzić. Bez trudu wmówiła mężowi, że to on jest ojcem Tommy'ego, który po prostu urodził się trochę zbyt wcześnie - chłopczyk przyszedł na świat, kiedy jego rzekomy ojciec wyjechał w dłuższą podróż na Malaje. W dodatku Fleur była tak drobna i niedożywiona, że urodziła maleńkie i słabowite dziecko. Rysy Tommy'ego, mimo że orientalne, zawierały dostatecznie dużo cech rysów białego człowieka, toteż Colin nic nie podejrzewał i Fleur błogosławiła w myślach los za to, że dał jej zdolności językowe, dzięki którym miała międzynarodową klientelę.

Za jej plecami zadzwonił jeden z dwóch telefonów stojących w pokoju, lecz został odebrany w innej części domu, zanim zdążyła podejść do aparatu. Zastanawiała się, czy nie przejrzeć ponownie magazynu, lecz doszła do wniosku, że lepiej będzie obudzić Tommy'ego... i Colina. Chciała uciec stąd jak najszybciej.

Sypialnia, którą Fleur dzieliła z małżonkiem, znajdowała się na początku korytarza, tuż obok salonu, i gdy młoda kobieta weszła do środka, zauważyła, że Colin już nie śpi i ku jej przerażeniu patrzy na nią namiętnym wzrokiem.

- Jestem już ubrana - powiedziała, mając nadzieję, że go powstrzyma. - Poza tym, chcę wyjechać stąd jak najszybciej.

Colin przybrał typową dla niego minę skrzywdzonego chłopca, a Fleur, która robiła wszystko, co w jej mocy, by czuł się usatysfakcjonowany i nie nabrał żadnych podejrzeń, skapitulowała.

- No dobrze.

Westchnęła, rozpięła bluzkę i podeszła do torby, by wyjąć z niej akcesoria, których potrzebowała, żeby go zadowolić. Potem zamknęła drzwi na klucz i zbliżyła się do łóżka, gdzie leżał Colin z twarzą zaczerwienioną już z pożądania.

Jak na ironię, on pierwszy pokazał Fleur drogę do finansowej niezależności, która wedle jej zasad równała się szczęściu.

Jej matka nie żyła, a ona sama miała czternaście lat, kiedy Colin Mannering po raz pierwszy przestąpił próg Liliowego Ogrodu. Fleur, zmęczona dotychczasowymi doświadczeniami, nie dostrzegła wtedy nic szczególnego w nowym gościu, był jednym z szerokiego grona zagranicznych biznesmenów, którzy przewinęli się przez jej łóżko spragnieni seksu. Także wymagania Colina były typowe jak dla Anglika: poprosił, żeby przed stosunkiem go wychłostała. Kiedy wyszedł, przestała myśleć o nim i jego seksualnych upodobaniach równie szybko, jak o innych klientach. Miała ważniejsze sprawy na głowie: była w ciąży i nikomu jeszcze o tym nie mówiła.

Colin jednak wrócił następnego dnia, i kolejnego, i jeszcze następnego, za każdym razem prosząc właśnie o nią - co nie było niczym wyjątkowym, choć należało do rzadkości. Fleur wiedziała, że ma niepospolity talent w dziedzinie seksu i klienci przekazywali sobie pochlebne uwagi na jej temat, lecz większość gości powracających do Liliowego Ogrodu lubiła różnorodność i życzyła sobie coraz to innej dziewczyny.

Podczas piątej wizyty wymagania Colina posunęły się o szczebel wyżej: przed stosunkiem miała użyć specjalnych akcesoriów i ubrać się w niezwykle angielski strój, który przyniósł w torbie. Potraktował obojętność Fleur jako chłodne wahanie i podarował jej dla zachęty cienką złotą bransoletkę w kształcie węża, którą przy zapięciu zdobiło kilka drobnych diamentów; obiecał też więcej podobnych podarunków, jeśli zazna rozkoszy. Colin jako pierwszy z

klientów podarował Fleur prawdziwy prezent i dziewczyna zaczęła wiązać z nim nadzieje na przyszłość. Tego popołudnia pracowała wyjątkowo ciężko, a kiedy zwierzył się jej, że już dwa dni opóźnił wyjazd i przyrzekł wrócić następnego popołudnia po raz ostatni, nie miała wątpliwości, że tak się stanie.

Fleur zdawała sobie sprawę z tego, że Colin najprawdopodobniej jest jej jedyną szansą w życiu, by uciec z Liliowego Ogrodu. Skończyła czternaście lat i zapewne nie miała już przed sobą zbyt długiej perspektywy pracy: wkrótce zniszczą ją choroby, o ile dotąd czegoś nie złapała - i umrze. Choć w owym czasie zupełnie nie interesowała się rosnącym w niej dzieckiem, nie była przekonana, czy chce się go pozbyć i z ciekawością zastanawiała się, jakie to uczucie mieć kogoś tylko dla siebie.

Tylko raz w całej historii Liliowego Ogrodu dziewczynie się udało i klient zabrał ją na stałe; Fleur wiedziała, że będzie musiała stoczyć nieomal beznadziejną walkę z przeciwnościami losu.

Kiedy Colin zjawił się tamtego popołudnia, była już gotowa na jego przyjście. Uśmiechnęła się nieśmiało i wzięła od niego torbę; gdy dobili targu, przestała się uśmiechać i przybierając pogardliwą minę - wiedziała, że tę część gry Colin lubi najbardziej - zrzuciła kimono. Upewniwszy się, że widział każdy skrawek jej ciała, usiadła przed nim, by naciągnąć niesamowicie wysokie buty i rękawiczki, po czym wzięła bicz i skórzany fartuch. Później jednak, przywołując cały swój ciężką pracą zdobyty kunszt aktorski, udała, że oba przedmioty wypadają jej z rąk, a oczy wypełniają się łzami - jakby pod wpływem nieoczekiwanych emocji.

Colin, bardzo już podniecony, koniecznie chciał wiedzieć, co się stało, lecz odmówiła wyjaśnień. Przygryzła wargi, jakby usiłując powstrzymać płacz, po czym ponownie podniosła bicz, zawiązała fartuch i zabrała się do pracy.

Tego popołudnia dała z siebie wszystko i przedłużała spotkanie, aż Colin, bezsilny i drżący, zaczął błagać, by przestała i uwolniła go wreszcie. Właśnie wtedy Fleur pozwoliła sobie na płacz. Łamaną angielszczyzną wyznała mu, że jest dla niej kimś szczególnym, a odkąd go poznała, straciła zainteresowanie innymi mężczyznami i choć musi to ukrywać, od jego pierwszego dotknięcia wiedziała, że jest jedynym mężczyzną, który potrafi ją zaspokoić pod każdym względem. Gdy Colin znowu przyjedzie do Bangkoku, nie będzie mogła z nim się spotkać, gdyż traktowanie go jak zwykłego klienta stałoby się dla niej zbyt bolesną próbą.

Kiedy to mówiła, bawiła się jego członkiem, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. I gdy wreszcie Colin osiągnął orgazm, był przekonany, że kocha Fleur i przysiągł zabrać ją z

sobą.

Kiedy teraz pracowała nad jego ciałem, jej umysł znajdował się gdzie indziej. Wyobrażała sobie, że spaceruje z Tommym po miękkim białym piasku brzegiem błękitnego morza.

- Znowu byłeś niegrzeczny, prawda? - skarciła męża surowym, poważnym głosem, podczas gdy oczyma duszy widziała ciepłe fale obmywające jej stopy. - Ostrzegałam cię, co się stanie, jeśli nie zachowasz się odpowiednio! Pochyl się! No już! - Przewyciężając udawany opór Colina, popchnęła go, by upadł twarzą na materac. - A teraz mamusia będzie musiała sprawić ci lanie!

Kiedy mąż jęczał i drżał w ekstazie, Fleur zamknęła oczy, żeby nie widzieć jego czerwieniejących ud i pośladków ani skrępowanych nóg, którymi rzucał na boki, i wyobraziła sobie wielkie liście palm kołyszące się na wietrze.

Kilka minut przed tym, nim Fleur przyszła do Colina, George Gallaher obudził się w swej sypialni... jeszcze nie do końca, ale był wystarczająco przytomny, by wiedzieć, że umyka mu cudowny sen. Właśnie szalał na sianie z córką wieśniaka, wspaniałą dziewczyną o istic rubensowskich kształtach, z masywnymi nogami i pośladkami oraz ogromnymi, podskakującymi piersiami. Wsunął się głębiej pod kołdrę, usiłując przywołać na powrót pierzchający obraz i wspaniałe ciepło miękkiego okrągłego brzuszka, lecz wszystkie owe wspaniałości umykały przed nim, ciągle znajdując się poza zasięgiem palców.

Dzwonek telefonu tuż przy łóżku brutalnie go obudził; kiedy na oślep szukał słuchawki, wypita wczorajszego wieczoru brandy przypomniła mu się w postaci okropnego bólu rozsadzającego skronie. Na poprawę stanu George'a nie wpłynęła także rozmowa. Pięć minut później, odwiesiwszy słuchawkę, jęknął głośno i leżąc cały czas na plecach, przyłożył dłoń do pulsujących bólem oczu; jego żołądek także się buntował, usiłując strawić tłuste świąteczne potrawy. Ogólnie rzecz biorąc, George czuł się fatalnie.

Delikatnie mówiąc, nowiny z Irlandii go zaskoczyły. Wiadomości od Franceya oznaczały, że powinien coś zrobić. Czyż nie będzie końca tym okropnym kłopotom? Podnosząc się na łokciu, zadzwonił do kuchni, by zamówić kawę, wodę z lodem i alka-seltzer, a później poczłapał do łazienki.

- Trzeba ci czegoś więcej niż aspiryna, mój chłopcze - powiedział do ludzkiego wraku, który patrzył na niego z lustra przekrwionymi oczyma.

Co też jeszcze mu przyniesie ten dzień? Z doświadczenia George'a wynikało, że jeśli ranek zaczyna się kiepsko, to później jest tylko coraz gorzej.

Po długim gorącym prysznicu poczuł się nieco lepiej; wróciwszy do sypialni, przełknął alka-seltzer, który przyniesiono podczas jego nieobecności, a później popił lekarstwo aromatyczną gorącą kawą. To Jool odzwyczaiła go od herbaty i teraz George nie potrafił już sobie wyobrazić rozpoczęcia dnia bez trzech lub czterech filiżanek mocnego napoju, który specjalnie sprowadzała ze Stanów.

Naprawdę tęsknił za Jool. No dobra, musiał przyznać, że bywały czasy, kiedy cudownie szalało się na swobodzie, lecz nadchodziły potem inne, gdy dopadało go prawdziwe życie i okropnie było nie mieć z kim dzielić tych trosk. Wśród licznych wad George'a na szczęście nie trafiła się zdolność do samooszukiwania, więc musiał wreszcie stawić czoło faktowi, że „dzielenie” nie wydawało się najlepiej pasującym tu słowem. Chciał, by Jool nadal żyła i zajęła się tą nową, okropną sprawą. Ponuro wpatrywał się w fusy na dnie filiżanki. Podejrzywał, że im wcześniej przekaze złe nowiny Colinowi, tym lepiej. W końcu chodziło o jego jeszcze jednego krewniaka. I Tommy'ego też.

George uśmiechnął się na myśl o wnuku i o tym, jak chłopca cieszyły wszystkie prezenty - niedawno kupił mu zestaw do ping-ponga i kazał zmontować stół w jednym z pustych boksów w stajni. Oczywiście, zamawiając ów prezent, nie przemyślał uważnie swojego kroku i okazało się, że kupienie to jedna rzecz, a granie z wnukiem w ping-ponga to całkiem coś innego. Jednak George musiał przyznać, iż kiedy wreszcie pogodził się z tym, że Jool nie będzie już zarządzać domowymi sprawami, jego rola i obowiązki - przynajmniej w czasie ferii świątecznych - okazały się mniej nieprzyjemne, niż się tego spodziewał. Wszyscy czworo - Colin, Tommy, Fleur i on sam - nieźle się bawili przez godzinę w stajni, a potem zasiedli do wspólnego świątecznego obiadu, śmiejąc się z niepowodzeń w ping-pongu.

Alka-seltzer w połączeniu z kofeiną zaczynał już działać i George'owi zrobiło się weselej; przecież w końcu gdy sprawa dotyczy przyjazdu nowego członka rodziny, Colin będzie musiał pomóc. Trzeba o wszystkim jak najszybciej powiedzieć najstarszemu synowi. Może oboje zostaną tu dłużej zamiast wkrótce wracać do Londynu? Tak czy inaczej, George postanowił ich o to spytać, choć wiedział, jak wątła jest jego nadzieja.

Czując, że jego ciało tego ranka nie zniosłoby ciężkiego ubrania, włożył stare, wygodne spodnie, miękki kaszmirowy sweter i kapcie; potem ochlapał twarz drogą wodą kolońską i przeszedł przez korytarz do drzwi sypialni zajmowanej przez Colina i Fleur.

Nie chciał ich budzić, jeśli jeszcze śpią, tak więc zawahał się przed zapukaniem; przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał odgłosów dochodzących ze środka. Chociaż ściany domu były

grube, a drzwi zrobiono z solidnego mahoni, ku swemu rozbawieniu George usłyszał ciche dźwięki, jakie zwykle towarzyszą uprawianiu seksu... i to całkiem rozbrykanego seksu, pomyślał z zazdrością. Usiłował stłumić w sobie pragnienie zagarnięcia Fleur tylko dla siebie. Wiedział, że powinien odejść, lecz w tym czasie owe jednoznaczne odgłosy umilkły. George odczekał jeszcze kilka sekund, po czym zapukał.

Po chwili synowa, tylko w kimonie i opanowana jak zawsze, otworzyła drzwi.

- Witaj, Fleur - odezwał się George. - Ojej, przepraszam. Najwyraźniej przyszedłem nie w porę - dodał szybko w kierunku rozczochranego Colina, który siedział na łóżku czerwony jak burak, usiłując okryć się skłębionym prześcieradłem.

- Nic się nie stało - odrzekł syn lekko zasapanym głosem. - Czym możemy ci służyć?

- Przed chwilą dzwonił z Irlandii nowy członek naszej rodziny. Przesyła pozdrowienia - rzucił George pod adresem synowej. - Ma dla nas ciekawe wieści.

- Jakie?

Według George'a Fleur wyglądała na równie obojętną, co zawsze, jednak cofnęła się o krok, by wpuścić go do pokoju.

Przyjąwszy owo nieme zaproszenie, wszedł do sypialni, w której unosił się ciepły, charakterystyczny zapach seksu.

- Najwyraźniej objawił się następny protegowany Jool. - Ziewnął, jakby ten temat śmiertelnie go nudził. - Mój trzeci syn, dzikus marnotrawny, czy kim on tam jest, pojawił się wreszcie na horyzoncie.

- Naprawdę? - Jak gdyby chcąc się obronić przed nowinami, Colin mocniej naciągnął na siebie pościel. - A kiedy to się stało?

- Nie znam zbyt wielu drastycznych szczegółów. - Później jednak George postanowił nie przeciągać struny. - Już wkrótce mają tu przyjechać we dwóch. Moglibyście przejść przez to wraz ze mną? - poprosił, po czym ponownie odwrócił się do Fleur: - Oboje? Pomożecie mi?

- Ale w czym, tato? - spytał Colin, zerknąwszy na żonę. Gallaher postanowił zaapelować bezpośrednio do synowej.

- Wiesz, jak fatalnie radzę sobie w tego typu sytuacjach, zawsze zostawiałem takie sprawy Jool... - Jakoś udało mu się uśmiechnąć. - Myślisz, że moglibyście tu przyjechać na czas ich pobytu?

- Tato, w przyszłym tygodniu mam kilka ważnych spotkań w interesach. Muszę być w Londynie. Pamiętasz, mówiłem ci o tym wczoraj przy kolacji...?

- Och, nie sądzę, aby to tak szybko nastąpiło - zapewnił go pośpiesznie George. - Gdyby ciebie nie było, gdy oni przyjadą, może Fleur mogłaby tu przyjechać? - Kiedy jednak zorientował się, że jest zbyt nachalny, zmienił taktykę. - Z tego, co słyszę - dodał sucho - nasz syn marnotrawny jest w fatalnym stanie i jeszcze przez jakiś czas nie będzie mógł podróżować.

- Oczywiście, że chciałabym go poznać, ale wolałabym to zrobić w obecności Colina. - Mimo że Fleur powiedziała to głosem równie łagodnym jak zawsze, jej ton nie znosił sprzeciwu i nie zostawiał miejsca na dyskusję. George pomyślał, że rozsądniej będzie się nie upierać.

- Przepraszam, że wam przerwałem - odrzekł, posyłając Colinowi wszystkowiedzące spojrzenie, które zostało nagrodzone jeszcze mocniejszym rumieńcem na obliczu syna. - Pomyślałem sobie, że będziecie zainteresowani poznaniem nowego brata.

- Ależ jesteśmy, tato, jesteśmy!

- Nie przeszkadzajcie sobie! - I George wyszedł z pokoju.

Wróciwszy do swej sypialni, ponownie zadzwonił do kuchni, zamówił kolejny dzbanek kawy i rzucił się na łóżko. To już był jakiś początek, nawet jeśli niezbyt obiecujący. George rozumiał, że istnieje spore prawdopodobieństwo, iż będzie jednak musiał sam się uporać z Franceyem i Dessiem.

Do diabła, pomyślał, przecież ktoś powinien go wesprzeć. Podniósł słuchawkę, by zadzwonić do Londynu do długoletniego przyjaciela; chciał go prosić o przyjazd do Inveraray i pomoc w uporządkowaniu tego bałaganu. Obaj razem polowali na kobiety i ich przyjaźń nigdy nie została poddana większej próbie, lecz teraz nadszedł czas, by sprawdzić, co jest warta. Można postawić starego drania w stan gotowości bojowej, pomyślał George, na wszelki wypadek, gdyby tych dwoje zawiodło.

Kiedy jednak telefon dzwonił i dzwonił, a nikt w Londynie nie raczył odebrać, George pomyślał, że chyba będzie musiał się poddać. Leżał, wpatrując się w sufit. Niech się dzieje, co chce, ale on nie zamierza stawiać temu czoła w samotności.

Spotkanie twarzą w twarz z trzecim synem wcale nie miało się odbyć tak szybko, jak się tego obawiał. Podczas gdy się tym zamartwiał, jego drugi syn nie miał czasu na podobne rozważania; od czterech dni Francey tak wiele czasu poświęcał sprawom innych, że nie pozostała mu nawet jedna wolna chwila, by zastanowić się, co go czeka w przyszłości.

Mając już zapewnione wiano, Abigail wybrała wieczór w przeddzień wyjazdu Goretti do Stanów, by powiadomić rodzinę o swej decyzji dotyczącej wstąpienia do klasztoru; jej oświadczenie zaskoczyło wszystkich. Później jednak Constance wróciła do szkoły, a Margaret do

pracy, zostawiając Franceya, by pilnował Dessiego i opiekował się matką; to on głównie dotrzymywał jej towarzystwa, jeśli nie liczyć jak zawsze oddanej Tilly, która co dzień zaglądała na farmę pod tym czy innym pretekstem.

Jakby nie miał dość na głowie, Francey martwił się, że matka zbyt przywyknie do jego obecności w domu: musiał w jakiś sposób nie dopuścić do tego, by powzięła nadzieję, że mógłby na dobre pozostać na wsi. Miał jednak tyle roboty, że ciągle odkładał na później poważną rozmowę dotyczącą własnej przyszłości. W pewien dziwny sposób obecność Dessiego okazała się pomocna: Elizabeth tak się zajęła pielęgnowaniem go i doprowadzeniem do ładu spraw Abby związanych ze wstąpieniem do zakonu, że praktycznie nie miała czasu na myślenie o własnym smutku czy też jakichkolwiek innych sprawach, jak choćby o przyszłości.

Z początku Dessie sprawiał niewiele kłopotu; odurzony środkami przeciwbólowymi podawanymi mu przez doktora i Margaret, przez cały okres poświąteczny tkwił zawieszony gdzieś między snem a półprzytomną jawą, akceptując wszystko, co dla niego robili inni. Był tak oszołomiony, że nawet nie prosił o alkohol: Margaret wyjaśniła Franceyowi, że tabletki, które chłopcu podawała w wielkich ilościach, mają za zadanie pomóc mu przetrwać najtrudniejszy okres odwyku.

Francey wreszcie zdobył się na opowiedzenie Margaret, co działo się z ich siostrą. Zniosła to ze stoickim spokojem, lecz gdy doszedł do tego, jak Dessie nieraz dostawał lanie od wielu pijanych „wujków”, podniosła rękę.

- Przestań... Nie chcę już słuchać. Poza tym, znasz tylko jedną stronę tej historii.

- Tak. - Było mu jej strasznie żal. - Jestem pewien, że Dessie nieco przesadził.

Margaret wstała i wyszła z pokoju.

Na małej farmie życie toczyło się powoli. Elizabeth pogрузzyła się we własnych myślach i błądziła po domu niczym zjawa. Wiele razy w nocy Francey, który spał w kuchni na materacu ułożonym obok posłania Dessiego, słyszał jak matka wychodzi z sypialni i snuje się po kuchni. Wiedział, że niewiele może zrobić, by poprawić jej samopoczucie i choć zdawał sobie sprawę z tego, że propozycja jest mało adekwatna do sytuacji, musiał zadowolić się zapewnieniem matki, że jeśli tylko chciała porozmawiać, to on zawsze chętnie jej wysłucha; nigdy nie skorzystała z tego zaproszenia.

Bierność brata podczas tego pierwszego etapu rekonwalescencji umożliwiła Franceyowi uporanie się ze zmianami w sytuacji prawnej farmy i sprawami, które zawsze trzeba załatwić po czyjejś śmierci. Miał szczęście, że to się stało w zimie, kiedy pola nie wymagały pracy, a

bydło w oborach także nie potrzebowało zbytniego doglądania. Mimo że młodzieniec musiał przebrnąć przez wszystkie formalności, mówiąc językiem prawniczym, sprawy szły gładko. Ponieważ farma należała do matki, jeszcze zanim Elizabeth wyszła za mąż za Mossiego Sheehana, nadal pozostała jej własnością i nie było z tym kłopotu; natomiast ziemię należącą do ojczyma, oddaloną o niespełna dwa kilometry od domu, od lat dzierżawiło niemieckie małżeństwo, które przyjechało tu z zagłębia Ruhry w nadziei na spokojne życie. W testamencie Mossie zostawił ów kawałek gruntu żonie; Constance miała odziedziczyć stary zegar po babci, pięknie wyszywaną kołdrę i kilka porcelanowych drobiazgów, które ojczym przywiózł, przeprowadzając się do Lahersheen; wszystkie książki i narzędzia zapisał Franceyowi.

Pod koniec pierwszego tygodnia stycznia, gdy uznali, że Dessie może już się ruszyć z domu, Francey wezwał taksówkę z Castletownbere, aby zawieźć przyrodniego brata do najlepszego dentysty w Cork. Pragnąc w pełni wykorzystać tę podróż, umówił się z firmą prawniczą założoną przez jego zmarłego dziadka Sullivana, aby przedyskutować z z adwokatami sytuację prawną matki i własną po śmierci Mossiego. Zakładając, że Dessie będzie potrzebował chwili wytchnienia w mieście, mieli zatrzymać się u starej pani Sullivan tak długo, jak będzie to konieczne.

Chłopak cały czas był śpiący i otumaniony, lecz w miarę pojmował, co się z nim dzieje. Wydawało się, że całą odpowiedzialność za swoje życie złożył na barki innych. Kiedy powiedziano mu, dokąd jadą i dlaczego, rzucił tylko: „Dobrze”. Francey miał nadzieję, że skoro znajdą się sami i z dala od farmy, może uda mu się przełamać barierę milczenia brata.

Dessie przespał większą część podróży, a gdy samochód przejechał przez Quays wzdłuż Lee i dojechał do centrum miasta, Francey przechylił się na tylne siedzenie, by go zbudzić. Zawahał się przez kilka sekund. Chudość i zgarbiona postawa sprawiały, że Dessie wydawał się niższy niż w istocie; był wyższy, niż Francey przypuszczał, gdy zobaczył go po raz pierwszy, miał jakieś metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, lecz teraz skulił się na tylnym siedzeniu samochodu jak dziecko. Francey dostrzegł jego ładnie wyrzeźbione dłonie i smukłe, niespokojne palce. Mimo długiego snu, w świetle słonecznym padającym przez okno przyrodni brat nadal wyglądał na strasznie zmęczonego i młodego i wydawało się niemal zbrodnią go budzić.

Francey dotknął jego ramienia, jak tylko potrafił najdelikatniej. Dessie drgnął, otworzył oczy i natychmiast zmrużył powieki przed słońcem; chwilę później wyprostował się na siedzeniu. Teraz, gdy wreszcie był gładko ogolony, w jego twarzy widziało się wyraźnie urzekające oczy George'a. Po raz pierwszy Francey popatrzył na niego obiektywnie i doszedł do wniosku,

że w niedługim czasie brat wyrośnie na równie czarującego mężczyznę jak ojciec.

- W porządku? - spytał. - Już prawie jesteśmy na miejscu. Dessie ziewnął - czarne zęby zepsuły wrażenie piękna - i przeciągnął się mocno.

- Doskonale - mruknął, po czym przeszukał kieszenie. - Skończyły mi się fajki. Nie mogę tam wejść, jeżeli najpierw nie puszcę sobie dymka.

Francey poprosił kierowcę, by zatrzymał się przy najbliższym sklepie, po czym wszedł i kupił bratu świeży zapas woodbine'ów.

Dessie po przebudzeniu się z maligny natychmiast poprosił o papierosy i mimo okropnego dławiącego kaszlu, który wydawał się pogarszać z każdym kolejnym zaciąganiem, palił bez przerwy, gdy tylko nie spał.

Kierowca taksówki odwrócił się i patrzył, jak Francey podaje bratu całe mnóstwo małych paczuszek.

- To gwoździe do trumny - odezwał się. - Mój brat, co mieszka w Stanach, twierdzi, że można dostać od nich raka.

Słyszając kaszel Dessiego, Margaret zrobiła w domu kilka podobnych uwag, lecz Francey - jako główny opiekun chłopca - zdusił w zarodku jej protesty. Choć sam nigdy nie wpadł w nałóg, nie miał nic przeciwko paleniu papierosów, a w Lahersheen wszyscy - z wyjątkiem matki - ojczym, siostry, a nawet sama Margaret, kopcili niczym kominy fabryczne.

- A co to komu szkodzi? - odparował, zanim taksówkarz zdążył dodać choć słowo. - W Ameryce wszyscy są szurnięci. Kilka fajek jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziło.

Dessie może sobie palić ile chce, pomyślał, jeśli tylko powstrzyma go to przed piciem.

- Gotowe? - Kiedy zatrzymali się przy krawężniku pod kliniką dentystyczną, Francey otworzył drzwi przed Dessiem. Ten w odpowiedzi zapalił jeszcze jednego papierosa. Wszedł z taksówki z taką miną, jakby właśnie prowadzono go na szafot. - Nie martw się - usiłował pocieszyć brata Francey. - Ostatnio poczyniono ogromne postępy w tej dziedzinie medycyny. W ogóle nic nie poczujesz.

Dessie jednak nie wyglądał na przekonanego i rozglądał się dokoła, jak gdyby szukając drogi ucieczki.

Francey pomyślał, że jeśli zostawi brata samego w tak niesprzyjających warunkach, jak poczekalnia u dentysty, Dessie znowu może uciec w nieznaną, usiadł więc z nim na kanapie i wyszedł dopiero wtedy, gdy chłopak znalazł się bezpiecznie w rękach lekarza. Doktor z Castletownbere zatelefonował do dentysty i uprzedził go o specyfice problemów pacjenta i ten

zarezerwował sobie sporo czasu, odwołując kilka następnych wizyt. Francey miał więc około dwóch godzin tylko dla siebie.

Kiedy przechodził przez jeden z wielu mostów po drodze do South Mall, gdzie, odkąd pamiętał, znajdowały się biura prawniczej firmy dziadka, zatrzymał się, by popatrzeć na dwóch małych chłopców, którzy rzucali kawałki suchego chleba w kierunku łabędzi sunących po spokojnej powierzchni rzeki. Chłopcy, w wieku siedmiu lub ośmiu lat, zupełnie nie zdawali sobie sprawy z tego, że są pod obserwacją: z wielką uwagą zanurzali rączki po łokcie w brązowych papierowych torbach i rozdzielali jedzenie, co również przyciągnęło uwagę sporej liczby mew.

Młodzieniec pochylił się i oparł o balustradę mostu; podziwiał swobodną grację łabędzi, które wyciągały szyje, prosząc o chleb, po czym rzucały się gwałtownie na pożywienie, zaledwie o włos unikając kolizji z współtowarzyszami. Ku oburzeniu chłopców jednak wielkie ptaki okazały się powolniejsze od krzykliwych mew i często nie nadały do rzucanych im kąsków; aby pozbyć się rabusiów, malcy zbiegli po stopniach na sam brzeg rzeki i stamtąd zajęli się karmieniem swych ulubieńców.

Ten wesoły rozgardiasz był tak daleki od wszystkich problemów rodzinnych, którymi Francey musiał się zająć, że na chwilę zapomniał o świecie i poczuł się po prostu szczęśliwy. Jednym z głównych celów edukacji księżowskiej, jakiej doświadczył na własnej skórze, było nauczenie wychowanków, by umieli patrzeć na wszystko z określonej perspektywy. Dopiero teraz Francey zrozumiał, że bez względu na to, co stanie się z jego rodziną, z Fleur, George'em i Dessiem, czy z którąkolwiek z jego sióstr albo nawet z tymi chłopcami karmiącymi ptactwo lub mostem, z którego ich obserwował, rzeka zawsze będzie powoli płynąć w kierunku morza jak lśniąca brązowa wstążka, a czyste niebo ponad głowami użyczy swej wolności niezmiernym pokoleniom ptaków. Ta myśl niosła z sobą nadzieję.

Powodowany impulsem, zszedł na nabrzeże i wetknął po pięciofuntowym banknocie do papierowych toreb malców.

- Kupcie sobie więcej chleba - wyjaśnił. - I wesołego Nowego Roku!

Uśmiechając się wesoło sam do siebie, ruszył z powrotem na górę w kierunku ulicy, lecz zanim odszedł, nie mógł oprzeć się pokusie i popatrzył na dzieci. Chłopcy na chwilę zapomnieli o swym zajęciu i stali, wpatrując się w niego z otwartymi ustami, a niedowierzanie w ich szeroko otwartych oczach dostarczyło Franceyowi sporo satysfakcji.

- No to cześć! - zawołał i pogwizdując pod nosem, poszedł w swoją stronę.

Możliwość rozdawania pieniędzy była jednym z najfajniejszych aspektów bogactwa. W

tej chwili i w tym miejscu młodzieniec obiecał sobie, że będzie robić to jak najczęściej.

Na wpół z poczuciem winy Francey pomyślał, że cieszy się własną niespodziewaną wolnością, a także tym, że uciekł z Lahersheen i wyrwał się spod przygniatającego jarzma odpowiedzialności, które nagle włożono mu na kark. Przecież nie przeszkadzało mu to, że musi opiekować się Dessiem, matką, farmą i powinien zachowywać się zgodnie z wizerunkiem mężczyzny-opiekuna rodziny - a może jednak przeszkadzało? Francey odepchnął na bok owe introspekcje: postara się cieszyć każdą chwilą wytchnienia i to wszystko. Pogoda była piękna, otaczali go zwyczajni ludzie wykonujący swe zwyczajne zajęcia. Przez pewien czas mógł należeć do tego świata.

Załatwiwszy interesy u prawników najszybciej, jak tylko się dało, zobaczył, że zostało mu ponad godzinę do powrotu do gabinetu dentysty, więc postanowił spróbować szczęścia i zatelefonować z poczty do Fleur. Był zawiedziony tym, że gdy zadzwonił do Inveraray, nie dane mu było z nią porozmawiać; od czasu owego pamiętnego spotkania w mieszkaniu Manneringów ani razu się nie widzieli i nie rozmawiali na osobności. Tak czy inaczej, pomyślał, że może ją spytać, czy dostała jego prezent gwiazdkowy, który kazał wysłać z hotelu.

Kiedy jednak tylko skończył wybierać numer, opuściła go cała odwaga: nie wiedział, co ma powiedzieć, jeśli to Colin odbierze telefon. Słuchając sygnału za sygnałem, postanowił, że rozegra to wszystko bardzo spokojnie: w końcu mieli mnóstwo tematów do rozmowy - choćby problemy z Dessiem. Jednak mimo tak trzeźwego rozumowania przy trzecim sygnale Francey czuł, że serce wali mu jak oszalałe i omal nie odłożył słuchawki, gdy usłyszał, że ktoś odbiera telefon przed czwartym dzwonkiem.

Jakimś cudem była to Fleur. Francey z całej siły ścisnął słuchawkę w spoczonej dłoni i robił co w jego mocy, by nie okazać szalejących w nim uczuć. Usłyszał własny głos pytający, jak się miewa, co słuchać u Colina i Tommy'ego oraz jak przeszły święta. Jej odpowiedzi, wypowiedziane spokojnym głosem i tą archaiczną angielszczyzną, którą tak kochał, były uprzejme, lecz tak chłodne, że Francey spanikował.

Dopiero po chwili wszystko stało się jasne. Oczywiście! - usiłowała dać mu do zrozumienia, że ktoś inny słucha rozmowy. Zmienił więc taktykę.

- Chciałem porozmawiać z wami o Dessiem - powiedział niczym konspirator, którym się zresztą czuł. - Czy jest tam gdzieś Colin?

Ale głos Fleur nadal był obojętny.

- Nie, w tej chwili znajduje się w Singapurze.

W takim razie to nie obecność męża powstrzymywała ją przed swobodną pogawędką.

- Jaka szkoda!

Francey uznał, że nie ma sensu ciągnąć rozmowy w tak niesprzyjających warunkach. Pośpiesznie opowiedział Fleur o sytuacji Dessiego, dodał, że wkrótce znowu zadzwoni, po czym odłożył słuchawkę. Kiedy jednak patrzył na martwy przedmiot spoczywający w jego dłoni, zalała go nagła złość na samego siebie i sposób poprowadzenia tej rozmowy. Co się stało z jego pewnością siebie?

Wziął głęboki oddech, by opanować nerwy, jak nauczyła go Hazel.

Hazel! Tak, to dobry pomysł. Nie kontaktował się z nią od świąt; pewnie uważa go za niewdzięcznika, za to, że wcześniej nie dał znaku życia, chociaż tak bardzo mu pomogła; przecież powiedziała, że po piątym będzie już w Dublinie.

Przyjaciółka podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku, a Francey od razu zaczął opowiadać o wszystkim, co się wydarzyło, odkąd ją ostatnio widział.

- To wspaniale - powtarzała za każdym razem, kiedy przerywał dla nabrania oddechu. Dopiero po jakimś czasie młodzieniec usłyszał w jej głosie smutek i zganiał się za egoizm.

- Przepraszam - powiedział zażenowany. - Ja tu gadam i gadam bez końca... a nawet nie zapytałem, co u ciebie słychać? Wszystko w porządku, Hazel?

- Pewnie, dlaczego miałyby być inaczej? Wszystko gra. - Zaśmiała się krótko. - Wyjazd udał się wprost wspaniale, wszystkie sale zapchane były po brzegi... - Jej głos nie brzmiał jednak szczerze. Chwilę później w tle dał się słyszeć okropny huk.

- Co to było? - spytał. - Czyżbym zadzwonił nie w porę?

- Nie, skądże znowu! - odpowiedziała Hazel. - Za oknem są prowadzone jakieś roboty drogowe. Doprowadzają mnie do szału! Prawdę mówiąc, mam też potworną migrenę. - Mówiła tak dziwnym głosem, że Francey przeprosił ją raz jeszcze i obiecawszy, że wkrótce się odezwie, skończył rozmowę.

Wyszedłszy z budynku poczty, poczuł złość na siebie, że w ogóle postanowił zatelefonować; jego dobry nastrój sprzed zaledwie kilku minut prysnął. Kobiety! pomyślał. Facetowi lepiej byłoby na Biegunie Północnym lub na samotnej wyspie niż z nimi! Przynajmniej tam wiedziałby, na czym stoi. No cóż, prędzej szlag go trafi, niż pozwoli sobie na następny tak niekontrolowany odruch emocji. Niech Fleur sama teraz do niego zadzwoni! A co do Hazel... W chwili gdy Francey uświadomił sobie, o czym myśli, strasznie się zawstydził. Nie miał prawa być zły. Tylko że tam, gdzie wchodziły w grę uczucia, prawa nie odgrywały najmniejszej roli.

Aby się rozweselić, wszedł do księgarni, lecz zdawało mu się, że każda książka, którą bierze do ręki, przypomina mu o problemach czekających za drzwiami sklepu. Zauważył, że właściwie wszyscy twardzi detektywi z najlepszych powieści kryminalnych zakochują się w jakiejś damie, mniej lub bardziej fatalnej, a solidni dżentelmeni z powieści P. G. Wodehouse'a wydawali się znacznie bardziej zaprzątnięci sprawami serca, niż mu się do tej pory wydawało. A jeśli chodzi o klasyków: dopiero teraz Francey dostrzegł, że w ich dziełach praktycznie mówi się tylko i wyłącznie o różnego rodzaju związkach uczuciowych między bohaterami. Powodowany impulsem, kupił trzy najdroższe książki w sklepie, z których żadna nie miała nic wspólnego z romansem: ogromny atlas, obszerny słownik i wydany na lśniącym papierze album o kwiatach, który nie interesował go choćby w najmniejszym stopniu. Z jakiegoś powodu odczuł ponurą satysfakcję, płacąc sprzedawcy skandalicznie wielką sumę pieniędzy; przypuszczał, że wydawaniem ich potrafi stłumić w sobie ból.

Kiedy wyszedł na chodnik ze swymi sprawunkami pod pachą, zrozumiał, że właśnie otrzymał drugą ważną lekcję dotyczącą pieniędzy: mianowicie, że bezsensowne ich wydawanie jest równie przyjemne, co rozdawanie.

Rozdział trzynasty

Hazel, która wymyśliła roboty uliczne za oknem, nie kłamała, mówiąc Franceyowi, że ma migrenę; głowa bolała ją z powodu zbyt wielu butelek czerwonego wina wypitych poprzedniego wieczora.

Wpatrywała się w milczącą słuchawkę telefoniczną, którą trzymała w ręce: miała dość samej siebie za autodestrukcyjny kurs, który przyjęła, odkąd zrozumiała, jak płonna jest jej nadzieja, że między nią a Franceym Sullivanem może zawiązać się coś więcej oprócz zwyczajnej przyjaźni. W najmniejszym stopniu nie winiła młodzieńca - była to jej własna wina. Na dźwięk jego głosu poczuła tak wielką złość i pogardę dla samej siebie, że przez chwilę miała ochotę wyrzucić aparat przez okno.

Hałasy dochodzące z kuchni wcale nie ucichły, więc wyskoczyła z łóżka i poszła przez salon w tamtym kierunku.

- Co ty tu robisz, Larry? - zapytała ze złością. - Skąd ten hałas?!

Młody człowiek, który stał tyłem i właśnie wpychał skorupy wielkiej miski do kosza na śmieci, obrócił się ku niej z nieszczęśliwą miną. Poprzedniego wieczora w przyćmionym świe-

tle baru Collinsa wyglądał nawet nieźle i wypił zaledwie parę kufli piwa. Teraz bezlitosne styczniowe słońce świecące przez okno uwydatniało zarost na policzkach i brodzie oraz luźno zwisającą bladą skórę na piersi, a także szare smugi na bieliźnie.

- To nie moja wina - odrzekł, podnosząc skorupy. - Była źle wstawiona do szafki i kiedy szukałem filiżanek, po prostu wypadła.

- Zmieniłam zdanie co do tej kawy - burknęła Hazel. - Posłuchaj, to był błąd. Zakończmy sprawę, dobra?

Larry patrzył na nią wzrokiem zbitego psa i w duchu zbeształa samą siebie: należy ci się nieźle lanie... Zachodziła w głowę, co ją opętało, że znowu przyprowadziła do domu tego głaba. Powinna była zrozumieć wszystko już za pierwszym razem: rok temu mieli krótki romans, który nie przetrwał nawet kilku tygodni, lecz Hazel nie zajęło zbyt wiele czasu, by się przekonać, iż ten mężczyzna przedkłada alkohol nad kobiety; więc go rzuciła. Teraz przyglądał jej się ponuro.

- Co takiego? - spytał. - Chcesz, żebym już teraz sobie poszedł? Nawet nie biorąc pod uwagę ich poprzedniego związku, Larry

miał pecha, że to akurat on stanął teraz na linii ognia.

- Tak, w tej chwili! - wrzasnęła, łapiąc go za gołe ramię i ciągnąc w stronę drzwi. - Ubieraj się i wynoś stąd!

- Jezu! - Nie opierał jej się i pozwolił zaciągnąć do drzwi. - Ale z ciebie różyczka!

- Robał taki jak ty z pewnością zna się na kwiatach. - Hazel wiedziała, że postępuje nierozsądnie.

- Przynajmniej ja nie wyciągam dzieci z kołyszek! - warknął Larry. - Jak się miewa owo przerośnięte chłopię, z którym widziałem cię niedawno u Neary'ego? Napaliłaś się na przedszkolaka, co, Hazel? Czyżby aż tak przycisnęła cię bieda?

Aż sapnęła ze złości. Zupełnie zapomniała, że Larry był tamtego wieczora w barze.

- Wynoś się stąd! - ryknęła.

- Jasne, jasne! - Z nieprzyjemnym uśmiechem na ustach uniósł obie dłonie, parodiując gest poddania się.

Zamykając za nim drzwi kilka minut później, piosenkarka pomyślała, że przynajmniej obecna przygoda seksualna z tym przyglupem była krótka. Idiotyczna ponad wszelkie pojęcie, lecz krótka. Odkręciła krany i dodatkowo włączyła jeszcze prysznic: musiała się wykapać w jak największej ilości gorącej wody, i to jak najszybciej. Weszła do wanny i zaczęła się szorować

grubą gąbką. Nienawidziła samej siebie, gardziła sobą, zbierało jej się na mdłości...

Kiedy wreszcie wyszła z łazienki, całe ciało miała zaróżowione i obolałe, lecz przynajmniej czuła się lepiej. Głowa nadal ją ćmiła, lecz nie było to nic, czemu nie można by zaradzić za pomocą alka-seltzeru lub butelki Fernet Branca, którą trzymała na wyjątkowe okazje.

Wycierając się, piosenkarka pomyślała, że wolałaby w ogóle nie śpiewać. Lepiej dla niej byłoby nigdy nie spojrzeć na Franceya Sullivana. Jakże chciałyby pochodzić z Syjamu! Jakże chciałyby być młoda! Przez cały ten dzień młodość innych rzucała się Hazel w oczy i niemiłosiernie ją gnębiła: młode parki spacerujące po parku, przytulone i zakochane, reklamy żywności, na których wdzięczyły się dziewczynki nadal znajdujące się po właściwej stronie dwudziestki, a w dodatku kiedy poszła na róg do sklepu po mleko i papierosy, zamiast starszawej kobieciny, która zawsze tam urzędowała, zastała wiotką małodatę, wyglądającą wprost koszmarnie w biało-czarnym makijażu.

- Co się stało z panią Cotter? - spytała Hazel, płacąc za zakupy.

- Chora - bąknęła smarkuła z ustami pełnymi gumy do żucia; Hazel czuła się tak zdęgowana, że nawet nie spytała, kiedy pani Cotter wraca.

W pracy także nie znalazła wytchnienia: tej nocy tłum fanów wydawał się młodszy niż zazwyczaj na potańcówce w Valley Ballroom w środku tygodnia.

Podczas przerwy siedziała z papierosem w ręce na trójnożnym krzeselku ustawionym w kącie, który złośliwie nazywano garderobą. Przez ciekłą satynową kotarę, mającą stworzyć zespołowi złudzenie prywatności, słyszała szuranie stóp po parkiecie, czyjeś rozmowy i okropne, zupełnie koszmarnie fałszowanie grupy, która grała w przerwach między występami Rollersów. Ból głowy powrócił i Hazel z całego serca życzyła sobie być teraz gdzie indziej... gdziekolwiek indziej.

Pozostali członkowie zespołu High Rollers siedzieli lub stali wokół niej, pijąc, paląc i jak zwykle opowiadając sprośne dowcipy.

- Chłopcy, dajcie sobie spokój, co? - zawołała, kiedy wybuchnęli śmiechem z jakiegoś żartu, który normalnie i ją samą by rozbawił, lecz dziś uznała owo powiedzonko za obraźliwe.

- Co w ciebie wstąpiło, Księżniczko? - spytał jeden z kolegów, odwracając się do Hazel.

- Nic - warknęła w odpowiedzi. - Po prostu chciałabym, żebyście choć raz w tym waszym parszywym życiu zwrócili uwagę, że znajdujecie się w towarzystwie damy. - Wodząc płonąącym wzrokiem od jednego do drugiego, usiłowała sprowokować kumpli, by któryś ośmielił się zauważyć, że nie jest damą.

Żaden jednak nie odważył się na to!

- Daj spokój - próbował ją ułagodzić saksofonista. - My tylko chcemy się trochę rozewrać.

- Mam już tego dość. - Hazel zgasila papierosa na cementowej podłodze. - Najwyższa pora, żebyście zaczęli mi okazywać nieco szacunku. - Podeszła do stolika, na którym wcześniej zostawiła torbę z kosmetyczką, i pochyliła się, by sprawdzić makijaż w lusterku przytwierdzonym do wieczka.

Właśnie podkrecała sztuczne rzęsy, gdy podszedł do niej Vinnie, ten sam, który pomagał w poszukiwaniach przyrodniego brata Franceya.

- Ależ tu dziś tłok, co? - szepnął cicho, by pozostali go nie usłyszeli. - Masz ochotę o czymś pogadać?

- Oczywiście, że nie - odburknęła Hazel. - Nie ma o czym mówić... - A chwilę później: - Do diabła! - Udało jej się zerwać rzęsy. Patrząc na potargane sztywne włoski, miała ochotę się rozplakać. - Nie przejmuj się mną, Vinnie. Chyba zbliża mi się okres...

- No, cóż... jeśli zmienisz zdanie... - Powtórzył propozycję. - Nie mam żadnych planów na dzisiejszy wieczór.

Druga połowa występu ciągnęła się w nieskończoność, aż Hazel miała ochotę krzyczeć z wściekłości. Była jednak na tyle doświadczona, że zmusiła się do zachowania spokoju: żaden z tańczących czy członków zespołu nie miał najmniejszego pojęcia, że coś jest nie tak; śpiewała utwór za utworem z taką swobodą, jakby o niczym innym nie marzyła. Strzelała palcami w takt „High School Confidential”, kołysała się wraz z osobami z pierwszych rzędów do rytmu „The Stairway of Love” Michaela Hollidaya i „Speak to Me Pretty” Brendy Lee. Usiłowała przezwyciężyć ironię zawartą w „All Alone Am I” Brendy Lee, wybierając jakiś punkt nad głowami tańczących i wpatrując się tam tęsknym wzrokiem.

Ostatnia część koncertu, podczas której Hazel śpiewała z dwoma chłopakami, składała się głównie z powolnych melodii. Nieomal wszyscy tańczyli - nawet ci najbardziej nieśmiali, do tej pory podpierający ściany, kręcili się teraz po parkiecie przytuleni do siebie pod ogromną lśniącą kulą i gdyby Hazel nie miała własnych doświadczeń, byłaby skłonna nazwać tę scenę romantyczną. Trzymała się nieco z tyłu podczas piosenki Jima Reevesa „Put Your Sweet Lips a Little Closer to The Phone”, kiedy nagle zwróciła jej uwagę jedna z par. Dziewczyna, której mysie włoski przyglądzone były jeszcze brylantyną, miała słodką, młodą buzię; ubrana w sztywną szyfonową sukienkę w kolorze brzoskwini, cały czas wpatrywała się w stopy, gdy jej

partner przyciągnął ją bliżej podium.

Hazel od razu zorientowała się, dlaczego ta mała wyglądała tak strasznie nieszczęśliwie. Mężczyzna, który z nią tańczył, tak mocno przyciskał ją do siebie, że cały czas musiała się lekko odchyłać do tyłu, jego broda zaś spoczywała w zgięciu jej szyi. Facet miał tłuste, rzadkie włosy, a twarz spoconą i zaczerwienioną. Nie mógł liczyć sobie mniej niż pięćdziesiąt lat.

W obecnym nastroju Hazel miała ochotę zeskoczyć ze sceny i potrząsnąć dziadem tak mocno, żeby wypadły mu sztuczne zęby. Lecz gdy nadszedł czas, by włączyła się do „Save Last Dance for Me” a później „Hawaiian Wedding Song” Elvisa, straciła ową parę z oczu; z niewiadomego powodu nadała ostatniej piosence tak niezwykle tempo, że tłum zaczął raźnie podrygiwać, a saksofonista zmarszczył brwi ze zdziwienia. Nic jej to nie obchodziło. Teraz chciała już tylko wyjść stąd jak najszybciej i znaleźć się we własnym domu.

Sama.

Ale był to pierwszy występ zespołu w Valley od czasu wypadku i zostali zasypani prośbami o bisy.

Niech szlag trafi Franceya Sullivana i jego cholerną młodość! Niech szlag trafi syjamską siostrę! Hazel uśmiechała się, trzepotała rękami i żartowała z kolegami, dopóki nie mogła wreszcie uciec do domu.

Francey niecierpliwił się, kiedy Dessie wydobrzeje na tyle, by móc pojechać do Anglii, żeby George mógł odegrać swą rolę w ocaleniu najmłodszego syna.

Pomimo szastania pieniędzmi i wydawania ich na prezenty dla babki, ubrania dla siebie i chłopca, na taksówki i wszystko, o czym tylko zdołał pomyśleć, bywały chwile podczas owych trzech dni i dwóch nocy, które Francey spędził z przyrodnim bratem w przestronnym domu przy Blackrock, kiedy musiał przyzywać na pomoc wszystkie wewnętrzne siły, aby nie pogrążyć się w rozpacz i nie stracić nadziei, że kiedyś w końcu wszystko wróci do normy.

Musiał zajmować się bratem sam; babka, subtelna kobieta o nienagannych manierach i nieskazitelnym wyglądzie, która zawsze nieco onieśmiałała Franceya, siliła się na gościnność przez pierwszych parę godzin po ich przyjeździe, lecz potem - chociaż bardzo się starała nie dać nic po sobie poznać - stało się oczywiste, że brak manier okazywany przy stole przez Dessiego, jego ciągłe bekanie i wieczne palenie papierosów w eleganckich, gustownie urządzonych wnętrzach, doprowadzają starszą damę do szału. Ku wielkiej uldze wszystkich zainteresowanych wkrótce wycofała się do swoich pokoi i siedziała tam zamknięta przez większość czasu, z rzadka wychodząc w odwiedziny do znajomych.

Jej wiekowa gosposia, Maeve, którą Francey pamiętał z dzieciństwa i bardzo kochał, może i potrafiłaby mu bardziej pomóc, lecz była zbyt stara i schorowana, by się przydać; przez większą część dnia siedziała przy ogniu, raczej na zasadzie rezydentki niż pracownicy. Nowa pokojówka zaś, choć pełna dobrej woli, okazała się jeszcze zbyt młoda i niedoświadczona, by dać sobie radę w tak trudnej sytuacji.

Z jednej strony Francey był wdzięczny Dessiemu za to, że wymagał odeń stałej uwagi. Przerażony wizją powrotu do dentysty po doświadczeniach pierwszej wizyty - poza rutynowym borowaniem, plombowaniem i czyszczeniem musiał mieć wyrwane dwa zęby - przyrodni brat odmówił wyjścia z domu i zgodził się, dopiero kiedy młodzieniec namówił lekarza, by wykonał owe zabiegi pod pełną narkozą, na którą ten przystał tylko ze względu na stan zdrowia pacjenta. Jednak nawet po tych ustaleniach z największym trudem udało się namówić brata do wejścia do gabinetu, a kiedy Francey wreszcie zostawiał go w rękach anestezjologa, chłopak znajdował się na pograniczu załamania nerwowego.

Opuszczając poczekalnię dentysty, zestresowany długą walką z bratem, Francey czuł się zmęczony i pusty w środku, jakby tamten wyssał z niego całą energię. Po raz pierwszy zaczął wątpić, czy uda mu się namówić Dessiego do powrotu na łono społeczeństwa. Ale czy to w ogóle jest dobry pomysł? Spacerując po cichych uliczkach miasta, młodzieniec zastanawiał się, co robić dalej. Usiłował spojrzeć na sytuację obiektywnie. Zazdrościł kobietom spokojnie plotkującym w ogródkach, podczas gdy ich pociechy wygrzewały się w wózeczkach na słońcu, osłonięte budkami przed powiewem chłodnego wiatru znad Atlantyku. Mimo że nie przysłuchiwał się żadnej konkretnej rozmowie, potrafił wyobrazić sobie ich troski: dotyczyły cen masła lub też skandalicznych poczynań synów czy mężów. Normalne, codzienne sprawy, za które on w każdej chwili gotów byłby przehandlować swój mroczny, przygniatający lęk o przyszłość.

Aby rozwiać jakoś ponure myśli, które powoli budziły w nim przygnębienie i litość do samego siebie, Francey postanowił działać krok po kroku. Najpierw to, co najważniejsze. Jego największym zmartwieniem w tej chwili jest Dessie.

Nie może pozwolić, by problem brata zaburzył mu perspektywę patrzenia na świat. Zastanawiając się uważniej, Francey zrozumiał, że ma mnóstwo powodów do radości. Szedł wzdłuż MacCurtain Street obok hotelu Metropole, później skręcił w górę na Summerhill w kierunku hotelu Arbutus Lodge; rozmyślał, napominał się w duchu i w rytm stukania własnych obcasów po chodniku zmuszał się do wyszukiwania wszystkich pozytywnych aspektów własnego dotychczasowego życia. To wyliczanie błogosławieństw było kolejnym ze szkolnych na-

wyków.

Wspaniałe zdrowie. Pieniądze. Spotkanie Hazel, jedynej prawdziwej przyjaciółki, jaką kiedykolwiek miał - po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że to, iż jest od niego starsza, stanowi zaletę; nie peszyła go tak jak młode dziewczyny. Satisfakcjonujące zakończenie poszukiwań ojca. Ciężko pracująca i kochająca rodzina ze strony matki.

No i, oczywiście, Fleur.

Jeszcze sto kroków i znalazł się przy wejściu do hotelu Arbutus Lodge, który stał na zboczu stromego wzgórza. Rozciągał się stąd wspaniały widok na większą część Cork. Widok z takiej wysokości był fantastyczny, lecz Francey najbardziej czuł się zaskoczony tym, że nie słyszy hałasu miasta. Znajdowało się tak daleko w dole, że samochody i ciężarówki, ogromne dźwigi wiszące nad dokami w porcie, pociągi z wolna sunące do stacji - wszystko razem przypominało stąd dziecięce zabawki. Obserwował liczne zakręty rzeki Lee, dymy unoszące się nad fabryką Forda, po czym policzył wieże kościelne sterczące w zachmurzone niebo niczym rozcapierzone palce.

Całe miasto otulała niebieskawa mgła, a tarasy domów stojących na zboczu wzgórza od strony Gurranabrahar wydawały się dzięki niej lekko rozmyte i nieostre, jak gdyby pochodziły z jakiegoś francuskiego obrazu, który swego czasu podziwiał w Galerii Narodowej w Dublinie.

Dopiero wieczorem, gdy Francey był już zbyt zmęczony, by robić cokolwiek innego, zaczął myśleć o własnych sprawach. Ostatnio często pojawia się w jego snach Hazel, jej sylwetka przenikała postać Fleur i łączyła się z nią w całość. Wydawało się to o tyle dziwne, że oba doświadczenia seksualne były tak bardzo różne od siebie i zupełnie nie dawało się ich porównywać. Niesamowita delikatność Fleur w niczym nie przypominała namiętnej pasji i zapamiętania Hazel, które, choć przyjemne, wydawały się, z dystansu, zbyt gwałtowne i szokujące.

Francey podejrzewał, że owe bolesne rozważania są ceną, jaką każdy musi zapłacić za prawdziwą miłość, a jednak, już na krawędzi snu, przyłapał się na myśli, że wolałby, aby Fleur była tak nieskomplikowana i otwarta jak Hazel. Dzięki temu zapanowanie nad całą sytuacją stałoby się znacznie łatwiejsze.

Francey i Dessie pojawili się w Inveraray dziesięć dni później, w samym środku burzy śnieżnej. Francey, który widział śnieg tylko raz w życiu podczas pewnego cudownego weekendu w Dublinie, może i cieszyłby się tym widokiem, gdyby nie był tak zdenerwowany. Nie miał pojęcia, jak przejdą następne godziny, żeby już nie wspominać o tygodniach.

Kiedy jechali po podjeździe wynajętym samochodem, młodzieniec żałował, że w powietrzu krążą białe płatki, gdyż ujrzeli dom dopiero w ostatniej chwili i Dessie nie mógł należycie ocenić jego zapierającej dech w piersiach wspaniałości.

- Szkoda, że go nie widziałeś, jest naprawdę imponujący. - Objechał jeziorko dokoła. - Nieważne, jestem pewien, że jutro pogoda się poprawi.

Zatrzymał samochód przed zamarznąłą fontanną.

- Wszystko w porządku? - Zdawało mu się, że w ciszy powstałej po wyłączeniu silnika mówi zbyt głośno.

- Jak wyglądam? - Dessie nerwowo obciągnął rękawy nowego płaszcza.

- Wspaniale. - Francey poczuł, że serce mu się ściska na widok błagalnego spojrzenia w oczach brata. - Bóg mi świadkiem - dodał, usiłując sprawić, by chłopak nabrał otuchy.

Ponieważ od wielu dni w Dessiego wmuszano tran, napoje energetyczne, witaminy i mikroelementy, jego wygląd znacznie się poprawił w porównaniu z tym, jak się prezentował, kiedy Francey wyniósł go nieprzytomnego z chatki Montgomerych; nadal jednak chłopak pozostał chudy jak patyk. Świeżo wyreperowane zęby wydawały się nieco zbyt duże w jego wymizerowanej twarzy, a ostrzyżone włosy podkreślały tylko cienką szyję; nie miał już teraz owej koszmarnej brody, ale skóra, zwisająca mu na policzkach, mogłaby z powodzeniem należeć do kogoś piętnaście lat starszego.

- Chcesz miętówkę? Masz. - Francey wetknął bratu cukierek do ręki i zaczął, dopóki Dessie nie włożył go sobie do ust. Przez telefon uprzedził George'a o problemach najmłodszego syna, włącznie z uzależnieniem od alkoholu, lecz podkreślił wyraźnie, że obecnie wszystko jest pod kontrolą.

- Myślisz, że mnie polubią? - wykrztusił Dessie głosem ochryłym ze strachu, kiedy szli do domu przez puszysty śnieg.

- Oczywiście, że tak. Przestań się martwić, nie odstąpię cię na krok. - Francey zauważył, że nowy płaszcz z wielbłądziej wełny wisi na chudych ramionach Dessiego niczym na wieszaku. Czuł się jak matka prowadząca dziecko pierwszego dnia szkoły. - Poczekaj! - Wygładził mu kłapy i dopiero wtedy zadzwonił do drzwi.

George sam im otworzył. Przez parę sekund przyglądał się gościom w milczeniu i pod wpływem przeszywającego spojrzenia jego fioletowych tęczywek Francey poczuł, że słowa zamierają mu w gardle. Zdał sobie także sprawę z widoku, jaki obaj przedstawiają, pojawiając się na progu domu ojca w samym środku śnieżnej zawieruchy.

A później George cofnął się o krok, by ich wpuścić.

- Wchodźcie. - W jego głosie brzmiały szczere tony. - Jak minął wam lot?

- Wspaniale. - Młodzieniec, zirytowany mniej niż entuzjastycznym powitaniem, nie nabrał się na ów nagle zbyt ciepły ton i wreszcie odzyskał głos. - Co z walizkami?

- Później każe je wnieść do środka. Wchodźcie, na miłość boską.

Weszli do ciepłego holu; ujmując brata pod ramię, Francey poczuł niepewność bijącą z napiętych mięśni Dessiego i uścisnął go dla dodania otuchy. Przez następną minutę zajęli się zdejmowaniem okryć.

- No, no, no... - George przyglądał się swemu najmłodszemu synowi. - Więc to jest ten słynny Desmond!

- Tak - szepnął chłopak.

- No, no... - powtórzył George. - Po tylu latach. Jak się masz? - Wyciągnął doń rękę. - Choć podejrzewam, że w tych okolicznościach nie jest to zbyt na miejscu...

Dessie, nie mogąc wymyślić żadnej stosownej odpowiedzi, zerknął błagalnie na brata.

- Jest nieco oszołomiony - odrzekł sztywno Francey, próbując dostrzec prawdziwą reakcję ojca. - To dla niego trochę zbyt wiele...

- Wyobrażam sobie. - George puścił dłoń Dessiego. - Ale nie ma pośpiechu. Jedyne, czego nam tu nie brakuje, to miejsca... nie musimy się nawet widywać, jeśli nie mamy na to ochoty. - Uśmiechnął się i Francey znowu się przekonał, że ów szeroki uśmiech, w którym przebijały przebliski chłopięcego zadowolenia z siebie, był najlepszą bronią ojca. Rozbroił jego samego podczas pierwszego spotkania z George'em, a teraz wywołał nieśmiały, lekki odzew na twarzy przerażonego Dessiego.

- Chodź i poznaj resztę rodziny - dodał George i poprowadził ich w kierunku salonu.

Francey poczuł, że żołądek podskakuje mu do gardła. Przecież Fleur powiedziała, że Colin wyjechał!

- Są tutaj?

- Tak - odpowiedział George przez ramię. - Udało mi się przekonać Colina, by odłożył swój wyjazd. Wraz z Fleur przyjechali na krótko przed wami, a mały Tommy dojedzie z nianią wieczorem. - Otworzył na oścież drzwi do salonu. - To tutaj, Desmondzie.

Ponad głową przyrodniego brata Francey dojrzał Fleur, ubraną w długą, wąską suknię w jasnoliliowym kolorze. Wraz z Colinem wstali i podeszli, żeby powitać nowego członka rodziny, lecz gdy George przedstawiał ich sobie, Francey zauważył, że bratowa unika jego wzroku.

Znowu była chłodna i opanowana, zupełnie tak jak pierwszego dnia, kiedy ją zobaczył. Pomyślał, że pilnuje się, aby mąż nie zaczął nic podejrzewać. Przynajmniej miał nadzieję, że dlatego tak się zachowuje...

Zwrócił swą uwagę na Dessiego, który zaczerwienił się nagle i szurając nogami, usiłował odpowiadać na grzeczne pytania innych, tak jak Francey go nauczył. Później z niedowierzaniem zobaczył, że oczy ojca zwracają się w kierunku barku zastawionego alkoholami, jakby prowokując nieszczęście.

- Oddalibyśmy dusze za filiżankę przyzwoitej herbaty - odezwał się pośpiesznie. Ku jego uldze George zrozumiał aluzję.

- Ależ oczywiście. Przecież nic nie jedliście od śniadania. - Zadzwoił na kamerdynera małym dzwoneczkiem.

Francey usiadł na najbliższej kanapie, a Dessie niby cień przycupnął tuż obok niego, tak blisko, że młodzieniec czuł jego przesycony miętą oddech. Odkąd wrócili z Corku do Lahersheen, chłopak chodził za starszym bratem jak cień; wędrował za nim z równym oddaniem, jak chudy terier łąził za nimi dwoma. Wydawałoby się to śmieszne, gdyby nie było aż tak żałosne.

Colin i Fleur także zajęli miejsca, zostawiając George'a stojącego na środku pokoju niczym główny aktor w sztuce. Zatarłszy ręce, ojciec odchrząknął.

- Rozumiem! - odezwał się do nikogo i bez widocznego celu, po czym przyszedł mu na ratunek kamerdyner.

Kiedy czekali na herbatę, Francey poczuł nagły przyływ winy cudzołożnika; nie ośmiał się spojrzeć na kanapę, na której siedzieli Colin i Fleur. To poczucie winy było czymś niezwykłym: aż do tej pory wierzył, że ma czyste sumienie.

- Cieszę się, że Francey cię znalazł - odezwał się George do Dessiego po długiej, niezręcznej ciszy. - Sam chciałem zatrudnić agencję... jestem pewien, że Francey opowiedział ci o listach, które zostawiła nam wszystkim moja droga zmarła żona. Prosiła wszystkich, a właściwie konkretnie mnie, abyśmy kontynuowali poszukiwania, lecz Francey nas wyprzedził.

Dessie zerknął na swego opiekuna, jakby pytając, co powinien powiedzieć lub zrobić; kiedy Francey, który nie uwierzył w ani jedno słowo ojca, po prostu uśmiechnął się zachęcająco, chłopak także się uśmiechnął i pokiwał energicznie głową.

Sam Francey musiał radzić sobie nie tylko z emocjami, jakie budziła w nim Fleur, lecz także ze zdumieniem, że jego poprzedni negatywny stosunek do Colina Manneringa uległ

zmianie. To, co robili wraz z Fleur, obróciło strzałkę jego uczuć do brata o równe sto osiemdziesiąt stopni. I tak, chociaż Fleur i Dessie milczeli ze spuszczonej oczami, Francey przekonał się, że może prowadzić interesującą rozmowę z Colinem, wypytyując go o podróże i interesy. To, że brat wydawał się tak skory do pogawędki, tylko wzmogło poczucie winy młodzieńca.

George nie brał udziału w rozmowie, a Francey, udając że porywa go opis Dalekiego Wschodu ukazany przez Colina, usiłował rozwiązać zagadkę osobowości starszego brata. Zauważył, że ten robi, co w jego mocy, by włączyć do rozmowy nowo odnalezionego członka rodziny, a także specjalnie dla niego wyjaśnia zasady swej pracy. Sprawiał teraz wrażenie zwyyczajnego, zrównoważonego i szczerego faceta, może lekko pompatycznego, a nawet i chwali-pięty, lecz zupełnie nie był podejrzliwy czy niesympatyczny, co - jak zakładał Francey - wydawałoby się naturalne w tych okolicznościach. W końcu z punktu widzenia Colina i on, i Dessie okazali się kukułczymi pisklętami w jego gnieździe.

Po jakimś czasie Francey zmuszony był przyznać, że Colin najwyraźniej pogodził się z tym, że musi podzielić się z nimi spadkiem. I gdy najstarszy brat opowiadał o swych podróżach, ze zdumieniem zauważył różnice pomiędzy Colinem-człowiekiem interesu a Colinem-ojcem rodziny. Najwyraźniej na tym pierwszym polu brat czuł się o wiele lepiej.

- Właśnie coś mi przyszło do głowy. - Colin odwrócił się do George'a, zostawiając za sobą wyczerpany temat celników i odpraw celnych. - Może powinniśmy znaleźć Dessiemu jakieś lokum tu, w Anglii, dopóki sam nie stanie na nogi? Czy nie byłoby to rozsądne wyjście? Chyba że - tu odwrócił się do chłopca - chcesz wrócić do Irlandii?

- Jak sądzisz, Dessie? - spytał ojciec z nieprzeniknioną miną. - Nie sądzisz, że lepiej byłoby ci w Irlandii?

Chłopak przysunął się bliżej do Franceya.

- Nie rozumiem?

- Uważam, że jeszcze za wcześnie, by układać takie plany - wtrącił się gładko Francey. Niech ojciec sobie nie myśli, że tak łatwo pozbędzie się problemu.

- Po prostu chcemy zrobić to, co będzie dla was najlepsze w tej sytuacji - odpowiedział George bez wyrazu.

Chwilę później Colin zaproponował coś dziwaczego, tak szybko i prosząco, że Francey wreszcie połączył w całość wszystkie elementy układanki: w samym centrum osobowości najstarszego brata tkwiła niezaspokojona potrzeba bycia akceptowanym przez ojca i przez każdego, kogo spotkał. A jednak młodzieniec nadal nie rozumiał, czemu Fleur w obecności męża

zachowywała się jak szara myszka. Nawet przed romanssem z Franceyem, siedząc przy Colinie, nie brała czynnego udziału w rozmowach i dawała do zrozumienia wszystkim, że jest przezeń zdominowana. Teraz milczała ze wzrokiem utkwionym w kolanach, jakby czekając, by pozwolono jej coś powiedzieć.

Francey myślał o tym z bólem i przestał zwracać uwagę na dialog ojca z Colinem, dotyczący przyszłości Desmonda; jego uwadze umknęły nawet rozbiegane, przerażone oczy i monosylabowe odpowiedzi chłopca.

Zmusił się do skupienia dopiero wtedy, gdy zdał sobie sprawę z ciszy panującej w salonie.

- Jak przyjemnie - powiedział George, rozglądając się wokół. - Myślę, że Jool by się to podobało. W końcu, przecież właśnie o to jej chodziło. O zebranie całej rodziny... - Chociaż miał wesołą minę, Francey - nadal zdezorientowany relacjami między osobami siedzącymi w pokoju - nie był pewien, czy w głosie ojca nie słyszy złośliwych nutek.

- Dziwnie się to wszystko poukładało - zauważył Colin. - Muszę przyznać, że Jool zatroszczyła się chyba o wszystko.

- Co mi przypomina... - George podszedł do biurka i otworzył jedną z szuflad. - Mam tu listy, które napisała do naszych dwóch Irlandczyków.

- Wezmę je. - Francey wstał. Nie chciał, by Dessie - który nie potrafił ani czytać, ani pisać - został upokorzony przed nimi wszystkimi.

Pół godziny później, w pokoju Franceya Dessie ssał jednego ze swych woodbine'ów, patrząc na zaklejony list w ręce, jakby spodziewał się, że koperta zawiera węża.

- Przeczytać ci go?

Młodzieniec wziął od niego kopertę i rozciął górę; poza listem w środku znajdowało się kilka zdjęć, między innymi odbitka ślubnej fotografii, która przyprowadziła go do George'a. Podał je Dessiemu bez komentarza i przebiegł oczyma zawartość kartki. Nie przeczytał jeszcze listu zaadresowanego do niego samego, więc po raz pierwszy widział odręczne pismo Jool: nie był co prawda grafologiem, lecz bez trudu odgadł, że kobieta, która potrafiła stawiać tak okrągłe, duże litery, bez wątplenia musiała być hojna i pewna siebie.

Francey postanowił, że jeśli znajdzie w liście coś, co może jeszcze bardziej zdenerwować Dessiego, pominie ten fragment. W ciągu ostatnich paru tygodni udało mu się wyjaśnić przyrodniemu bratu nie tylko problem jego ojca, ale także szczegóły związane ze śmiercią Jool i to, że była tak hojna, iż zostawiła im mnóstwo pieniędzy, aby mogli swobodnie je wydawać do

końca życia. Jednak Dessie jakoś nie potrafił zrozumieć, że ma teraz dwie rodziny, które są chętne i gotowe mu pomóc; w przerwach między przyjmowaniem leków stawał się półprzytomny, bojaźliwy i niepewny, przypominając Franceyowi dzikie zwierzątko, które choć głodne, za nic w świecie nie da się oswoić z obawy przed losem znacznie gorszym niż pusty żołądek. A ponieważ brat zupełnie nie rozumiał wartości pieniądza, oprócz tego, na ile butelek wystarczy, Francey nie wdawał się jeszcze w szczegóły dotyczące spadku.

Przekonawszy się, że z listu Jool promieniuje tylko dobroć i życzliwość, zaczął czytać głośno:

Kochany Desmondzie!

Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi za złe, iż wlałam z kopytami w Twoje życie osobiste do takiego stopnia, że przynajmniej jeszcze parę lat temu wiedziałam o Tobie prawie wszystko. Jeśli czytasz teraz ten list, znaczy to, że moje wysiłki nie poszły na marne. Chcę Ci tylko powiedzieć, Desmondzie, że Pan jest Dobrym Pasterzem i odnajdzie Cię, zwiąże, jeśli będzie trzeba, i dopilnuje, byś bezpiecznie wrócił do domu wraz z resztą Jego trzódki. On się Tobą zaopiekuje znacznie lepiej, niż mógłbyś to sobie wyobrazić. Zaufaj Mu w trudnych dniach, okay? Zastanawiam się, jak wyglądasz, Desmondzie. Jesteś wysoki? Masz te zabójcze oczy George'a? Czy może bardziej przypominasz swoją mamę? Informator, który zbierał dla mnie wiadomości o Tobie, nie chciał zbyt wiele mówić i przekazał tylko tyle, że jesteś łagodny. A to mi się podoba, kochanie.

Masz problemy, Bóg jeden wie, jak wielkie, lecz na szczęście nic, czego nie można by uleczyć. I nigdy nie zapominaj, dla własnego dobra, że ja Cię obserwuję tu, z góry, i że na sądzie ostatecznym będziesz miał przyjaciela. Wszyscy bardzo Cię kochamy!

Wiem, że wolisz podróżować bez zbędnego bagażu, lecz pomyślałam, iż może tych kilka zdań przypomni Ci, że tu, z góry, stara Jool trzyma za Ciebie kciuki. Byłoby mi miło, gdybyś włożył moje zdjęcie i ten list do portfela! Myśl o mnie jako o swej bajkowej babce.

Kocham Cię

Jool

- Była bardzo miłą kobietą - odezwał się Francey, podając list i kopertę bratu.
- To pierwszy list, jaki w życiu dostałem. - Dessie oddał mu go z powrotem i zapalił papierosa.
- Przeczytasz mi go jeszcze raz, Francey? - Młodzieniec powtórzył cierpliwie każde

słowo listu, tym razem wolniej. Podnosił wzrok między zdaniami i widział, że chłopak wpatruje się w niego płonącymi oczyma i porusza wargami, bezdźwięcznie wypowiadając każde słowo w ułamek sekundy po tym, jak on sam je wymówił. - Co to znaczy: „trzymać za kogoś kciuki”? - zapytał na koniec.

- To znaczy być po czyjejś stronie, brać stronę tej osoby w jakimś sporze.

- A teraz przeczytaj swój. - Dessie usadowił się na brzegu łóżka.

List do Franceya był dłuższy i także zawierał odbitkę fotografii ślubnej. Oprócz niej w kopercie znajdowało się jeszcze jedno zdjęcie; ku swemu ogromnemu zdumieniu młodzieniec spostrzegł, że przedstawiało jego samego i zostało wykonane nie tak dawno temu przed sklepem Ledbettera.

- Przeczytam po cichu, jeśli nie masz nic przeciw temu - powiedział opanowany nagłą niepewnością.

Była to doprawdy niezwykła sytuacja: właśnie miał przeczytać list skierowany doń, praktycznie rzecz biorąc, z zaświatów, zawierający dowody, że autorka go śledziła. Dopiero teraz dotarło to do świadomości Franceya. Jak długo Jool go obserwowała - i jak bacznie? Czy wiedziała o Lahersheen - i o Hazel?

Najwyraźniej starsza dama przewidziała jego reakcję:

Drogi Franceyu!

Nie dziw się, kochany, ale jak widzisz, jestem dość dokładnie poinformowana o Twoim istnieniu i mam wrażenie, że sporo o Tobie wiem.

Nie martw się, to nie ja stałam przed sklepem, kiedy zrobiono Ci to zdjęcie, lecz fotograf wysłany przez mego dublińskiego informatora. Załączam je tylko po to, byś wiedział, jak Cię postrzegam: to było moje ulubione zdjęcie Twojej osoby. Może już odnalazłeś pozostałe, które znajdują się wraz z innymi osobistymi przedmiotami w moim biurku.

A gdybyś miał się tym martwić: nie, nie byłeś pod ciągłą obserwacją. Zorganizowałam to w ten sposób, że co jakiś czas, nawet co kilka lat, sprawdzałam Twoje postępy. (A tak przy okazji, cholernie przystojny z Ciebie młodzieniec, czyż nie? Jeśli charakterem choć trochę przypominasz mojego George'a, to biedne irlandzkie dziewczęta nie mają szans!).

Może zastanawiasz się, dlaczego nie pojechałam spotkać się z Tobą ani nie poinformowałam George'a o wszystkim, co o Tobie wiem, lecz wierz mi lub nie, bardzo kocham Twego tatę (mimo że jest starym rozpustnikiem) i dogadywaliśmy się wprost doskonale. Kiedy osiąga-

my pewien wiek, zaczynamy wierzyć, że lepiej pozostawić sprawy własnemu biegowi.

Nie chcę, żebyś sądził, iż wcale o Tobie nie myślałam; wprost przeciwnie! A z tego, co o Tobie wiem, wnioskuję, że na pewno byśmy się polubili. Bardzo więc żałuję, że nie mogliśmy się poznać, lecz jak wiesz, Bóg był dla mnie dobry i mam nadzieję, że pomyślisz o mnie serdecznie, skoro zdołałam dać Ci zabezpieczenie materialne i zadośćuczynienie za to, że nie spotkałam się z Tobą osobiście. No i za moje bezczelne szpiegowanie! Nie zapominaj, że - jak powiedziałam też Twoim dwóm braciom - będę Cię z góry obserwować. To ja będę się do Ciebie uśmiechać zza księżycy!

Pomyśl o mnie od czasu do czasu, dobrze? Jestem/byłam starą dobrą protestantką, jak z pewnością wiesz, ale nie miałabym nic przeciwko temu, gdybyś od czasu do czasu zapalił katolicką świeczkę za duszę starej Jool. Jesteś dobrym chłopcem, wiem to z całą pewnością. I, Franceyu - mam nadzieję, że nie pogniewasz się za to narzucanie - ale sądzę, że koniec końców to Ty będziesz się opiekować całą rodziną. Nie bój się, kochanie, jesteś duży i silny. Pan już się o to zatroszczył, więc z pewnością podolasz ciężarowi. Nie zawsze oczywiście będziesz to widział, ale właśnie Ciebie wybrał. Proszę więc, opiekuj się nimi wszystkimi, Franceyu, moim ukochanym George'em, Twoimi braćmi, a zwłaszcza małym Tommym i jego matką. Mam dziwne wrażenie, że oni będą Cię najbardziej potrzebować.

Ucałowania od amerykańskiej babci

(marzenia, marzenia!)

Jool

Poruszony, zaciekawiony i świadomy dziwnego dreszczyku emocji w związku z tym, co starsza pani napisała o Fleur i jej synku, Francey złożył list i wsunął go z powrotem do koperty. Kiedy wpatrywał się w miłą twarz Jool na ślubnej fotografii, przez chwilę obawiał się, że ta kobieta ma moc osiągnięcia go zza grobu.

- Chciałaś, żebyśmy się wszyscy spotkali. - Boże, miał nadzieję, że ona to słyszy. - I tak się stało. Pomóż mi.

W następnej sekundzie zdał sobie sprawę, że prosi o niemożliwe: Jool Gallaher z pewnością pomogłaby mu - gdyby tylko mogła - w przywróceniu Dessiego rodzinie i społeczeństwu, lecz z całą pewnością nie powinien jej prosić o pomoc w popełnieniu grzechu cudzołóstwa.

Po lunchu Dessie wziął pigułki i poszedł spać, więc Francey miał trochę wolnego czasu,

by odwiedzić stajnie.

Śnieg padał cały czas i puchowa pierzyna rosła z godziny na godzinę; ośnieżone podwórko przed stajnią było ciche i wydawało się dziwnie opuszczone. Wszedłszy na podwórze, Francey zauważył ruch po przeciwnej stronie; ktoś wyglądał zza drzwi.

- Cześć! - zawołał zaskoczony, że padający śnieg tłumi głos.

- Francey? To ty? - Mick O'Dowd osłonił oczy ręką, a młodzieniec podszedł bliżej.

- Taak, któż by inny? - Dwaj Irlandczycy uścisnęli sobie dłonie.

- Jak widzę, jeszcze tu jesteście!

- Złego diabli nie biorą! Myślałem, że to może nasz chlebodawca. - Mick cofnął się do środka, ustępując Franceyowi drogi. - Wszystkich nas dziś roznosi; w taką pogodę za bardzo nie ma co robić. Chodź, właśnie parzymy herbatę.

- A mógłbym najpierw zobaczyć konie?

- Jasne. - Mick się uśmiechnął. - Mam iść z tobą? Francey potrząsnął głową.

- Chyba że musisz.

- Przecież znasz tu każdy kąt. Tylko zamykaj drzwi za sobą. Przyjdź do nas, jak skończysz.

Francey bez wahania podszedł do najbliższego boks. Polubił wszystkie shiry, gdyż każdy miał odmienny charakter, lecz Tarzan, z jego senną akceptacją wszystkiego, co się przy nim robi, należał do jego ulubieńców. Ogromny koń przypominał mu wielki, nieporuszony głaz na ruchomych piaskach świata.

- Witaj - szepnął, otwierając drzwi boks.

Tarzan stał oparty o betonową ścianę; otworzył łagodne oczy i przez kilka chwil patrzył na swego gościa bez cienia zainteresowania, po czym znowu je przymknął.

- Daj spokój. - Francey zamknął za sobą drzwi i podszedł do konia, by go pogłaskać. - Okaż mi choć trochę sympatii.

Gdy gładził jedwabistą łopatkę zwierzęcia tuż obok krawędzi szorstkiej derki, uśmiechnął się do siebie na wspomnienie, że podczas cudownego tygodnia pełnego seksu, jaki spędził z Hazel, najczęściej nazywała go właśnie Tarzanem.

Opowiadał teraz koniowi o wspaniałym planie, który majaczył w jego umyśle, odkąd młodzieniec po raz pierwszy zwrócił wzrok na te wspaniałe zwierzęta. Im częściej na nie patrzył, tym bardziej miał ochotę kupić sobie kilka shirów i wystawiać je na pokazach w Irlandii. Był przekonany, że wśród ludzi tak kochających konie, zaprzęg shirów zrobi furorę na jarmar-

kach, a nawet na najważniejszym krajowym końskim pokazie w Dublinie. Największe, jakie widział w kraju, były cierpliwe konie od Guinnessa, które, nie zwracając uwagi na chaos motoryzacyjny panujący na ulicach stolicy, ciągnęły swe wozy z warzelni piwa na St James Gate. Lecz choć tak duże i zadbane, nie mogły się równać z Tarzanem i jego towarzyszami.

Gdy mgliste światło sączyło się przez zaśnieżone okno stajni, Francey puścił wodze wyobraźni. Cały czas głaszcząc Tarzana, ujrzał teraz siebie, stojącego pośrodku ogromnej areny z długim batem w dłoni, po obwodzie koła zaś biegło kilkanaście tych wielkich, cudownych koni, każdy z nosem przy ogonie poprzednika.

- Ale, nigdy, przenigdy nie dotknąłbym choćby jednego waszego włosa - wyszeptał w jedwabistą grzywę zwierzęcia. - Nigdy nie musiałybyście robić nic poniżającego.

Mógłby pokazywać siłę tych rumaków, każąc im ciągnąć wozy na pokazach albo może nawet piętrowe autobusy lub parowce wzdłuż rzeki. Mógłby je wystawić jako wielką atrakcję na dorocznych ogólnokrajowych mistrzostwach oraczy, gdzie nie orałyby pola jak zwyczajne konie, lecz na przykład wyciągałyby ogromne głazy z ziemi lub zwalone drzewa z rowów. Można by też wozić na nich dzieci; po pięcioro lub sześcioro za jednym zamachem.

Oprócz wystawiania shirów na pokazach mógłby urządzać imprezy w domu dla miejscowej ludności lub turystów; mógłby też zaproponować Mickowi O'Dowdowi pracę - opiekowanie się końmi; warto by też zrobić specjalnie dla nich piękne uprząże i uzdy... Hazel i jej High Rollers występowałyby na potańcówkach, można by zapraszać kłownów albo nawet ściągnąć trupę teatralną, by dawała przedstawienia... Może nawet ojca? Francey widział już oczyma duszy, jak w niedługim czasie poprowadzi show przebierańców i różnych różności.

- Chciałbyś być w moim zaprzęgu? - spytał Tarzana, który nawet nie drgnął.

Francey oparł czoło o okryty derką bok konia i przysłuchiwał się miarowemu biciu potężnego serca.

- Może ty jednak nie - doszedł do wniosku. - Ty byłbyś maskotką. Mogliby tylko na ciebie patrzeć.

- Wszystko w porządku? - Drzwi stajni otworzyły się i na tle sypiącego śniegu pojawiła się sylwetka Micka O'Dowda.

- Jasne. - Młodzieniec miał nadzieję, że koniuszy nie słyszał, jak rozmawia z koniem; poklepał go ostatni raz po szyi i wyszedł z boksu. - Łagodności stworzenie, prawda? - dodał, wskazując kciukiem śpiącego Tarzana.

- Taak, bomba mogłaby wybuchnąć tuż obok, a on i tak nie mrugnąłby okiem - odrzekł

Mick z uśmiechem. - Właściwie żaden z nich nie jest specjalnie wrażliwy - dodał. - Jeśli je przestraszysz, po prostu odejdą. Tylko z tej Amazonki niezła primadonna. Ma temperament, jak większość kobiet... - Roześmiał się głośno. - Zwłaszcza że jest żrebna. Ale prawdę mówiąc, nie mamy z nią większych problemów. To nie nerwy, tylko temperament. Można by tuż obok niej wystrzelić z dwururki i gdyby tylko widziała, że to zrobisz, nawet by nie drgnęła. Ale z tyłu za nią lepiej nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Trzeba trzymać się tam, gdzie cię dobrze widzi. Idź już - dodał - ja tu pozamykam.

Kiedy szli już w kierunku izdebki stajennych, zauważyli ruch przy drzwiach; w zamieci śnieżnej zobaczyli sylwetkę, którą Francey natychmiast rozpoznał.

- Dessie? - Przecież jeszcze niedawno spał, pomyślał młodzieniec, co się stało?

- Obudziłem się, a ciebie nie było. - Chłopiec podszedł doń spieszenie.

- Skąd wiedziałeś, że tu mnie znajdziesz?

- Spytałem Colina. Powiedział, że prawdopodobnie będziesz w stajni i wyjaśnił mi, jak tu się dostać. - Dessie drżał, choć miał na sobie nowy płaszcz.

- Musisz przestać się wiecznie martwić o to, gdzie ja jestem - odrzekł Francey. - Przecież tyle razy ci mówiłem, że nigdy nie odejdę daleko i zawsze do ciebie wrócę. - Nagle zdał sobie sprawę, że przemawia do brata jak matka do czteroletniego dziecka. Trzeba będzie coś zrobić z tą jego zależnością ode mnie, pomyślał, bo wszystko zaczyna się wymykać spod kontroli. Poza tym, jeśli miał być szczery, zaczynało go to już nieco irytować. - Chodź - mruknął, lecz w sekundę później zmienił zdanie: narzucanie obecności Dessiego stajennym, a ich obecności chłopcu nie było chyba w porządku. - Chcesz zobaczyć konie? - spytał. - Są cudowne... o, jest i Mick! - dodał, kiedy podszedł do nich koniuszy. - To jeden z ludzi, którzy tu pracują. - Przedstawivszy ich sobie, Francey bez zdziwienia zauważył, że O'Dowd wydaje się doskonale poinformowany, kim jest Dessie.

Wszyscy trzej stali teraz w śniegu.

- Mick, idź spokojnie na tę herbatę - powiedział Francey, wyjaśniając, że chce oprowadzić brata po stajni.

- Tylko dopilnuj, żeby nie palił w środku. - Koniuszy wskazał na woodbine'a, który mimo padającego śniegu żarzył się w dłoni najnowsze członka rodziny.

- Jasne - obiecał Francey.

Dessie zgasił papierosa nogą i poszedł za bratem wzdłuż boksów; zdawało się, że przy każdym z koni jest coraz bardziej oczarowany. Shiry strzygły uszami i parskały z wyraźną ra-

dością, a Francey przypomniał sobie, jak Tilly mówiła, że jego brat wyjątkowo dobrze umie dogadywać ze zwierzętami.

- Podobają ci się?

- O, jeszcze jak. - Po raz pierwszy dostrzegł blask w oczach chłopaka. Wyglądał jak zupełnie inny człowiek; chyba nawet był szczęśliwy.

George stał z założonymi na plecach rękoma w swym gabinecie przy oknie i patrzył na płatki śniegu za oknem. Pamiętał ostatni raz, kiedy w Inveraray padało. Było to dwa lata temu, jakieś trzy tygodnie przed Gwiazdką i Jool, która zabrała Tommy'ego na jedną z tych długich wypraw po zakupy do Londynu, wróciła podniecona planem stworzenia w lesie zaczarowanego ogrodu pełnego disneyowskich postaci. Nie chciała czekać, aż śnieg przestanie sypać, tylko zaciągnęła George'a na rekonesans, aby wybrać miejsca, gdzie ustawi figurki i popatrzeć, co uda się uzyskać, spiętrzając mały strumyczek.

W pewnej chwili, gdy postanowiła, że w konarach zwałonego drzewa zbuduje domek, odwróciła się do męża z rozjaśnioną twarzą; wyglądała wtedy jak młoda dziewczyna.

- Och, George, tu jest idealnie, wprost idealnie!

Chociaż miała już dobrze ponad siedemdziesiąt lat i była zakutana w futra, z lśnącymi oczyma i skórą oświetloną zielonkawym światłem wyglądała przez chwilę nieomal pięknie. George, który wyjątkowo niechętnie wyszedł dziś z domu, wziął ją w ramiona i pocałował; był to pierwszy spontaniczny odruch tego typu od wielu lat.

- A to za co? - Jool spojrzała na niego zaskoczona.

- Za to, że jesteś moją żoną i kocham cię - odrzekł choć raz z niewymuszoną szczerością.

- Ojej! - Odchyliła się lekko w jego ramionach. - Czyżbyś stawał się sentymentalny na stare lata, kochany?

- Może. - Lecz czar prysł równie szybko, jak się pojawił, i teraz Gallaher czuł się dziwnie zażenowany. Przytulił ją pośpiesznie jeszcze raz i powiedział, że lepiej już wracać, gdyż śnieg pada coraz mocniej. - Nie chcę, żebyś mi się zaziębiła.

- Mój Boże! - Jool roześmiała się z jawnym zdumieniem. - A kiedyż to ostatni raz byłeś w Nowej Anglii?

George także się roześmiał i zapomniawszy o zażenowaniu, ujął jej dłoń; wracali do domu, trzymając się za ręce niczym dzieci, rozdzielili się dopiero wtedy, gdy wyszli z lasu na otwartą przestrzeń. Musieli przyznać, że trzymanie się za ręce w ich wieku wyglądałoby nieco idiotycznie.

Jednak dryfowała między nimi niewypowiedziana myśl, delikatna niczym krążące wokół płatki śniegu: że jest już za późno. Mimo że koniec końców dobrze im się z sobą żyło i kochali się tak często, jak to odpowiadało obojgu lub tylko jednemu z nich, był to ostatni raz, kiedy przeżyli wspólnie tak romantyczne chwile.

Choć George widział teraz zarys drzew, ze swego punktu obserwacyjnego nie mógł dostrzec śladów zaangażowania i serca, jakie włożyła Jool w stworzenie bajkowej krainy przeznaczonej dla ukochanego wnuka. Ciekawe, jak poradziłyby sobie z tym nowym nabytkiem? Im bardziej komplikacje mnożyły się w jego życiu, tym bardziej George żałował, że nie ma obok niego Jool.

Rozdział czternasty

Po chłodzie na zewnątrz, podmuch gorącego powietrza, który uderzył Franceya w twarz, kiedy tylko młodzieniec otworzył tylne drzwi wiodące do kuchni, sprawił, że zaczęło mu cieknąć z nosa. Zamknął drzwi jak najszybciej, żeby ciepło nie uciekało z pomieszczenia, po czym otrzepał buty ze śniegu na słomianej macie tuż za progiem; przysiągł sobie, że w jego własnym domu centralne ogrzewanie nigdy nie będzie działać na pełny regulator.

- Ale dziś zimno - powiedział do kucharki.

Kobieta skinęła głową i wróciła do pracy, a młodzieniec zauważył, że kuchnia zdaje się mrużyć sama do siebie w spokojnym tempie profesjonalisty, który doskonale wie, co robi. Wpisał kucharkę na długą listę spraw, jakimi trzeba będzie się zająć, gdy już wreszcie znajdzie sobie mieszkanie.

Co prawda uprzedził Micka O'Dowda, że zostawia przyrodniego brata w stajni, i koniuszki zdawał się nie mieć nic przeciw temu, lecz młodzieniec zaczął się już niepokoić. Kto wie, co działo się w umyśle Dessiego?

Z drugiej strony zmiana, jaka zaszła w chłopaku na widok koni - natychmiast i zupełnie niespodziewanie - sprawiła, że Francey miał ochotę sam się kopnąć w tyłek za to, iż wcześniej nie pomyślał o terapeutycznym wpływie, jaki mogłyby mieć na brata zwierzęta. Nie byłoby problemu z kupnem czy pożyczaniem paru koni lub kuców na Béara, na farmie w Lahersheen zaś znajdowało się całe mnóstwo szop, które można by wykorzystać. Lepiej późno niż wcale, pomyślał i poszedł korytarzem w kierunku swego pokoju. Może powinien zastanowić się nad włączeniem brata w swe plany na przyszłość...?

Właśnie miał wejść do środka, gdy zobaczył nadchodzącego ojca. Uniósł dłoń gestem pozdrowienia, lecz George nie odwzajemnił mu się tym samym. Zamiast tego zniknął, wchodząc w jakieś drzwi.

Francey zdumiał się: czy to wyobraźnia płata mu figle, czy też George faktycznie chciał przed nim uciec? Działając pod wpływem impulsu, zdecydowany wyjaśnić sprawę, zapukał do zamkniętych drzwi, za którymi zniknął ojciec i otworzył je, nie czekając na zaproszenie.

George stał pośrodku przestronnego pokoju, którego ściany pokrywały gustowne, oszklone od frontu półki na książki, a podwójne drzwi prowadziły dalej do starannie umeblowanej sypialni. Kiedy młodzieniec zapytał, czy ma czas na rozmowę, wyglądał na przestraszonego.

- Właściwie jestem nieco zajęty - odrzekł błagalnym tonem.

Ale Francey nie dał się zbyć. Spojrzał znacząco na ogromne - i puste - biurko, które stało między nimi.

- To kiedy będziesz miał dla mnie czas?

- Zobaczymy. - George wyjął z szuflady oprawiony w skórę kalendarz i zaczął przerzucać strony.

Francey czekał przez parę chwil, lecz wreszcie stracił cierpliwość.

- Kiedy masz następne spotkanie, George? - spytał, pierwszy raz zwracając się do ojca po imieniu. Wydawało mu się to niewłaściwe, lecz po tylu latach obojętności ze strony tego człowieka prędzej szlag go trafi, niż będzie się zwracać do niego per „tato” czy „tatusiu” jak Colin. - A co ci przeszkadza teraz? - domagał się odpowiedzi. - Nie zamierzam zakłócać twojego planu dnia. Odejdę, gdy tylko będziesz musiał zająć się innymi sprawami.

Z ponurą miną George zamknął kalendarz, usiadł na obrotowym krześle za biurkiem i zaprosił syna, by zajął miejsce po przeciwnej stronie.

- No to do dzieła - rzekł. - Tak się składa, że mam właśnie trochę wolnego czasu.

Francey wpatrywał się w jego okoloną siwymi włosami twarz, która z pewnością świetnie wyglądałaby na okładce czasopisma. Kiedy wyobrażał sobie tę konfrontację, myślał o spokojnej, cywilizowanej rozmowie, ale gdy teraz stanął oko w oko z faktem dokonany, poczuł, że gwałtowne emocje wzbierają w nim niczym ładunek wybuchowy.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, od czego zacząć - oświadczył i ku swemu przerażeniu usłyszał, że głos mu drga.

George nie odezwał się ani słowem.

Francey zerknął na własne dłonie, zaciśnięte w pięści i spoczywające na udach.

- Już od bardzo dawna chciałem z tobą porozmawiać, właściwie to przez całe życie - zaczął. - Powtarzałem w głowie pytania, wiedziałem, co możesz mi odpowiedzieć, wyobrażałem sobie twoje reakcje... - Gdy tylko podniósł wzrok, tama puściła i wybuchnęła: - Po pierwsze, zawsze chciałem wiedzieć, dlaczego nas opuściłeś? - zawołał. Nie dał George'owi szansy na wyjaśnienia, gdyż wyrzucał z siebie kolejne słowa coraz szybciej i szybciej. - Dlaczego zostawiłeś nas i nie odezwałeś się ani słowem przez te wszystkie lata? Gdybym do ciebie nie przyjechał, czy kiedykolwiek byś się ze mną spotkał? Kiedykolwiek?! - Chwycił z całej siły za krawędź biurka.

- Myślałem i marzyłem o tobie, postawiłem cię na piedestale. Co weekend marzyłem, że przyjedziesz. Matka nigdy nie powiedziała złego słowa pod twoim adresem, wiedziałeś o tym? Czy kiedykolwiek poświęciłeś jej chociaż jedną myśl? Czy pomyślałeś o niej choć raz, odkąd wyjechałeś z Irlandii? A o mnie? Albo o Dessiem? O Kathleen?

George chciał coś wtrącić; uniósł dłonie, by przerwać ów potok słów, lecz Francey nie potrafił już się opanować.

- I nawet nie myśl o tym, by wciskać mi gówniane tłumaczenia, że przyjechałeś w odwiedziny. Raz! Wiem, że byłeś u nas tylko raz!

- Poderwał się z fotela i zaczął szybko chodzić po pokoju. - Pamiętam tamten dzień tak dokładnie, jakby to było godzinę temu, ale podejrzewam, że dla ciebie był to po prostu kolejny skok w bok, co, George? Lepiej, gdybyś w ogóle nie przyjechał, wiesz? Nie myśl, że nie wiem, po co do nas przyjechałeś! Chciałeś obejrzeć sobie małego bękarta, którego spłodziłeś, tak jak ludzie przychodzą do cyrku oglądać dziwolągi. Ale i tego było ci mało, prawda? Więc co zrobiłeś? Odjechałeś, zabierając ze sobą Kitty! Pogorszyłeś całą sprawę dwa razy, dwadzieścia razy... - Pochylił się nad biurkiem, jakby chciał uderzyć ojca. - Czy ty wiesz, przez co przeszliśmy? My wszyscy? Czy to cię choć trochę obchodziło, George? Czy obchodzi cię teraz?

Ojciec cofnął się gwałtownie, jakby obawiając się uderzenia.

- Zdawało mi się, że powiedziałeś, iż twoja matka czuje się świetnie...

Ale Francey nawet nie pozwolił mu dokończyć.

- Oczywiście, że czuje się doskonale! - wrzasnął. - Niedawno drugi raz została wdową! Ma czterdzieści pięć lub czterdzieści sześć lat, lecz włosy jej zupełnie posiwiały, a ręce zrobiły się szorstkie od pracy. A przecież była córką prawnika. Czy wiesz, co to oznaczało w Cork? To znaczy, że była bogata, należała do wyższej warstwy społecznej. Mogła wieść cudowne życie

w dostatku i nie musiała tyrać jak wół w błocie, deszczu i wichurze... Nie musiała zostać pośmiewiskiem całej parafii... - Urwał, gdyż zdał sobie sprawę, że zaczyna mówić o matce i George'u, zamiast o sobie i ojcu.

Twarz ojca drżała, rozszerzając się i kurcząc w rytm pulsowania krwi, która huczała mu w skroniach. Francey zauważył, że George przestał się uśmiechać i jest mocno wystraszony; uczynił wielki wysiłek woli, by się opanować, lecz nie zdołał. Młodzieniec rąbnął obiema pięściami w blat biurka, tak że kryształowa popielniczka aż podskoczyła.

- Jak myślisz, gdzie teraz jest Kathleen, George?! - zawołał. - Twojego trzeciego syna, który jest wrakiem zarówno fizycznym, jak i psychicznym, zostawiłem wśród zwierząt. Bo właśnie tego chciałeś. Dzięki tobie twój najmłodszy syn myśli i zachowuje się jak zwierzę, bo tak go wychowano. Może powinniśmy byli pozwolić mu utonąć? To by ci odpowiadało, nieprawdaż?

Ojciec poderwał się zza biurka.

- Wystarczy! Nie zamierzam dłużej tego słuchać!

- Doprawdy? - Kiedy tak stali twarzą w twarz, Francey czuł satysfakcję, że to on jest wyższy. - Dlaczego, George? - spytał ciszej. - Dlaczego to zrobiłeś?

- Jeśli nie zamierzasz podejść do tego spokojnie...

- Spokojnie?! - Furia zaczęła go opuszczać, gdyż za wybuchem ojca dostrzegł pustkę. - Nie rozśmieszaj mnie!

- Porozmawiam z tobą, jeśli usiądziesz.

Młodzieniec gwałtownie opadł na fotel, a po chwili wahania George także zajął na powrót swe miejsce.

- Nie potrafię ci tego wytłumaczyć - powiedział z lękiem w oczach, jakby obawiając się następnego wybuchu. - W każdym razie nie przychodzi mi na myśl żadne usprawiedliwienie, które mogłoby cię ułagodzić.

- Postaraj się - odrzekł Francey przez zaciśnięte zęby. - Wystarczy cokolwiek.

George zdawał się coś rozważać.

- Podejrzewam, że nie ma sensu, bym kłamał lub wymyślał coś na swe usprawiedliwienie - odezwał się po chwili. - Po prostu nie ma żadnego wytłumaczenia dla moich postępów. Jestem, jaki jestem i już.

Zuchwałość tego stwierdzenia sprawiła, że Franceyowi zabrakło tchu, lecz jednocześnie uspokoiła jego wściekłość. Przez jakiś czas jeszcze naciskał na George'a, lecz bez względu na

to, jak bardzo się starał, nie wydusił zeń nic sensownego i w końcu zaczęli się powtarzać; przez cały ten czas ojciec okazywał cechę, która najbardziej drażniła młodzieńca - pasywność. George przepraszał, akceptował fakt, że jest fatalnym ojcem, przepraszał ponownie. Ale wszystko na koniec sprowadzało się do tego, że taki już właśnie jest i niewiele może na to poradzić. Francey zrozumiał, że skończyła mu się amunicja i kłótnia dobiegła końca.

- Naprawdę bardzo mi przykro - powiedział George po raz piąty lub szósty z rzędu, wpatrując się w syna szeroko otwartymi fioletowymi oczyma.

Młodzieniec poczuł jak opada z niego reszta złudzeń; ten człowiek nigdy nie będzie taki, jakim chciałby go widzieć.

- A co z Dessiem? - zapytał lodowatym tonem. - Jak zamierzasz mu pomóc? Ja robię co w mojej mocy, ale to ty jesteś odpowiedzialny za jego obecny stan.

George uciekł przed nim wzrokiem.

- Musimy poczekać i zobaczyć, jak się sprawy potoczą. Francey wstał i wpatrywał się w ojca przez długą chwilę.

- Tylko nie czekaj zbyt długo!

- Myślisz, że spodobałby mu się mały proszony obiad? - Podążywszy za wzrokiem ojca, Francey dostrzegł, że oczy George'a rozjaśniły się na widok oprawionego w srebrną ramkę zdjęcia siebie z Jool i grupką innych osób; wszyscy się uśmiechali i wznosili kieliszki w stronę aparatu. - Aby powitać go w rodzinie, że się tak wyrażę. - Gallaher popatrzył na syna z tak pełną nadziei miną, jakby właśnie znalazł genialne rozwiązanie wszystkich problemów.

Francey roześmiał się głośno.

- Proszony obiad?! - zawołał. - Dessie nie ma pojęcia, co to, pomijając już fakt, że nie wiedziałby, jak się na czymś takim zachować. On nie jest przyzwyczajony do proszonych obiadów... a przy okazji, ja też nie.

- No, cóż... w takim razie może coś innego... przyjęcie z dużą liczbą gości, żeby nie musiał się krepować i mógł zachowywać, jak zechce?

Francey wpatrywał się w George'a przez moment; dopiero teraz zauważył, że ojciec jest zdenerwowany.

- Ja tylko usiłuję jakoś pomóc - tłumaczył się, nie mogąc znieść wzroku syna. - Powiedz mi, co mogłoby ucieszyć Dessiego... cokolwiek by to było. Myślisz, że spodobałby mu się wspólne wakacje, na przykład?

- George, choć przez chwilę posłuchaj sam siebie - odrzekł Francey chłodno.

Wróciwszy do swego pokoju, bardzo długo siedział na łóżku i wpatrywał się w przestrzeń. Teraz, kiedy już ochłonął, odkrył, że wcale nie życzy ojcu źle: nieoczekiwany obrót od dawna wyczekiwanej rozmowy okazał się raczej smutny niż frustrujący. George Gallaher był równie bezwartościowy, jak kłęb dymu. Nie można nienawidzić kogoś lub gardzić czymś, co nie ma wartości.

A ojciec najwyraźniej robił co w jego mocy, by nie zostać sam na sam z Dessiem, i żeby zawsze mieć z kim dzielić obowiązki jego resocjalizacji. Właśnie w tej chwili młodzieniec postanowił, że on także zrobi co w jego mocy, aby zmusić George'a do stawienia czoła konsekwencjom własnych czynów.

Nagle poczuł się jak jabłko bez ogryzka: od tak dawna myślał, że spotkanie z ojcem stanie się dla niego ważnym doświadczeniem. Możliwe, że tak jeszcze będzie, pomyślał, lecz jak na razie czuł się tylko zirytowany, iż George Gallaher okazał się takim dupkiem. Było jeszcze coś innego. Czuł się zdradzony: połowa genów została mu wszak przekazana przez tego człowieka; czuł się samotny, nieszczęśliwy i zawstydzony, zarówno za siebie, jak i za niego: bo George był jego ojcem, który okazał się pusty, a za siebie, bo wiedział, że nie jest lojalny wobec tego człowieka. Opadł na plecy, analizując własne uczucia, dopóki i to nie przywiodło go do wstydu: Francey był wychowywany w przekonaniu, że autoanaliza jest przejawem egoizmu, czyli czynem niegodnym chrześcijanina.

Wstał z łóżka i podszedł do okna. Śnieg leżał na polach, kumulował się w postaci małych daszków na słupkach płotu, dryfował spokojnie za podwójną szybą okna i sprawiał, że Francey poczuł się spokojniejszy i odizolowany od świata. „Biały jak śnieg...” przebiegło mu przez myśl stare określenie. Ale do niego już się nie odnosiło... już nie. Później przyszedł mu do głowy antonim bieli i czystości: „lubieżny” - czy Francey Sullivan, cudzołożnik, może uważać się za człowieka lepszego niż jego ojciec?

Za wcześnie jeszcze, by stwierdzić, czy wszystkie owe marzenia i fantazje, które snuł o George'u Gallaherze, były wyssane z palca; a jednak pod powierzchnią smutku i poczucia zawodu bulgotały bąbelki zupełnie innego sentymentu, tak nowego, że Franceyowi dużo czasu zajęło zorientowanie się, co to takiego. Wraz z upływającymi minutami straszliwy ciężar, który do tej pory spoczywał na jego barkach, zrobił się lekki niczym płatki śniegu za oknem. Z zaskoczeniem odkrył, że jego zawód został zastąpiony czymś całkiem innym; Francey stał w bezruchu, dopóki nie zidentyfikował tego uczucia.

Wyzwolenie. Świadomość, że nie istnieje żaden rycerz w lśniącej zbroi, który w trudnych warunkach pośpieszy mu na pomoc na śnieżnobiałym rumaku, wyzwoliła go. Choć doświadczenie to nie było zbyt przyjemne, rozmowa z George'em sprawiła przynajmniej, że teraz wiedział, na czym stoi. Od ukończenia szkoły Francey myślał o sobie jako o dorosłym człowieku, odpowiedzialnym za własne czyny, ale teraz zrozumiał, że sprawy mają się nieco inaczej: przez wszystkie owe lata - nawet nie zdając sobie z tego sprawy - nie był pewien, czy dobrze postępuje ze względu na niedokończone, czy może nierozpoczęte, sprawy z ojcem. Gdyby ktoś spytał go zaledwie pół godziny wcześniej, jak zareagowałby na odrzucenie przez George'a, użyłby pewnie słów takich jak „zrozpaczony” czy „załamany”. Zrozumiał teraz, że ponieważ nigdy nie wiązał go z ojcem żaden inny związek uczuciowy niż złudzenie, jego czekanie na George'a Gallahera było równoznaczne z częściowym paraliżem emocjonalnym.

Francey od nowa wpadł we wściekłość, zrozumiał, że oczekiwanie na George'a pozbawiło go możliwości zadzierzgnięcia innych związków - na przykład z ojczymem. Z powodu dziecięcych mrzonek nie dał szansy Mossiemu, a teraz było już za późno.

Winił za to matkę. No dobra, George był czarujący, cudowny, seksowny - nawet on to widział - ale jak mogła nie przejrzeć go na wylot? Jak mogła pozwolić sobie na... Przez kilka sekund Francey zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Lahersheen, by rozprawić się z nią już w tej chwili, lecz rozum zwyciężył: czuła się jeszcze zbyt przygnębiona po śmierci Mossiego i zbyt wytrącona z równowagi decyzją Abby; robienie jej awantury w takim momencie byłoby cholernie niesprawiedliwe. Wiedział jednak, że prędzej czy później musi z nią o tym porozmawiać. No i nie skończył jeszcze z samym George'em.

Tak czy inaczej, chciał z kimś pogadać. Obiecał Hazel, że powiadomi ją, jak się rozwinęły sprawy z Dessiem. Zerknął na zegarek: miała teraz parę dni wolnych, a ponieważ było wczesne popołudnie, powinien zastać ją w domu.

Kiedy odebrała telefon, po wymianie wstępnych uprzejmości oraz powiadomieniu Hazel o postępach brata oraz przyjęciu, jakie ich spotkało w Inveraray, Francey wylał przed nią wszystkie swe żale dotyczące rozmowy z ojcem. Musiał przyznać, że ani razu nie poddała się pokusie pytania: „A nie mówiłam”, co jak na nią stanowiło zadziwiający przejaw taktu, za który był jej wdzięczny.

- Nigdy nie zgadniesz, jak wygląda jego recepta na rozwiązanie wszystkich problemów Dessiego - dodał jadowicie.

- Strzelaj - odrzekła.

- Spytał, czy Dessie nie miałby ochoty na przyjęcie! - warknął. - Wyobrażasz sobie... przyjęcie?!

- Nie odmawiaj tak szybko - odrzekła po chwili wahania. - Jeżeliby nie było zbyt huczne i gdyby je odpowiednio zorganizować, mogłoby się okazać, że to wcale nie taki zły pomysł.

- Hazel! - Francey był oburzony. - Dessie umarłby ze strachu!

- Myślę, że nie, zwłaszcza jeżeliby wiedział, że zostało urządzone specjalnie dla niego, aby poczuł się lepiej w rodzinie. Cóż takiego przydarzyło mu się do tej pory w życiu, aby mógł zrozumieć, że jest dla kogoś ważny? Czy ktokolwiek życzył mu wesołych świąt albo dał prezent na urodziny? Cóż złego w tym, że ktoś chce świętować odnalezienie Dessiego, całego i zdrowego?

- Ależ, Hazel...! - Francey nie mógł uwierzyć własnym uszom. - Mój ojciec zaproponował to tak ot, aby mieć problem z głowy...

- I co z tego? - odparła. - W końcu przecież zaproponował to, no nie? Najwyższa pora, żeby się trochę wysilił! Może powinieneś zapytać o zdanie samego Dessiego?

Młodzieniec jeszcze trochę protestował, lecz coraz mniej zapalczywie. W końcu obiecał Hazel, że pozwoli zdecydować samemu zainteresowanemu.

- A jak tam twoja mała przyjaciółeczka? - spytała chwilę później.

- Jaka znowu mała przyjaciółeczka? - Francey zmarszczył brwi.

- Nie udawaj głupiego - odparła. Wtedy przypomniał sobie.

- A, u niej wszystko w porządku - odpowiedział ostrożnie. - Tak się złożyło, że nie miałem zbyt wielu okazji, żeby się z nią spotkać. Obawiam się, że Colin mógłby coś zauważyć.

- No, cóż... - Hazel zamilkła na chwilę, po czym dokończyła: - Podejrzewam, że powinienam ci życzyć dużo szczęścia...

- Dzięki - odrzekł Francey z wdzięcznością. - Zadzwoń do ciebie, dobrze?

Hazel usłyszała kliknięcie po drugiej stronie i dopiero wtedy odłożyła słuchawkę na widelki. Przez kilka ostatnich dni nie robiła nic, tylko rozmyślała o własnych wadach i emocjonalnym bagnie, w które sama wdepnęła. Następny występ miał się odbyć pod koniec tygodnia i obawiała się pustych dni, które się przed nią rozciągały. Usiłowała wmówić sobie, że ta depresja jest skutkiem opóźnionego szoku po wypadku, ale w końcu nie miała innego wyjścia, jak tylko stawić czoło prawdzie. Wszystko to brednie. Jak mogła pozwolić sobie na zakochanie się w mężczyźnie o tyle lat od niej młodszym?

Kradniesz dzieci z kołyszek... przypomniała sobie słowa tego gada, Larry'ego. Przywołała

zamglone wspomnienie małego chłopca o burzy jasnych włosów, który wiele lat temu stał w kuchni małego domku na farmie i uporczywie wpatrywał się w nią i w swego ojca. Nie powiedziała Franceyowi, że tamta wizyta była jej pomysłem. Choć Hazel miała wtedy zaledwie siedemnaście lat, była obeznana z życiem jak mało kto i miała jawny romans z Cudownym George'em, jak mówiono o nim wśród kolegów po fachu. Gustował w młodych dziewczętach, wiedziała o tym, lecz okazał się tak czarujący, tak sypał pochlebstwami, był taki szczery i cudowny, że Hazel - podobnie jak wiele przed nią - dała się nabrać na jego kłamstwa. No i okazał się niezwykle utalentowanym partnerem w łóżku: jak na kogoś tak strasznie egoistycznego, George Gallaher wiedział o kochaniu się z kobietą więcej niż którykolwiek z mężczyzn znanych przedtem Hazel.

Aż do Franceya.

Na początku był jeszcze zbyt niedoświadczony i niezdarly, lecz pod koniec tygodnia, który spędzili razem, Hazel wiedziała bez cienia wątpliwości, że George przekazał synowi w genach własny talent w tej dziedzinie. Różnica polegała na tym, że z odpowiednią dziewczyną sztuka miłości Franceya nie zaczyna się i nie kończy tylko na seksie. Był przyzwoitym, inteligentnym mężczyzną, który - nie miała co do tego wątpliwości - potrafiłby utrzymać szczery związek.

Tamtego lata - kiedy to było, w czterdziestym trzecim, czwartym czy może piątym? - Hazel, nadal ufna w swe siły, postanowiła zmienić George'a. Każda dziewczyna w każdym irlandzkim miasteczku, która tylko zwróciła nań wzrok, uważała, że ma u niego jakieś szanse, lecz wtedy jeszcze Hazel wierzyła, że George Gallaher to jej prawdziwa miłość. Dnie wypełnione prężeniem się na scenie i noce namiętności były przeplatane długimi, dociekliwymi rozmowami, w ciągu których Hazel usiłowała zrozumieć kochanka. Przez cały czas starał się nie traktować jej poważnie i często unikał odpowiedzi na pytania, lecz udało jej się wyciągnąć od niego trochę na temat przeszłości, włącznie z tym, że ma syna, który mieszka w jakimś zapomnianym przez Boga miejscu w zachodnim Cork.

Hazel, wczuwając się w rolę troskliwej, odpowiedzialnej i dojrzałej partnerki w ich związku, zdołała przekonać George'a, żeby odwiedzili chłopca w lecie, kiedy i tak mieli dawać przedstawienia w Killarney: nalegała także, aby przywiózł małemu jakiś ważny prezent.

Ale, oczywiście, jak się później okazało, rezultaty owej wizyty były katastrofalne. Kiedy Hazel zobaczyła, co zaszło między jej kochankiem a oczarowaną nim dziewczyną, która ruszyła za nimi do Killarney, z wściekłością kopnęła George'a w zadek tak mocno, że utykał przez

następne trzy dni. Chociaż miał dostatecznie dużo rozumu, aby nie nachodzić swej niedawnej kochanki, gdy Kathleen już wyjechała, Hazel nie zostawiła ani jemu, ani nikomu innemu cienia wątpliwości, co do niego czuje. Wtedy właśnie po raz pierwszy przekonała się, jak szybko wielka namiętność może się zamienić w pogardę.

Kolejny paskudny błąd popełniła, wybierając sobie na męża faceta poznanego podczas przedstawienia na cele dobroczynne, w którym oboje brali udział. Było to jeszcze przed przygodą z High Rollersami, miała dwadzieścia dwa lata i po raz pierwszy próbowała swych sił w śpiewaniu. Od czasów George'a przez jej łóżko przewinęło się wielu mężczyzn, każdy równie beznadziejny co poprzedni, lecz ten jeden wydawał się inny. Po pierwsze nie miał nic wspólnego z show-biznesem: bezpieczny, solidny, zorganizowany, z widokami na przyszłość, stanowił antytezę wszystkiego, co wiązało się z jej profesją, a na swój sposób był także przystojny. Po ślubie nalegał, by rozstała się z show-biznesem, a ona z ulgą - lub przynajmniej tak się jej wtedy wydawało - na to przystała.

Aż do zawarcia małżeństwa, Hazel, która była jedynaczką, nigdy nie miała prawdziwego domu. Urodziła się w rodzinie cyrkowców i nieomal od chwili gdy nauczyła się chodzić, występowała na scenie w rodzinnej trupie akrobatów i tancerzy, sprzedawała bilety do menażerii i była w ciągłym ruchu, ciągle w drodze. Kiedy miała dziewięć lat, jej ojciec wypadł z żaglówki i się utopił, a matka dołączyła do niego niecałe dwa lata później, zmarłszy na gruźlicę, Hazel jednak nadal występowała z kuzynami. Cyrk popadł w tarapaty finansowe, kiedy miała piętnaście lat i rozpadł się w huk, zostawiając ją na lodzie w prowincjonalnym miasteczku Waterford; było to niezbyt miłe doświadczenie, lecz Hazel potrafiła spaść na cztery łapy niczym kot i natychmiast znalazła sobie inną pracę. Okazało się, że w mieście właśnie występuje objazdowa trupa aktorska, więc skłamałszy na temat swego wieku i doświadczenia, po próbnym występie dostała pracę jako aktorka i tancerka.

Tak więc, chociaż znała tylko życie w wiecznej drodze, od dzieciństwa pielęgnowała w sercu marzenie, typowe dla kogoś, kto nigdy nigdzie długo nie zagrzał miejsca - marzenie o małym domku, kominku i stołeczku, o wygodnym łóżku i komodzie. Wyobrażała sobie, jak zamiata podłogę staroświecką miotłą i poleruje woskowanym papierem okna, aż zaczną lśnić.

Mężczyzna, który jej się oświadczył, zdawał się zapewniać taką stabilność i przez krótki czas miała wrażenie, że jej marzenie się ziściło w małym mieszkanku, w którym tkwili, zbierając pieniądze na własny domek - mąż Hazel nie wierzył w pożyczki bankowe. Z entuzjazmem rzuciła się w wir prac domowych i choć gotowanie ją przerastało, własnoręcznie uszyte zasłony

zawisły w oknach, a tanie mebelki zostały przyozdobione pięknie haftowanymi serwetkami. Hazel chodziła na zakupy i rozmawiała o cenach mleka i chleba z innymi świeżo upieczonymi mężatkami, wyprawiała się z mężem do kina i planowała rodzinę, którą ogromnie chciała mieć. Ich pożycie seksualne było pośpieszne i - ponieważ jej mąż z pewnością by się zszokował, gdyby zademonstrowała mu jedną czwartą tego, czego nauczyła się w ciągu dotychczasowego barwnego życia miłosnego - raczej nudne. Nauczył ją specjalnie układać poduszkę w noce, kiedy była „bezpieczna”, aby - rozpoznawszy sygnał - mógł zainicjować zbliżenie bez krępującej rozmowy na ten temat. Przez jakiś czas Hazel wierzyła, że jest szczęśliwa.

W końcu jednak zaczęła dostawać gęziej skórki na dźwięk mężowskiego klucza w zamku. Lecz kiedy małżonek ją opuścił, wbrew temu, co powiedziała Franceyowi, była straszliwie nieszczęśliwa. Później miała wielu mężczyzn, żadnemu jednak nie udało się poruszyć jej serca... dopiero Francey tego dokonał. A przynajmniej do pewnego stopnia.

Za każdym razem, gdy o nim myślała, oskarżała się w myślach o to, że jest idiotką: chyba nie ma nic śmiesznieszego i bardziej żalosego niż trzydziestosześcioletnia kobieta tęskniąca do młodości i wigoru dwudziestoparolatka. Ale za każdym razem, kiedy Hazel o tym pomyślała, przypominała sobie tego starego kozła w Valley Ballroom. Ten piernik uważał się za dostatecznie dobrego, by tańczyć ze śliczną młodą dziewczyną w brzoskwińowej sukience! Był mężczyzną - facetem z wielkim brzuchem i spoconą twarzą - więc nikogo to nie raziło, no nie? A ona, która dbała o siebie... Hazel pomaszzerowała energicznie do łazienki i rozebrała się do naga.

Przyjrzała się sobie krytycznie w lustrze i wciągnęła brzuch, po czym rozluźniła maksymalnie mięśnie, by się przekonać, jakie zniszczenia poczyniły mijające lata. Obróciła się bokiem, aby sprawdzić, jak bardzo opadły jej piersi, a później tyłem, by spojrzeć na tyłeczek. Nie na darmo od wczesnych lat młodości ćwiczyła taniec: okazało się, że teraz wcale nie wygląda jeszcze tak źle. Może nie jak szesnastolatka, lecz nie ma też się czego wstydić; nawet jeśli nie wciąga brzucha. A i blizna na udzie ładnie się goi.

Miała już serdecznie dość siedzenia z nosem na kwintę i poczucia własnej bezradności. Miała też po dziurki w nosie udawania grzecznej dziewczynki: całe to zrozumienie i działalność charytatywna były dobre dla staruszków. A ona potrzebowała prawdziwej akcji.

- Dokładnie tak - powiedziała głośno do lustra. - Najwyższa pora, żebyś wreszcie wylazła z trumny...

W taki czy inny sposób będzie musiała sprawdzić, czy ma jakiegokolwiek szanse u Fran-

ceya Sullivana. Wart był tego, aby spróbować, a jeśli wygra, to dobrze; jeśli przegra, ucierpi tylko jej ambicja. A urażona duma jeszcze nigdy nikogo nie zabiła.

Najpierw jednak trzeba się przyjrzeć konkurencji; Hazel nie lubiła działać po omacku.

Kiedy młodzieniec wrócił do stajni ponad godzinę po tym, jak z niej wyszedł, przekonał się, że nie ma najmniejszych powodów do obaw, iż Dessie będzie uciążliwy dla pracowników. Zastał przyrodniego brata w boksie Amazonki i jeśli o koniu można by powiedzieć, że mruczy ze szczęścia, to klacz, mająca już wkrótce się ożrebić, byłaby tego doskonałym przykładem. Szturczała chłopca i pocierała ogromnym pyskiem o jego twarz, wydając przy okazji ciche, pełne zadowolenia dźwięki. Chociaż na zewnątrz nadal padał śnieg, w budynku było ciepło i Francey wcale by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że przypadkiem stajnia także ma centralne ogrzewanie. Stał bez słowa, przyglądając się porozumieniu między bratem a klaczą.

- To niesamowite - odezwał się z zachwytem. - Ten koń terroryzuje wszystkich wokół...

Dessie najwyraźniej nie usłyszał go wcześniej, lecz teraz tylko odwrócił się z błogim wyrazem twarzy.

- Jest piękna. - Poglądził Amazonkę jednym palcem między chrapami. - Prawda, kochanie? Jesteś moją ulubienicą... - Mówił łagodnie i cicho; Francey nieomal nie rozpoznał głosu brata, który do tej pory porozumiewał się ze wszystkimi urywanymi, zduszonymi półsłówkami.

Amazonka przeniosła ciężar ciała z nogi na nogę, po czym przysunęła łeb bliżej do twarzy nowego przyjaciela; Francey strzepnął śnieg z ramion.

- Przyszedłem sprawdzić, czy nie chcesz może wrócić do domu, ale widzę, że chyba tu ci jest lepiej.

- Taak - odrzekł Dessie. - Mógłbym tu zamieszkać.

- No, cóż... nie wydaje mi się, żeby to był taki dobry pomysł. - Młodzieniec lekko się zaniepokoił. Faktycznie, biorąc pod uwagę życie, które jego brat do tej pory prowadził, wydawało się logiczne, że lepiej czułby się w towarzystwie zwierząt niż pod satynową kołdrą. Jednak do takiego zachowania lepiej było go nie zachęcać. - Mam wrażenie, że naszemu ojcu by się to nie spodobało.

- Ile ja właściwie mam pieniędzy? - spytał nagle chłopak.

- A nie mówiłem ci? - Francey zwlekał.

- Nie, nie mówiłeś.

Dessie odszedł od konia i stanąwszy przy drzwiach boksu, popatrzył Franceyowi w oczy. W jasnym świetle sączącym się przez na wpół otwarte drzwi stajni jego twarz wydawała się

jakaś inna: zniknęło z niej napięcie, i choć chłopak nadal nie sprawiał wrażenia całkiem zdrowego, wreszcie zaczął wyglądać na swoje lata.

- No, cóż... - zaczął Francey - masz całe mnóstwo pieniędzy...

- Wystarczy, żeby kupić te konie?

Młodzieńca zatkało z wrażenia.

- Nie sądzę, żeby były na sprzedaż.

- W takim razie, podobne do nich - nalegał brat.

- A co byś z nimi robił? - Reakcja Dessiego na shiry tak przypominała mu własną, że aż się wystraszył.

Ale chwilę później chłopiec go uspokoił.

- Po prostu bym je miał - odpowiedział. - Chciałbym je mieć na własność. - Wpatrywał się w oczy Franceya z napięciem. - Mam wystarczająco dużo pieniędzy czy nie?

Kiedy młodzieniec wyjaśnił, najdostępniej jak potrafił, ile obaj mają pieniędzy i jakie są warunki testamentu, po raz kolejny przekonał się, że jego przyrodni brat nie postrzega pieniędzy w kategoriach bogactwa czy bezpieczeństwa, lecz natychmiastowego zaspokojenia potrzeby lub pragnienia. Dessie przyjął wszystko bez żadnej reakcji czy podniecenia.

- Zajmowanie się końmi to ciężka praca. - Zanim jeszcze chłopak odpowiedział, Francey zrozumiał, że wszelkie próby odwodzenia go od tego pomysłu są stratą czasu.

- Czy coś takiego może być ciężkie? - Dessie się uśmiechnął. - Trzeba je karmić, kochać, troszczyć się o nie i wyprowadzać na spacer. Dokładnie tak jak psy.

- O, to duża różnica - odparł Francey. - Trzeba jeszcze myśleć o podkuwaniu i weterynarzach, o stajni i ziemi, będziesz potrzebował ziemi...

- Czy wystarczy mi pieniędzy na kupno ziemi?

- Dopiero co ci powiedziałem. Jasne, że tak.

- W takim razie... - Chłopak wrócił do Amazonki i poklepał ją po szyi.

- Ale jest coś jeszcze - odezwał się Francey po chwili ciszy. - Jest jeszcze kwestia odpowiedzialności. Nie mógłbyś pić tak, jak to miałeś w zwyczaju - ciągnął, myśląc o przysłowiu, że trzeba kuć żelazo, póki gorące.

- Nie piłbym, gdybym miał konie. - Kiedy brat się odwrócił, Francey zauważył w świetle wiszącej im nad głową żarówki, że jego oczy zabłyśły. - Nie miałbym na to czasu, stary. Przez cały czas bym się nimi zajmował...

- Ale przecież ty bardzo lubisz pić - upierał się Francey.

- Wiem - przyznał Dessie. - Wiem też, że to nie lada problem, ale mógłbym nawet poszukać pomocy.

To było znacznie lepsze niż wszystko, na co Francey liczył, zaczynając tę rozmowę.

- Masz na myśli prawdziwą pomoc? - zapytał. - Nawet w szpitalu... jeśli okazałoby się to konieczne? - dodał pośpiesznie na widok strachu przemykającego przez twarz brata.

Dessie zastanowił się chwilę.

- Tak - odrzekł. - Oczywiście, Francey. A czy ty pomógłbyś mi z pieniędzmi i wszystkim? I z ziemią?

Dopiero wtedy Francey zauważył błąd w całym swym rozumowaniu. Entuzjazm przyrodniego brata przypominał entuzjazm dziecka, gdyż Dessie emocjonalnie był jeszcze dzieckiem. Przynęciłby, że będzie dobry i obiecałby gwiazdkę z nieba, byle tylko dostać to, czego pragnie... Lecz przecież zbrodnią byłoby zdmuchnąć ten pierwszy promyk zadowolenia z życia.

- Oczywiście, że ci pomogę - zapewnił go. - Ale w zamian za to od tej chwili zaczniesz ograniczać picie, dobrze? Jestem pewien, że dziś do obiadu podadzą wino - ciągnął. - To będzie dobry start.

- Ale ja nie lubię wina!

Na widok pełnej nadziei miny brata Francey wybuchnął śmiechem. Zdezorientowana twarz Dessiego była kolejnym przykładem tego, jak dalece trzeba go nauczyć cywilizacji. Wszyscy dokoła będą musieli pamiętać, że chłopak większość rzeczy rozumie dosłownie.

- Co cię rozśmieszyło? - Oczy tamtego zgasły.

Po raz pierwszy Francey zarzucił mu rękę na szyję.

- Nic takiego - odrzekł - ty stary wariacie.

Zdawało się, że brat nie ma pojęcia, jak odpowiedzieć na uścisk i stał w bezruchu.

- No, dalej! - Młodzieniec objął go za chude ramiona. - Uściskaj mnie! Korona ci z głowy nie spadnie! - Po chwili Dessie uniósł rękę i objął go przez plecy. Francey nie poczuł jednak nawet dotknięcia.

- To kolejna rzecz, której musisz się nauczyć o rodzinie! Ściskaj!

Amazonka, mając dość tego ignorowania jej obecności, podeszła do nich i szturchnęła obu łbem. Chłopak się roześmiał - po raz pierwszy.

- Posłuchaj, Dessie. - Gdy się rozdzielili, Francey pomyślał, że może to najlepsza chwila, by skorzystać z rady Hazel. - Wiem, że dopiero co tu przyjechaliśmy i wszystko jest dla ciebie nowe, ale George, nasz ojciec, wpadł na pomysł, o który chciałbym cię zapytać. Zastanawiał

się... czy miałbyś ochotę na przyjęcie? Nieduże... - dodał; pilnował się, by przedstawić sprawę jasno i uczciwie.

Ku jego zaskoczeniu brat nie skulił się ze strachu, jak młodzieniec się spodziewał.

- Jak sobie życzysz, Francey - odrzekł, głaszcząc Amazonkę.

- Nie chodzi o to, czego ja sobie życzę. - Zawahał się chwilę. - Myślisz, że podołasz temu?

- A kto tam będzie?

- Podejrzewam, że głównie rodzina. Lubisz Colina i Fleur?

- Ona jest piękna. - Dessie stał w bezruchu. - Jak... kalendarz.

- Później, kiedy Francey wpatrywał się weń bez słowa, brat pokiwał głową. - Och, tak... jest bardzo piękna... Szkoda tylko, że ma męża - dodał jowialnie.

Umysł młodzieńca pracował na zdwojonych obrotach. Więc chodzi nie tylko o konie - zapomniał, że Dessie ma dziewiętnaście lat i jego libido zapewne działa adekwatnie do wieku.

- A wracając do tego przyjęcia - zaczął mówić. - Jestem pewien, że nie chcesz, żeby zwracano ci głowę. Wszystko tu jest dla ciebie nowe i jeszcze się nie zadomowiłeś. Co o tym myślisz?

- Nie mam nic przeciw temu. Ty zdecyduj, Francey - odrzekł chłopak. - A będzie ciasto?

Francey zastanawiał się, jakie wyobrażenie ma Dessie o przyjęciach.

- Nie sądzisz, że jeszcze trochę za wcześnie? - spróbował ponownie. - Tak niedawno denrowowałaś się na samą myśl o przyjeździe tutaj... pamiętasz, jaki byłeś przestraszony zaledwie kilka godzin temu?

Lecz bez względu na to, jak wiele obiekcji przedstawiał Dessiemu, przyrodni brat najwyraźniej zadowolony był z pomysłu przyjęcia na swoją cześć i Francey - który nadal uważał pomysł George'a za idiotyczny - zmuszony był obiecać, że przedyskutuje z ojcem ten projekt.

Wróciwszy do domu, obaj udali się do swych imponujących pokoi, aby odpocząć przed obiadem; kiedy Francey zajrzał do Dessiego jakiś czas później, ten spał smacznie.

Obiad podano o siódmej, lecz nie było na nim Tommy'ego ani jego niani, którzy, choć już przyjechali, zjedli wcześniej i udali się na spoczynek. Teraz, mniej więcej w połowie posiłku, George siedział na swym ulubionym miejscu u szczytu stołu niczym patriarcha rodu, którym był w istocie, i w ciszy, panującej podczas całego obiadu, z niepokojem przyglądał się twarzom swych trzech synów. Colin i Fleur od początku zachowywali się zwyczajnie, to znaczy on był rozgadany i starał się zrobić na wszystkich dobre wrażenie, a ona pozostała pasyw-

na. Francey, który dzielił swoją uwagę między pożądanie w stosunku do Fleur a opiekuńczość wobec Dessiego, był tak zdenerwowany, że ledwie jadł.

Za oknami jadalni puszysta kołdra śniegu stwardniała pod wpływem mrozu, który nadszedł wraz z nocą, i lśniła w promieniach światła dochodzących z rozjaśnionego lampionami jeziora na trawniku. Francey przyglądał się temu majestatycznemu obrazowi, podczas gdy brzęk sztućców o talerze, szelest sukienki służącej i ciągle bulgotanie i chlupotanie wody podkreślały pełną napięcia ciszę panującą w pokoju. Siedząc obok przyrodniego brata, pomyślał, że jak na ironię Dessie jest jedyną osobą w tym pokoju, która niczego nie udaje.

Przez cały czas pełen był podziwu dla zmiany, jaka zaszła w zachowaniu chłopca. Brat był bardziej ożywiony niż kiedykolwiek wcześniej, dzięki czemu jego chudość mniej rzucała się w oczy. Ponieważ wcześniej Francey powiedział mu, by naśladował jego ruchy przy posługiwaniu się sztućcami i kieliszkami oraz jadł z zamkniętymi ustami, Dessie siedział wyprostowany sztywno niczym dziecko, starające się zachować najlepiej, jak potrafi, i odzywał się tylko wtedy, gdy ktoś zadał mu pytanie. Odpowiadał jednak na uprzejme acz bezosobowe pytania Colina i ojca z niezwykłym wprost ożywieniem. Raz nawet podał wino współbiednikowi, rzuciwszy wcześniej tylko jedno spłoszone spojrzenie na starszego brata. Francey doszedł do wniosku, że główna różnica w zachowaniu Dessiego polegała na tym, iż brat po raz pierwszy w życiu usiłował się dopasować do rodziny.

Jedynym większym *faux pas* były papierosy: żadne z nich nie paliło przy obiedzie, lecz nawet między kolejnymi kęsami Dessie z upodobaniem zaciągał się swymi woodbine'ami i mimo że pokój był wysoki i przestronny, powietrze zasnuło się dymem, chociaż George cztery razy kazał opróżnić popielniczkę Dessiego i przynosić świeżą.

Kiedy cisza dała się już wszystkim we znaki, Francey zrozumiał, że teraz nadeszła chyba jego kolej, by coś powiedzieć, więc rozpaczliwie zaczął męczyć niechętny do współpracy umysł. Po raz kolejny zauważył, że Fleur praktycznie nie ma na sobie żadnej biżuterii oprócz maleńkich diamentowych kolczyków, który lśniły za każdym razem, kiedy poruszała głowę; przypomniał sobie, że nie dała mu znać, czy otrzymała broszkę. Jeśli nie, będzie musiał poważnie porozmawiać z recepcjonistą w hotelu.

- Masz prześliczną suknię, Fleur - odezwał się wreszcie.

Nawet jeśli to nie ona nosiłaby ów strój, suknia sama z siebie była imponująca; grubo haftowana srebrną nicią, bez rękawów, z wysokim, rozciętym kołnierzykiem, otaczającym szczupłą szyję Fleur, podkreślała delikatność jej ciała. Odpowiedzi udzieliła mu jednak nie ona, lecz

Colin, który poinformował Franceya, że to oryginalny *cheong-sam*, który kupił dla żony w Hongkongu. Rozmowa znowu utknęła w martwym punkcie.

- Fleur opowiadała mi, że wpadłeś z prezentem dla Tommy'ego. To bardzo miłe z twojej strony, Francey.

Ten aż się wzdrygnął i spojrzał ostro na starszego brata, lecz nie dostrzegł w słowach Colina żadnego podtekstu, tylko próbę ponownego podjęcia rozmowy.

- To nic takiego - wymamrotał. - Po prostu byłem w mieście.

Nie odważył się od razu zerknąć na Fleur, lecz kiedy wreszcie na nią spojrzał, wyglądała na opanowaną jak zawsze.

- Czy Francey mówił ci, że proponowałem wydanie przyjęcia na twoją cześć, Desmondzie? - spytał George po przerwie, podczas której podano deser.

- Tak. - Chłopak pokiwał energicznie głową.

Ojciec czekał na rozwinięcie tematu, lecz Dessie znowu zaciągnął się papierosem i podniósł do ust pełną łyżeczkę lodów.

- I co on na to? - odezwał się George do Franceya. - Czy przemyślałeś sprawę? - Skupił wzrok na podnoszeniu łyżeczki, nie patrząc synowi w oczy.

- Jeszcze nie przemyślałem sprawy - odrzekł młodzieniec niezobowiązująco. - Nadal uważam, że to nieco za wcześnie.

- Cóż za wspaniały pomysł, tato - wtrącił Colin. - Małe wieczorne przyjęcie, tak? - Po raz pierwszy tego wieczora zwrócił się do żony: - Fleur, znasz jakichś dobrych organizatorów, nieprawdaż?

- Oczywiście. - Nie wydawała się jednak zainteresowana całą sprawą w takim stopniu jak George i Colin, którzy wreszcie znaleźli bezpieczny temat do rozmowy.

Nagle olśniło ich, że zbliża się Dzień Świętego Walentego.

- I co powiesz, Dessie? - George był wniebowzięty. - To najlepszy powód, o jakim słyszałem, żeby wydać przyjęcie, a przy okazji ten dzień przeniesie uwagę gości z ciebie na zakochanych. Ty sam i my wszyscy będziemy wiedzieć, że to przyjęcie wydane dla ciebie, lecz jednocześnie będziemy się mogli odprężyć i świetnie bawić.

- Jesteś pewien, że właśnie tego chcesz, stary? - wtrącił się do rozmowy Francey, zdęgowany, że pomysł nabrał takiego rozmachu.

- Jasne. - Dessie uśmiechnął się do niego z naiwnym zaufaniem. - Uważam, że to świetny pomysł. Nigdy dotąd nie byłem na przyjęciu.

- Możecie zostać tu do tego czasu - zaproponował George. - Chyba że wolicie wrócić do Irlandii i przyjechać tu tylko na zabawę?

Francey widział wyraźnie, którą opcję wybrałby ojciec, gdyby tylko mógł, i postanowił trochę go podręczyć.

- Zobaczymy.

Później tego wieczora, kiedy Dessie spał już spokojnie w swoim pokoju, młodzieniec nerwowo przechadzał się po sypialni i to wcale nie dlatego, że nadal miał wątpliwości co do przyjęcia. Wiedział, jak trudno będzie mu mieszkać pod jednym dachem z Fleur i nie móc porozmawiać z nią na osobności, lecz wmówił sobie, że takie widywanie jej jest lepsze niż niewidywanie jej wcale. A jednak okazało się, iż nie miał racji. Spoglądanie na nią przez stół lub patrzenie, jak siedzi w salonie, zawsze w towarzystwie męża, było dlań ogromnie przygnębiające i doprowadzało go do rozpacz. Może to przyjęcie przyniesie mu ulgę: z pewnością, jeśli wokół będą inni goście, Francey znajdzie sposób, by porozmawiać z Fleur, może nawet na osobności?

Jednakże najbardziej frustrujące i jednocześnie nieoczekiwane było to, że patrzyła nań, jak gdyby go nie poznając. Od czasu do czasu podczas obiadu Franceyowi udało się przechwycić jej spojrzenie, raz nawet przez kilka sekund spoglądał jej w oczy, gdy zadał pytanie o Tommiego, lecz nawet wtedy otrzymał niezobowiązującą odpowiedź wygłoszoną ze wzrokiem utkwionym w talerz. Młodzieniec po prostu nie mógł tego zrozumieć: przygotowując się do obiadu, wyobrażał sobie zażenowanie pokryte chłodem lub udawaną niechęcią, lecz owo bezbarwne zachowanie zupełnie go zaskoczyło. Zaczął wręcz wątpić w realność tego, co razem przeżyli. Musiał porozmawiać z Fleur i to pilnie.

Dopiero późnym rankiem następnego dnia udało mu się znaleźć ją samą.

Zostawił Dessiego przy koniach pod opieką chłopców stajennych i właśnie pił kawę, usiłując skoncentrować się na maleńkim druku „Daily Telegraph”, kiedy do jadalni weszła bratowa z Tommym i nianią chłopca.

Francey poderwał się na równe nogi.

- Powiem w kuchni, że przyszlście na śniadanie. Czy Colin także schodzi?

Fleur wyjaśniła mu, że Colin zjadł śniadanie wcześniej i teraz zamknął się w gabinecie ojca przy telefonie; potem dodała, że mniej więcej za godzinę zamierzają wracać do Londynu.

- I nie musisz iść do kuchni - dodała, potrząsając małym dzwoneczkiem, którego Francey wcześniej nie zauważył. - Zazwyczaj w tym domu jest ciepło - zauważyła, pocierając dłonie. -

Nawet w zimie nie trzeba się tu grubo ubierać. To pierwszy raz, gdy w Inveraray zrobiło się mi zimno.

- Czy mam powiedzieć służącym, by zwiększyli temperaturę? - Francey, który uważał, że w domu jest równie gorąco jak w oranżerii Ogrodu Botanicznego w Dublinie, zerwał się, jakby miał wyjść.

- Nie zwracaj sobie głowy. - Fleur wzruszyła ramionami. - Już ci mówiłam, że wkrótce wyjeżdżamy. - Później zasygnalizowała coś Tommy'emu, który truchcikiem wybiegł z pokoju.

Odwróciwszy się z powrotem do Franceya, przedstawiła mu nianię, wysoką, bladą dziewczynę nieco powyżej dwudziestki. Zaskoczyło to młodzieńca, gdyż nigdy nie wyobrażał sobie, że niania może być w jego wieku: w książkach zawsze były stare, okrągłutkie i pochodziły ze Szkocji. Ponieważ Tommy jeszcze nie wrócił, postanowił spróbować.

- Czy mógłbym zamienić z tobą parę słów, Fleur?

- Oczywiście. - Podeszła do stołu. - Usiądźmy, widzę, że znowu pada śnieg. - Usiadłszy na krześle, wpatrywała się w wirujące białe płatki.

- Chodzi mi o... prywatną rozmowę. - Uśmiechnął się do niani, by dać jej do zrozumienia, że nie ma nic przeciw niej osobiście. - Takie tam rodzinne sprawy.

- Naturalnie. - Dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi. - Pójdę i upewnię się, że Tommy wziął dla pani odpowiedni sweter, pani Mannering. - I wyszła pośpiesznie z jadalni.

- Och, Fleur! - Francey przemierzył trzema krokami dzielący ich dystans i usiadł naprzeciw niej. - Myślałem, że już nigdy nie uda mi się porozmawiać z tobą w cztery oczy... - Jednak widząc jej obojętną minę, zawahał się chwilę. - Tak strasznie chciałem z tobą porozmawiać... - Musiał znowu przerwać, gdyż do pokoju weszła służąca z dzbankiem świeżej kawy, stosem grzanek i srebrnym imbrykiem do herbaty.

Fleur, która równie dobrze mogłaby siedzieć w herbaciarni Harrodsa w towarzystwie starej ciotki, zamówiła płatki śniadaniowe dla synka i powiedziała dziewczynie, że wraz z nianią zadowolą się tym, co stoi na paterach na kredensie. Francey nie dbał o to, czy służąca coś zauważy i wpatrywał się we Fleur z dziką namiętnością. Tego ranka włosy miała zaczesane do tyłu i ozdobione opaską w stylu Alicji z Krainy Czarów, a zamiast dzinsów i podkoszulka, które pamiętał z tamtego popołudnia w jej mieszkaniu, nosiła bawełnianą wzorzystą bluzeczkę. Służąca obejrzała jeszcze jedzenie na kredensie i wyszła.

- Proszę, Fleur - błagał - nie mamy wiele czasu, zaraz ktoś nam przerwie. Musisz powiedzieć, kiedy znów możemy się zobaczyć.

- Dziękuję za prezent - odrzekła. - Jest czarujący.

- Naprawdę ci się spodobał? - spytał wytrącony z równowagi Francey. Poczuł, że traci nagle grunt pod nogami; nie tak wyobrażał sobie ich rozmowę i w tej chwili miał w nosie uprzejmości.

- Bardzo mi się podobał, taki mały i delikatny. - Nie powiedziała nic więcej, tylko nałala sobie herbatę.

- Nie byłem pewien, czy ci się spodoba. - Francey się zawahał. - Zdaje mi się, że nie lubisz zbytnio biżuterii.

Fleur dotknęła kolczyka; te same miała na sobie poprzedniego wieczora.

- Uwielbiam biżuterię.

Wydawało mu się, że słyszy za drzwiami dyskretne kasznięcie niani i przerwał Fleur błagalnym tonem:

- Szybko, powiedz, kiedy?

Ale ona się nie śpieszyła i spoglądała nań przez dłuższą chwilę.

- Wstąp do mnie, gdy będziesz w Londynie - powiedziała w końcu cicho, gdy strach Franceya, że niania wejdzie do pokoju, był już nieomal ponad jego siły. - Któregokolwiek dnia, po poniedziałkowym lunchu.

- Przepraszam bardzo. - Niania stała w drzwiach. - Czy państwo skończyli?

- Wejdz. - Fleur skinęła na dziewczynę, a później zwróciła się do synka, poruszając jednocześnie palcami: - Chodź, kochanie i bardzo ci dziękuję. - Uśmiechając się do Franceya i biorąc sweter z rąk Tommy'ego, wydawała się niewiele starsza od chłopca.

Hazel wytrzymała do soboty wieczorem, po czym zadzwoniła do Inveraray.

- I jak ci leci, słoneczko? - spytała, kiedy Francey podszedł do telefonu.

- Wspaniale! - Ku jej zaskoczeniu, młodzieniec był w całkowitej euforii, a głos mu się podnosił i opadał z podniecenia. - Wszystko jest jak najbardziej cudowne!

- Prr! - zmytygowała go Hazel. - A cóż się wydarzyło, że życie nagle stało się takie boskie? Ostatnim razem...

- Wszystko, Hazel, dokładnie wszystko się zmieniło. - Tak się śpieszył, by jej to opowiedzieć, że omal się nie jąkał. - Dessie czuje się świetnie, uwielbia tutejsze konie i zaczyna powoli wylazić ze skorupy, tak że nawet mogę od czasu do czasu zostawić go samego...

- Cieszę się, że wreszcie wszystko zaczyna ci grać, młody człowieku. Ostatnim razem byłeś strasznie smutny i prawie zaczęłam się o ciebie martwić. - Później napięła wszystkie

mięśnie i spytała lekko: - No i co dalej? Powiedz, co jeszcze słyhać?

- Nooo...

- Tak?

- Oczywiście Fleur także tu jest. - Francey zniżył głos.

- Oczywiście - wtrąciła Hazel. - I co słyhać na tym froncie? - Zmusiła się do śmiechu. - Przecież możesz wszystko opowiedzieć swojej cioci Hazel!

- Och, właściwie to niewiele! - Ale w jego głosie usłyszała radość.

- Rozumiem. - Robiła, co w jej mocy, by mu dorównać. - Więc uważaj na siebie, robaczku, bo jeśli naprawdę dzieje się niewiele i tak gadasz, to gdy naprawdę coś się zacznie dziać, wylecisz na orbitę... A tak przy okazji... - kontynuowała wystudiowanie spokojnym tonem - chciałam zapytać, czy rozmawiałeś z Dessiem o tym przyjęciu?

- Taak - odrzekł. - I nie uwierzysz, ale miałaś rację, Hazel. Powinnaś zostać psychiatrą! On nie ma zupełnie nic przeciw temu!

- A nie mówiłam - Hazel uśmiechnęła się do siebie - jak na razie idzie dobrze. - Później jednak opanowała radość z obawy, by Francey nie wyczuł triumfu w jej głosie. - Więc kiedy ma się odbyć ta uroczystość?

Gdy opowiadał o przygotowaniach i liście gości, słuchała go tylko jednym uchem i gorączkowo szukała kalendarza, który zawsze trzymała przy telefonie. Jest. Gdzie ta cholerna stroniczka?

- Mów dalej - zachęciła. Chwilę później przekonała się, że los jej sprzyja. High Rollersi mieli grać z okazji Walentynek na prywatnej zabawie; sobotę, dzień przyjęcia, mieli wolną, a w niedzielę - w Irlandii zawsze najlepsze potańcówki urządzano w niedziele - występowali w Kildare, nie tak daleko od Dublina. Gdyby poleciała samolotem, nie byłoby żadnego problemu z dotarciem tam na czas. - To wspaniale - powiedziała, gdy Francey urwał, by nabrać tchu. - Jesteś pewien, że Dessie da sobie radę?

- Zaczynam wierzyć, że tak.

- A kto tobie pomoże? - Hazel znowu napięła mięśnie; oto jedyna okazja, jaką będzie miała.

- Nie rozumiem?

Hazel pewnie by się roześmiała, gdyby cała sprawa nie była taka ważna.

- Chodzi mi o to, słoneczko - wyjaśniła żywo - kto tobie udzieli moralnego wsparcia?

- No, cóż... - Francey wydawał się zbity z tropu. - Reszta rodziny, jak mi się zdaje.

- Jeśli ci to wystarczy... - odrzekła. - Zastanawiam się, czy nie powinieneś zaprosić kogoś z własnej rodziny?

- Dziewczęta nie przyjechałyby taki szmat drogi tylko na przyjęcie, Hazel. Poza tym, są w żałobie - zauważył.

- Przykro mi. - Udała, że się waha. - Hej! Właśnie coś mi przyszło do głowy! W sobotę wieczorem jestem wolna, więc może chciałbyś, żebym przyjechała? W końcu teraz jestem już prawie jak rodzina.

- No, cóż...

Ale Hazel nie dała mu się zastanowić.

- Tak czy inaczej, w ciągu najbliższych kilku tygodni muszę się wybrać do Londynu. Ja też mam dobre nowiny, Francey. Pewien agent chce się ze mną spotkać. Zamierzałam to załatwić w ciągu naszego tournée w okresie Wielkiego Postu, ale można przecież upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

W czasie postu wszystkie kluby taneczne były pozamykane, z wyjątkiem Dnia Świętego Patryka, i większość zespołów wyruszała wtedy w trasy koncertowe po Anglii.

- Ja też jadę jutro do Londynu - powiedział Francey powoli. - Aby spotkać się z... - Urwał, po czym dodał: - Rozumiesz? Zostałem zaproszony, Hazel!

Hazel, która doskonale rozumiała, o co chodzi, opanowała swą reakcję.

- To cudownie, Francey - odrzekła. - Trudno za tobą nadążyć. Pamiętaj tylko, by dać mi znać, jak się sprawa zakończyła.

- Oczywiście, przecież jesteś moją najlepszą przyjaciółką. I tylko ty wiesz o wszystkim - odpowiedział Francey łagodnym tonem. - Więc jeśli chcesz przyjechać na przyjęcie, pamiętaj, żeby nikomu nie pisać ani słowa, dobrze?

Chociaż Hazel doskonale wiedziała, że sama nie jest święta, zazdrość zżerała ją w środku; obiecała jednak, że jeśli wszystko dobrze się ułoży i przyjedzie na przyjęcie, nikomu nic nie powie.

Tylko jedną szansę, powtarzała sobie w myślach, daj mi tylko jedną szansę. Pomyślała, że zdobyła nad tą siostrą syjamską przynajmniej jedną przewagę: nie ma już męża.

Rozdział piętnasty

Przed spotkaniem z Fleur w jej mieszkaniu w poniedziałkowe popołudnie, Francey poszedł na zakupy. Kupił przeogromny bukiet kwiatów, których nawet nie potrafił nazwać, oraz - choć Tommy był w szkole i z pewnością się nie zobaczą - parkę niezwykle kolorowych, egzotycznych rybek, jedzenie dla nich, zwirek, roślinki i akwarium. Taksówką pojechał do sklepu jubilera, w którym zaopatrywał się w prezenty przed Gwiazdką, zostawił wszystko na tylnym siedzeniu samochodu i kazał poczekać kierowcy, mówiąc, że nie zabawi długo. Ku radości młodzieńca diamentowy zegarek nadal leżał na wystawie, lecz gdy Francey zapłacił za niego pierwszym czekiem, jaki w życiu wystawił, nie zauważał już uśmiechów, które sprawiały mu taką radość zaledwie miesiąc wcześniej. Miał wrażenie, że Fleur bardzo się ucieszyła z podarunku.

- Dziękuję ci - powiedziała i pozwoliła mu zapiąć zegarek na swym delikatnym nadgarstku, z którego zwisał co najmniej o dwa centymetry za luzno.

- Wezmę go z powrotem do sklepu i każę zwięzić bransoletkę - zaproponował skwapliwie, lecz odmówiła, zapewniając, że sama sobie z tym poradzi. Chwilę później zadzwoniła po herbatę.

- Ale ja nie mam ochoty na herbatę.

- Och, a ja owszem. - Fleur odsuwała się od niego, gdy usiłował wziąć ją w ramiona. - Nie uważasz, że to bardzo cywilizowany zwyczaj?

Francey doszedł do wniosku, że skoro go tu zaprosiła, to ona także musi go pragnąć, a to niezrozumiałe zachowanie spowodowane jest jej orientalnym pochodzeniem. Była zadziwiająco chłodna i opanowana jak na kogoś, kto już wkrótce zamierza uprawiać seks. On sam, z drugiej strony, ledwie zdołał zebrać w sobie wystarczająco dużo sił, by siedzieć spokojnie; udało mu się nawet uśmiechnąć do służącej, która przyniosła herbatę - tej samej, co poprzednio - dziewczyna odwzajemniła jego uśmiech i ukloniła się lekko na znak, że także go rozpoznaje.

Podczas tych piętnastu czy dwudziestu minut, które wystarczyły do zjedzenia eleganckiego podwieczorku, którego Francey nie chciał ani nie mógł rozpoznać smakowo, usiłował zachowywać się tak, jakby sytuacja była dlań normalna. Fleur miała włosy uczesane w gruby kok na czubku głowy i upięte za pomocą dwóch grzebieni, ubrana była w dżinsy, które zdawała się tak lubić i o których Francey myślał już jako o „swoich”, oraz zapinany na guziczki sweter z morelowej angory. Ku jego zaskoczeniu jej ciemne oczy na tle pastelowych kolorów wydawały

się jeszcze czarniejsze, a skóra gładza i znacznie piękniejsza. Wydawało mu się, że nie nosiła stanika. Wsunął następne ciastko do ust i nie czując jego smaku, już widział w myślach swoje dłonie sunące po gładkim sweterku, wślizgujące się pod niego i dotykające jej ciepłej skóry i twardych, małych piersi. Z każdą sekundą jego podniecenie rosło. Pomyślał, że musiałyby być ślepa, żeby tego nie zauważyć, a jednak nie dawała nic po sobie poznać.

Skończywszy wreszcie jeść, Fleur dotknęła ust serwetką, uśmiechnęła się do Franceya i wstała. Serce mu podskoczyło, kiedy zobaczył, że nie patrząc za siebie, poszła w stronę buduaru. Kiedy dotarł tam zaledwie trzydzieści sekund później, Fleur była już naga, poza diamentowym zegarkiem, który nadal zwisał jej z nadgarstka; stała plecami do drzwi i wyjmowała grzebienie z włosów. W przyciemnionym świetle, na tle tak kolorowego otoczenia, jej jasne ciało wydawało się zbyt delikatne, by ręce śmiertelnika mogły go dotknąć; przypominała figurę bogini stojącą na postumencie. Odwróciła się i uśmiechnęła do niego.

- A, jesteś już... Nie usłyszałam, jak wchodzisz.

Podeszła do niego; kiedy położyła mu dłoń na piersi, zegarek zamigotał w świetle stojącej nieopodal lampy.

- Musisz zdjąć garnitur.

- Dobrze - wyszeptał, a później, odzyskawszy pewność siebie, spytał: - Mogłabyś mi w tym pomóc?

Zsunęła z jego ramion marynarkę, znowu odwróciła się doń tyłem i złożyła ją tak, że podszewka znalazła się na wierzchu; zupełnie się nie śpieszyła. Kiedy położyła ubranie na oparciu szeszlona, Francey zauważył, że pochyliła się niżej, niż było to konieczne, by lepiej zobaczyć kształt jej pośladków. Przyjąwszy to zaproszenie, podszedł do niej i objął ją od tyłu; jedną rękę położył na jej piersiach, a drugą powędrował w dół. Fleur odchyliła się do tyłu i zamarła w bezruchu.

Odwrócił ją i podniósł. Spoczywała nieruchomo w jego ramionach z przymkniętymi oczyma i odrzuconą do tyłu głową, tak by dokładnie widział jej ciało. Ważyła tyle co dziecko. Francey słyszał krew huczącą mu w skroniach; usiadł na brzegu łóżka i zaczął pieścić Fleur: unosił jej włosy, całował szyję, delikatnie gryzł w ramię. Szeptał czule słowa do jej ucha i całował miękkie miejsca tuż poniżej linii brody; powtarzał, jak bardzo ją kocha, kocha, kocha...

Fleur otworzyła oczy.

- Chcę ci sprawić rozkosz - odezwała się cicho.

- Kochaj mnie, Fleur. - Głos miał ochrypły.

- Oczywiście. - Ześlizgnęła się z kolan Franceya, lecz gdy znowu po nią sięgnął, przechwyciła jego dłoń i popatrzyła nań z rozbawieniem. - Wolisz zostać w ubraniu? Nie chcesz go zdjąć? - Sięgnęła do paska jego spodni. - Na co miałbyś ochotę? Musisz mi powiedzieć.

Jakimś cudem Francey zachował resztki samokontroli. Postanowił, że tym razem to nie on będzie stroną pasywną, nie on będzie otrzymywał pieszczoty. Zbyt wiele myślał i fantazjował na temat tego spotkania, by pozwolić na coś podobnego.

- Nie. - Uwięził jej małe rączki w swych dłoniach. - Ten raz będzie dla ciebie. Tym razem to moja kolej sprawić ci rozkosz, Fleur. Tym razem to ty mi powiedz, na co masz ochotę.

- Chcę dać ci rozkosz. - Usiadła mu z powrotem na kolanach i oswobodziwszy rękę z uścisku, powiodła nią w kierunku jego krocza.

Jęknął, gdy przekonał się, że jakimś cudem ma rozpięte spodnie, a jej ręka znajduje się już w środku. Całował piersi Fleur.

- Nie - błagał. - Proszę, nie. Chcę, żeby tym razem...

Ale wkrótce stracił oddech i nie mógł wykrztusić z siebie już nic więcej, gdyż Fleur rozpinęła mu pasek u spodni jedną ręką, a ustami wodziła po jego brzuchu, kreśląc jednocześnie językiem dziwne znaki... Nadludzkim wysiłkiem oderwał ją od siebie i położył na łóżku.

- Chcesz wiedzieć, na co mam ochotę? - spytał, ściągając krawat i koszulę. - Chcę się z tobą kochać lepiej niż ktokolwiek inny. - Jej oczy pozostały nieporuszone, kiedy wyciągnięta na kołdrze obserwowała, jak Francey zdiera z siebie ubranie.

Przez następne dziesięć czy piętnaście minut była pełnym dobrej woli konspiratorem w akcji udawania, że to on sprawia jej rozkosz; przypomniawszy sobie niektóre pouczenia Hazel i zobaczywszy, że Fleur chętnie poddaje się jego pieszczotom, Francey stał się coraz odważniejszy i bardziej namiętny. Fleur jęczała i od czasu do czasu wykrzykiwała słowa zachęty, drżąc i wijąc się pod jego palcami, wargami i językiem. Zdawało się, że wszystko jej odpowiada, nawet pieszczoty najbardziej intymnych miejsc. Kiedy jednak eksperymentował z jej ciałem: „Dobrze tak? Podoba ci się?” - widoki, dźwięki i odczucia przeszły granice jego wytrzymałości i nie mógł się już dłużej powstrzymać. Drżąc z podniecenia, przetoczył się na plecy i pociągnął ją na siebie. Usłyszał jej krzyk, gdy nadziała się na niego i w ciągu kilku sekund szczytował.

Kilka minut później, gdy się rozdzielili, Fleur uczyniła ruch, jakby chciała zejść z łóżka; przytrzymał ją ramieniem.

- Nie odchodź jeszcze. Po co ten pośpiech?

- Nie ma żadnego pośpiechu. - Położyła się obok niego, lecz już wyczuł, że wątpiła nieć

porozumienia między nimi pękła.

- Naprawdę ci się podobało? - spytał, unosząc się na łokciu i patrząc jej w twarz.

- Tak. - Miała poważną minę. - Chyba to wiesz.

- Ale nie miałaś orgazmu.

- Nie. - Ta szczerą odpowiedź wcale go nie zaskoczyła; zaczynał się przyzwyczajać do bezpośredniości Fleur.

- Co zrobiłem nie tak?

- Ja po prostu nie miewam orgazmów - odparła spokojnie.

Jednak Francey zwrócił uwagę na dobór słów: nie powiedziała, że nie może mieć orgazmu.

- Czy mogę spróbować jeszcze raz? - poprosił. - Obiecuję, że tym razem nie będę tak się śpieszył.

- Następnym razem. - Fleur leżała w bezruchu, co dawało mu wiele możliwości, a jednocześnie żadną.

Postanowił, że nie będzie jej do niczego zmuszać i tylko uczeplił się nadziei związanej z jej obietnicą. Seksualne zaspokojenie sprawiło, że nabrał odwagi.

- Chcę wiedzieć o tobie wszystko, Fleur. - Jednym palcem pogładził jej policzek. - Dokładnie wszystko. Czasem, kiedy się kochamy, mam wrażenie, że znam cię bardzo dobrze, ale już chwilę później odsuwasz się ode mnie. Tak jak teraz. Czuję, że jestem z tobą bardzo blisko, lecz jednocześnie mam wrażenie, że myślami znajdujesz się gdzieś bardzo daleko.

Przymknęła oczy i to, wraz z jej bezruchem zdenerwowało Franceya. Cofnął dłoń.

- Czy chodzi o Colina? Martwisz się, bo robimy to za jego plecami?

- Zdawało mi się, że już ci mówiłam, iż Colin i ja właściwie prowadzimy oddzielne życie.

Francey usłyszał w głowie dzwonek ostrzegawczy. Oddzielne życie? Czy to znaczy, że każde z nich miało prawo do własnych romansów - czy często robiła takie rzeczy?

- To znaczy, że ja nie jestem pierwszy, czy tak? - Odsunął się nieco, lecz usłyszawszy nutę zazdrości w swym głosie, pożałował wybuchu. Wziął ją za ramię. - Przepraszam, to było głupie. Zapomnij o wszystkim. Chodzi po prostu o to... - Nie wiedział, jak to dokończyć, więc tylko ją uściśnął.

Pozwoliła mu na to, lecz wreszcie jej pasywność go zwyciężyła. Dopiero wtedy Fleur otworzyła oczy.

- Tak wiele pytań - szepnęła.

- Przepraszam - powtórzył przerażony, że może już przekroczył granice, które ustanowiła dla chronienia swej prywatności. Nie mógłby znieść tego, że sam ją do siebie zniechęcił; w tej chwili gotów był zaakceptować wszystkie niedopowiedzenia i dziwaczne warunki, jakie narzuciła ich znajomości. Wypuszczając ją z objęć, uśmiechnął się krzywo. - Postaram się pamiętać i w przyszłości trzymać buzię na kłódkę. Żadnych pytań. Po prostu będziemy się cieszyć sobą, kiedy tylko nadarzy się po temu okazja. Zgoda? Czy przynajmniej zegarek ci się podoba? - Wiedział, że odpowiedź na to pytanie ma ogromne znaczenie.

- Uważam, że jest bardzo piękny. - Zsunęła go z dłoni, nie otwierając zatrasku i położyła na poduszce między nimi. - Będę go trzymać na specjalne okazje. - Wstała z łóżka i, podobnie jak poprzednim razem, podeszła do szafy, żeby włożyć kimono. Później wróciła do niego i otarła mu czoło zwilżonym ręcznikiem. - Kochany Francey - powiedziała cicho. - Jesteś wyjątkowo hojnym i dobrym chłopcem.

- Kocham cię, Fleur. - Przymknął oczy, by stłumić dziwny ból, który poczuł, gdy wymówiła jego imię z taką sympatią. Nie potrafił już dłużej grać. - Nic mnie nie obchodzi, że jesteś mężatką. Nic mnie nie obchodzi, kocham cię i będę kochać aż do śmierci.

Fleur pocałowała go w usta.

- Mamy mało czasu dla siebie, lecz dobrze go wykorzystajmy. Myśl o tym, co dobre.

Później wymknęła mu się i podeszła do drzwi.

W odróżnieniu od poprzedniego razu Francey zebrał siły zarówno psychiczne, jak i fizyczne w parę chwil. Podejrzewał, że ma to coś wspólnego z długością ich zbliżenia: przysiągł sobie, że następnym razem wykaże się większą samokontrolą.

Myjąc się, pomyślał, że zdobycie Fleur Mannering nie będzie zbyt proste i przekonał się znowu, że nie zależy mu na niczym pośrednim: nie spocznie, póki ta kobieta nie będzie tylko jego. Zostawiwszy sprawę moralności na boku - niestety w głębi serca Francey nie był przekonany, czy mu się to uda - jakich środków będzie musiał użyć? Czegoś więcej niż seks, tego był pewien. Albo przynajmniej czegoś więcej niż seks, który mógł jej w tej chwili zaoferować. Wróciwszy myślami do ich stosunku sprzed kilku chwil, doszedł do wniosku, że choć na wiele sposobów było mu cudownie, to jednak nie czuje absolutnego spełnienia, gdyż co innego chciał osiągnąć. Chciał, by Fleur krzyczała jak niegdyś Hazel.

Dlaczego mu się nie powiodło? Sądził, że podobało jej się to, co robił, a jednak gdzieś na dnie umysłu miał podejrzenie, że Fleur mu się nie poddała i ani na chwilę nie straciła panowa-

nia nad sobą. Przypominała *mála*, nieskończenie plastyczną substancję, którą bawił się wraz z kolegami w szkole. *Mála* mogła przyjmować każdy kształt, każdy wygląd, lecz właśnie dlatego zabawa nią nie była satysfakcjonująca. Inne dziecko mogło podejść i ścisnąwszy efekt wielu godzin twojej uważnej pracy, nadać mu zupełnie inną postać.

Spojrzał na swoje odbicie w jasno oświetlonym lustrze.

- Obudź się, Francey - szepnął. - Przestań filozofować i zdecyduj w końcu, jak zdobyć to, na czym ci zależy.

Zbierając ubranie porozrzucone na podłodze, dostrzegł błysk światła w zegarku i podniósłszy go, zważył w dłoni.

Była nim zachwycona. Podejrzewał, że ludzie wychowani w biedzie łakną materialnego dobrobytu. Wcześniej widywał biedotę mieszkającą w nędznych chatkach na Béara albo w slumsach Dublina, lecz nigdy nie zetknął się z czymś tak koszmarnym, jak wspomnienia tej kobiety z dzieciństwa spędzonego w papierowej chatce nad brzegiem rzeki w Bangkoku.

Nic dziwnego, że Fleur miała tak złożoną osobowość. Każdego, komu udało się wyrwać z tak strasznej biedy i zamieszkać w świecie nie tylko Colina Manneringa, ale także George'a Gallahera i Jool wraz z ich fantastyczną wiejską posiadłością, owa nagłość zmian mogła zwalić z nóg. Nic dziwnego, że jest tak niepewna i skryta. Postawiwszy siebie w jej sytuacji, Francey zrozumiał, że Fleur musi się obawiać nagłego wtrącenia z powrotem w ubóstwo. Doszedł do wniosku, że jeśli tylko uda mu się ją zdobyć, uczyni wszystko, co w jego mocy, by zapewnić jej dobrobyt. Raz jeszcze podziękował za tę możliwość losowi i Jool Dill Smith Gallaher. Zanim jednak wszedł z powrotem do salonu, przez kilka chwil zastanawiał się, co ma powiedzieć Fleur. Zbyt wiele razy zdarzyło mu się w przeszłości popaść w tarapaty, kiedy palnął coś bez wcześniejszego zastanowienia. Jednego był pewien: nie zdoła przełamać jej rezerwy zwyczajnymi metodami.

Stała przy oknie i spoglądała przez szparę w zasłonach na wieczorne niebo.

- Chyba zaraz znowu zacznie padać śnieg - odezwała się, nie patrząc w jego stronę. - Jakże bym chciała, żeby już było lato.

- Wkrótce nadejdzie - odrzekł Francey. - Poza tym, nie chcę, żeby lato nastąpiło przed naszym kolejnym spotkaniem. - To sprawiło, że odwróciła się ku niemu, lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, uniósł dłoń i stał jak skała w drzwiach buduaru. - Nie mów mi tylko, że powinniśmy zostawić przyszłość w rękach losu - dodał. - Ani nic równie bezsensownego. Muszę się znowu z tobą spotkać. Nie dam się zbyć, Fleur, więc równie dobrze możesz mi to przyrzec już

teraz. Nawet jeśli miałyby to nastąpić dopiero za miesiąc, muszę znać konkretny dzień, bym miał czego oczekiwać... inaczej oszaleję. A chyba nie chciałabyś mieć na karku wariata? Szalejącego, nieobliczalnego, psującego ci stosunki z sąsiadami? - Uśmiechnął się do niej najbardziej szalonym, pewnym siebie uśmiechem, jaki zdołał zaprezentować. Później podszedł bliżej. - Zapomniałaś o swoim nowym zegarku - zauważył, unosząc go. - Daj mi rączkę.

Podawała mu dłoń; zapiąwszy na nadgarstku zegarek, Francey pocałował ją i puścił, zanim Fleur zdążyła zareagować, pozytywnie czy też negatywnie.

- I po kłopotcie - oznajmił wesoło. - Uwielbiam kupować ci prezenty. Kiedy masz urodziny, Fleur?

- Nie jestem pewna. - Lecz kiedy nalegał, wyznała, że prawdopodobnie urodziła się w listopadzie.

- W takim razie którego listopada je obchodzisz? - Francey starał się zachować lekki ton.

- Gdy tylko Colin jest w domu. - Powiedziała to tak, jak gdyby była zdumiona, że w ogóle pyta.

- Co sądzisz o rozwodzie? - Francey zmienił taktykę.

Fleur zastanowiła się chwilę, jak zawsze wobec nieoczekiwanego zagadnienia.

- Nie można żyć w kręgu kulturowym, gdzie praktykuje się rozwody, i nie zauważać ich dobrych i złych stron - stwierdziła wreszcie.

- A jak sądzisz, które przeważają?

- To zależy od indywidualnych okoliczności. - Wzruszyła ramionami, lecz Francey - który bacznie ją obserwował - zauważył drobną zmarszczkę wahania między jej oczyma.

Chodziło mu o lekkie wytrącenie jej z równowagi, co mu się udało. Mimo to podziwiał opanowanie Fleur: nie mógł sobie wyobrazić, by Hazel, jego matka czy siostry, czy jakakolwiek znana mu kobieta po takiej wymianie słów nie zapytały, o co właściwie mu chodzi.

- Wszystko jedno. - Pocałował ją najczulej, jak potrafił. - To nie temat na dzisiejszy dzień. Więc kiedy możemy znowu się spotkać?

Wytrzymała jego spojrzenie przez kilka sekund.

- Zadzwoń do mnie.

- Dzisiaj, jutro? - Zauważywszy, że posunął się za daleko, zwolnił tempo. - Może w przyszłym tygodniu? - poprawił się niepewnie; później jednak porzucił udawanie i wziął ją w ramiona. - Nawet nie wiesz, co złapałaś w sieci - powiedział ochryplym głosem. - Ostrzegam cię uczciwie.

- Jeśli zadzwonisz i mnie nie zastaniesz, spotkamy się na przyjęciu. Nie mogę się doczekać, kiedy znowu spotkam twojego nowego brata. - Odsunęła się w jego ramionach.

- Do widzenia, Fleur. - Puścił ją. - Zadzwonię za kilka dni.

Francey odetchnął, dopiero kiedy znalazł się na ulicy. Udało mu się zdobyć następny punkt: zaakceptowała kolejne spotkanie i przynajmniej wspomniał kwestię rozwodu. Wiedział, że jeszcze wiele wody upłynie, zanim dopnie swego i choć nadal miał wiele zastrzeżeń co do własnego postępowania, doszedł do wniosku, że takie myśli lepiej zostawić na później. Jak na razie nikogo nie skrzywdzili i miał nadzieję, że tak pozostanie.

Pograżona w myślach Fleur zadzwoniła na filipińską pokojówkę, by dziewczyna sprzątnęła po herbacie.

Francey wytrącił ją z równowagi niespodziewaną wzmianką o rozwodzie; jej plan nie zawierał takiej opcji. Zamierzała po cichu wynieść się z życia męża i nie chciała sprawiać ani jemu, ani komukolwiek innemu więcej problemów, niż to absolutnie konieczne. Aby oddać sprawiedliwość Colinowi, musiała przyznać, że jej niechęć do tego mężczyzny była czysto irracjonalna: z całą pewnością nie uczynił nic, aby zasłużyć na takie uczucie. Na swój własny sposób okazał się dobrym mężem i na początku małżeństwa, poznawszy historię jego życia, Fleur zadziwiła samą siebie, gdyż zaczęła mu współczuć. Chociaż pochodzili z zupełnie innych środowisk, byli wyjątkowo podobni do siebie: oboje reprezentowali typ samotnika, który wbrew niesprzyjającym okolicznościom wdrapał się na szczyt niechętnego mu świata. Podejrzewała, że jeszcze długo po tym, jak Colin i jego rodzina staną się zaledwie cieniami w jej myślach, będzie pamiętać jego wsparcie psychiczne, gdy zaledwie dwa miesiące po ich przybyciu do Anglii lekarze zdiagnozowali u Tommy'ego głuchotę.

W tej chwili Fleur przeszła do swego buduaru i zrobiła to, co robiła zawsze, gdy czuła się niepewnie: sprawdziła zawartość sejf. Oprócz nowego zegarka z diamentami miała tam dwa inne przedmioty przeznaczone do ewentualnego natychmiastowego sprzedania: antyczny rozpylacz perfum ze złota i weneckiego szkła oraz wcześniejszy podarunek od Franceya - dziwaczną broszkę ze złota, srebra i turkusów, przedstawiającą jakieś zwierzę, najprawdopodobniej kota. Przyniesiono ją do mieszkania w Kensington tuż przed Wigilią Bożego Narodzenia.

W odróżnieniu od zegarka, kotek niewiele był wart i nie śmiałyby zawracać nim głowy swemu przyjacielowi-jubilerowi; spoglądając teraz na broszkę, Fleur pomyślała, że przeliczyła się co do młodszego brata Colina.

Być może stało się tak dlatego, że był pierwszym Irlandczykiem, z którym miała do czynienia; w Bangkoku nie trafił jej się klient z Irlandii i choć niekiedy spotykała przybyszów z tego kraju na przyjęciach, żaden nigdy się z nią nie umówił. Ponieważ od czasu pracy w Liliowym Ogrodzie przyzwyczała się do szybkiej oceny ludzi i określania ich cech narodowych, przekonała się, że nie lubi Irlandczyków ani trochę bardziej niż Anglików: byli może trochę bardziej interesujący, mówili więcej niż ktokolwiek inny, znali całe mnóstwo dowcipów, lecz bardzo łatwo się upijali i wtedy zaczynali być wulgarni.

Aż do tego wieczora Francey przypominał jej wielkiego, niezdarnego szczeniaka bernardyna, pięknego, lecz naiwnego; a jednak wydawało jej się, że pod całą jego niezgrabnością wyczuwa solidną uczciwość, która - ze względu na nowość - intrygowała ją. Dopiero teraz przekonała się, że podczas ich wspólnej przechadzki w lesie i późniejszego obiadu niepotrzebnie opuściła gardę. Kiedy Francey nalegał i pytał, Fleur zdała sobie sprawę, że zrobiła się nieostrożna. Powiedziała mu zbyt wiele; on uderzał zbyt blisko. Poza tym okazało się, że nie miał dostatecznie dużo rozumu bądź doświadczenia, by wiedzieć, co wypada, a co nie. On był zakochany.

A wzmianka o rozwodzie wydawała się wyjątkowo niebezpieczna.

Lecz z drugiej strony, może Francey wyświadczył jej przysługę. Fleur zdała sobie sprawę z tego, że nie tylko zrobiła się nieostrożna, lecz jednocześnie zbyt chciwa. Kiedy dołożyła diamenty, które już zgromadziła, do pieniędzy i klejnotów zostawionych jej przez Jool, ma już więcej, niż zdoła wydać do końca życia. Być może nadszedł czas, by zaprzestać gromadzenia bogactw i zastanowić się nad wprowadzeniem w życie planu?

Wróciwszy do Inveraray z Londynu po spotkaniu z Fleur, Francey zastał Dessiego nieprzytomnego w salonie na podłodze obok kanapy, na której wałała się pusta butelka po whisky. Postanowił nie robić szumu wokół tej sprawy i po prostu zaniósł brata do łóżka.

Chłopak przespał niedyspozycję, lecz następnego ranka wydawał się nieco przestraszony.

- To się więcej nie powtórzy - powiedział do Franceya przy stole w nasłonecznionej jadalni. - Przepraszam.

- Czy to z powodu przyjęcia? Dlatego że się denerwujesz?

- Troszeczkę - mruknął Dessie, lecz później urwał. Po chwili przyznał: - Prawdę mówiąc, to wcale nie był powód. Nie chodziło o przyjęcie, tylko o to, że tam była whisky i ja tam byłem. Naprawdę nie mogę się doczekać przyjęcia, szczerze, Francey.

- A wszyscy ci ludzie? Całe to zamieszanie i to, że będą ci się przyglądać? Nie sądzisz,

że lepiej to trochę odłożyć? Na później? Dopóki nie poczujesz się lepiej? A może nie róbmy takiej wielkiej fety, tylko po prostu zaprośmy kilka osób na lunch?

- Naprawdę czuję się świetnie, Francey. Poza tym przecież ty też będziesz i ojciec. - Dessie patrzył na niego szeroko otwartymi, ufnymi oczyma.

To określenie w stosunku do George'a Gallahera wydało się Franceyowi tak zadziwiające i anachroniczne, że musiał ukryć uśmiech.

- Oczywiście, że będziemy tam z tobą. - Zajął się śniadaniem, aby brat nie pomyślał, że to z niego się śmieje.

- Poza tym, przecież wszyscy będą się przyglądać sobie nawzajem, nie tylko mnie.

Patrząc na niego przez stół, Francey musiał przyznać, że chyba przypisuje bratu własne obawy. Dessie był tak dziecinny, że najwyraźniej będzie się dobrze bawił na tym cholernym przyjęciu.

Ale nie zamierzał jeszcze się poddać.

- Jeśli chodzi o kwestię picia - zaczął. - Oczywiście na przyjęciu będzie całe mnóstwo alkoholu. Dasz sobie z tym radę?

- Obiecuję, Francey, obiecuję. Czy możemy teraz porozmawiać o czymś innym?

Był to pierwszy raz, kiedy Dessie przejął inicjatywę i okazał cię niezależności, co tak bardzo ucieszyło Franceya, że odpuścił mu kazanie o pijaństwie. Jednak wydarzenia poprzedniej nocy uświadomiły mu, że mimo postępów brata nie można zamykać oczu na jego problemy i nadal trzeba go pilnować.

Pozostała część tygodnia minęła bez zgrzytów, a porównując obecnego Dessiego z tym, którego wyłowiono z morza, Francey musiał przyznać, że zdrowie jego brata ogromnie się poprawiło; z dnia na dzień robił się silniejszy i bardziej pewny siebie. Młodzieniec pozwalał sobie nawet zostawiać go samego na coraz dłuższy czas. Praktycznie każdą wolną chwilę Dessie spędzał przy shirach; ograniczył nawet palenie, aby dostosować się do wymogów bezpieczeństwa koniecznych w stajni. Zaprzyjaźnił się ze stajennymi i za każdym razem, kiedy Francey do niego zaglądał, zastawał chłopaka albo przy koniach, albo w kanciapie, pijącego z chłopakami kawę.

Młodzieniec wreszcie mógł się zająć swoimi sprawami, więc objeżdżał posiadłość niskim morrisem oxfordem, którego we wtorek kupił od handlarza w Leamington Spa. Dawny Francey uważałby to za ryzykowne posunięcie: wszak jeszcze nie postanowił, gdzie będzie mieszkać. Jednakże nowy, beztroski Francey powiedział sobie: do diabła z tym; jeśli postanowi

tu się nie osiedlać, po prostu sprzeda samochód lub zostawi za płotem Inveraray, aby zarzucił pod murem, doprowadzając George'a i kamerdynera do szału. Ponieważ zaś z dawnego Franceya pozostało dostatecznie dużo, nie kupił upragnionego morgana, pozostawiając sobie to marzenie wraz z innymi na późniejsze czasy.

Należy przyznać, że George zaproponował synowi, by podczas pobytu w Inveraray używał jednego z samochodów stojących w garażu w posiadłości, jednak Francey wolał nie zaciągać żadnych długów wdzięczności wobec ojca, poza tym uważał, że nie ma dość doświadczenia, by jeździć jednym z tych lśniących, wypieszczonych wielkich cacek. Jak na razie morris całkowicie mu wystarczał. Chociaż ze względu na Dessiego młodzieniec starał się być uprzejmy w stosunku do George'a, kłótnia zahamowała ich ewentualne zbliżenie i Francey miał wrażenie, że nigdy już nie dogada się z ojcem jak należy. Na razie nie mieli czasu, by naprawić wzajemne relacje, gdyż George każdą wolną chwilę spędzał w Londynie.

W przerwach między wycieczkami Francey mnóstwo czasu spędzał pod telefonem: rozmawiał z panem Solomonem z Londynu, który miał zająć się sprawami Dessiego, z matką i siostrami w Lahersheen i z Hazel, coraz bardziej zdecydowaną pojawić się na przyjęciu. Cieszył się, że przyjął jej propozycję: myśl, że wesprze go psychicznie w nowych okolicznościach, była dla niego szalenie pocieszająca. Nie mógł się także doczekać miny i komentarzy przyjaciółki, gdy ją oprowadzi po domu: już sobie wyobrażał, co powie o jadalni i szklanym stole. Jedyną zmarszczką na powierzchni tego szczęścia była lekka obawa, że Hazel w jakiś sposób zdradzi Fleur, iż także była z nim w łóżku, ale im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że może jej zaufać; przecież w przeszłości musiała mieć setki podobnych doświadczeń.

Odkładał jak mógł telefon do Fleur, lecz w czwartek rano potrzeba kontaktu z nią przerosła jego wytrzymałość. Postanowił zadzwonić po południu, mniej więcej w czasie herbaty i aby wyzbyć się dręczących myśli o kochance, udał się na kolejną wyprawę samochodem.

Po krótkim okresie śniegów i mrozu pogoda się poprawiła, i jak na luty było wyjątkowo ciepło; opuścił nawet okna w morrisie i rozkoszował się świeżym powietrzem, które tak kontrastowało z wyjałowionym, pachnącym sztucznie wnętrzem domu. Wiosna nadchodziła już wielkimi krokami: ptaki buszowały w krzakach i koronach drzew, pola i łąki zaczynały się pokrywać nową zielenią.

Mimo że wcześniej Francey nie miał zwyczaju spacerowania po okolicy, teraz odkrył, że wraz z wiekiem zaczyna coraz bardziej doceniać piękno przyrody. Musiał nawet przyznać, że

zaczyna rozumieć, co dostrzegają turyści w dzikich górach i plażach wokół Lahersheen. Tutejsze łagodne, falujące wzgórza nie mogły się bardziej różnić od tego, do czego przywykł w Irlandii; i nie chodziło tylko o topografię, lecz raczej o sposób, w jaki dbano i utrzymywano otoczenie. Na myśl przychodziło tu słowo „wymanikiowany”. Irlandia była nieporządna, co do tego Francey nie miał najmniejszych wątpliwości: w lecie żywopłoty, nawet te rosnące wzdłuż najlepszych dróg, pięły się jak szalone ku niebu, na węższych ścieżkach zaś trawa i chwasty wylaziły spod gałęzi i wpełzały na jezdnię. Nawet w kilku bogatszych hrabstwach pola były nierówne i pokryte bryłami ziemi, a bydło wyskubywało trawę spomiędzy głazów lub tonęło po pęczyny w kałużach i bagnach zajmujących większą część stałego lądu. Natomiast pola w Warwickshire przypominały raczej równe trawniki i choć w tym czasie nie pasło się na nich bydło, Francey mógł sobie wyobrazić, jak wyglądają tutejsze krowy - jak idealnie utrzymane kosiarki.

Innym szczegółem przyciągającym oko były różnice w układzie budynków na farmach: podczas gdy w Irlandii dom farmera, zwany po prostu „Domem Scollarda” lub „Domem Harringtona” znajdował się zazwyczaj na uboczu, na końcu pól, tu chaty farmerskie stały demonstracyjnie przy samej drodze i nazywały się dumnie „Farma Byka i Rzeźnika” czy też „Farma Micka Hilla”.

Ponieważ Francey patrzył na świat oczyma zakochanego, wszystko było dlań nowe i czarujące. W ciągu kilku ostatnich dni zaczął zbierać nazwy geograficzne z Warwickshire, zapisując najlepsze w małym notesie i ciesząc się jak dziecko ich dziwnym brzmieniem, kiedy je wypowiadał głośno. Były to nie tylko nazwy farm, lecz także wsi i małych miasteczek: Weston pod Wetherley, Kites Hardwick, Birdingbury, Ashby St Ledgers, Lond Itchington, Leek Wootton, Bishop's Tachbrook, Bubbenhall, Hampton Lucy - kim była Lucy? A kiedy jechał w kierunku wskazywanym przez drogowskaz do jednego z owych miejsc o czarującej nazwie, najczęściej okazywało się, że to trzy chaty na krzyż stojące przy rozstajach dróg. A z drugiej strony, kto przy zdrowych zmysłach chciałby mieszkać w miejscowości o nazwie „Snitterfield”? Lub jeszcze dziwniejszej - „Wootten Wawen”?

Wioski - z dachami porośniętymi bluszczem, gankami w pnących różach i płótkami pomalowanymi na biało - tak bardzo przypominały ilustracje z książek, które Francey czytał w dzieciństwie, że przejeżdżając przez nie wiedział, gdzie znajduje się poczta wraz z czerwonymi skrzynkami po bokach drzwi.

Little Staunton było właśnie taką wioską jak z obrazka i przechadzając się po jej szerokiej, wijącej się ulicy, Francey na wpeł spodziewał się zobaczyć Noddy'ego lub Psa Wielkie

Uszy* wyskakujących zza zakrętu.

* Postaci z angielskiej literatury dla dzieci (przyp. red.).

Tego dnia, włączając się wzdłuż niskich, równo obciętych żywopłotów, mijał dobrze wychowane dzieci jeżdżące na kucykach po prawdziwych wiejskich łączkach z autentycznymi symetrycznymi stawami; na jednym nawet pływało stado kaczek. Wszystko wokół było tak czarujące, że dopiero po jakimś czasie zrozumiał, ile by stracił, mieszkając tutaj na stałe. Prawda ta dotarła do Franceya, dopiero gdy wszedł do pubu.

Wewnątrz było cicho, ciemno i prawie pusto. Czterej starsi mężczyźni, którzy tam siedzieli - zbyt dobrze wychowani, by zaszczycić młodzieńca czymś więcej niż krótkim spojrzeniem, kiedy wszedł - rozmawiali cicho nad kuflami piwa. Wszyscy mieli na sobie tweedowe marynarki; jeden z nich niemal opierał brodę na gałce laski, u jego stóp leżał spaniel. Francey zamówił szkocką - zapomniał o mizernych miarkach Anglików, trzeba było wziąć podwójną! - i poszedł z nią do stolika w kącie, by sprawdzić mapę i zobaczyć, czy są w okolicy jeszcze jakieś miejsca, których nazwy wzbudzą jego ciekawość. Właśnie wtedy coś go uderzyło. W tak uporządkowanym otoczeniu jak to brakowało elementu wyzwania. Nawet najskromniejsze życie w Irlandii było okraszone nadzieją, że za zakrętem czeka cię coś niezwykłego; poza tym Irlandczycy lubili walkę, szaleństwo, a może i nieco chaosu. Francey potrafił wyobrazić sobie dzieje życia tych czterech mężczyzn, siedzących tak spokojnie w swym kąciku - od dziada pradziada były takie same bez względu na to, co nastąpiło w szerokim świecie. Wojny światowe, śmierć - potrafił wyobrazić sobie tych czterech spokojnie krocących za pługami bez względu na wszystko. Może to właśnie czyniło ich wielkimi. Patrząc na mapę rozłożoną na stole, młodzieniec doszedł do wniosku, że musi istnieć jakieś podobieństwo między ludzkim charakterem a cechami krajobrazu.

Gdyby mógł pojechać do Bangkoku, może odkryłby klucz do duszy Fleur; zdał sobie jednak sprawę, że byłoby to szalenie nierozsądne - i zapewne wzbudziłoby podejrzenia - postanowił więc przeczytać możliwie jak najwięcej o samej Tajlandii. Zamówił kanapkę, odwołując się tylko do Inveraray - wiedział, że gdy wejdzie do domu, nie będzie mógł dłużej odwlekać telefonu do ukochanej.

Zapomniał o krajobrazach, cechach narodowych i wszystkim innym; pojechał do domu, wybierając jak najwięcej skrótów, lecz czekało go rozczarowanie; telefon w Kensington ode-

brała pokojówka, która powiedziała, że pani nie ma w domu i wróci dopiero późnym wieczorem.

Założył, że dziewczyna przekaże swej pani, iż dzwonił; nie chciał wystraszyć Fleur zbyt dużą natarczywością, toteż postanowił zatelefonować dopiero następnego dnia rano. Lecz gdy nadszedł piątek, Francey doszedł do wniosku, że Fleur raczej nie zaprosi go zaraz do siebie, więc lepiej poczekać. Przy śniadaniu myślał ponuro, że prawdopodobnie zobaczy ją dopiero następnego dnia wieczorem.

Przygotowania do przyjęcia czyniono tak spokojnie i niezauważalnie, że właściwie trudno by powiedzieć, czy w ogóle istnieją; to właśnie była zaleta posiadania służących, pomyślał Francey, dodając kamerdynera do długiej listy planowanych wydatków, kiedy już gdzieś osiadzie na stałe. Pomyślał z uśmiechem, że jego ambicje stają się równie elastyczne co ciało Hazel. Tego dnia nie miał ochoty na samotną przejażdżkę; zastanawiając się, czy uda mu się odciągnąć brata od ukochanych koni, poszedł w kierunku stajni, by go zapytać.

W odróżnieniu od Franceya chłopak bardzo szybko stał się ekspertem w skomplikowanej dziedzinie czyszczenia i pielęgnowania zwierząt, a także polubił jazdę na nich. Chociaż shiry nie są przeznaczone pod siodło, mają tak łagodne usposobienie, że Mick O'Dowd szybko nauczył Dessiego, jak kierować nimi za pomocą kolan i pięt. Kiedy Francey szedł przez dziedzińiec przed stajnią, zobaczył swego brata siedzącego na szerokim grzbiecie Jumba, szczęśliwym niczym małe dziecko podczas pierwszej przejażdżki na osiołku w zoo.

- Hej, ty! - zawołał Francey. - Kowboju Joe!

Dessie obejrzał się i pomachał mu ręką.

- Masz ochotę się przejechać? - zapytał.

- A może tym miałbyś ochotę przejechać się ze mną? Ładny dzień mamy...

- Chyba zostanę tutaj. - Dessie pogłodził konia po uchu. - Jestem bardzo zajęty, wiesz, Francey? Tu jest całe mnóstwo rzeczy do zrobienia.

Słyszając poczucie własnej wartości w jego głosie, młodzieniec się uśmiechnął.

- W takim razie może przydałaby ci się pomoc?

- Spytam szefa. - Chłopak zsunął się z grzbietu konia i Francey poczuł zadowolenie, widząc sprawność brata.

Mimo stwierdzenia Dessiego, że ma mnóstwo roboty w stajni, młodzieniec nie bardzo wiedział, na czym mogłoby polegać owo zajęcie, skoro zwierzęta ani nie pracowały, ani nie były wystawiane na pokazach. Uprząż już od dawna lśniła jak lustro, grzywy i ogony poprze-

platano kolorowymi wstążkami, a boksy pachniały świeżą słomą. Ale Dessie zawsze potrafił sobie coś znaleźć: a to trzeba było przynieść wody, a to zemleć owies. W jego głosie dźwięczała na nowo odnaleziona odpowiedzialność, popisywał się przed Franceyem świeżo zdobytą wiedzą, wyjaśniając mu szczegółowo, na czym polega kod upręży shirów. Na przykład fakt, że przy kantarze Jumba wiszą takie to a takie mosiężne ozdoby wskazuje, że na koniu siedzi lub też powozi bryczką stajenny, a nie właściciel.

- I popatrz, Francey, spójrz tylko tu... - Pociągnął brata za rękaw. - Ten koń ma w obwodzie klatki piersiowej blisko trzy metry... a waży prawie półtorej tony. Wyobrażasz sobie? Podejrzewam, że wiesz, iż ogon służy mu do odganiania much, ale czy wiesz, że na piersi, tam gdzie nie sięga ogon, ma specjalne mięśnie służące do poruszania skórą, tak że napinając je, spędza muchy? Założę się, że tego nie wiedziałeś!

- Widzę, że co dzień uczysz się czegoś nowego! - Francey wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Entuzjazm Dessiego był zaraźliwy.

Tak więc poranek minął im szybko w stajni, gdzie Francey pomagał bratu przy rozplątaniu kołtunów w długiej sierści porastającej pęciny Goliata. Wtedy właśnie wykorzystał okazję, żeby spytać chłopca o coś, co nie dawało mu spokoju.

- Czy ty kiedykolwiek myślisz o swojej matce, Dessie?

- Czasami. - Wydawał się bardziej skoncentrowany na swym zajęciu niż na pytaniu.

- Chodzi mi o to, co do niej czujesz? Czy nie uważasz, że powinniśmy jej poszukać?

Pod pretekstem przyjrzenia się kopytu shira Francey kucnął obok brata, by lepiej widzieć jego twarz. Dessie wzruszył ramionami.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Nie wierzę ci, Dessie. Cokolwiek zrobiła, jest twoją matką.

- Powiedziałem ci już, że nic mnie to nie obchodzi.

Widząc, że chłopak zaczyna się denerwować, Francey pośpiesznie go uspokoił.

- W porządku, dobrze, wierzę ci. I nie masz się czym martwić. Nie zamierzam robić nic bez twojej wiedzy.

Dessie zawahał się, po czym powiedział cicho:

- Ona pewnie już nie żyje.

- Nie martw się o to teraz, Dessie. Przepraszam, że w ogóle poruszyłem ten temat. Po prostu chcę, byś wiedział, że jeśli będziesz miał ochotę o niej porozmawiać, zawsze cię chętnie wysłucham. A teraz może wreszcie zajmijmy się robotą, co?

Francey starał się przywrócić harmonię, jaka między nimi panowała, zanim wspomniał o Kathleen, i udało mu się to w przeciągu pięciu minut. Dessie znowu zaczął mu rozkazywać, a nawet zgañił za to, jak nieporządnie zaplata Goliatowi ogon.

Obserwując, jak brat pewnymi dłońmi rozprawia się ze sztywnym końskim włosiem, Francey rozważał w duchu, czy naprawdę nie powinien wszcząć poważnych poszukiwań Kitty Scollard, żywej bądź umarłej. Mógłby zacząć od aktu zgonu. Z drugiej strony, pomyślał, chyba lepiej zaczekać, aż sam Dessie zaproponuje coś podobnego. Gdy tylko będzie miał chwilę dla siebie, usiądzie i zastanowi się nad tym poważnie.

Wczesnym przedpołudniem, podczas jednej z wielu przerw na herbatę, jakie urządzali sobie stajenni, Francey opowiedział o swym ambitnym - i trochę nieprawdopodobnym - planie stworzenia centrum pokazów shirów w Irlandii nie tylko Dessiemu, ale i pozostałym mężczyznom. Mógł przewidzieć dziecinny entuzjazm brata, lecz zdziwiło go, że żaden z pracowników nie wyśmiał tego pomysłu.

- Całkiem niezły plan - odezwał się Mick O'Dowd. - Przynajmniej biedne stworzenia miałyby co robić. Nasz dziedzic już od bardzo dawna nie pojawił się w stajni czy choćby w jej otoczeniu.

- Taak - dodał inny. - Żdziebko nas to martwi.

Już wcześniej przyszło Franceyowi do głowy, że shiry są wyjątkowo drogim hobby George'a, zwłaszcza teraz, gdy po śmierci żony zaczął spędzać jak najwięcej czasu z przyjaciółmi w Londynie. Później przypomniał sobie, że wieki temu obiecał, iż spyta ojca o zamiary co do koni.

- Wiem, że obiecałem wypytać ojca, jakie ma plany, ale zupełnie wyszło mi to z głowy - przeprosił. - Postaram się pogadać z nim najszybciej, jak się da. Na razie jest jeszcze zbyt wcześnie, by o tym mówić, ale kto wie? Może będzie chciał się ich pozbyć i pozwoli mi je wziąć? Ale jeżeli to ja je dostanę, będę chciał je wywieźć i pokazywać w Irlandii - dodał ostrożnie; zauważył, że większość pracowników stajni jest więcej niż tylko trochę zainteresowana tą sprawą. Chyba nie stworzył im fałszywych nadziei?

- Moglibyśmy to robić razem, Sullivan i Scollard! - Oczy Dessiego błyszczały w chudej twarzy. - Co ty na to, Francey?

- Jasne! - zgodził się natychmiast. - Nawet nieźle brzmi.

Cóż on rozpętał! Lecz zanim zdołał pohamować własny język, usłyszał, że proponuje wszystkim stajennym pracę w Irlandii, gdy tylko cała sprawa nabierze rozmachu.

- Byłoby wspaniale. - Mick O'Dowd rozejrzał się po ogorzałych twarzach współpracowników i nagle wszyscy zaczęli rozmawiać o Irlandii.

Później, bez względu na to, ile razy Francey powtarzał, że wszystko jest jeszcze palcem po wodzie pisane, nie dali się przekonać.

Kiedy Francey wstał, by wyjść, Mick O'Dowd odciągnął go na bok.

- Mógłbym zamienić z tobą słówko? - mruknął.

- Jasne. - Francey odszedł kilka kroków, aż był pewien, że pozostali ich nie usłyszą. - O co chodzi?

- Wiem, że jutro wieczorem ma się odbyć przyjęcie. - Mick splunął i wyjaśnił Franceyowi, że jednym ze spodziewanych gości będzie pułkownik Shottley z Oxfordshire, który, wedle jego opinii, ma najlepszego ogiera shira w całej Anglii. - Przydałaby ci się nowa krew - dodał, tłumacząc sprawę odporności, linii grzbietu i nóg, z czego większość umknęła Franceyowi chwilę później. Co tu się działo? Wyglądało na to, że Mick przejął dowodzenie nad końmi. Nie tylko pomysł przyjęcia, ale i ten z końmi, zaczęły nagle żyć własnym życiem.

- Będę pamiętał o pułkowniku - powiedział słabo, kiedy Mick skończył.

- I dobrze. - Koniuszy znowu splunął, po czym rzucił: - A tak przy okazji, twój brat jest niezły. Dobrze radzi sobie ze zwierzętami. Trudno by ci było o lepszego partnera w tym końskim interesie. Daj mu kilka miesięcy, a stanie się lepszy ode mnie.

Francey opowiedział o wszystkim Hazel następnego popołudnia, wioząc ją do domu ze stacji kolejowej w Leamington.

- Dzięki tobie ci ludzie mają jakąś nadzieję na przyszłość - odrzekła. - Nie martw się tym, kochany. Na miłość boską, nie musisz zatrudniać wszystkich. Jesteś jak Atlas... można by przypuszczać, że dźwigasz na barkach cały świat.

- Tak się właśnie czuję - przyznał Francey.

- Bo starasz się robić wszystko w zbyt szybkim tempie. - Dotknęła jego kolana. - Nie śpiesz się tak. I nie jesteś odpowiedzialny za tych wszystkich ludzi bez względu na to, co myślisz. A teraz zmieńmy temat, na miłość boską. Powiedz, czego mam się spodziewać wieczorem.

- No, cóż... właściwie to służba wszystko przygotowuje, a ja staram się nie wiedzieć zbyt dużo. - Francey musiał zahamować, by uniknąć nieszczęścia, kiedy mały ptaszek przemknął przez drogę przed nimi. - W przeciwnym razie oszalałbym, martwiąc się o Dessiego.

Coś powstrzymało go przed wyznaniem, że nawet bardziej niż zachowania młodszego

brata obawia się własnej reakcji na bliskość Fleur. Zamiast tego zauważył, że Anglicy zdają się nie przestrzegać okresu żałoby tak sztywno jak Irlandczycy.

- Jool nie żyje od jakichś czterech miesięcy - wyjaśnił. - Z drugiej strony to dobrze, że przyjęcie jest duże, bo Dessie nie poczuje się tak na widelcu. Może będzie mu łatwiej mieszać się z tłumem.

- Już ja się nim zaopiekuję. Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. To znaczy, jak należy. Gdy go widziałam ostatnim razem, był w śpiączce czy coś takiego...

- To raczej nie była śpiączka, Hazel. - Podniesiony na duchu już samą jej obecnością, Francey uśmiechnął się szeroko.

- Wszystko jedno. - Poprawiła się na siedzeniu pasażera. - Uwielbiam przyjęcia. Cieszę się, że przyjechałam... podoba ci się moja sukienka?

- Jest śliczna. - Francey zerknął spod oka: był tak zajęty myśleniem o sobie i własnych problemach, że prawie na nią nie spojrzął, gdy wysiadała z pociągu. Dopiero teraz zauważył, że Hazel ma na sobie jasnoturkusowy płaszcz, a pod spodem pasującą kolorem suknię. - Śliczna - powtórzył. - Ładnie ci w tym kolorze. I chyba zrobiłaś coś z włosami? - Leżały teraz gładko na jej kształtnej główce niczym jedwabny czepek i wydawały się ciemniejsze niż zazwyczaj - w odcieniu dojrzalej pszenicy.

- Taak. - Hazel mrugnęła do niego. - Wydałam na nie majątek! I wszystko dla ciebie!

- Serio?

- Pewnie.

- Dobrze, że nie jesteśmy małżeństwem, Hazel, bo nie mielibyśmy ani grosza przy duszy. - Francey zachichotał i opowiedział jej, jak szasta pieniędzmi na prawo i lewo i jak bardzo mu się to podoba. Nagle przyszło mu do głowy, że przyjaciółka jest jedyną osobą, z którą może w ten sposób rozmawiać. Wydawało się, że tylko jej nie obchodzi, czy zostało mu w kieszeni dziesięć pensów, czy dziesięć milionów. - Masz świetne podejście do pieniędzy, wiesz?

- Tak sądzisz?

- Oczywiście - zapewnił ją gorąco. - Każdy powinien mieć tak wspaniałego kumpla, jakim ty jesteś dla mnie.

Zanim dojechali do posiadłości, Francey zrzucił prawie cały ciężar z serca. Zwierzył się jej z wyprawy do Londynu i tego, jak Fleur wymyka mu się z rąk.

- Och, nie potrafię opisać jej zachowania - mówił sfrustrowany. - To jest tak... w jednej chwili jestem pewien, absolutnie pewien, że mnie lubi, a w następnej dałbym sobie głowę

uciać, iż zupełnie jej na mnie nie zależy. - Zatrzymali się przy znaku stopu i czekali, aż inny samochód przejedzie przez skrzyżowanie.

Hazel odwróciła się, by popatrzeć na coś z tyłu i nie widział jej miny.

- Miałem nadzieję, że dasz mi jakąś radę. - Dotknął jej kolana, by zwrócić na siebie uwagę.

- A, taak. - W odpowiedzi na jego dotyk spojrzała mu w oczy.

- Czy kiedykolwiek czułaś coś podobnego?

Hazel uśmiechnęła się lekko.

- Dokładnie wiem, jak to jest.

Francey wrzucił bieg i ruszył.

- I jak sobie z tym poradziłaś?

- Przeczekałam - odrzekła najniewinniej w świecie. Francey rozważał to, jadąc wzdłuż muru otaczającego Inveraray.

- Już prawie jesteśmy na miejscu. - Zwolnił, by przepuścić przez drogę stado krów. - Najwyraźniej niezbyt dobrze ci się ułożyło?

- Uhum - odpowiedziała, a potem jęknęła: - Jezu! - i urządziła krótkie stepowanko na podłodze samochodu. - Tylko spójrz na to! Niesamowite! Prawie jak Aras!

Francey znał już opowieść o tym, jak Hazel, namówiona przez koleżanki, przeszła jakby nigdy nic obok strażników, by zerknąć od środka na siedzibę prezydenta w Phoenix Park.

- Zaczekaj, aż zobaczysz dom - odrzekł. - Wątpię, by dom Starego choć trochę dorównał przepychem pałacowi Jool. - Jakie to dziwne, pomyślał, że nieżyjąca macocha była dlań taka realna, chociaż nigdy jej nie poznał. W pewien sposób nie myślał o niej jak o zmarłej: cały czas czuł w domu obecność żony George'a. - Jak ci poszło spotkanie z agentem? - spytał.

- Okazało się, że mimo wszystko nie mógł się dzisiaj ze mną zobaczyć. Muszę tu przyjechać jeszcze, gdy będę mieć przerwę w występach.

- Hazel! - Młodzieniec był wzruszony. - Chcesz powiedzieć, że zrobiłaś taki kawał drogi tylko dla mnie?!

- A dlaczego nie? Przecież mnie znasz, jestem pies na przyjęcia!

- Naprawdę nie masz nic przeciwko spotkaniu z George'em po tylu latach?

Francey zostawił w spokoju temat agenta. Problem powtórnego spotkania Hazel z jego ojcem omówili dość pobieżnie, ale wydawała się zupełnie nie przejmować tą sprawą.

- Jasne - odrzekła. - Co było, to było.

- Wiesz, nie powiedziałem mu, że przyjeżdżasz.

- Dlaczego? - Spojrzała na niego z ciekawością.

- Dobrze mu to zrobi! - odparł Francey, lecz nie wyjawiał jej prawdziwego powodu.

Chyba nie było to aż tak niezwykle, że w pewnym odstępie czasu ojciec i syn wylądowali w łóżku z tą samą kobietą? Przyszło mu to do głowy już po podjęciu przez Hazel decyzji o przyjeździe do Inveraray. Mógł uprzedzić ojca zawczasu i nawet usiłował to zrobić. Lecz gdy powiedział George'owi, że na przyjęcie przyjedzie jego stara przyjaciółka z Irlandii, ten nie okazał cienia zainteresowania.

- Powiadom o tym Lewisa, dobrze? - I Francey, wściekły za potraktowanie go z góry, wycofał się z pełnym złości sapnięciem.

George i Hazel sami będą musieli dojść z tym do ładu.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się, gdy wyjechali zaa ostatniego zakrętu podjazdu i oczom ich ukazał się dom w całej okazałości. - Jak ci się podoba?

Hazel gwizdnęła przez zęby.

- I ty się tu zadekowałeś?

Jej reakcja na wystrój wnętrza była równie satysfakcjonująca. Jeśli nie liczyć służących, mieli cały dom tylko dla siebie: George zamierzał wrócić z Londynu późnym popołudniem, Colin wraz z rodziną przyjedzie też coś koło tego, a Dessie, jak zwykle, był w stajni. Zdawało się, że przygotowania do przyjęcia wreszcie przybrały na sile i gdy w końcu Francey zaprowadził Hazel do jadalni, zastali tam kamerdynera nadzorującego pracę dwóch pokojówek, które rozkładały białą porcelanę i srebra na kredensie; pośrodku stołu stały już kwiaty.

- Przepraszam, Lewis - odezwał się młodzieniec. - Nie wiedziałem, że tu jesteś. Przyjdziemy później.

Ale Hazel nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Jezu! - gwizdnęła. Przepchnęła się obok Franceya do migoczącego światłami pokoju. - Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego... Cześć, dziewczęta! - Uśmiechnęła się do dwóch pokojówek zajętych przy kredensie. Podeszła do okna, wyjrzała na fontannę, po czym odwróciła się, podziwiając jadalnię od podłogi po sufit. - Tylko patrzcie państwo... ale cudowności... - Wyciągnęła rękę do kamerdynera. - Jestem Hazel Slys.

- Miło mi panią poznać, madame. - Lewis zgiął się w ukłonie, po czym zasygnalizował coś dziewczętom. - Wrócimy tu później, proszę pana - powiedział do Franceya i wszyscy troje wyszli z pokoju.

Hazel stała z wytrzeszczonymi oczyma przed akwariem; wydawało się, że w ogóle nie dostrzega ich odejścia.

- Zupełnie jak z bajki! - Później przeszła pod drugą ścianę, by przyjrzeć się wiszącemu na niej obrazowi - temu, który należał do Franceya. - A to niby co ma być? - Zaciśnęła wargi.

- Nie jestem pewien. - Młodzieniec przyjrzał się ogromnemu abstrakcyjnemu malowidłu. Według niego na wielkim płótnie zatytułowanym „Melliflous numer 6” widać było tylko szare i czerwone smugi na brudnym białym tle, jednak prawnik zapewnił go, że obraz jest ogromnie cenny.

- Podoba ci się? - Hazel zerknęła na niego z ciekawością.

- Nie wiem - odrzekł szczerze. - Jeszcze się do niego nie przyzwyczailem.

- Jeżeli naprawdę wart jest tyle, ile mówisz, na twoim miejscu od razu bym go sprzedała - poradziła mu niepytana. - A jeśli chcesz powiesić na ścianie ładny obrazek, znam gościa, który sprzeda ci taki, jak trzeba, za połowę ceny. Dla mnie załatwił jeden wspaniały Howtha Heada. - Francey właśnie miał coś powiedzieć, lecz kąciakiem oka dostrzegł żółty błysk za firankami; samochód sportowy Colina. - Czy chciałabyś... Przyjaciółka zauważyła jego dziwnie zdenerwowaną minę.

- O co chodzi?

- Już są - oznajmił. - Fleur i Colin przyjechali.

Coś zabłysło w oczach Hazel, lecz Francey był zbyt pochłonięty własnym zdenerwowaniem, by się nad tym zastanawiać; chwilę później podeszła i ujęła go za rękę.

- Spokojnie - powiedziała. - Nie zapominaj, że będę niedaleko. Gdzie tu jest toaleta? Muszę przypudrować nos.

- Obawiam się, że będziesz musiała pójść do swego pokoju.

- Nie ma sprawy - odrzekła spokojnie. - To zajmie mi tylko minutkę. W dodatku w tej wełnianej sukience jest mi stanowczo za gorąco. Skąd pochodziła ta Amerykanka? Z dżungli?

Francey powiedział, że zaczeka na nią w głównym holu, lecz kręcił się niespokojnie w salonie, dopóki nie miał pewności, że Manneringowie bezpiecznie zniknęli z horyzontu i udali się do pokoi, które zazwyczaj zajmowali. Przepelnione zazdrością serce podsuwało mu coraz koszarniejsze obrazy: widział, jak wchodzi do sypialni, całują się, może nawet idą do łóżka...

Spróbował myśleć o czymś innym i zastanowił się, czy aby nie warto pójść do stajni po Dessiego, lecz czuł się zobowiązany poczekać na Hazel. Nie miał wątpliwości, że sama doskonale by sobie poradziła, lecz z drugiej strony była przecież jego gościem.

Kiedy wróciła, miała na sobie jasnożółtą bluzkę, krótką brązową spódnicę i pantofelki na tak wysokich obcasach, że musiała stąpać wyjątkowo drobnymi kroczkami, by się nie przewrócić. Francey nie mógł oderwać oczu od jej nóg.

- Hazel, przez ciebie stanie dziś ruch uliczny - powiedział szczerze. Był zdumiony jej elegancją.

- Co, z powodu tej starej szmatki? - Roześmiała się, wciskając bluzkę głębiej za pasek spódnicy, lecz młodzieniec widział, że ucieszył ją ten komplement. - I jak? Są zmiany na horyzoncie? - spytała.

- Jeszcze nie. - Potrząsnął głową i odwrócił wzrok od dwóch szwów bluzki, które podkreślały krągłość piersi Hazel, która opadła na fotel.

- No, dalej. - Popatrzyła na niego wyczekująco. - Na co czekasz? Miejmy to już za sobą. Idź i poproś ich tutaj.

- Co?! Teraz?! - Zupełnie nie rozumiał, do czego jej tak śpieszno.

- A po co tu jestem, głuptasie? - nalegała. - Zostaw to mnie. Kiedy z nią skończę, będzie ci jadła z ręki. - Roześmiała się beztrąsko. - Oczaruję ją albo jeszcze lepiej - dodała wesołym tonem - oczaruję jego. Idź już.

Zanim Francey zapukał do drzwi pokoju Manneringów - czuł się jak naelektryzowany, gdy przypadkiem dotknął metalowej galki - przez kilka chwil starał się zapanować nad wyrazem twarzy. Uczył się szybko. Jeszcze miesiąc temu wpadłby do ich sypialni niczym uczeń.

Colin otworzył drzwi.

- O, witaj, Francey - powiedział. - Nie widziałem cię, kiedy wchodziliśmy. Wszystko już gotowe?

- Przyjechała z Irlandii moja przyjaciółka - odrzekł. - Bardzo chce was poznać... oczywiście, kiedy będziecie już gotowi... - dodał. - Nie ma pośpiechu.

- Jesteś ubrana, kochanie? - zawołał Colin przez ramię, a Franceyowi zamarło serce. Fleur, boso, z włosami upiętymi na czubku głowy - co tak dobrze pamiętał - weszła do sypialni w białym, o kilka numerów za dużym frotowym szlafroku. Francey aż zadrżał na myśl o tym, co się pod nim kryło.

- Dziewczyna Franceya z Irlandii chce nas poznać, kochanie. - Colin objął żonę w pól i Francey pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział u niego tak władczego gestu.

- Ona wcale nie jest moją dziewczyną! - Omal nie zająknął się z pośpiechu. - To po prostu stara przyjaciółka. Znamy się od wieków.

- Oczywiście. - Fleur popatrzyła nań tak obojętnie, że nie pozostało mu nic, jak tylko odwrócić się i wyjść.

- Kiedy będziecie gotowi - powtórzył. - Jesteśmy w salonie.

Nie potrafił jednak usiedzieć na miejscu i cały czas spacerował po pokoju, podczas gdy Hazel spokojnie czekała w fotelu. Nie powinien dać się w to wmanewrować: byłoby znacznie lepiej, gdyby spotkała się z Fleur już na przyjęciu. Co gorsza, nie mógł wyrzucić z myśli wizerunku Fleur i tego, jak zdejmuje przed Colinem szlafrok, a później...

- Och, daj spokój! - Po mniej więcej pięciu minutach czekania i gdy wszelkie próby uspokojenia Franceya spełzły na niczym, Hazel podeszła do barku. - Potrzebujesz ginu z tonikiem; to najlepsze lekarstwo na nerwy. - Nie zwracając uwagi na jego protesty, że nie znosi smaku tego świństwa, przygotowała mu drinka. - A teraz wypij to, szybko! - Przyglądała się uważnie, gdy wypił duszkiem ponad połowę. - Poczekaj minutkę, aż zacznie działać - poradziła. - I usiądź. Sprawiasz, że czuję się jak jeden z siedmiu krasnoludków.

Ku swemu zaskoczeniu po paru minutach faktycznie poczuł się spokojniejszy.

- Nienawidzę go, Hazel - powiedział. - Gdybyś zobaczyła, jak on ją traktuje...

- Prawdopodobnie tak, jak każdy mąż traktuje żonę - odparła Hazel sucho. - Poza tym, już za parę minut sama się przekonam i wyciągnę określone wnioski. A teraz dopij ten gin! - Usiadła na krześle nieopodal Franceya i z podziwem rozejrzała się po pokoju. - Szkoda tylko kominka - mruknęła. - Nienawidzę tych sztucznych paskudztw.

- Oj, Hazel... - Francey właśnie miał zamiar podroczyć się z nią, wspominając wszystkie pluszowe zwierzątka w jej mieszkaniu, lecz w tym samym momencie w drzwiach salonu stanęli Colin i Fleur.

Chwilę później Hazel zaskoczyła go tak, że omal nie wypuścił szklanki z rąk.

- Ależ witam! - wrzasnęła głosem, którego Francey nigdy wcześniej nie słyszał i podeszła do nich drobniutkimi kroczkami. - Ty musisz być Colin... a oto słynna Fleur! - Zanim Francey zdążył coś zrobić, potrząsnęła gwałtownie dłonią żony Colina. - Tak się cieszę, że mogę was poznać!

- Hazel... - zaczął, gdy tylko stanął obok niej, lecz tylko patrzyła to na niego, to na Fleur pałającymi oczyma.

- Francey tyle mi o was opowiadał! Nieprawdaż, kochany? - A później znowu zwróciła się do Fleur: - Zawsze chciałam pojechać na Daleki Wschód... zawsze, odkąd jako dzieci zbieraliśmy miedziaki na misje.

Rozdział szesnasty

Ktoś włączył głośno adapter i w przeciągu kilku chwil wszyscy podnieśli głosy, by się nawzajem słyszeć ponad zawodzeniem Shirley Bassey. Francey wreszcie na jakiś czas został sam; wsunął palec pod przyciasny kołnierzyk koszuli i modlił się w myślach, aby ta noc jak najszybciej dobiegła końca. Albo żeby przynajmniej mógł zdjąć marynarkę.

George - lub służba - zadał sobie wiele trudu z udekorowaniem pokoi: wysoko w nagrzanym powietrzu kołysały się wszędzie baloniki w kształcie serc, a na większości płaskich mebli małe kupidynki bawiły się w chowanego pomiędzy bukietami czerwonych róż. Przyjęcie właśnie wylało się do holu i zaczęło się rozkręcać.

Stojąc nieopodal drzwi, Francey zauważył, że najwyraźniej wszyscy się tu znajdują. Ze względu na swój wzrost mógł dobrze zobaczyć całe pomieszczenie: przypominało to przyglądanie się pod mikroskopem jakiemś molekularnemu organizmowi - grupki łączyły się i rozpadały, chwytając jedzenie i picie ze srebrnych tac roznoszonych przez służących. Okazało się, że bardzo łatwo odróżnia przyjaciół George'a z Londynu od okolicznych właścicieli ziemskich: podczas gdy pomiędzy tymi ostatnimi panowie preferowali garnitury, a panie gustowne, acz nudne klasyczne suknie, towarzystwo z Londynu było znacznie bardziej ekstrawaganckie, a kobiety znacznie młodsze; przybysze mieli bielsze zęby, dłuższe włosy, i rozmawiali dużo głośniej.

Goście zjawili się punktualnie, parami lub w grupach i stojąc obok Dessiego, w ciągu pierwszych piętnastu minut Francey został przedstawiony tak wielu osobom, że wiedział, iż nie ma najmniejszych szans na zapamiętanie wszystkich nazwisk. Najwyraźniej goście byli doskonale poinformowani o ich istnieniu, gdyż ani razu podczas powitań nie spotkał się z czymś więcej niż zwyczajną uprzejmością. Punkt dla Anglików, pomyślał: gdyby w domu zostali wraz z Dessiem postawieni w równie sensacyjnej sytuacji, nie udałoby im się tak łatwo wywinąć.

Dessie, również wystrojony w nowy garnitur, trzymał się kurczowo swego opiekuna podczas pierwszej fazy przyjęcia, lecz gdy jakieś dwadzieścia minut po większości zaproszonych zjawił się Mick O'Dowd z żoną, natychmiast wybrał ich towarzystwo i Francey miał nieco więcej swobody. Kiedy przyrodni brat spytał poprzedniego wieczora, czy może zaprosić na przyjęcie głównego koniuszego, młodzieniec wziął na siebie całą odpowiedzialność i powiedział „tak”, po czym przekazał kamerdynerowi, że spodziewa się jeszcze dwójki gości - nie zwracał sobie głowy informowaniem George'a; wątpił, by ojciec miał coś przeciwko temu lub w

ogóle zauważył obecność Micka.

Teraz odszukał ojca wzrokiem: królował pośród wpatzonego weń wianuszka wielbicielek, oszalamiająco przystojny w białej marynarce z muchą i kieliszkiem szampana w dłoni. Na wiele sposobów Francey żałował, że odnalazł prawdziwego George'a: wyobrażona postać z dzieciństwa znaczyła dla niego znacznie więcej. Z drugiej strony pierwsze rozczarowanie po ich kłótni uległo już pewnej modyfikacji: George okazał się tak bezwstydnym starym łotrem, że nie sposób było go nie lubić. Francey wiedział, że ma mu jeszcze do zadania wiele pytań i jakaś część jego serca nadal liczyła na satysfakcjonujące wyjaśnienia. Istniało prawdopodobieństwo, że z czasem wypracują sobie z ojcem w miarę przyzwoitą więź.

- Sam jesteś, kwiatuszku? Jak ci leci? - Spojrzawszy w dół, zobaczył tuż obok Hazel.

Gdyby ktoś wcześniej spytał Franceya, jak wyobraża ją sobie w stroju wieczorowym, głosowałby na coś błyszczącego, podobnego do jej kostiumów scenicznych. Jednak udało się jej go zaskoczyć - Hazel pojawiła się w prostej kremowej sukience bez rękawów i z niedużym dekoltem, jednak dostatecznie krótkiej, by wyeksponować fantastyczne nogi dziewczyny. I choć zazwyczaj aż brzęczała od bransoletek i wisiorów, tego wieczora miała na sobie pojedynczy złoty łańcuszek i broszkę od Franceya, tę w kształcie motyla, przypiętą wysoko na lewym ramieniu. Włosy, nadal gładko przylegające do głowy, szesała za uszy, by podkreślić szczupłą szyję.

Francey zdążył już zauważyć, że jego przyjaciółka wzbudza powszechne zainteresowanie, dokądkolwiek poszła.

- Zachowujesz się przyzwoicie? - Martwił się tym, co może się wydarzyć do rana: chociaż Fleur nie zareagowała na elektryzujące przedstawienie, jakie Hazel urządziła w salonie, Francey miał wrażenie, że tyka przy nim bomba zegarowa.

- Francey! - Popatrzyła na niego z wyrzutem. - Jestem tu tylko dla ciebie.

- Wiem - przyznał. - Doceniam to... Chociaż - dodał ponuro - widziałem to raczej jako pomoc dla Dessiego...

- No, cóż, jeśli nie chcesz, bym dalej rozmawiała z twoją bratową...

- Oczywiście, że chcę. - Francey pośpiesznie naprawił swój błąd. - Widziałas ją może ostatnio? - Choć Colin tkwił w kółeczku zgromadzonym dokoła ojca, nigdzie nie było widać Fleur.

- Poszła do toalety. - Hazel wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu. - Odpręż się. Pracuję nad nią ciężko... mam wrażenie, że już się zaprzyjaźniłyśmy.

- Podoba ci się? - Francey zniżył głos i odwrócił się plecami do tłumu, by nikt im nie przeszkadzał.

- Pytasz mnie o to po raz dwutysięczny. Jest śliczna, przepiękna, już ci mówiłam.

- A co z Colinem?

- Nieszkodliwy - odrzekła Hazel, pociągając łyk wódki z sokiem pomarańczowym. - A zanim zapytasz: nie mam pojęcia, co ta twoja kobieta do niego czuje. Daj mi szansę, dopiero co zaczęłam. Jest trochę... - szukała odpowiedniego słowa - ...jakby bez skazy.

- Wiem, o co ci chodzi - mruknął Francey, lecz zaraz poczuł się niełojalnie. - Rozmawiałaś już z George'em? - Postanowił przejść na bezpieczniejszy grunt.

- Zachowałam to sobie na koniec - odparła Hazel złośliwie, lecz gdy zobaczyła minę Franceya, uderzyła go w ramię: - Oj, kochany, na miłość boską! Daj spokój! Idź i baw się dobrze, a nie stój tu jak kat nad dobrą duszą! Nie zamierzam robić z siebie widowiska przed tymi wszystkimi ważniakami! Bywałam już wcześniej na przyjęciach, wiesz?

Odwróciła się na pięcie i odeszła, lecz zanim Francey zdążył zareagować, zbliżył się do niego Dessie z Mickiem i jego żoną.

- Shottley przyjechał. - Koniuszki wskazał przez pokój na siwowłosego mężczyznę w średnim wieku, który rozmawiał właśnie z panem domu.

Ogiery były ostatnią rzeczą, o jakiej Francey chciał teraz myśleć, lecz udał entuzjazm.

- O, to świetnie, podejść później i przedstawię się mu.

Potem, podczas rozmowy z Mickiem i jego małżonką, zobaczył nad głowami gości, że Fleur wróciła do gości. W żółtym *cheong-samie* była dla niego najpiękniejszą kobietą wśród przybyłych na przyjęcie i przez kilka sekund, podczas których Dessie i Mick ciągnęli swe rozważania o koniach, Francey czuł w sercu ból z miłości i dumy, że tak cudowna istota leżała naga w jego ramionach. Chwilę później ujrzał, jak Hazel podchodzi do Fleur.

Zerknąwszy na kanapę, zobaczył z ulgą, że Colin nadal jest zajęty rozmową z ojcem. Przeprósiwszy brata i Micka, Francey podszedł do dwóch kobiet, przerażony, że przyjaciółka może palnąć coś głupiego.

- Jak się bawicie, moje panie? - Uśmiechnął się do nich.

- O wilku mowa! - Hazel odpowiedziała mu złośliwym uśmiechem, potwierdzając najgorsze obawy. - Właśnie opowiadałam Fleur, jak uratowałeś mi życie. Szkoda, że go nie widziałas, moja droga - zwróciła się do tamtej i z entuzjazmem mówiła jej szczegółowo o bohaterstwie i rycerskości Franceya. Jakoś dziwnie brzmiał mu w uszach dubliński akcent piosen-

karki, gdy wymawiała imię - „Flewer” - jakby piosenkarka za mocno się starała.

Fleur pociągała małe łyżki sherry ze swego kieliszka i uprzejmie słuchała żenującego peanu pochwalnego na jego cześć; mimo wcześniejszych zapewnień Hazel o przyjaźni między nimi, Francey dostrzegł wyraźnie, że było to uczucie szalenie jednostronne.

- Mam wrażenie, że biedaczka dość już się nasłuchiwała o mnie jak na jeden dzień - wtrącił, kiedy przyjaciółka zamilkła na moment, by nabrać tchu. - Masz ochotę na następnego drinka, Fleur?

Ku jego rozpaczy to Hazel jednym haustem opróżniła swą szklanekę i wyciągnęła ją ku niemu.

- Wielkie dzięki, słonko!

- Przepraszam bardzo. - Żona Colina skinęła głową w kierunku pozostałych gości. - Muszę porozmawiać z mężem.

Kiedy odeszła, Francey złapał Hazel za ramię.

- Do czego zmierzasz?!

- Usiłuję podbudować twój wizerunek w jej oczach, rzecz jasna! - Na twarzy przyjaciółki pojawiła się uraza. - I ładnie mi za to dziękujesz!

- Przepraszam. - Zawstydzony młodzieniec uwolnił jej ramię. - Jestem po prostu zdeenerwowany. Wiem, że się starasz i doceniam to, ale może nie powinnaś robić tego tak... agresywnie?

- Nie ufasz mi? - Patrząc w jej zielononiebieskie oczy obrysowane czarną kredką, Francey czuł się zobowiązany przyznać, że owszem ufa. - W takim razie zamknij się i daj mi działać. - Hazel poklepała go po dłoni babcinym gestem. - Jeszcze mi podziękujesz, zobaczysz.

Zanim zdołał ją powstrzymać, ruszyła za Fleur do wianuszka osób zgromadzonych przy George'u i usadowiła się na kanapie między nim a jakimś innym mężczyzną. Pomachała władczo do Franceya niczym sama Królowa Matka, a później, ku jego przerażeniu, wskazała na Fleur, która w tej chwili patrzyła w drugą stronę, i uniosła oba kciuki w żartobliwym geście zwycięstwa.

Ktoś, kogo imienia Francey nie pamiętał, spytał go o coś i młodzieniec instynktownie zerknął z prośbą o pomoc w kierunku trójki przyjaciół. Dzwonki alarmowe rozdzwięczały się w jego głowie, kiedy zobaczył, że Dessie ma zarumienione policzki i macha ręką nad głową, aby dowieść czegoś słuchaczom. Co gorsza, w drugiej dłoni trzymał szklanekę z płynem, który podejrzanie przypominał whisky. W ciągu ostatnich pięciu minut wesołe przyjęcie stało się dla

Franceya koszmarem.

Zawahał się przez chwilę; nie wiedział, do kogo podejść ani z kim rozmawiać - i wtedy właśnie zaanonsowano kolację.

Hazel bardzo uważała, by podczas posiłku nie rzucać się Franceyowi w oczy. Wszystko szło całkiem nieźle, a fortuna, którą wydała na nowe stroje, zwróciła się w chwili, gdy zobaczyła minę Cudownego George'a, gdy młodzieniec przedstawił ją ojcu.

- Dawnośmy się nie widzieli! - Uśmiechnęła się do pana domu, a potem, nie dając mu czasu na reakcję, przeszła do następnego gościa z miną królowej Saby.

Krótko po tym, jak podano kolację, George podszedł do Hazel, blokując jej widok na resztę pokoju swym szerokim torsem.

- Nie zamierzasz sprawiać kłopotów, co?

Zapewniła go, że nie tylko nie zamierza mu robić kłopotów, ale jej zainteresowanie jego osobą jest mniej niż zerowe.

- Nie dałabym się z tobą przyłapać i za milion lat, George! To mocno nadwerężyło jego ego.

- Ja także nie mam na ciebie ochoty, słoneczko.

W tym momencie Hazel odniosła niekwestionowane zwycięstwo: kiedy odwrócił się, by odejść, wyciągnęła dłoń i uszczypnęła go w nos.

- Och, skarbie, jakże nisko upadłeś! Czy tylko na to cię stać, mój ty niegdyś złotousty aniołeczku?

Nie dając mu szansy na odpowiedź, odwróciła się na pięcie i wzięła kanapkę z łososiem z tacy niesionej przez pokojówkę w białych rękawiczkach; gdy ponownie skierowała oczy na George'a, już go nie było.

Skubiąc kanapkę, Hazel rozmyślała o swym prawdziwym zadaniu na ten wieczór. Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem i trzymała się siostry syjamskiej niczym rzep psiego ogona, mimo największych wysiłków ze strony tej ostatniej, by jej się pozbyć. Fleur przedstawiała sobą typ kobiety, jaki jeden z jej scenicznych kolegów nazywał „enigmą” - co do tego nie miała wątpliwości. Stała teraz u boku męża po drugiej stronie szklanego stołu z wyrazem całkowitego braku zainteresowania na twarzy. Ta syjamska siostra przydaje złego znaczenia słowu „bezwyrazowy”, pomyślała Hazel. Była piękna, co do tego nikt nie mógł mieć wątpliwości, ale dokładnie w ten sam sposób, w jaki ludzie uznają za piękny miecz lub weneckie szkło: nikt nie miałby nic przeciwko temu, by znalazła się u niego w domu na ścianie lub w

kredensie. A jeśli chodzi o cechy ludzkie: Hazel, która szczyciła się tym, że potrafi bezbłędnie ocenić naturę człowieka, nie mogła uwierzyć, że mężczyzna tak pełen intuicji, ciepła i miłości jak Francey Sullivan zakochał się w kimś tak lodowatym. Musiała powodować nim jedna z dwóch przyczyn: albo było to kolejne potwierdzenie starego przysłowia, że przeciwieństwa się przyciągają, albo Fleur okazała się niezwykle utalentowana w sprawach łóżkowych. Jeżeli tak jest w istocie - to nic nie da się zrobić. Sprawa zamknięta. Tego rodzaju namiętność szybko zmienia się w popiół.

A jednak przyglądając się tej kobiecie - żółtej lilijce stojącej skromnie u boku męża - Hazel nie mogła uwierzyć, aby tamta w łóżku stawała się tygrysią. Nie chodziło nawet o to, że Fleur sprawiała wrażenie tak chłodnej - niektórzy z najseksowniejszych ludzi na świecie nie okazują po sobie tego ognia publicznie - chodziło o coś znacznie głębszego. Instykt podpowiadał piosenkarce, że żonie Colina brakuje jakiegoś podstawowego uczucia i gdyby tylko udało się zachwiać tym jej lodowatym spokojem, może Hazel zrozumiałaby, o co chodzi. Gotowa była się założyć o własną głowę, że pod interesującym ciałkiem Fleur Mannering ukrywa coś znacznie bardziej fascynującego.

Kiedy Hazel planowała tę wyprawę, uważała ją za zwykłą walkę: Fleur przeciw niej i niech lepsza zwycięży. Rzeczywistość wszakże okazała się mniej podobna do sztuki Boucicaulta, a bardziej do horrorów Hammera lub filmów z Bette Davis. Przy czym Fleur była cholernie dobrą aktorką, Hazel musiała jej to przyznać: nikt z gości nie miał najmniejszych podstaw, by przypuszczać, że tarzała się w sianku z bratem swego męża.

Jednak im więcej teraz o tym myślała, tym bardziej czuła, że ta kobieta nie kocha Franceya, a wszystko to, co on opowiadał o różnicach kulturowych, to wysrane z palca brednie: miłość to miłość, a seks to seks, bez względu na długość i szerokość geograficzną.

A może to tylko sprawa mojego własnego zaangażowania, pomyślała Hazel ponuro, może już tracę to słynne wycucie sytuacji? Zmarszczyła brwi na widok starszawego jegomościa, który szedł w jej kierunku, i wycofała się za ogromną palmę w donicy, chcąc mieć czas na zastanowienie. Na próżno jednak.

Nie był to pierwszy raz, gdy ten typ usiłował się do niej zbliżyć i zupełnie nie zraziła go jej ponura mina.

- Witam panią! - Uśmiechnął się do niej, ukazując długie i żółte zęby jak u konia. On też był już lekko wcięty. Hazel, doświadczona w radzeniu sobie z tego typu okazami, zmroziła go spojrzeniem, lecz najwyraźniej tego nie zauważył. - Shottley - przedstawił się, zionąc alkoholo-

lem. - Pułkownik, przyjaciel rodziny. A ty nie masz mi nic do powiedzenia?

Zanim zdołała rozszyfrować ten wątpliwej jakości komunikat, facet sięgnął łapą w kierunku jej talii.

- Trzymaj grabie przy sobie, pułkowniku! - Odepchnęła jego rękę. - To nowa sukienka i nie chcę jej oddawać do czyszczenia po pierwszym włożeniu.

Ku zaskoczeniu Hazel, zareagował na jej protest gardłowym chichotem i postukał się palcem w bok nosa, jakby dała mu bardzo ważny sygnał.

Hazel nie czekała, by dowiedzieć się, o co mu chodzi, lecz ruszyła do stołu, przy którym chłopak w białej czapce kroił pieczone jagnię. Zawróciła jednak, gdy dostrzegła spojrzenie Franceya; zdawało się jej, że zaprasza ją do rozmowy. Zauważyła, że są jakieś kłopoty z Dessiem, który pił, lecz jak na razie nie miała do tego głowy.

- Aa... tu jesteście! - Wiedząc doskonale, że zachowuje się jak potwór, zatrzymała Fleur i Colina, którzy właśnie szli przez pokój.

- Witamy! - W odróżnieniu od żony Colin nadal zachowywał się uprzejmie, jakby miał wszczepioną tę cechę i nie panował nad nią. - Francey opowiadał, że w Irlandii jesteś piosenkarką - mówił dalej. - Musisz wieść szalenie interesujące życie.

- Tak! - odrzekła Hazel z entuzjazmem. - Ale z pewnością nie tak interesujące, jak ty i Fleur. Te podróże... czy często podróżujesz z mężem, Fleur? - Popatrzyła na nich jak najszerzej i najniewinniej otwartymi oczyma i dokończyła kanapkę z łososiem.

- Nie. - Tamta nawet nie podniosła na nią wzroku. - Muszę się zajmować synem.

- Chyba czujesz się strasznie samotna. - Hazel się uśmiechnęła. - Tyle czasu spędzasz sama. Francey mówił mi, że mieszkacie w Londynie?

Jednak tamta nie zareagowała na wyzwanie; teraz też nawet nie raczyła spojrzeć na swą rozmówczynię.

- Tak.

- W mieszkaniu czy w domku?

- W mieszkaniu - wtrącił Colin. - Ale opowiedz nam o sobie, bardzo proszę.

Więc Hazel zmuszona była odpowiedzieć na standardowe, mało interesujące pytania dotyczące jej kariery i Irlandii. Później, zdecydowana wrócić na wcześniejszy kurs choć okrężną drogą, spytała Colina:

- A ty byłeś kiedyś w Irlandii? - Stali teraz przy stole, na którym pojawiły się kolejne dania: ryby, sałatki, i różne rodzaje mięs na zimno. - Sałatki? Bardzo proszę, może ja nałożę... -

Wrzuciła kilka pełnych łyżek pokrojonych zielonych listków na talerz Fleur. - Jestem pewna, że Francey wiele ci o niej opowiadał, Fleur - dodała, przyglądając się bacznie twarzy kobiety; gdy nie zauważyła żadnej reakcji oprócz niezobowiązującego uśmiechu, ciągnęła: - Szkoda, że nie widzieliście wioski, gdzie się wychował... To istny koniec świata. - Przez następne parę minut opowiadała im o przyładku Béara i planowała kolejny atak.

W ciągu następnych dziesięciu minut usiłowała znaleźć jakąś rysę w zbroi Fleur, aby zadać cios, lecz nie udało się jej to. Za każdy razem kiedy podchwyciła spojrzenie Franceya, uśmiechała się do niego szeroko lub machała albo też na inne sposoby dawała do zrozumienia, że wszystko pod kontrolą.

Musiała przyznać, że przerażony wzrok, jakim na nią patrzył, dostarczył jej niewiarygodnie złośliwej satysfakcji.

Dopilnowawszy, by wszyscy mieli pełne talerze, George znalazł się sam. Rozejrzał się po jadalni z dumą: ogromna przestrzeń rozbrzmiewała głosami gości, z radością pochłaniających kolację. Pomyślał, że skoro jest znowu wolnym strzelcem i prawdziwym panem tego domu, musi częściej urządzać przyjęcia, by rozruszać starych sąsiadów.

Za czasów Jool nieraz wydawali kolacje, lecz uczestniczył w nich raczej z obowiązku i sprawiały mu znacznie mniejszą przyjemność niż ta teraz. Większość przeznaczona była na cele dobroczynne, tak więc stawiały się na nich despotyczne matrony z komitetów londyńskich wraz ze swymi bezbarwnymi mężami. Tym razem zaś udało się wcale nieźle - towarzystwo było odpowiednio zmieszane: kilku członków rodziny, kilku znajomych, sąsiedzi i nawet stary Shottley z... skąd on tam pochodził? George jakoś nie mógł sobie przypomnieć. Na widok pułkownika znowu ukłuło go sumienie: zbyt długo odkładał na później podjęcie decyzji, co zrobić z końmi i stajnią. Jakoś stracił zainteresowanie nimi: za życia Jool musiał mieć sensowne hobby, które pozwalałoby mu miło spędzać czas; teraz miał aż za dużo innych radosnych zabaw i przygód. Tak, pomyślał, naprawdę trzeba coś zrobić z tymi zwierzętami. Ale jeszcze nie teraz. Miałby wtedy na sumieniu wszystkich owych ludzi, których pozbawi pracy, a to nie byłoby zbyt miłe. W dodatku musiałby zadać sobie trud i znaleźć nabywców na shiry. No i co z tego, że konie zjadały co miesiąc małą fortunę? Stać go na ich wykarmienie; szły na to pieniądze, które Jool w swym testamencie przeznaczyła na utrzymanie domu. Ale już wkrótce się tym zajmie.

Od śmierci żony George stale się zdumiewał, ile czasu i sił umysłowych trzeba przeznaczać co dzień, aby po prostu utrzymać dom i służących w ryzach, i aby sprawy na koncie ban-

kowym szły jak należy.

A jeśli chodzi o kwestie rodzinne, kto by pomyślał, że w ciągu czterech miesięcy mężczyzna może stracić żonę i odnaleźć dwóch synów? Rozejrzawszy się po pokoju, zobaczył wszystkich trzech: Francey i Dessie rozmawiali z głównym koniuszym i jego żoną, a Colin z Fleur... i dziw nad dziwy, z Hazel Slye. Kiedy zszedł na dół na przyjęcie i przekonał się, że to ona jest ową „starą przyjaciółką z Irlandii”, którą zaprosił jego syn, musiał przywołać na pomoc cały swój aktorski kunszt, by nie dać po sobie znać, jak bardzo nim to wstrząsnęło. Choć nie widział jej od blisko dwudziestu lat, aż nazbyt dobrze pamiętał okoliczności ich rozstania; w rzeczy samej poczuł nawet bolesne miejsce na pośladku, w które wtedy go kopnęła.

Przyglądał się jej teraz, jak gestykułuje, pochłonięta żywą rozmową. Usta mu drgnęły na wspomnienie entuzjazmu, z jakim kiedyś Hazel uczyła się seksu i jak szybko czyniła postępy; była jedną z jego najlepszych uczennic. Z całą pewnością bardzo się zmieniła, choć nie na gorzej: figurę miała, jeżeli już, to lepszą, niż pamiętał z dawnych czasów i wyglądało na to, że wreszcie nabrała dobrego gustu, gdy chodzi o stroje.

Ogólnie rzecz biorąc, pomyślał George, nie miałbym nic przeciwko następnej rundzie z tą panią...

Spekulując na temat Hazel, automatycznie zlustrował wszystkie inne atrakcyjne młode kobiety w pokoju i wtedy stała się rzecz zadziwiająca. Po raz pierwszy w życiu na myśl o umizgach i przedłózkowych umizgach na paluszkach, zrobiło mu się zimno. A jakby tego jeszcze było mało, jego wzrok spoczął na Franceyu i Dessiem, którzy spokojnie jedli kolację, wciśnięci w kąt wraz z Mickiem O'Dowdem i jego ładną małą żonką. George, który na prawo i lewo szczyił się swym doskonałym zdrowiem, poczuł nagle, że serce zaczęło mu dziwnie kołatać w piersi. Kiedy usiłował coś na to poradzić, rozmowy w pokoju stawały się nagle coraz głośniejsze, dopóki on - który tak uwielbiał podobne okazje - nie zaczął się tutaj dusić. Zasygnalizował jednemu z kelnerów, by przyniósł mu kolejny kieliszek wina, przeprosił grupkę osób stojącą najbliżej i przeszedł do najbliższej łazienki. Zamknąwszy za sobą drzwi, oparł się o nie i zmusił do spokojnego, głębokiego oddychania.

W ciągu minuty lub dwóch poczuł się znacznie lepiej, a jego serce wróciło do normalnego, miarowego rytmu. Co też się dziś z nim wyrabia?

Dopiero późnym wieczorem Hazel nadarzyła się sposobność, by porozmawiać z Fleur w cztery oczy. Jakaś godzinę po kolacji całe towarzystwo podzieliło się na większe, bardziej odprężone grupki, dobrane głównie pod względem wieku i zainteresowań. Młodszy wyskoczyli na

parkiet i zaczęli tańczyć lub rozparli się wygodnie na kanapach, podczas gdy starsi, bardziej zramolali, prowadzili rozmowy, siedząc w fotelach. Grupa Franceya, która trzymała się blisko siebie przez cały wieczór, a niedawno powiększyła o namolnego pułkownika Shottleya, zajmowała kąt salonu, ten sam od godziny. Hazel, ignorując wszelkie sygnały, że nie jest mile widziana, cały czas kręciła się niczym ćma wokół Manneringów.

W pewnym momencie doszedł ją od strony parkietu zapach marihuany i po raz pierwszy podziękowała Bogu, że się nie naćpała; czuła, że Fleur załamie się prędzej czy później; to tylko kwestia czasu. Choć jak dotąd tamta nie okazywała żadnych oznak zniecierpliwienia. Ukochana Franceya cały czas zachowywała się tak, jakby nic na świecie jej nie interesowało.

Szansa, by zaatakować gwałtowniej, pojawiła się około jedenastej wieczorem, kiedy goście zaczęli wychodzić z salonu, a przyjęcie przeniosło się do holu i wielu gościnnych pokoi.

Hazel, która od jakiegoś czasu walczyła z bólem głowy, nie należała do wielbicieli Shirley Bassey i odetchnęła z ulgą, gdy popisy wokalne tamtej zmieniono na łagodniejsze zawożenia Matta Monro, Ruby Murray i Peggy Lee. Tańczyła właśnie z mężczyzną, który prosił ją o to tyle razy, że wreszcie nie mogła mu odmówić, i nagle kątem oka zauważyła, iż Fleur dotyka ramienia męża i szepcze mu coś do ucha. Później podeszła do drzwi. Przeszukawszy wzrokiem pokój i nie znalazłszy Franceya, Hazel pośpiesznie przeprosiła swego partnera i pobięła za żoną Colina.

- Hej, Fleur! - Gdy tamta się odwróciła, Hazel z przyjemnością zobaczyła w jej oczach błysk. - Czy mogłybyśmy porozmawiać na osobności?

- O czym? - Ukochana Franceya cofnęła się, a alabastrową gładkość jej czoła poznały zmarszczki.

- To sprawa poufna - odparła odrzekła spokojnie Hazel, porzucając miły wyraz twarzy, który z wysiłkiem prezentowała przez cały wieczór.

- Długo ci to zajmie? - Fleur zmarszczyła brwi. - Jestem trochę zmęczona.

- Nie zamierzam trzymać cię ani sekundę dłużej niż to konieczne, obiecuję. Może przejdziemy do mojego pokoju... to niedaleko. - Poprowadziła ją korytarzem. - O, cholera! - zaklęła, gdy dotknąwszy klamki, poczuła lekkie szarpnięcie. - Ktoś naprawdę powinien coś zrobić z tą elektryzacją! Może otworzyć okno! - Ssąc obolałe palce, odsunęła się, by wpuścić Fleur do sypialni; zamknęła drzwi i odgłosy przyjęcia ucichły.

Pokój Hazel był równie wielki co pozostałe sypialnie gościnne. Urządzono go w odcieniach różu i szarości; oświetlony był co najmniej siedmioma lampami.

- Przepraszam za bałagan. - Spróbowała pobieżnie uprzątnąć rzeczy: zdjęła pończochy z oparcia krzesła i wygładziła pościel na łóżku. - Pokojówka przyszła posprzątać, ale ją odesłałam. Wolę robić to sama - dodała tonem zwierzenia; gospodyni rozmawiająca z gospodynią. - Wiesz, jak to jest, Fleur... a tak przy okazji, masz przepiękną suknię. Z Syjamu, nieprawdaż?

- Dziękuję, ale nie... Nie pochodzi z Tajlandii, a pokój wygląda doskonale. Czy mogłybyśmy przejść do sedna sprawy, proszę?

Hazel była zadowolona, że przynajmniej trochę przebiła się przez skorupę tamtej.

- Oczywiście, kochanie. - Spojrzała jej prosto w oczy. - Chciałabym wiedzieć, jakie masz zamiary wobec Franceya Sullivana.

Kiedy Fleur usłyszała swe imię w korytarzu i zobaczyła znowu tę koszmarną babę, po raz pierwszy od dawna musiała bardzo się starać, by zachować spokój. Miała nadzieję, że zdoła uciec do pokoju bez zbędnego szumu, lecz teraz zrozumiała, że to płonna nadzieja: ta kobieta była jak pijawka.

Wieczór okazał się znacznie koszmarniejszy, niż się spodziewała. Chociaż nie uważała tego za specjalnie niebezpieczne, gdy jej bogaci i hojni przyjaciele znajdowali się pod jednym dachem - najważniejszą zasadą gry, którą uprawiali, była absolutna dyskrecja - Fleur zirytował przyrodni brat Colina, który najwyraźniej nie potrafił przestrzegać tej reguły. Bez względu na diamentowy zegarek, który jej ofiarował, postanowiła, że nie chce mieć więcej do czynienia z Franceyem. Przynajmniej dopóki nie zrozumie owych zasad.

Jego zachowanie jednakże nie było najgorszym doświadczeniem tego wieczora: najkoszmarniejszym elementem przyjęcia okazało się towarzystwo tej irytującej Irlandki. Patrząc teraz na nią i rozważając pytanie, doświadczyła dotąd nieznanego uczucia: chciała wyrządzić tamtej fizyczną krzywdę.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odrzekła sztywno.

- Ależ masz, masz... - powiedziała tamta. - Posłuchaj, Fleur, ten biedak usycha z miłości do ciebie. Zdaje mi się, że wiesz o tym. Pytam tylko, co ty do niego czujesz. Prosto w oczy.

Fleur przyjrzała się jej krótkiej sukience i koszmarnym butom; a także oczom, które mógł namalować szalony awangardowy malarz.

- Co czuję, a czego nie, to absolutnie nie twoja sprawa - odparła łagodnie.

- I tu się mylisz, słoneczko. Bo widzisz, ja także byłam z nim w łóżku. I szczerze mówiąc, nie miałabym nic przeciwko, by to powtórzyć, tylko, że on nie może się otrząsnąć z wrażenia, które na nim zrobiłaś. Chyba nie jesteś czarownicą, co? - dodała tonem przyjemnej kon-

wersacji i jeśli chciała tym wytracić swą rozmówczynię z równowagi, udało jej się doskonale.

- Że co, przepraszam? - Fleur grała na zwłokę.

- Słyszałaś... mówiłam żartem, lecz teraz wcale nie jestem pewna. Ten chłopak chodzi jak zaczarowany, co do tego nie mam wątpliwości. Więc co? Kochasz go czy nie? On uważa, że ma u ciebie szansę.

Dopiero wtedy Fleur dostrzegła możliwości zawarte w tej rozmowie. Francey może zacząć stwarzać problemy, lecz jeśli ona rozegra sprawę w odpowiedni sposób, ta kobieta wybawi ją z kłopotu. Fleur błyskawicznie dokonała kalkulacji i zrozumiała, jak głupio postąpiła, obiecując mu następne spotkanie; już nigdy więcej nie popełni tego błędu.

- Nie dałam mu żadnego powodu, by tak sądził - powiedziała. - Jeśli się zakochał, mnie to zupełnie nie interesuje.

- Jezu Chryste! - wykrzyknęła Hazel. - Ale ciebie to podnieca, co? Ostrzegam cię, Fleur... - Oczy, które znajdowały się wyżej niż źrenice Fleur tylko dzięki obcasom, zwężyły się we wściekle szparki. - Nie zbliżaj się już więcej do tego chłopca! Albo ja ci dokopię! - Potrząsnęła wojowniczo głową, tak że włosy rozsypały się w nieładzie i przypominały teraz nastroszoną sierść rozzłoszczonego białego spaniela.

Choć Fleur nigdy wcześniej nie słyszała takiego wyrażenia, widząc teraz oczy tej kobiety, doskonale rozumiała, o co chodzi. Wiedziała też, że Hazel nie zawaha się wykonać obietnicy.

- Jak sobie życzysz. - Wzruszyła ramionami.

- Nie wierzysz mi, co? - Irlandka uśmiechnęła się paskudnie. - Ale jeszcze nigdy w życiu nie mówiłam poważniej. Podobno miałaś nieciekawe dzieciństwo czy coś w tym stylu, ale to nie daje ci prawa do bawienia się ludźmi. No, cóż... powiem ci, że pochodzę z dzielnicy Dublina, w której dzieci mogą wykluć ci oczy, by mieć czym grać w kulki, więc nie igraj ze mną! I nie igraj z moimi przyjaciółmi. Zrozumiano, pani Mannering?

W czasie tej przemowy, podczas której jej przeciwniczka aż trzęsła się ze złości, Fleur zastosowała trick, który doskonale jej pomógł, gdy klient żądał czegoś nieprzyjemnego. Udała, że jej dusza oddzieliła się od ciała i wyobraziła ją sobie, jak ulatuje wysoko w niebo i spogląda bez emocji na wszystko, co dzieje się poniżej. Nic nie mogło jej dotknąć w tym stanie.

- Proszę, nie przeklinaj. - Jej wargi poruszyły się bez udziału duszy. - Skończyłaś już? - I dusza obserwowała, jak ciało wychodzi z pokoju.

Francey tańczył, czy może, aby mówić dokładnie, szurał stopami po parkiecie do taktu

jednej z piosenek Ruby Murray „Softly, softly” z długowłosą dziewczyną, która opierała się o jego pierś. To był istny koszmar.

Chociaż w ciągu ostatnich paru miesięcy przestał być nieśmiałym niezdarą, nadal nienawidził sztuczności przypadkowego zgromadzenia kobiet i mężczyzn w jednym miejscu, dania im muzyki i alkoholu, a następnie pozostawienia ich samym sobie, by jakoś to rozegrali. Wiedział, że większość ludzi uważa, iż potańcówki kryją w sobie magię czy nawet są romantyczne, lecz on wolałby być w tej chwili gdzie indziej, Boże uchronij, nawet za ladą u Ledbettera.

Mała grupka, z którą spędził większą część wieczoru, zmierzała ku katastrofie: Dessie pił, pułkownik był już praktycznie zalany, podobnie jak Mick, z którym omawiał linie krwi ciężkich koni począwszy od krucjat i bitwy o Hastings; żona Micka słuchała owych wywodów z kamienną twarzą. Najgorsze jednak było to, że już od jakiegoś czasu młodzieniec nigdzie nie widział ani Fleur, ani Hazel.

Przydługa piosenka ciągnęła się w nieskończoność, a dziewczyna tuliła się do Franceya, poruszając wolno nogami; tak mocno opierała się o jego ramiona, że zaczął się zastanawiać, czy aby nie zasnęła.

Później zobaczył z ulgą, jak Hazel weszła do pokoju i rozejrzała się wokół. Zaczekał, aż spojrzy w jego kierunku i przewrócił oczyma, wskazując jej Dessiego; machnęła ręką na znak, że rozumie i podeszła do grupki stojącej w kącie.

Chwilę potem melodia dobiegła końca.

- Bardzo dziękuję - powiedział Francey, nie dając partnerce szansy na zaproponowanie czegokolwiek. - Masz może ochotę na spacer, Hazel? - Musiał się dowiedzieć, czy rozmawiała z Fleur... a jeśli tak, to o czym.

- Jasne. - Poszła za nim w odosobniony kąt pokoju.

- No i? - spytał.

- No i co? - Miała dziwnie ponurą minę.

- Nie było cię przez sto lat, podobnie jak Fleur. Czyżbyście rozmawiały?

- Nie chcę o tym mówić, nie teraz. - Spojrzała mu w oczy. - Za duży tu hałas, Francey.

- Powiedziałaś jej coś, prawda?! Wiedziałem... - Poczuł, że ogarnia go panika. - Hazel, jak mogłaś?

- Uspokój się, dobrze? Stoisz mi na palcach. - Wpatrywała się w niego ze złością.

- Musisz mi wszystko opowiedzieć! - Złapał ją za ramiona tak mocno, że poczuł drobne kości.

- Au! To boli! - Odepchnęła go i po chwili powiedziała: - No dobrze... ale nie tutaj. W moim pokoju.

Francey poszedł za nią posłusznie. W tej chwili nic go nie obchodziło, że Dessie żłopie whisky jak lemoniadę. W momencie gdy Hazel zamknęła za nimi drzwi sypialni, ponownie złapał ją za ramiona.

- Co się stało?! Powiedz mi, na miłość boską.

- A skąd wiesz, że cokolwiek się stało? - Spróbowała się wyswobodzić.

- Hazel! - warknął ostrzegawczo Francey.

- Puść mnie - odrzekła cicho. - Usiądź, bo dostaję skurczów w szyi od patrzenia ci w oczy.

- Przestań mnie zbywać i zacznij gadać. - Pomyślał jednak, że Hazel nie otworzy ust, dopóki jej nie posłucha, więc przysiadł na brzegu łóżka.

- Nic się nie wydarzyło. - Zaczęła przechadzać się po pokoju. - W każdym razie niewiele. Nie mogłam nic z niej wyciągnąć.

- Nic o czym? - Francey był przerażony. - Rozmawiałaś z nią o mnie?! Na miłość boską, Hazel, nie miałaś prawa!

Zatrzymała się na środku sypialni i odwróciła do niego z wysoko uniesionym podbródkiem.

- A kto mówi, że rozmawiałyśmy o tobie? - spytała. - Po prostu usiłowałam się dowiedzieć, na jakich zasadach ona funkcjonuje. Z twojego powodu, rzecz jasna, lecz nie jestem aż tak głupia, by wyskoczyć z tym tak od razu.

Młodzieniec odetchnął z ulgą.

- Jesteś pewna? W takim razie po co te tajemnice?

- Nie ma żadnych tajemnic - odrzekła Hazel. - Po prostu uważałam, że lepiej nie rozmawiać o moich konwersacjach z Fleur Mannering przy tych wszystkich ludziach kręcących się w salonie.

Dotarła doń logika jej myślenia.

- No i czego się dowiedziałaś? - spytał już z mniejszym lękiem.

- Posłuchaj. - Hazel podeszła doń i ujęła jego twarz w obie ręce. - Niczego się nie dowiedziałam, kochanie. Ale każdy nerw w moim ciele krzyczy, że na twoim miejscu bardzo bym uważała.

- Chodzi ci o Colina? Uważam. - Ułga była dla niego niczym wschód słońca. - Jeśli są-

dzisz, że powinienem uważać, to znaczy, że ona ci coś powiedziała. Oj, Hazel... - Złapał ją za rękę i przycisnął otwartą dłoń do ust. - Przepraszam, że w ciebie wątpiłem.

- Nie sądzisz, że powinieneś tam wrócić? W końcu jesteś jednym z honorowych gości. - Hazel spuściła wzrok. Była poważniejsza, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się ją oglądać.

- Oczywiście, oczywiście. - Skoczył na równe nogi i uściskał ją z całej siły. - Nie gniewaj się - błagał. - Przepraszam, że byłem dla ciebie taki niemiły. Po prostu strasznie się martwię. - Odsunął dziewczynę od siebie i przyglądał jej nastroszone włosy. Kiedy spróbowała zaprotestować, znowu ją przytulił. - Jesteś niesamowita, Hazel... nie wiem, co bym bez ciebie począł. Wracajmy na przyjęcie, martwię się o Dessiego.

- Oj, Francey, i co ja mam z tobą zrobić? - Ku swemu zaskoczeniu zobaczył w jej oczach łzy, gdy wymierzyła mu jedno ze swych normalnych klepięć w ramię. - Przypominasz mi tę starą cholerną panią Kennedy z Castlerosse... - Porównała go z postacią z opery mydlanej nadawanej przez radio Eireann. - Zawsze się o kogoś martwisz. Posłuchaj, jesteśmy na przyjęciu. Jutro rano muszę wstać o świcie, więc może pozwolisz mi się teraz trochę zabawić?

- A co z...

- A co z nikim - przerwała mu. - A co ze mną? Chcę się napić, dobrze?

Przyjęcie weszło w ostatnią fazę i niektórzy z gości zaczęli już mruzczyć o długiej drodze do domu, podczas gdy inni tańczyli policzek przy policzku, badając nawzajem swą strukturę kostną. Grupka Franceya, która najwyraźniej zaanektowała sobie prawo do odległego kąta, nadal znajdowała się *in situ*. Dessie, kurząc jednego ze swoich woodbine'ów, wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń i zdawał się nie stwarzać zagrożenia ani dla siebie, ani dla kogokolwiek innego. Francey postanowił zostawić go w spokoju.

Kiedy tylko weszli do salonu, pułkownik, strasznie już pijany, lecz niestety, pewnie trzymający się na nogach, poprosił Hazel do tańca. Tak więc Francey poczuł się zobowiązany zaprosić na parkiet bezbarwną żonę Shottleya, która wstała bez słowa i z torebką dyndającą z łokcia uniosła ramiona, by mógł ją poprowadzić. Po kilku próbach nawiązania rozmowy Francey zarzucił daremny trud i skoncentrował się na nienadeptywaniu jej na palce. Hazel i pułkownik stali pośrodku parkietu. Obrócił panią Shottley, by widzieć, co się dzieje. Hazel patrzyła na swego partnera tak, jakby przed chwilą poraził ją piorun.

Fleur leżała na jednym z podwójnych łóżek w pokoju, który dzieliła z Colinem. Była wściekła na siebie, że pozwoliła, by kobieta wytrąciła ją z równowagi. Ściany domu były bardzo grube, lecz sypialnia, choć oddzielona od salonu małym prywatnym salonikiem, nie została

mocno wyciszona i doskonale słyszało się tu odgłosy przyjęcia. Ostatnio stanowczo zbyt często Fleur przyjeżdżała do Inveraray z Colinem: następnym razem mąż pojawi się tu sam. Skoro zabrakło Jool, nie ma powodu, dla którego ona powinna tu bywać. Skoncentrowała się przez kilka chwil, wyobrażając sobie, że zmęczenie wycieka z jej ciała jak woda z rynny; po paru minutach znowu poczuła się spokojna i czysta jak zawsze.

Fleur uśmiechnęła się, gdy w chłodnych, pustych obszarach jej myśli pojawiła się twarzyczka Tommy'ego. Kiedy myślała o synu, miała ambiwalentne uczucia: zawsze ciepłe i radosne, lecz jednocześnie ostre jak czubek sztyletu - tak łatwo ktoś mógł jej go odebrać. Jeden krok przed ciężarówką, której nie usłyszy, jedna wyprawa na basen, gdzie mógł uderzyć głową o kamienne kafelki. Fleur czasem wątpiła, czy powinna zachęcać Tommy'ego, by zniknął z jej oczu. Zerknęła na zegarek stojący przy łóżku - wpół do dwunastej. Istniała niewielka szansa, że mały jeszcze nie śpi - chociaż w soboty miał kłaść się o dziesiątej, Fleur wiedziała, że niania czasem się poddaje i pozwala mu siedzieć dłużej przy zapalonym świetle. Jakże chciała z nim się porozumieć.

Miała szczęście. Niania zawołała chłopca do telefonu i kiedy podniósł słuchawkę, Fleur - chociaż wiedziała, że nie ma sensu się odzywać - rozpoczęła skomplikowany rytuał, który wymyślili, by mówić sobie nawzajem, jak bardzo się kochają. Uderzyła trzy razy w słuchawkę, a Tommy po drugiej stronie przyłożył ją do krtani, dzięki czemu poczuł wibracje.

- Jak on się czuje? - spytała niani, kiedy już skończyli.

- Doskonale, pani Mannering, przemądrzały jak zawsze... Nie mam pojęcia, czego ich uczą w tej szkole... - Fleur rozpoznała po tempie wypowiedzi, że dziewczyna jednocześnie sygnalizuje palcami chłopcu, co mówi do matki, i poczuła ukłucie zazdrości. To ona powinna być tam z Tommym, a nie osoba wynajęta do pomocy.

- Powiedz mu ode mnie dobranoc - poprosiła Fleur i odwiesiła słuchawkę.

Nadal kompletnie ubrana położyła się na łóżku i zaczęła wpatrywać w sufit. Zamierzała poczekać jeszcze rok, lecz nagle poczuła, że nie może odwlekać wyjazdu ani chwili dłużej. Nadszedł czas, by wraz z Tommym ruszyli w drogę.

W salonie Dessie poczynił własne plany w kwestii nie tylko alkoholu, lecz także pewnej dziewczyny. Minęło już wiele czasu, odkąd ostatni raz miał kobietę - dziewictwo stracił wiele lat wcześniej, całkiem zwyczajnie, z kumpelką ze złodziejskiego gangu - i nie mógł się doczekać następnej okazji. Nie miał wątpliwości, że dziewczyna siedząca obok niego nie miałaby nic przeciwko temu - w rzeczy samej aż się do niego paliła, lecz musiał uważać. Był przekonany,

że gderający stary Francey nie pochwalilby tego.

Dessie wolałby, aby brat nie kręcił się tak wokół niego i nie tkwił mu nad głową jak kat nad dobrą duszą; tego wieczora Francey wyjątkowo działał mu na nerwy ciągłym pilnowaniem. No, dobra, myślał, jest wdzięczny za wszystko, co dla niego zrobił - i teraz naprawdę był bardzo szczęśliwy, że nie utonął w morzu. Szkoda, że przeciągnął przez to wszystko także i swego małego psiaka, ale wynagrodzi mu to; zresztą teraz będzie mógł trzymać tyle psów, ile dusza zapragnie. Mógłby wykupić całe psie schronisko w Battersea, gdyby miał na to ochotę. Pociągając whisky, Dessie czuł się lepiej i bardziej pewnie niż od wielu lat.

Nie tylko psy, ale i konie. Przysłuchując się opowieściom Micka o shirach, przytakiwał, lecz słuchał tylko jednym uchem. Doszedł do wniosku, że Francey i jego popaprany plan mogą iść do diabła: Dessie Scollard nie zostanie niczym popychadłem - kupi własne konie i będzie mieć własne życie.

Jednego był pewien - dobrze się stało, że przyjechał poznać ojca. George to naprawdę fajny gość, myślał, spokojny, przyjaciel wszystkich. Wiedział też, jak się zabawić, to widać na pierwszy rzut oka. Francey namawiał go, by porozmawiał z ojcem poważnie, twarzą w twarz, lecz Dessie nie widział po temu powodu. Co dobrego mogłoby wyniknąć dla nich obu z konfrontacji? Był teraz całkiem szczęśliwy, a sprawy mogły tylko potoczyć się lepiej. Chociaż naprawdę nie chciał się kłócić z Franceyem, starszy brat zaczynał go irytować - wydawało mu się, że zjadł wszelkie rozumy.

Z punktu widzenia Dessiego, Francey był naprawdę bezczelny, wygadując na ojca te wszystkie rzeczy. W końcu George wcale nie musiał być dla nich dobry; a jednak pozwolił im mieszkać w tym wspaniałym domu i zajmować się końmi. Wydał dla nich to superprzyjęcie. Chwilę później Dessie zorientował się, że na środku pokoju coś się dzieje: zobaczył przyjaciółkę Franceya stojącą naprzeciwko pułkownika Shottleya... Brat podszedł do nich...

Na oczach Dessiego Hazel pochyliła głowę, Francey dotknął ramienia dziewczyny, a pułkownik wraz z żoną wycofali się szybko.

Kiedy Francey przestał zwracać uwagę na Dessiego, ten powiedział Mickowi, że chce pogadać z pewnym gościem o psach. Wychodząc z pokoju, zwinął ze stołu prawie pełną butelkę whisky tuż pod nosem wyfraczonego jegomościa, który cały wieczór roznosił drinki.

George uwielbiał tańczyć, uwielbiał czuć w ramionach ciepłe kobiece ciało, harmonijne ruchy i obietnicę czegoś więcej. Jool, niech Bóg ją ma w opiece, miała dwie lewe nogi i dzięki temu podczas małżeństwa ominęła go jedna z większych przyjemności w życiu, tego wieczora

jednak musiał się ciężko napracować, by bawić się tak dobrze, jak zazwyczaj. Wszystko wydawało się w porządku - przyjęcie, muzyka, śliczna studentka, którą trzymał w ramionach i z którą wiązał spore nadzieje.

Ale George jeszcze nie do końca otrząsnął się z owego dziwnego uczucia, które nawiedziło go w łazience podczas kolacji. Choć na zewnątrz wypełniał obowiązki gospodarza z nie-naganną werwą - a dziewczyna w jego ramionach, córka wikarego z Portsmouth, patrzyła nań wielkimi oczarowanymi oczyma - nie mógł otrząsnąć się z niepokoju. Usiłował analizować owo uczucie, lecz nie udało mu się wymyślić nic oprócz tego, że czuł, iż nie pasuje do tego świata. Niech to szlag, pomyślał, całując partnerkę w ucho. Chyba jestem już na to wszystko za stary; podniósłszy wzrok, zobaczył Dessiego, który wychodził z salonu z butelką pod pachą. Zmarszczył brwi: to z pewnością oznaczało kłopoty.

Aż do tej chwili pomysł z urządzeniem przyjęcia - aby uniknąć konfrontacji z Dessiem twarzą w twarz - okazał się doskonały. A na dodatek, jak na razie - o ile George zdążył się zorientować - chłopak świetnie się bawił. Pasował do towarzystwa jak ulał mimo burczenia i gderania Franceya.

Kiedy jednak zobaczył wychodzącego z pokoju Dessiego, zdał sobie sprawę, że znowu odczuwa lęk.

Dopiero wtedy zrozumiał, że na tym przyjęciu niepokoi go widok dwóch młodych ludzi: Franceya i Dessiego. To o nich chodziło. Wszystko szło wprost wspaniale, dopóki Francey nie przywiózł tu młodszego brata. Teraz George pojął, że odkąd wpuścił ich do domu w tamtą śnieżycę, nic nie było już takie samo.

Z Colinem nie miał podobnych problemów, co - musiał oddać sobie sprawiedliwość - nie było tylko zasługą Jool. Colin miał świetny charakter i chciał pasować do życia George'a, więc szybko się zaadaptował. Wraz z ojcem ustalił zasady ich związku i świetnie się dogadywali. Ale ci dwaj... domagali się uwagi ojca.

Zwłaszcza Dessie.

Kiedy po raz pierwszy zjawił się w Inveraray, zachowywał się jak cień starszego brata, ale z upływem czasu stawał się coraz bardziej niezależny i gdy tylko nie siedział w stajni, George coraz częściej napotykał jego spojrzenie.

Teraz dobrze się nad tym zastanowiwszy, George zrozumiał, że ostatnio nie mógł spokojnie przebywać we własnym domu, nie napotykając tych wielkich, niewinnych oczu wpatrzonych w niego. Wyglądało to tak, jakby nagle stał się dla Dessiego bohaterem. Dobrze, że

choć od czasu do czasu mógł wyrwać się do Londynu i odetchnąć od chłopaka.

Do diabła! pomyślał znowu George. Dlaczego to się stało właśnie teraz?

A jednak... jednak... Starość w otoczeniu rodziny, jak marzyła Jool. To nie musi być takie złe, zwłaszcza gdy ma się choć jednego syna, który uważa cię za swego idola. Może nadszedł czas, by wreszcie uporządkować rodzinne sprawy? I może Francey jednak miał rację, gdy wypominał mu zaniechanie synów i całą tę resztę...

Bzdura! Złapawszy się na owych myślach, George tak bardzo się zdenerwował, że pomylił krok i musiał przeprosić partnerkę. Chwilę później zauważył, że pośrodku parkietu dzieje się coś dziwnego. Spoglądając w tamtą stronę, zobaczył Shottleya... i znowu Hazel. W samym centrum wydarzeń. Nic a nic się nie zmieniła.

A teraz pojawił się jeszcze Francey i ujął ją pod ramię...

George już miał zamiar dobrze odegrać swą rolę gospodarza i sprawdzić, o co chodzi, gdy przekonał się, że pijany pułkownik odchodzi, a Francey zaczyna rozmowę z Hazel.

Skoro syn nad wszystkim panuje, to on nie musi się tam pchać, postanowił George. Uśmiechnął się do ślicznej dziewczyny w swych ramionach i skupił na tańcu.

Jak się okazało, Francey wcale aż tak znowu dobrze nie panował nad sytuacją.

Pięć minut po tym, jak przestraszony Shottley wraz z żoną udali się po okrycia, Hazel nadal nie chciała mu powiedzieć, o co poszło.

- Coś musiało się stać - nalegał. - Obraził cię?

- Można to i tak ująć - odrzekła wreszcie cicho.

- Chcesz, żebym mu coś powiedział? Czym cię obraził?

- Posłuchaj, Francey, najlepiej zostawić to tak, jak jest. Nic się nie stało. - Nie potrafił nic wyczytać z jej oczu, co wydawało się jak na nią dość niezwykle. - Fajny z ciebie facet, wiesz? Nie powinnam wypuszczać cię z rąk.

Nalegał jeszcze przez parę chwil, lecz nie chciała już nic powiedzieć. Puścił ją dopiero, gdy wymawiając się zmęczeniem, oznajmiła, że idzie spać.

Dziesięć minut później, umyta i nakremowana, Hazel leżała pod ciepłą kołdrą. Nadal nie mogła uwierzyć własnym uszom! Ten cholerny stary cap, jak on śmiał przypuszczać, że chciałaby mieć z nim cokolwiek do czynienia! I wszystko tylko dlatego, że przez cały wieczór widział ją z Fleur Mannering.

I nawet nie wiedział, jak ważne informacje zdradził Hazel.

Rozdział siedemnasty

Godzina po godzinie Hazel walczyła z myślami; czy powiedzieć Franceyowi, czego się dowiedziała? Nie miała pojęcia, jak może zareagować na wiadomość, że kobieta, którą kochał - lub której pożądał - bo Hazel jakoś nie mogła uwierzyć, że uczucia młodzieńca wobec Fleur można określić mianem miłości - jest prostytutką. Ponadto miała dostateczne doświadczenie w podobnych sprawach, by wiedzieć, że przy takiej okazji najczęściej dostaje po głowie posłaniec przynoszący złe wiadomości.

Hazel nigdy by nie odgadła, co kombinuje Fleur, lecz kiedy się dowiedziała prawdy, kolejne fragmenty układanki automatycznie wskoczyły na swoje miejsca: owe niedopowiedzenia, obojętność i bierność, wrażenie, że tamta odcina się od wszystkiego, jakby problemy ludzkiej rasy były jej obce. To miało sens. Gazety w Irlandii rozpisywały się równie barwnie co angielskie na temat sprawy Profumo, Christine Keeler zaś dopiero dwa miesiące temu poszła siedzieć za zabawy bardzo podobne do tych, które uprawiała Fleur: układy, układziki, pieniądze z rączki do rączki i całe mnóstwo hojnych wujaszków.

Nie chodziło nawet o to, że Fleur Mannering przedstawiała sobą typ modelki czy aktoreczki, która bogato wyszła za mąż i cały czas jest jej małą; ta królowa śniegu należała do zupełnie innej ligi. Przez kilka minut Hazel zastanawiała się, jak dobra musi być Fleur w owe klocki, lecz szybko się poddała, gdyż obraz Franceya w łóżku z żoną Colina był zbyt bolesny.

A później zaczęły ją dręczyć problemy natury praktycznej. Nie wierzyła w teorię o prostytutce o złotym sercu, pani Mannering zaś - Hazel była gotowa założyć się o własną głowę - z pewnością nie należała do tanich zabawek. O ile zdążyła się domyślić, czytając między wierszami z opowieści Franceya o „wizytach” w londyńskim mieszkanku, Fleur co najmniej dwa razy była z nim w łóżku; udało się jej też ustalić, że ta kobieta go nie kocha. Więc musiał jej zapłacić? Albo komuś innemu?

Rozmyślała do późna w noc, aż w końcu miała wrażenie, że traci zmysły.

Wpół do trzeciej nad ranem podreptała do łazienki, by nalać sobie wody. Nie mogła uwierzyć, by żywa gotówka bezpośrednio przeszła z rąk do rąk: po pierwsze Fleur miała zbyt wiele klasy, a po drugie, nawet Francey nie był tak naiwny, by uwierzyć, że kobieta najpierw weźmie od niego pieniądze, a potem się w nim zakocha tak bardzo, że zdecyduje się na rozwód z Colinem i wyjdzie za niego.

W takim razie jak to się odbyło? Czy miała alfonsa lub opiekuna? Nie, Francey też nie

poszedłby na taki układ...

Gdy piła wodę, przyglądając się swemu nieumalowanemu odbiciu w lustrze, zrozumiała, że tej nocy odwaliła kawał naprawdę świetnej roboty. Teraz jedynie należało wyciągnąć własne korzyści z tej sprawy. Wróciwszy do sypialni, spojrzała z niesmakiem na skotłowane łóżko. Zazwyczaj spała jak dziecko, lecz tej nocy była zdenerwowana i spociała się jak mysz; żałowała, że nie przyniosła sobie do pokoju czegoś mocniejszego...

Podczas ostatniej półtorej godziny ciągle słyszała stłumiony warkot silników i szmer opon na podjeździe, lecz wiedziała, że pójście do salonu w poszukiwaniu drinka nie wchodzi w rachubę. Brała udział w tak wielu przyjęciach, że dałaby sobie głowę uciąć, iż na kanapach leży jeszcze co najmniej kilku ociągających się z wyjściem gości. Jednak gdzieś w tym domu musi być miejsce, w którym przechowuje się alkohole, najprawdopodobniej w kuchni...

Podszedłszy do drzwi, które wychodziły na główny korytarz, otworzyła je i wyjrzała ostrożnie. Hol, oświetlony tylko pojedynczą lampą, był pusty, podobnie jak korytarz z obu stron. Hazel wstrzymała oddech, lecz nie usłyszała żadnych oznak życia oprócz cichego syczenia centralnego ogrzewania. Włożyła szlafroczek ozdobiony całym mnóstwem koronek i wstążeczek - na wiele on się tu nie przyda, pomyślała gorzko - i wyszła ostrożnie z pokoju. Było tak cicho, że słyszała szelest nylonu ocierającego się o jej nogi, gdy szła na bosaka po grubym dywanie w kierunku kuchni.

Tak mocno skoncentrowała się, by nie robić hałasu, że gdy otworzyły się przedostatnie drzwi wychodzące na korytarz, podskoczyła ze strachu.

- Jezusie, Maryjo, Józefie święty! - Z mocno walącym sercem wpatrywała się w dziewczynę stojącą na progu.

- Z nim jest chyba coś strasznie nie tak. - Tamta mówiła niewyraźnie; miała na sobie tylko cienkie prześcieradło zarzucone na ramiona. Patrzyła na Hazel oczyma zimnymi niczym marmur.

Hazel nie pytała, z kim coś jest nie tak; wpadła do pokoju i jednym spojrzeniem objęła sytuację: rozrzucona pościel, przewrócona pusta butelka po winie, pełna popielniczka i kilka skrzętów.

Dessie na wpół siedział, na wpół leżał na łóżku, a głowa opadała mu na bok, na poduszki. Był całkiem nagi; z kącika ust wypływała mu czerwona strużka i plamiła pościel oraz poduszki.

- On krwa... krwa... - Dziewczyna, które weszła wraz z Hazel z powrotem do sypialni, nie mogła wymówić słowa.

Hazel, mająca na szczęście sporo doświadczenia w podobnych sprawach, przyjrzała się plamie.

- Nie, to nie krew - powiedziała uspokajająco. - To wino i inne świństwa. Zwymiotował.

Instynkt podpowiadał jej, by poszła po Franceya, lecz pomyślała, że i on niewiele tu zdziała. Dessie potrzebował fachowej pomocy medycznej.

- Pomóż mi tutaj - zarządziła tak stanowczym tonem, że nawet zamroczona marihuaną dziewczyna zareagowała z pośpiechem. Wspólnie podciągnęły Dessiego wyżej, do pozycji siedzącej, aby się nie zadusił, jeśli nawet znowu zwymiotuje. - Pilnuj go - poleciła Hazel, podeszła do telefonu i zadzwoniła na pogotowie, podając adres najdokładniej, jak potrafiła.

Zgadując, że Francey śpi w pokoju obok, zapukała i otworzyła drzwi; dwie głowy z konsternacją zwróciły się ku niej spod jednej kołdry.

- Przepraszam, to pomyłka! - Zamknawszy drzwi, Hazel sprawdziła pokój po drugiej stronie i w świetle padającym z korytarza z ulgą zobaczyła jasną czuprynę młodzieńca. - Francey! - Potrząsnęła nim.

- O co chodzi? - Obudził się natychmiast; oczy miał rozszerzone ze strachu.

Włączyła lampkę przy łóżku.

- O nic się nie martw. Dessie ma kłopoty, lecz wszystko jest już pod kontrolą.

- Jakie znowu kłopoty? - Usiadł na łóżku.

- Chodź i sam zobacz. - Zaskoczona swą niestosowną reakcją - na miłość boską, nie teraz! - odwróciła wzrok, gdy nagi Francey wyskoczył z łóżka. Patrzyła cały czas na własne stopy, podczas gdy on narzucał na siebie szlafrok; zastanawiała się z irytacją, dlaczego nikt w tym domu nie używa piżam.

Kiedy zaprowadziła Franceya do pokoju brata, młodzieniec ogarnął sytuację bez zbędnych wyjaśnień z jej strony.

- O mój Boże!

- Nie jest tak źle, jak się wydaje - zapewniła go Hazel. - Ale potrzebuje pomocy. Zadzwońłam po karetkę.

- Chyba lepiej się ubierz. - Francey zwrócił się do dziewczyny, która chwiała się na środku sypialni, nadal zawinięta w prześcieradło. - Możesz skorzystać z mojego pokoju... jest tuż obok. Ja z nim zostanę. - Kiedy wyszła, przysiadł na brzegu łóżka i przytulił bezwładną głowę Dessiego. - To wszystko moja wina, nie powinienem był się zgodzić na to przyjęcie.

- To nie jest niczyja wina. - Hazel mocniej otuliła się szlafrocikiem; chociaż w pokoju

było gorąco, czuła chłód. - Sama cię zachęcałam... wszyscy sądziliśmy, że chłopak świetnie sobie radzi. Po prostu było chyba na to jeszcze za wcześnie. W którym pokoju śpi George Galaher?

Francey wytłumaczył jej, jak tam dojść i Hazel poszła po ojca Dessiego. Pomyślała, że jeśli ten właśnie próbuje swych sztuczek z jedną z młodych dziewcząt, których było tyle na przyjęciu, pogoni mu niezłego kota. Kiedy jednak zapukała do drzwi i w odpowiedzi na bełkotliwe zaproszenie weszła, przekonała się, że choć raz pomyliła się w stosunku do niego. Był półprzytomny i zaspany, lecz sam. Nie dała mu szansy na żadne pytania, powiadomiła go spieszenie o sytuacji i wyszła, zostawiając do jego decyzji, czy ma iść za nią, czy nie.

George zjawił się w pokoju Dessiego kilka minut po Hazel, w tej samej chwili gdy za oknami domu dało się słyszeć wycie syreny. Wszystko odbyło się szalenie szybko. Sanitariusze z karetki wiedzieli, co robić i uwijali się jak w ukropie; zawinęli Dessiego w prześcieradło i przenieśli na nosze niczym bochenek chleba. Francey ubrał się, by pojechać z bratem do szpitala; kiedy się wyszykował, chłopak znajdował się już w karetce za zamkniętymi drzwiami.

Syrena obudziła wszystkich domowników. Goście i służący w różnym stopniu negliżu zgromadzili się przy drzwiach; ich twarze wydawały się kredowobiałe w pulsującym świetle na dachu karetki. Colin i George stali przy samochodzie; nigdzie nie było śladu Fleur.

Kierowca ponownie włączył sygnał i pośpiesznie odjechał.

- Wielkie dzięki, Boże - szepnęła Hazel cichutko.

Trzeba przyznać, że Dessie miał doskonałe wyczucie czasu. Wszystkie kłopoty związane z Fleur i Franceym dzięki niemu automatycznie odsunęły się na dalszy plan.

- Proszę się nie martwić - odezwał się sanitariusz do Franceya, kiedy przejeżdżali obok ogrodzenia posiadłości i skręcali w wąską drogę. - Nic mu nie będzie. Jest młody... puls ma silny. Prawdopodobnie zrobią mu tylko płukanie żołądka i rano będzie się czuł jak skowronek.

Młodzieniec zaczął przeproszać za kłopoty, jakie mieli przez Dessiego. Zapach unoszący się w zamkniętym wnętrzu ambulansu był obrzydliwy i przypominał tamten dzień, kiedy Francey przewoził brata z chaty w Salladerg do domu w Lahersheen. Mimo zapewnień Hazel cały czas winił się za niedopilnowanie chłopaka. Nie powinien był go opuszczać nawet na krok; należało interweniować już w chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył kieliszek w dłoni Dessiego. I kim była tamta dziewczyna? Jak mógł tego nie przewidzieć?

Później Francey poczuł, że ogarnia go złość. Dlaczego właśnie on? Cóż uczynił ludzkości, że stał się nagle jej kozłem ofiarnym? Im bardziej się starał i pracował, i brał problemy in-

nych ludzi na własne barki, tym bardziej wszystko się komplikowało; utknął w owym zaklętym kręgu od dnia, w którym postanowił poszukać George'a Gallahera. I co mu to dało? Pieniądze, jasne, ale co oprócz nich? Pominąwszy przygodę z Fleur i odzyskanie Dessiego, jego życie przypominało jedną wielką katastrofę. Młodzieniec znowu pomyślał, że już lepiej byłoby mu załadą u Ledbettera. Może i nudno, ale przynajmniej miałby wszystko pod kontrolą: czy naprawdę ta emocjonalna huśtawka jest lepsza? I co? Siedzi w ambulansie o trzeciej nad ranem, zgarbiony na niewygodnym fotelu, by głowa nie obijała mu się o niski sufit. Niezła zabawa, co?

Po wszystkich tych wyrzutach sumienia i autoanalizie złość wydała mu się czystym i ożywym uczuciem. Przecież Dessiemu tylko wypłuczą żołądek i wszystko wróci do normy, nieprawdaż? I potem co? Może zabierze się do połykania tłuczonego szkła?

Powinien był już dawno posłuchać niedopowiedzianej rady Hazel: powinien rzucić to wszystko w diabły - Dessiego, George'a, matkę, Abby wraz z jej powołaniem oraz całą tę aferę - i wyjechać gdzieś na południowe wyspy lub gdzieś tam. Zaczynał mieć dość roli Atlasa albo pani Kennedy z Castlerosse czy też innej konającej ze zmartwienia ciotki, z którą Hazel go porównywała. Miała świętą rację: tak bardzo zaczął się przejmować problemami innych, że zupełnie zapomniał o sobie. Gdy tylko zakończy się pomyślnie ten ostatni wybryk przyrodniego braciszka, zostanie po nim jedynie kurz na drodze. Francey Sullivan wkracza właśnie w nowy rozdział swego życia - przestaje być dobrym duszkiem pomagającym każdej zbłąkanej duszyczce na ziemi. Zamierzał choć raz dobrze się zabawić: był młody, miał pieniądze i świat stał przed nim otworem. Fleur może się z nim wybrać albo nie - to już zależy od niej. A on nie zamierza jej błagać.

Oto kolejna sprawa - Francey powoli osiągnął stan cichej furii - miał już dość, po dziurki w nosie, przejmowania się tym, co czuje Fleur i co myśli, czy go kocha, czy też nie. Musiał przedstawiać sobą niezły widok, gdy tak kręcił się wokół niej niczym namolna pszczołka, obawiając się odezwać choć słowem, aby jej nie urazić i nie sprawić, że przestanie go lubić. Nic dziwnego, że brała jego uczucia za pewnik - sam się o to prosił. No, cóż, tak jak cała reszta, Fleur jeszcze się przekona, kto tu rządzi. Francey Sullivan nie zamierza przez resztę życia być pokornym barankiem.

Niech sobie stoi w samym ręczniku przed mężem, niech opuszcza ręcznik na podłogę, niech robi sobie, co chce z tym mułem... - Franceya Sullivana już to nie interesuje.

I nie będzie więcej żadnych diamentowych zegarków. Mógłby kupić sobie jedną z Wysp Dziewiczych za sumkę, którą na niego wydał. „Bardzo dziękuję” - usłyszał od niej, zimnej jak

ogórek. Dziękuję! Jakby była królową Anglii.

- Dojechaliśmy, proszę pana - powiedział sanitariusz i pochylił się nad bezwładnym ciałem Dessiego.

Francey był tak zamyślony, że nawet nie zauważył, kiedy samochód zwolnił. Gdy się zatrzymali, tylne drzwi otwarto od zewnątrz i przy minimalnym zamieszaniu przeniesiono Dessiego na oddział szpitalny. Zamknięto za nim drzwi izolatki, a Francey został na korytarzu, by ochłonać. Poszedł do łazienki i nad umywalką napełnił wodą papierowy kubeczek; wydawało się, że tylko to można tu dostać. Skinął głową jedynej osobie siedzącej obok na krześle, kobiecie na oko pięćdziesięcioletniej. Nieomal dusząc się z niechęci i złości, wziął kubek i opadłszy na fotelik, zaczął niecierpliwie bębnić palcami w oparciu.

Fatalny humor nie opuszczał go ani na chwilę; nad ranem powiadomiono go, że Dessiemu nic nie grozi, wrócił więc do domu tuż przed siódmą.

Przekonał się, że Hazel już wstała, ubrała się i jest gotowa do wyjazdu.

- Nie sądziłam, że dziś cię zobaczę. - Przyglądała mu się znad talerza jajecznicy. - Właśnie miałam zamówić taksówkę. Jak on się miewa?

- Jest mu wstyd za siebie. - Francey nalał sobie herbaty i nałożył jajecznicę oraz kielbaski na talerzyk. - Został zatrzymany na obserwacji, ale nic mu nie będzie. Prawdę mówiąc, mam go dość - dodał, przynosząc sobie śniadanie do stołu, i usiadł. - Mam już dość tego wszystkiego. Słusznie mi powiedziałaś wczoraj wieczorem, że stałem się starym nudziarzem. Kilka spraw musi wkrótce ulec zmianie, a ja będę pierwszą z nich.

- I dobrze. - Poklepała go po ramieniu. - Popieram cię w całej rozciągłości. Więc od czego zamierzasz zacząć?

Francey nie chciał opowiadać nikomu szczegółów, lecz jej postanowił zdradzić, że w grę wchodzi bardzo długie i szalenie kosztowne wakacje.

- W samotności? - W jej oczach pojawiło się zainteresowanie, czy może rozbawienie, a nawet wyzwanie; nie był pewien, które z tych uczuć, lecz wiedział, o kim myśli dziewczyna.

- Kto wie? - odparł. - Może pojedziemy tylko we dwoje, Hazel, ty i ja...

- W każdej chwili! - Jej radosny głos podniósł go na duchu po nocy spędzonej na ponurych rozmyślaniach.

Skończyli posiłek w milczeniu. Chociaż pokój śniadaniowy znajdował się w zachodnim skrzydle domu, został urządzony tak, że stół umieszczono w ogromnej wnęcie z oknami i promienie wczesnego porannego słońca oświetlały blat. Francey założył, że chłód, który odczuwał,

bierze się ze zmęczenia i po raz pierwszy z radością powitał wysoką temperaturę w domu. Kiedy łapczywie pochłaniał jedzenie, przyszło mu do głowy, że bardzo szybko przyzwyczai się do tak wystawnego stylu życia i przestanie zauważać proste ładne rzeczy, takie jak piękne srebra, czyściutkie obrusy i lśniące kieliszki, dzbanek pełen świeżych krokusów stojący na stole, czy choćby dyskretną obecność służby.

- Mogłabym się do tego przyzwyczaić! - odezwała się Hazel, jak gdyby czytając mu w myślach; dopiła kawę i wytarła usta serwetką.

Miała lecieć do Dublina z Birmingham, a ponieważ dzień był piękny, młodzieniec stłumił jej protesty, że doskonale poradzi sobie, jadąc pociągiem z Leamington i postanowił odwiedzić ją aż na lotnisko.

- A co ze szpitalem? - spytała, kiedy już wsiadali do samochodu, lecz Francey uspokoił ją, że wpadnie tam w drodze powrotnej.

- Poza tym - dodał - Dessie ma jeszcze ojca i drugiego brata, nieprawdaż? Pojadę do niego dzisiaj, lecz potem ich kolej.

Wyruszyli w drogę bez pożegnania z George'em, resztą rodziny czy kimkolwiek z gości, gdyż nikt jeszcze nie wstał. Francey był zadowolony ze swej alkoholowej wstrzemięźliwości - dopóki nie zdał sobie sprawy z tego, że również i ta cecha była częścią wizerunku doskonałego obrońcy, który starał się zachować niczym idiota.

Podróż przeszła im bez niespodziewanych trudności i zjawili się na lotnisku za wcześnie. Hazel zgłosiła się w sali odlotów i zaprosiła swego towarzysza na drinka w barze. Ponieważ w niedzielny poranek wszystkie lokaliki były pozamykane, znaleźli tylko małą trafikę, w której dostali zimną kawę i chłodną herbatę w plastikowych kubeczkach.

- Jest coś, o czym nie mówisz, prawda? - Piosenkarka, która nalegała, że to ona zapłaci, zaskoczyła Franceya, stawiając jednocześnie na stoliku przed nim herbatę.

Śliczna twarzyczka Fleur pojawiła się przed jego oczyma i doszedł do wniosku, że nie ma sensu dłużej udawać przed przyjaciółką.

- Sam nie jestem pewien, co czuję - mruknął. - Prawdopodobnie jestem zbyt zmoczony, by myśleć racjonalnie, ale gdy mówiłem do diabła z nimi wszystkimi, i ją też miałem na myśli. Człowiek może być głupcem tylko do pewnego momentu, Hazel.

- A cóż wczoraj zrobiła takiego straszego? - Zdawało się, że Hazel jest zafascynowana jednym ze swych długich paznokci. Z uwagą pocierała nim o palec drugiej ręki.

Kiedy jego towarzyszka zadała to pytanie, Francey zrozumiał, że Fleur właściwie nie

uczyniła nic, co skazałoby ją na potępienie wraz z resztą gatunku ludzkiego. Była winna tylko dlatego, że jest sobą. Zanim zdołał odpowiedzieć, Hazel spojrzała mu w oczy.

- Uważam, że miała prześliczną sukienkę. A przyjrzałeś się jej kolczykom? Francey, muszę przyznać, że masz doskonały gust. Diamenty w tych kolczykach były prawdziwe, wiesz? Prawdopodobnie można by za nie kupić mały biały domek.

Zaczął się czuć nieswojo. Hazel myślała podobnie jak on: czy możliwe, aby odgadła prawdę - wyczuła coś - i dowiedziała się o diamentowym zegarku? Był zadowolony, że Fleur nie nosiła go na przyjęciu. Przez tę rozmowę zaczynał czuć się głupio, że podarował tamtej tak kosztowny prezent, a przyjaciółce tylko taniutkiemu motylka. Czuł się niełojalny w stosunku do Hazel.

- A mnie się bardzo podobała twoja sukienka. - Uśmiechnął się do niej.

- Ta stara kremowa szmatka? To nie jej liga, kochanie. - Ziewnęła i spojrzała w kierunku sali odlotów. - Mam jeszcze kilka minut. Oni muszą mieć kupę szmalu - dodała. - Ładne to ich mieszkanie? Mają pewnie sporo ślicznych rzeczy.

- Piękne.

- No, dalej, opowiedz mi o nim.

Wszyscy wiedzieli, że irlandzkie zespoły zarabiają ciężką forszę i Francey doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Hazel także ma mnóstwo pieniędzy; takie dopytywanie się o finanse innych ludzi było u niej czymś niezwykłym. Bardzo chciał zmienić temat. Zrobił jednak co w jego mocy, by opisać w należyty sposób dwupoziomowy apartament Manneringów, przestronny hol, kwiaty i rzeźby na schodach i wschodni klimat salonu.

- Mogę się założyć, że ona nie lubi pluszowych zwierzątek. - Hazel uśmiechnęła się, lecz chwilę później jej uśmiech zniknął nagle i ponownie zaczęła się wpatrywać w fusy na dnie kubeczka.

- O co chodzi? - Francey był zszokowany zmianą, która w niej zaszła.

- O nic takiego. Po prostu o czymś pomyślałam, to wszystko... no, dalej, opowiedz mi jeszcze coś.

Francey miał w nosie to, że jego mocne postanowienia oddalają się odeń z prędkością startującego samolotu.

- Hazel, proszę... czy to coś związanego z Fleur?

- Oczywiście, że nie! Mają ładne meble?

Jednak fakt, że zazwyczaj bezpośrednia Hazel teraz uciekała przed jego wzrokiem, pod-

powiedział Franceyowi, że przyjaciółka coś ukrywa.

- Muszę wiedzieć. - Nagle stało się to dla niego szalenie ważne.

- Wiesz, co do niej czuję. Proszę, Hazel.

- Właśnie o to mi chodzi - mruknęła, znowu koncentrując wzrok na kubku.

Lodowe sople przeszły mu serce. To naprawdę dotyczyło Fleur.

- Co? - nalegał. - Błagam, powiedz mi.

- Posłuchaj... - Wreszcie spojrzała mu w oczy. - Powiedziałam, że nie wierzę w ani jedno słowo.

- Komu? Komu nie wierzysz?

- Temu pułkownikowi... jak mu tam...

- Co on ci powiedział? - Francey aż za dobrze pamiętał przedziwną scenkę na środku parkietu.

- I tak już za dużo ci wypaplałam. - Hazel zerknęła na zegarek.

- W tym nie ma ani śliska prawdy... To szuja, Francey, usiłował mnie poderwać...

- Najwyraźniej powiedział też coś o Fleur. - Zaczynał być zły. - Nie możesz tak zacząć i nie dokończyć. To nieuczciwe, Hazel.

- Nic nie powiedział - odrzekła takim tonem, jakby właśnie podjęła decyzję. - Po prostu musisz sam pogadać z Fleur. To nie moja sprawa.

- Pogadać z nią? O czym? - Francey schwycił za blat stolika. - Nie zamierzam puścić cię do tego samolotu, dopóki mi nie powiesz wszystkiego, co wiesz. Ostrzegam cię...

Przyjaciółka zacisnęła wargi.

- Trzymaj się mocno. - Mimo przerażenia widział, że wreszcie potraktowała go poważnie. Po kilku chwilach pełnej napięcia ciszy oświadczyła: - No dobra... powiem ci tylko tyle, że ten stary piernik uważał, że twoja Fleur nie jest tak czysta i niewinna, jak ci się wydaje.

Oburzony Francey poderwał się na nogi, przewracając kubki na stoliku.

- Jak on śmie! Zabiję go... - Na myśl o tym, że Fleur mogłaby z tym okropnym, starym facetem o czerwonej gębie...

- Uspokój się. - Przyjaciółka wydawała się nieporuszona; także wstała i poprawiła naczynia. - Nie rób z siebie widowiska, Francey. Ludzie się na nas patrzą.

- Nic mnie to nie obchodzi! Niechby i cały świat na mnie patrzył! - Czuł ból przy każdym oddechu.

Przyjaciółka podniosła torebkę.

- Prawdopodobnie istnieje jakieś bardzo proste wyjaśnienie... możliwe, że mówił o tobie? Może jednak nie byłeś aż tak dyskretny, jak ci się wydawało?

To osłabiło nieco jego wściekłość, lecz nie potrafił sobie wyobrazić, jak pułkownik mógłby się dowiedzieć, że Fleur ma kochankę.

W chwilę później zrozumiał. To musiała być służąca, ta dziewczyna. Oprócz Hazel filipińska pokojówka była jedyną osobą, która poza Tommym - no i Colinem, rzecz jasna - wiedziała o jego wizycie w mieszkaniu przy Kensington.

A może to George? Przypomniał sobie, że ojciec siedział z nimi przy stole, gdy Colin podziękował za prezent przyniesiony Tommy'emu. Czyżby ojciec dodał dwa do dwóch?

Dopiero parę sekund później dotarło do niego, że na dłuższą metę nie ma żadnego znaczenia, kto się dowiedział o ich romansie.

- Muszę ostrzec Fleur - wyszeptał.

Tym razem Hazel nie uczyniła nic, by go uspokoić.

- Podejrzewam, że powinieneś to zrobić - zgodziła się i znowu zerknęła na tablicę odlotów. - Słuchaj, muszę już iść, dobrze?

I zapewniwszy Franceya, że odezwie się zaraz po powrocie High Rollersów z trasy koncertowej po Anglii, poszła spieszenie w kierunku bramek.

Dopiero gdy przyjaciółka zniknęła mu już z oczu, Francey uprzytomnił sobie, że nie spytał, w jaki sposób imię żony Colina w ogóle pojawiło się w jej rozmowie z pułkownikiem. To bez znaczenia, dowie się później. Najważniejsze teraz, aby jak najszybciej powiadomił Fleur, że pokojówka rozpuszcza plotki. No i, oczywiście, nie mógł tak po prostu zadzwonić do domu i poprosić bratową do telefonu. Do diabła, pomyślał, wsiadając do samochodu, dlaczego wszystko musi być tak skomplikowane?

Kiedy zajechał do szpitala, zastał Dessiego, rozczochranego jak strach na wróble, siedzącego w szpitalnej piżamie na łóżku.

- Zanim cokolwiek powiesz, Francey, przepraszam. - Chłopak zgasił woodbine'a w wypełnionej popielniczce. - Przepraszam, strasznie mi przykro. To się już nigdy więcej nie powtórzy... Wiem, że nie powinienem był tego robić.

Na widok przerażonej miny brata Francey, który właśnie miał zamiar palnąć mu mowę, zmienił zdanie. Ponieważ był jedynym odwiedzającym na oddziale, czuł się dziwnie i nieswojo.

- Tym razem lepiej, żebyś mówił poważnie - odezwał się cicho. - I musisz się zgodzić, byśmy zorganizowali ci pomoc, Dessie. Sam nie dasz rady.

- Wiem. - Chłopak najwyraźniej starał się wszystko naprawić. - Teraz już to wiem, Francey. Zobaczysz... od dziś będę innym człowiekiem. Zrobię wszystko, czego tylko zażadasz.

Wiedząc, że taka okazja może się więcej nie powtórzyć, Francey skorzystał z jego spolegliwości i nalegał, by od razu zastanowili się, jaką formę pomocy wybrać i czy powinni wrócić do Irlandii, czy też może zostać w Anglii. Przynajmniej pieniądze nie wchodziły w rachubę i Dessie mógł sobie pozwolić na najlepszych lekarzy. Ponieważ chłopak bardzo niechętnie myślał o oddalaniu się od ukochanych koni, ustalili, że bez względu na to, czy Dessie uda się do jakiejś kliniki, czy też wystarczą prywatne konsultacje, najlepszym miejscem pobytu będzie dla nich Londyn. Francey obiecał, że w ciągu najbliższych paru dni postara się zgromadzić jak najwięcej informacji, po czym poszedł zapytać, kiedy zamierzają wypisać brata ze szpitala.

Okazało się, że właściwie można go zabrać już w tej chwili, ale musiał pojechać najpierw do domu po ubranie. Tego już za wiele, myślał z odnowioną wściekłością, dociskając pedał gazu morrisa: oto Francey Sullivan - służący wszystkich członków rodziny.

Humor mu się nie poprawił, gdy wróciwszy do domu, przekonał się, że Fleur i Colin już wyjechali, ojciec zaś zostawił instrukcje, by mu nie przeszkadzano.

- Dziękuję, Lewis, to się jeszcze okaże! - Nie zostawiając kamerdynerowi czasu na odpowiedź, poszedł szybko w kierunku gabinetu, gdzie niedawno odbył bolesną dyskusję z George'em.

Wkroczył do pokoju, nie czekając po szybkim zapukaniu na odpowiedź i zastał ojca siedzącego nad dokumentami z głową podpartą na rękach.

- Dessiego wypisują ze szpitala - ogłosił od progu; głos drżał mu z gniewu.

- Co...? - George poderwał głowę do góry i popatrzył na niego.

Francey zauważył, że oczy ojca są półprzytomne - zrozumiał, że George spał w najlepsze.

- Słyszałeś? - spytał szorstko. - Dessiego wypisują dziś ze szpitala. A ja nie mogę się nim zająć, gdyż muszę jechać do Londynu.

- O czym ty mówisz?

Widząc zdumienie ojca i biały zarost pokrywający większą część jego twarzy, Francey nieco się opanował. Trudno się wściekać na starego człowieka.

- Muszę jechać do Londynu - powtórzył spokojniej.

W pokoju panował półmrok, więc podszedł do okien i otworzył żaluzje, aby wpuścić promienie słoneczne.

- O, mój Boże! - George się skrzywił. - Musisz?

- Owszem. Powinieneś od razu pojechać do szpitala. Dessie nie ma żadnych ubrań. Dam ci kilka minut, abyś mógł się przygotować i zostawię torbę z jego rzeczami w holu.

I w obawie żeby się przedwcześnie nie załamać, Francey pośpiesznie wyszedł z gabinetu.

Zauważył, że pokojówka zdążyła już uprzątnąć pokój brata: łóżko było zasłane, popielniczka opróżniona, a na podłodze nie dostrzegł ani butelki, ani żadnych innych śladów po nocnej balandze. Francey zastanawiał się, jakie zdanie muszą mieć te ciche, pracowite dziewczęta o ludziach, dla których pracują. Z całą pewnością niezbyt dobre.

I miały po temu powody. Weźmy jego samego na przykład: był tak zaaferowany własnymi sprawami, że nawet nie zadał sobie trudu, by spytać, jak się nazywają służące - nie słyszał też, by ktokolwiek w tym domu zwracał się do nich po imieniu. To także musi się zmienić: następnym razem, gdy tu przyjedzie, postawi sobie za punkt honoru poznać każdego pracownika z osobna i zdobyć o nim jak najwięcej danych. Spakował ubrania Dessiego do torby, wyniósł ją do holu i wrócił do gabinetu George'a.

Tym razem zanim wszedł, poczekał na zaproszenie. Ojciec zdążył już się ogolić i bardziej przypominał siebie.

- Nie dałeś mi nawet szansy, żeby spytać, jak się miewa nasz chory - odezwał się do Franceya z pretensją w głosie, lecz syn od razu zauważył, iż papiery leżące przed nim były tak czyste, że pióro w dłoni ojca stanowiło tylko rekwizyt.

Nie podobało mu się, że ojciec nadal przed nim gra - nie podobała mu się własna słabość - podszedł do okien i odsunął resztę żaluzji.

- Dessie ma się dobrze - odparł krótko. - Ale aby się nie powtórzyły wydarzenia wczorajszej nocy, musimy znaleźć fachową pomoc dla niego. To jeden z powodów, dla których jadę do Londynu... Postaram się coś dla niego zrobić.

- W niedzielę? - George odłożył pióro i zwrócił się w stronę syna.

- Zacznę jutro od samego rana. - Francey miał inne plany na wieczór.

- Co ja będę z nim robił przez cały dzień? Kiedy wrócisz? - Zdezorientowanie ojca było tak wyraźne, że Francey musiał ostro walczyć sam z sobą, by się opanować.

- Jest twoim synem - odrzekł. - Masz teraz szansę lepiej go poznać. Poza tym kocha konie - dodał, zastanawiając się jednocześnie, czy ojciec to zauważył. - A ponieważ ty też je lubisz lub przynajmniej lubiłeś... może jednak znajdziecie wspólny język.

George otworzył usta, lecz Francey nie dał mu dojść do słowa.

- Muszę już iść, jego rzeczy zostawiłem w holu. - Później zawahał się jednak. - Jest jeszcze coś...

- Następny problem? - George z teatralnym gestem ponownie opadł na fotel.

- Nie jestem pewien - odrzekł Francey, przyglądając mu się uważnie. - Tak się zastanawiałem... czy słyszałeś jakieś plotki na temat Fleur?

- Jakie znowu plotki? - Ojciec nadal patrzył na niego spokojnie, lecz nieco zeszywniał i Francey, ponieważ był wyjątkowo wyczulony, dostrzegł w jego twarzy cień wątpliwości.

- O niej... i jakimś mężczyźnie... - Nie potrafił zmusić się do wymówienia nazwiska tego okropnego pułkownika. Jednak nie mógł też zwierzyć się ojcu z własnego zaangażowania.

- A niby kim miałyby być ów mężczyzna? - Tym razem to George przyjrzał się synowi uważnie. Francey poczuł, że ścisną mu się żołądek; zrozumiał, że ojciec wcale nie odrzuca możliwości romansu synowej.

- Nie jestem przygotowany, by udzielić w tej chwili odpowiedzi na to pytanie - odparł drżącym głosem. - Po prostu chciałbym wiedzieć, czy czegoś nie słyszałeś?

- Nie - odrzekł z wolna George. - Nie słyszałem. Ale i nie wierzę we wszystko, co słyszę. Tobie też bym nie radził, Francey. - Później urwał, co było dla niego niezwykle, by odpowiednio dobrać słowa: - Czy mam rozumieć... że jesteś, jak by to ująć, osobiście zaangażowany w tę sprawę?

Francey przyjrzał mu się uważnie. Wszystko się w nim przewracało, jakby stał nad brzegiem urwiska i właśnie miał się rzucić w przepaść.

- Uważam, że Fleur jest wspaniałą kobietą - oświadczył, wytrzymując spojrzenie ojca. - I przejmuję się tym, co ktoś o niej mówi. Chciałbym ją jakoś ochronić.

- Tym powinien zająć się jej mąż, nieprawdaż? - Fiołkowe oczy ojca wpatrywały się w niego ze spokojem.

- Wiem, ale my także jesteśmy jej rodziną. Moim zdaniem, George, Fleur potrzebuje pomocy nas wszystkich.

- Masz rację.

Ojciec wyraźnie się odprężył i Francey miał wrażenie, że widzi na jego twarzy cień współczucia. Ale ta subtelna wymiana zdań znalazła się już na zbyt wysokim poziomie, by ją kontynuować. Poza tym nie zależało mu na udawaniu przed ojcem świętoszka.

- Lepiej już pójść.

Ta rozmowa przebiegła zupełnie inaczej, niż sobie ją wyobrażał i jeśli mógł coś wy-

wnioskować z reakcji ojca, George albo wiedział o jego romansie z Fleur, albo też było ździebełko prawdy w sugestiach Hazel, że jego kochanka wcale nie jest taka święta, on zaś nie jest pierwszym mężczyzną, który korzystał z jej szczodrości.

Po wyjściu Franceya George opadł z powrotem na fotel. Kłopoty zawsze pojawiają się parami... Jak zwykle Szekspir miał rację, jednak tym razem George Gallaher sam musiał się cieszyć owym cytatem, gdyż brakowało mu publiczności.

Nie ma wątpliwości, mój drogi, pomyślał, że gdy kłopoty spadają ci na łeb, robią to z całą mocą. Fleur i Francey? Więc jego podejrzenia z owego dnia, gdy zobaczył ich spacerujących po lesie, były prawdziwe. Biedne dzieciaki, pomyślał.

Później, wpatrując się w przestrzeń, George doszedł do wniosku, że chyba już się starzeje. Dopiero kilka miesięcy wcześniej - także na pogrzebie żony - myślał, że nie miałby nic przeciwko skokowi w bok z Fleur. Zaledwie kilka tygodni wcześniej doskonale się bawił w Londynie w towarzystwie rozkosznej młodej przyjaciółki. Jeszcze kilka dni temu, gdyby go zapytano o zdanie, powiedziałby, że niewierność jest jak lukier na torcie seksu, a kłamstwo dodaje pikanterii całej sprawie. Czy przysłoby mu do głowy, że może odczuwać współczucie dla Franceya i Fleur?

Czy powinien interweniować jako ojciec? Czy też jako teść?

Tego było dlań za wiele. George podjął decyzję i wstał. W starym psie wciąż tliło się życie i nie nadeszła jeszcze pora, żeby znaleźć sobie słoneczny kątek do spania. Tymczasem równie dobrze może spełnić swój obowiązek i przywieźć do domu zbląkaną duszyczkę, trzeciego z jego niezwykłych synów. Idąc po kluczyki od samochodu, pomyślał, jaka to ironia, że zamienili się rolami z Franceyem. Cokolwiek by powiedzieć o Colinie i pechowym Dessiem, zdaje się, że ze średniego syna będą jeszcze ludzie!

Młodzieniec nie znał Londynu na tyle dobrze, by swobodnie poruszać się po mieście samochodem, więc postanowił zostawić auto w Oksfordzie i dalej pojechać pociągiem. Ponieważ była niedziela, okazało się że pociąg, kiedy już wreszcie nadjechał, należy do najwolniejszych i zatrzymuje się na każdej stacji; młodzieniec wykorzystał więc ten czas na drzemkę, lecz obudził się wcale nie bardziej wypoczęty.

Było już późne popołudnie, gdy wysiadł z taksówki przed hotelem przy Kensington High Street. Pogoda się zmieniła i kiedy płacił kierowcy, lodowaty deszczyk nieco go ocucił. Ten hotel znajdował się całe lata świetlne od pierwszego, w którym zatrzymał się w Londynie, lecz obecny luksus nie przytłaczał już przybysza z Irlandii. Francey pomyślał z ironią, że może nie

należy jeszcze do ligi superplayboyów, ale wszystko przed nim. Z trudem pohamował impuls chwycenia walizki za rączkę i pozwolił młodemu chłopakowi zanieść swe bagaże do pokoju.

Podczas przerw w drzemce w pociągu zastanawiał się, jak powinien postąpić. Bez względu na to, ile czasu nad tym rozmyślał, czuł, że nie ma innego wyjścia, tylko osobiście udać się do mieszkania brata i żywić nadzieję, że los ofiaruje mu możliwość zamienienia kilku słów z Fleur na osobności; jeśli nie, będzie musiał sam się do tego przyłożyć. Nie chciał dzwonić, gdyż z przykładu Inveraray wiedział, że telefon może odebrać każdy w dowolnym pokoju; chociaż na przykładzie broszki przekonał się, że nikt nie otwiera korespondencji adresowanej do Fleur poza nią samą, napisanie listu tylko odwłokłoby sprawę. Musiał załatwić to jak najszybciej.

Nie zawracał sobie głowy rozpakowaniem walizki, przeszedł od razu do łazienki i ochlapał twarz lodowatą wodą; musiał się w pełni obudzić, by stawić czoło zadaniu. Wszedł z hotelu parę minut po tym, jak się w nim zameldował, zatrzymał taksówkę na rogu ulicy i kazał się wieźć pod adres brata. Nie zastanawiał się naprzód, co powie Fleur, a gdy taksówka pędziła mokrymi ulicami Londynu, ze wszystkich sił się powstrzymywał przed wszelkimi spekulacjami. Teraz, kiedy nabrał pewności siebie i wiedział, że musi zrobić, co do niego należy, odzyskał trzeźwy i spokojny umysł.

Na dzwonek odpowiedział kobiecy głos, z pewnością nienależący do pani domu. Kiedy drzwi windy otworzyły się na hol mieszkania Manneringów, powitała go niania; powiedziała, że ani Colina, ani Fleur nie ma w domu, lecz już wkrótce spodziewa się obojga.

- Proszę wejść i poczekać - zaproponowała. - Może zrobi pan sobie drinka, czy też podać coś do picia? Oglądamy z Tommym telewizję. Tak - dodała, właściwie interpretując zdumione spojrzenie Franceya. - On to uwielbia. Zadziwiające jest, jak wiele rozumie z samego obrazu. Jeśli czegoś nie wie, ja mu tłumaczę.

Telewizor stał w małym, ciepłym pokoju, odgrodzonym od zimowej mżawki wesołymi żółtymi zasłonami. Chłopczyk leżał na brzuchu na dywanie otoczony zabawkami, wśród których Francey zauważył swój helikopter; Tommy podpierał brodę obiema rękami. Był tak bardzo skoncentrowany na programie o dzikich zwierzętach, że z początku nie zauważył Franceya; dopiero niania poklepała go po ramieniu, wskazując gościa.

Obrócił się i uśmiechnął - młodzieniec zauważył, że Tommy odziedziczył uśmiech po matce - skoczył na równe nogi i podbiegł do niego, wyciągając rączkę na powitanie. Po tej ceremonii z powrotem opadł na dywan i zapałzył się w telewizor.

- Przepraszam - odezwała się niania do Franceya i wyszła, by przynieść mu piwo.

Młodzieniec nie mógł oderwać wzroku od drobnego ciała chłopca. Oto był czynnik, którego nie wziął pod uwagę, przygotowując długoterminowy plan, mający na celu zdobycie Fleur. Cóż za spokojna, codzienna czynność: oglądanie telewizji w deszczowe niedzielne popołudnie w domu, znanym przez całe życie, w otoczeniu wszystkich dóbr ziemskich, które do ciebie należą, ze świadomością, że niania znajduje się zaledwie o krok dalej, a mama i tata zaraz wrócą.

Aż do tej pory Francey nie zdawał sobie sprawy z tego, ile śrub i śrubek przyjdzie mu rozkręcić, by rozłożyć to małżeństwo. Z całą pewnością Colin tak po prostu nie usunie się w cień i nie pozwoli intruzowi zająć swego miejsca w tym domu, tak że nawet jeśli plan się powiedzie - postanowił zdecydowanie trzymać się tej nadziei, póki sama Fleur jej nie zgasi - będą musieli przenieść się do jakiegoś innego lokum. Zapominając o swym mocnym postanowieniu, że teraz ma myśleć już tylko o sobie, Francey zastanowił się, czy potrafi odebrać temu dziecku cały jego świat. I to nie zwyczajnemu, zdrowemu dziecku, lecz głuchemu.

Kiedy niania wróciła z piwem, usiłował skoncentrować się na programie oglądanym przez tych dwoje, lecz nie widział na ekranie nic poza poruszającymi się kształtami i słyszał tylko nieartykułowane dźwięki.

Colin i Fleur przyszedli do domu niecałe pół godziny później i zastali całą trójkę nadal wpatrzoną w migające obrazy.

- O, proszę - odezwał się brat od progu. - Jaki miły obrazek! - Francey natychmiast spojrzął ponad jego ramieniem na Fleur, która jak zwykle miała bierną minę. Podeszła do synka, by go uściskać. Gdy matka rozmawiała z Tommym na migi, Colin spytał, czemu zawdzięczają wizytę Franceya. - Czy z Dessiem wszystko w porządku?

Młodzieniec opowiedział mu pokrótce o stanie zdrowia chłopaka i wspomniął o oficjalnym powodzie swej wizyty w Londynie.

- Doceniłbym twą pomoc, Colinie - dodał. - Wiem, że teoretycznie to George powinien najwięcej się zajmować naszym bratem, lecz wątpię, byśmy mogli na nim polegać. - Przez cały czas gdy to mówił, kątem oka obserwował dialog na migi prowadzony przez Tommy'ego, nianię i Fleur, której czarne włosy opadały po obu stronach twarzy, przesłaniając ją całkiem. Widział tylko jej dłoń wystającą z rękawa futra; dłoń, której dotyk tak świetnie pamiętał.

Wyobraził sobie skórę pleców innego mężczyzny... Przełknął z trudem ślinę.

- Zdaje mi się, że nasz ojciec wolałby, abyśmy wszyscy trzej raz na zawsze zniknęli z

jego życia - powiedział do Colina i zmusił się, by spojrzeć bratu w oczy.

- No, cóż... trudno mu się dziwić. - Tamten uśmiechnął się krzywo.

- Chyba wiem, o co ci chodzi. - Uwagę Franceya ponownie odwróciła Fleur, która wstała z podłogi.

- Napijesz się herbaty? - spytała; jak zwykle idealna gospodyni. To echo wstępu do ich miłosnych uniesień uderzyło go z ogromną siłą.

- T-tak, chętnie.

- Każę ją przynieść. Tommy - zasygnalizowała palcami i chłopczyk ujął ją za rękę. - Pójdę do swojego pokoju, jeśli nie macie nic przeciw temu.

Niania wycofała się za nimi, zostawiając Franceya w towarzystwie mężczyzny, któremu przyprawiał rogi.

- Przejdźmy do salonu - zaproponował Colin. - Tam będzie nam wygodniej.

- Ależ tu jest doskonale - zaprotestował Francey, lecz chwilę później został zmuszony do pójścia śladami brata w kierunku miejsca popełnionej przez siebie zbrodni. Cały ten pomysł okazał się błędem: nie potrafił skoncentrować się na zadaniu, z którym tu przyszedł, był zbyt zakłopotany i obawiał się, że zdradzi się z lepszą znajomością tego mieszkania, niż miałby ją, gdyby tylko raz wpadł tu z prezentem dla dziecka.

- Muszę iść do łazienki - powiedział, by zyskać na czasie.

- Jasne. - Colin otworzył drzwi znajdujące się naprzeciw salonu. - Kiedy skończysz, będę tu na ciebie czekać - dodał, wskazując aż nadto dobrze znany Franceyowi fragment mieszkania.

W łazience młodzieniec umył ręce i zmusił się do odzyskania spokoju.

- Pozbieraj się do kupy - mruknął do swego odbicia; postanowił, że jeśli w ciągu następnych dziesięciu minut nie zdoła porozmawiać z Fleur na osobności, wróci do hotelu.

Kiedy jednak wyszedł z łazienki, zobaczył ją idącą po schodach. Samą.

- Fleur. - Dogonił ją, gdy była już w dwóch trzecich drogi na górę. Ujął ją za ramię i wyszeptał: - Dzięki Bogu, musimy porozmawiać.

Zmarszczyła brwi.

- Nie możemy tu rozmawiać.

- W takim razie gdzie?

- W tej chwili nigdzie - odrzekła i poszłaby dalej, gdyby Francey nie zacisnął uchwytu na jej ramieniu.

- Nie rozumiesz, musimy porozmawiać. To bardzo ważne.

Zerknęła w kierunku salonu.

- Proszę, zostaw moje ramię. Nie możemy się już spotykać na takich zasadach jak do tej pory. - Delikatnie odsunęła jego palce. - Mam nadzieję, że to rozumiesz. A teraz, jeśli pozwolisz... nie możemy dłużej tak tu stać. - I weszła na ostatnie kilka stopni.

Ku przerażeniu Franceya w tej samej chwili Colin wystawił głowę zza drzwi salonu.

- Zdawało mi się, że słyszę głosy. Wszystko w porządku, staruszk?

Ze szczytu schodów Fleur uśmiechnęła się do niego, jakby i ona była ciekawa, co Francey ma do powiedzenia.

- Zdaje mi się, że zostawiłem coś w łazience. - W jakiś sposób udało mu się wrócić do pomieszczenia, które przed chwilą opuścił; znalazłszy się w środku, usiadł na krawędzi wanny. Twarz miał lodowatą jak porcelana pod jego dłońmi. Ta kobieta pozbyła się go równie elegancko, precyzyjnie i brutalnie, jak owada przyszpilonego do stołu igłą.

Siedział w łazience, dopóki ktoś nie zastukał do drzwi.

- Wszystko w porządku? - W przytłumionym głosie brata słychać było niepokój.

- Jasne. - Francey zmusił się do mówienia. - Wyjdę za sekundkę. - Nalał wody do umywalki, wypuścił i powtórzył tę czynność.

- Strasznie długo tam byłeś. Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? - Colin uchylił drzwi i zerknął do środka.

- Świetnie. - Udawał, że myje twarz; ręce drżały mu tak bardzo, że rozchlapał nieco wody na podłogę. Na oślep poszukał ręcznika.

- Masz, pozwól, że ci pomogę... jesteś strasznie blady, Franceyu. Czekał, przyniosę ci brandy. - Colin podniósł ręcznik z podłogi.

- Nic mi nie jest - wychrypiął. - To wszystko z braku snu. Całą noc spędziłem w szpitalu.

- Oczywiście. - Colin się zawahał. - Czy mogę jakoś ci pomóc?

- Z Dessiem? Nie. - Francey chciał przypomnieć bratu, że Dessie jest teraz najważniejszym ich problemem; nagle jednak coś w spojrzeniu Colina go powstrzymało. - Przepraszam, nie o to ci chodziło?

- To chyba nie przez coś, co powiedziała ci Fleur, prawda?

- Że co, przepraszam? - Poczł, jak serce podchodzi mu do gardła. - Oczywiście, że nie - wykrztusił.

Colin przyglądał się ręcznikowi, który trzymał w ręce.

- Po prostu, widzisz... stała z tobą na schodach, więc pomyślałem... Młodzieniec zauwa-

żył, że na zielonych kafelkach w łazience widnieje wzór z *fleur-de-lis*. Zanim zdołał coś odpowiedzieć, brat podniósł wzrok z ręcznika.

- Ona jest cudowną kobietą. Naprawdę. - Dziwny grymas przemknął mu po twarzy, jakby przypomniawszy sobie coś, czego bardzo żałuje. - Zaraz przyniosę ci brandy. - Podeszedł do drzwi, lecz zawahał się i znowu wrócił. - Ona... nie, wszystko jedno... - Rozmyślił się i powiedział tylko: - Nie śpiesz się... przyjdź do salonu, kiedy tu skończysz.

Rozdział osiemnasty

Po rozmowie z Fleur lub dokładniej po wyjściu Colina z łazienki Franceya ogarnęło dziwne zobojętnienie. W jakiś sposób udało mu się dojść do salonu i wypić herbatę z bratem, Fleur i ich synkiem, lecz zamiast filiżanki równie dobrze mógłby ścisnąć w dłoniach kaktus. Jeśli Fleur zauważyła cokolwiek niezwykłego w zachowaniu gościa, nie dała po sobie tego poznać, podobnie jak jej mąż, który praktycznie sam ciągnął rozmowę o Dessiem, ich ojcu i Inveraray.

Przez całą powrotną drogę do hotelu Francey powtarzał sobie jej słowa: „Nie możemy się już spotykać na takich zasadach jak do tej pory” niczym dziecięcą rymowaną lub refren piosenki, którą usłyszał gdzieś przez radio i nie potrafił wyrzucić jej z głowy. Jego myśli co chwilę wracały do tych słów, niczym mała dziewczynka do swej skakanki.

Z pokoju zadzwonił po butelkę whisky, lecz nawet duża szklanka alkoholu, którą wypił zaraz po wyjściu kelnera, nie zdołała przebić się przez lodowy pancierz, który szczelnie otoczył jego uczucia. Wydawało mu się, że wszystkie przedmioty w pokoju mają albo dziwny kolor, albo fakturę nie taką, jak powinny. Zasłony w oknach sprawiały wrażenie szorstkich niczym niegęplowane płótno, a satynowa pościel okazała się nieświeża i niemiła w dotyku. Nawet powietrze nie było takie, jak powinno: wydawać się ziarniste, jak gdyby nasączone obcą, grubszą substancją.

Dopiero w połowie trzeciej szklanki whisky dotarła doń cała prawda o tym, co się wydarzyło. Wszystko przepadło, wszystkie plany - nie, nie tylko plany, ale i on sam.

Odrzuciła go; upokorzenie młodzieńca nie miało granic. Nie, nie odrzuciła, lecz potraktowała znacznie gorzej - jakby nigdy dla niej nie istniał.

Usiłował się rozniewać, wzbudzić w sobie na nowo tę chwiejną złość, która pobudziła go do działania poprzedniej nocy w karetkce i sprawiła, że tak brawurowo stawił czoło ojcu. Czy

naprawdę było to zaledwie poprzedniej nocy? Nie potrafił sobie przypomnieć; whisky zaczęła działać, rozmywając granice czasu...

Od dawna nie spał i czuł się mocno pijany; wiedział, że teraz mógłby marzyć o wyspach na Morzu Południowym właściwie już przez cały czas. O życiu z Fleur. I bez niej.

Życie bez Fleur „...już nigdy na takich zasadach jak do tej pory...”. Czuł narastający w piersi ból; po chwili miał wrażenie, że serce mu pęknie.

Szybko: pomyśl o wyspach na Morzu Południowym, o palmach i ciepłej skórze, o gorącym piasku i turkusowej wodzie... Francey nalał sobie kolejną szklankę whisky, lecz ulotne marzenia pierzchły i zobaczył siebie tak, jak zapewne postrzegają go inni - jako żalosego olbrzyma zalewającego smutki alkoholem w wynajętym pokoju hotelowym.

Pił, dopóki w butelce nie została zaledwie jedna trzecia zawartości, a on był tak pijany, że nie mógł już nalać płynu do szklanki.

Cały następny dzień spędził w łóżku. Rozwścieczony do granic wytrzymałości przez pokojówki, które co chwilę wchodziły do pokoju, zadzwonił do recepcji, rycząc, by nikt mu nie przeszkadzał. Jeszcze nigdy w życiu nie miał takiego kaca. „Ludziki z maleńkimi młoteczkami” - gdzieś w Wybryku znajdowała się książeczka o takim tytule i po raz pierwszy Francey zrozumiał jego znaczenie. A jednak, mimo fizycznego bólu i nudności, czuł się oczyszczony. Wyglądało na to, że jego organizm ma zbyt wiele kłopotu z dochodzeniem do siebie, aby jeszcze znaleźć siły na żal czy uzalanie się nad sobą - tego typu kac działał jak katharsis.

Kiedy wreszcie Francey podniósł się z łóżka i ruszył pod prysznic, ból zmniejszył się o tyle, że młodzieniec mógł stać prosto i iść, nie trzymając się jednocześnie za głowę. Klin klinem, poleciłaby mu z pewnością Hazel, lecz gdy spojrzał na pozostały w butelce alkohol, włosy stanęły mu dęba na głowie na samą myśl, że mógłby to jeszcze wlać w siebie. Przez dwadzieścia minut stał pod prysznicem, puszczając na zmianę zimną i gorącą wodę. Gdy wreszcie wyszedł z łazienki, czuł się słabo i kolana się pod nim ugiwały, lecz znowu żył. Połączył się z obsługą i zamówił do pokoju porządny obiad.

Przez kilka następnych dni włóczył się po ubogich dzielnicach Londynu jak bezdomny, którym w istocie był. Równie dobrze mógł nadal mieszkać w hotelu, jedząc tyle, ile dusza zapragnie i śpiąc w czystej pościeli, a tłum służących czekał, gotów podejść na skinienie ręki, lecz Francey czuł się taki samotny, pozbawiony korzeni i motywacji do życia, jakby nocował pod mostem kolejowym lub na skrawku bezpańskiej ziemi.

Postawił się w sytuacji Dessiego: chociaż nic nie mogło wynagrodzić koszmarnej nędzy i

bezradności pijaka, ze skrawków informacji uzyskanych od przyrodniego brata zdołał wyciągnąć lekcję o jednej lub dwóch dobrych stronach włóczęgostwa. Przede wszystkim takiej, że człowiek mógł odrzucić wszelką pretensjonalność i być tym, kim jest naprawdę. A że ludzie się na ciebie gapią? Ty nie musisz na nich patrzeć.

I choć młodzieniec czuł jedynie litość dla nieszczęsnych ludzkich wraków, wyjadających resztki ze śmietników na tyłach restauracji, na ich widok zastanowił się nad własnym życiem. Był pewien, że tamci wszyscy już dawno stracili jakąkolwiek nadzieję i już nic nie mogło ich rozczarować.

Jakąś częścią umysłu pojmował, że jest w szoku i nie myśli racjonalnie, lecz po raz pierwszy od chwili narodzin Francey robił to, co nakazywał mu instynkt; pozwolił sobie na pograżenie się w rozpacz i łaził po mieście przez cały dzień, aby zagłuszyć ból serca, dopóki nie porobiły mu się na piętach pęcherze. Unikał wszelkich rozmów, nawet tych najbardziej trywialnych, jadał marne kanapki w ulicznych kafejkach, pił piwo w ciemnych, niebezpiecznych pubach, zawsze kończąc w jakimś nieznanym sobie miejscu. Później, nie całkiem pijany i nie całkiem trzeźwy zatrzymywał taksówkę lub wsiadał do autobusu i wracał do jasno oświetlonego hotelu przy Kensington High Street. Jeśli obsługa uważała za dziwne, że wraca o późnych porach i śmierdzi jak ostatni tramp, nie dawała tego po sobie poznać.

Co wieczór dzwonił do Inveraray, żeby porozmawiać z bratem, który - skruszony i posłuszny - czekał na pierwsze spotkanie ze specjalistą z Harley Street, na które umówił go George. Doktor miał zdecydować, jakiego rodzaju leczeniu powinien się poddać Dessie.

Za każdym razem chłopak zapewniał, że czuje się doskonale.

I choć Francey przysłuchiwał się mu bardzo uważnie - uważając to za szczyt ironii z uwagi na swój obecny stan - nie potrafił rozpoznać oznak nietrzeźwości w głosie Dessiego.

Czwartego dnia swych wędrówek, w następny czwartek po tym, gdy Fleur się go pozbyła, Francey spacerował po pustym obszarze, gdzieś na East Endzie. Mieściło się tu cmentarzyisko starych samochodów oraz ogromne magazyny, w większości pozamykane na cztery spusty. Zdawało mu się, że między wrakami aut wypatrzył charakterystyczną sylwetkę jaguara, więc podszedł bliżej; chciał mu się przyjrzeć, lecz w tej samej chwili nieopodal coś się poruszyło. Popatrzawszy uważniej, Francey zobaczył stertę łachmanów. Tylko że przykrywały człowieka - był w równie kiepskim stanie jak Dessie, gdy go pierwszy raz zobaczył.

- Nic ci nie jest? - Podszedł do kupki łachów, która spoczywała na kawałku kartonu. Zobaczył białka oczu w brudnej twarzy, która bardziej przypominała mapę cierpienia niż ludzkie

oblicze. - Nic ci nie jest? - powtórzył głośniejszym głosem Francey, a potem pochylił się nad leżącym - nie wiedział nawet, czy to mężczyzna, czy kobieta - i dotknął jego ramienia.

- Zimno mi - usłyszał odpowiedź.

- Masz. - Francey zdjął płaszcz. Kiedy podłożył tamtemu ramię pod plecy i pomógł mu usiąść, zobaczył, że to mężczyzna o brodzie równie długiej i brudnej, jak niegdyś broda Dessiego.

- Jesteś z opieki społecznej? - Mężczyzna trząsnął się jak liść na wietrze; pozwolił jednak Franceyowi, by włożył mu płaszcz.

- Nie, z Irlandii. - Młodzieniec omal nie roześmiał się z ironii tych słów, lecz zamilkł w obawie, że będzie musiał wytłumaczyć nieznanemu swój kiepski żart.

- Ja też kiedyś byłem Irlandczykiem. - Mężczyzna zgarbił się w eleganckim płaszczu, jak gdyby był to worek po mące. - Dzięki, stary.

- Jesteś głodny?

Włóczęga przyglądał się Franceyowi tak, jak gdyby ten właśnie przyleciał z Marsa, lecz chwilę później ciemne zmarszczki na jego twarzy ułożyły się w chytry wyraz.

- Przydałoby mi się trochę dymków i parę głębszych też. Wiesz, jak to jest, mój stary - powiedział, mocno przesadzając z irlandzkim akcentem.

- Z jakiej części Irlandii pochodzisz? - Mżawka, która przez cały dzień prześladowała Franceya, przeszła teraz w deszcz: koszula i marynarka natychmiast przesiąkły wilgocią, gdy przykucnął w błocie obok włóczęgi.

- Nie mogę sobie przypomnieć - odparł tamten.

- Jak masz na imię? - Francey wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni i sprawdził, ile ma pieniędzy.

Oczy biedaka wlepione były w portfel.

- Malachy.

Jeszcze jeden z irlandzkich królów.

- Chodź ze mną, Malachy. - Francey spróbował postawić go na nogi. - Znajdziemy ci coś do jedzenia.

- Nie mogę - odpowiedział włóczęga. - Widzisz, moje biedne nogi... - Jego ręka prześlizgnęła się od rękawa młodzieńca do jego portfela. - Ale jeśli mógłbyś mi zostawić parę funciaków... kupię sobie coś na ząb.

Francey, któremu drżały już mięśnie ud od zbyt długiego kucania, wstał z ulgą.

- Jak chcesz, Malachy. - Wyciągnął wszystkie banknoty z portfela, zostawił sobie dziesiątaka, a resztę podał włóczędze; ten spojrział na zwitek w swej dłoni, jakby to była bomba.

- Ile tu jest? - Popatrzył w górę na swego dobroczyńcę.

- Kilka setek. - Francey odwrócił się; niedobrze mu było na myśl, co robi. - I tak nie wystarczy.

Zanim zniknął za jednym z magazynów, odwrócił się i zobaczył, że do jego rozmówcy podszedł inny bezdomny. Obaj stali wyprostowani. Poły płaszcz Franceya rozwiewały się wokół nóg „jego” włóczęgi, gdy walczył z intruzem.

Następnego dnia Francey pojechał do domu, do Irlandii, żeby wraz z rodziną asystować przy wstąpieniu Abigail do klasztoru.

Aż do ostatniego epizodu romansu z Fleur w mieszkaniu przy Kensington, młodzieniec wiele by oddał, żeby nie musieć wracać do klaustrofobicznej atmosfery Lahersheen; w ciągu owego tygodnia, który nastąpił później, był w takim szoku, że nie chciał kontaktować się z nikim, nawet z Hazel.

Po wydarzeniu z włóczęgą, które mocno nim wstrząsnęło i przywróciło nieco rozsądku, Francey zatelefonował do domu właściwie tylko po to, by dać matce znać, że jeszcze żyje. Jednak to Abigail odebrała telefon.

- Nigdy wcześniej nie prosiłam, abys coś dla mnie zrobił, Francey - powiedziała cicho; jej głos to zbliżał się, to znów zanikał w słuchawce. - Ale mama będzie potrzebować pociechy przez kilka następnych dni. Nie chodzi o to, że jadę do Timbaktu czy gdzieś tam, lecz Mossie zmarł tak niedawno...

- W takim razie dlaczego jeszcze nie zaczekasz?

Już się jednak łamał. Nagle perspektywa powrotu do znanego i bezpiecznego miejsca, w którym będzie mógł lizać rany i gdzie wszyscy go kochają i rozumieją, stała się dla niego kusząca. Czy Abigail wyczuła wahanie brata, czy nie, odpowiedziała na jego propozycję prosto i pewnie:

- Czekałam tak długo, jak tylko mogłam, Francey. Teraz już nadszedł czas.

Więc się zgodził.

Bardziej aby podbudować się nieco na duchu niż dla wygody, na lotnisku w Cork wypożyczył forda consula, największy dostępny samochód, więc gdy wjeżdżał przez bramę na podwórko, wszyscy na Béara już wiedzieli, że Francey Sullivan wrócił do domu; w kuchni czekały na niego matka, Abby, Margaret, Connie i Tilly.

Po powitalnych pogaduszkach w ciepłej i przytulnej kuchni Francey opowiedział im ze szczegółami o postępach Dessiego. W ciągu następnej godziny, choć oczy matki były puste, Francey przekonał się z ulgą, że Elizabeth spokojnie przyjmuje wspomnienie imienia Mossiego i sama też mówi o nim całkiem naturalnie.

- A tak przy okazji, dziś rano dzwoniła Hazel Slye. - Dołała mu herbaty. - Powiedziałam, że będziesz tu w najbliższych dniach, więc odrzekła, że zatelefonuje w przyszłym tygodniu.

- Hazel dzwoniła? Po co? - Francey był zdumiony, jak swobodnie i ciepło matka wypowiada to imię.

- O co ci chodzi? - Wydawała się zaskoczona jego wyrazem twarzy. - To nie miało nic wspólnego z tobą. Telefonowała do mnie co jakiś czas po śmierci Mossiego. Po prostu dowiedzieć się, jak się miewamy. I nie rób takiej miny. - Trąciła go delikatnie w ramię. - Dlaczego nie miałybyśmy z sobą rozmawiać? To szalenie miła kobieta.

- Wiem.

Fakt, że Hazel regularnie dzwoniła do jego rodziny, był dla Franceya nowością. Dlaczego nic mu o tym nie wspomniała?

- Czy mówiła, skąd telefonuje? - spytał, niepewny, co czuje. Zdawało mu się, że nie tylko życie miłosne wymknęło mu się z rąk, lecz i zwykła przyjaźń.

- Podejrzewam, że z domu. - Matka poprawiła włosy. - Ale jeśli chcesz teraz się z nią skontaktować, to nie ma większego sensu próbować. Jakiś czas temu wyjechała do Anglii z całym zespołem.

Oczywiście, trasa koncertowa w czasie postu.

Kiedy kilka dni później Hazel rzeczywiście zadzwoniła, Francey niechętnie rozmawiał z nią przy całej rodzinie. Nie po raz pierwszy wolałby, aby telefon nie znajdował się w kuchni, gdzie przebywali wszyscy domownicy przez cały dzień, z wyjątkiem godzin snu.

- Najwyższa pora, żeby urządzić w tym domu salon - mruknął, biorąc słuchawkę od Margaret.

- No, cóż, panie Nadziany - odparła - w takim razie musi go pan nam dobudować.

- Słuchaj, jeśli chcesz pieniędzy, możesz wziąć wszystkie; ja ich nie chcę.

Francey miał po dziurki w nosie irytujących uwag na temat jego bogactwa. Zamierzał podarować każdej z siostr sporą sumkę, lecz jakoś jeszcze im o tym nie wspomniał; a teraz Margaret zachowywała się w taki sposób, że zaczynał wątpić, czy warto to uczynić. Mimo że zaraz po przyjeździe do Lahersheen nastrój znacznie mu się poprawił, teraz ponownie zaczął

rozmyślać o swych problemach; trudno mu było wytrzymać w domu. Nie mógł się doczekać, kiedy Abby wreszcie wstąpi do klasztoru, a on spokojnie wróci do Anglii.

- To brzmiało interesująco - usłyszał z oddali głos Hazel.

- Przepraszam... ot, zwyczajne przyjemności związane z posiadaniem rodziny. Człowiek nie ma żadnej prywatności... nawet przez telefon nie da się spokojnie pogadać. - Francey wykorzystał sposobność, by przesłać jej sygnał, iż nie powinna pytać o nic osobistego. Poza tym, nawet gdyby był sam i tak nie potrafiłby jeszcze opowiedzieć jej o Fleur. - Skąd dzwonisz, Hazel?

Wyjaśniła, że właśnie koncertują w Glasgow, przemierzając Szkocję po drodze do Anglii; wspomniała też, że w pierwszym tygodniu marca będą grać w Birmingham.

- To nie tak daleko od twojego gniazda rodzinnego - dodała. - Jeśli będziesz w Anglii, to może podjedziesz samochodem na potańcówkę i przywitasz się z nami? Strasznie miło byłoby cię zobaczyć.

- Możliwe, że tak zrobię. - Zawahał się: nie wiedział jeszcze, jakie ma plany, lecz jeśli Fleur będzie w Inveraray, to on nie zamierzał tam się pokazać choćby na sekundę.

- Daj spokój - nalegała Hazel. - A cóż się stało z tym Franceyem, który twierdził, że nic go nie obchodzi? Gdzie się podział?

On sam zadawał sobie to pytanie. W chwili obecnej ból nachodził go falami i trudno było mu wytrwać w przekonaniu, że musi zmienić własne życie. Kiedy nadal istniało prawdopodobieństwo sytuacji pod tytułem „Francey i Fleur”, mógł się na nią wściekać; teraz jednak gniew na nią wydawał się bezsensownym luksusem. Tak czy inaczej trudno było mu się oprzeć wesołemu tonowi przyjaciółki.

- A, o tego starego Franceya ci chodzi? Siedzi w dzieciennym pokoju i kwiczy - odrzekł, powtarzając jedno z zasłyszanych od niej wyrażen.

- Coś się stało? - spytała z nagłą ostrożnością.

- Nic, nic takiego. Jeden krok w przód, dwa kroki w tył - wyznał zgodnie z prawdą. - Ale zamierzam iść naprzód. Postaram się przyjechać na tę potańcówkę, Hazel - dodał, usiłując zmienić temat na mniej niebezpieczny. Ku jego uldze natychmiast zrozumiała, o co chodzi i wróciła do wesołych pogaduszek, jakby cień Fleur Mannering nie przysiadł na drucie telefonicznym między nimi niczym walkiria.

Kiedy wreszcie się wygadała, młodzieniec spytał, czy ma ochotę porozmawiać z jego matką.

- Słyszałem, że telefonowałaś do niej.

- Czemu nie? Czy masz coś przeciwko temu, Francey? - zapytała przekornie. - W końcu jest człowiekiem, nie? Lubię ją; tak się składa, że polubiłyśmy się nawzajem... a teraz nie ma najłatwiejszego życia.

Na to nie znalazł odpowiedzi, więc obiecawszy ponownie, że rozważy kwestię potańcówki w Birmingham, przekazał słuchawkę Elizabeth i opadł z powrotem na fotel pod oknem z książką w ręce. Moment później podchwycił na sobie spojrzenie brązowych oczu Abigail.

- O co chodzi, Abby?

- Czy to ona jest tą specjalną intencją, za którą mam się modlić? - Abby ściszyła głos, tak by inni ich nie usłyszeli.

- Kto, Hazel? Oczywiście, że nie. - Ku swemu zdumieniu Francey poczuł się zły, że siostra mogłaby myśleć inaczej; zdenerwował się może nawet bardziej, niż było warto w tej sytuacji. - Hazel jest moją przyjaciółką - dodał. - Ale to wszystko.

Abigail nie skomentowała jego wyjaśnienia, tylko opuściła wzrok na swą robotę - przy szywała tasiemki z nazwiskiem do rzeczy należących do jej wyprawy.

- Wychodzę. - Francey odrzucił książkę, poderwał się na nogi i zdjął płaszcz z wieszaka.

- Wrócisz na obiad? - Matka przerwała rozmowę z Hazel i zakryła słuchawkę dłonią.

- Możliwe. - Zatrzasnął za sobą drzwi.

I o co w tym wszystkim chodzi? Francey docisnął pedał do deski i omal nie przejechał Reksa, wypadając z podwórka. Dlaczego tak się zirytował, słysząc, że Hazel Slye została bliską przyjaciółką jego rodziny? I co było gorsze? To czy błędne pojęcie Abby co do jego stosunków z piosenkarką? Już żałował swego zachowania; doszedł do wniosku, że żadna z tych spraw go nie złości: po prostu był nadal rozdrażniony po Londynie. Zmusi się jakoś do cierpliwości: wiele jeszcze wody upłynie, zanim zabliznią się w jego sercu rany po tym, co zrobiła Fleur.

Pojechał do Castletownbere i zaparkował forda na rynku po przeciwnej stronie pubu MacCarthy'ego. Dlaczego nie? - pomyślał i wszedł do środka. Mimo że był ranek i post, parę osób siedziało przy barze na tyłach sklepu spożywczego; Francey stanął obok nich i zamówił kufel piwa. Chociaż każdy z gości skinął mu głową, nie znał żadnego z nich. Gdy podano mu piwo, usiadł samotnie za barem i cieszył się smakiem.

Pub MacCarthy'ego był typem lokalu, które szybko znikają w pędzie Irlandii do współczesności, a które Francey uwielbiał. Stare drewniane półki i grube brązowe blaty emanowały ponadczasowością: to miejsce widziało brytyjskich żołnierzy, a także ich następców, żołnierzy

narodowych; w jego ścianach odbywały się niezliczone uroczystości, chrzciny i wesela, i zgodnie z zasadami ludzkiego doświadczenia zapewne niewiele rzeczy by je dziwiło. Tutaj można było zostawić listę sprawunków na blacie i wypić spokojnie piwo, podczas gdy realizowano zamówienie. Przychodzili tu nie tylko mężczyźni, ale także ich żony; wszyscy nadrabiali zaległości w miejscowych plotkach, chronili się przed burzą lub czekali, aż minie przypływ. Zawsze można tu było kupić bilety na loteryjkę lub zostawić wiadomość dla znajomego, bo prędzej czy później każdy tu zaglądał.

Młodzieniec zamówił następny kufel i siedział, zastanawiając się nad swą przyszłością - tym razem już konkretnie. Obecnie musiał podjąć decyzję, a nie tylko flirtować z możliwościami, jak to robił od października. Tak wiele wydarzyło się w tak krótkim czasie, że trudno było mu uwierzyć, iż minęło zaledwie pięć miesięcy.

Jedynym pewnikiem było to, że owa bezcelowa egzystencja musi się wreszcie skończyć. Fakt, że emocje łopotały w nim niczym żagiel na wietrze, musiał być spowodowany owym bezwładem, tym biernym raczej niż aktywnym sposobem życia. Miał zbyt wiele czasu na rozmyślanie o miłości, bólu, zdradzie i o sobie samym. Nie ma mowy o żadnych Wyspach Dziewiczych; od ponad trzech miesięcy nie skalał się uczciwą pracą: nic dziwnego, że nie potrafił się pozbierać.

Spojrzał na ogorzałych od pracy na świeżym powietrzu mężczyzn siedzących obok niego: wydawali się spokojni i pogodzeni ze światem, pewni swego miejsca na ziemi i według Franceya nawet za milion lat nie zrozumieliby samolubnej i niszczycielskiej pasji, która nim miotła.

Więc co z przyszłością? W ciągu paru ostatnich dnia matka często dawała mu do zrozumienia, że chce zostawić farmę i przenieść się z powrotem do miasta; jeśli chciał przejąć ziemię, to najwyższa pora. Nie mógł wymyślić nic, na co miałby mniejszą ochotę. W końcu podjął tę pierwszą decyzję.

Decyzja numer dwa była znacznie trudniejsza: co tak naprawdę chciał robić? W obecnym nastroju miał wrażenie, że pomysł przywiezienia shirów do Irlandii jest idiotyczny i niewart funta kłaków; w dodatku w tych sprawach Dessie już dawno go przewyższał. Francey zrozumiał, że byłoby znacznie lepiej dla wszystkich zainteresowanych, gdyby pomógł bratu urządzić się z końmi. Może założyć szkółkę jazdy konnej z ogromnymi shirami jako ciekawostką?

Dać sobie spokój z shirami. Oto decyzja numer dwa.

Kontynuując jednak rozważanie opcji, jakie ma przed sobą, Francey zmuszony był przy-

znać, że jako marzyciel i były sprzedawca ze sklepu z narzędziami kwalifikuje się do bardzo niewielu zajęć i choć dzięki uśmiechowi losu może teraz kupić sobie własny sklep czy też pub, ten sposób na życie zupełnie mu nie odpowiada.

A jednak życie z odsetek jak angielskiemu dżentelmenowi przystało kłóciło się ze wszystkimi wpojonymi mu przez matkę zasadami.

Hazel mówiła niegdyś, że pomoże mu się załapać gdzieś w show-biznesie. Może przy następnym spotkaniu przypomnieć jej o tym? Nawet prowadzenie furgonetki High Rollersów czy jakiegokolwiek innego zespołu byłoby lepsze od tego siedzenia z założonymi rękoma. Przynajmniej do czasu, aż ostatecznie zdecyduje, co chciałaby robić. Francey dokończył piwo i wyszedł na zewnątrz.

Ruszył na dół do przystani, gdzie suszyły się rozpięte rybackie sieci. Nawet tu jednak znalazł przypomnienie swej porażki: większość łodzi nosiła kobiece imiona: „Nora Ann”, „Maire Rua” czy „Stella Marie” - prawdopodobnie na cześć żon lub córek. Pewnego razu w ciągu owego tygodnia po rozmowie z Fleur, jakby chcąc się jeszcze bardziej pogłębić, Francey wyobraził sobie ze szczegółami życie, jakie pragnąłby z nią wieść. Mimo że ani razu nie pojawiły się tam łodzie, te kwieciste napisy na malowanych drewnianych łajbach przypomniały mu boleśnie, co znaczy wspólne życie.

Ponieważ ford był duży i wygodny, postanowili, że Francey zawiezie nim Abby do klasztoru.

Każda czynność tej niedzieli miała specjalne znaczenie i poczucie, że to „ostatni raz”. Po raz ostatni pojechali razem na mszę do Eyeries, po raz ostatni zjedli wspólny niedzielny obiad i Abby po raz ostatni poszła z Reksem na spacer.

Później, załadowawszy jej kufer do bagażnika i pomógłszy matce, Margaret i Connie usadowiły się na tylnym siedzeniu. Francey patrzył z podwórza przez otwarte drzwi domu, jak Abby - która poprosiła, by na chwilę zostawili ją w domu samą - chodzi po kuchni i pokojach, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół. Zdjęła z gzymsu kominka stary budzik, po czym odstawiała go z powrotem na miejsce, poprawiała krzesła przy stole, na którym tak wiele lat odrabiała lekcje i jadła wraz z rodziną. Już nigdy więcej nie będzie mogła przestąpić progu tego domu; powiedziała im, że wolno jej będzie jedynie zajrzeć do środka przez okno.

Nie mogąc znieść tego widoku, Francey wsiadł do samochodu i położył dłonie na kierownicy. Po jakimś czasie jego siostra wyszła i z poważną miną zamknęła za sobą drzwi domu, po czym ruszyła do samochodu, nie oglądając się w tył.

Klasztor, mieszczący się na północy hrabstwa, był ogromnym kwadratowym budynkiem położonym w rozległym parku. Francey zaparkował samochód na zwirowanym podejździe przed głównym wejściem i poszedł wyciągnąć kufer siostry z bagażnika.

- Czy jesteś jedyną nową skazaną? - spytał, przyglądając się rzędom pustych okien.

- Są jeszcze dwie dziewczyny oprócz mnie - odrzekła Abby przez ściśnięte gardło; jej ton był tak niezwykły, że Francey, który nie mógł się zdecydować, czy ma się smucić, czy też traktować całą sprawę lekko ironicznie, pożałował własnych słów.

- Czy mam teraz im dać twoje wiano, czy ty je weźmiesz? - spytał znacznie łagodniej i wyjął z kieszeni kopertę, w której znajdował się czek.

- Na pewno nam powiedzą. - Abby poprawiła zakiet swego niedzielnego kostiumu i przełknęła ślinę. - Chodźcie - ponagliła ich - miejmy to już za sobą.

Zadzwoiła do drzwi, które natychmiast się otworzyły, ukazując grupę radośnie uśmiechniętych sióstr, co najmniej jedenastu, w różnym wieku.

Następne pół godziny upłynęło im w lekkim zmieszaniu, gdy poproszono ich do salonu, a dwie zakonnice, przedstawione im jako matka przełożona i przełożona nowicjatu, podały im herbatkę. Abigail zabrano gdzieś dalej, wiano zaś przeszło z rąk do rąk bez zbytniego szumu.

Przyprowadzono z powrotem dziewczynę i nadeszła pora pożegnań. Było to bardzo poważne pożegnanie, gdyż podczas nowicjatu nie mogli się z nią widywać.

Kiedy nadeszła kolej Franceya, by ją uściskać, poczuł, że twarz ma mokrą od łez. Choć w dzieciństwie bliżej był z Johanną, lecz zawsze myślał o Abby jako o swojej młodszej siostrzyczce, którą należy się opiekować, kochać ją i bawić. Jej cicha obecność była tym, co w Lahersheen najbardziej lubił.

- Uważaj na siebie - szepnął z ustami przytulonymi do jej miękkich loków. - Będziemy za tobą tęsknić. I nie bój się zmienić zdania!

- Och, Francey - odrzekła ze zrozpaczoną miną. - Ja też będę tęsknić za wami. I będę się modlić w tej twojej specjalnej intencji. Niech was Bóg błogosławi!

Francey zabrał Connie i Margaret z salonu, aby Elizabeth mogła pożegnać się z córką na osobności.

Hazel zadzwoniła tego wieczora około ósmej z Liverpoolu, a jej głos natychmiast poprawił humor Franceyowi. Zespół miał wolny wieczór i w tle słychać było echa hucznej imprezy.

- Szkoda, że mnie tam nie ma - powiedział, tylko na wpół żartując. - Chyba nieźle się

bawicie.

Choć raz był sam w kuchni: matka położyła się wcześniej, Margaret pojechała do pacjenta, Connie zaś poszła do przyjaciółki, by porównać pracę domową.

- Wiesz, że możesz przyjechać, kiedy tylko zechcesz. - Usłyszał, jak Hazel przykrywa dłonią słuchawkę i wrzeszczy do innych, żeby się nieco przymknęli. - Przepraszam. - Wróciła do niego. - Może byś wpadł do nas na parę dni? Występy idą świetnie, zarabiamy kupę szmalu. Wyluzuj się, Francey, na pewno świetnie byś się z nami bawił!

- Nie mogę... w każdym razie nie teraz. - Młodzieniec sam nie bardzo wiedział dlaczego. - Ale obiecuję, że już wkrótce do was przyjadę.

- Masz jakieś nowinki? Możesz swobodnie rozmawiać? - Hazel ściszyła głos, jak tylko pozwalał jej na to harmider wokół.

Wiedząc doskonale, o co jej chodzi, Francey zawahał się; później zaś doszedł do wniosku, że za długo wszystko w sobie dusił.

Wysłuchiwała go bez komentarza; opowiedział jej, co zaszło między nim a Fleur na schodach mieszkania przy Kensington, lecz pominął swe późniejsze odreagowywanie rozpaczy.

- A teraz jeszcze biedna Abby. - Zdał sobie nagle sprawę, że mówi tak, jakby się nad sobą użalał i spróbował poprawić nastrój: - Wygniata sobie dziury w kolanach, modląc się o coś, co i tak się nie spełni.

- Oj, nie wiem - odrzekła Hazel pocieszającym tonem. - Póki życia, poty nadziei. Postawiłeś ją w trudnej sytuacji, mogła cię źle zrozumieć. Może powinieneś spróbować jeszcze raz, porozmawiać z nią...

- Nie!

- No dobrze, dobrze... tylko mnie nie pogryź! - Hazel znowu zakryła słuchawkę, by przywołać do porządku balujących kolegów.

Wszystko to brzmiało tak normalnie, tak wesoło, że Francey miał wrażenie, jakby jego własna dusza była z ołowiu.

- Przyjadę do was - powiedział, podejmując szybko decyzję. - Muszę tu wyprostować parę spraw, lecz później przyjadę. Powiedz, jakie macie plany. - Zapisał sobie daty i miejsca występów, obiecał, że ucałuje od niej matkę, i odłożył słuchawkę.

Następnego dnia zadziwił nawet samego siebie szybkością, z jaką podejmował decyzje. Jego nastrój udzielił się pozostałym i do czasu, gdy wieczorem zasiedli do herbaty, wszystko zostało już ustalone.

Ponieważ nie było wątpliwości, że od września Connie zamieszka w akademiku uniwersyteckim w Cork, matka zdecydowała, że chce się przenieść w tamte strony. Francey był tak zaabsorbowany tym, żeby podchodzić do wszystkiego spokojnie, że skupił się na szczegółach, a na później zostawił sobie rozmyślenia nad skutkami tej decyzji. Kiedy Elizabeth zaprotestowała i odrzuciła jego propozycję, że kupi jej dom, który sama sobie wybierze i będzie opłacał chesne Connie, natarł na nią z taką siłą, że wkrótce się poddała. Następna sprawa dotyczyła Margaret: postanowili, że skoro i tak zostaje w okolicy, nadal będzie mieszkać na farmie, ziemię się wydzierżawi, a zwierzęta sprzeda.

- A co z Reksem? - spytała Connie, gdy już prawie wszystko ustalili.

- Przecież będę tu mieszkać, więc nic mu się nie stanie? - odparła Margaret. - Poza tym, przyda mi się towarzystwo psa...

- Maggie! - Francey roześmiał po raz pierwszy od bardzo długiego czasu. - Stajesz się sentymentalna na stare lata! - Chwilę później musiał się uchylić, gdyż siostra rzuciła w niego kawałkiem pomidora.

Na zewnątrz nadal było jasno i jeszcze nie włączali światła w domu; życie w kuchni zwolniło tempo - wszystkie prace zostały zakończone, spokój powoli osiadał wokoło. Żadne z nich nie kwapiło się do wstania od stołu, więc bez pośpiechu dopijali herbatę, zastanawiając się, co też porabia teraz Abby.

Właśnie wtedy Francey zrozumiał, że przekroczył kolejny bardzo ważny punkt w życiu: rodzina rozproszyła się z niebywałą prędkością i emocjonalne podwaliny jego życia zostały zagrożone.

- Jesteś pewna, że właśnie tego pragniesz, mamó? - spytał. - A co z twoimi przyjaciółmi, z Tilly i resztą sąsiadów?

Nawet farma już nigdy nie będzie taka sama - chociaż pozostanie w rękach rodziny, już nigdy nie będzie ich domem.

- Ja mam jeszcze sporo życia przed sobą. - W tonie matki kryła się pewna determinacja, jak gdyby wiedziała, że ta chwila nadejdzie i była gotowa się z nią zmierzyć. - Nigdy o tym nie mówiłam, lecz tęsknię do miejskiego życia, do tramwajów i autobusów, do sklepików na rogach ulic, do kina i tego typu rzeczy. Owszem, będę tęsknić za Tilly... i za tobą, Margaret, lecz zamierzam was odwiedzać tak często, jak to możliwe. Mam nadzieję, że wy również będziecie do mnie przyjeżdżać. Skoro teraz już każde z was ma własne życie, ja wreszcie mogę się zająć sobą. Nigdy nie czułam się tu jak w domu - oświadczyła spokojnie; było to dla Franceya równie

szokujące, co rozmowa z Fleur.

Mama i Lahersheen zawsze tworzyły jedność w jego umyśle i nigdy nie przyszło mu do głowy, że Elizabeth może traktować życie na farmie jako pewnego rodzaju zesłanie. Uważał za oczywiste, że on się stąd wyprowadzi, lecz myśl, że matka może chcieć zrobić to samo, okazała się niepokojąca.

Później tego samego wieczora, zanim położyli się spać, Francey rozmawiał z Margaret o tym, jak dziwnie ułożyły się wszystkie sprawy. Słuchała go z życzliwością, lecz jednocześnie rozumiała matkę.

- Popatrz na Jackie Kennedy - powiedziała. - Podobnie jak ona, mama ma jeszcze całe życie przed sobą. Kiedy ostatni raz naprawdę jej się przyjrzałeś... tak naprawdę? Mama jest piękną kobietą, Francey. Możliwe, że jeszcze raz wyjdzie za mąż.

Kiedy tak przedstawiła tę sprawę, Francey nie mógł się z nią nie zgodzić, lecz myślenie o matce jako o młodej kobiecie nie było dla niego łatwe.

Zanim wraz z Maggie opuścili kuchnię, wypisał jej czek na tę samą sumę, którą podarował Abby jako wiano. Zaskoczona siostra długo przyglądała się cyfrom.

- I co ja mam zrobić z tymi pieniędzmi? Francey, jesteś stanowczo za dobry. Mam nadzieję, iż nie myślałeś, że właśnie o to chodziło mi przez cały czas?

- Kup sobie przyzwoity samochód, jacht, zrób, co chcesz. - Teraz, gdy na horyzoncie pojawiły się tak wielkie zmiany, Francey nie miał cierpliwości. - Tylko na miłość boską, baw się dobrze, wydając te pieniądze. Nie wkładaj ich tylko do słoika i nie posypuj cukrem. - Chwilę później uświadomił sobie, że to kolejne z ulubionych powiedzonek Hazel; przejął od niej więcej, niż się spodziewał. - Jeśli będziesz czegoś potrzebować, wystarczy, że dasz mi znać - dodał.

- Tylko się ze mnie nie śmieję... może ja też rozejrzę się za mężem. Mogłybyśmy chodzić z mamą na wspólne polowania. - Francey roześmiał się, lecz tym razem Margaret mu zawtórowała. - Miło słyszeć, jak się śmiejesz, kochany - powiedziała. - Zaczynałam się już o ciebie martwić... Jak my wszystkie.

- Zacząłem chyba brać życie zbyt poważnie - przyznał. - Ale to się zmieni. - Zastanawiał się, jak często już to mówił lub myślał w ciągu ostatnich sześciu miesięcy; opowiedział jej o swoich planach wyjazdu do Hazel i High Rollersów za kilka dni.

- I dobrze - mruknęła Margaret, gdy skończył. - Wszyscy bardzo lubimy Hazel.

- O co wam chodzi? - Znowu się zirytował. - Najpierw Abby, a teraz ty. Ona jest tylko

moją przyjaciółką, nikim więcej!

- Jasne, jasne. - Siostra wstała i schowała czek do torebki. - Zamierzam posłuchać twojej rady i wydać tę forszę jak najszybciej. Już nie mogę się doczekać...

Młodzieniec westchnął i pomyślał, że rozsądniej będzie już nic nie mówić o Hazel Slysie.

Dojechał do High Rollersów w Birmingham późnym wieczorem następnego dnia.

Choć Hazel wspominała, że ta miejscowość leży niedaleko Inveraray, Francey nie miał zamiaru odwiedzać posiadłości; planował zatrzymać się w hotelu w centrum miasta. Jednak sumienie nie dawało mu spokoju, więc zadzwonił do ojca z lotniska w Cork, tylko po to, by się dowiedzieć, że George wyjechał do Londynu, gdy zaś kamerdyner przełączył go do stajni, Dessie był zbyt zajęty, by podejść do telefonu. Z uśmiechem ulgi na ustach Francey poprosił stajennego, żeby przekazał jego bratu, iż zadzwoni następnego dnia i z lekkim sercem wsiadł do samolotu.

Po raz pierwszy od wielu dni, tygodni lub może nawet miesięcy czuł się młody, gdy zostawiwszy bagaże w hotelu, wyruszył na zwiedzanie miasta. Na jego gust Birmingham nie było zbyt ładnym miastem, lecz tętniło życiem, na ulicach widziało się mnóstwo młodych ludzi i w ten słoneczny, rześki dzień nawet kakofonia młotów pneumatycznych dochodząca z różnych robót nie mogła zakłócić ogólnego przyjemnego wrażenia.

Na każdym kroku Francey widział, że faceci zajmujący się reklamą High Rollersów zrobili, co do nich należało: na nieomal każdej ścianie, każdym słupie telegraficznym czy każdym rusztowaniu wisiały plakaty i zdjęcia, i wszędzie czuł na sobie spojrzenie Hazel. Za każdym razem gdy przed oczyma stawała mu twarz Fleur, lub gdy zobaczył kobietę, która mu ją przypominała, zmuszał się do obserwowania innych rzeczy: ozdobnej klatki dla ptaków, którą ktoś wiozł na rowerze, spodni wiszących na sklepowej wystawie; lub myślał o tym, że większość dziewcząt nosiła włosy tak samo krótko obcięte jak Hazel. Owa umiejętność w jego mniemaniu świadczyła o tym, że czyni postępy. I jeszcze coś: nawet widząc pary, które całowały się i tuliły do siebie bez opamiętania, mógł już stawić czoło świadomości, że gdy znalazł się u szczytu obsesji na punkcie Fleur, miłość do tej kobiety dziwnie przypominała cierpienie.

Francey miał wrażenie, jak gdyby przyjechał tu na wakacje: idąc z powrotem w kierunku hotelu, by coś zjeść, zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna, w ciągu następnych kilku godzin, a może nawet dni, nie musi się troszczyć o nikogo prócz samego siebie, nie ma żadnych obowiązków i żadnych planów, z wyjątkiem pójścia na potańcówkę, gdzie ma szansę nieźle się bawić. Jako uprzywilejowany przyjaciel zespołu może kręcić się do woli

za kulisami i nie będzie zmuszony tańczyć z żadną obcą dziewczyną.

W pokoju hotelowym, który mu dano, stał telewizor, i poruszony tą nowością Francey zjadł obiad, wpatrując się w szklany ekran; później zdrzemnął się, wziął prysznic i włożył eleganckie ubranie. Było już dobrze po dziesiątej, gdy w świetnym humorze udał się do sali tanecznej. Dotarł tam za kwadrans jedenasta i przekonał się, że jako najbardziej znany z występujących zespołów High Rollersi mieli wejść na scenę dopiero za piętnaście minut, teraz zaś serca fanów rozgrzewała lokalna kapela. Korytarz przed salą był jednak zatłoczony, a po wymowie ludzi stojących w kolejce przed kasą poznał, że większość z nich to Irlandczycy.

Przyjrząwszy mu się do stóp od głów, bramkarz skierował Franceya do małego baru, gdzie wedle jego słów znajdowała się Hazel. Miał rację: siedziała założywszy nogę na nogę, na wysokim stołku po przeciwnej stronie pomieszczenia, i z papierosem w ustach. Ubrana była w wyszywaną cekinami minisukienkę oraz pasujące do niej buty lśniące kolorami tęczy w świetle srebrnej kuli wiszącej nad barem. Uszczęśliwiony jej widokiem, Francey pozdrowił ją ruchem ręki.

Był pewien, że go zauważyła, lecz zamiast także mu pomachać, odwróciła się i zgasiła papierosa; zawahał się przez moment, lecz później powiedział sobie, że chyba wpada w paranoję.

- Witaj, Hazel! - Dotknął jej ramienia.

- Patrzcie państwo, kto tu przyszedł! - Popatrzyła na niego z szerokim uśmiechem. - Jak się masz, Francey!

- Sama mnie zaprosiłaś. - Posłał jej szeroki uśmiech.

- Hej, chłopaki! - Hazel machnęła ręką do członków zespołu, którzy siedzieli obok niej przy barze. - Pamiętacie Herkulesa?

Młodzieniec wiedział, że to określenie nie miało pejoratywnego znaczenia: oprócz przyjaciela Hazel, Vinniego, nie widział żadnego z nich od czasu wypadku mikrobusu.

- Witaj, stary!

Stłoczyli się dokoła niego, proponując drinki i poklepując go po plecach. Zauważył, że tylko jeden z nich ma na twarzy pamiątkę po wypadku - długą białą bliznę ciągnącą się od linii włosów aż do kości policzkowej.

- Zdawało mi się, że mówiłaś, iż te sale taneczne są skromne! - odezwał się do Hazel, gdy tylko ucichły powitania. - Ta tutaj jest strasznie szykowna!

- Ach, bo to Anglia! - Piosenkarka zatrzepotała sztucznymi rzęsami. - To zupełnie inna

dżungla! Oczywiście trzeba się pilnować jak diabli i podobnie jak w domu nie brak tu zdesperowanych fanów, lecz przynajmniej mamy garderobę.

Nalegała, że postawi mu drinka, a później przedstawiła Franceya paru osobom: właścicielowi sali, impresariowi i kilku dziewczynom, wytapetowanym bardziej od niej i najwyraźniej żyjącym z poszczególnymi członkami zespołu.

- Zanim popelnisz jakąś gafę... - zamruczała mu Hazel do ucha - pamiętaj, żeby nie zadawać tym panienom żadnych pytań, uśmiechać się miło i trzymać buzię na kłódkę.

- Zaufaj mi. - Francey był oburzony, że miała go za takiego bałwana. - Nie zamierzam odezwać się ani słowem.

- Doprawdy? - Klepnęła go w ramię, po czym zobaczyła za jego plecami, że są wzywani na scenę. - Pij szybko - zarządziła. - Możesz się przydać przy ustawianiu sprzętu... Chyba że wolisz zostać tutaj, podczas gdy my zrobimy swoje?

- Chętnie wam pomogę.

Niewypowiedziane słowa, że od tej chwili praktycznie należy do zespołu, sprawiły mu przyjemność. Z rozbawieniem zauważył, że muzycy podają sobie z rąk do rąk odświeżacz do ust, poprawiają krawaty i idą w stronę panienki, która kiwała na nich ręką od drzwi.

Dziewczęta poprawiły włosy i makijaż, a potem z lekką nieśmiałością podążyły za członkami grupy; Francey byłby rozbawiony ich zachowaniem, gdyby nie przyszło mu do głowy, że sam znajduje się w analogicznej sytuacji, idąc za Hazel. Niezupełnie, powiedział sobie z pewną zarozumiałością: w odróżnieniu od tych dziewcząt, on nie ma ochoty na żadnego z członków zespołu.

Grupa grająca na rozgrzewkę, pięciu szczupłych chłopaków o bujnych czuprynach, sprzątała właśnie ogromną scenę; Francey pomógł wnieść sprzęt Rollersów.

- Powodzenia, stary - powiedział do niego jeden z tamtych w przelocie, a młodzieniec, zadowolony, nie wyprowadził go z błędu.

Hałas w sali przypominał mu ryk wzburzonego morza; perkusista w tym czasie precyzyjnie rozkładał nóżki instrumentów i dokręcał ostatnie śrubki. Przestrzeń tuż przed sceną była dokładnie zapchana ludźmi i Francey poczuł przyjemny dreszczyk podniecenia; dobrze zrobił, że tu przyszedł. Doskonale się bawił - a była to rzecz, o której prawie zupełnie zapomniał w ciągu kilku ostatnich miesięcy.

Kiedy tylko instrumenty były gotowe, zszedł ze sceny i stanął obok Hazel w małym przejściu za kurtyną; spiker zapowiedział ich przez głośniki i przy ogłuszającym aplauzie mu-

zycy po kolei wyszli. Hazel puściła ich przodem, później po swojemu klepnęła Franceya w ramię, a potem, podniósłszy wysoko głowę, policzyła „raz-dwa-trzy” i także zniknęła za kurtyną.

Zafascynowany Francey słuchał, jak aplauz przechodzi w dziki ryk.

Wysunął się przed kotarę i stanął z założonymi rękoma tuż przy ścianie sali; High Rollersi z wyćwiczoną sprawnością chwycili instrumenty i od razu zaczęli grać pierwszy, otwierający kawałek - pięciominutową składankę dixielandu, rock and rolla i polek, kończący się irlandzką przyśpiewką. Tłum szalał, a pod koniec utworu Francey miał wrażenie, że lada moment popękają mu bębny w uszach.

Od tego momentu wszystko szło jak z płatka; następne dwie i pół godziny wypełnili solówkami, duetami, tercetami a nawet sekstetami, wykonując piosenki Lonniego Donegana, Petuli Clark, Kenny'ego Balla, Cilli Black, Dionne Warwick i ulubienicy Hazel - Brendy Lee. Na koniec zagrali ukochane kawałki Elvisa, Cliffa Richarda, Louisa Armstronga, Plattersów, a nawet Binga Crosby'ego i irlandzkiego tenora - Johna McCormacka.

Muzyk grający do tej pory na gitarze basowej zmienił instrument na bandžo i zaczął irlandzką melodię ludową, która doprowadziła tłum do szaleństwa, a gdy zasapani i spoceni tancerze ledwo już trzymali się na nogach, Hazel pozwoliła im odetchnąć, śpiewając „Ave Maria” Gounoda a capella. Później, tuż po tym, jak tłum omal nie padł na kolana z szacunku dla jej artystycznych możliwości, rozbawiła ich na nowo, śpiewając „Kłowna Cathy” Everly'ego w duecie z saksofonistą.

Francey bawił się doskonale, obserwując wszystko ze swego dość niezwykłego miejsca, jego radość zaś potęgowało to, że podchodziły doń dziewczęta, by poprosić go do tańca, co było niezwykle i nie zdarzało się nawet podczas „panie proszą panów” w Irlandii. Doszedł do wniosku, że najwyraźniej widać po nim dobry nastrój i cieszył się swobodą płynącą z faktu, że może odmówić, nie raniąc niczyich uczuć. Wystarczyło, że wskazywał na scenę i z żalem szeptał: „Nie mogę”. Było to oczywiste kłamstwo, lecz dziewczęta wierzyły i brały go za osobę odpowiedzialną za techniczną część przedstawienia, szarą eminencję, która nie może opuścić posterunku.

Poza wszystkimi szalejącymi w nim emocjami Francey pełen był podziwu dla Hazel. Ponieważ wtedy w Dublinie zbyt późno przyszedł na tańce, nie widział jej w akcji; dopiero teraz zrozumiał, czemu w tym ściśniętym tłumie jest równie wielu mężczyzn, co dziewcząt. Hazel była nie tylko ładna i utalentowana, lecz także znała swój zawód i wykonywała go z wdziękiem. Odsunęła włosy do tyłu, tak że wyglądały na dłuższe i gęstsze niż w rzeczywistości, czę-

sto przeczesywała je palcami wystudiowanym ruchem, który przyciągał uwagę do jej szczupłej sylwetki, podskakiwała na scenie wraz z resztą zespołu. Bardzo uważała, by nie podejść zbyt blisko krawędzi sceny i nie znaleźć się w zasięgu wyciągniętych dłoni. Francey poczuł, że serce pęcznieje mu z dumy, iż ta cudowna kobieta wybrała właśnie jego, by dzielił z nią rozkosze łóżka.

Nie mógł oderwać od niej wzroku. Jakies pół godziny przed końcem występu, Hazel, z przymkniętymi oczyma, pochylona nad mikrofonem, jakby to była lina ratownicza, zaśpiewała łagodną wersję „Anyone Who Had a Heart”. W pewnej chwili przeliczyła się i podeszła zbyt blisko krawędzi.

Na oczach przerażonego Franceya natychmiast została pochwycona za nogi i ściągnięta na dół; kołysała się między głowami zgromadzonych niczym srebrny korek na powierzchni ciemnego morza, po czym zniknęła. Trzej muzycy stojący najbliżej przestali grać, pośpieszyli jej z pomocą i na oślep zanurkowali w tłum.

Jednak wyprzedził ich Francey: puściwszy w ruch łokcie i pięści dotarł do miejsca, gdzie Hazel broniła się przed chłopakiem o czerwonej twarzy, który za wszelką cenę usiłował ją pocałować. Podczas gdy inni cisnęli się i szamotali jak na meczu rugby, młodzieniec złapał natręta za kołnierz marynarki i odciągnął go od piosenkarki tak łatwo jak kociaka. Później wziął ją na ręce i przepychając się przez tłum, wyniósł w bezpieczne miejsce.

- Wszystko w porządku? - spytał, stawiając przyjaciółkę na podłodze.

- Dzięki. - Wydawało się, że nie jest ani przestraszona, ani zdenerwowana. - To już trzeci raz w tym miesiącu. Cholerne zwierzaki. - Powiedziawszy to, poprawiła sukienkę i włosy, a potem wskoczyła z powrotem na scenę i zaczekawszy aż członkowie zespołu pozbierają swe instrumenty, kontynuowała występ jakby nigdy nic.

Po koncercie wydawało się, że nikt z zespołu, a najmniej sama Hazel, którą martwiły tylko dwa złamane paznokcie, nie traktował całego incydentu poważnie. Z adrenaliną krążącą jeszcze w żyłach udali się do baru, gdzie prawie wszystkie miejsca były już zajęte, a barman ledwie nadążał z serwowaniem kufli piwa i podwójnych szkockich.

- Mogło ci się stać coś złego - zauważył Francey z przyganą, przynosząc jej ogromną porcję ginu z tonikiem do miejsca, gdzie rozdawała autografy tym uprzywilejowanym fanom, których ochrona wpuściła do lokalu.

- Jesteśmy do tego przyzwyczajeni... dzięki, kochanie. - Wzięła kolejny zeszyt z autografami. - Tylko kilka dziewcząt zajmuje się śpiewaniem, ale może to się przydarzyć wszyst-

kim. Mężczyznom także... po prostu na przyszłość będę musiała bardziej uważać.

- Potrzebny ci osobisty ochroniarz jak Frankowi Sinatrze, Hazel. - Jedna z dziewcząt z tłumu wielbicieli miała równie silny akcent z Dublina, co sama piosenkarka. - Twój facet na śmierć wystraszył tamtego King-Konga.

- Pewnie masz rację. - Hazel popatrzyła z rozbawieniem na Franceya. - Ale ten chłopiec nie jest na sprzedaż.

- Kto jest waszym menedżerem? - Francey nie zamierzał dać jej się wymigać. - Nie powinien pozwolić na coś takiego...

- Ten idiota? - parsknęła Hazel. - On siedzi w Dublinie za biurkiem. Ma wszystko w nosie, bo póki dostarczamy mu pieniędzy, może mieszkać w swym wielki domu i jeździć mercedesem... Dzięki, kochanie. - Uśmiechnęła się do następnego fana i wzięła kolejny kawałek papieru. - Nie jesteśmy jego jedynymi klientami... prowadzi około dziesięciu zespołów.

Podpisała ostatni świstek i poszła wraz z Franceyem do baru, by dołączyć do zespołu i impresaria.

- Nadal uważam, że powinien tu być z wami... ktoś w każdym razie powinien. - Francey przytrzymał ją za łokieć.

- No, cóż... jeśli się tym tak bardzo przejmujesz... - spojrzała na niego z uśmiechem - ...może sam powinienes się tym zająć, jak sugerowała tamta panienska? Ochroniarz, dobre sobie! A teraz zapomnij o tym, dobrze? - Odwróciła się tyłem. - To tylko jeszcze jeden z aspektów tej pracy. Co mi przypomina, żebym upomniała się o podwyżkę. - Po chwili wydawało się, że zapomniała o wszystkim i rzuciła się w wir zakrapianej zabawy z pozostałymi członkami grupy.

Jednak w wyniku tej rozmowy Francey przez najbliższe dwa tygodnie podróżował z High Rollersami jako zmiennik kierowcy, ochroniarz i generalnie chłopiec na posyłki. Nauczył się pilnować, aby nikt ich nie oszukiwał i nie naciągał, co wydawało się regułą w tym biznesie, sprawdzał, czy wszystkie pieniądze pochodzą z legalnych źródeł i pilnował, żeby organizatorzy nie sprzedawali biletów na lewo, co pozbawiało zespół części dochodów. Za każdym razem kiedy zadawał sobie pytanie, po co to robi, sam odpowiadał sobie rozsądnie, że uczy się show-biznesu, co może mu się przydać w swoim czasie. I nic go nie obchodziło, że nieobecny menedżer nie zamierza mu płacić za te nieoficjalne zajęcia; powtarzał Hazel i pozostałym członkom zespołu, że podróżuje z nimi tylko i wyłącznie dla własnej przyjemności.

Co było prawdą.

Zostawienie Dessiego z George'em okazało się dobrym posunięciem i wyszło na dobre im wszystkim. Ojciec, choć nie stał się z dnia na dzień święty i nadal często wyjeżdżał z Inveraray, starał się dotrzymywać swych zobowiązań względem chłopca i regularnie zawoził go na wizyty u lekarza w Londynie, co prawdopodobnie spadłoby na Franceya, gdyby został w posiadłości. Może George wreszcie dorósł?

Sam Dessie, mimo że czasem nerwowy i rozdrażniony, bez wątplenia był w lepszym stanie psychicznym; o zajęciach w stajni mówił teraz jako o swojej pracy. Francey zamienił parę słów po cichu z Mickiem O'Dowdem, który go przekonał, że przyrodni brat naprawdę przydaje się przy koniach i nie stanowi zagrożenia ani kłopotu dla żadnego ze stajennych.

Jeśli zaś chodzi o życie osobiste, Francey postanowił wziąć na przeczekanie. Był tak zaabsorbowany i przejęty swą nową rolą, że miał nadzieję już wkrótce zapomnieć o Fleur Manering. Czasem wracała do niego przeszłość i gdy sen nie chciał przyjść, słyszał w uszach owe znienawidzone słowa niczym zaciętą płytę; nadal śnił o Fleur, lecz choć cały czas czuł się skrzywdzony jej zachowaniem, ból ten zmniejszał się trochę każdego następnego dnia.

Nie miał jednak pojęcia, jak by zareagował, gdyby się z nią spotkał twarzą w twarz i na razie nie zamierzał do tego dopuścić. Chociaż pamiętał, żeby kiedyś porozmawiać z Hazel o tym, co powiedział jej wówczas Shottley, niedawne wydarzenia sprawiły, że miało to dla niego niewielkie znaczenie. Czuł, że powrót do tamtego incydentu nie miałby teraz najmniejszego sensu.

Jeśli Hazel nawet zastanawiała się, czemu Francey jej o nic nie wypytuje, nie wspominała o tym. W rzeczy samej młodzieniec był zdumiony niezwykłym jak na nią taktem, z jakim podchodziła do kwestii Fleur: kiedy raz ostrożnie zapytała o nią i dostrzegła napięcie Franceya, z zadziwiającą prędkością porzuciła temat, dodając tylko, że jeśli kiedyś zechce o tym porozmawiać, ona zawsze chętnie go wysłucha. Pominąwszy te chwile zwątpienia, mimo ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce, jednakowych hoteli, powtarzających się rozmów i żartów członków zespołu, przez te dwa tygodnie marca Francey Sullivan był nieomal szczęśliwy.

A gdy lepiej poznawał intymne szczegóły życia w trasie, z pewnym zaskoczeniem przekonywał się, że choć prawie wszyscy muzycy chętnie wykorzystywali nadarzające się im okazy, Hazel zawsze chodziła do łóżka sama.

Rozdział dziewiętnasty

Fleur nie była w Inveraray od czasu owego fatalnego w skutkach przyjęcia w dniu świętego Walentego, lecz musiała zmienić podjętą wcześniej decyzję i pojechać tam jeszcze raz.

Ojciec Colina, który najwyraźniej w jesieni życia odkrył powinności rodzicielskie, wbił sobie do głowy, że dla dobra Dessiego powinni uczcić dzień świętego Patryka. Zawsze chętny do pokazywania się z najlepszej strony, poprosił Fleur i Colina, który choć raz był w domu, aby przyjechali do dworu na uroczystą kolację. Francey także został zaproszony, lecz nadal przebywał na północy kraju i okazując haniebną brak odpowiedzialności, wojażował z zespołem muzycznym tej koszmarnej baby, która była wtedy na przyjęciu.

Jednak koniec końców Fleur czuła się zadowolona, że średni brat Colina wyjechał - przynajmniej nie musiała teraz stawiać czoła tej jednej potencjalnej komplikacji i nie chodziło tylko o samego Franceya - wcale by się nie zdziwiła, gdyby pojawił się na obiedzie w towarzystwie owej kobiety.

Postanowili zabrać ze sobą do Inveraray Tommy'ego, który nie chodził do szkoły z powodu przeziębienia, a jeśli chłopiec jechał, jechała też niania. Fleur trochę się niepokoiła, jak Tommy zareaguje na rozłąkę z opiekunką, gdy oboje wyruszą w swą wielką podróż, lecz była przekonana, że życie w słonecznej krainie złagodzi tę stratę. Poza tym mieli tyle pieniędzy, że będzie ich stać na nową nianię lub nawet mogą posłać po obecną dziewczynę, jeśli ta zgodzi się do nich przyjechać.

Ale były to plany na dalszą przyszłość; jak na razie nikt nie miał pojęcia, że wszystko jest już związane na ostatni guzik, poza Fleur i jubilerem z Hatton Garden, który załatwił jej czteroletnią dzierżawę willi na Kajmanach. Wybrała akurat to miejsce nie ze względu na jego status rajy dla podatników, lecz ponieważ mieściła się tam zachwalana szkoła klasztorna dla dzieci bogatych ludzi, w której jedna klasa zarezerwowana była dla uczniów z różnymi upośledzeniami.

Przy nieświadomej pomocy Colina - swego czasu zastanawiali się nad wakacjami na południu Francji - Tommy'ego przeniesiono z jego paszportu do jej; reszta dokumentów była w porządku, a przynajmniej o tyle, o ile to możliwe, i leżała bezpiecznie w sejfie w buduarze. Fleur zarezerwowała już bilety na samolot, które w każdej chwili mogła odebrać na lotnisku. Chociaż musiała podać prawdziwe dane obojga, przewidując każde ewentualne niebezpieczeństwo, nie ujawniła urzędnikowi linii lotniczych prawdziwego adresu w obawie, iż mógłby do

niej zadzwonić; wyjaśniła, że dużo podróżuje i nie będzie można z nią się skontaktować aż do dnia odlotu. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś zaczął się zastanawiać, czy się nie rozmyśliła, telefonowała na lotnisko co dzień, potwierdzając rezerwację.

Fleur zatrzymała perły Jool, gdyż wiedziała, że jest jej w nich do twarzy i miała do nich sentyment, lecz resztę biżuterii odziedziczoną po macosze Colina sprzedała wraz ze swymi diamentami i w zamian stała się właścicielką trzech wspaniałych błękitnych kamieni, z których każdy ważył około czterech karatów i wart był około jednej trzeciej miliona funtów. Zasyłała je w długi, wąski jedwabny woreczek, ten zaś ukryła pod podszewką starej wyszywanej koralikami torebki, która należała do jej matki. Ułożyła woreczek tak sprytnie wzdłuż szwu, że każdy, kto nie miałby dokładniejszych wskazówek, byłby przekonany, że wybrzuszenia spowodowane są przez kryształy górskie naszyte na zewnątrz. Podszewka zaś była już tak stara, że zapewne nikt nie podejrzewałby, iż ktoś mógłby ją ostatnio ruszyć.

Musiała teraz tylko podjąć pieniądze z depozytu bankowego i polecić, by sumy zostawione przez Jool dla niej i Tommy'ego były przelewane na konto, które otworzyła - przy pomocy znajomego jubilera - na wyspach.

Wyjazd na lotnisko zaplanowała z istic wojskową precyzją, zostawiając sobie dwie pełne godziny na wstąpienie do banku i zakończenie operacji finansowych; była to ostrożność konieczna na wypadek, gdyby trafił się jakiś nadgorliwy urzędnik, który, dowiedziawszy się o sumie wchodzącej w grę, uznałby, że musi skontaktować się z przełożonymi lub nawet z jej mężem.

To ostatnie nie stanowiło zagrożenia: z samego rana Colin miał wyjechać do Singapuru i nie dowie się o niczym aż do powrotu do kraju, chyba że wcześniej zatelefonuje do Londynu. Lecz do tego czasu ona i Tommy będą już bezpieczni w nowym domu.

Im bliżej było do odlotu - obecnie mniej niż trzydzieści sześć godzin - tym bardziej Fleur się denerwowała, że coś pójdzie nie po jej myśli; tuż przed wyjazdem na kolację do Inveraray, siedemnastego marca po południu, sprawdziła wszystko jeszcze raz, zamknięta za drzwiami buduaru. Wiedziała, że tego typu nerwowe zachowanie zupełnie do niej nie pasuje, ale skala obecnego przedsięwzięcia usuwała w cień wszystkie jej wcześniejsze działania i plany. W porównaniu z tym nawet ucieczka z Liliowego Ogrodu była dziecinną igraszką.

Piękno całego planu leżało w jego prostocie: nie popełniła nic niezgodnego z prawem, nie ukradła nic ani mężowi, ani komukolwiek innemu. Kiedy rozważała moralne aspekty swego zamierzenia - a nie zdarzało jej się to często - nie dostrzegła w nim żadnego błędu. W końcu

zabierała tylko swe ciężko zarobione pieniądze i synka, by zacząć nowe, samodzielne życie w innym klimacie. Nikt z tego powodu nie ucierpi, z wyjątkiem Colina, ale i jego żal szybko przeminie, bo choć mężowi wydawało się, że ją kocha, romantyczna miłość to rozrywka dla bogaczy; a jedyne uczucie, które naprawdę się liczy, to miłość matki i syna. Colin zaś z łatwością znajdzie inną utalentowaną kochankę.

Sprawdziwszy dokumenty i dotknąwszy po raz dziesiąty podszewki torebki, aby się upewnić, że diamenty nadal tam są, chowała właśnie wszystko z powrotem do sejfu, gdy usłyszała, że ktoś wchodzi do salonu. Pośpiesznie zamknęła drzwiczki w podłodze, maskujące skrytkę, ułożyła jedwabny dywan i gdy rozległo się pukanie do drzwi, wygładzała kapę na łóżku.

- Kto tam? - Bliskość wyjazdu sprawiała, że była tak zdenerwowana, iż własny głos brzmiał w jej uszach obco.

- Colin. - Usłyszała cichy głos zza grubych drzwi. - Jesteśmy gotowi do wyjazdu. Mogę wejść, Fleur?

- Już wychodzę. - Otworzyła drzwi z zasuwki i zobaczyła, że mąż ma na sobie płaszcz.

- Tommy siedzi już w samochodzie. - Później zerknął w dół: - Czy to torebka twojej matki?

Fleur dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że nadal trzyma ją w ręce.

- Tak. - Spojrzała na nią tak, jakby sama była lekko zdziwiona i ucieszona jej widokiem. - Zapodziałam ją niedawno, lecz właśnie udało mi się ją znaleźć. Chciałam pokazać ją Tommy'emu... w końcu należała do jego babki.

- Nie widziałem jej od lat!

Fleur pomyślała, że mogłaby się zabić za taki brak ostrożności.

- Jedziemy?

Przechodząc obok męża, zganiła się w myślach: powinna bardziej uważać. Ten błąd nie wydawał się zbyt poważny, ale wskazywał, co może się stać, jeśli nie weźmie się w garść w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin. Irytujące i męczące było to, że skłamałszy Colinowi, musiała wziąć torebkę do Inveraray, chociaż wiedziała, że i tak diamenty są bezpieczne.

Hazel uśmiechała się od ucha do ucha, podczas gdy Francey rozmawiał z pozostałymi członkami zespołu, starając się przekrzyczeć warkot silnika mikrobusu. Po dwóch tygodniach odgrywania przed nim roli najlepszej przyjaciółki czy też ukochanej siostry miała już tego trochę dość, lecz zamierzała doprowadzić grę do końca, przynajmniej do końca występów w An-

glii. Później zdecyduje, co robić. Jak na razie cieszyła się z ożywienia, które zauważyła w oczach Franceya; był to wielki postęp od czasu występu w Birmingham, gdy Hazel widziała na jego twarzy tylko stres. Minęło już sporo czasu, odkąd ostatni raz przyłapała młodzieńca na tęsknym wpatrywaniu się w przestrzeń, co świadczyłoby o tym, że znowu rozgrzebuje popioły i rozmyśla, jakby mogło być z tą syjamską siostrą.

Hazel ośmieliła się mieć nadzieję, że zauroczenie młodzieńca tamtą kobietą mija, choć za znamienny uważała fakt, że nie chciał jechać do Inveraray na kolację w dniu świętego Patryka, którą George wydawał specjalnie dla jego przyrodniego brata. Wolałaby, aby spotkanie z Fleur nie miało już dla Franceya większego znaczenia.

Kościół katolicki w Irlandii dawał dyspensę od postu w dniu świętego Patryka i trzy czwarte narodu tańczyło. Jednak tego roku menedżer Rollersów załatwił im lukratywny kontrakt z właścicielami sieci sal tanecznych w angielskich miasteczkach zamieszkanym głównie przez Irlandczyków i grupie nie opłacało się wracać do domu. Jechali więc do Coventry, gdzie - co dla nich niezwykle - mieli występować wspólnie z drugim zespołem prowadzonym przez ich menedżera. Zazwyczaj Rollersi, jako gwiazdy wieczoru, występowali ostatni, lecz ponieważ mieli jechać do Brighton następnego dnia z rana, a chcieli jeszcze się zatrzymać w Cricklewood na prywatne przyjęcie z okazji dnia świętego Patryka, zaaranżowano wszystko tak, że gorszy od nich zespół miał zagrać na początku i końcu imprezy, by oni sami weszli na scenę o wpół do jedenastej i skończyli występ kwadrans po północy.

Szosa do Londynu przebiegała niespełna czterdzieści kilometrów od Little Staunton i jeśli Francey zdecydowałby się na kolację z rodziną, mogli go zabrać w drodze powrotnej, niewiele tylko zbaczając z trasy. Byłoby relatywnie wcześnie - około wpół do drugiej nad ranem - lecz wtedy Francey nie musiałby zostawać na noc u ojca. On jednak z uporem odmawiał rozmów na ten temat, Hazel zaś, która już dokładnie ustaliła plan całej kampanii, wiedziała, że nie należy zbyt mocno naciskać.

Miała okazję obserwować go bardzo uważnie - zwłaszcza wtedy gdy nie był tego świadomy - i przez tak długi czas, że wydawało się jej, iż zaczyna znać go lepiej niż on sam. Zmiana, która zaszła w młodzieńcu od owej nocy, gdy podszedł do Hazel na potańcówce w Dublinie, była tak zaskakująca, że prawie nie mieściła się w głowie: w przeciągu mniej niż pół roku przed oczyma Hazel pojawił się nowy Francey, jak gdyby wywoływała jego zdjęcie w ciemni.

Francey, którego teraz widziała, mimo niedoceniań własnych sił („jeden krok w przód, dwa kroki w tył”) nie był już tamtym niepewnym siebie, przerośniętym chłopcem. Hazel czuła,

że nie pozwoliłby już tak łatwo sobą manipulować i że nieco stwardniał. Podejrzewała, że to wcale nie takie złe. Choć nie chciała, by pogrzebał na dnie serca ową łagodność, która była najbardziej pociągającą cechą jego charakteru, to jednak dawny Francey, którego wzięła sobie do łóżka, wydawał się stanowczo zbyt miękki. Ten teraz nie był już naiwnym, łatwowiernym chłoptasiem, który przychyliłby nieba każdej sierocie bożej, gdyby tylko opowiedziała mu jakąś łzawą historyjkę. Jeśli stało się tak przez Fleur i jej okrucieństwo, to chyba ta kobieta mimowolnie wyświadczyła mu przysługę.

Wielkim mankamentem było wszakże to, że Francey obecnie przesadzał w drugą stronę i zaczął żyć jak mnich. Podczas gdy wszyscy wokół niego świetnie się bawili i wygłupiali na potęgę, on zachowywał umiar, który zadowoliłby niejednego męczennika. Hazel przyglądała mu się co wieczór ze sceny podium i po części z ulgą, po części z rozbawieniem dostrzegała, jak odrzuca zaproszenia zarówno subtelnych, jak i śmielszych dziewcząt, które na jego widok wypychały się do ustanowionej dokoła podium strefy bezpieczeństwa.

Hazel ani przez moment nie uważała owych smarkul za konkurencję i była wzruszona gorliwością, z jaką Francey postanowił chronić ją przed ponownym atakiem tłumu. Pewnego razu oglądała koncert wschodzącej gwiazdy - grupy rockowej o nazwie Rolling Stones, którzy wywoływali wśród widzów istne szaleństwo. Zachowanie Franceya przypominało jej goryli tego zespołu, którzy stale łazili przed sceną, by oddzielić rozwrzeszczane audytorium od muzyków.

Jeszcze nigdy nikt nie zrobił jej krzywdy i prawdę mówiąc, do swej choreografii scenicznej dołączyła owo drażniące „spadnie czy nie spadnie”, ale jeśli odgrywanie roli anioła stróża uszczęśliwiało Franceya, to niby czemu miałyby mu na to nie pozwolić?

Muzyk prowadzący samochód stanął na parkingu przed Sheffield, aby przekazać kierownicę komuś innemu, wszyscy zaś wyleźli z mikrobusu, by rozprostować nogi. Hazel wyciągnęła butelkę wody, którą zawsze nosiła w torbie: jednym z przykazań show-biznesu, wbijanych jej do głowy od dzieciństwa było, że picie galonów wody dziennie opóźnia powstawanie zmarszczek.

- Chcesz trochę? - Podała butelkę Franceyowi.

- Dzięki. - Napił się, oddał jej butelkę, po czym przeciągnął się z szerokim ziewnięciem; Hazel, która w czasie podróży nosiła buty na płaskim obcasie, boleśnie odczuła swój niski wzrost.

- Na miłość boską, opuśćże ramiona! - mruknęła tonem wymówki. - Chcesz zrobić ze

mnie pośmiewisko? Wyglądasz jak Stonehange.

- I tak się czuję. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Chyba już zmumifikują mi się kończyny od tego siedzenia w mikrobusie! Teraz ja prowadzę, co?... Wydaje mi się, że od lat nie przespałem już dwóch nocy z rzędu w tym samym wuju Nedzie.

Posługiwanie się gwarą zespołu przez Franceya zawsze napełniało Hazel wesołością, lecz był tak dumny z tego, że uważają go za jednego z nich, że nawet nie śmiała z niego żartować.

- Jeśli jesteś zmęczony, niech ktoś inny prowadzi - zaproponowała.

- Ależ nie ma mowy! Jest moja kolej i chcę to robić.

- Jak sobie życzysz.

- Jesteś szalenie miła, Księżniczko. - Potargał jej włosy.

- Nie rób tak! - ostrzegła, odtrącając jego dłoń z desperacją.

- Przepraszam. - Pochylił się, i ku zgorszeniu Hazel, obraził ją jeszcze bardziej: pocałował ją lekko w policzek.

O, poczekaj ty, Franceyu Sullivanie, pomyślała, wchodząc z powrotem do samochodu i siadając. Już ja to sobie odbiję którejs nocy na twojej cudownej skórze... i to w niedalekiej przyszłości!

Erotyczne myśli spowodowały, że przeszedł ją dreszcz podniecenia i znowu musiała napić się wody, aby nikt nic nie zauważył.

Kiedy Colin i Fleur minęli bramę i wjechali na podjazd prowadzący do dworu, ich oczom ukazał się widok niespotykany od czasu śmierci Jool: George powoził parą shirów, zdążając w kierunku auta.

Siedział na wysokim koźle powozu w liberii, w kapeluszu i fartuchu - wyglądał niczym ilustracja z książki opublikowanej na początku wieku - za nim zaś stał Dessie.

- No, no, no...

Colin zwolnił i zerknął na Fleur, lecz odwróciła wzrok od nadjeżdżających koni i spojrzała na pola. Odkąd ustaliła termin swego wyjazdu, coraz trudniej było jej zachować pozory normalnych stosunków z Colinem i prawie wszystko, co robił i mówił, niemiłosiernie ją denerwowało. Chwilę później z tylnego siedzenia dały się słyszeć podniecone popiskiwanie Tommy'ego. Chłopiec zaczął ją stukać w ramię i sygnalizować, że chce wysiąść. Była więc zmuszona odezwać się jednak do męża i poprosić go, by zatrzymał samochód.

Tommy podbiegł prosto do zaprzęgu i z pomocą Dessiego wdrapał się na tył powozu;

gdy Colin jechał powoli w stronę domu, chłopiec machał rodzicom z taką radością, że nawet rozdrażnienie Fleur rozwiało się na ten widok.

Dessiego aż ręce świerzbiły, żeby wziąć lejce. Nadal był pod ogromnym wrażeniem ojca i nie chciał prosić, by pozwolił mu powozić. Dotknął ramienia dziecka, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę i uśmiechnął się do Tommy'ego, kiedy George zawrócił konie przed bramą. Dobrze się czuł w towarzystwie małego kuzyna. Choć widział go do tej pory tylko raz, czuł, że w pewien dziwny sposób doskonale się rozumieją; jedynym możliwym wytłumaczeniem tego mógł być fakt, że choć pochodzą z różnych środowisk i różnie zostali wychowani, rozpoznali w sobie nawzajem pokrewne dusze: ponadto każdy z nich niósł ciężar własnego kalectwa - Tommy głuchoty, Dessie zaś urodzenia i alkoholizmu.

Teraz nie miał już wątpliwości co do tego ostatniego. Od wielu tygodni był trzeźwy, a terapeutka z Londynu, której czasem nienawidził i którą czasem kochał, stała się jego prawdziwą przyjaciółką. Widywał się z nią dwa razy w tygodniu i niedawno zaczęli rozmawiać o sprawach bardzo bolesnych dla Dessiego; terapeutka tłumaczyła jednak, że są bardzo ważne dla niego i dlatego musi o nich myśleć i rozmawiać, bez względu na to, jak jest to straszne, gdyż dopiero wtedy zrozumie, dlaczego naprawdę pije. Największe cierpienie sprawiało mu opowiadanie o matce. Terapeutka nalegała i nalegała nawet wtedy, gdy Dessie oświadczył jej prosto z mostu, że nie ma ochoty wracać do tamtych spraw, i gdy się o to na nią rozzłościł. Jednak krok po kroku doprowadziła go do decyzji, że będzie musiał odszukać Kathleen Scollard i przekonać się, co się z nią stało. Jeśli nie żyła, będzie to coś, z czym Dessie musi się pogodzić; musi oddzielić grubą kreską przeszłość i zacząć żyć na nowo. Chłopak wspomniał o tym nieśmiało Franceyowi, kiedy ostatnim razem rozmawiali przez telefon, a brat odrzekł natychmiast, że chętnie pomoże w poszukiwaniach, gdy tylko Dessie dojdzie do wniosku, że jest już na to gotowy.

Dessie często wpadał w złość, często się bał i bardzo, bardzo często płakał w gabinecie terapeutki, i za każdym razem wychodził od niej wycieńczony. A jednak w pewien sposób mu pomagała; próbowała nawet pomóc mu w stworzeniu planów na przyszłość, prawdziwych planów dotyczących najbliższego czasu. Na przykład dzięki tej kobiecie Dessie rozumiał, że już wkrótce musi nauczyć się czytać i pisać; terapeutka wydawała się przekonana, że nie będzie miał z tym żadnego problemu, jeśli tylko naprawdę przyłoży się do pracy i zaproponowała, że specjalnie poleci go pewnemu wykładowcy literatury. Popierała także to, że pracował przy koniach i zdawała się rozumieć jego miłość do ogromnych shirów.

Teraz, trzymając małego Tommy'ego za rączkę, stojąc obok George'a i obserwując kołysanie się ozdób na uszach Samsona i Goliata w rytm ich kroków, chłopak czuł się naprawdę szczęśliwy. Odważył się nawet poprosić ojca, żeby pozwolił mu powozić.

- Jeśli tylko czujesz się na siłach. - George zatrzymał konie, a potem podał Dessiemu lejce i fartuch, po czym pokazał, jak go włożyć i przypiąć się skózanymi pasami do wysokiego kozła. - Bardzo proszę! Wyglądasz, jakbyś się w tym urodził! - Włożył synowi na głowę wysoki kapelusz, po czym zakomenderował: - Janie, do domu!

Dessie klasnął językiem i kiedy w odpowiedzi poczuł potężne szarpnięcie, przebiegł go dreszcz podniecenia. Jazda na grzbiecie potężnego shira, gdy koń szedł spokojnie wokół podwórza to jedna rzecz, lecz świadomość ich ogromnej siły, gdy w parze ciągnęły zaprzęg - to zupełnie co innego.

- Świetnie ci idzie! - zauważył George kilka minut później, kiedy ze zgrzytem potężnych kół poruszali się równym tempem po zwirowanym podjeździe. - Tylko tak dalej, a już wkrótce pozwolę ci powozić czwórką koni!

- Nie mogę się doczekać!

Dessie czuł, jak krew krąży mu szybciej z podniecenia. Chociaż nigdy nie zwracał specjalnej uwagi na otoczenie, teraz czuł wiosenne słońce na twarzy i choć było dopiero po piątej, zauważył wszystkie odcienie czerwieni kryjące się w cieniach pod drzewami, gdy ogromna złota kula zaczęła powoli opadać ku zachodowi. Dostrzegł nawet, że w ciągu ostatnich dwóch dni na trawniku wiodącym od stajni do padoków rozkwitły dwa żółte strumienie żonkili.

Siedząc na wysokim koźle przypominającym tron, z małym chłopcem, który od czasu do czasu chwycił go za prawą nogę dla utrzymania równowagi i z dumnym ojcem stojącym po lewej stronie, Dessie czuł się jak król świata. Zdawało się, że Samson i Goliat także są zadowolone: oba konie szły z wysoko podniesionymi łbami, daleko przed siebie wyrzucając nogi w wyciągniętym klusie.

Podjechali do jeziora, lecz Dessie nie czuł się jeszcze dość pewnie, by poprowadzić konie wokół wody, jednocześnie usiłując dogadać się na migi z małym chłopcem, więc mocno ściągnął lejce.

- Spokojnie. - George sięgnął mu przez ramię i zwolnił nieco nacisk. - Nie musisz ciągnąć tak mocno. One są nauczone reagować nawet na najmniejsze sygnały.

- Czy teraz Tommy może spróbować? - Dessie rozluźnił rzemienie wokół pasa.

- Nie sądzę, by był dostatecznie silny. - George popatrzył na wnuka z powątpiewaniem. -

Może po prostu weźmiesz go na kolana?

Posadziwszy sobie chłopca na kolanach, Dessie ułożył jego rączki tuż przed swoimi na długich lejcach i poprowadził konie dokoła jeziora spokojnym stępem. Matka Tommy'ego wraz z nianią stały w drzwiach i obserwowały ich bacznie.

- Proszę, uważajcie! - zawołała Fleur, a w tej samej chwili Samson gwałtownie potrząsnął głową, omal nie pozbawiając równowagi Tommy'ego, który ścisnął drugi koniec lejców. Dessie przytrzymał malca i po raz drugi objechali wodę.

- Doskonale! - zasygnalizowała niania, lecz chłopiec był zbyt przejęty, by ją choćby zauważyć.

- Możemy wyjechać z powrotem na podjazd? - poprosił Dessie ojca.

- Muszę zadzwonić - odrzekł George, spoglądając na zegarek. - Poradzisz sobie sam?

- Pojadę tylko stępem - obiecał Dessie.

Zostawiwszy syna z twardymi instrukcjami, żeby przy bramie nie zawracał, lecz poprowadził konie do stajni za kantary, George zeskoczył z kozła i podszedł do frontowych drzwi. Wraz z Fleur i nianią patrzyli, jak Dessie ponownie sadza sobie Tommy'ego na kolanach i zaczęli czekać, aż zaprzęg potoczy się w kierunku bramy; później wszyscy troje weszli do domu.

Dziesięć minut potem, kiedy Fleur wypakowała zieloną sukienkę, w której zamierzała się do kolacji, poczuła nagle przeszywający strach. Tommy. Coś się stało z Tommym!

- Co się stało? Dokąd idziesz? - zawołał za nią Colin, gdy rzuciła sukienkę na podłogę i wybiegła z pokoju.

Nie odpowiedziała, tylko popędziła korytarzem w kierunku głównego wejścia do domu. Drzwi nie chciały się otworzyć; serce waliło jej dziko, gdy szarpnęła zamek i dopiero wtedy zorientowała się, że przekreca go w złą stronę.

Wreszcie drzwi ustąpiły.

Zobaczyła ich po przeciwnej stronie jeziora; oba konie szły powoli, Tommy zaś siedział bezpiecznie na kolanach wujka.

- Chodź tu do mnie! - Fleur pobiegła w stronę powozu; w panice zapomniała, że jeśli nie da chłopcu sygnału palcami, Tommy nie zrozumie. - Schodź natychmiast!

Tym razem pokazała też na migi, o co chodzi; synek popatrzył na nią ze zdziwieniem, lecz Dessie zareagował.

- Nic mu nie będzie, Fleur, uważam na niego.

- Chcę, aby natychmiast zszedł. - Fleur wyciągnęła ramiona, lecz synek siedział na kozle

poza zasięgiem jej rąk. - Zatrzymaj się! - wrzasnęła na Dessiego.

Musiała biec obok, gdyż choć konie szły stępem, przy każdym kroku pokonywały spory kawałek drogi.

Wreszcie Dessie zrobił, o co go prosiła, i w milczeniu podał jej Tommy'ego, który wcale nie miał ochoty zsiadać.

- Co ja takiego zrobiłem? - spytał.

- Nic. - W tej samej chwili Fleur zobaczyła wyraz żalu na twarzy szwagra. - Przepraszam. - Przeczesała palcami włosy syna i przytuliła go mocniej. - Po prostu się przestraszyłam.

- Był bezpieczny, Fleur - zapewnił ją Dessie. - Wiem, jak się opiekować dziećmi.

- Wiem, Dessie. Chodź, Tommy, pójdziemy już do domu. - Usiłowała go zabrać, lecz chłopiec opierał się jej i tłumaczył na migi, że chce zostać z Dessiem i końmi, bo właśnie mają je odprowadzić do stajni.

Fleur, której przerażenie już minęło, spojrzała na zdeterminowaną twarzyczkę dziecka. Nadal wolałaby nie zostawiać Tommy'ego, lecz ostatnio zrobił się strasznie uparty i nie chciała wywoływać sceny.

- Dobrze, jeśli obiecasz wrócić do domu za piętnaście minut - powiedziała, pokazując mu to na migi. - I nie możesz już powozić, zgoda?

Tommy tak energicznie pokiwał głową, że czarna czuprynka zakryła mu oczy.

- Dwadzieścia minut? - Pokazał na palcach i patrząc na jego zaciśnięte usta, Fleur zrozumiała, że może się albo zgodzić, albo stawić czoło długiej, męczącej kłótni.

Kiedy wyjadą na Kajmany, będzie musiała poświęcić sporo czasu na ponowne przyzwyczajenie syna do posłuszeństwa.

- Wydmuchaj nos... - Tommy nadal był mocno zaziębiony. Podała mu chusteczkę, zaczęła, aż wyczyści nos, po czym pomogła chłopcu wdrapać się z powrotem na kozioł.

Chociaż przeprosiny skierowane do Dessiego były szczere, nie mogła stłumić lęku na widok chłopca oddalającego się w zaprzęgu, ciągniętym w statecznym tempie w kierunku stajni. Wiedziała, że jest przewrażliwiona - z pewnością dlatego, że było już tak blisko do wyjazdu. Tak wiele spraw mogło się jeszcze nie udać: zaziębienie Tommy'ego mogło przybrać na sile albo wręcz przerodzić się w zapalenie płuc. Mógł spaść z tego cholernego powozu i złamać rękę lub nogę albo jeszcze gorzej się poturbować.

Zobaczyła Colina wybiegającego z domu i to tylko wzmogło jej irytację.

- Wszystko w porządku?

- Tak. - Zmusiła się do uśmiechu. - Jestem tylko przewrażliwioną matką.

Kolacja okazała się nie taka straszna, jak Fleur się tego obawiała. George pomyślał o tym, aby kupić całą baryłkę piwa Guinnessa i nalegał, by wszyscy z wyjątkiem Dessiego spróbowali irlandzkiego napoju. Był w szczytowej formie, rozmawiał i żartował i starał się zachowywać jak czarujący gospodarz, jak tylko potrafił najlepiej. W rezultacie drinki przed kolacją nieco się przedłużyły i mała grupka zasiadła do posiłku dopiero o dziesiątej wieczorem. Wszyscy ubrani byli na zielono lub przynajmniej mieli jakiś element garderoby w tym kolorze ku czci świętego Patryka, o którym nikt, włącznie z Dessiem, nie wiedział zbyt wiele. Sama Fleur nienawidziła zieleni i uważała, że ta barwa przynosi jej pecha; nie podobała jej się teraz także sukienka, którą kupiła pod wpływem impulsu w butik przy King's Road. Jednak podczas ostatniego wieczoru spędzanego w Anglii wolała nie zwracać na siebie uwagi, co spowodowało się do włożenia tradycyjnego stroju i niezachęcania innych do rozmów. Posunęła się nawet tak daleko, że zawiązała zieloną muszkę na szyi niechętnemu całej uroczystości Tommy'emu.

Także służba robiła co w jej mocy, by dostosować się do ducha dnia: pokojówki nosiły zielone kokardki na czepkach, a nawet Lewis wpiął sobie zieloną wstążkę w butonierkę. Prześcignęli samych siebie w przygotowaniu stołu i jedzenia: przy każdym nakryciu leżała koniczyńka, zamiast kwiatów na stole znalazła się przemyślna dekoracja z gałązek choinki i suchych goździków, na kredensie zaś stał ogromny tort pokryty zielonym lukrem. Na pierwsze danie podano zupę szczawiową, a na drugie wołowinę w kukurydzy z kapustą, co - jak zapewniał ich George - było tradycyjną irlandzką potrawą. Do tego wszystkie możliwie zielone warzywa, jakie wpadły kucharce w ręce.

Gość honorowy wieczoru siedział u szczytu stołu i ćmił te swoje okropne papierosy, lecz wydawało się, że nawet on bardzo się stara. Przynajmniej palił tylko między daniami, a nie przez cały czas. Fleur zauważyła, że odkąd widziała Dessiego po raz ostatni, przyrodni brat Colina przybrał na wadze i włosy mu nieco odrosły. Doszła do wniosku, że obecnie wydaje się nawet przystojny i patrząc na jego rozjaśnioną twarz, zmuszona była choć raz przyznać, że ojciec Colina postąpił słusznie, urządzając tę kolację.

Kiedy służba sprzątała talerze po drugim daniu, George wstał, by wygłosić małe przemówienie, tak płynne i pełne wdzięku, że Fleur była przekonana, iż wcześniej je napisał i nauczył się go na pamięć. Nie mogła jednak nie zauważyć, że obecny odpowiedzialny George był o niebo lepszy od dawnego.

Jednak potem, gdy już usiadł, nie potrafił zostawić ich w spokoju. Raz złapawszy wiatr w

zagle, musiał go wykorzystać i zaczął opowiadać swe ulubione irlandzkie dowcipy włącznie z owym przydługim, jak to farmer pożyczył od sąsiada byka, by zacielić krowę, lecz długo go nie oddawał: „A kiedy sąsiad przyszedł zobaczyć, co się dzieje, zastał swego byka zaprzęgniętego do pługa i orzącego błotniste pole, znajomy farmer szedł zaś za nim z batem i wykrzykiwał: Już ja cię nauczę, że w życiu wcale nie romanse są najważniejsze!”.

George odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem, a później otarł z policzków łzy rozbawienia.

- To mi się podoba! - wykrztusił. - Usłyszałem go od Irlandczyka, rzecz jasna... - I znowu zaczął wspominać czasy swych występów w Irlandii.

Przysłuchując się opowieściom teścia, Fleur zastanawiała się, co naprawdę czuje najmłodszy syn George'a, gwałtownie zaciągający się papierosami, gdy słyszy o przygodach ojca. Właściwie, to ciekawe, co wszyscy trzej synowie myślą o jego wybrykach? W końcu to właśnie w owych wojennych czasach, które wspominał teraz z nostalgią, musiał w dość wątpliwych okolicznościach spłodzić wszystkich trzech.

A jeśli chodzi o Colina, jak to się stało, że został pominięty przy nagłym nawróceniu się George'a na ojcostwo, do którego doszło, kiedy na horyzoncie pojawił się najmłodszy z potomków? Nie miała w zwyczaju plotkować z mężem o jego ojcu: po pierwszych paru miesiącach wspólnego życia, kiedy słuchała Colina z szeroko otwartymi oczyma, ten uwierzył, że Fleur czerpała każdą sylabę padającą z jego ust i przestał z nią rozmawiać na poważne tematy. Wydawał się szczęśliwy, zastępując rozmowę seksem, którego nigdy nie miał dość, a na który ona zawsze wyrażała zgodę, więc właściwie nie wiedziała, jakie uczucia żywi jej mąż do George'a, lecz podejrzewała, że czuje się samotny i wyłączonego z towarzystwa - zwłaszcza od śmierci Jool i odkąd pojawili się tamci dwaj.

Pokojówka podała każdemu salaterkę zielonych lodów oraz postawiła zielone ciasto w kształcie czterolistnej koniczynki przed gościem honorowym, by je pokroił. Dessie zarumienił się i zgasiwszy papierosa, bez ceremoniału, którego się po nim spodziewano, wbił nóż w sam środek ciasta tak gwałtownie i pod tak dziwnym kątem, że się pokruszyło.

- Lewis się tym zajmie. - George dał znak kamerdynerowi i aby pokryć zażenowanie najmłodszego syna, opowiedział kolejną anegdotkę.

- Smakowała ci kolacja?

Gdy kamerdyner dał znak pokojówkom, Fleur odwróciła się do Tommy'ego, który wiercił się obok niej i na migi zadała mu pytanie. Po powrocie chłopca ze stajni nie odstępowała go

na krok, dzięki czemu niania miała wolne. Dziewczyna, która siedziała po drugiej stronie, podała mu teraz chusteczkę; Tommy odpowiedział matce, że z powodu zaziębienia właściwie nie czuje smaku potraw.

Fleur dotknęła jego czoła. Wydawało się gorące, co mogło być spowodowane zarówno przeziębieniem, jak i centralnym ogrzewaniem, które zawsze podwyższało temperaturę w domu.

- Chcesz się położyć spać zaraz po deserze?

Skinał twierdząco głową.

Gdy tylko chłopiec skończył swą porcję lodów i ciasta, Fleur przeprosiła pozostałych i wraz z synkiem wyszła z jadalni. Pomogła mu się rozebrać i przypilnowała go przy myciu zębów, a później położyła spać.

Fleur wiedziała doskonale, że choć Tommy jest rozsądny ponad swój wiek, został tak rozpieszczony przez całą rodzinę - a zwłaszcza starą Amerykankę - że zachowywał się bardziej dziecinnie niż jego rówieśnicy. Na przykład kiedy kładł się do łóżka, uwielbiał mieć przy sobie cały regiment zabawek, nad którymi mógł królować niczym mały pułkownik. Właśnie teraz dobierał sobie towarzyszy do poduszki z ogromnej kolekcji kolorowych i drogich zabawek, które zapełniały pokój. Widząc szczery, pełen satysfakcji uśmiech synka, Fleur musiała uważać, by nie powiedzieć mu, aby do woli nacieszył się dzisiejszą nocą, gdyż już nigdy więcej nie wróci do owego dziecięcego rajku, który został stworzony specjalnie dla niego. Zamiast tego pochyliła się i pocałowała Tommy'ego.

- Śpij już...

- Zapytasz tatę i dziadka, czy jutro też będę mógł powozić? - spytał chłopiec na migi.

- Zobaczymy. - Fleur wiedziała, że mają wyjechać następnego dnia wczesnym rankiem; nie chciała żadnych opóźnień w swoim planie. - Tu masz książkę i wydmuchaj jeszcze nos. - Podała mu bajki i chusteczkę z nocnej szafki. - Dobranoc. - Raz jeszcze pocałowała go w czoło i wyszła.

Kiedy wróciła do jadalni, Colin uniósł wzrok znad talerza.

- Wszystko z nim w porządku?

- Tak... to tylko przeziębienie.

Usiadła za stołem i zaczęła się bawić filiżanką kawy. Robiła się coraz bardziej niecierpliwa i nic jej nie obchodziło przyjęcie George'a. Piła kawę małymi łydkami i modliła się, żeby to wszystko jak najszybciej dobiegło końca.

Zauważyła, że inni pozostali przy zieleni - popijali albo *chartreuse*, albo coś, co wyglądało jak likier miętowy, z wyjątkiem Dessiego, przed którym stała szklanka coca-coli. Fleur nie chciała pić tej nocy żadnego alkoholu. Musiała mieć jasne myśli i odmówiła nawet wina, które podano do kolacji.

Zauważyła jednak, że Colin jak na siebie wypił już bardzo dużo. Oczy mu błyszczały bardziej niż zwykle, a policzki miał zaczerwienione; mimo to przyjął kolejną dolewkę od kamerdynera.

Fleur musiała znieść jeszcze półtorej godziny irlandzkich żartów, lecz przyjęcie zmierzowało coraz bardziej w kierunku pijatyki. Nawet niania, która jeszcze nigdy nie piła w jej obecności, zaczęła śpiewać drżącym głosem „Flow Gently Sweet Afton”, Dessie zaś, buchając dymem jak komin fabryczny, z napięciem w oczach, uraczył ich piosenką „Daisy, Daisy”, wykonaną czystym tenorem.

Gdyby to wszystko cokolwiek obchodziło Fleur, być może wzbudziłaby w sobie jakieś cieplejsze uczucia w stosunku do tego chłopaka, widząc, jak bardzo drżą mu ze zdenerwowania ręce. Rozumiała, dlaczego Tommy tak go polubił. Dessie sam był jeszcze nieomal dzieckiem. Odmówiła wokalnemu występowi, chociaż George ją do tego zachęcał; ku jej uldze przyjęcie wydawało powoli konać śmiercią naturalną. Niestety około wpół do pierwszej w nocy ktoś zaproponował przejście do salonu i grę w szarady, a wszyscy podchwycili to z entuzjazmem, oprócz Dessiego, któremu trzeba było wytłumaczyć zasady. Fleur dostrzegła szansę dla siebie i przeprosiła towarzystwo.

Colin powiedział, że pójdzie także, lecz uśmiechnęła się do niego najbardziej czarującym, ufnym uśmiechem i nalegała, aby został. Poddał się, po czym poszedł do salonu za nianią i bratem.

Fleur właśnie miała ich opuścić, gdy George, który został w jadalni, by coś sprawdzić, zawołał za nią:

- Fleur, masz sekundkę?

- Jestem bardzo zmęczona - odrzekła, starając się, by jej głos zabrzmiał stanowczo. O czymkolwiek chciałby z nią porozmawiać, nie miała teraz nastroju na wysłuchiwanie problemów teścia.

- To nie zajmie długo. - Kiedy podszedł do niej, Fleur zdała sobie sprawę, że mimo normalnej wesołości, do której była przyzwyczajona, George wygląda inaczej, jakby bardziej poważnie. - O której wyjeżdżacie jutro rano? - spytał.

Stał tuż obok i zerknął wokół, czy ktoś ich nie podsłuchuje.

- Tak wcześnie, jak tylko wstaniemy. - Fleur była zdziwiona wyrazem oczu teścia.

- Chciałbym zamienić z tobą słówko na osobności, zanim wyjedziecie.

- Jak sobie życzysz.

Ale wcale nie była tak spokojna, jak to udawała. Idąc do sypialni, pomyślała, że choć jest niemożliwe, żeby George dowiedział się o jej wyjeździe, wiele rzeczy może się jeszcze nie udać.

Sypialnia Tommy'ego znajdowała się tuż obok pokoju, który Fleur zajmowała z Colinem, więc powodowana impulsem weszła, aby sprawdzić, czy synek śpi spokojnie. W łóżku leżały tylko pluszowe zwierzątka.

Także w łazience nie było nikogo.

Rozdział dwudziesty

Dzięki Bogu, pomyślał Dessie, widząc, że wszyscy wstają od stołu; strasznie chciało mu się siusiu i musiał jak najszybciej iść do łazienki; jeszcze nigdy w życiu nie wypił tyle płynu naraz. Jakże by chciał, żeby był tu dziś z nim jego stary przyjaciel, Petey: zrywałby boki na widok wszystkich tych szlachetnie urodzonych państwa, wystrojonych w zielone ubranka, jeżdżących zieloną zupę i całą tę resztę. Nie chodzi o to, że chłopak nie doceniał wszystkich tych starań; był wdzięczny ojcu, że zadał sobie tyle trudu wyłącznie dla niego i miał nadzieję, że nie zrobił z siebie zbyt wielkiego błazna przy tym krojeniu ciasta. Kiedy jednak rozmowy i śpiewy stały się coraz swobodniejsze, po raz pierwszy od wielu tygodni poczuł prawdziwą tęsknotę za mocniejszym alkoholem; zwłaszcza gdy wszyscy inni zdawali się tak świetnie bawić.

Należało wypić parę piw przed tym występem. Przerazała go myśl, że ma coś zaśpiewać przed nimi wszystkimi, a „Daisy” była jedyną piosenką, której słowa pamiętał. Stanowiła jak gdyby hymn Peteya McCanna.

Petey z całą pewnością byłby zachwycony rybkami pływającymi w akwarium: nieraz opowiadał chłopcu o jeziorach w Cavan i jak to za młodu potrafił gołymi rękoma wyjąć z wody pstrąga lub nawet łososia. Jednak w tej chwili Dessiemu woda wcale się tak bardzo nie podobała: siedział na końcu stołu naprzeciwko akwarium i całej ściany, która bulgotała i pluskała, bynajmniej nie pomagając jego obolałemu pęcherzowi.

Ta niania była świetna; Dessie zerkał na nią co jakiś czas i ze wszystkich sił usiłował się

powstrzymać od kołysania na krześle. Pewnego dnia, obiecał sobie - a terapeutka nie uważała go za tak głupiego, by stało się to niemożliwe - będzie miał własną, prawdziwą dziewczynę. Miłą dziewczynę, podobną do tej niani, a nie starą wywlokę jak te, z którymi udało mu się parę razy przespać w czyjejs brudnej chacie lub stodole.

Musiał znieść jeszcze pięć minut tej męki, udając, że wie, o czym rozmawiają, gdy szli do salonu, gdzie mieli grać w jakąś grę polegającą na pokazywaniu słów piosenek i wierszy. O tak, Petey z całą pewnością zdrowo by się obśmiał, obserwując to przyjęcie...

Zauważył, że żona Colina wychodzi; ależ z niej zabawny, trwożliwy ptaszek... piękny, lecz nie była to kobieta, którą chciałbyś za żonę. Miała w sobie coś takiego, że serce ci lodowaciało. Za to dzieciak jest wspaniały; przemiły chłopaczek. Oczywiście zepsuty i rozpieszczony, kto jednak nie rozpuszczałby głuchego dziecka? Kiedy Dessie się nad tym zastanowił, zrozumiał, dlaczego Fleur tak nakrzyczała na niego przy koniach. Właściwie głuchemu dziecku wszystko mogło się przydarzyć na drodze.

Wreszcie, w zamieszaniu, które powstało, gdy opuszczali pokój, mógł pognać na chwilę do łazienki. Kiedy wychodził, zaskoczył go widok Fleur, która z rozwianymi włosami biegła w jego stronę z przeciwnego końca korytarza. Miała minę, jakby zobaczyła ducha.

Tommy nie mógł zasnąć. Za każdym razem kiedy opierał głowę na poduszce, nos mu się zatykał, a w głowie szumiało. Poza tym zrobiło mu się za gorąco. Zrzucił niektóre pluszowe zwierzątka z łóżka, jak gdyby była to ich wina. Wydmuchał po raz tysięczny nos i wyskoczył z łóżka, by przynieść sobie wody z łazienki. Obok lustra nad umywalką znajdowało się okno, a ponieważ księżyc świecił jasno, nie musiał włączać światła; wyraźnie widział trawniki i las.

Kiedy pił wodę, wydawało mu się przez chwilę, że słyszy głos babci Jool. Niewiele mówiła, tylko tyle, że jest dobrym chłopcem, jak zawsze, gdy otulała go przed snem. Jakże żałował, że tamtego dnia, kiedy poszła z nim do stajni, nie zdawał sobie sprawy, iż babcia wkrótce umrze; gdyby wiedział o tym zawczasu, mógłby lepiej zapamiętać tamto uczucie. Bo Tommy przechowywał uczucia, podobnie jak głosy.

W głowie miał cały repertuar głosów: wyobrażał sobie, że są jak miecze, od najmniejszego do największego. Głos mamusi dźwięczał niczym śliczny mały mieczyk, który nosił sir Lancelot w książeczce o przygodach Rycerzy Okrągłego Stołu; jego taty zaś jak wielki miecz króla Artura, a niani jak sir Gawaina. Głos dziadka zaś przypominał ogromną wygiętą szablę Ali Baby.

Głos babci Jool brzmiał jak długi i prosty miecz z szeroką, płaską klingą; głos, któremu

aż chce się zaufać. Trudno było mu sobie wyobrazić, że już nigdy jej nie zobaczy. Zastanawiał się, jak to jest - umrzeć? Mamusia i nauczycielka mówiły mu, że kiedy człowiek umiera, idzie do nieba, ale według Tommy'ego było to kłamstwo. Zawsze mówili ci kłamstwa, bo uważali, że jesteś jeszcze za mały, żeby dowiedzieć się prawdy.

Na własne oczy widział w telewizorze, że gdy człowiek umiera, idzie do dołu w ziemi; i to nie tylko na filmach, ale także w reportażach o prezydencie Kennedym i o trzęsieniu ziemi w Jugosławii. Z jednej strony Tommy był zadowolony, że mamusia nie pozwoliła mu przyjechać i patrzeć, jak babcię Jool wkładają do ziemi, ale z drugiej strony był ciekawy i chciał zobaczyć, jak to się odbywa. Strasznie za nią tęsknił. Czasami, w nocy, zupełnie tak jak teraz, wydawało mu się, że słyszy w głowie jej głos. Nauczyła się porozumiewać z nim na migi, lecz zawsze jednocześnie mówiła.

Na zewnątrz gdzieś za trampoliną coś się poruszyło. Przez pół sekundy Tommy pozwolił sobie wierzyć, że to babcia Jool wróciła, aby zaprowadzić go do małego lasu, w którym specjalnie dla niego ułożono żółtą brukowaną dróżkę. Oslonił oczy dłonią i przycisnął czoło do szyby, żeby lepiej widzieć, lecz kichnął i uderzył głową w szkło. Chwilę później kichnął aż trzy razy z rzędu. Okropność.

Wrócił do sypialni i przyjrzał się łóżku, na którym leżały pluszowe zwierzątka. Nie czuł się ani trochę zmęczony; ani ciut. I nigdy jeszcze nie chodził po lesie sam w nocy. To dopiero byłaby przygoda, z pewnością świetna zabawa.

Mamusia nigdy by się o tym nie dowiedziała, jeśli wyslizgnąłby się po cichutku na parę minut.

Mieszkając w Londynie, Tommy nie miał żadnych szans na przeżycie prawdziwej przygody. To była jego szansa - pełna wrażeń wyprawa, o której nikt z dorosłych nigdy się nie dowie. Tommy już miał się ubrać, gdy wydało mu się, że znowu słyszy głos babci Jool. Czy ludzie w niebie mogą widzieć, co robisz na ziemi?

W każdym razie nawet jeśli go teraz widziała, nie miałyby o co się pogniewać, bo w końcu to babcia kazała zrobić dla niego żółtą dróżkę wiodącą przez las. A Tommy nie będzie tam siedział zbyt długo; może minutkę lub tylko sekundę. Jedną sekundę.

Podniecony, włożył ubranie i buty oraz płaszczyk, po czym ostrożnie uchylił drzwi sypialni; nie za szeroko, lecz jednak wystarczająco, by przekonać się, że horyzont jest pusty.

Musiał na palcach przesmyknąć się przez korytarz, obok drzwi do pozostałych sypialni, i przez hol od frontu. Wszyscy siedzieli jeszcze w jadalni i przez lekko uchylone drzwi zobaczył

fragment stołu i kawałek rękawa zielonej marynarki dziadka; wstrzymał oddech i wypuścił powietrze, dopiero gdy znalazł się w bezpiecznej odległości.

Zazwyczaj na tyły domu wychodziło się przez kuchnię, lecz Tommy w ostatniej chwili przypomniał sobie, że z pewnością siedzą tam teraz służący; wrócił więc do holu. Ponieważ jego buty miały skórzane zelówki, robiły zapewne mnóstwo hałasu, kiedy skradał się powoli w kierunku frontowych drzwi.

Nie ośmielił się zatrzaskać ich za sobą, lecz przyciągnął krawędź do futryny, aż same się zamknęły.

Jeszcze dwie sekundy i pędził jak wiatr wzdłuż ściany. Wreszcie czuł się wolny i miał ogromną ochotę na przeżycie przygody - słyszał ją w uszach, taki świszczący dźwięk. Był to odgłos, jaki w jego wyobraźni wydawały najdalsze gwiazdy lub światła latarni morskich. Żałował tylko, że nie wziął ze sobą czegoś do zjedzenia; każdy prawdziwy podróżnik powinien zaplanować swą wyprawę i mieć coś do przegryzienia.

Biegł właśnie obok wielkiego, ciemnego budynku stajni, gdy zawahał się nagle. Ależ miał dziś frajdę, powożąc Samsonem i Goliatem: może zamiast iść do lasu, powinien pójść powiedzieć dobranoc koniom? To byłoby jakieś prawdziwe zadanie zamiast bezcelowego włóczenia się pomiędzy paroma starymi iglakami.

Tommy jako małe dziecko bał się koni; dopiero kiedy był już całkiem duży, gdy skończył osiem lat, babcia Jool wzięła go na ręce i zaniósła do stajni, gdzie razem karmili shiry kostkami cukru i ogromnymi marchewkami. Na początku było to dość przerażające uczucie, bo konie miały takie wielkie, kosmate wargi, lecz gdy się już do nich przyzwyczaiłeś, okazywały się naprawdę łagodne i delikatne.

Teraz jednak, wyszedłszy na dziedziniec, Tommy przekonał się, że stajnia w nocy jest zupełnie inna niż za dnia. Wszystkie drzwi były pozamykane i całe pomieszczenie miało szaroczną barwę niczym film z Borisem Karloffem; w dzień Tommy zachwycał się różnorodnymi kolorami, które tu widział. Noc była wietrzna i choć wszystko posprzątano, na środku podwórza łopotał kawał papieru, unosił się i opadał, przypominając Tommy'emu wielkiego białego ptaka ze złamanym skrzydłem.

Chłopiec już prawie zawrócił, kiedy przypomniał sobie, że prawdziwi podróżnicy nie lękają się byle czego i nie tracą zimnej krwi tylko dlatego, że ktoś zgasił światło. Było mu wstyd za siebie: przyszedł tu zobaczyć konie, odważył się na to... więc to robi.

Pomyślał, że wystarczy powiedzieć dobranoc tylko jednemu z nich; wcale nie musi zo-

stawać w stajni zbyt długo.

Jednak szarpiąc się z drzwiami pierwszego boksu, Tommy musiał zebrać w sobie całą determinację, by nie zawrócić do domu. Jakie to głupie: było mu zimno, zapomniał chusteczek, więc ciekło mu i z oczu, i z nosa; musiał je wycierać rękawem płaszcza, a wiedział, że niani to się nie spodoba. Ciągłe kichał, co tylko pogarszało sprawę...

Zadanie, jakie sobie postawił, z sekundy na sekundę przestawało być takie wspaniałe. Dla ocalenia honoru wystarczy, że otworzy ten skobel, wejdzie do środka na chwileczkę, na jedną tysięczną sekundy, poklepie konia i wyjdzie. Prawdę mówiąc, Tommy wolałby teraz leżeć spokojnie w ciepłym łóżku ze wszystkimi swoimi zwierzątkami dokoła.

No, rusz się, skoblu, pomyślał.

Wreszcie zamknięcie ustąpiło i zdołał otworzyć podwójne drzwi boksu.

Zerknął w głąb ciemnego pomieszczenia. Nie wiedział nawet, który z koni tu mieszka, lecz teraz to już nie miało znaczenia.

Którykolwiek z nich to był, stał teraz zwrócony głową ku tylnej ścianie. W półmroku Tommy widział białe włoski na jego nogach i w górnej części ogona. Kiedy jednak postąpił krok do przodu, żeby poklepać zwierzę po zadzie, jak sobie postanowił, podmuch wiatru uniósł w górę kurz na stajennym korytarzu i Tommy kichnął potężnie.

Amazonka obudziła się i z przerażeniem machnęła nogą, uderzając chłopca w policzek.

Kiedy leciał na ziemię, wierzgnęła ponownie, tym razem obiema nogami, trafiła go w głowę i odrzuciła w tył. Z rozszerzonymi z przerażenia chrapami obejrzała się, podczas gdy irytujący niespodziewany gość, co się ośmielił przerwać jej sen, wylądował sześć kroków dalej, w miękkiej słomie, która tylko zaszeleściła przy jego upadku; Tommy jednak nie żył już, gdy jego czaszka uderzyła o podłogę boksu.

- Hej, bombowo... wspaniaaaale! - Hazel nigdy nie czuła się lepiej, niż w chwili kiedy przechodziła przez wąski korytarzyk oddzielający parkiet sali tanecznej od regionów za kurtyną. - To był dopiero wieczór, co chłopcy? Chodźcie, no... chodźcie już, mamy przed sobą niezłe przyjęcie! Musimy zdążyć. - Biegała dokoła jak w ukropie, zbierając szmatki, kosmetyki i szpilki do włosów; wszystko to wrzucała na oślep do przepastnej torby.

Niektórym z wielbicieli udało się przedrzeć za scenę i teraz krążyli wokół muzyków, którzy uprzątały podium dla następnego zespołu i taszczyli pakunki ze sprzętem muzycznym przez wąski korytarz.

- Hej, gdzież to się podziewa mój ochroniarz? - zaśpiewała Hazel w kierunku Franceya,

którego złota czupryna górowała nad głowami pozostałych niczym księżyc w pełni.

- Tu jestem...

Odwrócił się w jej stronę i Hazel uśmiechnęła się na widok jasnych włosów otaczających jego twarz. Z powodu święta High Rollers zagrali trochę więcej niż normalny melanz muzyczny i sala aż pękała w szwach od rozbawionych słuchaczy. Chociaż w tej chwili nie występował już żaden zespół, zza ściany dochodziły głosy ożywionych tancerzy, podśpiewujących sobie w rytm ostatniego przeboju „The Walls of Limerick”.

- Masz na coś ochotę? - Wreszcie do niej dotarł.

- Nie... właściwie to chcę się już stąd zmyć. - Przyciągnęła w dół głowę Franceya i lekko klepnęła go w usta. - Wesolego dnia świętego Paddy'ego, kurczaczku! Wielkie dzięki za wspaniałą opiekę... juuhuu! Dilidy... didi... didiji... dilililidi... - nuciła wesoło i zdawało się że jej nogi tańczą same jakieś skoczne pas, jakby właścicielka nie potrafiła nad nimi zapanować. Oparła się obiema dłońmi o tors Franceya. - Mam dla ciebie za to medale... pewnie, że tak. - Piersi jej podskakiwały, frędzelki srebrnej sukienki uderzały o nogi, a stopy wystukiwały rytm o podłogę mimo nieodpowiednich do tego butów. - *Feis Maitiú*, z tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego... - wysapała. - Założę się, że nie miałeś pojęcia, prawda? - zakończyła i wypuściła z objęć.

- Jesteś pełna niespodzianek. - Francey uśmiechnął się szeroko. - Skończyłaś już? Muszę zapakować samochód.

- Pewnie, że skończyłam, skończyłam... - Hazel wykrzykiwała głośno każde słowo. - Och, cóż za przepięknościowy wieczór... - wyśpiewywała na cały głos na melodię z „Oklahomy!” i odwróciła się, żeby dać komuś obowiązkowy autograf.

Zanim wszyscy usadowili się w mikrobusie, uspokoiła się już nieco i - co było jak na nią niezwykle - weszła do pojazdu jako jedna z pierwszych.

- To śmieszne - powiedziała do Franceya i Vinniego; reszta zespołu się ociągała. - Co ich zatrzymuje?

- Cierpliwości, Księżniczko - uspokajał ją muzyk. - Wyjedziemy za mniej niż dziesięć minut.

- Dzwoniłeś do domu? - zwróciła się Hazel do Franceya.

Miała zwyczaj kontrolować jego codzienne kontakty z Inveraray, a dziś był szczególnie powód po temu - na przyjęcie do George'a miała przyjechać Fleur.

- Nie mogłem się dodzwonić. - Francey odwrócił wzrok i od razu wiedziała, że kłamie.

Nie mogła się zdecydować, czy zostawić tę sprawę, czy też nalegać i w końcu zdecydo-

wała się na to drugie.

- Wróć jeszcze do sali! - Popchnęła go lekko. - Powiedz tamtym, że jeśli się nie zjawią, pojedziemy bez nich. I spróbuj jeszcze raz z tym telefonem.

- Teraz już za późno. - Zerknął na zegarek.

- Bzdury!

Hazel doskonale wiedziała, o co chodzi, lecz w myśl założeń własnego planu wybicia Franceyowi z głowy syjamskiej siostry uważała, że powinien jak najszybciej zacząć ją traktować jak przebrzmiałą historię, do której powrót wcale nie jest bolesny. - Nie ma jeszcze nawet wpół do dwunastej... Przecież trwa przyjęcie, więc nikt nie poszedł spać. Idź i życz im ode mnie wesołego dnia świętego Paddy'ego!

Zaczekała, aż wyjdzie i wyjęła papierosa.

- Uważaj, Hazel - odezwał się Vinnie, podsuwając jej płomyk zapalniczki. - Nie naciskaj na niego za ostro.

- Wiem, co robię. - Umilkła i zaciągnęła się dymem, po czym wydmuchnęła nosem ciepły, słodki obłoczek.

- Jeśli tak.... - Muzyk wdrapał się do mikrobusu, włączył małe światelko nad jednym ze stolików i rozłożył gazetę.

Hazel oparła się plecami o bok mikrobusu. Jak na marzec noc była ciepła, lecz wiał silny wiatr, który tak długo wciskał jej dym do oczu, aż odwróciła głowę. Parking był słabo oświetlony i tylko gdy wyteżyła wzrok, mogła dostrzec migdalące się parki. Biedne głuptaski, pomyślała. Nigdy nie przestało jej zdumiewać to, że chociaż w Irlandii wszyscy uważali Anglię za siedlisko grzechu i rozpusty, poza Londynem nastolatki były równie nieśmiałe i niedoświadczone - i równie spragnione bliskości - jak te w Bohola czy Cahirciveen. Albo nawet bardziej. Przynajmniej w kraju sale taneczne najczęściej znajdowały się wśród pól i nie było wieczoru, aby światła mikrobusu nie wyłowiły z mroku nocy parki leżącej w rowie pośrodku pola. Chłopcy z zespołu zaś znacznie łatwiej zdobywali panienki na jedną noc czy też stałe kochanki w Irlandii niż tutaj.

Hazel miała już tego wszystkiego dość. Francey był ostatnim wielkim celem i jeśli jej się powiedzie, na zawsze już zrezygnuje z zabawy w miłość. Jak zwykle pierwsza euforia po występie szybko minęła i zastąpiło ją zamyślenie, a nawet depresja. Tego wieczora nie było inaczej; gdy wsiadła do mikrobusu i przeszła na tył do ostatniego rzędu foteli - do których miała słabość od tamtego wypadku - czuła się wykończona. Nie włączając lampki, zapaliła następną

go papierosa i wyglądała przez okno, wyczekując powrotu Franceya lub pozostałych członków zespołu.

Jedną z trudności planu dotyczącego Franceya była ta, że młodzieniec mógł uznać, iż zależy jej na jego pieniądzach. Hazel zaś szmal nic nie obchodził. Miała własne mieszkanie i sporo oszczędności w banku, wystarczająco dużo, by przez kilka lat mogła nie pracować i żyć na odpowiednim poziomie. Jeśli nawet kiedyś dojdzie do tego, że zechcą porozmawiać o wspólnej przyszłości, będzie go musiała przekonać, że wcale nie dba o te całe miliony, choć zauważyła, że gdy chodzi o wydawanie pieniędzy, Francey jest do niej szalenie podobny. Doszła jednak do wniosku, że jeszcze za wcześnie, by mieć pewność: wedle jej doświadczeń nigdy nie można wiedzieć na pewno, jak wpłynie na człowieka wielka forsa.

Tak czy inaczej, musiała myśleć o przyszłości. Wyczuwała już nadchodzącą zmianę: i to nie z powodu skaczącej zespołowi High Rollersów do gardła konkurencji - cały czas byli o niebo lepsi od wszystkich nowicjuszy - chodziło o to, że zmienia się moda w show-biznesie. Ponieważ Hazel tkwiła w tym światku już od bardzo dawna, szybko zrozumiała - w odróżnieniu od rówieśników w Irlandii - że grupy takie jak Beatlesi czy Stonesi nie są tylko przemijającym fenomenem. Tamci chudzi chłopcy, którzy grali przed Rollersami w Birmingham, byli tacy młodzi, że właściwie powinni jeszcze chodzić do szkoły, lecz nieomylnie wyczuła, iż w ich muzyce tkwiła wielka energia, a młodzież na sali instynktownie na nią odpowiadała.

Hazel uważała, że ma przed sobą jeszcze cztery, może pięć dobrych lat na trasach koncertowych - i to jeśli dopisze jej szczęście. Może nawet myślała zbyt optymistycznie: ci Beatlesi przyszli znikąd i wznosili się ku szczytom sławy tak szybko, że inne zespoły muzyczne - przynajmniej tu, w Anglii - które uważały swą pozycję na rynku za niepodważalną, truchlały ze strachu. A to, co działo się w Brytanii, zawsze prędzej czy później przychodziło do Irlandii.

Hazel zobaczyła, że Francey zbliża się w towarzystwie sześciu muzyków i pośpiesznie zgasła papierosa. Zawołała, by usiadł obok niej.

- I co z tym telefonem?

- Nikt nie odbiera - odrzekł i tym razem poczuła się pokonana, gdyż wiedziała, że mówi prawdę.

Dessie ostrożnie wyprowadził Amazonkę z boksu. Nadal była podenerwowana i usiłowała zerwać kantar, który udało mu się z wielkim trudem jej założyć.

Kiedy usiłował ją namówić do wyjścia na podwórko, cały czas odwracał oczy od kąta boksu, gdzie Fleur kołysała w ramionach ciało martwego synka, błyskając białkami oczu ni-

czym dzikie zwierzę. Nie pozwoliła im ruszyć dziecka i nie dopuszczała do siebie nikogo, nawet Colina, który teraz łkał bezradnie w ramionach ojca, otoczony resztą uczestników przyjęcia, które tak nagle zmieniło się w tragedię.

Dessie postanowił zdecydowanie nie dopuścić, by ktokolwiek próbował ukarać za to nieszczęście Amazonkę. Chociaż śmierć Tommy'ego była niezaprzeczalnie okropna, nie zmienia to faktu, że wina nie leżała po stronie zwierzęcia. Poza tym, co dzieciak robił w stajni w środku nocy? Wszyscy wiedzieli, że klacz jest bardzo nerwowa, zwłaszcza że zbliża się czas żrebia. Właśnie tego popołudnia, kiedy odprowadzili konie do stajni, Dessie odegrał przed chłopcem prostą pantomimę, aby wytłumaczyć mu, iż wkrótce w stajni pojawi się mały źrebiaczek. Usiłował go także ostrzec przed Amazonką, nie myśląc nawet, iż kiedykolwiek może się to dziecku przydać.

Wraz z resztą domowników zaczął szukać Tommy'ego, gdy Fleur powiedziała im o zaginięciu dziecka i to on zasugerował, by udali się do stajni. I to Dessie znalazł małego: Amazonka nie chciała wpuścić nikogo innego do swego boks. Fleur dostała się do środka tylko dlatego, że wpadła tam, nie myśląc wcale o swym bezpieczeństwie; Dessie, z kantarem w jednej ręce, złapał jakoś klacz za grzywę wolną dłonią.

- Dobrze już, dobrze, moja mała... - szeptał, przeprowadzając Amazonkę obok grupki gapiów; klacz tańczyła na zadnich nogach ze zdenerwowania.

Nic dziwnego: nie tylko naruszyli jej spokój podczas nocy, lecz także niektórzy z gości najwyraźniej nie wiedzieli, jak się zachowywać przy koniach. Poza tym wiatr stał się porywisty i huczał teraz z wielką siłą, a wszystkie światła w domu i na podwórzu były pozapalane, rozświetlając mroki nocy niby latarnie na targowisku w Covent Garden.

Dessie pomyślał, że prawdopodobnie wszystkie shiry - mimo że z natury łagodne - są już w tej chwili bardzo podenerwowane. Jakby dla potwierdzenia tej prawdy, gdy przeprowadzał Amazonkę obok boks Trojana, rozległo się głuche łupnięcie, gdy wałach rąbnął łbem w kratę w górnej części drzwi; najwyraźniej chciał ją otworzyć, by sprawdzić, co się dzieje.

Dessie zaprowadził klacz do wolnego narożnego boks, do tej pory używanego jako magazyn siana i słomy. Zamknął drzwi, włączył światło i wytarł Amazonkę wiechciem słomy. Później, podając jej kilka marchewek, pomyślał, że całe to nieszczęście wcale nie musiało się wydarzyć: podczas ostatnich paru tygodni weszła już wiosenna trawa i zamierzali w ciągu najbliższych paru dni wypuścić konie na padoki. Wiedział, że nie warto płakać nad tym, co się stało. Żałował tylko, że nie ma przy nim teraz Micka O'Dowda. Jedna z pokojówek poszła za-

dzwonić po niego. Koniuszy będzie wiedział, co dalej robić.

Zdjął Amazonce kantar i powiesił na gwoździu tuż za drzwiami. Kiedy był już pewien, że się uspokoiła, zamknął ją w boksie; potem zebrał w sobie całą odwagę, jaką miał, i zmusił się do powrotu do stajni, gdzie mała grupka ludzi nadal stała wokół Fleur tulącej martwe dziecko do piersi. Ze zwierzętami jest jednak o wiele łatwiej się dogadać niż z ludźmi.

W kącie, w którym przycupnęła Fleur, było ciemno; siedziała w kucki, nadal kołysząc w ramionach ciało synka. Był taki zimny. Tuliła Tommy'ego do siebie z całej siły, chcąc ogrzać go ciepłem własnego ciała. Coś było nie tak z jego szyją: głowa cały czas opadała mu bezwładnie, jak wtedy, kiedy był jeszcze bardzo mały, a miękkie, ciemne włosy leciały do tyłu. Fleur usiłowała je odgarniać; już dawno należało im się strzyżenie.

- Jesteś śliczny, moje kochane maleństwo... - szeptała do niego. - Jesteś moim życiem, moją radością... jesteś wszystkim, o czym kiedykolwiek śniłam...

Nie zwracała uwagi na zaniepokojone twarze, które niczym złowieszcze grzyby wyrastały z framugi drzwi i przyglądały się, gdy całowała białą twarzyczkę. Nie dostaną go. Już próbowali go jej odebrać, lecz nie pozwoli na to.

Przynajmniej z zaziębieniem było już lepiej; nie ciekło mu z nosa. Choć to jedno się poprawiło.

Oczy miał otwarte; cudowne, ciemne jak oliwki oczy - ale jakoś nie potrafiła nakłonić ich, by na nią spojrzwały. Cały czas wpatrywały się w niewidoczny punkt za jej ramieniem.

- Popatrz na mnie, kochanie, popatrz na mnie... - Płakała teraz; łzy ciekły jej po policzkach, gdy usiłowała przytrzymać Tommy'ego tak, żeby jego oczy zwróciły się na nią, lecz cały czas głowa opadała mu w tył.

Fleur nerwowo rozluźniła kołnierz płaszcza, który z pewnością musiał uciskać chłopcu szyję, gdy miał tak odchyloną daleko do tyłu głowę.

Światło z korytarza przygasło na chwilę i ktoś stanął w drzwiach, usiłując wtargnąć do cichego kącika, w którym skuliła się wraz z dzieckiem. Oburzona Fleur podniosła wzrok. Był to George.

A chwilę później boks zalało jaskrawe światło, kiedy nacisnął przełącznik tuż za drzwiami.

- Wyłącz to! - Chociaż doskonale wiedziała, że to ona wymówiła te słowa, nie rozpoznała własnego głosu. - Wyłącz to! - Na wpół unosząc się i przyciskając do siebie dziecko, aby lepiej je ochronić, splunęła na teścia. Światło było tak jasne, że z pewnością raziło w oczy jej

synka.

George wyłączył światło i wycofał się na korytarz, Fleur zaś znowu przycupnęła na słomie, tym razem plecami do wejścia, żeby osłonić ich oboje przed wzrokiem pozostałych. Ułożyła Tommy'ego w wygodniejszej pozycji i oparła jego główkę na ramieniu.

- No, widzisz - szepnęła - tak już lepiej. Mój mały kwiatuszku... tak bardzo cię kocham...
- Wyśpiewywała te słowa tuż przed jego oczyma, by na pewno dobrze je odczytał. - Wytrzymaj jeszcze trochę - błagała. - Już jutro będziemy w słonecznym kraju... - Czekala, aż da jej w odpowiedzi jakiś znak, że rozumie, co się do niego mówi. - Mój mały kwiatuszku - powtórzyła. - Proszę, odpowiedz mi, moja mała wiewióreczko, proszę... - Znowu czekała; wystarczy powiedzieć jeszcze tylko raz. - Proszę, Tommy. - Teraz to jej ciekło z nosa. - Błagam cię... - Przytuliła twarz do jego szyi; ustami wyczuła kości obojczyka.

- Błagam cię... - Czuła jego włosy w ustach, robiły się coraz bardziej mokre, lecz nie zwracała na nic uwagi; to, co do niego mówiła, było zbyt ważne, by zaprzętać sobie głowę drobiazgami. - Proszę, obudź się... choć na parę minut. - Kołysała Tommy'ego coraz gwałtowniej, chcąc jakoś go zmusić, by jej posłuchał. - Proszę, tylko raz... raz mi wystarczy... Nie będę nalegać, obiecuję... - Żadnej odpowiedzi; przycisnęła go do siebie z całej siły. - W takim razie tylko na minutkę? Na trzydzieści sekund, błagam. Później możesz odejść... Chcę tylko trzydziestu sekund... Nie możesz tak odejść bez pożegnania ze Skrzypką. - Był to mały pajacyk, którego chłopiec dostał bardzo dawno temu, wytarty już i zniszczony, lecz nadal ukochany. Potrząsnęła lekko bezwładnym ciałkiem. - Tommy? Zapomnieliśmy wziąć tu Skrzypkę. Nadal czeka na nas w domu... Musimy się z nim pożegnać.

Lecz bez względu na to, jak bardzo płakała i błagała, oczy chłopca pozostały otwarte i nie odpowiadał.

Byli już za nią, ci obcy, bardziej ich wyczuwała, niż widziała. Kiedy rzuciła im wściekle spojrzenie przez ramię, w otwartych drzwiach stajni zobaczyła migające światła karetki. Jak kocica zaszczała na intruzów, by odeszli i zostawili ją z Tommym w spokoju.

Ale nie chcieli odejść; a za George'em stał teraz jakiś inny mężczyzna, którego nie znała. Miał na sobie ciemny płaszcz i czapkę z daszkiem i z jakiegoś powodu Fleur uznała to za największe zagrożenie ze wszystkich. Czapka z daszkiem nieodłącznie kojarzyła się jej z wojskowym lub policjantem, który przyszedł aresztować i odebrać jej syna, jakby chłopczyk popełnił jakieś przestępstwo.

- Odejdźcie! - wrzasnęła. - Odejdźcie wszyscy...

Mężczyzna w ciemnym płaszczu i czapce z daszkiem przedstawił się jako doktor Jakiś Tam, lecz Fleur była tak zajęta myślą, że nie wolno nikogo dopuścić do Tommy'ego, iż nie do słyszała jego nazwiska. Doktor przykucnął teraz obok niej i zaczął coś tłumaczyć cichym, spokojnym głosem, jakim można by mówić do kogoś obłąkanego. Czyżby myśleli, że oszalała?!

- Odejdź! - Splunęła na niego dokładnie tak samo jak wcześniej na George'a.

Nie zareagował; nawet nie otarł śliny spływającej mu teraz po twarzy i ściekającej na kołnierz. Cały czas mówił do niej tym samym spokojnym, obraźliwym głosem. Fleur zakryła dłonią oczy synka, aby nie musiał patrzeć na obcego człowieka, a sama usiłowała sprawić, by tamten spuścił wzrok; skupiła całą swą siłę w oczach i wyobraziła sobie, że wbija się w jego twarz niczym jasny promień światła. Posługując się każdą cząstką swego jestestwa, próbowała zmusić intruza, by odszedł i zostawił ich w spokoju. Niestety, choć mocno się skoncentrowała, za każdym razem gdy na niego zerknęła, nadal tkwił w tej samej pozycji.

Nagle George ujął ją za ramiona, a tamten sięgnął po Tommy'ego. Walczyła z nimi obojma naraz... walczyła paznokciami, zębami i stopami, przez cały czas usiłując przytrzymać w ramionach swe dziecko. Ale oni wygrywali...

Teraz dołączył do nich ten trzeci. Colin. Zawsze wiedziała, że nie powinna mu ufać. On także usiłował wydrzeć jej synka; był równie zły, jak oni wszyscy. Fleur znowu usłyszała własny głos, wysoki i przeraźliwy niczym zawroźnienie mewy lub jednego z padlinożernych ptaków, które zapamiętała z dzieciństwa. Kopała, gryzła i drapała, lecz jedną ręką musiała chronić Tommy'ego, a ich było zbyt wielu i byli za silni. Kiedy odebrali jej synka, czuła się tak, jakby wydarli z jej ciała najważniejszy organ, nie tylko organ, lecz wszystkie wnętrzności, a nawet oczy...

Ciało Tommy'ego zabrano do ambulansu i jeszcze przez parę minut po jego odjeździe Fleur walczyła ze wszystkich sił. George próbował ją przytrzymać, by doktor mógł zrobić zastrzyk, lecz wrywała się tak bardzo, szarpiąc się i wijąc w jego uścisku, że nie można było wbić jej igły i w końcu lekarz się poddał. A później, jakby ktoś nagle odciął dopływ owej maniackalnej energii, młoda kobieta stanęła w bezruchu, przymknęła oczy i opadła bezwładnie na ziemię. Doktor, miejscowy lekarz z Little Staunton, bez powodzenia usiłował ją ocucić. Powiedział George'owi, że skoro oddycha idealnie i puls ma w normie, nic jej nie zagraża, więc nie trzeba zabierać jej do szpitala. Dał mu natomiast zapas tabletek uspokajających, na wypadek gdyby znowu wpadła w histerię.

Później, zostawiwszy kilka numerów telefonicznych, pod którymi można go złapać przez

resztę nocy, odjechał, podążając za ambulansem do szpitala, gdzie rankiem miano wykonać sekcję chłopca.

Ponieważ Colin pojechał do szpitala z ciałem synka, to na George'a spadło odniesienie synowej do domu. Po raz pierwszy nie myślał o problemach, jakie zwały mu się na głowę, lecz płakał - był to fenomen, jakiego nie doświadczył od pierwszej nocy, gdy opuścił rodzinny dom i zrozumiał ogrom konsekwencji swego postępuku.

Nie usiłując nawet ukryć łez, zaniósł Fleur do sypialni, położył na łóżku i nakrył kołdrą. Później usiadł na fotelu obok i przyglądał się jej przepęlniony współczuciem. Czekał przez dobry kwadrans, lecz gdy ani razu się nie poruszyła, George, przekonany, że sen to dla niej najlepsze lekarstwo, wyszedł na palcach z pokoju.

Fleur nie spała. Kiedy odebrali jej Tommy'ego, wściekłość zamieniła się w jej umyśle w lód. Nie powstrzymają jej; pójdzie po niego do szpitala, lecz jeszcze nie teraz.

Skupiła oczy na drobnej nierówności na suficie dokładnie nad łóżkiem, na małej kulce gipsu. Przez pięć lub dziesięć minut - kto by teraz liczył czas - Fleur opracowywała swój plan. Konie zapłacą jej pierwsze.

Usłyszała, że ktoś nadchodzi, więc znowu zamknęła oczy i zaczęła oddychać głęboko; kiedy usłyszała otwierające się drzwi sypialni, zmusiła się do spokoju - powieki ani jej drgnęły. To był George, poznała go po ciężkim oddechu. Jęknęła cicho, jak gdyby przez sen, i odwróciła głowę od światła padającego z korytarza. Po kilku sekundach ojciec Colina odsunął się i zamknął za sobą drzwi.

Fleur natychmiast wstała z łóżka, podeszła do drzwi i policzyła do dziesięciu, zanim je otworzyła. Korytarz był pusty, lecz usłyszała ciche głosy z salonu. Przebiegła przez korytarz i po paru sekundach znalazła się w wykładanym marmurami frontowym holu. Drzwi wejściowe były otwarte, nawet nie musiała się z nimi mocować.

Trzymając się blisko ściany domu, poszła w kierunku garażu. Samochód Colina stał zaparkowany beztrąsko tuż przez wozem George'a, a ponieważ nigdy nie zamykali go tu na klucz - nie było nawet potrzeby wyjmowania kluczyków ze stacyjki - tylko moment zajęło jej otwarcie bagażnika. Wiedziała, że mąż zawsze wozi zapasowy kanister paliwa.

Później straciła nieco cennego czasu, gdyż musiała wrócić na przód samochodu, by ze skrytki wyjąć kilka pudełek zapalek, które w ciągu wielu lat zebrali po różnych restauracjach.

Fleur nie bardzo wiedziała, dokąd teraz pójść: najkrótsza była droga, którą tu przysła, lecz jednocześnie biegła tuż obok szeroko otwartych frontowych drzwi - ktoś przechodzący

holem mógłby ją zauważyć; z drugiej strony nie mogła sobie przypomnieć, czy służba zaciągnęła wieczorem zasłony na ogromnym oknie w salonie. W końcu uznała, że znacznie bezpieczniejsze będzie za domem, gdzie może ją najwyżej dostrzec kamerdyner lub któraś z pokojówek.

Szła tak szybko, jak tylko mogła, nie rozglądając się na boki i wierząc, że los nad nią czuwa. Doszła do rogu budynku niezauważona, a później, gdy tylko zobaczyła przed sobą jasno oświetlone podwórze przed stajniami, puściła się biegiem.

Kiedy dotarła już na miejsce, przekonała się, że nie ma tu nikogo, a wszystkie boksy, nawet ów fatalny, są pozamykane. Z drugiej strony nie zrobiłoby jej żadnej różnicy, gdyby tamci ją teraz zobaczyli. Była zdecydowana zetrzeć w proch każdego, kto stanie jej na drodze. Aby ją powstrzymać, musieliby ją zastrzelić.

Podeszła prosto do drzwi, za którymi jej dziecko zostało tak brutalnie zaatakowane i nie bez pewnych trudności otworzyła podwójne skrzydła. Zaczepiwszy je o haki na zewnętrznej ścianie, aby wiatr ich nie zatrzaskał, weszła do środka, odwracając oczy od kąta, w którym niedawno walczyła o Tommy'ego, i zaczęła polewać słomę benzyną. Mimo że boksy zbudowano z cegły i cementu, Fleur zauważyła, że sama konstrukcja budynku ułatwi jej zadanie. Ściana pomiędzy tym, w którym stała, a następnym nie dochodziła do dachu - przerwa miała jakieś półtora metra - i Fleur pamiętała, że tak to wygląda w całej stajni. Zobaczyła, że także tutaj, podobnie jak w domu, belki stropowe są na wierzchu, niczym nie osłonięte, co bardzo sprzyjało jej zamierzeniom.

Aby jednak mieć pewność, że ogień szybko się rozprzestrzeni, połała benzyną siatkę z sianem, wiszącą wysoko obok ścianki działowej. Później postawiła kanister bezpiecznie za drzwiami boksu - przyda jej się jeszcze w domu - i potarła zapałkę o pudełko.

Zamierzała wrzucić płonący patyczek wprost przez drzwi, lecz silnie wiejący wiatr gasił ogień; musiała wejść z powrotem do boksu i osłonić drewnienko własnym ciałem.

To poskutkowało, więc rzuciła zapałkę przed siebie i zatrzymała się tylko na chwilę, by zobaczyć, jak ze słomy wyskakują czerwone języki ognia.

Kiedy podniosła kanister i doszła do furtki, spojrzała za siebie - ogień, osłonięty od wiatru, płonął już na całego.

Fleur podążyła szybko w kierunku domu; wiatr wiał teraz zza jej pleców, podrywając do góry cienki jedwab zielonej sukienki. Usiłowała utrzymać ją poniżej kolan, lecz z jedną ręką zajęta ciężkim kanistrem było to wyjątkowo trudne. Mając nadzieję, że nikt nie zobaczy takiego

braku skromności, porzuciła próżne starania i skoncentrowała się na jak najszybszym dotarciu do wejścia.

Schowała pojemnik z benzyną za jednym z drzewek rosnących przed drzwiami i weszła do sieni, lecz w tej samej chwili usłyszała stukot dwóch par butów w holu i przywarła do ściany za jednym z filarów. Wstrzymała oddech, gdy kroki - najwyraźniej dwóch kobiet - skierowały się do salonu i ucichły. Później jedne zbliżyły się do frontowych drzwi. Fleur nie ośmieliła się wystawić nosa ze swej kryjówki; zobaczyła tylko skraj czarnej spódniczki, a potem zamek zatrzasnął się z hukiem. Po prostu pokojówka zauważyła, że ktoś nie zamknął drzwi, więc zrobiła to, co uznała za swój obowiązek.

Zdawało się, że dziewczyna minie kryjówkę Fleur i pójdzie dalej, przystanąła jednak i gdy żona Colina mocniej przyciskała się do kolumny, usłyszała, jak tamta pyta koleżankę, czy nic nie czuje.

- Nie - odrzekła druga służąca, podchodząc bliżej.

- Zdawało mi się, że pachnie tu benzyną czy czymś takim - powiedziała ta pierwsza, po czym dodała: - Mam chyba zbyt bujną wyobraźnię.

Później, ku wielkiej uldze Fleur, obie poszły w kierunku salonu. Pobiegnęła do swej sypialni, a potem prosto do łazienki i zamknęła się w środku.

Okno łazienki wychodziło, podobnie jak okna wszystkich sypialni domu z wyjątkiem pokoju George'a, na tyły domu. Fleur wpatrywała się w ciemności, dopóki nie dostrzegła pomarańczowej poświaty nad dachem stajni.

Potem czekała.

Już wkrótce pandemonium ogarnęło cały dom. Najpierw rozdzwonił się telefon w korytarzu, potem usłyszała odgłos kroków biegnących w kierunku drzwi, podniesione głosy, krzyki... zarówno mężczyzn, jak i kobiet...

Policzyła do stu, po czym wróciła do sypialni.

Przez okno pokoju widziała, że pomarańczowa łuna nad budynkami jest coraz jaśniejsza.

Następny krok był dziecinnie prosty. Fleur wiedziała, że wszyscy są już albo w stajni, albo właśnie tam śpieszą. Aby się jednak upewnić, wyjrzała na korytarz.

Później trzeba było już tylko spokojnie podejść do frontowego wejścia, wyciągnąć kani-ster z ukrycia, otworzyć wszędzie drzwi i spryskać benzyną podłogi oraz ściany pomieszczeń. Wiedziała, że dzięki centralnemu ogrzewaniu dom jest suchy jak pieprz, a z tymi wszystkimi dywanami, zasłonami i wyeksponowanymi belkami na sufitach właściwie nie potrzebowała nic

na podpałkę. Rozlała benzynę tylko we wschodnim skrzydle domu i na korytarzu, aby zostawić sobie drogę ucieczki; wkrótce ogień i tak obejmie cały budynek.

Tuż obok niej na stoliku w korytarzu nagle rozdzwonił się telefon. Fleur właśnie zapalała pierwszą zapalkę, więc zupełnie go zignorowała. Rzuciła płonące patyczki na przesiąknięty benzyną dywan w sypialni George'a, później zaś następne do jego gabinetu i salonu. Zaczekała, aż zobaczy płomienie liżące ściany wszystkich trzech pokoi, a potem poszła dalej wzdłuż korytarza. Telefon przestał dzwonić, gdy doszła do frontowego holu, lecz teraz już w domu płonęło osiem małych ognisk, które rozprzestrzeniały się bardzo szybko.

Nie chcąc zostać złapaną, cisnęła jeszcze dwie zapalki na dywan w korytarzu. Wiedziała, że to wystarczy i nie oglądając się, odeszła.

Zamknęła drzwi, poszła do garażu, wsiadła do samochodu Colina i włączyła silnik. Nie była zbyt doświadczonym kierowcą i gdy pierwszy raz spróbowała wrzucić bieg, coś zazgrzytało żałośnie. Kiedy wyjechała na podjazd, wóz stanął, lecz raz jeszcze przekręciła kluczyk w stacyjce i gdy zapalił - odjechała, nie patrząc za siebie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Dessie, który miał niezwykle wyczulony słuch, pierwszy usłyszał zdenerwowane konie. Wraz z Mickiem siedział w pomieszczeniu stajennych nad kubkiem kawy i rozmawiał o okropnych wydarzeniach sprzed pół godziny. Gdyby nie czuł się tak paskudnie, pewnie nawet cieszyłby się niezwykłym spokojem tego miejsca zalanego strumieniem światła padającego z pojedynczej żarówki na suficie i ciepłem bijącym z elektrycznego grzejnika, który skutecznie walczył z lodowatym chłodem nocy. Chłopak nie był w stanie wrócić do domu; powiedział Mickowi, że bez względu na wszystko, nie pozwoli, by wina za wypadek spadła na Amazonkę.

Później wydawało mu się, że przez szum wiatru słyszy, jak klacz kopie w drzwi boksu, w którym ją umieścił, a który znajdował się tuż obok ich izdebki.

Zostawił Micka i wyszedł, aby uspokoić Amazonkę - wtedy zrozumiał powód zdenerwowania klaczy oraz usłyszał, że pozostałe konie także szaleją.

Płomienie wystrzeliwały z najdalej położonego boksu, tego samego, w którym rozegrała się wieczorna tragedia.

Z przerażeniem zobaczył, że dym wydobywa się także przez drzwi sąsiedniej przegrody. Wrócił biegiem do środka.

- Pożar! - wrzasnął do koniuszego. - Pożar, pośpiesz się! Ja wyprowadzę Trojana!

Mick popędził za nim, zatrzymując się tylko po to, żeby złapać dwie stajenne gaśnice; Dessie gnał już przez podwórze w kierunku szalejącego ognia.

Gdy otworzył drzwi, wpadł w tak gęsty dym, że ledwie zdołał zauważyć białą gwiazdkę na czole Trojana; potężny shir szalał w boksie, kopał w ściany i rzucał głową. Chociaż dym gryzł Dessiego w oczy i chciało mu się kasłać, chłopak zorientował się, że koń nie spanikował jeszcze tak bardzo, by nie można go opanować.

Cofnął się, zdjął marynarkę i zarzucił sobie na głowę. Później zdjął kantar z haczyka na ścianie i starając się oddychać przez rękaw ubrania, wszedł z powrotem do boksu. Mimo tej prowizorycznej ochrony oczy piekły go tak, że ledwie mógł trzymać je otwarte; zobaczył jednak, że słoma w boksie już się pali, a płomienie pędzą wzdłuż ściany. Zostało mu tylko parę sekund na działanie.

Trzymając głowę jak najniżej i wydając ciche, mrukiwe dźwięki, których nauczył się od Micka, podszedł do konia, nie zwracając uwagi na ból, gdy zwierzę nastąpiło mu na nogę potężnym kopytem. Złapał Trojana za grzywę i choć koń robił, co w jego mocy, by się wyswobodzić, założył mu kantar na łeb.

- No, chodź, chodźże... - szeptał Dessie, ciągnąc go do wyjścia.

Trojan jednak ani drgnął; ze wszystkich sił próbował się wycofać w kierunku tylnej ściany boksu, którą z jakichś względów uznał za ostoję bezpieczeństwa. Płomienie szalały na całego; nie były to już drobne czerwone loczki zwijające się na słomie - strzelały w górę i tańczyły na wszystkie strony. Dessie wiedział, że jeśli nie chce spalić się żywcem, musi jak najszybciej stąd uciekać. Jednak w tym momencie przypomniał sobie jedną z historyjek Peteya o przerażonych koniach i wyścigach konnych: odetchnąwszy ostatni raz względnie przefiltrowanym przez marynarkę powietrzem, zerwał ją z siebie i - wisząc całą masą ciała na kantarze zwierzęcia - zarzucił mu okrycie na łeb, zasłaniając oczy.

Zdezorientowany Trojan zawahał się; Dessie, którego bolały już płuca od dymu, schwytał się tej szansy.

- Chodźże, no rusz się! - wysapał i rzucił się w tył, ciągnąc za kantar z całej siły.

Shir potrząsnął łbem, jakby chcąc się pozbyć tego czegoś, co zakrywało mu oczy, lecz później postąpił krok do przodu. Dessie stracił równowagę i omal nie upadł plecami w płomień, które teraz już lizwały mu stopy. Udało mu się jednak utrzymać na nogach... Trojan postąpił następny krok, a potem jeszcze jeden...

Człowiek i koń wypadli z boksu dokładnie w tej samej chwili, gdy płomienie z podłogi połączyły się w świetlisty krąg z tymi, które od dłuższego już czasu pełgały po suficie. Gdy wreszcie wydostali się na świeże powietrze, Dessie zakrztusił się i rozkasłał; zostawił jednak marynarkę dalej na łbie zwierzęcia i doprowadził Trojana bez przeszkód do żerdki służącej do wiązania koni znajdującej się tuż obok czasowego schronienia rozszalałej Amazonki. Przywiązał go tam i zajrzał do boksu klaczy. Drzwi ledwie się trzymały na zawiasach i prawie już ustępowały pod jej kopytami.

Dessie jednak nie zawracał sobie głowy uspokajaniem zwierzęcia, lecz pognał z powrotem tą samą drogą, aby pomóc Mickowi, który właśnie wyprowadzał tańczącego Goliata z boks obok.

- Wszystko w porządku! - zawołał koniuszy, gdy Dessie sięgnął do kantara konia. - Następny boks jest pusty, ale niewiele czasu minie, aż pożar dotrze do Jumba. Idź tam i zrób, co możesz. Ja wyprowadzę następnego.

Z uwagi na silny wiatr oraz to, że większość materiałów w stajni była łatwo palna, dwie gaśnice okazały się zbyt słabe, by ugasić pożar. Jednak dzięki nim Dessie i Mick zdołali na tyle opanować płomienie, by móc uwolnić Jumbo i Johna, które stały po tej stronie budynku, gdzie zaczął się pożar.

- Będziemy potrzebowali pomocy, te gaśnice nic nie dają! - zawołał Mick, usiłując przechrzyczyć ryk wiatru i trzask płomieni. Odrzucił bezużyteczny przedmiot i biegnąc w kierunku pomieszczenia stajennych, wrzasnął przez ramię:

- Wypuść te konie na padoki, a potem wróć po resztę! Nie przejmuj się zamykaniem bram, po prostu biegnij, biegnij... gnaj! Ja podłączę wąż do hydrantu!

Dessie, którego nogi bolały tak samo jak płuca, odwiązał cztery konie, prychające teraz nerwowo i przestępujące z nogi na nogę w swym kącie podwórza. Klasnął językiem i starał się je zmusić siłą woli, by poszły za nim, gdy ciągnął je za uwiązany w kierunku padoków; szedł tyłem, by cały czas móc patrzeć im w oczy. Jakimś cudem, może dlatego, że w gromadzie czuły się rażniej, a może dlatego, że mu ufały, ruszyły za nim, nie stawiając oporu; cztery potężne bestie dreptały potulnie niczym owieczki, podczas gdy z dachu stajni ulatywały w niebo iskry i spadały jak deszcz na podwórzec.

Wyszedłszy za bramę, Dessie puścił się biegiem w kierunku najbliższego pastwiska; wiedział, że brama znajduje się jakieś dwieście metrów dalej. Kiedy ją otworzył, nie potrzebował zachęcać koni, aby przez nią przeszły; musiał nawet odskoczyć w bok, żeby uniknąć stra-

towania, gdy shiry, przepychając się, pognały na trawę.

Chłopak zatrzymał się tylko po to, by zamknąć bramę; nie przejmował się uwiązami, wlokącymi się po trawie za wszystkimi czterema końmi. Kiedy wpadł z powrotem na dziedzińiec stajni, zobaczył Micka prowadzącego Samsona, Ulissesa i Richarda, które teraz, znalazłszy się w dobrych rękach, były równie potulne jak pierwsze cztery.

- Zadzwoń do domu! - zawołał koniuszy, widząc chłopaka. - Mają ściągnąć strażaków. Myślisz, że poradzisz sobie sam z Amazonką? Ja wrócę jak najszybciej i zajmę się wężem.

- Jasne! - Dessie uchylił się przed płonąca słońcą niesioną przez wiatr i ruszył biegiem.

Zauważył dym wydostający się z ostatnich drzwi w szeregu i zrozumiał, że niewiele czasu upłynie, a cała stajnia, kanciapa i nawet kwatery stajennych spłoną ze szczętem. Zanim wszedł do Amazonki, złapał wąż i spryskał się wodą na wszelki wypadek, gdyby nie mógł od razu poradzić sobie z klaczą, a ogień pędził szybciej, niż mu się zdawało. Później zdjął kantar z haczyka, na którym tak niedawno sam go zawiesił.

Amazonka stała przodem do niego, błyskając białkami oczu; uszy położyła płasko po sobie i Dessie wiedział, że nie ma czasu do stracenia; ponownie zadziałał zgodnie ze swym instynktem. Rozłożył szeroko ramiona, nie bardzo wiedząc dlaczego, ale czując, że ma to coś wspólnego z pokazaniem klaczy, iż nic przed nią nie ukrywa i jest po jej stronie. Zamruczał do niej uspokajająco, na co Amazonka uderzyła w ziemię najpierw prawym przednim kopytem, a potem lewym.

Miał wrażenie, że jest nie tyle wystraszona, ile zła, a to był dobry znak. Jakby chcąc udowodnić, że Dessie ma rację, klacz prychnęła i walnęła obiema tylnymi nogami w ścianę boksu.

- Dobry konik, dobry konik... - szeptał chłopak. Starał się przyciągnąć uwagę zwierzęcia ruchami lewej ręki, podczas gdy prawą, w której trzymał kantar i uwiąz, zbliżał ostrożnie do łba klaczy. Kiedy znalazł się już tylko o krok od niej, powiedział: - Posłuchaj... musisz wyjść stąd, spokojnie... musisz im pokazać, że nie jesteś potworem, za jakiego cię uważają...

Amazonka znowu uderzyła kopytem o ziemię, lecz jednocześnie zastrzygła uszami, jakby rozważając jego słowa. Opuściła łeb, więc Dessie pośpiesznie założył jej kantar, zanim zdążyła się rozmyślić.

- Grzeczna dziewczynka... - pochwalił ją szeptem.

Czując, że ją ciągnie, Amazonka podrzuciła łbem, lecz tylko raz i uspokoiła się nagle.

Pozwoliła chłopakowi wyprowadzić się z boksu jakby jej wcześniejszy zły humor był tylko próbą, na którą go wystawiła.

Dessie ciągnął ją tak szybko, jak tylko się ośmielił; oboje musieli biec, aby uniknąć wirujących w powietrzu płonących kłębow słomy i siana, które spadały na ziemię jak ognisty deszcz. Skoro klacz już raz zdecydowała się zaufać człowiekowi, wydawała się teraz mniej przerażona ognistymi kłakami spadającymi z nieba niż jej opiekun.

Przechodząc pod wygiętą bramą, chłopak zobaczył grupkę ludzi, biegnących od strony domu za George'em i kamerdynerem Lewisem. George wołał coś i żywo gestykułował, lecz słowa porywał wiatr i Dessie nie czekał, aż tamci doń się zbliżą, tylko skoncentrował się na zadaniu; biegł obok klusującej klaczy, aby zaprowadzić ją na padok do pozostałych koni. Wpuścił ją bezpiecznie na pastwisko, po czym wszedł tam również, by pozdejmować kantary innym koniom; było to dość łatwe, gdyż z wyjątkiem Amazonki wszystkie shiry stały stłoczone w ciasną grupkę w jednym rogu ogrodzenia.

Biegł już z powrotem w stronę bramy, gdy kolana się pod nim ugięły i musiał usiąść na trawie. Czuł się tak, jakby za chwilę miał zwymiotować: opuścił głowę poniżej kolan i skulił się cały. Nudności minęły, lecz serce nadal waliło mu jak oszalałe, kiedy w myślach przebiegły mu obrazy z ostatniej półgodziny. Nagle poczuł lekkie szturchnięcie w policzek i podniósłszy głowę, zobaczył obok siebie Amazonkę, która stała z ogonem i grzywą rozwianymi na wietrze, strzygąc uszami. Ponieważ zwrócił już na nią uwagę, szturchnęła go ponownie.

Dessie miał wrażenie, że jeśli spróbuje wstać, nogi go nie uniosą. Ból w stopach przybrał na sile i pulsował teraz niczym czysty ogień; chłopak nie ośmielił się spojrzeć w dół w obawie, co może zobaczyć.

- Jesteś wspaniałą dziewczyną. - Poglaskał klacz po miękkim pysku; Amazonka parsknęła i zaczęła skubać trawę.

Kiedy żuła, Dessie obserwował pokaz sztucznych ogni na tle czarnego nieba. Ponieważ wichura tłumiała wszelkie odgłosy, nie słyszał ani syku ognia, ani huku pękających krokwi - sam zaś widok pomarańczowych płomieni sięgających do nieba był tak wspaniały, że wprost nie chciało się wierzyć, iż jest prawdziwy.

Zaczekał, aż choć trochę wróćą mu siły, a później zaprowadził Amazonkę na inny padok, żeby miała spokój; nie chciał, by przed wyźrebieniem denerwowały ją inne konie. Gdy prowadził ją za kantar, zobaczył nagle, że z dachu domu również buchają płomienie. Nie mógł jednak nic na to poradzić: inni muszą się tym zająć. Zresztą słyszał już wycie strażackich syren.

Chociaż padok, na który zaprowadził klacz, znajdował się całkiem blisko płonącego budynku, Amazonka zdawała się tym nie przejmować; odwróciła się zadem do pożaru i choć był środek nocy, zaczęła paść się spokojnie na soczystej wiosennej trawie.

Dessie puścił klacz luzem; nie miał już siły zdjąć jej kantara. Płuca nawet nie tak bardzo mu dokuczały, lecz ból w stopach był nie do zniesienia - i mimo całego dymu, którego się nawdychał, chłopak marzył w tej chwili o papierosie.

Przez pięć minut trwała zajadła walka między High Rollersami a Shade'ami, innym irlandzkim zespołem, z którym ścigali się na szosie do Londynu. Obie grupy zamierzały spotkać się na przyjęciu w Cricklewood. Shade jechali z Birmingham i ich wóz minął Rollersów jakieś dziesięć kilometrów od Coventry na autostradzie wiodącej do stolicy. Kierowca mikrobusu podjął wyzwanie i ponieważ silnik mercedesa był nowszy i silniejszy niż commer rywali, szybko ich wyprzedził. Pognał do przodu, zajechał im drogę i zawiął triumfalnie kierownicą, aż rozsypały się karty w mikrobusie, a Hazel wydała z siebie okrzyk pełen oburzenia i strachu. Nie przejmując się tym, odskoczył od commera jakieś sto metrów i zwolnił, prowokując rywali, a później przycisnął pedał gazu, gdy kierowca Shade'ów przyjął wyzwanie. Ta zabawa toczyła się w najlepsze do chwili, kiedy ruszył za nimi wóz policyjny.

Mieli szczęście: policjant siedzący w samochodzie właśnie wracał z udanej wyprawy wędkarskiej na łososie do zachodniej Irlandii; ponieważ drogi były puste, gdyż obchodzono dzień świętego Patryka, obaj kierowcy otrzymali jedynie ustną naganą.

Samochód Shade'ów ruszył zaraz po policyjnym, lecz dwóch Rollersów musiało wyjść na stronę.

- Włącz radio! - zawołała Hazel z tyłu mikrobusu, gdy czekali na ich powrót.

Kierowca zrobił, o co go poprosiła, i po chwili dał się słyszeć miły głos spikerki, która odczytała komunikat meteorologiczny, ostrzegający przed gwałtownymi wichurami w południowo-wschodniej części kraju.

- Na miłość boską - mruknęła Hazel - wiemy już wszystko na temat wichur... słyszymy je głośno i wyraźnie, no nie? Znajdź nam jakąś muzykę, co? To nie stypa, tylko przyjęcie!

- Za minutkę, Księżniczko, chciałbym najpierw posłuchać wiadomości. - Kierowca przechylił się, żeby otworzyć drzwi wracającym kolegom; później włączył silnik i ruszyli w dalszą drogę.

Naprzeciwno miejsca, gdzie Francey siedział z Hazel, przycupnął muzyk przezywany przez wszystkich Intelektualistą, gdyż nosił okulary; właśnie tasował karty, żeby rozpocząć na-

stępną partyjkę pokera. Krzyknął na kierowcę, by podkreślił radio, bo on też chce posłuchać wiadomości. Głośniki radiowe znajdowały się także z tyłu mikrobusu, więc chcąc nie chcąc Francey przysłuchiwał się katalogowi wojen, nieszczęść i politycznych skandali dotyczących Kambodży, Cypru, Narodów Zjednoczonych i Londynu. Modsi nadal walczyli z Rockersami, królowa i jej najmłodszy syn czuli się nieźle - nie znalazł nic, co mogłoby go choć trochę zainteresować. Kierowca jechał teraz z przyzwoitą prędkością i monotonne kołysanie mikrobusu sprawiło, że młodzieńcowi zachciało się spać. Czuł, jak powoli zapada w przyjemny, choć nie do końca określony sen.

Przez cały dzień zastanawiał się, czy dobrze zrobił, nie uczestnicząc w przyjęciu wydanym przez ojca z okazji dnia świętego Patryka. Hazel proponowała, żeby pojechał, a oni w drodze powrotnej go odbiorą; był to wcale rozsądny pomysł, lecz Francey nie ufał sobie i nie umiał przewidzieć, jak się zachowa w towarzystwie Fleur i jej męża. Był przekonany, że Dessie nie weźmie mu za złe nieobecności; jedyną sprawą, która naprawdę interesowała młodszego brata, stanowiło dobro ukochanych koni. Z drugiej strony należało cenić wszystko, co sprawiało, że chłopak czuł się lepiej i nie myślał o piciu.

Padał już z nóg, choć noc wydawała się jeszcze młoda. Zamknął oczy z nadzieją, że może uda mu się nieco zdrzemnąć, lecz chwilę później z głośnika znajdującego się bezpośrednio za jego głową usłyszał słowa „Little Staunton”. Rozbudził się w następnym momencie, kiedy usłyszał, że wszystkie wozy strażackie z okolicy tej nocy zostały wezwane do ogromnego pożaru, który wybuchł w posiadłości Inveraray.

- Zatrzymaj samochód! - Hazel także to usłyszała.

- Co takiego? - Kierowca obejrzał się przez ramię. - Na miłość boską, Księżniczko, dlaczego nie wyszłaś, kiedy zatrzymaliśmy się pięć minut temu?

- Zatrzymuj! - wrzasnęła ponownie.

- No, dobra, dobra... tylko tak się nie podniecaj. - Po paru chwilach zatrzymał mikrobus na poboczu drogi.

Czekając na dalsze informacje, Francey siedział sztywno wyprostowany w swym fotelu. Niestety spiker nie powiedział już nic więcej oprócz tego, że dalsze szczegóły zostaną podane w następnym serwisie.

Francey zdał sobie nagle sprawę, że Hazel mówi coś do niego.

- Co chcesz zrobić? Chcesz zadzwonić?

- Muszę tam pojechać.

- Oczywiście, pojedę z tobą.

Hazel kazała kierowcy zawieźć ich jak najszybciej do Leamington Spa. Muzycy natychmiast zaproponowali, że odwiozą ich na miejsce i wszyscy pomogą, lecz Francey im podziękował. Nie zdołał jednak odwieść Hazel od zamiaru pojechania z nim; był zbyt przerażony myślą o tym, co zastanie w Inveraray, żeby teraz z nią się kłócić.

Dotarcie do miasteczka zajęło im jakieś dwadzieścia minut; jeździli dokoła rynku, dopóki Hazel nie wypatrzyła taksówki z oświetlonym znakiem na dachu, stojącej przed małym biurem. Pojazd był nieomal tak stary jak jego nie najmłodszy właściciel, który co prawda robił co w jego mocy, by podołać ważnemu zdaniu, jakie przed nim postawili ogromny młodzieniec i mała kobiątka, lecz i tak podróż do Inveraray ciągnęła się w nieskończoność.

Gdy samochód skręcił na małym rozjeździe za Little Staunton, Franceyowi serce zamarło: znajdowali się jeszcze daleko od posiadłości, a już widział na niebie pomarańczową lunę. Odszukał dłón Hazel i mocno uściskał.

Byli jakieś pół kilometra od domu, gdy taksówkarz musiał zjechać na pobocze, by przepuścić samochód policyjny, pędzący na złamanie karku z wyciem syreny i kogutem migającym na dachu. Kiedy radiowóz ich mijał, Francey dostrzegł w środku twarz Colina. Coś tu było nie tak: przecież jego brat powinien znajdować się teraz w Inveraray wraz z pozostałymi uczestnikami przyjęcia. Parę minut później wjeżdżali już na podjazd i Francey nie miał czasu na czerne rozważania.

Na ostatnim odcinku drogi minęli wiele samochodów należących do rodziny, między innymi jego morrisa, zaparkowanych na chybił trafił na trawniku.

Francey nie mógł oderwać oczu od niesamowitego widoku, jaki przedstawiał sobą dwór.

Palił się na więcej niż połowie długości, głównie na prawo od frontowych drzwi. Teren wokół jeziora przypominał rozkopane mrowisko: ciemne figurki uwijały się jak w ukropie między wozami strażackimi a dwoma karetkami. Chociaż Francey widział strażaków wdrapujących się na dach kuchni i biegających pod oknami jadalni, było jasne, że ani ich starania, ani strumienie wody wylewane w ogień z węzów nie powstrzymają szalejących płomieni.

Po tej stronie domu, gdzie znajdował się salon, z okien wydobywały się długie języki płomieni podsycane przez wiatr; skakały już na dach, który zajął się natychmiast, niczym chrust przygotowany na opał. Wiatr wiał z prawej strony budynku do lewej, co wcale nie pomagało strażakom; tam, gdzie udało się ugasić pożar, Francey zobaczył pozapadane ściany i rozsypane cegły, oraz świadectwo tego, że Jool, zgodnie z tradycją swego kraju, wzniosła dom na dREW-

nianym szkielecie. Sądząc po tym, z jak wielu miejsc strzelały wciąż nowe płomienie, najprawdopodobniej ugaszenie wszystkiego zajmie strażakom jeszcze wiele czasu.

Kiedy Francey wyskoczył z taksówki, uderzyła go przede wszystkim kakofonia dźwięków - krzyki, wrzaski, głośnie huki, gdy pękały kolejne szyby, szum ekwipunku strażackiego - w jego uszach głośnie niczym młoty pneumatyczne - i wysokie, zawodzące jęki wody wylewanej pod wielkim ciśnieniem. A przede wszystkim szum i huk ognia pochłaniającego wszystko, co stanęło mu na drodze.

Kazał Hazel trzymać się z daleka i podbiegł do najbliższej grupy strażaków; chwilę później schylił głowę i zakrył ją rękoma, kiedy usłyszał głośnie eksplozję. Ogromne panoramiczne okno wyleciało z ram, uwalniając potężną kulę ognia.

Kiedy znowu podniósł wzrok, zauważył, że strażacy walczący przed chwilą z płomieniami przed oknem jadalni rozbiegli się; trzech leżało bezwładnie na ziemi.

Zapominając o własnym strachu, Francey popędził w ich stronę i pomógł zanieść ranne go z poparzoną twarzą do karetki.

Gdy ambulans z wyciem syreny ruszył podjazdem, Francey poszedł szukać swoich bliskich. Odnalazł ojca, Colina i nianię Tommy'ego, stojących wraz z Hazel i wpatrujących się zahipnotyzowanym wzrokiem w pożar. George Gallaher usiłował przytrzymać swego najstarszego syna, który krzyczał i wrywał się ze wszystkich sił; najwyraźniej chciał biec do domu.

Francey podbiegł prosto do George'a.

- Przyjechałem, gdy tylko usłyszałem, co się dzieje. Nikogo ze zszokowanej grupki nie zdziwił jego widok.

- Ona jest w środku, Francey, błagam, zrób coś! - Nadal walcząc z ojcem, Colin usiłował teraz chwycić brata.

- Kto tam został? - Przerazenie młodzieńca jeszcze się wzmogło.

- Dopiero co się zorientowaliśmy, że nigdzie nie ma Fleur - wyjaśnił George. - Spała w swoim pokoju i nikt jej nie widział, odkąd odkryliśmy pożar. Byliśmy tak zajęci przy stajniach, że pomyśleliśmy o niej, dopiero gdy zjawił się tu Colin. Lewis poszedł zawiadomić strażaków. Czy słyszałeś...? - Ojciec mocniej zacisnął dłonie na barkach Colina, lecz najwyraźniej się rozmyślił i nie dokończył pytania.

Francey aż podskoczył z przerażenia.

- Gdzie jest Dessie?

- Zdaje mi się, że nadal gdzieś przy stajniach. Już po nich. - To niania włączyła się do

rozmowy.

- Na pewno nic mu nie jest? - wrzasnął Francey.

- Nie widziałam go ostatnio! - zawołała dziewczyna podniesionym głosem, usiłując przekrzyczeć panujący wokół hałas. - Ale tak mi się wydaje. Widziałam, jak prowadził konia na pastwisko.

W tej samej chwili pojawił się sam Dessie. Ledwie można go było rozpoznać; twarz miał całą czarną od sadzy, ubranie porwane i brudne; szedł do nich od płonącego krańca domu, straszliwie kulejąc. I był boso.

- Dessie? - Podbiegłszy do niego, Francey zauważył, że chłopak ma poczerwiałe, spuchnięte i poranione stopy. - Co się stało? Jesteś ranny...

- Och, Francey! - Dessie patrzył na niego z rozpaczą.

Objął brata w pól i przytuliwszy się do niego, zaczął płakać jak dziecko.

- Co z Fleur? A co z Fleur? - Usłyszeli za plecami krzyk Colina. - Gdzie ona jest? - Tak delikatnie, jak tylko było możliwe w tych okolicznościach, Francey odsunął od siebie Dessiego.

- Nie szalej, teraz już nic nie możesz zrobić...

- To samobójstwo...

George i Hazel usiłowali przemówić Colinowi do rozsądku, lecz ten nadal się wrywał, powtarzając, że Fleur pewnie dalej jeszcze śpi w sypialni obok salonu.

Francey spojrział na piekło szalejące przy końcu domu. Zabronił sobie myśleć o konsekwencjach lub choćby o tym, w jakim stanie może znajdować się żona Colina, i postąpił o krok w kierunku płonącego domu, gdy nagle zawaliły się belki stropowe podtrzymujące dach nad salonem. Płomienie i iskry wystrzeliły w górę, po czym zaczęły łagodnie opadać niesione wiatrem.

- Nic i nikt nie mogłoby tam przeżyć - odezwał się George.

- Moglibyśmy wejść od drugiej strony... obok jadalni wcale nie jest tak źle. - Dessie pociągnął brata za rękaw.

Francey spojrział na odległy kraniec domu. Chłopak miał rację: jadalnia i kuchnia były nietknięte. Chociaż wydawało się, że nic nie zdoła powstrzymać pochodu płomieni w ich stronę, Francey zobaczył, że ogień ma jeszcze spory kawał przed sobą.

Istniała więc szansa dla Fleur - kto wie? Frontowe drzwi płonęły, więc jeśli się obudziła, mogła przebiec na drugi koniec domu i utknąć, uwięziona za zamkniętymi na amen oknami. Było tam też kilka łazienek, a to oznaczało wodę.

Woda: akwarium w jadalni, strumienie spływające po ścianie, Fleur mogła się tam ukryć...

Zanim Francey zdołał ułożyć jakiś rozsądny plan, usłyszał za plecami głos George'a:

- Na miłość boską, nie pozwólcie mu tam iść!

Odwrócił się, lecz było już za późno. Colin wykorzystał chwilową nieuwagę ojca i wyslizgnął się z jego rąk. Złapawszy jedną z cementowych kul zdobiących jeziorko i trzymając ją pod pachą jak piłkę do rugby, biegł niczym doświadczony gracz wymijający rywali; udało mu się przedrzeć przez kordon ratowników.

- Powstrzymajcie go!

Ale i ten okrzyk nadszedł za późno. Ominąwszy strażaków i używając do tego całej swej siły, Colin rzucił cementową kulą w okno i strzaskał je. Potem kopnięciami poszerzył otwór i zanurkował w głąb, znikając wszystkim z oczu.

Przez parę sekund obserwatorzy, nawet strażacy, byli zbyt zszokowani, by zmusić się do jakiegokolwiek działania. Później niektórzy z ratowników ruszyli do okna, jakby chcąc podążyć za Colinem, lecz tuż przed otworem zatrzymali się, aby skonsultować to z dowódcą.

- Zostań tu!

Popchnąwszy Dessiego w kierunku ojca, na wszelki wypadek, gdyby i jemu przyszły do głowy jakieś bohaterskie pomysły, Francey popędził w stronę domu; nie słyszał krzyków Hazel. Jego świadomość ledwie zarejestrowała, że strażacy przebierają się w inne skafandry i przypinają sobie na plecach jakieś butle; przebiegł obok nich i wpadł do domu przez strzaskane okno.

Poza kawałkami szkła walającymi się po podłodze i kolorowymi światłami migającymi na zewnątrz, pokój wyglądał jeszcze normalnie; zbliżający się pożar wydawał dźwięki podobne do hałasu nadjeżdżającego pociągu. Francey natychmiast poczuł też na skórze okropne gorąco.

Nigdzie nie było widać Colina.

Drzwi do pokoju otwierały się do środka z niewielkiego korytarza, który biegł pod kątem prostym od głównego holu; po jego drugiej stronie znajdowały się drugie, używane przez służących, które prowadziły do jadalni. Były teraz zamknięte.

Francey postanowił kategorycznie dać sobie cztery minuty na przeszukanie domu; było to dostatecznie dużo czasu, aby uratować Fleur, a jednocześnie mieściło się w dopuszczalnych granicach bezpieczeństwa. Kiedy to już postanowił, każda minuta podzieliła się w jego wyobraźni na poszczególne sekundy, w czasie których należało się skoncentrować na wykonaniu

określonych czynności.

Nie czuł strachu; właściwie to nie czuł zupełnie nic. Postawił przed sobą trzy cele: uratować Fleur, wydostać Colina i samemu wyjść z tego cało.

Przede wszystkim, dokąd teraz? Przez myśli przesuwwały mu się kolejne opcje. Było wielce nieprawdopodobne, żeby brat wszedł do jadalni i zobaczywszy tam Fleur, zamknął za sobą drzwi.

Czyli tam ich nie ma.

Znacznie bardziej prawdopodobne wydawało się to, że ogarnięty histerią Colin pognał prosto do ich sypialni.

Więc on, Francey, także musiał tam iść.

Otworzywszy drzwi na korytarz, stanął twarzą w twarz z kłębamii czarnego dymu; osłonił oczy i nos ramieniem, po czym ośmielił się zerknąć w tamtą stronę.

Patrzył w czeluści piekieł.

Od jednej ściany korytarza do drugiej płonęła równa ściana ognia. Pyszniła się każdym odcieniem od jasnej żółci po krwistą czerwień, na obrzeżach zaś była czarna; parła wciąż naprzód, wchłaniając po drodze drobne pojedyncze ogniki, pełgające po ścianach i wylazące z otwartych drzwi po drodze.

Znacznie bardziej niebezpieczne jednak było to, że ogień szalał także na krokwiach pod sufitem, opadał od nich i leciał na podłogę, z której natychmiast buchały płomienie. Wszystko to w przerażającym tempie posuwało się w kierunku miejsca, gdzie stał Francey. Żar był nie do zniesienia i chociaż młodzieniec przebywał wewnątrz zaledwie przez jedną z owych czterech minut, które sam sobie wyznaczył, pot spływał mu z czoła i zalewał oczy.

Otarł je pośpiesznie. Brat leżał twarzą w dół na podłodze zaraz za progiem jednych z trojga drzwi wiodących do jadalni - tych tuż obok akwarium. Jego wyciągnięte ręce znajdowały się zaledwie parę kroków od maszerującej nieubłaganie naprzód ściany ognia; jeśli jednak Francey widział dobrze w spowijającym wszystko dymie, płomienie jeszcze nie dosięgły Colina.

Przypomniał sobie przeczytane gdzieś słowa, że aby przetrwać w pożarze, należy trzymać się nisko nad podłogą. Opadł na kolana i jak mógł najszybciej zbliżył się do leżącego; złapał brata za stopę i zaczął go ciągnąć w tył, do bezpiecznego końca korytarza.

Niestety, w ciągu paru sekund, jakie zajęła mu ta operacja, z sufitu znowu opadł kłęb ognia, zapalając dywan bezpośrednio za nimi. Francey nie mógł przeciągnąć tędy Colina, a

jednocześnie wiedział, że wstawanie i przenoszenie go ponad płomieniami jest zbyt niebezpieczne.

Zamiast tego otworzył drzwi więc do jadalni, wciągnął brata do środka i ponownie zatrzasnął za nimi oba skrzydła.

Mimo że powietrze było tu równie gorące i pełne dymu jak na korytarzu, wokoło panował względny spokój. Ryby pływały w ciemnym akwarium, lecz woda nie ściekała już po ścianie. Najwyraźniej w całym domu wyłączył się prąd, lecz obejrzawszy się pobieżnie, Francey stwierdził, że jak na razie nie odniósł większego uszczerbku na zdrowiu, poza tym, że przez podeszwy butów wyczuwa gorąco, a przezroczysta podłoga zaczyna go parzyć w stopy. Czy jest możliwe, aby się stopiła? Czy stopi się szklany stół?

Doszedł do wniosku, że przebywa już w domu dwie lub nawet dwie i pół minuty, więc nie stać go na luksus podobnych rozważań. Mimo że miał trudności z oddychaniem, nadal czuł się pełen sił i energii. Musiał tylko wydostać siebie i Colina przez strzaskane okno.

O czymś jednak zapomniał. Fleur? Gdzie jest Fleur? Miał zaledwie półtorej minuty, by ją znaleźć. Wyjrzał przez okno i zobaczył strażaków w przedziwnych kombinezonach, którzy zbliżali się właśnie do okien pokoju. Doskonale. Nadchodziła pomoc.

Francey zaciągnął Colina pod ścianę z wodą; chociaż ta już przestała płynąć, marmur nadal był wilgotny i zimny. Oparłszy brata o mokre płytki, ruszył z powrotem w kierunku drzwi, by poszukać Fleur.

Kiedy otworzył drzwi, natychmiast otoczyła go chmura czarnego dymu.

Opadł na kolana; zatrzasnął drzwi z powrotem, lecz zrobiło mu się niedobrze i słabo i był zdezorientowany. Podczołgał się do drzwi wiodących na korytarz, które znajdowały się na ścianie z wodą, lecz chociaż ciągnął ze wszystkich sił, nie dał rady ich otworzyć. Były gorące w dotyku, więc założył, że ogień dotarł już do nich od drugiej strony.

Podczołgał się z powrotem do Colina i myślał gorączkowo, co robić dalej. Otwarcie pierwszych drzwi okazało się poważnym błędem. Powietrze w pokoju było już tak przesycone dymem, że Francey ledwie oddychał. Wiedział, że brak zdecydowania odbiera mu cenne sekundy; pewnie już mija limit czterech minut. A wydawało się, że to taka ładna okrągła liczba - Roger Bannister* i cała reszta...

* Roger Gilbert Bannister (ur. 23.03.1929 r.) - pierwszy sportowiec, który w biegu na 1 milę (1609,31 m) uzyskał czas poniżej 4 minut (3,594) - 6 maja 1954 r. (przyp. red.).

Ku swemu przerażeniu, w ciemnym od dymu powietrzu zobaczył na odległej ścianie pokoju, tuż pod sufitem, ryse, która bardzo szybko przerodziła się w szczelinę. Nie minęła sekunda, jak wyrzały z niej żółte i pomarańczowe płomienie.

Francey z trudem poderwał się na nogi. Mógł teraz tylko wierzyć, że jeśli Fleur znajduje się gdzieś w tym domu, jest bezpieczna. Musiał jak najszybciej wyciągnąć Colina na zewnątrz.

Okno.

Rozejrzał się za czymś, czym mógłby uderzyć w szybę. Powietrze gęstniało z sekundy na sekundę i poruszanie się w nim przypominało pływanie w morzu, w którym woda ma konsystencję wełnianego koca. Francey czuł także, że słabnie. Podniósł krzesło i rzucił nim w szybę, lecz upadło na podłogę, jeszcze zanim dosięgło celu. Podniósł następne i wyteżył wszystkie siły. To trafiło w okno, lecz odbiło się od niego bez efektu. Młodzieniec opuścił głowę i oddychał z trudem: zdawało się, że jego płuca są w stanie przyjąć tylko minimalne ilości powietrza. Kafelki podłogowe były gorące i nawet w rozpalonym, przesiąkniętym dymem powietrzu pachniały dziwnie. Z sufitu oderwały się płomienie i spadły na krzesło stojące tuż obok. Na szczęście nie zapaliło się, lecz zaczęło tlić, wypuszczając kłęby brązowego dymu, co tylko powiększyło dezorientację i spotęgowało dotychczasowe problemy Franceya z oddychaniem.

Później przyszedł mu do głowy ostatni pomysł: jeśli nie zdołał zbić szyby w oknie, to może uda mu się stłuc akwarium. Gdyby wypuścił na pokój całą tę wodę... te ogromne ilości wody...

Popychając przed sobą jedno z krzeseł, Francey zaczął posuwać się w kierunku zbiornika wodnego, gdy nagle wydało mu się, że cały świat eksplodował. Huk trwał i trwał, a gdy się skończył, w tle słychać było inne, dziwne, wysokie dźwięki, których nie potrafił z niczym skojarzyć.

Udało mu się na tyle podnieść głowę, że zobaczył ogień pędzący po krokwiach i opadający ze świstem wszędzie dokoła niego. Ale było coś jeszcze.

Francey pomyślał, że chyba ma halucynacje. Przez dym i ogień zobaczył ogromną dwugłową bestię, wskakującą przez okno, którego nie był w stanie strzaskać. Bestia wrzeszczała i krzyczała coś niezrozumiale, a za nią nadbiegły dwa inne potwory o zgarbionych plecach.

Gdy tylko Dessie zobaczył, że Francey znika w domu, on też ruszył biegiem. Nie czuł teraz bólu w poparzonych stopach; pędził jak wichur za dom w kierunku padoku, na którym zostawił konie. Wiedział, że nie będzie już drugiej szansy.

Amazonka wystawiała głowę nad żywopłotem tuż obok ogrodzenia. Dessie nie tracił

czasu na otwieranie bramy - jakimś cudem, mimo obolałych kostek i stóp, w nogach wyrosły mu sprężyny i jednym susem znalazł się na grzbiecie klaczy. Złapał ją jedną ręką za kantar, nachylił się nisko nad jej szyją i zmusił do przeskoczenia bramy.

Potem Poklusowali wąską dróżką i wzdłuż płonącego domu; Dessie przez cały czas szeptał pieszczotliwe słowa do uszu Amazonki. Kiedy dotarli na front budynku, zsunął się z niej i podprowadził ją do okien jadalni. Dach nad kuchnią płonął już na całego i pokój był teraz zagrożony z dwóch stron. Kątem oka Dessie zauważył, że niektórzy strażacy włożyli już swe kosmiczne kombinezony, przymocowali ekwipunek do pleców i szli w kierunku tamtego strzaskanego okna, przez które dostali się do domu starsi bracia. Dessie uważał, że to zbyt ryzykowne, i jedyną w miarę bezpieczną drogą jest wejście przez okno jadalni.

- Co tu robi ten koń?!

Zignorował okrzyk, który dotarł do niego gdzieś zza pleców. Amazonka zaczęła już nerwowo przytupywać, lecz patrząc jej w ślepią, Dessie zmusił klacz do podsunęcia się tyłem bliżej ściany budynku.

- Grzeczna dziewczynka, piękna... kochany konik... - Przytrzymał jej łeb jak najniżej i popychał szerokie czoło klaczy własną klatką piersiową. Opierała się, lecz Dessie namawiał ją, zmuszał, nalegał, by cofała się, cofała, cofała...

Tańczyła już teraz, tupiała niespokojnie i wierzgała lekko; potrząsała głową i szarpała uwiąz, lecz Dessiemu udało się złapać ją za grzywę między uszami. Przytrzymując długie pasmo jedną ręką, cały czas patrzył zwierzęciu w oczy. Doprowadził już klacz blisko tafli szkła, gdy zbliżył się do niego strażak, machając czymś.

Amazonka szarpnęła się i wierzgnęła, nieomal wrywając uwiąz, lecz Dessiemu udało się ją utrzymać, więc cofnęła się nieco i następne kopnięcie trafiło prosto w szybę. Kopnęła obiema tylnymi nogami naraz jeszcze dwukrotnie i ostatnie uderzenie roztrzaskało szkło, na co liczył Dessie. Dopiero to naprawdę przestraszyło klacz. Amazonka stanęła dęba i wierzgając dziko we wszystkie strony, cofnęła się w ogromną dziurę, którą sama uczyniła, gniotąc kopytami wielkie kawałki szkła. Strażacy rozsypali się na boki, Dessie jednak, w obawie, że koń zrobi sobie krzywdę, cały czas trzymał mocno kantar.

- Spokojnie, kochana, spokojnie - mrucał bez przerwy.

Starł się pociągnąć jej łeb w dół, lecz się zaparła i cały czas tyłem wchodziła do płonącego pokoju. Dessie miał nadzieję, że z góry łatwiej będzie mu pokierować klaczą, więc pośpiesznie wskoczył na jej grzbiet, ale było już za późno - Amazonka cofała się coraz szybciej, o

centymetry ominęła wyjątkowo ostry szklany odłamek zwisający z futryny, wpadła do jadalni i poślizgnęła się na miękkiej podłodze. Omal nie polecieła na ziemię; Dessie był tak zajęty utrzymaniem równowagi nie tylko własnej, ale i samej klaczy, że właściwie nie zauważył strażaków wbiegających za nim do pokoju.

Pochyliwszy się, złapał za kantar i pociągnął z całych sił. Amazonka odwróciła się z przeraźliwym kwikiem, stanęła łbem w kierunku środka jadalni - o co nie do końca Dessiemu chodziło - i ślizgając się, postąpiła parę kroków w przód. Znajdowała się już nieomal w połowie pomieszczenia, gdy zdała sobie sprawę z błędu, który popełniła. Obróciła się na zadzie i nadal rżąc z przerażenia, rzuciła się do ucieczki.

Dessie ledwie utrzymał się jej grzywy i kantara. Kiedy tylko klacz poczuła pod kopytami twardą ziemię, puściła się galopem, przeleciała przez żwirowany podjazd niczym wichur, wyminęła sztuczne jezioro i rozpędziła ludzi na boki. Zwolniła dopiero w połowie podjazdu.

Francey poczuł, że ktoś go ciągnie, a w następnej chwili jego głowa spoczywała na czymś miękkim, do płuc zaś wpływało powietrze tak czyste i chłodne, że miał wrażenie, jakby cięto je nożem. Zobaczył Colina na noszach i w całym tym zamieszaniu dostrzegł pochyloną nad sobą przerażoną twarz Hazel.

- Fleur? - wyszeptał.

- Inni jej szukają. - Przykucnęła obok niego i ujęła jego bezwładną dłoń w swoje. - Och, Francey, Francey... - Płakała. - Byłeś tam tak strasznie długo... Myślałam już... Gdyby nie Dessie...

- Jakie godziny... cztery minuty.

Strasznie go bolało gardło, lecz zależało mu, żeby wiedziała, jak doskonale zorganizował sobie czas w środku. Udało mu się podnieść głowę i zobaczył, że płonie już dach na całej długości domu. Później zauważył Dessiego. Jego przyrodni brat ścisnął w dłoni uwiąz, na którego drugim końcu szarpał się jeden z shirów.

Amazonka, nie przejmując się ogniem i ludźmi stłoczonymi wokół niej, wyciągnęła łeb, by dosięgnąć soczystej trawy porastającej podjazd.

Rozdział dwudziesty drugi

Następnego ranka Franceya wypuszczono ze szpitala, lecz Colina lekarze zatrzymali na obserwację na następne dwadzieścia cztery godziny. Biorąc pod uwagę to, co obaj przeszli poprzedniej nocy, ich stan okazał się zaskakująco dobry. Dessie natychmiast odmówił zostania na noc w szpitalu i wrócił do posiadłości.

Ponieważ ojciec zajęty był z policją i agentami ubezpieczeniowymi, a poparzenia Dessiego wymagały, by siedział ze stopami na poduszkach i uniemożliwiały mu włożenie butów, to Hazel przyjechała po Franceya do szpitala ogromną limuzyną George'a prowadzoną przez szofera. To ona także opowiedziała młodzieńcowi o śmierci Tommy'ego.

Zanim zdążył zareagować, ujęła jego wielką dłoń w obie ręce i dodała:

- Ale to nie wszystko.

Siedzieli na małej ławeczce w szpitalnym korytarzu i Francey zobaczył, że Hazel uważnie obserwuje jego twarz.

- Nie wiem, jak to delikatnie powiedzieć. - Ścisnęła jego dłoń. - Ale są poważne powody, by przypuszczać, że ogień został podłożony. I teraz wszystko wskazuje na to, że Fleur nie było w domu. Szukali jej i szukali, lecz nie znaleźli. - Urwała na chwilę, żeby zrozumiał podtekst, a potem dodała: - Nikt nie wie, gdzie ona teraz jest. Zeszłej nocy, mniej więcej w czasie, gdy pożar wybuchł już na dobre, przyjechała do szpitala i usiłowała zabrać ciało Tommy'ego z kostnicy. Powstrzymano ją jednak i uciekła. Od tamtej pory nikt jej nie widział. Nie ma także ich samochodu.

Tego było dla Franceya za wiele na jeden raz.

- Chcesz powiedzieć, że to Fleur podpaliła Inveraray? - spytał tak ochryłym głosem, że ledwie go usłyszała.

Zdawało mu się, że słowa Hazel docierają doń zza wełnianej zasłony. Kiedy został przywieziony do szpitala, otrzymał potężną dawkę środków uspokajających, które zupełnie pozbawiły go przytomności; przespał wiele godzin, a i teraz nie miałby najmniejszych kłopotów z zaśnięciem.

- Tego nie twierdzę. - Hazel przełknęła ślinę. - Obawiam się jednak, że na to wygląda. Wszystko wskazuje na nią. Przykro mi - szepnęła - ale znaleźli w domu resztki kanistra z benzyną. A Colin miał zwyczaj trzymać zapas paliwa w bagażniku samochodu.

Francey nie wiedział, co myśleć. Szok, który przeżył minionej nocy, był tak świeży w

jego umyśle, że nie docierało doń, iż Tommy nie żyje, żeby już nie wspominać o tym, iż Fleur podpaliła dom i stajnię.

Jak umarł Tommy? I dlaczego Fleur to zrobiła? W jego otumanionym umyśle oba zdarzenia były równie niedorzeczne, jak wzór na kafelkach szpitalnej podłogi i fakt, że otwierane drzwi cały czas kołyszą się na zawiasach. Nawet słońce odbijające się od włosów Hazel wydawało się dziwaczne. Nic nie było rzeczywiste oprócz czerwonych, przerażających obrazów, które teraz jakby spłowiwały, jakby ktoś odwrócił kartę w albumie ze zdjęciami. Zdawało mu się, że jego mózg spowija gęsta mgła.

- Oczywiście, była strasznie zszokowana śmiercią synka - odezwała się Hazel, jak gdyby czytając mu w myślach.

Gdzieś na dnie umysłu młodzieńca pojawiła się myśl, że chyba powinien spytać, jak umarł Tommy, lecz raz jeszcze samo stwierdzenie, że chłopczyka nie ma już między żywymi, wydało mu się tak absurdalne, że łatwiej było nic nie mówić. Spojrzał na poważną, lekko falującą przed jego oczami twarz przyjaciółki i uznał, że lepiej będzie poczekać, aż Hazel coś zrobi, powie lub postanowi.

- Nic ci nie jest? Francey, jesteś biały jak ściana! - Nadal trzymała go za rękę. - Niestety muszę jechać do Brighton... wiesz, że mamy tam dziś koncert... ale wrócę jutro z samego rana, aby się z tobą zobaczyć. Jutro nie gramy nigdzie, a w piątek w Leeds, więc będę mogła trochę tu z tobą zostać.

- Zostaniesz w Inveraray? - Francey potrząsnął głową, jakby chciał odegnąć mgłę spowijającą mu umysł.

Hazel spuściła wzrok na jego dłoń.

- Nie ma już Inveraray, kochany.

Francey zapatrzył się na nią: jakże mógł zapomnieć?

- Wszyscy zatrzymali się teraz w zajeździe w Little Staunton - ciągnęła łagodnie. - Zarezerwowaliśmy także pokój dla ciebie, a później ma tam wpaść lekarz, by cię obejrzeć.

Nadszedł czas, żeby ruszyć w drogę. Francey wyteżył wszystkie siły, chcąc podnieść się z ławeczki, lecz noga mu się powinęła i upadłby, gdyby Hazel go nie podtrzymała.

- Limuzyna czeka na zewnątrz. - Ujęła go pod ramię.

Francey zerknął na nią: zdumiewające było, że opiera się na tak drobniutkiej kobiecie. Jednak zanim wyswobodził się z jej uchwytu, pociągnęła go mocno i poddał się odruchowo; z trudem wstał i zaczął iść naprzód drobnymi krokami, aby nie upaść.

Hazel pomogła mu wyjść ze szpitala niczym staruszkowi.

Przespał się na wygodnym tylnym siedzeniu samochodu, a potem cały dzień drzemał w pokoju, w którym go umieszczono. Od czasu do czasu przychodzili jacyś ludzie, ale tylko na wpół rozumiał, co mówią. Gdy obudził się w pewnej chwili, zobaczył George'a siedzącego obok jego łóżka i mówiącego coś o „swoich trzech synach” - to wyrażenie zabrzmiało wyjątkowo obco w uszach Franceya. Pościel na łóżku miała wzór z róż wielkich jak główki kapusty i ledwie odróżniając sen od jawy, Francey miał wrażenie, że niektóre kwiaty ożyły i zaczęły piąć się po piersi i głowie ojca. Wiedział, że to musi być złudzenie optyczne i starał się skoncentrować wzrok na George'u, lecz powieki miał zbyt ciężkie, a źrenice nie chciały go słuchać. Znacznie prościej było z powrotem zapaść w sen.

Kiedy się wreszcie obudził, był głodny jak wilk. Później przypomniał sobie straszliwą opowieść Hazel o Tommym oraz jego matce i o tym, co podobno zrobiła Fleur.

Przez okno pokoju zobaczył, że niebo ma pomarańczoworóżowy kolor i przez moment obawiał się najgorszego. Ale gdy zerknął na zegarek, przekonał się, że jest już po szóstej i zrozumiał, że te barwy są naturalną częścią zachodu słońca.

Ktoś - pewnie Hazel - kazał wstawić jego torby podróżne do pokoju. Trzymając głowę nisko, aby nie uderzyć w sufit, Francey postanowił nie zajmować się teraz niczym prócz własnego żołądka; ubrał się pośpiesznie i zszedł po schodach do małego holu zajazdu. Pierwszą osobą, na którą się natknął, był Lewis; kamerdyner poinformował go, że ojciec pojechał odwiedzić Colina, by pod nieobecność Fleur zająć się pogrzebem wnuka - Dessie natomiast siedzi w barze.

- I panna Slye zostawiła to dla pana - dodał służący, wręczając mu kopertę.

Hazel napisała tylko, że powinien jak najwięcej odpoczywać oraz że przyjedzie następnego dnia. Podawała także nazwę hotelu i numer telefonu, pod którym można ją złapać w Brighton.

Mimo wszystkich innych myśli szalejących mu w głowie, młodzieniec poczuł ulgę, widząc, że Dessie popija coca-cole, a nie coś mocniejszego.

- Opowiedz mi o Fleur... i o Tommym. - Zamówiwszy dwie kanapki, by jakoś dotrzeć do obiadu, Francey kupił sobie piwo i podszedł do stolika, przy którym siedział młodszy brat.

- To nie była wina Amazonki. - Dessie, który trzymał obandażowane stopy na stołeczku, z miejsca przyjął obronną postawę i dopiero po paru minutach udało się go namówić, by wyjaśnić, co przydarzyło się synkowi Colina.

Chociaż Francey nie był mocno związany z dzieckiem, poczuł nagle straszny smutek. Rozumiał, co musiała przeżywać matka Tommy'ego - albo raczej musi przeżywać - jeśli domysły o podpaleniu są prawdziwe. Nie miał jednak dość sił, by rozważać teraz, co czuł do tej kobiety i co myślał o podejrzeniach wobec Fleur.

Dessie jednak nie potrafił mu nic więcej powiedzieć; nie umiał także wyjaśnić, dlaczego wszyscy wskazywali właśnie Fleur. O ile Francey zdołał się przekonać, Dessie nie tylko niewiele wiedział, ale i cała sprawa niedużo go obchodziła - w końcu jego ukochanym koniom nic się nie stało.

- Co z nimi teraz będzie, Francey? - spytał teraz. - Dzięki Bogu idzie lato, więc mogą jakiś czas pozostać na padokach, lecz Mick był tu niedawno i martwi się o nie tak samo jak ja.

Francey powstrzymał się przed wyjaśnieniem bratu, że wobec śmierci małego chłopca, zaginięcia jego matki i spalonego domu, konie są zapewne dla większości ludzi najmniejszym ze zmartwień.

- Bolać cię nogi? - zapytał tylko. - Nie podziękowałem ci jeszcze za uratowanie mi życia. Uratowałeś nas obu, mnie i Colina. Ocaliłeś mi życie, Dessie.

- To nie moja zasługa. - Chłopak miał zdziwioną minę. - Amazonka tego dokonała. I dlatego nic jej się nie może stać. Wiesz, nie sądzę, by pozostałe konie były zdolne do tego, co ona zrobiła... A z moimi nogami wszystko w porządku, dziękuję. Trochę mnie bolą, ale doktor dał mi świetne pigułki. Następne! - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - I to właśnie wtedy, gdy tobie już się wydawało, że wychodzę na prostą!

Francey także uśmiechnął się w odpowiedzi. Po tym wszystkim, co się stało w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, spokojne trzeszczenie polan w kominku, stylowe meble oraz ciche kroki dziewczyny za barem wydawały się zarówno uspokajające, jak denerwujące. Młodzieniec czuł, że nie powinien teraz się uśmiechać lub tak bardzo cieszyć smakiem sera i wędliny w kanapce ani łagodną goryczką piwa w szklance przed nim. A jednak gdy tak siedział naprzeciwko Dessiego, rozmawiał z nim, jadł i pił, przekonał się, że po raz pierwszy, odkąd poznał tego chłopaka, czuje się z nim naprawdę blisko związany. Właśnie ta rozmowa o niczym była tak szalenie intymna. Co więcej, zmienił się charakter łączącego ich związku: nie było dobroczyńcy i uzależnionego odeń biedaka - stali się sobie równi.

Mieszkańcy Inveraray zajmowali większość pokoi w zajeździe. George nie wrócił jeszcze z wizyty u Colina, a niania chyba pojechała do Londynu, jednak gdy pół godziny później Francey pomógł Dessiemu przykuśtykać do jadalni, przekonał się, że wraz z nimi do posiłku -

choć nie przy tym samym stole - zasiądzie kamerdyner i sześcioro służących. Chociaż Francey ich zaprosił, Lewis odpowiedział w imieniu wszystkich, że nie ośmieliliby się zakłócać spokoju braci, więc Francey - czując, że przekroczył jakąś niewidzialną granicę - nie nalegał.

W zajeździe nie było żadnych innych gości, a Dessie i służba jedli w milczeniu, więc nastrój panujący przy posiłku był wyjątkowo poważny. To wcale nie przeszkadzało Franceyowi, który był nie tylko tak głodny, że mógłby pożreć wołu z kopytami, ale i do tego stopnia pogrążony we własnych myślach, że nie miał ochoty na rozmowy.

Po posiłku pomógł bratu wejść na górę do pokoju, po czym wrócił na dół, by spytać Lewisa, czy wie, co się stało z jego samochodem. Okazało się, że wedle słów kamerdynera, Morris nadal stoi w Inveraray.

- Policja zagroziła cały teren - uprzedził go Lewis, lecz Francey jakby nie słyszał.

Odzyskanie samochodu było tylko jednym z powodów, dla których młodzieniec pragnął wrócić do posiadłości. Odwieziono go do szpitala, zanim jeszcze strażacy ugасili ogień, i chciał teraz na własne oczy ocenić ogrom zniszczeń uczynionych przez pożar.

Wsiadł do taksówki, a na miejscu kazał się zostawić przy bramie. Uważał, że spacer podjazdem pomoże mu uporządkować myśli i przygotuje na to, co miał zobaczyć.

Z początku prawie nic nie wskazywało na to, że coś tu się zmieniło. W przeciwieństwie do poprzedniej nocy pogoda była wyjątkowo dobra; oświetlone światłem wielkiego księżyca główki żonkili kołysały się lekko w trawie, poruszane delikatnym wiatkiem, jedyną zaś jak na razie pozostałością po pandemonium, które tu nastąpiło, były ślady opon na trawnikach.

Morris okazał się pierwszym pojazdem, jaki ujrzał Francey. Stał zaparkowany zaraz obok jaguara Jool przy najbliższym zakręcie; zapalił od pierwszego przekręcenia kluczyka w stacyjce. Francey ponownie zgasił silnik, wysiadł z samochodu i poszedł za zakręt. Jadąc tu, usiłował wyobrazić sobie ruiny domu; przed oczyma widział coś zbliżonego wyglądem do zrujnowanej stróżówki lub spalonej chaty rybackiej na wybrzeżu nieopodal Eyeries; popękany komin, okopcone ściany, może jeszcze unoszący się nad wszystkim dym...

Kiedy wyszedł z zakrętu, zobaczył samochód policyjny zaparkowany u szczytu podjazdu. Światelko w środku było włączone i Francey zobaczył, jak siedzący w środku policjant nalewa sobie kawę z termosu do kubka. Ale za nim nie było widać absolutnie nic, poza nieregularną stertą poczerniałych gruzów. Francey zapomniał, że dom został zbudowany na drewnianym szkielecie; jedyny komin w domu, gazowe palenisko w salonie, zapewne nawet nie wymagało zbyt solidnego komina.

Zaszokowany podszedł do radiowozu. W miarę jak się zbliżał, jego oczom ukazały się pozostałości stajni, które zbudowano z cegły i kamieni, toteż bardziej przypominały ruiny, jakie sobie wyobrażał. Stał jednak za daleko, by ocenić ogrom szkód.

- Dobry wieczór! - odezwał się do niego policjant przez otwarte okno wozu. Wypił kawę i nakręcił kubek na termos; potem wysiadł. - Przykro mi, proszę pana, ale nie może pan iść dalej.

- Jestem synem pana Gallahera. - Patrzył ponad głową tamtego na kupę popiołu, która jeszcze niedawno była dworem Inveraray. - Byłem tu podczas pożaru wczorajszej nocy.

- Czy ktoś już z panem na ten temat rozmawiał? - Pilnujący pogorzelska przyjrzał mu się uważnie.

- Ma pan na myśli policję? - Młodzieniec potrząsnął głową. - Jeszcze nie. Dopiero wyszedłem ze szpitala.

- Jestem pewien, że niedługo się z panem skontaktujemy, ale teraz naprawdę nie może pan podejść bliżej. Przykro mi.

Francey już chciał się z nim kłócić, lecz zmienił zdanie. Ten człowiek tylko wykonywał swoją pracę, a on i tak może tu wrócić w dzień.

- Wezmę mój samochód - powiedział na wszelki wypadek, gdyby stróż prawa pomyślał, że Francey chce ukraść auto. - To ten morris oxford.

Policjant nie miał nic przeciw temu, więc życząc mu dobrej nocy, Francey po raz ostatni zerknął na pogorzelsko, a potem odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem po podjeździe.

Ale gdy usiłował włączyć silnik, ręce zaczęły mu się trząść tak bardzo, że nie ufał sobie, czy potrafi doprowadzić samochód bezpiecznie do Little Staunton. Siedział nieruchomo, wpatrując się w jaguara Jool przez tylne lusterko. Czego się spodziewał? Że wróci tu, rozejrzy się dokoła, a pogorzelsko nie zrobi na nim żadnego wrażenia? Przez jakiś czas trwał w bezruchu, usiłując się opanować.

- Wszystko w porządku, proszę pana? - To znowu policjant; podszedł i zastukał w okno obok kierowcy.

Nadal drżącymi rękoma Francey opuścił szybę.

- T-tak, oczywiście... - Opanował się z wielkim wysiłkiem i dodał: - Nie zdawałem sobie chyba sprawy, jakie straszne spustoszenie poczynił ten pożar...

- Na pewno da pan radę prowadzić? - Mężczyzna pochylił się, tak że teraz jego twarz była na wysokości twarzy Franceya. - Jeśli pan chce, mogę wezwać kogoś, kto pana odwiezie.

- Nie, dziękuję. To nic takiego... tylko szok. - Francey spróbował się uśmiechnąć.

Aby udowodnić tamtemu, że nic mu nie jest, przekręcił kluczyk w stacyjce, uruchomił samochód i wrzucił bieg. Policjant wyprostował się z ulgą.

- Proszę jechać ostrożnie.

- Oczywiście, dziękuję. - Francey nerwowo wykręcił na trzy razy i powoli odjechał.

Kiedy był pewien, że oddalił się już dostatecznie, by tamten go nie widział i nie słyszał, zatrzymał samochód na poboczu jakieś czterdzieści metrów przed bramą. Nie płakał; jego uczucia były zbyt głębokie na łzy. Mimo że jedynym dźwiękiem, jaki rozlegał się w samochodzie, było dzwonięcie kluczyków w stacyjce, gdy kierownica drgała pod jego trzęsącymi się dłońmi, Francey w myślach usłyszał własny głos wypowiadający imiona Fleur, Tommy'ego, Dessiego, Mossiego, Neeleya Scollarda, Kathleen, matki, a nawet George'a i swoje własne. I Hazel.

Miał wrażenie, że jego emocje nakładały się warstwowo jedna na drugą podczas ostatnich sześciu miesięcy, nie tylko tragiczne i bolesne, ale także wesole i słodko-gorzkie, aż utworzyły mocno ubitą górkę, przypominającą wypalone zgliszcza za jego plecami.

A teraz wszystko zaczęło się walić. Zamknij się, zamknij! - wrzasnął na siebie bezgłośnie. Jeśli tylko uda mu się powstrzymać emocje przez minutę lub dwie, wszystko minie.

I rzeczywiście po kilku minutach drżenie samo ustało; powoli, palec po palcu, zdołał rozluźnić uchwyt na kierownicy. Bolały go nadgarstki, dłonie i kłykcie, lecz jednocześnie czuł się wolny, jakby wzleciał w powietrze.

Właśnie się przygotowywał, by odjechać do Little Staunton, gdy przez bramę wjechał inny samochód i zbliżył się doń w żółwym tempie. Nastrój Franceya natychmiast uległ zmianie - młodzieniec był przekonany, że to jakiś ciekawski przyjechał obejrzeć pogorzelnisko. Aż się w nim zagotowało z wściekłości; potrzebował w tej chwili kozła ofiarnego, a z całego serca nienawidził wścibskich gapiów.

Włączył światła morrisa, aby oślepić kierowcę drugiego pojazdu, lecz reakcja intruza zupełnie go zaskoczyła. Zamiast zmienić światła lub także zapalić najmocniejsze reflektory, tamten zupełnie je wygasił i zjechał na pobocze.

Nadal dysząc z wściekłości, Francey wyskoczył z samochodu i ruszył w kierunku stojącego auta, by przemówić obcemu do rozsądku. Lecz gdy się zbliżył, zamarł nagle w bezruchu. Przez przednią szybę zobaczył twarz Fleur.

- Co ty tu robisz? - Gwałtownie otworzył drzwi samochodu, w którym rozpoznał uko-

chany wóz Colina; kiedy jednak zobaczył, w jakim stanie jest Fleur, uszła z niego cała złość. Wyglądała tak, jakby się nie myła i nie czesała co najmniej od tygodnia. Jej ubranie było poplamione i wymięte; skórę nad lewym okiem miała głęboko rozharataną. - Co ci się stało? - spytał i natychmiast pożałował swego pytania. Raczej, co jej się nie stało! Cokolwiek zrobiła lub nie, miał oto przed sobą kobietę, której syn tak niedawno zginął tragiczną śmiercią.

Gdy wysiadła z samochodu, pomimo zmęczonego wyglądu sprawiała wrażenie spokojnej, znacznie spokojniejszej od niego i znacznie bardziej opanowanej niż ktoś, kto dopiero co stracił dziecko i kto prawdopodobnie spalił Inveraray. Jednakże mięśnie jej zazwyczaj rozluźnionej twarzy teraz drgały w napięciu; wydawało się, że Fleur nie potrafi podjąć jakiejś decyzji.

- Musiałam poczekać do zmroku - powiedziała. - Czy można wejść do domu?

Francey wpatrywał się w nią długo. Czyżby grała? A może wszyscy się mylili i naprawdę nie wiedziała, co tu zaszło wczorajszej nocy? Nie było czasu na spekulacje ani niedomówienia.

- Czy to prawda, Fleur? - zapytał. - Czy to ty podpaliłaś dom?

- Tak. - Patrzyła na niego oczyma na wpół ukrytymi pod włosami opadającymi na twarz. - Ale teraz muszę coś tam odnaleźć.

Zaskoczony nie wierzył własnym uszom.

- Co? - Był zły na siebie, że głos mu zadrżał. - Co takiego musisz stamtąd wziąć?

- Mogę ci zaufać? - Fleur cały czas przyglądała mu się uważnie, a Francey, z którego nawet shiry ojca nie wyciągnęłyby w tej chwili głośniejszej odpowiedzi, kiwnął tylko głową. - Przywiozłam tu wczoraj trzy diamenty - wyjaśniła monotonnym głosem. - Były zaszyte w podszewce małej czarnej torebki. Zapomniałam o nich, lecz teraz wróciłam, by je odzyskać.

Młodzieniec doszedł do wniosku, że oszalała. Szok spowodował, że straciła rozum.

- Po co ci one? - usiłował mówić równie spokojnie jak ona, lecz mu się nie udało; w końcu była to kobieta, którą kochał, kochał...

- Z całą pewnością obserwuję mój bank - tłumaczyła dalej. - Potrzebuję pieniędzy. - Później po raz pierwszy okazała szalejące w niej emocje: - Proszę, pomóż mi, Francey... - Głos jej się załamał. - Miałam zamiar... to znaczy Tommy i ja mieliśmy... - Przełknęła ślinę, po czym dodała: - Nie pozwalają mi zabrać Tommy'ego do domu... Odebrali mi go i nie chcą oddać. - Położyła Franceyowi rękę na ramieniu, aby wzmocnić apel o pomoc, lecz szybko ją cofnęła, jakby zdała sobie sprawę, że popełniła nietakt. - Mam paszport i wszystkie dokumenty... Udało mi się wejść do mieszkania tylnym wejściem. Wiem, że mogą mnie zamknąć do więzienia za

to, co zrobiłam, Francey i prędzej się zabiję, niż do tego dopuszczę. Nie mogę was przeprosić za podpalenie domu, bo nie byłoby to szczere. Widzisz, prawdopodobnie zrobiłabym to jeszcze raz, gdybym... - Nie mogła mówić dalej, lecz Francey, który miał wrażenie, że nagle zamienił się w kamień, nie potrafił jej pomóc. Fleur odetchnęła głęboko. - Jeśli pójde do banku - zakończyła - znajdą mnie. Aby wykupić bilet na samolot, muszę odzyskać te trzy diamenty. Pomozesz mi?

Francey nie miał wątpliwości, że jeśli zajdzie taka konieczność, ta kobieta dotrzyma słowa i popęlni samobójstwo.

- Skąd wiesz, że obserwują twój bank, Fleur? - Usiłował zyskać na czasie. - Chyba to sobie wymyśliłaś. Poza tym, jestem pewien, że uznają okoliczności łagodzące...

Znowu w ciszy między nimi zawisły niewypowiedziane słowa o śmierci Tommy'ego.

- Oni po prostu będą chcieli cię przesłuchać - wykrztusił wreszcie Francey, a później spytał spokojnie: - Co z Colinem? Pomyślałaś o nim, Fleur? Pewnie teraz odchodzi od zmysłów ze zmartwienia.

- Skończyłam już z tą rodziną! - zawołała w odpowiedzi. - Skończyłam już z Anglią i muszę wyjechać natychmiast. Jutro. Proszę, pomozesz mi?

Francey pomyślał o niemal samobójczym skoku starszego brata w ogień, a także o wysiłkach własnych i Dessiego, by odnaleźć ją w płomieniach.

- A co z pogrzebem? - spytał. - Nie chcesz zostać, aby uczestniczyć w pogrzebie własnego syna?

- Błagam, nie rozmawiajmy o nim. - Fleur znowu niemal straciła panowanie nad sobą. - Tommy nie żyje, ruszył w dalszą drogę. Pogrzeb nic mu już nie pomoże.

Francey zastanawiał się, co powiedzieć lub zrobić, i szukając inspiracji, spojrzał na odległe pola.

- Z domu nic nie zostało, Fleur - powiedział. Później dotarła do niego absurdalność tych negocjacji. Czy nie zdawała sobie sprawy z tego, co zrobiła? Oprócz bólu, jaki mu zadała, spaliła posiadłość wartą wiele milionów. Dlaczego rozmawiał z tą kobietą jak z normalną ludzką istotą? - Na miłość boską, Fleur! - wykrzyknął tak głośno, jak tylko pozwalało mu na to obolałe gardło. - Nie wymagaj tego ode mnie! Nie proś mnie o to! Nie rób tego!

Opuściła wzrok na ziemię, po czym lekko, ledwie zauważalnie, wzruszyła ramionami.

- Do widzenia, Francey, muszę iść po moje diamenty. - Wyminęła go i zaczęła iść w kierunku, gdzie niegdyś stał dom.

Francey, który miał ochotę mocno potrząsnąć Fleur, bezwiednie ruszył za nią.

- Czy nie możesz sobie uświadomić, że z domu została już tylko sterta popiołu? - zawołał. - Nie znalazłabyś tam buldożera, nie mówiąc o trzech małych diamentach! Wszyscy mogliśmy przez ciebie zginąć - dodał, zrównując się z nią. - Niewiele brakowało, by tak się stało.

- To Tommy zginął.

Fleur zatrzymała się i popatrzyła na niego tak, jakby owo zdanie zakończyło wszelką dyskusję; Francey z trudem zachował resztki zdrowego rozsądku. W zapadającym zmierzchu, mimo rozczochranych włosów i straszego stanu, w jakim się znajdowała, mimo tego wszystkiego, co mu zrobiła, nadal była piękna.

Lecz teraz nienawidził jej urody.

Za sobą słyszał szum pracującego silnika morrisa. I nagle, pośród tego szumu powróciły do niego słowa z listu starszej pani: „Więc opiekuj się nimi wszystkimi... zwłaszcza małym Tommym i jego matką. Mam dziwne przeczucie, że to oni będą najbardziej potrzebować Twojej pomocy...”. Te słowa sprawiły mu wtedy ogromną przyjemność, uznał je za dobry omen.

Fleur czekała ze wzrokiem wbitym w ziemię; Francey potrząsnął głową, jakby chcąc usunąć z głowy słowa Jool Gallaher, lecz później ze smutkiem przypomniał sobie stare powiedzenie z listu, które nieraz słyszał już wcześniej w Lahersheen, a mianowicie, że dobry Bóg zatroszczył się, aby miał odpowiednio potężne barki do udźwignięcia wszystkich problemów, jakie na niego spadną. Odejdź, pomyślał ze złością, to już nie ma ze mną nic wspólnego. Jednak im bardziej walczył, tym bardziej prześladowały go słowa Jool.

Spojrzał na kobietę, którą kiedyś tak szaleńczo kochał, i zrozumiał, że nienawiść do niej równałaby się nienawiści skierowanej przeciwko zranionemu ptakowi.

- Do widzenia, Francey.

Fleur wyczuła jego zmagania wewnętrzne i najwyraźniej doszła do wniosku, że przegrała tę bitwę; ruszyła przed siebie, a w tej samej chwili Francey zobaczył w ciemnościach dwa słupy światła w miejscu, gdzie jakieś sto metrów dalej, za murem otaczającym posiadłość, jechał następny samochód. Dzięki swemu wzrostowi zauważył także niebieski połysk wyłączonego sygnalizatora na dachu i zorientował się, że to kolejny wóz policyjny. Być może tamci zamierzali tylko przejechać obok bramy, lecz z drugiej strony równie dobrze mogli chcieć zmienić policjanta siedzącego w samochodzie obok zgliszczy domu.

Francey zareagował odruchowo.

- Policja! Szybko! - Zanim Fleur zdążyła coś zrobić, porwał ją na ręce i popędził w kie-

runku morrisa. Otworzywszy drzwi, dosłownie wrzucił ją do środka. - Połóż się na podłodze, jak najniżej... - Wskoczył na fotel kierowcy, wrzucił bieg i desperacko skrzył kierownicą, lecz było za późno - radiowóz właśnie wjeżdżał w bramę. - Dobry wieczór. - Wyłączył silnik i otworzył szybę, gdy samochód zatrzymał się obok niego.

- Dobry wieczór panu. - Policjant siedzący na miejscu pasażera wysiadł, włożył czapkę i podszedł do niego.

- Jestem synem George'a Gallahera - odezwał się Francey, zanim mężczyzna zdążył zadać mu jakiegokolwiek pytanie. - Jak już mówiłem pańskiemu koledze w tamtym wozie - wskazał kciukiem przez ramię w kierunku pogorzelniska - byłem tu zeszłej nocy, właśnie wypuścili mnie ze szpitala i dopiero teraz miałem możliwość przyjrzeć się zniszczeniom.

- Rozumiem. - Policjant się zawahał. - Czy to jeden z samochodów należących do pańskiej rodziny? - Skierował światło latarki na rovera, nadal stojącego przy podejździe.

Francey podziękował Bogu, że Fleur nie wzięła charakterystycznego żółtego sportowego samochodu męża i przybrał zakłopotaną minę.

- Sam się nad tym zastanawiałem, panie władzo - odrzekł, mając nadzieję, że nie widać po nim zdenerwowania. - Nigdy wcześniej go nie widziałem. Pomyślałem, że to może jakiś wścibski lub nawet złodziej przyjechał do ruin posiadłości i dlatego się zatrzymałem. Ale zdaje się, że nikogo nie ma w środku - dodał, wstrzymując oddech, gdy policjant podszedł do rovera, otworzył drzwiczki i wyjął kluczyki ze stacyjki.

- Kimkolwiek był, nie mógł odejść daleko. - Zważył kluczyki w dłoni. - A teraz także stąd nie odjedzie. Proszę się nie martwić, znajdziemy go. I proszę przyjąć wyrazy współczucia.

- Dziękuję. - Francey zamknął okno i odjechał. Powtórzył Fleur, by nie podnosiła się z podłogi i jechał jeszcze dobre sześć kilometrów, zanim zatrzymał się na poboczu przy drodze. Rozejrzał się dokoła, czy nikt nie nadjeżdża i powiedział: - No dobrze, możesz już usiąść. - Usłyszał cichy szelest materiału, po czym zobaczył w tylnym lusterku, że Fleur tkwi wyprostowana na siedzeniu. - I co teraz? - Z rezygnacją postanowił poddać się przeznaczeniu.

- Jestem w twoich rękach - odparła cichym, pozbawionym nadziei głosem.

Nawet jeśliby go to nie wzruszyło, wiedział, że zaplątał się tak mocno, iż musi jej teraz pomóc tyle, ile może.

- Czy masz jakichś przyjaciół, u których mogłabyś przenocować? - zapytał i ku jego zdziwieniu, Fleur potrząsnęła głową.

- Mam przyjaciela w Hatton Garden, lecz wyjechał. Jesteś moim jedynym przyjacielem...

Młodzieniec pomyślał gorzko, że sześć tygodni temu oddałby całą swą fortunę, by usłyszeć z jej ust podobne słowa.

- No, cóż... w takim razie lepiej będzie, jeśli przejdiesz na przednie siedzenie - mruknął.
- Dziwnie się czuję, gdy tam tak siedzisz. Jeśli mamy się stąd wydostać, nie możemy przyciągać uwagi, stojąc na poboczu.

Fleur zrobiła, co jej kazał i skuliła się, kryjąc twarz w dłoniach, jakby płakała, przez co sprawiała wrażenie jeszcze drobniejszej niż zazwyczaj.

- Naprawdę strasznie mi przykro z powodu Tommy'ego - odezwał się Francey łagodnie, choć nie ufał sobie na tyle, by jej dotknąć.

Skinęła głową, lecz nie odjęła rąk od twarzy. Jeśli istotnie płakała, robiła to bezgłośnie i nie mógł już dłużej znieść tego widoku.

- Czy to był twój samochód? - spytał, wrzucając bieg i ruszając.

- Colina - odrzekła przytłumionym głosem.

Ponieważ ten nadal leżał w szpitalu, młodzieniec zastanawiał się nad rozwojem wydarzeń. Policji nie zajmie wiele czasu ustalenie, kto jechał roverem. A ponieważ mieli pecha i nadziali się na drugi wóz patrolowy, z pewnością i włączenie się w całą sprawę Franceya zostanie wkrótce odkryte. Trudno w końcu było go nie zauważyć. Jeśli miał ułatwić Fleur wydostanie się z kraju, potrzebował kogoś jeszcze do pomocy.

Pomyślał ponuro, że czy mu się to podoba czy nie, zaczął już myśleć tak, jakby siedział w tym wszystkim po uszy razem z bratową, dokładnie tak samo, jak ona. Dzięki, babciu, pomyślał, to jedno robię dla ciebie - to było twoje życzenie, więc podpowiedz mi, jak mam sobie z tym wszystkim poradzić...

Francey doszedł do wniosku, że jest szalony w równym stopniu, jak jego pasażerka: żeby rozmawiać ze zmarłą! Omal się nie roześmiał, uświadomiwszy sobie sytuację, w której się znalazł. Johanna, jego siostra, która uwielbiała niesamowite opowieści i była mistrzynią w ich opowiadaniu, byłaby zachwycona.

- Jeżeli mam ci pomóc, Fleur, musisz robić dokładnie to, co ci powiem, zgoda?

Kiwnęła głową i miała tak wdzięczną minę, że Francey niemal zapomniał, jak bardzo jej nienawidzi.

Dojechali do rozjazdu w jednej z tych malowniczych wiosek, które tak lubił zwiedzać podczas wycieczek po Warwickshire. Też akurat nie znał, lecz od razu zobaczył budkę telefoniczną ustawioną w miarę na boku, w kącie pomiędzy dwiema ścianami tuż obok poczty. Pub

po drugiej stronie drogi był jasno oświetlony, lecz zdaje się, że nikogo w środku nie było.

- Nie wychylaj stąd nosa - polecił szybko Fleur, podjąwszy decyzję. - Muszę zadzwonić. Wrócę za minutkę.

Wyjął z kieszonki marynarki liścik od Hazel i zadzwonił pod podany przez nią numer. Było pięć po ósmej. Jeśli miał szczęście, to ją złapie - zespół z pewnością siedział jeszcze w hotelu.

Chwilę później odezwała się recepcjonistka; a po długiej, pełnej nerwowego napięcia ciszy, z radością usłyszał ciężki dubliński akcent.

- Hej, Francey? Co się dzieje?

- Nie mam wiele czasu i dzwonię z budki telefonicznej. Hazel, proszę, wysłuchaj mnie. Mam do ciebie wielką, ogromną prośbę i jeśli mi pomożesz, będę twoim dłużnikiem do końca życia.

- Przecież powiedziałam ci, gdy uratowałeś mi życie, że to ja jestem twoją dłużniczką!

Wyczuł wszakże niepewność kryjącą się pod jej lekkimi słowami. Nie miał jednak innego wyboru, tylko zaufać Hazel, więc opowiedział jej pokrótce o wieczornych wydarzeniach i o tym, co zamierzał teraz zrobić.

Przyjaciółka nie zawahała się ani na chwilę.

- Spotkam się z tobą najszybciej, jak tylko będę mogła po występie - zapewniła go. - Jedź do hotelu Lorna Doone przy Eaton Square, zarezerwuję dla was pokój... - urwała i dopiero po dłuższej przerwie dokończyła: - Czy mam wziąć jeden pokój dla was obojga? - spytała rzeczowo.

- Dwa. - W głosie Franceya zabrzmiała większa złość, niż Hazel się spodziewała.

- Dobra. Możesz im tam zaufać, lecz jak już się rozgościcie, nie afiszuj się z nią. Zrobię, co muszę, i dojadę do was jak najszybciej. Prawdopodobnie będę przed trzecią.

Później Francey zadzwonił do zajazdu w Little Staunton i poprosił o połączenie z bratem. Poinformował Dessiego, że czuje się już znacznie lepiej i jeśli ktoś będzie go szukał - policja czy ktokolwiek inny - pojechał do Leeds, by zaczekać na Hazel i Rollersów, ale z pewnością wróci na pogrzeb Tommy'ego.

Fleur milczała przez całą drogę do Londynu, a Francey, zbyt rozstrojony, by rozmawiać, skupił się na prowadzeniu morrisa. Podobnie jak wcześniej, niezręcznie czuł się, jeżdżąc po wielkim mieście i gdy dojechali do Watford, pojechał zgodnie ze znakiem wskazującym drogę do stacji kolejowej. Przy dworcach zawsze można znaleźć taksówki.

Zaparkował w pobliżu, po czym, aby ukryć poplamioną sukienkę Fleur, podał jej swoją

skórzaną kurtkę i polecił, by zarzuciła ją na ramiona jak płaszcz.

- Lepiej też zrób coś z tą raną nad okiem. Masz grzebień?

Potrząsnęła głową, więc wyjął własny z kieszeni i podał jej wraz z chusteczkami, które znalazł na półeczce w samochodzie. Zaczekał, aż doprowadzi się do porządku, a później udali się na poszukiwanie taksówki; kurtka sięgała Fleur prawie do kolan.

Hotel był niewielki, podobny do tego, w którym Francey zamieszkał, gdy przyjechał do Londynu, by uporządkować swoje sprawy finansowe. Hazel dotrzymała słowa i zarezerwowała dla nich pokoje. Mężczyzna w recepcji nie skomentował wyglądu żadnego z nich, wpisał oboje do rejestru gości, a podając klucze, przekazał, że panna Slye skontaktuje się z nimi, gdy tylko przyjedzie. Francey zauważył, że facet mówi z irlandzkim akcentem.

Zaprowadził Fleur do pokoju i poinstruował ją, by nigdzie nie wychodziła, lecz postarała się zdrzemnąć; potem poszedł do własnej sypialni.

Padł na łóżko i zastanawiał się, o co mogą go oskarżyć - współudział w podpaleniu? Pomoc osobie podejrzanej o przestępstwo? Cokolwiek to było, wpadł po uszy. Podobnie jak Hazel, niech Bóg ją błogosławi. Ta myśl pocieszyła Franceya. Po jakichś dziesięciu minutach zmogło go zmęczenie i zapadł w lekki sen. Obudził się trochę później, słysząc delikatne stukanie.

Hazel...

Zerwał się z łóżka i jeszcze nieco oszołomiony, pognął do drzwi.

Jednak na progu stała nie Hazel, lecz Fleur.

- Czy mogę wejść? - Nadal miała zarzuconą na ramiona jego kurtkę.

Francey otworzył drzwi nieco szerzej.

- Nie możesz zasnąć?

Zaczekała, aż zamknął za nią drzwi, po czym podeszła do łóżka, usiadła i pozwoliła opaść kurtce.

- Nie mam pieniędzy, którymi mogłabym ci zapłacić za pomoc. Lub przynajmniej za poświęcony mi czas...

- To bez znaczenia... - zaczął Francey i dopiero wtedy zrozumiał, co miała na myśli. Zszokowany wpatrywał się w jej dziecięcą, poważną twarzyczkę. - Przykro mi, Fleur - powiedział tak łagodnie, jak tylko potrafił. - Dziękuję, ale nie skorzystam.

- Jesteś pewien? - Wyraz jej twarzy nie uległ zmianie. Z początku nie ufał własnemu głosowi.

- Wracaj do swojego pokoju, Fleur - wykrztusił wreszcie.

Kiedy mijala go przy drzwiach, nie patrzył na nią. Gdy wyszła, długo wpatrywał się we wszystkie stare wgłębienia i zadrapania na futrynie, jakby w nich mógł znaleźć klucz do tego, co się stało.

Był wściekły nie na Fleur, lecz na samego siebie. Swoim wcześniejszym zachowaniem wobec niej aż się prosił o podobne potraktowanie. Okazał się królem głupców. Krążył teraz po pokoju niczym tygrys w klatce. Miał ochotę rozbić małe okienko, zgnieść na miazgę plastikowy abażur lampy i roztrzaskać drewniany stolik na kawałki. Nagle w lustrze dostrzegł własne odbicie - wielkiego, rozwścieczonego, jasnowłosego faceta.

Przypomniał sobie, że w szpitalu dali mu trochę pigulek na wszelki wypadek, gdyby w domu nie mógł zasnąć; wszedł do maciupeńskiej łazienki i po raz pierwszy w życiu postanowił wziąć środek nasenny. Chociaż na etykietce było napisane, że powinien połknąć dwie tabletki, po paru sekundach wahania wrzucił drugą z powrotem do buteleczki. Chciał się uspokoić, a nie zamienić w warzywo, jakim się czuł tego dnia rano.

Zdjął marynarkę, buty oraz skarpetki, rozluźnił pasek od spodni i gdy parę godzin później Hazel zapukała do drzwi, spał głęboko.

Mimo środka nasennego musiał podświadomie oczekiwać tego pukania, gdyż obudził się bez problemu, natychmiast wyskoczył z łóżka, aby jej otworzyć. Przyjechała prosto z występu i miała na sobie pełny rynsztunek sceniczny, a wyszywane cekinami buty wystające spod zwyczajnego płaszcza wyglądały nieco dziwnie. Zdążyła już podzucić torbę z ubraniami i przyborami toaletowymi do pokoju Fleur.

- Jesteśmy tego samego wzrostu i pewnie nosimy prawie ten sam rozmiar - wyjaśniła Franceyowi. - Zdaje się, że niespecjalnie odpowiada jej mój gust, lecz jeśli o mnie chodzi, będzie musiała jakoś to przełknąć.

Francey sam się zdziwił, jak bardzo mu ulżyło i jak cieszy się na jej widok.

- Jestem pewien, że jest ci wdzięczna. - Uśmiechnął się do niej. - Jak się tu dostałaś?

Jeśli Hazel była zdumiona ciepłym powitaniem, to nie okazała tego po sobie.

- Vinnie mnie podzucił. - Rozejrzała się po pokoju. - Przykro mi, że jest tu tak mało miejsca. Taak - dodała, siadając na brzegu łóżka - Vinnie to prawdziwy przyjaciel.

- Z pewnością.

Dopiero w tej chwili Franceyowi przyszło na myśl, że między Hazel a Vinniem, który cały czas koło niej się kręcił, może być coś więcej oprócz zwykłej przyjaźni. Nie potrafił spre-

cyzować, co w związku z tym czuje; wiedział, że saksofonista jest żonaty, lecz w tych okolicznościach nie miał prawa wydawać żadnych skromnisiowatych osądów moralnych ani zadawać jej pytań.

Chociaż wcześniejszy incydent z Fleur cały czas tkwił mu w głowie, Francey zmusił się do koncentracji, gdy wraz z Hazel ustalali plan działania na następny dzień. Podziwiał jej praktyczne podejście do sprawy i pełne zdecydowania odpowiedzi na nurtujące go wątpliwości - zobaczył, że traktuje całą rzecz tak, jakby Fleur była paczką, która trzeba jak najszybciej i z największą dyskrecją odesłać jak najdalej stąd. Dzięki temu udało mu się opanować własne emocje i zmusić umysł do pracy.

- Jesteś pewien, że chcesz się w to pakować? - spytała w pewnej chwili.

- Jestem. - Francey już podjął decyzję, a przy poparciu ze strony Hazel udzielenie Fleur pomocy nie wydawało się aż tak znowu groźne. - Poza tym, w końcu przecież nikt nie zginął - dodał. - Poza małym Tommym, rzecz jasna. A to nie miało nic wspólnego z pożarem. Na miłość boską, wszak to tylko dom, kupa kamieni, cegieł i zaprawy... a w obecnej sytuacji wątpię, by rodzina za nim tęskniła.

- Jasne.

Przyjaciółka poklepała go po ręce. Przywiozła butelkę whisky, którą pili wspólnie; ponieważ w łazience znajdowała się tylko jedna szklanka, to Hazel z niej piła, a on pociągał trunka prosto z butelki. Co dziwne, alkohol wcale nie wszedł w reakcję z pigułką, którą Francey wziął wcześniej tego wieczora; młodzieniec czuł się trzeźwy i przytomny jak nigdy. Siedząc obok Hazel na łóżku, gdyż w całym pokoju, oświetlonym tylko kiczowatą lampką na nocnym stoliku, nie było ani jednego krzesła poza stołeczkiem przeznaczonym na walizkę, Francey nagle poczuł się bardzo blisko związany ze swoją przyjaciółką, która opowiadała mu, jak wydobyla z Fleur, że ta - trochę zaskakujące, nieprawdaż? - pragnęła wyjechać na Kajmany.

Jednak zgodnie z ich planem Fleur musiała się przycząić w Kanadzie.

- Ma brytyjski paszport - kontynuowała Hazel. - Zawsze może później pojechać na te swoje Karaiby... szczęściara!... kiedy już smród przycichnie.

- Zgodziła się na to? - Francey był zdumiony. - Istnieje ogromna różnica między Kanadą a Kajmanami. Zawsze mówiła o tym, jak bardzo przeszkadza jej zimno...

- Nie miała wyboru - odparła Hazel krótko.

Kiedy już opracowali wszystkie szczegóły, Francey usiłował powiedzieć Hazel, jak bardzo docenia jej natychmiastowy przyjazd i to, że nie zadawała żadnych zbędnych pytań, lecz

przerwała mu natychmiast.

- Jestem twoją dłużniczką, pamiętasz? - Wstała i poklepała go po policzku. - Jednak kiedy to się skończy... - zatrzepotała wesoło rękami zaledwie kawałeczek od jego twarzy - jesteśmy kwita, zgoda? Od jutra wieczór, każdy... i każda... martwi się o siebie, okay?

- Zgoda. - Francey uściskał ją z sercem przepelnionym nadzieją. W odpowiedzi Hazel pocałowała go lekko w policzek, gdy odprowadzał ją do drzwi.

Po jej wyjściu długo jeszcze leżał, nie mogąc zasnąć, z rękoma założonymi pod głowę. Alkohol wreszcie zaczął działać, lecz nie było to nieprzyjemne: miał poczucie, że wszystko dobrze się ułoży. Nadal trudno było mu zaakceptować fakt, że Fleur nie chce uczestniczyć w pogrzebie własnego syna, lecz Hazel prawdopodobnie jak zwykle trafiła w dziesiątkę: zapewne tam, gdzie Fleur się wychowała, życie i śmierć postrzegano inaczej. Poza tym, jak zauważyła słusznie sama Fleur, wszystkie kwiaty i łyzy świata i tak nie pomogą już Tommy'emu.

Im dłużej o tym myślał, tym lepiej rozumiał, dlaczego matka chłopca zrobiła to, co zrobiła. Kto mógłby przewidzieć, jak on sam - lub ktokolwiek inny na świecie - zareagowałby w podobnych okolicznościach? Żaden sąd w kraju nie skazałby matki, która dopiero co trzymała w ramionach martwe ciało swego jedyne dziecko. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że to, co robią wraz z Hazel, wcale nie jest pomaganiem przestępcy czy też przeciwstawianiem się wymiarowi sprawiedliwości, czy jaka tam terminologia prawna się do tego stosuje. Musiał przyznać rację Hazel, że są w miarę bezpieczni i wbrew temu, co twierdziła Fleur, jej zbrodnia wcale nie jest aż tak straszliwa, że policja miałaby ustawić barykady wokół stolicy. Piosenkarka słusznie zauważyła, że stróż prawa mają ważniejsze rzeczy do roboty - i większe problemy ze schwyтaniem prawdziwych przestępców - niż szukać po całym kraju zrozpaczonych, na wpół oszalałych z żalu po śmierci dziecka matek, które podpaliły posiadłość milionera! W dodatku ów właściciel połowę swego życia spędzał z dala od swego domu i nie przejął się zbyt mocno jego utratą, gdyż w każdej chwili mógł sobie wybudować nowy.

Dzięki obecności Hazel jakoś wybrną z tego kryzysu.

Miłość to dziwna rzecz, pomyślał Francey. Zakochał się szaleńczo we Fleur i przez cały czas czuł się nieszczęśliwy, podczas gdy sama obecność Hazel, w której przecież nie był zakochany, wpływała na niego jak balsam; w jej towarzystwie zawsze czuł się dobrze, żeby już nie wspominać o wyśmienitej zabawie. Odwrócił się na bok, by zdrzemnąć się do rana, i westchnął. Świat jest taki dziwny: życie naiwnego, niedoświadczonego i pełnego nadziei chłopaka

wydawało się znacznie prostsze niż obecna egzystencja Franceya.

Wieczorem w przeddzień ślubu ze swym obecnym eks-mężem, Hazel poszła na kilka głębszych z przyjaciółkami. Pomędzy sprośnymi i wulgarnymi żartami jedna z nich, dawna prostytutka, a obecnie pracownica fabryki herbatników Jacobsa, i jeśli Hazel się nie myliła, jedyna z obecnych, której udało się w miarę przyzwyczajenia wyjść za mąż, dała jej radę, jakiej piosenkarka nigdy nie zapomniała.

- Posłuchaj - powiedziała tamta, pociągając gin małymi łydkami. - Najważniejszą sprawą w małżeństwie jest to, aby nie wykorzystywać swej przewagi, jeśli już ją masz.

Owe słowa zapadły głęboko w duszę Hazel i gdy nadeszły czasy, kiedy czuła się lepsza lub bardziej doświadczona czy nawet bardziej inteligentna od mężczyzny, którego poślubiła, zawsze usiłowała postępować zgodnie z tą zasadą.

Oczywiście, niewiele jej to pomogło, ale rada sama z siebie była dobra i Hazel od czasu do czasu przypominała ją sobie. Teraz właśnie nadeszła kolejna taka okazja.

Jakże łatwo byłoby dać znać policji!

Albo nie robić zupełnie nic i czekać, aż sprawiedliwości stanie się zadość.

Albo wytłumaczyć Franceyowi, który i tak już stracił wiele złudzeń - tyle zdołała wyczytać z jego oczu tego wieczora - w co tak naprawdę się wpakował. Ale Hazel wiedziała, że na dłuższą metę chłopak jej za to nie podziękuje. I nawet jeśli nigdy się nie dowie, kim naprawdę jest Fleur, to co?

Leżąc na łóżku, obserwowała dym z papierosa, który unosił się wokół karnisza i pod sufitem. Ta biedna dziwka miała już i tak wystarczająco wiele powodów do rozpaczki bez tego, że zamkną ją w więzieniu. Hazel, która od jakiegoś czasu zastanawiała się nad urodzeniem dziecka, zanim będzie dla niej za późno, myślała teraz, jakie to uczucie mieć dziecko i nagle je stracić. To musi być najgorsze, najkoszmarniejsze, najbardziej bolesne przeżycie na świecie; gorsze nawet niż najdłuższy wyrok.

Usiadła i zgasła papierosa. Być może jej chęć pomocy Franceyowi w wydostaniu tej kobiety z Anglii wyrosła z egoistycznych pobudek, lecz teraz Hazel zrozumiała, że wysyłając Fleur w drogę, pragnie wyświadczyć przysługę wszystkim - nawet owej nieszczęsnej matce.

Rozdział dwudziesty trzeci

Następnego ranka, gdy na lotnisku Heathrow wszystko szło z istic wojskową precyzją według planu trójki konspiratorów, strażacy i detektywi z firmy ubezpieczeniowej powoli przeszukiwali ruiny i zgliszcza pozostałe po Inveraray. Ponieważ dom był ogromny, a suma odszkodowania - którą firma najchętniej by zakwestionowała - sięgała siedmiocyfrowej liczby, dochodzenie okazało się pracochłonne. Obecnie nie było już wątpliwości co do przyczyn pożaru. Kanister po benzynie, znaleziony poprzedniego dnia, nie stanowił jedynej poszlaki: stwierdzono, że ogień wybuchł w siedmiu punktach budynku jednocześnie.

Jedyna kupka popiołów, z której można było coś wygrzebać, pozostała w miejscu, gdzie niedawno znajdowała się jadalnia. Stąd właśnie wydobyto ogromny szklany stół na stalowych nogach, ramy kilkunastu krzeseł, również stalowe, i abstrakcyjny obraz olejny, najprawdopodobniej wiszący bezpośrednio nad wielkim akwariem. Kiedy zbiornik wodny został strzaskany, wypływająca pod ogromnym ciśnieniem woda nie tylko uchroniła szklany blat przed roztopieniem, ale także zamoczyła płótno. Mimo że nieomal całą powierzchnię obrazu pokrywała sadza, a ramy były doszczętnie zniszczone, obraz z pewnością da się jeszcze odratować.

- Hej, spójrzcie na to! - Jeden z uczestniczących w dochodzeniu ekspertów podniósł z popiołów dziwnie ukształtowany, lśniący kamyk, który fakturą przypominał stopiony plastik. Uformowany przez niesamowite gorąco na kształt kurzego jaja, był czarny, z białymi pasami, i kolorystyką przypominał skórę zebry. Mężczyzna podał ów dziwny przedmiot swemu przełożonemu, który sprawdzwszy plan rozmieszczenia pokoi, orzekł:

- Pewnie pochodzi z jednej z sypialni. Może była to jakaś ozdoba albo fikuśna klamka... - Wyskubał trzy małe kawałeczki popiołu, które przywarły do gładkiej powierzchni i potarł przedmiot o rękaw kurtki; podniósłszy go do słońca, zobaczył, że lśni przyćmionym blaskiem. - Ładny drobiazg - mruknął - lecz wątpię, by warto się nim zajmować... z całą pewnością nie jest to nic cennego. Jednak na wszelki wypadek odłóż to na bok, a później sprawdzimy ze spisem inwentarza.

Znalazca przedmiotu zrobił, co mu polecono, i wrócił do przekopywania kupki popiołu.

Trójka spiskowców zjawiła się na lotnisku Heathrow mniej więcej w tym czasie, gdy, jak sobie wyliczyli, urzędnicy w banku Franceya w centrum rozpoczynali pracę.

W terminalu młodzieniec podszedł do okienka tutejszej ekspozytury Lloyda i poprosił o rozmowę z kierownikiem. Wyjaśnił, że chce podjąć sporą sumę ze swego konta w banku w

mieście, i zapytał, czy mógłby dostać pieniądze tu, na lotnisku. Wymagało to trochę czasu i zachodu, między innymi Francey musiał porozmawiać telefonicznie z szefem swego oddziału bankowego, lecz po jakichś dwudziestu minutach odszedł od lady z grubym plikiem banknotów o wysokich nominałach, bezpiecznie schowanym w kieszeni. Czując się jak szpieg z powieści, spotkał się z Hazel nieopodal stanowiska linii lotniczych Aer Lingus i dał jej dość gotówki, by mogła opłacić bilety na lot przez Atlantyk dla Fleur.

Przyjaciółka wpadła na pomysł, że na wszelki wypadek, gdyby Fleur miała rację co do tego, że szuka jej policja, powinna polecieć do Nowego Jorku przez Dublin liniami Aer Lingus, a w samolot do Kanady przesiąść się dopiero na lotnisku Kennedy'ego. Hazel uważała, że nikt nie wpadnie na to, iż poszukiwana pani Mannering mogłaby udać się do Irlandii - bo niby kto chciałby tam emigrować? - a jako pasażerka tranzytowa nie będzie podlegać urzędnikom imigracyjnym w Stanach Zjednoczonych.

Kiedy Hazel rezerwowała bilety i płaciła za nie, Francey rozejrzał się po terminalu, by sprawdzić, czy służby porządkowe nie podejmują przypadkiem jakichś wzmożonych działań. Ponieważ nie zauważył nic niezwykłego, podszedł do Fleur, która zgodnie z instrukcjami siedziała przy stoliku w barze. Wprawdzie Hazel miała rację, że ona i Fleur są podobnego wzrostu, lecz figura piosenkarki była znacznie pełniejsza niż kształty żony Colina i przywiezione ubrania wisiały na tej ostatniej jak na wieszaku. Fleur miała wprawdzie uczesane włosy, lecz ich nie umyła, więc opadały w grubych strąkach wokół jej wąskiej twarzyczki. Wyglądała jak uciekinierka, którą w istocie była.

Nie zauważyła Franceya, gdyż cały czas wpatrywała się w przestrzeń tuż ponad nie-
tkniętą filiżanką herbaty. Rozejrzawszy się pośpiesznie, czy w pobliżu nie kręcą się podejrzani osobnicy z krótkofalówkami, młodzieniec usiadł naprzeciwko Fleur.

- To dla ciebie - powiedział, podając jej resztę sumy, którą podjął z banku. - Szybko... schowaj to... Niech nikt nie widzi, że masz przy sobie pieniądze. - Prawdę mówiąc, był znacznie bardziej zaniepokojony tym, co powie Hazel na temat jego hojności, niż tym, co mogą sobie o nich pomyśleć obcy ludzie. Po raz pierwszy, odkąd się znali, Francey zobaczył, jak oczy Fleur wypełniły łzy. - To tylko forsa - mruknął zażenowany. - Masz jeszcze parę minut do odlotu, może napijesz się herbaty?

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do lady. Kiedy wrócił, Hazel siedziała już obok Fleur, ale nie chciała słyszeć ani o herbacie, ani o dalszym traceniu czasu.

- Chodźmy, Fleur - powiedziała raźnie. - Schowaj włosy pod jakimś kapeluszem, jak ci

radziłam. - Tamta wyciągnęła posłusznie z kieszeni miękkiego bereta, który zakrył jej włosy. Dzięki temu zaczęła wyglądać jak smutna piętnastolatka. Francey wiedział, że właśnie o to chodziło Hazel, która dodała miękko: - Chodźmy... pora ruszać w drogę.

Francey wiedział, że powinien powiedzieć teraz coś dodającego otuchy, lub znaczącego, lecz nic nie przychodziło mu do głowy; po prostu wyciągnął dłoń, by uścisnąć rękę podróżniczki.

- Do widzenia - rzekł oficjalnie, trzymając jej dłoń w swojej tylko tak długo, jak było to konieczne. Później, powodowany impulsem, zapisał jej numer telefoniczny domu w Lahersheen na odwrocie wyciągu bankowego. - Jeśli będziesz czegoś potrzebować, pod tym numerem zawsze znajdzie się ktoś, kto przekaże mi wiadomość. - Podał jej karteczkę; potem popatrzył na Hazel, która stała obok z kamienną twarzą, i mruknął: - Zobaczymy się na zewnątrz.

Według planu to piosenkarka miała odprowadzić Fleur do samolotu, ponieważ on przyciągał wzrok, gdziekolwiek się udał. Hazel nie odpowiedziała; Francey czuł, jak jej dezaprobatą rozlewa mu się po całym ciele niczym lodowata fala. Odwrócił się i raczej poczuł, niż zobaczył, że przyjaciółka kiwa głową i idzie wraz z Fleur w głąb terminalu.

Francey patrzył na te dwie figurki oddalające się od niego, obie ubrane w rzeczy Hazel; piosenkarka niosła podrózną torbę swej towarzyszki, również podarowaną ich podopiecznej. Mimo że czekał, aż skręcą za róg, żadna z nich się nie obejrzała.

Później Francey musiał przygryźć wargi, by powstrzymać łzy na widok pulchnej kobiety, żegnającej się z grupką zapłakanych dzieci i mężczyzną, który najprawdopodobniej był jej mężem. Nigdy nie mógł patrzeć na owe łzawe pożegnania - lub, jeszcze gorzej, powitania - na lotniskach czy stacjach kolejowych lub autobusowych; zawsze wtedy jemu też chciało się płakać. Odwrócił się i pomyślał, że od rana był tak zajęty ich dzisiejszym zadaniem, iż nie miał ani chwili na własne refleksje i emocje. Nie myślał też o tym, co dzieje się w jego życiu. Wydarzenia poprzednich dwóch nocy i dnia z pewnością nadawałyby się do ulubionego magazynu Abby zatytułowanego „Koszmary”. Zawsze zdumiewało go, że jego łagodna siostrzyczka pasjonuje się tak strasznymi opowieściami.

Postanowił zadzwonić do Lahersheen. Potrzebny był mu kontakt z kimś z rodziny; wiedział też, że będzie mniej przyciągać uwagę, jeśli stojąc pod ścianą, zajmie się telefonowaniem.

Za pierwszym razem numer był zajęty, podobnie jak za drugim, lecz za trzecim wreszcie uzyskał połączenie i nie bez dziwienia usłyszał w słuchawce głos Margaret. Nawet jak na nią, siostra potraktowała go wyjątkowo ostro.

- Francey! - wrzasnęła. - Dzięki Bogu, przez całe rano usiłowałyśmy się do was dodzwonić! Nic ci nie jest? Odchodzimy od zmysłów ze strachu.

Nie przyszło mu do głowy, że wiadomość o pożarze w Inveraray może tak szybko zawędrować za kanał.

- Skąd wiecie?

- Kuzyn Tilly Harrington z Birmingham oglądał telewizję i widział to w wiadomościach.

- Margaret zbesztala Franceya, że od razu się nie odezwał i uświadomiła go, iż telefonowały do każdego komisariatu policji w okolicy Coventry, a także że policja połączyła ją z Dessiem, który powiedział, że brat przebywa w Leeds. - Co ty, do cholery, robisz w Leeds? - zapytała na koniec.

Ale Francey mógł już myśleć tylko o tym, że policja w Coventry zorientuje się, iż Fleur ma znajomych w Irlandii.

- Nie mogę teraz rozmawiać - przerwał gwałtownie Margaret. - Zadzwoń do was wieczorem. Powiedz mamie, że ją całuję.

Odwiesił słuchawkę, nie zważając na oburzone protesty siostry. Następne dziesięć minut minęło mu strasznie wolno; czekał na powrót Hazel i zadreślał się myślami. Jeśli nie wróci szybko, oznacza to koniec dla Fleur; był też pewien, że i jemu nieźle się dostanie. Hazel także wpadnie w tarapaty - miałyby wtedy wszelkie prawo go znienawidzić.

Och, dlaczego, dlaczego okazał się takim mięczakiem? Był wycieraczką, popychadłem... słabym nieudacznikiem.

Wyciągnął z kieszeni książkę - właśnie czytał „Szczęśliwego Jima” - lecz nie potrafił się skupić i zamknął ją z powrotem. Chwilę później aż podskoczył z ulgą na widok jasnych włosów przyjaciółki, zbliżającej się ku niemu przez tłum.

- Wszystko poszło gładko? - zapytał, gdy tylko podeszła do niego.

- Jasne, gładko jak po maśle... nie denerwuj się tak. - Najwyraźniej wybaczyła mu wszystko i teraz uśmiechała się doń od ucha do ucha. Francey pośpiesznie opowiedział jej o rozmowie z Margaret.

Wielki jak dąb... pomyślała Hazel z sympatią, kiedy idąc obok Franceya na postój taksówek przysłuchiwała się potokowi słów, które z siebie wyrzucał. Wiedziała też, że pod wieloma warstwami dobroci i łagodności kryje się inteligencja.

Skoro Fleur przestała już wreszcie stać im na drodze, Hazel doszła do wniosku, że najwyższa pora podjąć właściwe kroki. Wiedziała też, że prawdopodobieństwo, by policja wpadła

na trop uciekinierki i goniła ją zawzięcie po świecie, jest znacznie mniejsze, niż obydwój się tego obawiali. Nigdy nie spotkała żadnego supermana pracującego w policji i uważała, że stróż prawa i wymiar sprawiedliwości działają w żółwym tempie.

Ale to już nie jej zmartwienie. Zamierzała zrobić wszystko, co możliwe, i dopilnować, aby Francey również przestał się przejmować uciekinierką. Nie opowie mu, że na parę chwil przed odlotem żelazna maska Fleur opadła, uświadamiając Hazel, że bez względu na to, czy ta syjamska siostra była diablicą z piekła rodem i największą dziwką wszech czasów, owa nieszczęsna kobieta naprawdę wiele wycierpiała. W końcu Hazel nawet uściskała biedaczkę na do widzenia i Fleur odleciała z kraju, mając w kieszeni nie tylko numer Franceya, ale i dubliński telefon piosenkarki - też na wszelki wypadek.

Te łzawe doświadczenia na szczęście już minęły i Hazel postanowiła zrobić, co w jej mocy, by skorzystać ze sposobności i dopaść wreszcie Franceya na neutralnym gruncie. Z drugiej strony wiedziała jednak, że musi postępować bardzo ostrożnie: sądząc bowiem po tym, jak mówił o Fleur, piosenkarka doszła do wniosku, że nadal żywi iskierkę uczucia do niedawnej kochanki. Więc na pytanie młodzieńca o uciekinierkę odrzekła teraz po prostu, że wszystko w porządku. Nawet samolot odleciał punktualnie.

- Chodźmy - powiedziała w końcu, ujmując go pod łokieć. - Dzień jest piękny, a ja mam wolne aż do jutrzejszego wieczoru. Podobnie jak i ty. Zaslugujemy na jakąś nagrodę po trudach dobrze wykonanej pracy.

- Nagrodę? A cóż to takiego?

Przyjrząwszy mu się uważniej, Hazel zobaczyła, że mimo ponurej miny, młodzieniec lekko się uśmiecha.

- Chodzi mi o zabawę, Francey - wyjaśniła. - O dobrą zabawę dla odmiany! Możemy pojechać do jakiegoś pubu gdzieś za miastem, zamówić parę piw i śmiać się do łez. Chłopcy spodziewają się mnie w hotelu dopiero jutro wieczorem.

- Dobrze, ale pozwól mi na jeszcze jeden telefon. - Francey miał ponurą minę. - Chcę się upewnić, że z Dessiem wszystko w porządku.

Hazel zmarszczyła brwi. Już miała na końcu języka, że powinien dać sobie spokój, ale w porę się powstrzymała.

- Jasne - powiedziała zachęcającym tonem. - Tylko niech ci to nie zajmie zbyt wiele czasu. Nieczęsto na tej szerokości geograficznej mamy tak piękne słońce!

Kiedy poszedł do budki telefonicznej, usiadła na cementowym murku przy drodze pro-

wadzącej na parking i zaczęła stukać palcami w udo. Wybijałe poczucie odpowiedzialności Franceya byłoby zabawne, gdyby go tak nie absorbowało. Będzie musiała się tym zająć, kiedy już...

Kiedy co? Zaskoczona Hazel zdała sobie nagle sprawę z tego, że w marzeniach widzi już ich dwoje odjeżdżających wspólnie ku zachodzącemu słońcu. I że właśnie ponawia ten sam błąd, który zdarzyło jej się popełnić z pierwszym mężem. Francey jęczydusza to cały Francey i tyle, a owo wybijałe poczucie odpowiedzialności jest częścią jego samego. Byłaby idiotką, gdyby próbowała go zmieniać. Właśnie wtedy Hazel zmówiła w duchu krótką modlitwę, że jeśli wszystko się ułoży po jej myśli, niech dobry Bóg da jej siłę, by umiała powstrzymać się od poprawiania innych ludzi.

Poza tym знаła już swego mężczyznę dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że wszystkie tego typu próby z góry są skazane na niepowodzenie. Może i był na pozór łagodny i tolerancyjny, ale od czasu do czasu Hazel dostrzegała we Franceyu coś, co sprawiało, że zaczynała się zastanawiać, jak daleko można go popychać w kierunku, który mu nie odpowiada.

Nie wracał już dziesięć czy piętnaście minut i Hazel po raz tysięczny zerknęła na zegarek. Musiała chyba pogodzić się z faktem, że ktoś znowu zamierza zwalić na barki Franceya własne kłopoty.

Dużo czasu minęło, zanim Dessie podszedł do telefonu w zajeździe; kiedy wreszcie w słuchawce rozległ się jego głos, chłopak mówił jeszcze mniej zrozumiale niż zazwyczaj.

Powiadomiwszy brata o telefonie z Lahersheen, Dessie powiedział Franceyowi, że prawnik, pan Solomon, zostawił dla niego ważne wiadomości. Później zaczął coś gadać o pieniądzach i koniach.

- Powtórz, tylko wolniej - poprosił Francey.

Tamten urwał i młodzieniec usłyszał, jak robi głęboki wdech.

- Teraz będę jeszcze bogatszy - wyjaśnił spokojniej. - Pan Solomon rozmawiał ze mną na ten temat. Uprzedził, że to jeszcze trochę potrwa, lecz śmierć Tommy'ego wszystko zmieniła...

- urwał. - Chodzi o ostatnią wolę żony taty.

Zanim Francey zdążył zareagować, usłyszał jakieś dźwięki w tle, po czym w słuchawce odezwał się głos George'a.

- To ty, Francey?

- Tak. - Młodzieniec przedtem nie wysłuchał uważnie wszystkich klauzul w testamencie Jool i teraz zaczął tego żałować.

- Gdzie jesteś? - spytał ojciec.

- W budce telefonicznej - odrzekł ostrożnie.

Wszystkie te pytania sugerowały, że George'owi coś chodzi po głowie i Francey nie był pewien, czy chce to słyszeć.

- Dessie mówi, że jesteś w Leeds - ciągnął ojciec. - Słuchaj, jak szybko możesz tu wrócić? Weź taksówkę, jeśli chcesz, ja pokryję koszty. Ale Colin wychodzi dziś ze szpitala... Muszę po niego pojechać w ciągu najbliższej półgodziny... a utknąłem tu z Dessiem... Poza tym, mam jeszcze na głowie policję zadającą pytania o Fleur i prawników, facetów z towarzystwa ubezpieczeniowego oraz pogrzeb Tommy'ego... To Jool zawsze zajmowała się takimi sprawami i...

- Czy jest tam teraz policja? - Francey zauważył, że w głosie ojca brak normalnej jowialności, i zacisnął dłonie na słuchawce.

- Nie. Wczoraj wieczorem pojechali do mieszkania w Kensington, lecz nic nie znaleźli. Obawiają się teraz, że Fleur mogła... no, nie wiem, jak to wyrazić... martwią się, czy czegoś sobie nie zrobiła. Tylko tego by nam jeszcze brakowało! - George szybko odzyskał panowanie nad sobą.. - A tak przy okazji, nie wiem, czy Dessie ci mówił, ale zdaje się, że z pożaru ocalał tylko obraz, który Jool zostawiła dla ciebie.

- To świetnie. - Nie przyszła mu do głowy inna odpowiedź.

- To jak myślisz, o której możesz tu być? - W głosie ojca brzmiała ulga.

Francey pomyślał o Hazel czekającej na niego na zewnątrz i o tym, co razem zamierzali zrobić. O dobrej zabawie.

- Przykro mi, ale nie mogę przyjechać, George - powiedział.

- Że co, przepraszam? - spytał ojciec i Francey usłyszał wyraźnie, jak gwałtownie wciągnął powietrze ze zdumienia.

- Powiedziałem, że nie mogę teraz przyjechać, George - powtórzył. - Przykro mi. Mam inne plany. Ale z całą pewnością będę na pogrzebie.

- A Dessie... co z nim...? - Wydawało się, że ojciec pogubił się nieco.

- Dessie jest twoim synem, George. Poradźcie sobie.

- Nie możesz mi tego zrobić...

Mimo że ojciec próbował wszystkich możliwych argumentów, Francey pozostał nieugięty. Powtarzał, że bardzo mu przykro, iż George jest zawiedziony, ale nie może na to nic poradzić. Miał inne plany i koniec.

Kiedy do ojca wreszcie dotarło, że nikt mu nie pomoże i sam musi sobie ze wszystkim poradzić, Francey usłyszał, jak tamten podejmuje prawdopodobnie pierwszą w życiu dojrzałą decyzję.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że Francey nie czuł się winny - nawet co do Colina. Rozumiał, że bratu potrzeba teraz życzliwości i opieki, lecz nie miał ochoty sam się nim zajmować; jeżeli zaś chodzi o Dessiego, to wiedział doskonale, że chłopcu do szczęścia wystarczy paczka papierosów i kilka godzin pracy przy koniach.

- Nie musisz się zbytnio martwić o Dessiego - uspokoił ojca, gdy wreszcie zdołał wtrącić choć słówko. - On potrafi świetnie sam się sobą zająć. - Ponieważ jednak po drugiej stronie usłyszał tylko głośny oddech, spytał: - Słyszałeś mnie, George?

Czekając na odpowiedź, która nie nadchodziła, Francey powtarzał sobie w duchu, by nie dopuścić do serca zdradliwego współczucia. Był już najwyższy czas, aby George Gallaher wreszcie zrozumiał, że odpowiedzialność za trzech synów, których spłodził, nie ogranicza się do urządzania dla nich przyjęć.

To dla ciebie, mamusiu, pomyślał Francey...

- Jeżeli nie masz już do mnie nic więcej, to do widzenia - pożegnał się, gdy wyglądało na to, że George istotnie nie chce już nic więcej powiedzieć. - Skontaktuję się z wami telefonicznie... I do zobaczenia na pogrzebie. Daj mi, proszę, na moment Dessiego. - Gdy usłyszał w słuchawce głos brata, spytał: - Jak tam twoje stopy?

- Świetnie, świetnie. A więc jednak nie przyjedziesz? Francey poczuł ulgę, słysząc, że Dessie wcale się tym nie przejmuje tak bardzo jak George.

- Jak na razie nie - odrzekł. - Ale już niedługo zadzwonię do ciebie. Chcę jednak, byś coś dla mnie zrobił, coś bardzo ważnego...

- Jasne, Francey, jeśli tylko będę mógł...

- Podobno Colin ma przyjechać do domu dziś po południu... Dobrze by było, gdybyś pomógł ojcu nim się zająć. On będzie cię teraz potrzebował, Dessie.

- Ależ oczywiście, Francey, o nic się nie martw. Zaopiekuję się nim. Obaj się nim opiekujemy.

- A jak się dogadujesz z naszym ojcem?

- Świetnie, naprawdę świetnie! - Najwyraźniej chłopak mówił poważnie. - Jest bardzo miły... mówię poważnie, Francey. Wyjaśnił mi mnóstwo rzeczy, o pieniądzach i takich tam...

Francey wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy brat opowiadał mu dalej o George'u. Do-

skonale sobie wyobrażał, jak Dessie będzie się trzymał ojca.

- Udało ci się zobaczyć już konie? - zapytał, a w chwilę później tego pożałował.

Dessie był u nich dwa razy taksówką. Na całym świecie nie ma takich drugich! Wraz z Mickiem i innymi stajennymi doszli już do wniosku, że przed jesienią zdążą przygotować dla nich przyzwoite stajnie. Ciężkie konie, takie jak shiry, to jedyne, jakim można zaufać w nie-szczęściu... na wojnie lub w czasie pożaru...

Franceyowi skończyły się drobne na telefon, a Dessie nadal z wielkim ferworem opowiadał o swoich ulubieńcach. Idąc do Hazel, młodzieniec pomyślał, że może już przestać się martwić o brata. Jego osobowość, żeby już nie wspominać o pewności siebie, rozwijała się z dnia na dzień. Dessiemu i George'owi na dobre wyjdzie wspólna opieka nad Colinem.

Hazel wystawiała twarz do niezwykłego o tej porze roku ciepłego słońca, otworzyła oczy, gdy ktoś zasłonił jej ciepłe promienie. Francey stał nad nią z miną, która można było określić tylko jako zdumioną.

- O co chodzi? - spytała, patrząc na niego spod oka. - Nic nie mów. Umarła twoja ciocia i musisz wracać na pogrzeb, by nieść trumnę... Nie... to nie to... Otwieracie hotel dla bezdomnych i wszyscy musimy zjawić się na uroczystości...

- Coś w tym rodzaju - przyznał, lecz szybko dodał: - Ale nie martw się, odmówiłem. Powiedziałem, że zostaję tu z tobą.

- Ze mną? Powiedziałaś im o mnie? - Hazel patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nie. - Uśmiechnął się szeroko. - Nikomu nic nie powiedziałem. Po prostu odmówiłem, Hazel, i czuję się świetnie!

- Serio? Naprawdę odmówiłeś?

- Uhum. - Skinął głową.

- I dobrze! - Zeskoczyła z murku. - Chodźmy!

- Jest jeszcze coś. - Francey przytrzymał ją, a widząc ponury wyraz jego twarzy, pomyślała z przerażeniem: „O nie, nie teraz!”.

- O co chodzi? - zapytała zrezygnowanym tonem. - Co się dzieje?

- Wygląda na to, że po śmierci biednego Tommy'ego jestem jeszcze bogatszy niż poprzednio - oświadczył z miną komicznie oscylującą między smutkiem a radością i Hazel czuła, że nie ma innego wyboru, jak tylko solidnie rąbnąć go w ramię.

George siedział zgarbiony w fotelu w recepcji zajazdu i tępo wpatrywał się w przestrzeń. Miał wielkie problemy z poukładaniem sobie tego wszystkiego, co mu się zważyło na głowę.

Dlaczego Francey odmówił przyjazdu i zrobienia, co doń należało, by im pomóc?

Aż do wieczora dwa dni temu jedynym prawdziwym smutkiem w życiu George'a - odkąd pół wieku wcześniej opuścił dom - była śmierć Jool i jej pogrzeb, a to też okazało się stosunkowo łatwe do przebrnięcia; umarła tak, jak żyła: nie robiąc wokół swego odejścia wielkiego hałasu, a on pozostawił wszystkie sprawy do załatwienia prawnikom i grabarzom. I dzięki jej pieniądzom wiele zyskał.

Teraz w ciągu kilku godzin tyle problemów zważyło mu się na głowę i chociaż nadal miał pieniądze - i to więcej niż do tej pory - jeśli nie zdecyduje się uciec gdzieś w nieznane jak jego synowa, nawet posiadane miliony nie ułatwią mu życia.

Po raz pierwszy w życiu George musiał stawić czoło faktowi, że jeżeli chce się okazać prawdziwym mężczyzną, musi spełnić emocjonalne nadzieje pokładane w nim przez innych: teraz potrzebował go Colin, a także Dessie.

I to właśnie w chwili gdy on sam marzył o kimś, kto by go wsparł psychicznie i pocieszył! Bo okazało się - zbyt późno - że George straszliwie tęsknił za Tommym.

Proces identyfikacji zwłok w kostnicy był koszmarem: drobne białe ciało leżące na stole zupełnie nie nosiło śladów gwałtownej śmierci. Jedwabiste czarne włosy Tommy'ego lśniły w świetle lamp i George nie był w stanie patrzeć na swego wnuka dłużej niż parę sekund, po czym odwrócił się z twarzą zalaną łzami. W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin George Gallaher wypłakał więcej łez niż przez całe swe dotychczasowe życie. A żal, który do tej pory był dlań całkowicie obcym doświadczeniem, dopadł go i szarpał z dziką zajadłością. Wcześniej George nie dbał o dar, jakim był dlań wnuk, i teraz za to płacił.

Podniósł wzrok i zobaczył najmłodszego syna, który szedł w jego stronę przez korytarz.

- Francey powiedział, że przyjedzie do nas za parę dni.

George podniósł się z fotela.

- Pojedziesz ze mną do szpitala po Colina?

- Oczywiście.

George, który właściwie spodziewał się, że Dessie odmówi, zdumiony był jego natychmiastową zgodą.

- Czujesz się na siłach? - spytał z powątpiewaniem. - A co z twoimi stopami?

- Będziesz musiał trochę mi pomóc. - Syn popatrzył mu w oczy. - Colin potrzebuje wszelkiego wsparcia, jakie możemy mu ofiarować. Biedny Colin... - dodał smutnym głosem. - Będzie potrzebował nas wszystkich. Pomożemy mu przez to przejść. Francey wkrótce wróci -

powtórzył Dessie - jestem tego pewien.

- Taak. - Zawstydzony własną słabością, George objął syna przez chude plecy.

Ten gest jednak wydał mu się banalny - przywodził na myśl zbyt wiele kiepskich sztuk teatralnych - więc pozwolił, by jego ramię opadło. Spojrzał chłopakowi prosto w oczy.

- Podejrzewam, że w końcu wszyscy jakoś się dogadamy, prawda?

- A w każdym razie spróbujemy. - Dessie energicznie pokiwał głową. - Mam zadzwonić po taksówkę czy ty to zrobisz? A może pojedziemy limuzyną z szoferem?

Francey i Hazel kupowali morgana.

Jechali właśnie do Watford po zostawionego tam morrisa oxforda, gdy po drodze w jakiejś mieścinie zobaczyli na wystawie salonu samochodowego lśniące, czerwone morgana - kwintesencję wszystkiego, o czym Francey do tej pory marzył.

- Och, Boże! - jęknął zachwycony, wyciągając szyję i przyciskając nos do szyby auta, by móc patrzeć na to cudo tak długo, jak tylko się da.

- Co takiego? - Hazel także się obejrzała i obrzuciła wzrokiem jadące za nimi pojazdy.

- Tam stał samochód, o jakim marzyłem przez całe życie.

- Proszę się zatrzymać! - Klepnęła taksówkarza w ramię.

- Ależ nie możemy... - Jednak gdy tylko uświadomił sobie, że przecież naprawdę mogą, ogarnęło go dzikie podniecenie.

Cała transakcja zajęła mniej niż godzinę. Nie kwestionowali ceny, a sprzedawca, który rozpoznawał dobrego klienta, gdy ten z książeczką czekową w ręce przestępował tylko próg jego sklepu, załatwił sprawy ubezpieczenia oraz zapewnił, że jeden z jego ludzi przyprowadzi morrisa z Watford. Francey natomiast zapewnił go, że z całą pewnością niedługo zjawi się, by załatwić formalności związane ze sprzedażą i pięćdziesiąt cztery minuty po tym, jak wraz z Hazel weszli do sklepu, jechali nowym samochodem z butelką szampana od sprzedawcy, stojącą między stopami Hazel, i mapą na kolanach piosenkarki.

Dzień był tak piękny, że Francey opuścił dach i rozkoszował się szumem wiatru oraz warkotem silnika sportowego auta. Kwadratowe logo na masce wydawało mu się najpiękniejsze na świecie, a orzechowa deska rozdzielcza była najbardziej elegancka, jaką w życiu widział. W porównaniu ze statecznym morrisem niski nowoczesny morgan był tak szybki i zrywny, że Francey obawiał się, iż wiele jeszcze wody upłynie, zanim przyzwyczai się do jeżdżenia tą żywiołową maszyną.

- Na miły Bóg, Fangio! Uspokój się i nie pozabijaj nas!

Kiedy Hazel wskazała na znak stopu przed nimi, także i hamulce okazały się znacznie lepsze niż w Morrisie. Przyjaciółka uśmiechnęła się, by złagodzić tę krytyczną uwagę i Francey, przypomniawszy sobie pierwszą noc, gdy usłyszał z jej ust nazwisko kierowcy rajdowego, również odpowiedział jej uśmiechem.

Pojechali na północ i dopiero po jakimś czasie zorientował się, że zdążają w kierunku, którego najbardziej chciał uniknąć.

- O, nie! - jęknął, stukając palcem w rozłożoną mapę. - Postaraj się zaprowadzić mnie jak najdalej od rejonów Coventry-Birmingham.

- Dobra. - Hazel pochyliła się nad mapą. - Skreć w następną drogę w prawo, a dojedziemy... niech popatrzę... do Cambridge. Zawsze chciałam zobaczyć Cambridge.

Pojechali więc węższą, wyboistą drogą. Francey jechał w miarę wolno, dopóki nie przyzwyczał się do nowego samochodu i nie poczuł się rozluźniony i zrelaksowany. Cudownie znaleźć się znowu na wsi; był wolny, kolejne słowo, którego do niedawna brakowało w jego słowniku. No i jechał samochodem swoich marzeń. Okolica, mimo że nie tak urocza jak tereny wokół Little Staunton, przypominała narysowane przez dziecko wyobrażenie wiosny: zielone pola, białe owieczki, pierwiosnki kwitnące przy drodze, pąki w żywopłotach, ptasie parki i białe kłębiaste chmurki płynące spokojnie po błękitnym niebie.

- Wspaniale, co?

Po półgodzinie Francey odważył się mocniej przycisnąć pedał gazu, by sprawdzić, na co stać tę ślicznotkę.

Powrócił do swej ulubionej zabawy zbierania ciekawych nazw miejscowości i wciągnął do niej swą towarzyszkę: wykrzykiwał dostrzeżone na tablicach nazwy, które mu się spodobały i prosił Hazel, by zapisywała je w notesie. Jak na razie pierwsze miejsce zajmowała wioska Maggots End*.

* Zaulek Wszeteczników (przyp. tłum.).

Hazel przyłączyła się do owych poszukiwań, lecz już wkrótce znudził ją ezoteryczny gust Franceya i rozpoczęła własną zabawę.

W jej ustach wszystko nabierało podwójnego, sugestywnego znaczenia, aż każda nazwa wioski, dzielnicy czy rozstajów dróg brzmiała radośnie i seksownie: Much Had-ham**, Bull's Green - i wszystkie inne, począwszy od tych na Great i Little do zakończonych słowem End. Znalazła nawet miejscowość o nazwie Roost*** Green, a później Stump Cross i Cherry Hinton.

** W wolnym tłumaczeniu - Mnóstwo Uciechy, Bycze Zieloności, a dalej odpowiednio: Wielki - Mały - Zaulek (przyp. tłum.).

*** Zielona Grzęda (lub Łóżko), a dalej: Chutne Rozdroże i Dziewiczy Wzgórek (przyp. tłum.).

- A to dobre! - roześmiała się nagle. - A Anglicy twierdzą, że nasze miasteczka śmiesznie się nazywają. Comberton! - parsknęła. - Tokington... Tokowałeś ostatnimi czasy, Francey? - Ostatnie zdanie wywołało u niej tak zaraźliwy wybuch śmiechu, że Francey chichotał jeszcze długo po tym, gdy już zostawili niefortunną wioskę daleko w tyle.

Wiedział, że zachowują się dziecinnie i głupio, ale od tak dawna nie śmiał się do rozpu-ku, że sprawiło mu to ogromną radość. Zdobył się nawet na kpinę z Fleur, a właściwie i z sa-mego siebie, biorąc pod uwagę fakt, że tak długo chciał myśleć o niej jako o niewiniątku.

- Zabić tokującego ptaszka... - wykrztusił, uderzając w kierownicę.

- Nie rozumiem? - Hazel uniosła brwi ze zdziwieniem, lecz nie przestała się śmiać.

- Nic takiego, to głupie. No, trzymaj się! - krzyknął, wjeżdżając z ogromną prędkością na łukowaty most, tak że wylecieli w powietrze i Hazel faktycznie przez moment uniosła się po-nad fotelem. - Umieram z głodu, zjedzmy coś - zaproponował, kiedy wjechali do ładnej małej wioski o nazwie Bishop's Slipper*.

- Ja także, lecz przed jedzeniem potokujmy trochę!

* Pantofel Biskupa (przyp. red.).

Oboje znowu wybuchnęli śmiechem i Francey chichotał jeszcze, gdy wyłączył silnik przed małym zajazdem naprzeciw wiejskiego sklepiku.

- Do zobaczenia. - Wsiadłszy z samochodu, pogłaskał gładką maskę i wszedł do środka.

Było dopiero wczesne popołudnie i do otwarcia pubu pozostało jeszcze trochę czasu, lecz dziewczyna z recepcji powiedziała, że postara się, by dostali coś do jedzenia, i po dziesięciu minutach wróciła z tacą zastawioną herbata, kawą, jajkami na twardo i nieodłącznymi kanap-kami z serem oraz ogórkami.

- Zamierzam kupić dom w Dublinie - powiedział Francey, zabierając się do kanapek. Później, przeżuwając z wolna kawałek ogórka, wyrzał przez okno na zalane słońcem podwórze zajazdu. - I może mieszkanie gdzieś w Londynie. Mam już dość nocowania w hotelach. Do diabła, wiem, że George na to nie zasługuje, lecz zamierzam pokręcić się tu jakiś czas. Głównie dla Dessiego.

- I bardzo dobrze - odrzekła Hazel, sięgając po jajko. - A kiedy już się gdzieś osiedlisz, czy zamierzasz wprowadzić w czyn te wszystkie plany dotyczące koni?

- A nie mówiłem ci? Uważam, że Dessie ma do tego wrodzony talent. Pomysł był piękny i marzenie cudowne, lecz zdałem sobie sprawę, że to nie jest to, co chciałbym robić w życiu. Pomogę chłopakowi we wszystkim, jeśli będzie chciał przyjąć ode mnie jakąś pomoc. W końcu ma Micka O'Dowda i tyle samo pieniędzy co ja. Nie. Myślę o czymś innym. Zamierzam wstąpić na uniwersytet.

Wprawdzie Francey dopiero co podjął tę decyzję, lecz brzmiała tak prawdziwie w jego myślach, że wiedział, iż wreszcie znalazł to, co naprawdę chciałby robić. Coś, co było nie tylko możliwe, ale również tak atrakcyjne, że czuł mrowienie na karku.

- Przy całym twoim majątku? - Hazel nie mogła uwierzyć własnym uszom. - To tak, jakbyś chciał wrócić z powrotem do szkoły! Dlaczego się nie wyluzujesz i nie zaczniesz cieszyć życiem?

- Na początku była to dobra zabawa - przyznał. - Mam na myśli tę całą forszę. Ale to także wielka odpowiedzialność i muszę się nauczyć dobrze gospodarować pieniędzmi. W końcu mogę spać tylko w jednym łóżku naraz i nosić tylko jedną parę spodni.

- Chyba nie chcesz zrobić nic głupiego? Na przykład rozdać wszystkiego biednym, co?

- Nie - odpowiedział, zamyślony. - Ale zamierzam część z nich wykorzystać. Przecież zaledwie zrobiłem maturę, Hazel. Jeśli mam czerpać korzyści z tego majątku, to teraz jest najlepsza pora po temu. To fantastyczna okazja. Później będę musiał się ustatkować i robić coś pożytecznego. - Nagle onieśmielony, jakby zwierzał się jej z krępującego sekretu, rozejrzał się dokoła: - Chcę być kimś... coś osiągnąć... i nigdy nie sądziłem, że mi się uda. Ale teraz wiem, że to możliwe. Poza tym, czuję, że moim obowiązkiem jest zrobienie czegoś konstruktywnego. Więc uniwersytet będzie jedynie początkiem.

- Boże, podziwiam cię. - Po spojrzeniu piosenkarki poznał, że mówiła to szczerze. - Twoja matka będzie zachwycona. Co zamierzasz studiować?

- To proste. - Nalał sobie herbatę. - Angielski. Nie śmieję się, Hazel, ale możliwe, że

pewnego dnia zostanę pisarzem.

- Dlaczego miałabym się śmiać? Przecież ty zawsze i wszędzie czytasz te cholerne książki!

Rozmowa jakoś się urwała, a Francey siedział, ciesząc się podnieceniem, które powoli go ogarniało. W obliczu chaosu, który panował w ich życiu w ciągu ostatnich dni, dziwnie się czuł z tym swoim szczęściem.

- Chyba się nie rozmyślisz, co? - Hazel położyła mu dłoń na rękę.

- Skąd wiedziałaś?

- Kobieca intuicja. - Poklepała się po nosie.

- Jesteś cudowna, Hazel! - Zapominając o wątpliwościach, Francey zabrał się do następnej kanapki. - Świetnie się bawię - przyznał szczerze. - To zupełnie jak wakacje.

- Cieszę się. Weźmy sobie oboje urlop. I nie mówmy już dziś o niczym poważnym.

- To o czym będziemy rozmawiać? Nie potrafię wymyślić już nic nowego o tokowaniu. - Szturchnął ją lekko.

- Naprawdę? - Coś w głosie przyjaciółki sprawiło, że zatrzymał się w połowie kęsa. Zerknął na nią i przypomniał sobie, kiedy po raz ostatni widział takie spojrzenie w oczach dziewczyny; w tej samej chwili jedzenie w jego ustach straciło smak. - Hazel?

- Muszę iść do toalety - odrzekła i wstała od maleńkiego stolika tak gwałtownie, że niemal przewróciła filiżankę z kawą.

Francey powoli odłożył niedojedzoną kanapkę. Nie musiał nawet pytać, co się dzieje. Mina Hazel sprawiła, że przeszedł go dreszcz i w pół sekundy cała ich znajomość, a nawet przyjaźń, dokonały zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni.

Rozejrzał się po zwyczajnych, nieco zniszczonych meblach w malutkim pubie, popatrzył na równe deszczulki okiennic i staroświeckie szafki na butelki nad barem. Słońce ślizgało się po kamieniach na zewnątrz, chociaż był dopiero marzec. Namiętność wydawała się obca temu otoczeniu, a jednak czuł, że zaczyna się w nim budzić. I tym razem nie mógł zwalić tego na zbyt wiele wypitego alkoholu.

Czy to tylko namiętność? Pomyślał o wszystkich wesołych rozmowach, jakie prowadzili z Hazel, o jej towarzystwie, radości i śmiechu. Jak bardzo podziwiał jej odwagę i energię i jak potrafiła być ciepła i czuła w stosunku do niego.

Francey zaczął od nowa bić się z myślami. Czy naprawdę był zakochany w Hazel? Czy może raczej - mówiąc trywialnie - zakochał się w niej nagle, bo już od tak dawna nie był z

żadną kobietą? Jak to szło w tej starej piosence z „Tęczy Finiana”, którą wyśpiewywał w Lahersheen Mick Harrington; mówiła o tym, że gdy nie był z dziewczyną, którą kochał, kochał dziewczynę, z którą był. Czy teraz chodziło o miłość, czy tylko o seks? A jeśli to naprawdę miłość, to dlaczego wcześniej jej nie dostrzegł?

Nie zauważył, bo oślepił go seks z Fleur? Czy to wszystko działo się na arenie, gdzie seks walczy z miłością?

Doszedł w swych rozważaniach tylko do tego miejsca, gdyż Hazel właśnie szła do stolika, spokojna i opanowana, jak gdyby temperatura wokół nie wzrosła nagle o pięćdziesiąt stopni.

Miała na sobie obcisłe białe dzinsy - jak tamte, które niegdyś nosiła Fleur - ale tu kończyło się wszelkie podobieństwo. Hazel wsunęła nogawki spodni w białe botki za kostkę, a do tego włożyła obcisłą czarną bluzkę z jakiegoś rozciągliwego materiału, która uwydatniała jej piersi i odsłaniała głęboki rowek między dwiema półkulami.

- Wszystko w porządku? - spytała, siadając na powrót za stołem; musiała się nieco pochylić i wtedy jej piersi wychyliły się z wycięcia bluzki. Francey nie mógł oderwać od nich wzroku.

Podczas spaceru do toalety Hazel postanowiła, że rozegra to wszystko na spokojnie. Kochała go i w ogóle - tego była pewna - jak również właściwie przekonana, że wszystko, co powinna zrobić, to pomóc mu zrozumieć, że on także ją kocha. Seks miał z tym wiele wspólnego, lecz mógł też wszystko zepsuć. Nigdy w życiu nie uprawiała z nikim żadnych seksualnych gier, gdyż uważała je za głupią stratę czasu. Uległość nie należała do jej ulubionych cech charakteru i nie widziała powodu, by udawać zdobytą przez mężczyznę słabą dziewczynę; albo podobał się jej dany facet, albo nie.

Obawiała się, że Francey mógł odnieść wrażenie, iż ona często zmienia partnerów, lecz nie spędzało jej to snu z powiek, gdyż dobrze wiedziała, jak jest naprawdę. Poza dwoma okresami przesilen, które nastąpiły wkrótce po rozpadzie jej małżeństwa, a także zaraz po romansie z Franceyem, jej seksualne doświadczenia okazały się - wedle standardów uznawanych przez środowisko, w którym się obracała - całkiem skromne.

Obejrzała uważnie swoje odbicie w lustrze: różnica wieku między nimi wydawała się prawie niezauważalna i z całą pewnością jej nie przeszkadzała. Hazel była niemal pewna, że i Francey nie dba o takie drobiazgi. Uważała, że wszystkie związki przypominają loterię. Albo robisz wszystko, co w twojej mocy, by wyciągnąć szczęśliwy los, albo sobie odpuszczasz - a

jeśli już udało ci się wygrać, powinieneś dopilnować, by szczęście cię nie zawiodło. Jeśli tym razem jej się poszczęści - jeśli im obojgu się poszczęści - Hazel zrobi, co można, by dobry los ich nie opuścił.

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co między nimi zaszło, pragnęła, żeby to się stało i wyczuwała, że następna godzina okaże się szalenie ważna. Wszystko było jak trzeba: czas, miejsce, nastrój, a nawet pogoda, niech Bóg błogosławi. Nikt na ziemi nie wiedział, że tu razem siedzą. Jeśli teraz czegoś nie wymyśli, druga taka szansa zapewne nigdy się nie powtórzy.

Biorąc pod uwagę to, jaka była stawka, Hazel czuła się wyjątkowo spokojna.

- No, cóż... - mruknęła do swego odbicia i pośliniwszy palec, pogładziła nim brwi. - Zawsze jest jakieś jutro! - Wcisnęła bluzkę głębiej w spodnie i wyszła. - Przyglądasz mi się! - powiedziała oskarżycielskim tonem, siadając naprzeciwko młodzieńca. Francey sięgnął przez stół i ujął ją za rękę.

Hazel musiała opanować nagłą ochotę parsknięcia śmiechem. Wyglądał na tak strasznie zszokowanego!

- Co się dzieje? - spytała.

- A co mogę powiedzieć? Zwaliło mnie z nóg, Hazel.

- Widzę. - Czuła, że atmosfera między nimi się zagęszcza. Mimo że każdy mięsień w jej ciele krzyczał, by złapała go za rękę, ugryzła, podrapała lub też zrobiła cokolwiek innego, pozostała w bezruchu. - I co teraz z tym zrobimy? - zapytała lekkim tonem zwyczajnej konwersacji. - Zamówimy drinka, jak sądzisz?

- A co możemy zrobić? - Francey przeciągnął palcem drugiej ręki po materiale okrywającym udo Hazel i zostawił na nim dłoń.

Hazel omal nie podskoczyła na krześle; ostatkiem sił zmusiła się do spokoju.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyła ramionami. - Ty mi powiedz.

- Co ty o tym myślisz? Sądzisz, że jestem nieprawdopodobnie bezczelny? Wiesz przecież o mnie... i o Fle...

- Ty także wiesz o mnie wszystko. - Poruszyła się, zanim zdążył wymówić do końca to imię. - Przecież mieliśmy nie mówić o niczym poważnym.

- Ale to jest naprawdę poważne, Hazel.

- Doprawdy?

- Nie potrafię wymyślić nic, co mógłbym powiedzieć, a czego ktoś przede mną nie mó-

wiłby już w książce lub piosence...

Czekała cierpliwie. Czowała nieomal gęste powietrze wiszące między nimi; przypominało to gorącą warstwę, drżącą jak woda tuż nad powierzchnią rozgrzanego asfaltu latem.

- Znam wszystkie piosenki, nie zdołasz mnie zaskoczyć.

- Myślę, że to, o czym teraz myślę, zaskoczyłoby cię jednak.

- Strzelaj. - Hamulce, które sobie narzuciła, ledwie się już trzymały i Hazel założyła nogę na nogę, by zyskać na czasie. Był to błąd: skupiła się na tym, by nie myśleć, że ma go tak blisko siebie, a gdy teraz założyła udo na udo, uwięziła jego dłoń między swymi nogami. Czowała jego puls - i choćby miało teraz zależeć od tego jej życie, nie wyprostowałaby nóg. - Nikt nie podsłuchuje, a ja nikomu nie powiem. - Spróbowała się roześmiać.

- Kocham cię, Hazel.

Odetchnęła głęboko, a jednocześnie serce podskoczyło jej z radości.

- Założę się, że powtarzasz to wszystkim dziewczętom... - wykrztusiła, a potem dodała dla pewności: - Wiesz przecież, że mam dość lat, aby być twoją... starszą siostrą...

- Powiedziałem to tylko jednej kobiecie do tej pory... I nie mówiłem wtedy prawdy. Wydawało mi się, że kocham, ale tak nie było... - Zacisnął palce na jej udzie. - I nic mnie nie obchodzi twój wiek. Natomiast zastanawiałem się, co cię łączy z Vinniem...

Nie potrafiła już dłużej się opanować.

- Och, Francey! - wrzasnęła. - Ty wielki ośle! Oczywiście, że cię kocham... Kocham cię, kocham cię, kocham cię! - Objęła go za szyję i pocałowała mocno. - Wydawało mi się już, że nigdy tego od ciebie nie usłyszę! Myślałam, że umrę, jeśli tego nie powiesz... - Pocałowała go znowu, ciągnąc jednocześnie za włosy i uszy, za co tylko mogła. - Vinnie? - zapytała bez tchu. - On jest moim kumplem, przecież ci mówiłam!

Musiała go puścić, gdyż w tej samej chwili zbliżyła się do nich dziewczyna zza baru, która, usłyszawszy krzyki, przyszła spytać, czy wszystko w porządku. Zobaczywszy ich w gorącym uścisku, zatrzymała się jak wryta. Hazel spróbowała jakoś ją wybawić z zakłopotania.

- Jesteśmy zakochani! - wyjaśniła, całując Franceya. - Nic się nie stało, proszę pani, to mój narzeczony! Właśnie się zaręczyliśmy!

- Moje gratulacje! - Dziewczyna zawahała się, po czym wróciła za bar, zostawiając młodzieńca gapiącego się na Hazel z taką konsternacją, że wybuchnęła śmiechem.

- Na miłość boską! - zawołała. - Musiałam coś powiedzieć. To nie było poważnie! W każdym razie i tak jeszcze się całkiem nie rozwiodłam.

- Ale ja mówię poważnie. - Francey zerwał się z wąskiej drewnianej ławeczki i opadł przed Hazel na jedno kolano.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, klepnęła go w ramię.

- Jezusie, Maryjo, Józefie święty! - Wzniosła oczy ku niebu. - Nawet kiedy klęczysz, jesteś ode mnie wyższy!

RS